

BRET EASTON ELLIS

AMERICAN PSYCHO

www.ebookland.pl – *darmowe ebooki*

PORZUĆCIE WSZELKA NADZIEJĘ WY, KTÓRZY TU WCHODZICIE

napisano krwistoczerwonymi literami na bocznej ścianie Chemical Bank niedaleko rogu Jedenastej i Pierwszej, a napis jest wystarczająco duży, by można było go dostrzec z tylnego siedzenia taksówki wbijającej się w ruch wylewający się z Wall Street, lecz wtedy, gdy Timothy Price zauważył te słowa, nadjeżdża autobus - z reklamą Nędznikówna boku - zasłaniając widok, ale Price, który pracuje dla Pierce'a & Pierce'a i ma dwadzieścia sześć lat nie zwraca na to uwagi, ponieważ właśnie mówi kierowcy, że da mu pięć dolarów, jeśli ten włączy głośniej radio - stacja W YNN nadaje "Be My Baby" - a kierowca, czarny, lecz nie-Amerykanin, robi, co mu każą.

- Jestem zaradny - mówi Price - jestem twórczy, jestem młody, pozbawiony skrupułów, posiadam olbrzymią motywację, i nieprzeciętne zdolności. Mówiąc krótko społeczeństwa nie stać na to, żeby mnie stracić. Jestem zbyt c e n n y. - Price uspokaja się i w dalszym ciągu wygląda przez brudną szybę taksówki, patrząc być może na słowo STRACH - wymalowane sprayem czerwone graffiti na bocznej ścianie McDolanda przy rogu Czwartej i Siódmej. - Wiesz o co mi chodzi? Powiem ci: jest faktem, że wszystkich głównie obchodzi ich praca, każdy nienawidzi swojej roboty, ja też jej nienawidzę, ty jak słyszałem także jej nienawidzisz. I co mamy zrobić? Co ja mam zrobić? Wrócić do Los Angeles? To ż a d n a alternatywa. Nie po to przenosiłem się z UCLA do Stanford, żeby pójść na coś takiego. Rzecz w tym, pojmujesz... czy t y l k o j a uważam, że zarabiamy za mało pieniędzy? - Jak w kinie pojawia się następny autobus i kolejny plakat Nędznikówna tamto słowo - to musi być inny autobus, bo ktoś napisał LESBIJA na twarzy Eponiny. Tim mamrocze: - Mam tu duże mieszkanie. Na Boga, mam dom w Hamptons.

- Rodziców, chłopcze. Należy do rodziców.

- Kupuję go od nich. Czy mógłbyś kurwa zrobić to głośniej? - rzuca od niechcenia w stronę kierowcy; w radiu ciągle grzmie The Crystals.

- Się nie da zrobić głośni - tak zdaje się brzmieć odpowiedź kierowcy.

Timothy nie zwraca na niego uwagi i peroruje poirytowany: - Mógłbym ostatecznie mieszkać w tym mieście, gdyby tylko zainstalowali w taksówkach Blaupunkty. ODM III czy ORC II z dynamicznym systemem strojenia - Spuszcza z tonu. - Któryś z tych dwóch. Na czasie przyjacielu, bardzo na czasie.

Zdejmuje z szyi słuchawki drogo wyglądającego walkmana i wciąż narzeka: - Nienawidzę narzekać, naprawdę, na odpadki, śmieci, choroby, na to, jak brudne jest to miasto, obaj wiemy, że jest to pewien s t y... - Mówi bez przerwy otwierając swoją nową dyplomatkę Turni z cielejącej skóry, którą kupił u D.F. Sandersa. Wkłada walkmana do teczki, obok easa-phonu Panasonic - przenośnego, bezprzewodowego, składanego telefonu wielkości portfela (kiedyś miał przenośny telefon NEC 9000 Porta) - i wyciąga dzisiejszą gazetę. - Tylko jedno wydanie, j e-d n o wydanie, co my tu mamy... uduszone modelki, niemowlęta zrzucone z dachów kamienic, dzieci zamordowane w metrze, manifestacja komunistów, zniknięcie szefa mafii, naziści - z podnieceniem przerzuca strony - baseballiści, chorzy na AIDS, kolejne głównie o mafii, korek, bezdomni, przeróżni maniacy, pedały padające jak muchy na ulicach, zastępcze matki, koniec mydlanej opery, dzieciaki włamują się do zoo, gdzie torturują i spalają żywcem zwierzęta, jeszcze raz naziści... a dowcip polega na tym, najlepsze jest to, że wszystko dzieje się w jednym mieście, tutaj, nigdzie indziej, co za syf, hej poczekaj, następni naziści, korek, korek, sprzedawcy niemowląt, dzieci na czarnym rynku, dzieci z AIDS, dzieci narkomani, budynek zwala się na dziecko, maniackalne niemowlę, korek, most zawala się... - Jego głos załamuje się, Timothy bierze oddech i mówi cicho ze wzrokiem utkwionym w żebraku na rogu Drugiej i Piątej: - To dwudziesty czwarty, jakiego dzisiaj widzę. Liczyłem. - A potem pyta, nie odwracając się: - Dlaczego nie nosisz granatowego blezera z czesanej wełny do szarych spodni? - Price ubrany jest w wełniano-jedwabny garnitur zapinany na sześć guzików od Ermenegilda Zegny, bawełnianą koszulę z francuskimi mankietami od Ike'a Behara, jedwabny krawat od Ralphi Laurena i skórzane półbuty do kostki od Fratelli Rossetti. Rzut oka na The Post. Jest tam średnio interesujący artykuł mówiący o dwóch osobach,

które zniknęły podczas przyjęcia na jachcie średnio znanej postaci z nowojorskiej socjety -jacht okrążał wtedy wyspę. Jedynymi dowodami w sprawie są trzy stłuczone kieliszki do szampana i rozprysnięta plama krwi. Podejrzewa się, że popełniono przestępstwo, na pokładzie jachtu odkryto wyłobienia i nacięcia. Ciał nie odnaleziono. Brak podejrzanych. Price rozpoczął swoje dzisiejsze przemówienie przy lunchu i kontynuował tyradę przy drinkach u Harry'ego, gdzie - pijąc trzy J&B z wodą - mówił znacznie ciekawiej o rachunku Fischera, którym zajmuje się Paul Owen. Price nigdy się nie zamknie.

- Choroby! - krzyczy z napiętą aż do bólu twarzą. - Jest teraz taka teoria, która mówi, że jeśli można złapać wirusa AIDS uprawiając s e k s z osobą z a r a-ż o n ą, to prawdopodobne jest złapanie c z e g o k o l w i e k w ten sam sposób,

bez względu na to czy jest to wirus per se czy też nie... Można trafić na przykład chorobę Alzheimer'a, dystrofię mięśniową, hemofilię, białaczkę, anoreksję, cukrzycę, raka, stwardnienie rozsiane, zwłóknienie torbielowe, porażenie mózgowe, dysleksję, Jezu Chryste... nie można przecież złapać dysleksji z c i p y!

- Nie jestem pewny chłopcze, ale nie sądzę, żeby dysleksję wywoływał wirus.

- Och, kto to może wiedzieć? O n i tego nie wiedzą. Udowodnij, że nie mam racji.

Na zewnątrz, na chodniku, czarne spasioone gołębie biją się o kawałki hot doga przed Papają Greya; transwestyci rozglądają się leniwie na boki, a policyjny samochód jedzie cicho pod prąd jednokierunkową ulicą; szare chmury wiszą nisko na niebie, a w taksówce, która zatrzymała się w korku obok naszej, siedzi facet bardzo podobny do Luisa Carruthersa, macha do Timothy'ego, a gdy ten nie odpowiada na powitanie, nieznajomy - zaczesane do tyłu włosy, szelki, okulary w rogowej oprawie - domyśla się, że się pomylił i z powrotem pochyla głowę nad egzemplarzem USA Today. Rzut oka na chodnik, gdzie siedzi brzydka, stara, bezdomna kobieta z torbami na zakupy, trzymając w dłoni bat, którym strzela na gołębie zupełnie nie zwracające na nią uwagi, dziobiące się nawzajem i walczące o resztki hot doga; samochód policyjny znika w podziemnym garażu.

- Z drugiej strony, gdy dojdzie się do punktu, w którym nasza reakcja na czasy, w jakich żyjemy, zaczyna przypominać całkowitą i bezwarunkową akceptację, gdy nasze ciała zaczynają się d o s t r a j a ć do otaczającego nas szaleństwa i wszystko staje się coraz bardziej sensowne, i gdy mechanizm zaczyna tykać, spotykamy jakąś oszalałą, popierdoloną, bezdomną czarną, która w rzeczy samej c h c e - posłuchaj mnie Bateman - c h c e mieszkać na ulicach, na tej, na tamtych ulicach, rozumiesz, na t a m t y c h... - pokazuje ręką -...i mamy burmistrza, który nie przyjmuje do wiadomości jej woli, burmistrza, który nie pozwoli tej suce żyć tak jak chce... Jezu Chryste... pozwólmy tej skurwiałej suce z a m a r z n ą ć na śmierć, ale zechciej tylko skrócić jej własne, stworzone przez nią cierpienia, i spójrz, jesteś w punkcie wyjścia, zażenowany, popierdolony... Dwudziesta czwarta, nie, dwudziesta piąta... Kto będzie u Evelyn? Poczekaj, pozwól że zgadnę. - Podnosi rękę przymocowaną do nienagannego manikiuru. - Ashley, Courtney, Muldwyn, Marina, Charles... dobrze mi idzie? Może ktoś z "artystycznych" przyjaciół Evelyn z o mój boże "East" Village. Znasz te typy... to ci, którzy pytają Evelyn, czy nie ma przypadkiem dobrego, wytrawnego, białego chardonnay... - Klepie się dłonią w czoło, zamyka oczy i zaczyna mamrotać przez zaciśnięte szczęki: - Wyjeżdżam. Rzucam Meredith. Ona naprawdę prowokuje mnie do tego, żebym ją lubił. Wypisuję się. Dlaczego tak długo nie zdawałem sobie sprawy, że ona ma osobowość cholernej spikerki z teleturnieju?... Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem... Chodzi mi o to, mówię jej, że jestem wrażliwy. Powiedziałem jej, jak fatalny wpływ miał na mnie wypadek Challenge-

ra... Czego więcej może chcieć? Postępuję etycznie, jestem tolerancyjny, to znaczy jestem niezwykle zadowolony ze swojego życia, mam optymistyczny stosunek do przyszłości... to znaczy... a ty nie? -Jasne, ale...

- A wszystko co od niej dostaję to g ó w n o... Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, kurwa mać to chyba jakiś cholerny kongres włóczęgów. Mówię ci... - Urwał nagle, jakby wyczerpany i odwracając się od kolejnej reklamy Nędz-ników przypomina sobie coś ważnego i pyta: - Czytałeś o tym spikerze z teleturnieju? Zabił dwóch nastoletnich chłopców. Zdeprawowany pedał. Błazen,

prawdziwy błazen. - Price czeka na moją reakcję. Nie ma żadnej. Nagle: jesteśmy na Upper West Side.

Każe kierowcy zatrzymać się na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Riverside, po nieważ ulica jest jednokierunkowa.

- Proszę nie objeżdż... - zaczyna Price.

- Może objadę - mówi taksówkarz.

- Proszę nie robić sobie subiekcji. - Potem lekko odwraca głowę, zaciska zęby i mówi poważnie: - Jebany głupek.

Kierowca zatrzymuje auto. Dwie taksówki jadące za nami zaczynają trąbić, potem jadą dalej.

- Czy powinniśmy kupić kwiaty?

- Nieee. Do diabła, to ty ją walisz, Bateman. Dlaczego my mielibyśmy kupować Evelyn kwiaty? Lepiej żeby miał pan resztę z pięćdziesięciu - ostrzega kierowcę i mrużąc oczy wpatruje się w czerwone cyferki na liczniku. - Cholera. To te sterydy. Jestem spięty.

- Myślałem, że już ich nie bierzesz.

- Zaczął pojawiać mi się trądzik na nogach i ramionach, a naświetlania kwar-cówką na nic się nie zdały, więc zamiast tego spróbowałem pochodzić do solarium i w końcu pozbyłem się krost. Jezu, Bateman, powinieneś zobaczyć, jak sfalowany jest mój brzuch. Klasyka. Ani grama tłuszczu...

- mówi w jakiś dziwny, odległy sposób, czekając aż kierowca wyda mu resztę. - Sfalowany. - Nabiera taksówkarza przy napiwku, ale kierowca i tak jest mu szczerze wdzięczny. - Trzymaj się, palancie. - Price mruga.

- Cholera, cholera, niech to cholera - mówi otwierając drzwi auta. Gdy wysiada, zauważa stojącego na ulicy żebraka - Bingo: trzydziesty - ubranego w niesamowity, lepki od brudu, zielony dres; mężczyzna jest nie ogolony, tłuste włosy ma zaczesane do tyłu, a Price z żartobliwym uśmiechem na twarzy przytrzymuje dla niego otwarte drzwi taksówki. Zmieszany włóczęga mamrocze coś pod nosem ze wzrokiem wlepionym wstydliwie w chodnik i wyciąga do nas pusty, styropianowy kubek do kawy, który trzyma nieśmiało w dłoni.

- Przypuszczam, że niepotrzebna mu taksówka - prychna Price i zatrząskuje drzwi samochodu. - Zapytaj go, czy przyjmuje karty kredytowe American Express.

- Przyjmujesz AmEx?

Żebrak kiwa twierdząco głową i odchodzi wolno powłócząc nogami.

Jest zimno jak na kwiecień i Price maszeruje żwawo ulicą w kierunku domu z piaskowca, w którym mieszka Evelyn, gwizdząc pod nosem-"If I Were A Rich Man"; ciepło z jego ust tworzy małe obłoczki pary, a Price macha swoją skórzaną dyplomatką Turni.

Z oddali nadchodzi jakaś postać z zaczesanymi do tyłu włosami, w okularach w rogowej oprawie, ubrana w beżowy dwurzędowy garnitur z wełny i gabardyny Cerrutti 1881, i z taką samą skórzaną dyplomatką Turni od D.F. Sandersa, jaką ma Price; Timothy zastanawia się głośno: - Czy to Victor Powell? Niemożliwe.

Mężczyzna przechodzi pod jarzeniowym światłem latarni, a na jego twarzy widać zakłopotanie, które po chwili zamienia się w lekki uśmiech, gdy wpatruje się w Price'a tak, jak gdyby byli znajomymi, lecz wkrótce nieznajomy zdaje sobie sprawę, że nie zna Price'a, a Price równie szybko dochodzi do wniosku, że nie ma przed sobą Victora Powella i mężczyzna idzie dalej.

- Dzięki Bogu - mamrocze Price, zbliżając się do domu Evelyn.

- Bardzo był do niego podobny.

- Powell i obiad u Evelyn? To pasuje mniej więcej tak jak kaszmir do kraty. - Price przemyslał porównanie. - Jak białe skarpetki do szarych spodni.

Obraz stopniowo zanika i w następnym ujęciu Price wspina się na schody przed domem z piaskowca kupionym przez ojca Evehn dla córki, mruczając coś o taśmach, które pożyczył wczoraj wieczorem i zapomniał oddać do Video Haven. Naciska dzwonek. Z sąsiedniego piaskowca wychodzi kobieta - wysokie obcasy, wspaniałe tyłek - nie zamykając drzwi. Price śledzi ją wzrokiem, a gdy słyszy zbliżające się do nas korytarzem kroki, odwraca się, poprawia swój krawat Versace i jest już gotów stawić czoło każdemu, kto się pojawi. Drzwi otwiera Courtney ubrana w

kremową jedwabną bluzkę od Krizii, tweedową spódnicę koloru rdzy, także od Krizii, jedwabne satynowe pantofle d'Orsay na słupku od Manola Blahnika.

Dzię i podaję jej mój czarny wełniany płaszcz od Georgia Armaniego; odbiera go ode mnie i ostrożnie całuje powietrze obok mojego prawego policzka, a potem wykonuje dokładnie te same ruchy obok Price'a, zabierając jednocześnie jego płaszcz od Armaniego. W salonie gra cicho nowy kompakt Talking Heads.

- Troszkę się spóźniliśmy, prawda, chłopcy? - pyta Courtney, uśmiechając się niegrzecznie.

- Nieporadny haitański taksjarsz - mamrocze Price oddając Courtney po wietrzny pocałunek. - Czy mamy gdzieś rezerwację i tylko proszę nie mów mi, że w Pastelacli o dziewiątej.

Courtney uśmiecha się Mieszając obydwa płaszcze w garderobie w hollu -Jemy dzisiaj w domu, moi kochani. Przykro mi, wiem, wiem, próbowałam przekonać Evelyn, ale mamy na obiad... sushi.

Tim mijają i rusza przez foyer w kierunku kuchni. - Evelyn? gdzie jesteś, Evelyn? - woła śpiewnym głosem. - Musimy porozmawiać.

- Dobrze cię znów widzieć - zwracam się do Courtney. - Wyglądasz dziś bardzo ładnie. Twoja twarz ma taki... młodzieńczy blask.

- Ty naprawdę wiesz, jak oczarować kobietę, Bateman. - W głosie Courtney nie ma sarkazmu. - Czy powinnam powiedzieć Evelyn o twoich odczuciach?

- pyta kokieteryjnie.

- Nie - mówię, - Ale założę się, że bardzo byś chciała.

- Przestań - mówi zdejmując moją rękę ze swojej talii; kładzie dłonie na mych ramionach i popycha mnie korytarzem w kierunku kuchni. - Musimy uratować Evelyn. Przez ostatnią godzinę zajmuje się wyłącznie układaniem sushi. Chce umieścić na nim twoje inicjały: P z sandacza i B z tuńczyka... Ale uważa, że tuńczyk wygląda zbyt blado...

- Jakież to romantyczne.

-...i zabrakło jej sandacza, żeby dokończyć B... - Courtney bierze oddech -...dlatego sędzę, że zamiast twoich, ułoży inicjały Tima. Masz coś przeciwko temu?

- pyta tylko odrobinę zmartwiona. Courtney jest dziewczyną Luisa Carruthersa.

- Jestem potwornie zazdrosny i uważam, że lepiej będzie, jeśli porozmawiam z Evelyn - mówię pozwalając Courtney delikatnie wepchnąć się do kuchni.

Evelyn stoi przy kuchennej ladzie z jasnego drewna, ubrana w kremową jedwabną bluzkę od Krizii, tweedową spódnicę koloru rdzy, także od Krizii, i takie same jedwabne satynowe pantofle d'Orsay na słupku, jakie ma Courtney. Jej długie jasnoblonde włosy upięte są z tyłu w dosyć groźnie wyglądający kok, i Evelyn wita mnie nie podnosząc głowy znad owalnej, wykonanej z nierdzewnej stali patery od Wiltona, na której artystycznie ułożyła sushi. - Och, kochanie, tak mi przykro. Chciałam pójść do tego miłego, maleńkiego, nowego salwadorskiego-go bistro na Lower East Side...

Price jęczy głośno.

- ... ale nie dostałyśmy rezerwacji. Timothy, przestań jęczeć. - Unosi kawałek sandacza i umieszcza go ostrożnie na samej krawędzi patery, wykańczając coś, co przypomina dużą literę T. Odsuwa się od swego dzieła i omiata je wzrokiem. - Nie wiem. Och, brak mi pewności siebie.

- Mówiłem ci, żebyś trzymała w domu Finlandię - mamrocze Tim przeglądając butelki, w większości o maksymalnej pojemności, w barku. - Nigdy nie ma Finlandii - mówi do niego i do nas wszystkich.

- Mój Boże, Timothy. Nie dasz sobie rady z Absolutem? - pyta Evelyn, a potem zwraca się poufale do Courtney: - Kalifornijski zawijaniec powinien otaczać krawędź talerza, nie?

- Bateman. Drinka? - wzdycha Price.

- J&B z lodem - mówię mu i nagle uderza mnie fakt, że nie zaproszono Meredith.

- O Boże. Co za b a ł a g a n - sapie Evelyn. - Przj'siegam, że zaraz się rozplaczę.

- Sushi wygląda cudownie - usiłuję ją uspokoić.

- Och, co za b a ł a g a n - lamentuje. - Co za b a ł a g a n.

- Nie, nie, sushi wygląda c u d o w n i e - powtarzam i z całych sił starając się pocieszyć biorąc kawałek flądry i wrzucam go do ust, jęcząc przy tym z wewnętrznej rozkoszy, po czym obejmuję Evelyn od tyłu. Mając pełne usta próbuję powiedzieć: - Wyborne.

Evelyn daje mi żartobliwego klapsa wyraźnie zadowolona z mojej reakcji i wreszcie ostrożnie całuje powietrze obok mojego policzka, a potem odwraca się do Courtney. Price wręcza mi drinka i nisza w kierunku salonu usiłując usunąć jakiś niewidzialny pyłek ze swojego blezera. - Evelyn, czy masz szczotkę do ubrań?

Wolałbym teraz obejrzeć mecz baseballowy albo poćwiczyć trochę na sali gimnastycznej lub ostatecznie pójść do tej salwadorskiej restauracji, która miała kilka całkiem niezłych recenzji - jedną w magazynie New York, drugą w Thne.sie - niż siedzieć tu na obiedzie, lecz posiłki u Evelyn mają pewną zaletę: jest stąd niedaleko do mnie do domu.

- Czy sos sojowy musi koniecznie mieć temperaturę pokojową? - pyta Courtney. - Wydaje mi się, że w którymś z naczyń powinien być lód.

Evelyn umieszcza delikatnie kłącza jasnego, pomarańczowego imbiru, jedno na drugim, tuż obok małego, porcelanowego naczynia wypełnionego sosem sojowym.

- Nie, tak jest dobrze. A teraz Patricku, czy byłbyś tak miły i wyjął Kirin z lodówki? - Po chwili, wyraźnie zmęczona imbirem, rzuca kłącza na paterę. - Och zapomnij o tym. Sama to zrobię.

Tak czy inaczej, posuwam się w kierunku lodówki. Price ponownie wchodzi do kuchni i pyta, patrząc ponuro: - Kto do cholery siedzi w salonie? Evelyn udaje zdumienie: - Och, któż to taki? Courtney ostrzega: - Ev-el-yn. Mam nadzieję, że im powiedziałaś.

- Kto tam jest? - pytam, nagle przestraszony. - Victor Powell?

- Nie, to nie jest Victor Powell, Patricku - śmierzdzą zdawkowo Evelyn. - To mój przyjaciel, artysta, nazywa, się Stash. I Vanden, jego dziewczyna.

- Ach, a więc to była d z i e w c z y n a - szydzi Price. - Idź, przypatrz się, Bateman - podjudza mnie. - Pozwólcie, że zgadnę. East Village?

- Och Price - mówi kokieteryjnie Evelyn, otwierając butelki z piwem. - Dlaczego nie? Vanden chodzi do Camden, a Stash mieszka w SoHo, tak więc adres się zgadza.

Wychodzę z kuchni, mijam jadalnię, gdzie nakryto już do stołu i zapalono świece z prawdziwego wosku od Żony stojące w świecznikach z czystego srebra od Fortunoffa i wchodzę do salonu. Nie mam pojęcia w co jest ubrany Stash, ponieważ wszystko co nosi jest czarne. Vanden ma zielone pasemka we włosach. Wpatruje się w heavy-metalowy zespół grający w MTV paląc jednocześnie papierosa.

- Ehy - odkaszlnąłem.

Vanden ostrożnie unosi głowę, prawdopodobnie jest zaćpana po czubki włosów. Stash nie porusza się.

- Cześć. Pat Bateman - mówię wyciągając rękę. Zauważyłem swoje odbicie w lustrze wiszącym na ścianie i uśmiecham się radośnie ciesząc się własnym dobrym wyglądem.

Vanden podaje mi dłoń i nic nie mówi. Stash zaczyna wachać swoje palce. Ostre cięcie i znów jestem w kuchni.

- Wywal ją stąd, tylko o to proszę - kipi Price. - Jest naćpana i gapi się w MTV, a ja chciałbym obejrzeć cholerny raport MacNeila/Lehrera.

Evelyn ciągle otwiera duże butelki importowanego piwa i mówi nie na temat: - Musimy szybko zjeść to wszystko, jeśli nie chcemy się otruć.

- Ona ma zielone pasemka we włosach - informuję ich. - I pali.

- Bateman - zaczyna Tim ciągle wpatrując się w Evelyn.

- Tak? - pytam. - Timothy?

- Nie chrzań.

- Och daj spokój Patrickowi - mówi Evelyn - Patrick jest moim chłopcem z sąsiedztwa. Mój Patrick. Nie chrzanisz, prawda kochanie? - Evelyn nie bardzo wie, co się z nią dzieje, ja natomiast ruszam w kierunku barku, by zrobić sobie następnego drinka.

- Chłopiec z sąsiedztwa - Tim uśmiecha się głupio i kiwa głową, a potem nagle zmienia wyraz twarzy i powtarza rozniewany pytanie o szczotkę do ubrań.

Evelyn kończy otwieranie butelek z japońskim piwem i prosi Courtney o przyprowadzenie Stasha i Vanden. - Musimy zjeść to teraz, jeśli nie chcemy się otruć - mruczy wolno poruszając głową, lustrując wzrokiem kuchnię i upewniając się, że o niczym nie zapomniała.

- Nie można ich oderwać od najnowszego video Megadeth - mówi Courtney przed wyjściem.

- Muszę z tobą porozmawiać - zwraca się cło mnie Evelyn.

- O czym? - podchodzę do niej.

- Nie z tobą - mówi i pokazuje na Tima. - Z Price'em.

Tim wpatruje się w nią z wściekłością. Nie mówię nic i patrzę na jego drinka.

- Bądź aniołkiem - mówi do mnie Evelyn - i postaw sushi na stole. Tempu-rajestw kuchence mikrofalowej, a sake właśnie się ugotowało... -jej głos staje się coraz słabszy, wyprowadza Price'a z kuchni.

Zastanawiam się, skąd Evelyn wzięła sushi - tuńczyk, sandacz, makrela, krewetki, węgorz, nawet bonito wyglądają niezwykle świeżo; stos wasabi i kłącza imbiru umieszczone są strategicznie na obrzeżu patery Wiltona - delektuję się własną wiedzą: nie wiem, nie dowiem się i nigdy nie zapytam skąd wzięło się sushi, które postawię na środku szklanego stołu od Żony - prezent od ojca Evelyn; sushi wyglądające jak jakaś tajemnicza orientalna twarz. Gdy stawiam je na stole, zauważam swoje odbicie na jego powierzchni. Moja skóra wydaje się ciemniejsza w świetle świec i z zadowoleniem przyglądam się swojej fryzurze - strzygłem się u Gio w zeszłą środę. Przygotowuję sobie następnego drinka. Martwię się poziomem sodu w sosie sojowym.

Siedzimy we czwórkę przy stole, czekając na Evelyn i Timothy'ego, którzy poszli szukać szczotki do ubrań. Zająłem miejsce u szczytu stołu i piję J&B dużymi łykami. Vanden siedzi po drugiej stronie czytając bez większego zainteresowania jakąś szmatę wydawaną w East Village, która nazywa się Oszusttv<r, zauważam olbrzymi nagłówek: ŚMIERĆ CENTRUM MIASTA.

Stash wbił chińską pałeczkę w kawałek sandacza, który leży samotnie pośrodku jego talerza, niczym jakiś lśniący nadziany na szpilkę owad; pałeczka stoi pionowo. Stash od czasu do czasu przesuwając sushi z jednego końca talerza na drugi używając do tego pałeczki; nie podnosi przy tym głowy, nie patrzy ani na mnie, ani na Vanden czy Courtney, która siedzi obok mnie sącąc śliwkowe wino z kieliszka do szampana.

Evelyn i Timothy wracają jakieś dwadzieścia minut po tym, jak zajęliśmy miejsca przy stole i Evelyn jest tylko trochę zaczerwieniona. Tim patrzy mi prosto w oczy siadając obok, w dłoni trzyma nowego drinka, pochyla się w kierunku mojej twarzy, jak gdyby chciał coś powiedzieć, przyznać się do czegoś, gdy nagle przerywa mu Evelyn: - Źle usiadłeś, Timothy - jej głos zamienia się w szept. -Chłopiec, dziewczynka, chłopiec, dziewczynka. - Wskazuje na puste miejsce obok Vanden. Timothy przenosi wzrok na Evelyn, po czym z ociąganiem siada obok Vanden, która ziewa i przewraca stronę w piśmie.

- No cóż, moi kochani - mówi uśmiechnięta, zadowolona z przygotowanego przez siebie posiłku Evelyn. - Zjadajcie. - Zauważa przebite pałeczką sushi

na talerzu Stasha - który pochyliwszy się nisko szepcze coś do ryby - nerwy zawodzą ją na chwilę, jednak uśmiecha się odważnie i ćwierka: - Komu śliwkowego wina?

Nikt nie odpowiada, dopiero Courtney, która także wpatruje się w talerz Stasha, unosi niepewnie swój kieliszek i mówi siląc się na uśmiech - To... wyborne, Evelyn.

Stash nie odzywa się. Być może nie czuje się najlepiej z nami przy stole, ponieważ w niczym nie przypomina innych mężczyzn w jadalni - nie ma zaczesanych do tyłu włosów, nie ma szelek, okularów w rogowej oprawie, jego ubranie jest czarne i źle dopasowane, nie czuje potrzeby zapalenia i zaciągnięcia się cygarem, prawdopodobnie nie potrafiłby załatwić stolika w Camols, o jego rocznym dochodzie nie ma nawet co wspominać - jednak w jego zachowaniu nie wyczuwa się szacunku, siedzi jak zahipnotyzowany, wpatrując się w lśniący kawałek ryby, i gdy w końcu reszta towarzystwa postanawiają go ignorować, prostuje się nagle i mówi głośno pokazując oskaizycielsko palcem na talerz: - Poruszył się!

Timothy patrzy na niego z tak absolutną pogardą, że trudno mu dorównać, znajduję jednak w sobie dość energii, by zbliżyć się do osiągniętego przez niego efektu. Vanden wydaje się rozbawiona, niestety to samo można powiedzieć o Courtney, którą - jak przypuszczam - bawi ta mała, lecz z drugiej strony czegoś można oczekiwać od osoby, która spotyka się z Luisem Carruthersem. Evelyn uśmiecha się dobrodusznie i mówi: - Och Stash, jesteś niesamowity - a potem pyta zmartwiona: - Tempura? - Evelyn pracuje na kierowniczym stanowisku w firmie zajmującej się obsługą finansową, FYI.

- Poproszę - zwracam się do niej i nakładam sobie kawałek bakłazana z patery, chociaż i tak go nie zjem, ponieważ jest smażony.

Wszyscy idą moim śladem, nakładając sobie porcje i szczęśliwie ignorując Stasha. Przyglądam się Courtney, która żuje i przełyka.

Evelyn próbuje nawiązać rozmowę i po długiej, pełnej znaczenia ciszy, mówi: - Vanden chodzi do Camden.

- Czyżby? - pyta lodowatym tonem Timothy. - Gdzie to jest?

- Vermont - odpowiada Vanden nie unosząc głowy znad pisma. Przenoszę wzrok na Stasha, by sprawdzić, czy podobało mu się zdawkowo

bezczelne kłamstwo Vanden, lecz ten zachowuje się tak, jak gdyby nic nie słyszał, jak gdyby był w zupełnie innym pokoju albo w jakimś punkowym klubie w rynsztokach miasta; co gorsza, reakcja innych jest podobna, martwi mnie to, ponieważ jestem przekonany, że wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę, że Camden jest

w New Hampshire.

- A ty gdzie chodziłaś? - wzdycha Vanden dochodząc wreszcie do wniosku, że nikt nie interesuje się Camden.

- No cóż, chodziłam do Le Rosay - zaczyna Evelyn - a potem do szkoły biznesu w Szwajcarii.

- Mnie także udało się przetrwać szkołę biznesu w Szwajcarii - mówi Courtney. - Byłam jednak w Genewie, natomiast Evelyn w Lozannie.

Vanden rzuca egzemplarz Oszustwa tuż obok Timothy'ego i śmieje się głupkowato, w jakiś mizerny, denerwujący sposób, i chociaż wkurwiłem się nieco tym, że Evelyn pozwala Vanden zachowywać się tak protekcyjnie, zamiast odpłacić jej pięknym za nadobne, whisky rozluźniła moje napięcie do tego stopnia, że nic mnie to nie obchodzi i w ogóle się nie odzywam. Evelyn uważa prawdopodobnie, że Vanden jest słodką, zagubioną, pomyloną artystką. Price nic nie je, podobnie zresztą jak Evelyn; podejrzewam kokainę, choć to wątpliwe. Timothy pociąga duży łyk ze swojego drinka, podnosi Oszustwo ze stołu i zaczyna chichotać.

- Śmierć centrum miasta - mówi, a potem dodaje, pokazując palcem każde słowo tytułu: - Kogo-to-kurwa-obchodzi?

Spodziewam się oczywiście, że Stash podniesie głowę znad talerza, lecz on dalej wpatruje się w samotny kawałek sushi, uśmiechając się do siebie i kiwając głową.

- Hej - mówi Vanden jak gdyby ktoś ją obraził. - T o obchodzi nas.

- Ho ho - dziwi się Tim ostrzegawczo. - T o obchodzi nas? A co powiesz

o masakrach w Sri Lance, kothanie? Czy one też nas obchodzą? Co będzie ze Sri Lanką?

- Aha, chodzi ci o ten nowy klub w Village - Vanden wzrusza ramionami. -Taa, to też nas obchodzi.

Nagle - nie unosząc głowy znad talerza - odzywa się Stash: - Ten klub nazywa się T o n k a. - Wygląda na wkurwionego, chociaż jego głos brzmi płasko

1 cicho; i nie spuszcza oczu z sushi. - Nazywa się Tonka, a nie Sri Lanka. Rozumiesz? Tonka.

Vanden wbija wzrok w podłogę i mówi potulnie: - Aha.

- To znaczy, że nigdy nie słyszałaś o Sri Lance? O tym, że Sikhowie zabijają tam Żydów na tony? - prowokuje dalej Timothy. - Czy t o też nas nie obchodzi?

- Komu zawijaniec Kappamaki? - przerywa mu szczebiotliwie Evelyn unosząc talerz.

- Och, przestań Price - Mówię. - Oprócz Sri Lanki mamy ważniejsze problemy, którymi powinniśmy się martwić. W rzeczy' samej, nasza polityka zagraniczna jest wyjątkowo istotna, jednak tutaj w kraju mamy wiele palących kwestii, które wymagają naszej uwagi.

- Na przykład jakich? - pyta nie odrywając wzroku od Vanden. - A tak przy okazji, dlaczego w moim sosie sojowym pływa kostka lodu?

- No cóż - zaczynam z ociąganiem - globalnie rzecz biorąc, musimy po pierwsze uporać się z apartheidem. Zwolnić tempo wyścigu zbrojeń nuklearnych, zahamować falę terroryzmu i przeciwdziałać głodowi na świecie. Zapewnić sobie skuteczne siły obronne, nie dopuścić do rozprzestrzeniania się komunizmu w Ameryce Łacińskiej, doprowadzić do podpisania paktu pokojowego na Bliskim Wschodzie i zapobiec udziałowi naszych sił zbrojnych w zamorskich konfliktach. Musimy dbać o to, żeby Ameryka była szanowanym, światowym mocarstwem. Nie należy, jak już wspomniałem, zapominać o naszych problemach wewnętrznych, które są równie - jeśli nie bardziej - ważne. A więc lepszym i tańszym długoterminowym systemie opieki nad starszymi, opanowaniu epidemii AIDS i wynalezieniu lekarstwa przeciwko tej strasznej chorobie, oczyszczeniu środowiska z odpadów toksycznych i innych szkodliwych substancji, poprawieniu jakości edukacji na poziomie szkół podstawowych i średnich, usprawnieniu wymiaru sprawiedliwości w celu przeciwdziałania zbrodniom i handlowi narkotykami. Musimy także zadbać o to, aby umożliwić dostęp na wyższe uczelnie młodzieży z klasy średniej i chronić system ubezpieczeń społecznych dla starszych obywateli, a także rozsądnie gospodarować zasobami naturalnymi, zachować dla przyszłych pokoleń obszary nie tknięte działalnością cywilizacyjną człowieka i przeciwdziałać wpływowi na ustawodawstwo frakcji i lobby politycznych.

Wszyscy wpatrują się we mnie z niepokojem, nawet Stash, lecz ja złapałem drugi oddech.

- Jeśli chodzi o gospodarkę, panuje w niej obecnie straszny bałagan. Musimy znaleźć sposób na zduszenie inflacji i zredukowanie deficytu budżetowego. Musimy też zapewnić pracę lub możliwości przekwalifikowania się dla bezrobotnych oraz chronić amerykański rynek pracy przed dumpingowym importem towarów. Musimy doprowadzić do tego, aby Ameryka ponownie stała się liderem w dziedzinie światowej technologii. Nie wolno nam zapominać o propagowaniu rozwoju gospodarczego i rozszerzaniu interesów, a także o jasnym określeniu granicy federalnych podatków dochodowych. Powinniśmy zadbać o tanie kredyty dla małej przedsiębiorczości i kontrolować działania monopolistyczne takie jak połączenia czy przejęcia firm przez duże korporacje.

Słyszając te słowa Price niemal udławił się swoim Absolutem. Usiłuję patrzeć w oczy wszystkich obecnych, szczególnie w oczy Vanden, która - gdyby pozbyła się tych zielonych pasemek, skór i czerni, i może nabrała trochę koloru, zapisała się na aerobik, włożyła bluzkę... może coś od Laury Ashley - mogłaby być ładna. Ale dlaczego sypia ze Stashem, który jest niezdamny, blade, ma złe obcięte włosy i przynajmniej dziesięć funtów nadwagi? Pod jego czarnym podkoszulkiem w ogóle nie widać mięśni.

- Nie wolno nam także ignorować naszych potrzeb socjalnych. Musimy zahamować wykorzystywanie przez niektórych naszego systemu opieki społecznej. Musimy zapewnić pożywienie i schronienie dla bezdomnych i przeciwstawiać się dyskryminacji rasowej, propagować prawa obywatelskie i równouprawnienie ko-

biet. Powinniśmy jednak zmienić ustawę dopuszczającą przerywanie ciąży, tak aby chronić życie poczęte, nie umniejszając jednocześnie prawa kobiet do decydowania o zajściu w ciążę. Musimy również zahamować napływ nielegalnych imigrantów do tego kraju. Powinniśmy popierać powrót tradycyjnych wartości moralnych i ograniczyć pornograficznie przedstawianą seks i przemoc w telewizji, w kinach i w muzyce popularnej, słowem wszędzie. Lecz przede wszystkim, powinniśmy propagować ogólną świadomość społeczną i mniej materialistyczne nastawienie do świata wśród młodzieży.

Skończyłem swojego drinka. Wszyscy wpatrują się we mnie w absolutnym milczeniu, Courtney uśmiecha się i wygląda na zadowoloną. Timothy potrząsa głową w osłupieniu i z niedowierzaniem. Evelyn jest kompletnie zbита z tropu obrotem wypadków, wstaje na chwiejnych nogach i pyta czy ktoś ma ochotę na deser.

- Mam... sorbet - mówi oszołomiona. - Kiwi, carambola, cherimoya, owoc kaktusa, i och... co jeszcze....- Przerywa monotonną przemowę i stoi niczym zombie usiłując przypomnieć sobie ostatni smak. - Ach tak, japońska gruszka.

Nikt się nie odzywa. Tim rzuca mi szybkie spojrzenie. Patrzę na Courtney, a potem przenoszę wzrok na Tima i wreszcie na Evelyn, która odwzajemnia moje spojrzenie, a następnie patrzy zmartwiona na Tima. Ja także wpatruję się w Pri-ce'a, potem w Courtney, a potem znów w Tima, który jeszcze raz rzuca mi spojrzenie, i odpowiada powoli, niezbyt pewnie: - Gruszkę kaktusa.

- O w o c kaktusa - poprawia go Evelyn.

Patrzę podejrzliwie na Courtney i gdy ta mówi: - Cherimoya - rzucam szybko: - Kiwi - a potem Vanden powtarza po mnie: - Kiwi - i tylko Stash mówi szeptem, artykułując wyraźnie każdą sylabę: - Czekoladowe chrupki.

Słyszając to, Evelyn przybiera zmartwiony wyraz twarzy, który niemal natychmiast zostaje zastąpiony maską uśmiechniętej dobroduszości. - Och Stash, wiesz przecież, że nie mam chrupków czekoladowych, choć przyznaję, że sorbet o tym smaku byłby dosyć e g z o t y c z n y. Mówiłam już, że mam cherimoyę, gruszkę kaktusa, carainbolę, to znaczy o w o c kaktusa...

- Wiem, słyszałem, słyszałem - mówi Stash, machając ręką. - Niech to będzie niespodzianką.

- W porządku - odpowiada Evelyn. - Courtney? Zechciałabyś mi pomóc?

- Oczywiście. - Courtney wstaje, a ja przyglądam się jej stukającym obcasom znikającym w kuchni.

- Żadnych cygar, chłopcy - krzyczy Evelyn.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - odpowiada Price wsuwając cygaro z powrotem do kieszeni marynarki.

Stash w dalszym ciągu wpatruje się w sushi z takim napięciem, że zaczynam się o niego martwić i dlatego pytam go, nie ukrywając sarkazmu: - Czy, eee, znów się poruszyło lub coś w tym rodzaju?

Vanden ułożyła uśmiechniętą buzię ze wszystkich kalifornijskich zawijań-ców, jakie udało jej się zgromadzić na talerzu, który podsuwa teraz Stashowi pod nos do inspekcji.

- Rex'? - zwraca się do niego.

- Spokojnie - chrząka Stash.

Wraca Evelyn z sorbetem w kompotierkach z Odeonu i zamkniętą butelką Glenfiddich, która pozostaje zamknięta przez cały czas, gdy jemy.

Courtney musi wyjść wcześniej, ponieważ umówiona jest z Luisem na przyjęciu wydawanym przez firmę w Bedlam, nowym klubie w samym centrum miasta. Stash i Vanden zbierają się zaraz potem, idą "przewalić" coś gdzieś w SoHo. Jestem jedyną osobą, która widziała, jak Stash zabiera kawałek sushi z talerza i chowa go do kieszeni swojej zielonej, skórzanej kurtki lotniczej. Gdy mówię o tym Evelyn, która właśnie pakuje brudne naczynia do automatycznej zmywarki, patrzy na mnie z taką nienawiścią, że zaczynam wątpić, czy uda mi się pójść z nią do łóżka tej nocy. Tak czy inaczej postanawiam zostać. Price też. Leży teraz na dywanie Aubuson z końca osiemnastego wieku i popija espresso z filiżanki Ceralene stojącej na podłodze sypialni Evelyn. Wyciągam się na łóżku pani domu, kładąc głowę na dekoracyjnej poduszce od Jenny B. Goode i tulę do siebie koktajl z soku żurawinowego i Absolutu. Evelyn siedzi przy gotowni czesząc włosy, jej wspaniałe ciało przyobleka zielono-biały, jedwabny peniuar w paski od Ralpho Laurena, ona zaś wpatruje się w swoje odbicie w kryształowym lustrze.

- Czy jestem jedyną osobą, która odnotowała fakt, że Stash traktował sushi... - muszę odkasznąć, lecz zaraz potem podejmuję wątek -...jak zwierzątko domowe?

- Przestań proszę zapraszać tutaj swoich przyjaciół "artystów" - wtrąca się Tim zmęczonym głosem. - Mam dość bycia jedyną osobą przy stole, która nie rozmawiała z mieszkańcami obcych galaktyk.

- Stash to wyjątek - odpowiada Evelyn zajęta oglądaniem wargi, zagubiona w swoim własnym łagodnym pięknie.

- A przypomnij sobie, co działo się w Odeonie - mamrocze Price. Niejasno przychodzi mi na myśl, że nie zostałem zaproszony na artystyczny

obiad w Odeonie. Czyżby Evelyn płaciła za wszystkich? Prawdopodobnie. Nagle wyobrażam sobie roześmianą Evelyn, która mimo rozpaczki w sercu siedzi przy stole pośród gromady przyjaciół Stasha, z których każdy buduje drewniany szałas z frytek albo udaje, że jego wędzony łosoś jest

żywy i przesuwając rybę po stole; lososie rozmawiają ze sobą o "scenie artystycznej" i nowo otwartych galeriach, a przyjaciele Stasha usiłują umieścić je w drewnianych szafach z frytek...

- Przyjmij do wiadomości, że ja także nie rozmawiałam z mieszkańcami odległych galaktyk - mówi Evelyn.

- Nie? A Bateman, twój chłopak, co, on się nie liczy? - Price parska rubasznym śmiechem, ja natomiast rzucam w niego poduszką. Chwyta ją w locie i rzuca we mnie.

- Zostaw Patricka w spokoju. On jest moim chłopcem z sąsiedztwa - zauważa Evelyn wcierając w twarz jakiś krem. - Nie jesteś mieszkańcem odległej galaktyki, prawda kochanie?

- Czy powinienem w ogóle odpowiadać na takie pytania? - wzdygam.

- Och najdroższy - Evelyn robi nadęsaną minę w lustrze i wpatruje się w moje odbicie - ja w i e m, że nie jesteś mieszkańcem odległej galaktyki.

- Co za ulga - mruczę do siebie.

- Nie, ale Stash był wtedy w Odeonie - Price mówi dalej i celowo wpatruje się we mnie. - W Odeonie, słyszysz Bateman?

- Nie, nie był - zaprzecza Evelyn.

- Ależ b y ł, tylko że wtedy nie nazywał się jeszcze Stash. Mówili na niego Podkowa albo Magnes, a może Lego, w każdym razie było to coś równie męskiego - Price kicha. - Zapomniałem.

- Timothy, o co ci chodzi? - pyta Evelyn zmęczonym głosem. - Ja nawet nie usiłuję słuchać tego co mówisz. - Nawilża wacik i przeciąga nim po czole.

- Byliśmy w Odeonie. - Price siada nie bez wysiłku. - I nie pytaj mnie dlaczego, ale wyraźnie pamiętam, jak zamawiał tuńczyka cappuccino.

- Carpaccio - poprawia go Evelyn.

- Nie, Evelyn najdroższa, miłości mojego życia. Wyraźnie pamiętam, jak zamawiał tuńczyka c a p p u c c i n o - powtarza Price patrząc w sufit.

- Powiedział c a r p a c c i o - sprzeciwia się Evelyn przesuwając wacikiem po powiekach.

- C a p p u c c i n o - nie daje za wygraną Price. - Chyba, że ty go poprawiałaś.

- A ty nawet go dzisiaj nie rozpoznałeś - mówi Evelyn.

- Ależ ja go doskonale pamiętam - kontruje Price zwracając się do mnie. - Evelyn opisywała go jako "dobrodusznego kulturystę". Tak mi go przedstawiła, przysięgam.

- Ocli, zamknij się - mówi poirytowana, lecz patrzy na Tiinothy'ego w lustrze i uśmiecha się kokieteryjnie.

- Chodzi mi o to, że mam duże wątpliwości co do tego, czy piszą o Stashu w rubryce towarzyskiej W, co -jak mi się wydawało - b3'io twoim podstawowym kryterium w doborze przyjaciół - mówi Price odwzajemniając jej spojrzenie i śmiejąc się na swój zwierzęcy sposób. Skupiam się na Absolucie z żurawinami, który trzymam w dłoni. Szklanka wygląda tak, jakby nalano do niej rozcieńczonej, wodnistej krwi, a następnie dodano lodu i cytryny do smaku.

- Co dzieje się między Courtney i Luisem? - pytam w nadziei na przerwanie tej wymiany spojrzeń.

- O Boże - jęczy Evelyn, odwracając się do lustra. - Jeśli chodzi o Courtney, to najbardziej potworne już nie jest to, że nie lubi Luisa, lecz to...

- Ze zamknęli jej rachunek u Bergdorta? - woła Price. Wybucham śmiechem. Przybijamy górną piątkę.

- Nie - kontynuuje także rozbawiona Evelyn. - Chodzi o to, że naprawdę zakochała się w swoim pośredniku handlu nieruchomościami. W jakimś małym patafianie z agencji Feathered Nest.

- Courtney może mieć problemy - mówi Tim oglądając swój nowy mani-kiur - lecz na Boga, cóż to jest... V a n d e n?

- Och, nie mówmy już o tym - jęczy Evelyn i zaczyna czesać włosy.

- Vanden jest jak skrzyżowanie... Spółki z o.o. i... zużytego Benettona -mówi Price wyrzucając do góry ręce i zamykając oczy.

- Nie - uśmiecham się usiłując włączyć się do rozmowy. - Zużytego Fiorucci.

- Taaa - zgadza się Tim - chyba masz rację. - Spojrzenie jego otwartych teraz oczu ani na chwilę nie ześlizguje się z ciała Evelyn.

- Timothy, odwal się - mówi Evelyn. - To dziewczyna z Camden. Czegóż jeszcze można się spodziewać?

- O Boże -jęczy Timothy. - Mam już dość słuchania o problemach dziewcząt z C a m d e n: och, mój chłopiec, kocham go, lecz on kocha inną, i tak do niego tęsknię, a on w ogóle nie zwraca na mnie uwagi i blabla i blablabla... Boże, jakież to nudne. Dzieciaki z college'ow. To jest dla nich najważniejsze, prawda? Jeden wielki smutek, dobrze mówię Bateman?

- Taa. najważniejsze. Smutek.

- Widzisz, Bateman zgadza się ze mną - mówi pewny siebie Price.

- Ależ nie zgadza się z tobą. - Evelyn wyciera teraz Kleenexem to, co przedtem wtarła. - Patrick nie jest cyniczny, Timothy. Jest moim chłopcem z sąsiedztwa, prawda kochanie?

- Nie, nie jestem - szepczę do siebie. -Jestem popierdolonym, groźnym psychopata.

-I coś z tego - wzdycha Evelyn. - Z pewnością nie jest najbystrzejszą dziewczyną na świecie.

- Ha! Niedopowiedzenie warte nagrody Nobla - krzyczy Price. - Ale z drugiej strony, Stash nie należy także do najbystrzejszych facetów. Dobrana para. Czy oni nie spotkali się przypadkiem w Klubie złamanych Serc?

- Zostaw ich w spokoju - mówi Evelyn. - Stash jest utalentowany i jestem pewna, że źle oceniasz Vanden.

- Ta dziewczyna... - Price zwraca się do mnie -... posłuchaj, Bateman, ta dziewczyna... Evelyn opowiedziała mi o tym... otóż dziewczyna wypożyczyła ka-setę z filmem Trzy dni Kondoni, ponieważ myślała, że jest to obraz... - Timothy przełyka głośno -... mówiący o "zużywaniu się prezerwatywy".

- Właśnie przyszło mi coś do głowy - rzucam. - Czy rozszyfrowaliśmy już, w jaki sposób Stash - rozumiem, że ma jakieś nazwisko, ale nie mówcie mi, nie chcę wiedzieć - Evelyn, w jaki sposób zarabia na życie?

- Po pierwsze Stash jest bardzo przyzwoity i miły - broni go Evelyn.

- Ależ na rany Chrystusa, ten facet poprosił o sorbet o smaku chrupek c z e-k o l a d o w y c h! - wyje Timothy z niedowierzaniem w głosie. - O czym wy w ogóle m owicie?

Evelyn ignoruje tę uwagę i zdejmuje kolczyki od Tiny Chow. -Jest rzeźbiarzem - mówi zwięźle.

- Gówno prawda - krzyczy Timothy. - Pamiętam, że rozmawiałem z nim w Odeonie... - Price znów zwraca się do mnie -... to wtedy właśnie zamówił tuńczyka cappuccino i jestem przekonany, że gdyby zostawić go tam samego, to wkrótce poprosiłby kelnera o łososa au lait, tak czy inaczej, powiedział mi, że r o b i przyjęcia, co z technicznego punktu widzenia czyni go... nie wiem, poprawcie mnie jeśli się mylę... dostaw c ą. On jest dostawcą! - ryczy Price - a nie żadnym pierdolonym rzeźbiarzem!

- Boże, uspokój się - mówi Evelyn, wcierając w twarz kolejny rodzaj kremu.

- To tak jak gdyby ktoś powiedział, że z zawodu jest p o e t ą - Timothy jest pijany, a ja zaczynam się zastanawiać, kiedy wreszcie opuści pomieszczenie.

- No cóż - zaczyna Evelyn - niektórzy wiedzą, że ja również...

- Ależ ty jesteś pierdolonym edytorem tekstu! - mamrocze Tim. Podchodzi do Evelyn i pochyla się obok niej przyglądając się swemu odbiciu w lustrze.

- Czyżbyś przybierał na wadze, Tim? - pyta z namysłem Evehn. Obserwuje głowę Tima w lustrze i mówi: - Twoja twarz... zaokrągliła się.

Timothy nie ma zamiana pozostać jej dłużny, wacha szyję Evelyn i pyta:

- Cóż to za fascynująca... woń?

- Obsesion. - Evelyn uśmiecha się kokieteryjnie i delikatnie odpycha Ti-inothy'ego. - To O b s e s s i o n. Patricku, zabierz ode mnie swojego przyjaciela. - Nie, nie zaczekaj - mówi Tim, głośno pociągając nosem. - To nie jest Ob-ssesion. To jest... to jest... - nagle jego twarz kurczy się w udawanym przerażeniu - to jest... o mój Boże... to jest Białły bez!

Evelyn milczy przez chwilę zastanawiając się nad kolejnym posunięciem. Jeszcze raz przygląda się głowie Price'a: - Czyżby wypadały ci włosy?

- Evelyn... - mówi Tim -... nie zmieniaj tematu... - Przerywa nagle zakłopotany. -Jeśli już o tym mowa... uważasz, że nałożyłem zbyt dużo żelu? - Ostrożnie przesuwając ręką po włosach.

- Niewykluczone - odpowiada Evelyn. - A teraz bądź tak dobry i usiądź.

- No cóż, przynajmniej nie są zielone i nie strzygę ich sekatorem - mówi Tim przypominając nam kolor włosów Vanden i niewątpliwie tanią, fatalną fryzurę Stasha. Fryzurę, która jest fatalna, ponieważ jest tania.

- Przybierasz na wadze? - pyta Evelyn, tym razem znacznie poważniej.

- Jezu - wykrzykuje Tim i chce się odwrócić obrażony. - Nie, Evelyn.

- Twoja twarz z całą pewnością... zaokrągliła się - powtarza Evelyn. - Nie jest już tak... wyczelowana.

- Nie wierzę w to - znowu Tim.

Przygląda się uważnie swojemu odbiciu. Evelyn w dalszym ciągu czesze włosy, lecz jej ruchy nie są już tak płynne, ponieważ patrzy na Tima, który zauważa jej spojrzenie, po czym wachając się - jak mi się wydaje - liże ją szybko i wybucha śmiechem.

- Używasz samoopalacza? - pyta. - Nie wstydź się, Timowi możesz powiedzieć. Czuję samoopalacz.

- Nie - odpowiada poważnie Evelyn. - To ty go używasz.

- Ależ skąd! Nie mam takiego zwyczaju. Chodzę do solarium, poważnie -przysięga Tim. - To ty go używasz.

- Zmyślasz - broni się nieumiejętnie Evelyn.

- Powtarzam ci... - mówi Tim -...że chodzę do solarium. To znaczy, wiem, że wydaje ci się to dość kosztowne... - Price pokiwał głową. - Czuję samoopalacz...

- Cóż za o d w a g a! Tim przyznał się, że chodzi do solarium! - syczy Evelyn.

- Samoopalacz - chichocze Price.

- Nie mam pojęcia o czym mówisz - Evelyn znów czesze włosy. - Patricku, wyprowadź stąd swojego przyjaciela.

Price opada na kolana, zaczyna wachać gołe nogi Evelyn, która wybucha śmiechem. Cały tężeje.

- O Boże - jęczy Evelyn. - Wynoś się stąd.

-Jesteś jak pomarańcza - chichocze, klęcząc z głową między jej udami. -Wyglądasz jak p o m a r a n c z a.

- Nieprawda - szepcze Evelyn, a jej głos brzmi jak długi jęk bólu rozkoszy.

- Świnia.

Leżąc na łóżku, przyglądając się tym dwójgu. Timothy próbuje wepchnąć głowę pod peniarz od Ralpa Laurena, w miejscu, gdzie zaczyna się łono Evelyn, która odrzuca do tyłu włosy gestem pełnym namiętności i lekko go odpycha, jak rozdokazywane dziecko, a potem uderza delikatnie w plecy szczotką do włosów od Jana Hove'a. Jestem już niemal pewny, że coś ich łączy. Timothy jest jedyną ciekawą osobą, jaką znam.

- Powinieneś już iść - mówi dysząc. Walka dobiegła końca.

Tim podnosi głowę ukazując światu wszystkie zęby w eleganckim uśmiechu.

- Jak sobie pani życzy.

- Dziękuję - mówi Evelyn głosem, w którym domyślam się rozczerwienia. Tim wstaje. - Obiad?Jutro?

- Muszę zapytać mojego chłopca - odpowiada Evelyn uśmiechając się do mnie w lustrze.

- Założysz tę seksowną sukienkę od Anny Klein? - pyta Price kładąc dłonie na jej ramionach i szepcząc coś do jej ucha, które zresztą najpierw obwąchuje. -Bateinana nie zapraszamy. Uśmiecham się dobrodusznie i wstaję z łóżka, po czym wyprowadzam Tima z pokoju.

- Zaczekaj! Moje espresso! - krzyczy.

Evelyn wybucha śmiechem, a potem klaszcze w dłonie, jak gdyby bawiło ją ociąganie, z jakim Price zbiera się do wyjścia.

- Chodź, chłopie - mówię, wypychając go niezbyt delikatnie z sypialni. -Czas zmówić paciorek i do łóżka.

Timowi udaje się jeszcze przesłać jej pocałunek, zanim wypycham go na dobre. Nie odzywa się, gdy doprowadzam go do wyjścia.

Zostaję sam i nalewam sobie brandy do włoskiego kubka w szachownicy. Kiedy wracam do sypialni, Evelyn jest już w łóżku i ogląda Klub Domowych Zakupów w telewizji. Kładę się obok niej i rozluźniam krawat od Armaniego. W końcu - nie patrząc na nią - zadaję jej pytanie: - Dlaczego nie prześpisz się z Price'em?

- O Boże, Patricku - mówi z zamkniętymi oczami. - Dlaczego z Price'em? Z P r i c e'm? - Jakaś nuta w jej głosie każe mi się domyślać, że już dawno się z nim przespała.

- Jest bogaty - rzucam.

- K a ż d y jest bogaty - odpowiada wpatrując się w ekran telewizora.

- Jest przystojny - mówię jej.

- W s z y s c y są przystojni, Patricku - tłumaczy mi jakimś odległym tonem.

- Ma wspaniałe ciało.

- Teraz w s z y s c y mają wspaniałe ciała - mówi.

Stawiam kubek na nocnym stoliku i kładę się na niej. całuję i liżę jej szyję, ona natomiast wpatruje się bez wyrazu w szerokoekranowy, zdalnie sterowany telewizor Panasonic i po chwili ścisza go. Rozwiązuję krawat od Armaniego i kładę jej dłoń na swoim torsie; chcę, żeby poczuła mój twardy jak skała, idealnie zarysowany brzuch, napinam mięśnie i cieszę się, że w pokoju jest jasno, ponieważ pragnę, żeby zauważyła, spiżowe, klasyczne sploty klatki piersiowej.

- Wiesz... - mówi całkiem wyraźnie -...okazało się, że Stash jest nosicielem wirusa AIDS. I... - przerwa; coś na ekranie zwróciło jej uwagę, wzmacnia głośność, a potem znowu ścisza. - I... odniosłam wrażenie, że prześpi się z Vanden dziś w nocy.

- To dobrze - mówię gryząc ją lekko w szyję i kładąc dłoń na jędrnej, chłodnej piersi.

- Jesteś potworem - odpowiada z lekkim podnieceniem i przesuwając ręką po moim szerokim, twardym ramieniu.

- Nie - w/dycham. - Jestem tylko twoim narzeczonym.

Przez piętnaście minut usiłuję odbyć x nią stosunek, w końcu rezygnuję.

Evelyn mówi: - Wiesz, zawsze można czuć się lepiej.

Sięgam po kubek z brandy. Wypijam resztkę. Evelyn jest uzależniona od parnate'u, środka antydepresyjnego. Leżę obok niej i oglądam Klub Domowych Zakupów - szklane lalki, haftowane pluszowe poduszki, lampy w kształcie piłek futbolowych, cyrkonie zamiast diamentów - z wyłączonym głosem. Evelyn zaczyna odpływać.

- Używasz minoxidil? - pyta po jakimś czasie.

- Nie, nie używam - odpowiadam. - Po co miałbym używać?

- Przerzedzają ci się włosy z przodu - mruczy.

- Nieprawda - zaprzeczam niejako wbrew sobie. - Chociaż w zasadzie nie wiem. Mam bardzo gęste włosy i nie mogę stwierdzić, czy zaczynają mi wypadać, co zresztą jest bard/o wątpliwe.

Wracam do siebie, mówię dobranoc portierowi, którego nie rozpoznaję (może to być ktokolwiek), a potem zanurzam się w atmosferę mojego salonu wysoko nad miastem; z rozświetlonej szafy grającej Wurlitzer 1015 (która nie jest tak dobra, jak trudny do nabycia model Wurlitzer 850) stojącej w rogu pokoju, dobiegają dźwięki piosenki "The Lion Sleeps Tonight" śpiewanej przez The Tokens. Onanizuję się myśląc najpierw o Evelyn, potem o Courtney, Vanden, potem znów o Evelyn, lecz gdy zaczyna zbliżać się orgazm - dosyć słaby - wyobrażam sobie niemal gołą modelkę w obcisłym, krótkim podkoszulku, którą widziałem w dzisiejszej reklamie Calvina Kleina.

RANEK

W pierwszych promieniach majowego świtu salon mojego mieszkania wygląda następująco: nad białym, marmurowo-granitowym kominkiem gazowym ze sztucznymi polanami wisi oryginalny David Onica. Jest to portret nagiej kobiety, obraz o wymiarach sześć na cztery stopy, namalowany w stonowanych odcieniach szarości i oliwkowej zieleni, przedstawiający postać siedzącą na szezlongu i oglądającą MTV; w tle widać marsjański krajobraz, połyskującą fiołkowo różową pustynię, na której rozrzucone są martwe, wypatroszone ryby i rozbite tale-

rze, z których jeden - niczym supernowa - unosi się ponad żółtą głową kobiety. Całość oprawiona jest w czarne stalowo-aluminiowe ramy. Naprzeciw obrazu stoi długa, biała, puchowa sofa i trzydziestocalowy, cyfrowy odbiornik telewizyjny To-shiby; jest to model o wysokiej kontrastowości i wysokiej rozdzielczości obrazu, który oprócz tego wyświetla wskazania wideo we wszystkich czterech rogach ekranu - jest to możliwe dzięki zastosowaniu najnowocześniejszej lampy kineskopowej NEC. Wyposażony jest dodatkowo w cyfrowy system efektów specjalnych, takich jak obraz-w-obrazie i podgląd obrazu zatrzymanego; system audio tego odbiornika składa się z wbudowanych stereofonicznych kolumn głośnikowych oraz wbudowanego wzmacniacza o mocy pięciu watów na każdy kanał głośnikowy. Pod telewizorem, w szklanej gablocie umieszczony jest magnetowid kasetowy Toshiba; jest to super szeroko pasmowy odtwarzacz klasy Beta, który ma wbudowane funkcje montażowe, takie jak generator znaków z ośmiostronicową pamięcią oraz szerokopasmowy zapis i odczyt z trzytygodniową pamięcią ośmioprogramową. W każdym rogu pokoju stoi sztormowa lampa halogenowa. Na wszystkich ośmiu oknach sięgających od sufitu do podłogi, umieszczone są cienkie, białe weneckie żaluzje. Przed sofą stoi na dębowych nogach stolicek do kawy, którego blat wykonano ze szkła; mebel nabyłem u Turchina. Na stoliczku, wokół drogich, kryształowych popielniczek (mimo że nie palę) od Fortunoffa, leżą wytworne szklane zwierzątka od Steubena. Obok szafy grającej Wur-litzera stoi czarny, mahoniowy fortepian Baldwina. W całym mieszkaniu podłoga wyłożona jest białym, polerowanym dębem. Po drugiej stronie salonu, obok biurka i stojaka do gazet od Gio Pontiego, stoi kompletna wieża stereo (odtwarzacz płyt kompaktowych, magnetofon kasetowy, tuner, wzmacniacz) Sansui z sześciostopowymi kolumnami głośnikowymi Duntech Sovereign 2001 w brazylijskim palisandrze. Na środku sypialni stoi puchowy futon obramowany dębem. Pod ścianą umieszczony jest trzydziestojednocalowy odbiornik telewizyjny Panasonic o płaskim ekranie i stereofonicznym systemie audio, a pod nim, w szklanej gablocie, znajduje się magnetowid kasetowy Toshiba. Nie jestem pewien, czy cyfrowy budzik Sony wskazuje właściwy czas, siadam więc i spoglądam na mrugający zegar magnetowidu, a następnie podnoszę ze stalowo-szklanej nocnej szafki stojącej przy łóżku klawiszowy telefon od Ettore Sottsass i wybieram numer zegarynki. W jednym z rogów sypialni stoi stalowo-drewniane krzesło wyściełane kremową skórą projektu Erica Marcusa, w drugim modelowane krzesło ze sklejki. Beżowo biały dywan Maud Sienna w czarne kropki pokrywa niemal całą podłogę. Jedna ze ścian ukryta jest za czterema olbrzymimi szafkami z wybielonego mahoniu. Gdy leżę w łóżku, mam na sobie jedwabną piżamę od Ralph Lauren, a gdy wstaję, narzucam na ramiona kaszmirowy szlafrok koloru starej madery, następnie idę do łazienki. Oddając mocz, zastanawiam się nad obrzękniętym obliczem odbijającym się w szkło, za którym znajduje się wiszący nad muszlą plakat baseballowy.

Przebieram się w spodenki bokserskie z monogramem od Ralph Lauren, wciągam sweter treningowy Fair Isle i wsuwam stopy w jedwabne pantofle w groszki od Enrica Hidolina, następnie zawiązuję wokół twarzy plastikową torbę z lodem i rozpoczynam poranne ćwiczenia rozciągające. Po gimnastyce stoję przed chromowo-akrylową umywalką łazienkową Washmobile - która dodatkowo wyposażona jest w miseczkę na mydło, uchwyty przytrzymujące kubki do mycia zębów oraz poręcz służącą jako wieszak do ręczników; całość kupiłem w Hasting Tile jako zestaw, którego będę używał, oczekując na zamówione marmurowe umywalki z Finlandii będące obecnie w stadium piaskowania - i przyglądam się swemu odbiciu z plastikową torbą z lodem na twarzy. Do kubka z nierdzewnej stali nalewam odrobinę Plaxa, płynu przeciwko osadowi kamienia na zębach i płuczę nim usta przez trzydzieści sekund. Następnie wyciskam pastę Rembrandt na szczotkę ze sztucznej skorupy żółwiowej i rozpoczynam mycie zębów (jestem zbyt skacowany by użyć nici dentystycznych, a może czyściłem nimi zęby przed pójściem do łóżka zeszłej nocy?), po czym przepłukuję usta Listerine'a. Oglądam dłonie i poleruję paznokcie szczotką. Zdejmuję torbę z lodem i aplikuję sobie na twarz środek czyszczący pory, a następnie inietowo-ziołową maseczkę kosmetyczną, którą zostawiam na dziesięć minut, oglądając w tym czasie paznokcie u nóg. Wyjmuję emalię do polerowania zębów Probright, której używam niezależnie od szczotki do polerowania Interplak (tej zaś używam niezależnie od normalnej szczotki); Interplak porusza się z szybkością 4200 obrotów na minutę i zmienia kierunek ruchu czterdzieści sześć razy na sekundę.

Dłuższe kępki włosów czyszczą przestrzeń pomiędzy zębami i masują dziąsła, krótsze natomiast szorują same zęby. Po raz kolejny przepłukuję usta, używając Cepacolu. Zmywam maseczkę ścierką do twarzy pachnącą miętą. Mój prysznic wyposażony jest w uniwersalną głowicę działającą we wszystkich kierunkach, która daje się przesuwac w pionie o trzydzieści cali. Prysznic wykonany jest z czarno-złotego australijskiego mosiądzu pociągniętego białą emalią. Pod prysznicem używam najpierw żelu czyszczącego, reagującego z wodą, a następnie płynnego mydła kąpielowego do ciała o zapachu miodowo-migdałowym, a na twarz żelu złuszczonego stary naskórek. Szampon Vidal Sassoon jest wyjątkowo przydatny do pozbywania się warstwy wyschniętego potu, soli, tłuszczu, substancji zatruwających atmosferę i kurzu, które odbierają włosom puszystość i spłaszczają fryzurę, co w efekcie powoduje, że wygląda się starzej. Pomocne mogą być także balsamy - technologia silikonowa pozwala wykorzystać w całej pełni zalety zmiękczenia włosów, bez obawy o spłaszczenie fryzury, co, jak wiadomo, postarza. Podczas weekendów lub przed randkami, używam naturalnego szamponu rewitalizującego Greune, balsamu i odżywki Nutrient Complex. Są to substancje zawierające D-pantenol, witaminę V-com-plex, polisorbit 80 - środek czyszczący włosy oraz naturalne zioła. Podczas tego weekendu mam zamiar wybrać się do Bloomingdale'a albo Bergdorfa i za radą

Evelyn kupić szampon i europejski suplement Foltene przeciwdziałające przerzedzaniu się włosów; środki te zawierają węglowodany, które po zetknięciu z cebulką włosa wzmacniają ją i nadają włosom połysk. Kupię też odżywkę, wzmacniającą włosy Vivagen - nowy produkt firmy Redken - która przeciwdziała odkładaniu się soli mineralnych i przedłuża cykl życiowy włosa. Luis Carruthers polecał mi odżywkę Nutriplexx Aramis, która polepsza krążenie. Po wyjściu spod prysznica i dokładnym wytarciu się ręcznikiem, ponownie wkładam spodenki bokserkie od Ralpha Laurena i przed nałożeniem na twarz kremu do golenia Mousse A Raiser Pour Homines, owijam na dwie minuty policzki i brodę gorącym ręcznikiem, co zmiękcza twarde włoski zarostu. Następnie - jak to mam we zwyczaju - wklepuję w twarz nawilżacz (Clinique - mój ulubiony) i pozwalam mu wsiąkać w skórę przez minutę. Teraz mogę zmyć nawilżacz lub od razu nałożyć na niego krem bez zmywania - najlepiej za pomocą pędzla, który zmiękcza zarost przez uniesienie włosków - co według mnie znacznie ułatwia golenie. Nawilżacz przeciwdziała także zbyt szybkiemu parowaniu wody, a tym samym zmniejsza tarcie między skórą a ostrzem. Zawsze należy pamiętać o tym, aby zmoczyć ostrze ciepłą wodą przed goleniem i golić się zgodnie z kierunkiem wyrastania zarostu, delikatnie naciskając skórę. Bokobrody i brodę zostawia się na koniec, ponieważ włoski są tutaj twardsze i potrzebują więcej czasu na zmięknienie. Po wypłukaniu ostrza i przed przystąpieniem do golenia należy strząsnąć z golarki nadmiar wody. Po goleniu płucze się twarz zimną wodą po to, by usunąć ślady piany. Powinno się uważać płynu po goleniu z niską zawartością alkoholu lub na bazie bezalkoholowej. Nigdy nie wolno stosować na twarz wody kolońskiej, ponieważ wysoka zawartość alkoholu powoduje przesuszanie skóry, co w efekcie postarza. Powinno się używać bezalkoholowego toniku antybakteryjnego, który nakłada się na twarz wacikiem; tonik normalizuje skórę. Ostatnim etapem golenia jest ponowne zastosowanie nawilżacza. Przed użyciem płynu zmięczającego jeszcze raz płucze się twarz wodą: skóra stanie się delikatniejsza i długo zachowa wilgoć. Następnie można użyć żelu Gel Appaisant - także Pour Homines - który doskonale łagodzi skórę. Jeśli twarz wydaje się sucha i złuszczone - co, jak wiadomo, nie sprzyja młodzieńczemu, interesującemu wyglądowi - należy użyć płynu oczyszczającego, który usuwa zniszczony naskórek i odkrywa świeżą skórę (może także wydobyć głębszy kolor opalenizny). Potem można nałożyć odmładzający balsam do powiek (Baume Des Yeux), po czym po raz ostatni zastosować ochronny nawilżacz. Po wytarciu głowy ręcznikiem, stosuję płyn do układania włosów. Suszę lekko włosy, by nadać im kształt i puszystość (nie lubię gdy są zlepione), a następnie spryskuję je jeszcze raz płynem do układania i czeszę szczotką z naturalnego włosa Kent, by wreszcie zaczesać je do tyłu grzebieniem o szerokich zębach. Ponownie wciągam na siebie sweter treningowy Fair Isle i wsuwam stopy "jedwabne pantofle w groszki, po czym idę do salonu i wkładam do odtwarzacza kompaktowego nową płytę Talking Heads. Płyta zaczyna cyfrowo przeskakiwać, więc wyjmuję ją i umieszczam w odtwarzaczu kompaktowy oczyszczacz soczewek laserowych. Soczewki laserowe są bardzo delikatne i podatne na wpływy zanieczyszczeń z kurzu, pyłu, dymu, i wilgoci,

środków zatruwających atmosferę; brudna soczewka niedokładnie odczytuje zapis na płycie kompaktowej, co powoduje nieprawidłowe startowanie odczytu, całkowity brak słyszalności, cyfrowe przeskakiwanie, zmiany szybkości i inne zakłócenia. Oczyszczacz ma szczoteczkę, która automatycznie ustawia się przy soczewce, i gdy płyta zaczyna się obracać, usuwa osady i zanieczyszczenia. Kiedy po raz drugi umieszczam Talking Heads w odtwarzaczu, płyta gra bez zarzutu. Wychodzę do holu i zabieram spod drzwi egzemplarz USA Today, idę z nim do kuchni, gdzie łykam dwa Advile, multiwita-minę i tabletkę potasową, popijam wodą mineralną Evian prosto z butelki, ponieważ służąca - zaawansowana wiekiem Chinka - zapomniała włączyć wczoraj automatyczną zmywarkę. Nalewam sobie soku grapefruitowxytrynow'ego do kieliszka do wina St. Remy od Baccarata. Sprawdzam czas na neonowym zegarze wiszącym nad lodówką, by upewnić się czy mogę bez pośpiechu zjeść śniadanie. Stoję przy ustawionej na środku ladzie kuchennej i jem kiwi oraz pokrojoną w plasterki japońską jabłko-gruszkę (kosztują cztery dolary za sztukę u Gristede'a) z aluminiowych pojemników, które zaprojektowano w Niemczech. Z jednej z przeszkolonych szafek, które zajmują całą ścianę kuchni, wydaję rogalika z otrąb, torebeczkę z bezteinową herbatką ziołową i pudełko z kaszką z otrąb owsianych. Moje szafki kuchenne stanowią całość z półkami z nierdzewnej stali, przeszklone są szkłem zbrojonym drutem, a ściany boczne wykonano z metalu o kolorze ciemnoszaro-niebieskim. Po wyjęciu rogalika z kuchenki mikrofalowej, zjadam jedną połowę posmarowaną lekko masłem jabłkowym. Potem zabieram się do kaszki z owsianych otrąb z kielkami pszenicy i mlekiem sojowym; następna butelka wody mineralnej Evian i mała filiżanka bezteinowej herbatki kończą moje śniadanie. Obok piekarnika do chleba Panasonic i perkolatora do kawy Salton Pop-Up stoi srebrny ekspres Cremina (to dziwne, ale ciągle jest jeszcze ciepły), który kupiłem u Hammachera Schlemmera (żaroodporną filiżanką z nierdzewnej stali oraz spodeczek i łyżeczka - stanowiące całość z ekspresem - stoją brudne obok zlewu). Tuż obok ekspresu znajduje się kuchenka mikrofalowa Sharp model R-1810A Carousel II, z obracającym się talerzem, którego używam do •podgrzania drugiej połówki rogalika. Dalej stoi toster Salton Sonata, beztłuszczowy opiekacz Cuisinart Little Pro, sokowirówka Acme Supreme Juicerator i mikser Cordially Yours, obok zaś znajduje się ciśnieniowy czajnik z nierdzewnej stali o pojemności półtora litra, który gwizdże "Tea For Two", gdy gotuje się w nim woda; nalewam z niego kolejną filiżankę herbaty bezteinowej o smaku jabłkowo-cynamonowym. Przez długą chwilę wpatruję się w elektryczny nóż Black and Decker Handy Knife leżący na ladzie obok zlewozmywaka i włączony do prądu:

jest to narzędzie służące do krojenia i dzielenia, z dodatkowymi ostrzami - ostrzem ząbkowanym, ostrzem muszelkowym i rączką z wymiennymi akumulatorkami. Garnitur, który dzisiaj włożę, pochodzi od Alana Flussera. Jest to typowy pofałdowany garnitur z lat osiemdziesiątych, będący unowocześnioną wersją stylu lat trzydziestych. Najciekawsza odmiana tego stylu charakteryzuje się poszerzonymi naturalnymi ramionami, pełnym przodem i rozciętymi plecami. Miętko wycięte klapy powinny mieć szerokość czterech cali, róg klapy powinien znajdować się w trzech czwartych jej długości w kierunku ramion. Prawidłowo uszyte ostro zakończone klapy garnituru dwurzędowego są uważane za bardziej eleganckie niż klapy z wycięciem. Nisko umieszczone kieszenie marynarki posiadają klapy z podwójnym wzorem motylkowym: ponad klapy znajduje się nacięcie ozdobione z każdej strony płaskim, wąskim kawałkiem materiału. Cztery guziki tworzą nisko umieszczony kwadrat, ponad którym - w miejscu przecięcia klapy - znajdują się jeszcze dwa guziki. Spodnie mają zakładki i są mocno wcięte, tak aby stanowiły jedną linię z szeroką marynarką. Poszerzony pas jest nieco wyższy z przodu. Umieszczone pośrodku pleców podkładki do szelek sprawiają, że spodnie są dobrze dopasowane z tyłu. Nakrapiany jedwabny krawat został zaprojektowany przez Valentina Couture. Wkładam nogi w krokodylowe pantofle od A. Testoniego. Ubieram się mając włączony telewizor. Oglądam The Patty Winters Show. Dzisiejszymi gośćmi są kobiety o wielu osobowościach. Na ekranie ukazuje się starsza pani z nadwagą. Patty pyta zza kadru: - Czy to jest schizofrenia? O co w tym chodzi? Powiedz nam.

- Nie, och nie. Osoby o wielu osobowościach nie są schizofrenikami - mówi kobieta potrząsając głową. - My nie jesteśmy niebezpieczni.

- No cóż - zaczyna Patty stojąc pośród publiczności z mikrofonem w dłoni. - Kim byłeś w zeszłym miesiącu?

- Przez większą część miesiąca nazywałam się Polly - mówi kobieta.

I Ijęcie publiczności: gospodyni domowa ze zmartwioną twarzą - zanim zorientowała się, że jest w monitorze, następne ujęcie bohaterki programu.

- No cóż - ciągnie Patty. - Kim jesteś teraz?

- Teraz... - zaczyna kobieta głosem tak zmęczonym, jak gdyby miała dosyć pytań, jak gdyby odpowiadała na nie już tysiące razy i nigdy nie spotkała się ze zrozumieniem. - Teraz ... w tym miesiącu jestem... kotletem baranim. Przeważnie... jestem kotletem baranim.

Długa pauza. Kamera pokazuje zbliżenie zaszokowanej gospodyni domo-wej, która potrząsa głową. Inna gospodyni domowa szepcze jej coś na ucho.

Włożyłem dzisiaj krokodylowe pantofle od A. Testoniego.

Wyjmuję płaszcz przeciwdeszczowy z garderoby w hollu i znajduję w niej szalik Burberry oraz pasującą do niego kurtkę z wyszytym wielorybem (coś, co mogłoby nosić dziecko), pokrytą jakąś substancją, która wygląda jak wyschnięty

swop czekoladowy. Z przodu kurtki widnieje duża plama, ciemniejsza przy kołnierzu. Zjeżdżam windą na dół, nakręcając jednocześnie swojego Rolexa poprzez delikatne potrząsanie ręką. Mówię dzień dobry portierowi, wychodzę na dwór, zatrzymuję taksówkę i jadę do centrum na Wall Street.

U HARRY'EGO

Idziemy z Price'em Hanover Street. Zapada zmrok, a my -jak gdyby kierował nami radar - maszerujemy w milczeniu do baru U Harry'ego. Odkąd wyszliśmy z P & P, Timothy nie wyrzekł ani słowa. Nie skomentował nawet obrzydliwego widoku, jaki stanowił włóczęga skurczony pod śmietnikiem przy Stone Street, chociaż nie omieszkiał zagwizdać ponuro niczym wilk na przechodzącą kobietę -wielkie cycki, blondynka, wspaniały tyłek, pantofle na wysokim obcasie - która szła w kierunku Water Street. Price jest chyba zdenerwowany i poirytowany, ale ja nie zamierzam go pytać, czy coś jest nie w porządku. Ubrany jest w lniany garnitur od Canali Milano, bawełnianą koszulę od Ike'a Behara, jedwabny krawat od Billa Blassa i sznurowane, skórzane półbuty ze wzmacnianym czubkiem od Brooks Brothers. Ja natomiast mam na sobie lekki lniany garnitur z pofałdowanymi spodniami, bawełnianą koszulę, nakrapiany, jedwabny krawat - wszystko zaprojektowane przez Valentina Couture - i skórzane, dziurkowane półbuty ze wzmacnianym czubkiem od Allen-Edmonda. Gdy wchodzimy do Harry'ego, zauważamy Davida Van Pattena i Craiga McDermotta siedzących z przodu przy stoliku. Van Patten ubrany jest w dwurzędową sportową marynarkę z wełny i jedwabiu, jedwabno-wełniane spodnie z kontrafałdami i zapinanym na guziki rozporkiem - całość od Mario Valentina - bawełnianą koszulę od Gitman Brothers. McDermott ma na sobie przetykaną lnem marynarkę i spodnie z zakładkami, bawełniano-lnianą koszulę z obciążniętymi guzikami od Basile'a, jedwabny krawat od Josepha Abboucla i strusiowe pantofle od Susan Bennis Warrena Edwardsa. Van Patten i McDermott pochylają się nad stołem i piszą coś na papierowej serwetce, obok stoi szklaneczka szkockiej i martini. Machają do nas. Price rzuca swoją skórzaną dyplomatkę Turni na puste krzesło i idzie do baru. Wołam do niego zamawiając J&B z lodem, a potem siadam z Van Pattenem i McDermot-tem. - Cześć Bateman - mówi Craig głosem, który sugeruje, że wypił już dziś niejedno martini. - Czy można nosić półbuty z kutasikami do garnituru, w jakim chodzisz do pracy? Nie patrz na mnie jak na wariata.

- O kurwa, nie pytaj Batemana - jęczy Van Patten wymachując złotym piórem Cross i pociągając z roztargnieniem martini.

- Van Patten? - mówi Craig.

- Taa?

McDermott waha się, a potem mówi beznamiętnym głosem: - Zamknij się.

- O co wam chodzi, jajcarze? - pytam i zauważam Luisa Carruthersa stojącego przy barze obok Price'a, który całkowicie go ignoruje. Carruthers nie jest najlepiej ubrany: ma na sobie dwurzędowy garnitur z wełny z czterema guzikami

- chyba od Chapsa - bawełnianą koszulę w paski i jedwabną muszkę oraz okulary w rogowej oprawie od Olivera Peoplesa.

- Bateman: wysyłamy pytania do rubryki porad w Good Quality- zaczyna Van Patten.
Luis zauważa mnie, uśmiecha się słabo, a potem -jeśli mnie wzrok nie myli
- oblewa się rumieńcem i odwraca do baru. Barmani - nie wiedzieć czemu -zawsze ignorują Luisa.
- Założyliśmy się, który z nas pierwszy znajdzie się w rubryce pytań i odpowiedzi. Spodziewam się wygrać. Co o tym sądzisz? - nagabuje mnie McDermott.
- O c z y m? - pytam poirytowany.
- Pantofle z kutasikami, koniobijco - mówi.
- No cóż, chłopcy... - ostrożnie odmierzam słowa. - Półbuty z kutasikami, jak uczy tradycja, nie należą do obuwia eleganckiego... - Spoglądam na Price'a, który miał mi przynieść tak bardzo potrzebnego drinka. Tim ociera się o Luisa wyciągającego do niego rękę. Price uśmiecha się, mówi coś i idzie przed siebie do naszego stołu. Luis po raz kolejny usiłuje przywołać barmana i po raz kolejny odnosi porażkę.
- Lecz zostały zaakceptowane, ponieważ są obecnie bardzo popularne, prawda? - pyta entuzjastycznie Craig.
Taa - kiwam głową. - Pod warunkiem, że są czarne i uszyte z kurdybanu. Wtedy wszystko jest okay.
- A brązowe? - pyta podejrzliwie Van Patten.
Zastanawiam się przez chwilę, a potem mówię: - Za bardzo sportowe do garnituru, w jakim się chodzi do pracy.
- O czym gadacie, pedały? - pyta Price. Wręcza mi drinka i siada krzyżując nogi.
- W porządku, w porządku, w porządku - mówi Van Patten. - A teraz mnje pytanie. Składa się z dwóch części... - przerywa dramatycznie - część pierwsza: czy zaokrąglone kołnierzyki są zbyt eleganckie, czy zbyt niechlujne? Część druga: jaki węzeł na krawacie wygląda z nimi najlepiej?
Rozkojarzony Price, w którego głosie ciągle słyszeć napięcie, odpowiada szybko i zdecydowanie - jego wyraźnie artykułowane słowa wybijają się ponad barowy hałas: - Zaokrąglone kołnierzyki mają wszechstronne zastosowanie, nadają się zarówno do garniturów, jak i sportowych marynarek. Jeśli chcemy wyglądać elegancko, kołnierzyk powinien być wykrochmalony. Przy szczególnych okazjach, należy używać spinki. - Przerywa i wzdycha, być może zauważył kogoś. Odwracam się, by sprawdzić, lecz Price już mówi dalej: -jeśli nosimy zaokrąglony kołnierzyk do blezera, kołnierzyk powinien wyglądać miękko i może być spięty spinką albo nie. Ponieważ zaokrąglony kołnierzyk tradycyjnie łączy się z prywatnymi szkołami średnimi, najlepiej jest zrównoważyć go relatywnie małym, czterospłotowym węzłem krawata - Tim sączy martini i przekłada nogi. - następne pytanie?
- Postawcie mu drinka - mówi McDermott wyraźnie zafascynowany.
- Price? - odzywa się Van Patten.
- Tak? - odpowiada Price rozglądając się po barze.
- Jesteś bezcenny.
- Słuchajcie - pytam - gdzie jemy obiad?
- Wziąłem ze sobą Zagata, któremu można zaufać - mówi Van Patten wyciągając z kieszeni długą, karmazynową broszurę, którą macha przed oczami Timothy'ego.
- Hura - mówi oschle Price.
- Co chcemy zjeść? - to ja.
- Coś blond z dużymi cyckami - Price.
- Co powiecie na salvadorskie bistro? - McDermott.
- Posłuchajcie, po obiedzie idziemy do Tunelu, więc trzeba wybrać coś w pobliżu - Van Patten.
- O kurwa - zaczyna McDermott. - Idziemy do Tunelu? W zeszłym tygodniu poderwałem tam tę dupę z Vassar...
- O Boże, tylko nie to - jęczy Van Patten.
- Masz jakiś problem? - odszczekuje McDermott.
- Byłem t a m. Nie chcę po raz setny słuchać tej samej historii - mówi Van Patten.

- Nigdy nie mówiłem co stało się p ó ż n i e j - zauważa McDermott unosząc brwi.

- Hej, kiedy tam byliście, chłopcy? - pytam. - Dlaczego j a nie zostałem zaproszony?

- Byłeś wtedy na tym pojebanym r e j s i e. A teraz zamknijcie się i posłuchajcie. No więc, podrywam tę dupę z Vassar w Tunelu, okay? - napalona jak cholera, wielkie cycki, niesamowite nogi, prawdziwy mały laskojad - kupuję jej wiśniówkę z szampanem, a ona ma akurat przerwę semestralną i dlatego przyjechała do miasta, mówiąc szczerze o mało mnie nie zwałała w Sali Kryształowej, no więc zabieram ją do siebie.

- Hej poczekaj - przerywam mu. - Czy mógłbym się dowiedzieć, co robi P a m e l a w tym czasie?

Craig krzywi się. - Odpierdol się. Ja mówię o obciążaniu laski, Bateman. Mam ze sobą dupę, która właśnie ma mi...

- Nie chcę tego słyszeć - krzyczy Van Patten zasłaniając dłońmi uszy. - On za chwile powie coś obrzydliwego.

- Ty hipokryto - oburza się McDermott. - Posłuchaj, nie mam zamiaru kupować z tobą mieszkania ani spędzać wakacji na Saint Bart's. Mówię o dupie i o tym, że chcę posiedzieć na jej twarzy przez jakieś trzydzieści do czterdziestu minut...

Rzucam w niego plastikowym mieszadełkiem do koktajli.

- Tak czy inaczej, jesteście u mnie w domu i teraz posłuchajcie... - przesuwa się bliżej stołu - ...wypiła już tyle szampana, że zwałiłoby to z nóg pierdolonego nosorożca, i teraz.

- Pozwoliła ci się wyjechać bez kondoma? - pyta jeden z nas. McDermott przewraca oczami. - To jest dziewczyna z Vassar. Nie urodziła się w Q u e e n s.

Price klepie mnie w ramię. - Co on chciał przez to powiedzieć?

- Okay, słuchajcie - mówi McDermott. - Ona... jesteście gotowi? - robi dramatyczną przerwę - zgodziła się tylko na zwalenie mi konia, i teraz uważajcie... zrobiła to nie zdejmując r ę k a w i c z k i. - McDermott opada na krzesło i sący drinka, zadowolony i pewny swego.

Zastanawiam się nad tym poważnie. Nikt nie wyśmiewa rewelacji Craiga ani nie wyszydza jego mało agresywnego podejścia do dupy. Nikt się nie odzywa., lecz wszyscy myślimy o tym samym: Nigdy nie podrywaj dziewczyny z Vassar.

- Mogłeś wyjąć jakąś dupę z Camden - mówi Van Patten dochodząc do siebie po opowieści McDermotta.

- Wspaniały pomysł - wtrącam się. - Równie dobrze mogłeś wyjąć jakąś dupę, która uważa, że w porządku jest pierdolić się z bratem.

- Taa, dupy z Camden myślą, że AIDS to nowy zespół z Anglii - oznajmia Price.

- Gdzie jemy obiad? - pyta Van Patten wpatrując się bez zaciekawienia w gryzmoły na serwetce. - Dokąd kurwa idziemy?

- Śmieszne, ale dziewczynom wydaje się, że facetów obchodzą takie rzeczy jak choroby, czy coś w tym guście - mówi po chwili Van Patten kręcąc głową.

- Nigdy już nie założę pierdolonego kondoma - stwierdza McDermott.

- Czytałem taki artykuł i nawet zrobiłem z niego ksero - zaczyna Van Patten. - Napisali tam, że prawdopodobieństwo zachorowania wynosi zero przecinek zero zero zero pięć procenta czy coś takiego i że w zasadzie nie jest istotne, czy walisz kurwę, zakonnicę czy pijaczkę.

- Faceci tacy jak my, nie mogą tego złapać.

- B i a l i faceci.

40

- Ta dziewczyna przez cały czas miała jakąś kurewską rękawiczkę? - pyta z niedowierzaniem Price.

- R ę k a w i c z k ę? Jezus, dlaczego sam nie zwałiłeś sobie konia?

- Posłuchajcie: "Komu bije koń"? - mówi Van Patten. - Faulkner.

- Gdzieś ty chodził do szkoły? - pyta Price. - Na Alasce?

- Panowie - oznajmiam. - Spójrzcie, kto nadchodzi.

- Kto? - Price'owi nie chce się odwrócić głowy.

- Podaję wskazówkę - mówię. - Najbardziej szczywany lis od Drexela Burnhama Lamberta.

- Connolly? - zgaduje Price.

- Czołem Preston - witam nadchodzącego i podaję mu ręką.

- Panowie - mówi Preston zatrzymując się obok stołu i kiwając każdemu głową. - Przykro mi, ale nie będę mógł wybrać się dzisiaj z wami na obiad. - Ubrany jest w dwurzędowy garnitur od Alexandra Juliana, bawełnianą koszulę i jedwabny krawat od Perry'ego Ellisa. Pochyla się, opierając rękę na moim krześle. - Wybaczcie, -/E muszę odwołać nasze spotkanie, ale mam pewne zobowiązania, sami rozumiecie.

Price patrzy na mnie z wyrzutem i szepcze: - Czy był zaproszony? Wzruszam ramionami i kończę resztkę J&B.

- A co robiłeś wczoraj? - pyta McDermott, a potem dodaje: - Ładny materiał.

- Kogo wrobił wczoraj? - poprawia Van Patten.

- Nie, nie - oburza się Preston. - Wieczór spędziłem bardzo porządnie w niezwykle szacownym towarzystwie. Żadnych dup, żadnego walenia, żadnych napojów wysokowych. Byłem w rosyjskiej herbaciarni z Alexandra i jej rodzicami. Wiecie, że Alexandra mówi do swojego ojca "Billy", macie pojęcie? Jestem tak kurewsko zmęczony, a wypilem tylko jedną Stoliczną. - Zdejmuje okulary (oczywiście Oliver Peoples) i ziewa, a potem wyciera szklą chusteczką od Armaniego. - Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że ten rąbnięty, prawosławny kelner z herbaciarni dodał wczoraj LSD do barszczu. Jestem tak kurewsko zmęczony.

- Co robisz dalej? - pyta Price bez cienia zainteresowania.

- Muszę oddać kasety, potem wietnamska restauracja z Alexandra, jakiś musical na Broadwayu, coś brytyjskiego - odpowiada Preston rozglądając się po sali.

- Hej, Preston - mówi Van Patten. - Wysyłamy pytania do rubryki porad GQ. Masz jakieś?

- O tak, mam - kiwa głową. - Okay, no więc, gdy zakładasz smoking, jak zabezpiecza się przód koszuli przed podjeżdżaniem do góry?

Van Patten i McDermott siedzą cicho przez całą minutę. Wreszcie odzywa się Craig, którego zmarszczone czoło świadczy o głębokiej zadumie: - Tak, to jest dobre pytanie.

- Hej, Price - mówi Preston. - Masz jakieś pytanie?

- Taa - wydycha Price. - Jeśli ma się przyjaciół kretyńców, to czy jest przestępstwem, przewinieniem czy może aktem łaski odstrzelenie im popierdolonych głów za pomocą magnum kaliber trzydzieści osiem?

- To się nie nadaje do GQ - mówi McDermott. - Spróbuj w Żołnierzu Fortuny, może ci odpowiedzą.

- Albo w Targowisku Próżności- Van Patten.

- Kto to jest? - pyta Price patrząc w stronę baru. - Reed Robinson? A tak nawiasem mówiąc, Preston, koszula smokingowa ma z przodu specjalną patkę z dziurką, natomiast przy spodniach jest guzik, który pasuje do tej dziurki. Zakładając koszulę do smokingu, musisz upewnić się, czy zaprasowane na sztywno fałdy z przodu koszuli nie sięgają poniżej pasa spodni, w przeciwnym razie pas podjedzie do góry, gdy usiądziesz, czy ten kutas przy barze to Reed Robinson? Cholernie jest do niego podobny.

Preston - zaszokowany wiedzą Price'a - odwraca się powoli i nie prostując pleców, zakłada okulary i patrzy w kierunku baru. - Xie, to Nigel Morrison.

- Ach tak - wykrzykując Price. - Jeden z tych młodych angielskich pedałów, którzy są na praktyce u...?

- Skąd wiesz, że jest pedałem? - pytam.

- Oni wszyscy są pedałami - wzrusza ramionami Price. - Anglicy.

- Skąd ta pewność, Timothy? - Van Patten szczerzy zęby.

- Widziałem go, jak walił w dupę Batemana w kiblu u Morgana Stanleya - odpowiada Price.

Wzdycham i pytam Prestona: - U kogo Morrison ma praktykę?

- Zapomniałem - mówi Preston drapiąc się w głowę. - U Lazarda?

- Mów? - naciska go McDermott. - W Pierwszym Bostońskim? U Gold-mana?

- Nie wiem - mówi Preston. - Może u Drexela? Słuchajcie, on jest przecież tylko asystentem analityka finansowego jakiejs korporacji, a jego wstrętna dziewczyna z czarnymi zębami zajmuje się wrogimi przejęciami w jakiejs śmierdzącej szczurzej norze.

- Gdzie jemy? - pytam tracąc cierpliwość. - Musimy zrobić rezerwację. Nie mam zamiaru stać przy jakimś pierdolonym barze.

- W co on się kurwa ubrał? - pyta sam siebie Preston patrząc na Morriso-na. - Garnitur w szkocką kratę i koszula w s z a c h o w n i c ę i'

- To nie jest Morrison - mówi Price.

- To kto w takim razie? - pyta Preston zdejmując okulary.

- Paul Owen - odpowiada Price.

- To nie jest Paul Owen - mówię. - Paul Owen jest po drugiej stronie baru. O tam. Owen stoi przy barze ubrany w dwurzędowy, wełniany garnitur.

- Paul obsługuje rachunek Fishera - mówi ktoś.

- Szczęśliwy skurwysyn - mruczy ktoś inny.

- Szczęśliwy żydowski skurwysyn - dodaje Preston. -Jezu, Preston - mówię. - Co to ma do rzeczy?

- Słuchajcie, widziałem, jak ten skurwysyn siedział u siebie w biurze i rozmawiał przez telefon z członkami rady nadzorczej kręcąc pierdoloną meno-rą. A w grudniu przyniósł do biura krzaczki Chanuka - mówi poruszony nagle Preston.

- Kręci się dreidel, Preston - mówię spokojnie. - Dreidel, nie menorę. Zapamiętaj.

- Boże, Bateman, czy chcesz, Jebym poszedł do baru i poprosił Freddy'ego o usmażenie ci jakichś pierdolonych placków kartoflanych? - pyta Preston zaniepokojony nie na żarty. - Może jakieś... l a t k e s'?

- Nie - odpowiadam. - Chcę tylko, żebyś skończył z tymi antysemitkami komentarzami.

- Głos rozsądku - Price pochyla się i klepie mnie w plecy. - Chłopiec z sąsiedztwa.

- Taa, chłopiec z sąsiedztwa, który wedle ciebie uprawiał sodomie z jakimś brytyjskim asystentem analityka finansowego - mówię ironicznie.

- Powiedziałem, że jesteś głosem rozsądku - zauważa Price. - Nie mówiłem, żenię jesteś homoseksualistą.

- Albo, że ktoś cię tutaj trzyma - dodaje Preston.

- Doprawdy? - mówię patrząc prosto w oczy Price'a. - Zapytaj Meredith, czy jestem homoseksualistą. Może ci odpowie, jeśli akurat nie będzie trzymała mojego chuja w ustach.

- Meredith jebie się z p e d a ł a m i - wyjaśnia Price nie mrugnawszy okiem. - Dlatego ją zostawiam.

- Zaczekajcie, opowiem wam kawał, chłopcy. Posłuchajcie... - mówi Preston zacierając ręce.

- Preston - zaczyna Price - najlepszym kawałem jest twoja obecność przy naszym stole. Doskonale wiesz, ŻE n i k t nie zapraszał cię na obiad. Nawiasem mówiąc, ładna marynarka. Co prawda nie pasuje do spodni, ale ładna.

- Price, ty skurwysynu, jesteś tak kurewsko złośliwy, że dostaję wysypki -odpowiada roześmiany Preston. - Tak czy inaczej, posłuchajcie: JFK spotyka na przyjęciu Pearl Bailey i zaprasza ją do Białego Domu, ponieważ chce ją wyruchać. No więc pierdolą się i JFK idzie spać i... - Preston przerywa - ... o cholera, co było dalej... aha, no więc Pearl Bailey budzi go i mówi panie prezydencie: chcę się dalej jebać, a JFK na to, że idzie spać, ale za pół go..., nie, zaczekajcie... - Preston znowu przerywa nieco zmieszany - ... nie, za godzinę..., nie, za pół godziny ma go obudzić, to wtedy znów jej dogodzi, tylko że podczas stosunku ma trzymać jedną rękę na jego jajach, a drugą na chuju, a ona mówi okay, ale dlaczego mam trzymać jedną rękę na

chuju a drugą... a drugą na jajach... i... - Preston patrzy na Van Patten, który gryzmoli coś leniwie na serwetce. - Hej, Van Patten, słuchasz czy nie?

- S ł u c h a m - odpowiada poirytowany Van Patten. - Mów dalej. Skończ ten kawał. Jedna ręka na chuju, druga na jajach, i co?

Luis Carruthers przy barze ciągle czeka na drinka. Gdy teraz patrzę na niego, wydaje mi się, że jedwabna muszka Luisajest od Agnes B., wszystko jest jakieś rozmazane.

-Ja nie słucham - mówi Price.

- A prezydent mówi... -jąka się Preston i milknie na długą chwilę. Przez cały czas patrzy na mnie.

- Nie gap się na mnie - mówię. - To nie ja opowiadałam kawał.

- I prezydent mówi... Mam pustkę w głowie.

- I to jest dowcip? Mam pustkę w głowie? - pyta McDermott.

- No więc mów, eee, że... - Preston zasłania oczy ręką i myśli. - Cholera, nie mogę uwierzyć, że zapomniałem...

- W s p a n i a l e, Preston - wydycha Price. - Z ciebie jest kawał smutnego skurwysyna.

- "Mam pustkę w głowie"? - pyta mnie Ciaig. - Nic nie rozumiem. -Już mam, już mam, już mam - krzyczy Preston. - Przypomniałem sobie,

posłuchajcie: no więc prezydent mówi, masz. trzymać ręce, tak jak ci powiedziałem, bo jak ostatnio waliłem Murzynkę, to mi ukradła portfel - Preston zaczyna chichotać. Po chwili dołącza do niego reszta towarzystwa przy stole, oprócz mnie.

- No, na tym właśnie polega dowcip - mówi dumny z siebie Preston, a w jego głosie słychać ulgę. Van Patten przybija z nim górną piątkę. Nawet Price wybucha śmiechem.

- Chryste - mówię. - To potworne.

- Dlaczego? - pyta Preston. - To jest śmieszne. H-u-m-o-r.

- Tak jest, Bateman - mówi McDermott. - Rozchmurz się.

- Och, zapomniałem - wtrąca się Price. - Starsza siostra Batemana chodziła kiedyś z Czarną Panterą. A tak w ogóle, co ci się nie podoba w tym kawale?

- Nie jest śmieszny - mówię. -Jest rasistowski.

- Bateman, z ciebie jest kawał ponurego skurwysyna - mówi Preston. -Powinieneś przestać czytać biografie Teda Bundy'ego. - Wstaje i spogląda na swojego Rolexa. - Posłuchajcie, panowie. Spadam. Zobaczymy się jutro.

- Taa, w piekle - mówi Van Patten szturchając mnie.

Preston pochyla się przed odejściem. - Bo jak ostatnio waliłem Murzynkę, to mi ukradła portfel.

- Rozumiem, rozumiem - mówię odpychając go.

- I pamiętajcie chłopcy: Niewiele rzeczy sprawdza się w życiu tak, jak Kenwood. - Odchodzi.

- Yabba-dabba-do - krzyczy Van Patten.

- Hej, czy wiecie, że jaskiniowcy mieli więcej tkanki włóknistej, niż my?

PASTELE

Chce mi się płakać, gdy dojeżdżamy do Pasteli. Jesteśmy święcie przekonani, że restauracja będzie pełna, lecz o dziwo dostajemy dobry stół, a całe moje jestestwo ogarnia niewymowna radość. McDermott zna kierownika sali w Pastelach i mimo że rezerwowaliśmy stolik kilka minut temu z taksówki, gdy wchodzimy do środka natychmiast prowadzą nas przez zatłoczony bar do różowej, jasno oświetlonej głównej sali jadalnej, gdzie siadamy we wspianej przegrodzie na cztery osoby i to w dodatku z przodu. Załatwienie restauracji w Pastelach graniczy niemal z cudem i wszyscy - Van Patten, ja i Price - podziwiamy dzielność McDer-motta w walce o stół. Może nawet zazdrościmy mu koneksji. Po wyjściu od Harry'ego zapakowaliśmy się do taksówki na Water Street i dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że nikt nie załatwił rezerwacji - gdziekolwiek. Rozpoczęliśmy debatę nad zaletami nowego kalifornijsko-sycylijskiego bistro na Upper East Side, a moje przerażenie było tak wielkie, że o mało nie porwałem na strzępy przewodnika Zagata. Po jakimś czasie zgodziliśmy się wszyscy na Pastele. Co prawda, Price miał pewne opory, ale w końcu wzruszył ramionami i powiedział, że gównu go to obchodzi, użyliśmy więc portafonu, żeby zarezerwować stół. Timothy nałożył na uszy słuchawki walkmana i podkręcił głośność do tego stopnia, że pomimo półotwartych okien i wpadającego przez nie ulicznego hałasu, wyraźnie

słyszeliśmy koncert Vivaldiego. Van Patten i McDermott stroili sobie wulgarne żarty z rozmiaru kutasa Tima, a ja razem z nimi. Przed wejściem do Pasteli, Tim wyrwał Van Pattenowi serwetkę z ostateczną wersją jego starannie ułożonego pytania do GQ i rzucił nią we włączoną rozwalonego przed restauracją. Żebrak trzymał niepewnie w dłoni podniszczony kawałek tektury z napisem: JESTEM GŁODNY I BEZDOMNY. PROSZĘ, POMÓŻCIE MI

Dalej wszystko poszło gładko. Kierownik sali przysłał nam cztery kieliszki szampana Bellini na koszt firmy, lecz my i tak zamówiliśmy drinki. The Ronettes śpiewają teraz "Then He Kissed Me", z naszej kelnerki jest niezły laskojad i nawet Price wydaje się rozluźniony, choć nienawidzi tego miejsca. Poza tym, przy stole naprzeciw nas siedzą cztery wspaniałe wyglądające kobiety - blondynki,

wielkie cycki: pierwsza ubrana jest w szmizjerkę z dubeltowej wełny od Calvina Kleina, druga w dżersejową sukienkę i żakiet z jedwabnego diagonalu od Goef-freya Beene, trzecia ma na sobie symetryczną spódnicę z pofałdowanego tiulu i haftowane welwetowe bolerko od -jak sądzę - Christiana Lacroix plus pantofle na wysokich obcasach od Sidonie Larizzi, ostatnia zaś ozdobiona cekinami sukienkę bez ramiączek i szyty na miarę żakiet z krepy od Billa Blassa. Z głośnika dobiega teraz piosenka "Dancing In The Streets" śpiewana przez The Shirelles. System nagłaśniający i akustyka sali - wysoki sufit - sprawiają, że muzyka jest bardzo głośna, dlatego wykszykujemy nasze zamówienia do kelnerki laskojada, która ubrana jest w dwukolorowy kostium z supełkowej wełny wykończony dodatkami pasmanteryjnymi od Myrone de Premonville i zamszowe, sięgające do kostek trzewiki. Kelnerka -jestem niemal pewny - flirtuje ze mną: uśmiecha się seksownie, gdy zamawiam jako przekąskę morskiego anioła i kałamarnice na kwaśno ze złotym kawiozem; wpatruje się we mnie gorącym, świdrującym wzrokiem, gdy proszę o gulaszową zapiekankę w sosie tomatillo. W końcu przestaję na nią patrzeć i spoglądam na wysoki, cienki kieliszek z różowym Bellinim. W moich oczach kryje się niespokojna, śmiertelna powaga - nie mogę dopuścić do tego, żeby kelnerka odkryła moje nadmierne zainteresowanie. Price zamawia ta-pas i sarninę w sosie jogurtowym i do tego świeże kiełki paproci z plasterkami mango. McDermott prosi o sashimi z kozłim serem i wędzoną kaczkę z endywią i syropem klonowym. Van Patten chce dostać kielbaskę z przegrzebka i łososia z grilla z malinowym octem i guacamolą. Restauracyjna klimatyzacja działa pełną parą i zaczynam żałować, że nie założyłem nowego pulovera Versace, który kupiłem w zeszłym tygodniu u Bergdorta. Pasowałby do garnituru, jaki mam na sobie.

- Czy mógłbyś zabrać to z łaski swojej - mówi Price do pikolaka pokazując na kieliszki z Bellinim.

- Poczekaj, Tim - wtrąca się Van Patten. - Spokojnie ja to wypiję.

- Tę europejską tandetę, Davidzie? - dziwi się Price. - Europejskie gówno?

- Van Patten, możesz wypić i mój - mówię.

- Zaczekaj - McDermott zatrzymuje pikolaka. - Ja także chcę to wypić.

- Dlaczego? - pyta Price. - A może chcesz zaprosić tu tę ormiańską dupę, która stoi przy barze?

- Jaką ormiańską dupę? - Van Patten wyciąga szyję z zainteresowaniem.

- Zabierz wszystkie - kipi Price.

Pikolak posłusznie sprząta kieliszki i odchodząc kiwa głową nie wiadomo do kogo.

- Kto mianował cię szefem? - jęczy McDermott.

- Spójrzcie, chłopcy. Spójrzcie, kto właśnie wszedł - gwizdże Van Patten.

- O rany.

- Montgomery - zaczyna Price uprzejmym, towarzyskim tonem i bez przerwy wpatruje się w Nicki.

- Jak tam sprawy!'

- No cóż, panowie - mówi Montgomery - widzę, że macie prima stół. Zapłaciliście już? Żartowałem.

- Posłuchaj, Montgomery - to znowu Price, który nie spuszcza oka z Nicki i jest zadziwiająco uprzejmy w stosunku do tego, jak mi się wydawało, nieznajomego. - Może zagramy w squasha?

- Zadzwoń do mnie - odpowiada bez zainteresowania Scott i rozgląda się po sali. - Czy to jest Tyson? Oto moja wizytówka.

- Wspaniale - mówi Price chowając wizytówkę do kieszeni. - Czwartek?

- Nie mogę. Jutro lecę do Dallas, ale... - Montgomery odchodzi już od stołu i idzie w kierunku innego, strzelając palcami na Nicki. - Taa, w przyszłym tygodniu.

Nicki uśmiecha się do mnie i patrzy w podłogę - różowe, niebieskie i jasnozielone kafelki, które zachodzą na siebie tworząc trójkątne wzory - jak gdyby szukała odpowiedzi, jakiejś wskazówki czy zrozumiałego powodu, dla którego włóczy się z Montgomerym. Sam nie wiedząc dlaczego, zastanawiam się, czy Nicki jest starsza od Scotta, a potem czy flirtuje ze mną.

- Widzimy się - mówi Price.

- Widzimy się później, chłopcy - Montgomery jest już w połowie sali. Nicki wlecze się za nim. Pomyliłem się: ta dziewczyna ma tylek.

- Osiemset milionów - gwizdże McDermott potrząsając głową.

- College? - pytam.

- Pewno w jakiejś dziurze - wtrąca się Price.

- Rollins? - zgaduję.

- Hampden-Sydney - mówi McDermott. - Macie pojęcie?

- To pasożyt, przegrana pijawka - konkluduje Van Patten.

- Ale wart jest osiemset milionów - powtarza McDermott z emfazą.

- Idź i zrób laskę temu karłowi, może to cię uspokoi - mówi Price. - Dlaczego tak się podniecasz, McDermott?

- Tak czy inaczej - zauważam - niezła dziewczyna.

- Napalona - zgadza się ze mną McDermott.

- Potwierdzam - Price niechętnie kiwa głową.

- Człowieku - krzyczy zrozpaczony Van Patten - ja znam tę dupę!

- Nie pierdol - jęczymy zgodnym chórem.

- Pozwól, że zgadnę - mówię po chwili. - Wyjąłeś ją z Tunelu, prawda?

- Nie - odpowiada David sącząc drinka. - To modelka. Choruje na anoreksję, jest alkoholiczką i zarozumiałą dziwką. Francuzka w każdym calu.

- Nie bądź śmieszny - przerywam mu nie mając pojęcia czy mówi prawdę.

- Chcesz się założyć?

- Jezu Chryste, chyba nie chcesz powiedzieć, że to ten pojebany Preston - wzdycha Price.

- Nie, skądże - odpowiada z napięciem w głosie Van Patten. - Jeszcze nas nie zauważył.

- Victor Powell? Paul Owen? - pytam ze strachem.

- Podaje wskazówki: ma dwadzieścia cztery lata i wart jest, no powiedzmy, obrzydliwą kasę - mówi Van Patten szczerząc zęby. Osoba, o której opowiada musiała go zauważyć, ponieważ David śmieje się jeszcze szerzej. - Prawdziwy wór szmalu.

Wyciągam szyję, ale nie widzę nikogo.

- Scott Montgomery - mówi Price. - To Scott Montgomery, prawda?

- Być może - drażni się z nim Van Patten.

- Tak, to ten karzeł Scott Montgomery - powtarza Price.

- Price - mówi Van Patten. - Jesteś bezcenny.

- Uważajcie teraz: udaję wzruszenie - oświadcza Price oglądając się za siebie. - Będę tak wzruszony, jak tylko można, gdy spotyka się kogoś z Georgii.

- Hej - mówi McDermott. - Ubrany jest zabójczo.

- Hej - odpowiada Price. - Zabijesz mnie swoimi zabójczymi uwagami.

- No, no - mówię spostrzegając wreszcie Montgomery'ego. - Elegancki granat.

- Subtelna krata - szepcze Van Patten.

- Mnóstwo beżu - mówi Price. - Sami wiecie.

- Otóż i on - kończę, przygotowując się do spotkania.

Scott Montgomery podchodzi do naszego boksu ubrany w dwurzędowy, granatowy blezer z guzikami ze sztucznej skorupy żółwiowej, dekatyzowaną, pomarszczoną, bawełnianą koszulę w paski z czerwonymi szwami, czerwono-biało-niebieski jedwabny krawat ze wzorem przypominającym fajerwerki od Hugo Bossa i śliwkowe spodnie z dekatyzowanej wełny z poczwórnym pofałdowanym przodem i ukośnymi kieszeniami od Lazo. W ręku trzyma kieliszek szampana, który po chwili podaje towarzyszącej mu dziewczynie - stuprocentowej modelce: szczupłej, z cyckami na swoim miejscu, bez tyłka, na wysokich obcasach - ubranej w spódnicę z krepy, kaszmirowo-welurowy żakiet i kaszmirowo-welurowy płaszcz, który trzyma przewieszony na ręce - całość od Lousia Dell'Olio. Pantofle na wysokim obcasie od Susan Bennis Warrena Edwardsa. Okulary przeciwsłoneczne od Alaina Mikli. Torebka z wytłaczanej skóry od Hermesa.

- Czołem, łobuzy, jak się macie? - Montgomery mówi z silnym południowym akcentem. - To jest Nicki. Nicki, to jest McDonald, Van Buren, Bateman, ładna opalenizna, i pan Price. - Scott wymienia uścisk dłoni tylko z Timothyem i odbiera swój kieliszek od Nicki. Nicki uśmiecha się grzecznie, jak robot - prawdopodobnie nie mówi ani słowa po angielsku.

- I co z tego? - McDermott wzrusza ramionami. - I tak bym ją przeleciał.

- Wypija litr Stolicznej dziennie, rzyga, a potem pije to co wyrzygała, McDermott - wyjaśnia Van Patten. - Absolutny nałóg.

- Absolutny, tandetny nałóg - mruczy Price.

- Co mnie to obchodzi - mówi odważnie McDermott. - Jest piękna. Chcę się z nią walić. Chcę wziąć z nią ślub, żeby rodziła mi dzieci.

-Jezu Chryste - mówi zaszokowany Van Patten. - Chciałbyś ożenić się z dupą, która zamiast dziecka urodziłaby ci butelkę wódki z sokiem żurawinowym?

- To prawda - dodaje.

- Taa, McDermott chciałby zeiznać tę ormiańską dupę, która stoi przy barze - mówi pogardliwie Price. - Może z nią też się ożenisz? Urodzi ci buklak kumysu i puszkę soku brzoskwiniowego.

-Jaką ormiańską dupę? - pyta poirytowany McDermott i wyciąga szyję.

-Jezu, skończcie już z tym, wy pedały - wzdycha Van Patten.

Przy stole zatrzymuje się kierownik sali i pozdrawia McDermotta. Gdy zauważy, że nie mamy kieliszków z Bellinim, które przysłał nam na koszt firmy, biegnie pędem w głąb sali, zanim ktokolwiek z nas zdołał się odezwać. Nie wiem, skąd McDermott zna tak dobrze Alaina - może przez Cecelię? Trochę mnie to wkurwia i postanawiam wyrównać rachunki pokazujący wszystkim moją nową wizytówkę. Wyciągam ją z portfela (skóra gazeli, 8,50 dolarów u Barneya) i rzucam na stół czekając na reakcję.

- A cóż to, czyżby nadszedł czas na kokainę? - Pyta Price z udawaną apatią.

- Nowa wizytówka - mówię nonszalancko i uśmiecham się dumnie. - Co wy na to?

- No, no - mówi McDermott podnosząc kartę ze stołu. Oglądają ze wszystkich stron z wyraźnym podziwem. - Bardzo efektywna. Spójrz - wręcza wizytówkę Van Pattenowi.

- Odebrałem je wczoraj od drukarza - wyjaśniam.

- Niezła kolorystyka - mówi Van Patten wpatrując się w kartę.

- Koścista biel - wyjaśniam dalej. - A krój pisma nazywa się, o ile mi wiadomo, bałaś siliański.

- Bałaś siliański - pyta McDermott.

- Taa. Niezła, co?

- Bardzo efektywna, Bateman - mówi ostrożnie Van Patten, zazdrosny skurwysyn - ale nic w porównaniu z tym... - wyciąga portfel i rzuca wizytówkę obok popielniczki. - Spójrzcie...

Pochylamy się nad stołem i oglądamy kartę Davida, a Price mówi cicho: -Tak, naprawdę ładna. - Czuję w gardle krótki spazm zazdrości, gdy zauważam elegancję koloru i arystokratyczny krój pisma. Zaciskam pięści, a Van Patten

wyjaśnia z dumą: - Skorupka jajka, a liternictwo typu romaliańskiego... - Patrzy na mnie. - Co o tym sądzisz?

- Niezła - głos mi się łamie, gdy kiwam głową. Pikolak przynosi cztery kieliszki z Bellinim.

- Jezu - mówi Price podnosząc kartę do światła i nie zwracając uwagi na szampana. - To jest naprawdę super. Skąd taki przygłup, jak ty, ma tyle smaku!"

Spoglądam na wizytówkę Van Pattena, a potem na swoją, i nie mogę uwierzyć, że Price'owi bardziej podoba się karta Davida. Oszołomiony sięgam po drinka i biorę głęboki oddech.

- Poczekajcie - mówi Price. - Pokażę wam coś, czego w życiu nie widzieliście... - Sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i wolnym, pełnym dramatyzmu ruchem wyjmuję swoją kartę wizytową, która podsuwa nam pod oczy. - A to i ona.

Nawet ja muszę przyznać, że jest cudowna.

Nagle restauracja wydaje się bardzo odległa, cicha, hałas zamienia się w szept i wszystko błędnie w porównaniu z wizytówką Price'a, który mówi z namaszczeniem: - Wycyzelowane liternictwo, a w tle biel chmur kłębiastych...

- Kurwa mać - wyrywa się Van Pattenowi. - W życiu czegoś takiego nie...

- Ładna, bardzo ładna - przyznaję. - Zaczekajcie, spójrzmy na wizytówkę Montgomery'ego.

Price wyciągając z kieszeni i chociaż udaje, że karta nie robi na nim wrażenia z pewnością podziwia subtelną kremową kolorystykę i pogrubiony nieco, wysmakowany krój pisma. Jestem przygnębiony, ponieważ sam sprowokowałem to wszystko.

- Pizza. Zamówmy pizzę - mówi McDermott. - Kto zje ze mną na pół pizzę? Z czerwoną papryką? Mmmmm. Bateman, chcesz? - pyta, zacierając z ochotą ręce.

Biorę kartę Montgomery'ego do ręki i dotykam delikatnie. Czuję dreszcz rozkoszy w opuszkach palców.

- Niezła, co? - ton Price'a dowodzi, że wie o mojej zazdrości.

- Taa - rzucam nonszalancko i oddaję mu wizytówkę jak gdyby gównem mnie obchodziła. Z trudnością przełykam ślinę.

- Ostra, czerwona pizza - przypomina mi McDermott. - Kurwa, umieram z głodu.

- Żadnej pizzy - mruczę i z ulgą zauważam, że Price chowa wizytówkę Montgomery'ego.

- No dalej - jęczy McDermott. - Zamówmy czerwoną, ostrą pizzę.

- Zamknij się, Craig - mówi Van Patten spoglądając na kelnerkę obsługującą sąsiedni stół. - Ale zawołaj tego laskojada.

- Ale to nie nasz laskojad - mówi McDermott przerzucając stronicę menu, które wyrwał przed chwilą przechodzącemu pikolakowi.

- To co z tego, zawołaj ją - nalega Van Patten. - Poproś ją o wodę albo Coronę, cokolwiek.

- Dlaczego akurat ją? - rzucam. Moja wizytówka, na którą nikt już nie /wraca uwagi, leży na stole obok wazonu z niebieskiego szkła, w którym stoi samotna orchidea. Delikatnie podnoszę swoją kartę, składam i wsuwam niepostrzeżenie do portfela.

- Ona wygląda tak samo jak sprzedawczyni z działu Georgette Klinger u Bloomingdale'a - mówi Van Patten. - Zawołaj ją.

- Czy ktoś zje w końcu pizzę? - McDermott zaczyna się denerwować.

- Skąd wiesz? - pytam Van Pattena.

- Kupuję tam perfumy dla Kate - odpowiada.

Price, gestykulując, zwraca na siebie naszą uwagę. - Czy wspominałem już wam, że Montgomery jest karłem?

- Kto to jest Kate? - pytam.

- Kate to jest dupa, z którą Van Patten ma romans - wyjaśnia Price wpatrując się w stół, przy którym siedzi Montgomery.

- A coż stało się z panną Kittridge? - pytam.

- No właśnie - uśmiecha się Price. - A co z Amandą?

- O Boże, chłopcy, rozchmurzcie się. Wierność? Prawda?

- Czy nie obawiasz się chorób? - pyta Price.

- A kto miałby go zarazić? Amanda czy Kate? - to ja.

- Wydawało mi się, że ustaliliśmy już, kto może zachorować - mówi Van Patten podniesionym głosem. - Więc... zamknijcie się kutasy.

- Czy nie mówiłem ci...

Dostajemy kolejne cztery kieliszki z Bellinim. W sumie jest już ich osiem.

- O mój Boże - jęczy Price i próbuje złapać Pikolaka, który oddala się szybko.

- Ostra, czerwona pizza... ostra, czerwona pizza. - McDermott wymyślił sobie mantrę na dzisiejszy wieczór.

- Wkrótce napadną na nas nadpobudliwe irańskie cipy - brzęczy Price.

- ..Jest jak zero zero pół procenta czy coś takiego, mówiłem wam, słuchacie mnie? - pyta Van Patten.

- ...Ostra pizza... ostra, czerwona pizza - nagle McDermott wali pięścią w stół tak, że wszystko podskakuje do góry. - Kurwa mać, czy nikt mnie nie słucha?

Patrzę jak w transie na wizytówkę Montgomery'ego - arystokratyczny kolor, zerpany papier, liternictwo, druk - i nagle unoszę pięść, tak jak gdybym miał zamiar uderzyć Craiga. Krzyczę, a mój głos grzmi w całej sali: - Nikt nie chce twojej pierdolonej ostrej, czerwonej pizzy! Pizza powinna być drożdżowa o konsystencji chleba i z serem na wierzchu! Wierzch pizzy, którą tutaj podają, jest, kurwa, za cienki, bo pojebany kucharz, który tu pracuje, przesma-

za wszystko na czym położy łapy! Pizza w tej knajpie jest wyschnięta na w i ó r! - Czuję, że krew nabiegła mi do twarzy. Z impetem stawiam na stole kieliszek z Bellinim i gdy podnoszę głowę, zauważam, że przyniesiono nam przekąski. Kelnerka laskojad patrzy na mnie z góry jakimś dziwnym, szklanym wzrokiem. Wycieram dłonią twarz i uśmiecham się do niej łagodnie. Stoi i gapi się na mnie jak gdybym był potworem - naprawdę wygląda na przestraszoną. Rzucam szybkie spojrzenie na Price'a - po co? czyżbym szukał wsparcia? - on zaś mamrocze: -Cygara - i klepie się po kieszeni.

McDermott mówi cichutko: - Nie sędzę, żeby była wyschnięta.

- Kochanie - zwracam się do kelnerki ignorując Craiga. Biorę ją za rękę i przyciągam do siebie. Wzdryga się, lecz gdy posyłam jej uśmiech, pozwala przyciągnąć się bliżej. - Zjemy teraz wspaniały, duży obiad... - zaczynam wyjaśniać.

- Ale ja tego nie zamawiałem - przerywa mi Van Patten wskazuje na swój talerz. - Prosiłem o kielbaski z małży!

- Zaniknij się. - Rzucam mu piorunujące spojrzenie i spokojnie odwracam się do laskpjada uśmiechając się jak idiota, przystojny idiota. - A teraz posłuchaj, jesteśmy dobrymi klientami, znają nas tutaj i zamówimy jeszcze jakąś świetną brandy, może koniak, kto wie? Chcemy trochę odpocząć i nasycić się... tą - ręką wykonuję nieznaczny gest - ...atmosferą. Tak... - Drugą ręką sięgam po portfel ze skóry gazeli. - Po obiedzie chcielibyśmy zapalić jakieś d o b r e kubańskie cygaro i wolelibyśmy, żeby nie niepokoił nas żaden n i e o k r z e s a n y...

- Nieokrzesany - McDermott kiwa głową do Van Pattena i Price'a.

- N i e o k r z e s a n y i nieuprzejmy klient czy turysta, który niewątpliwie zechce poskarżyć się na naszą małą, niewinną słabostkę. Tak więc... - wciskam banknot (mam nadzieję, że jest to tylko pięćdziesiątka) w kościastą, niewielką piastkę - ...gdybyś zechciała zapewnić nam chwilę spokoju podczas palenia, bylibyśmy wielce zobowiązani. - Głaszczę jej dłoń i zamykam na banknocie. - A gdyby ktoś się skarżył, no cóż... - przerwani, a potem kończę z pogrózką w głosie - ...wywal go na zbity pysk.

Kelnerka kiwa głową i nie wyrzekłszy ani słowa odchodzi z wyrazem oszołomienia i zmieszania na twarzy.

- A jeśli... - dorzuca Price - ...w promieniu dwudziestu stóp od tego stołu pojawi się następna kolejka Bellinich, to podpalimy kierownika sali. Więc ostrzeż go lepiej.

Zapada cisza, podczas której przyglądamy się przekąskom. Milczenie przerwa Van Patten: - Bateman?

- Tak? - Nadziewam na widelec kawałek morskiego anioła, dodaję trochę kawioru i odkładam sztuciec na talerz.

-Jesteś przykładem perfekcyjnej ogłady właściwej wszystkim absolwentom prywatnych szkół przygotowawczych - mruczy.

Price spostrzega inną kelnerkę, która nadchodzi w naszą stronę niosąc tacę z czterema wysokimi kieliszkami do szampana, wypełnionymi bladoróżowym płynem. -Jezu Chryste, to zaczyna być absurdalne... - Kelnerka jednak stawia kieliszki na stole obok, tam gdzie siedzą cztery dziewczyny.

- Jest napalona - mówi Van Patten nie zwracając uwagi na swoje kielbaski z przegrzebka,

- laskojad - McDermott kiwa głową. - Stuprocentowy.

- Na mnie nie robi urażenia. - Price kręci nosem. - Spójrzcie na jej kolana.

Laskojad stoi obok, a my z uwagą omiatamy ją wzrokiem. Ma długie, opalone nogi, lecz faktycznie, jedno kolano jest większe od drugiego. Rzepka lewej nogi jest tęższa, odrobinę mocniej zbudowana od prawej i ta w sumie mało istotna wada staje się teraz tak przerażająca, że całkowicie tracimy zainteresowanie. Van Patten spogląda na swoją przekąskę, a na jego twarzy maluje się ogromne zdziwienie. Po chwili przenosi wzrok na McDermotta i mówi - To nie jest to, co zamawiałeś. To jest s u s h i, a nie sashimi.

-Jezu - wzdycha McDermott. - Przecież i tak nie przychodzisz tutaj po to, - żeby jeść.

Jakiś facet, który wygląda zupełnie tak jak Christopher Lauder, podchodzi do naszego stołu i mówi klepiąc mnie po plecach: - Hej Hamilton, ładna opalenizna. - A potem odchodzi w kierunku toalety.

- Ładna opalenizna, Hamilton - przedrzeźnia go Price i rzuca tapas na mój talerz z chlebem.

- O rany - mówię - mam nadzieję, że się nie zaczerwieniłem.

- W rzeczy samej, dokąd chodzisz, Bateman? - pyta Van Patten. - Opalać się.

- Tak jest, Bateman. Dokąd chodzisz? - McDermott wygląda na prawdziwie zaintrygowanego.

- Czytajcie z moich warg - mówię i dodaję szeptem "solarium". - Jakwzyscy - kończę poirytowany.

- A ja... mam w domu... - mówi Van Patten delektując się każdym słowem - ultrafioletowe łóżko do opalania. - Odgryza spory kawałek kielbaski z przegrzebka.

- Gówno prawda - krzyczę zwijając się z wściekłości.

- To p r a w d a - potwierdza McDermott z pełnymi ustami. - Sam widziałem.

- To jest kurwa niesamowite - mówię.

- Dlaczego, do cholery, jest to według ciebie, kurwa, niesamowite? - pyta Price przekładając tapas widelcem z jednego miejsca na talerzu na drugie.

- Czy wiesz, ile kosztuje karta członkowska w pierdolonym solarium? - pyta mnie Van Patten. - Karta członkowska na jeden rok?

- Warn odbiło - mamroczę.

- Spójrzcie, chłopcy - mówi Van Patten. - Bateman jest oburzony.

Nagle przy naszym stole pojawia się pikolak i nie pytając nas o zgodę zabiera dopiero co napoczęte przekąski. Nikt nie zgłasza sprzeciwu, oprócz McDermotta, który pyta: - Czyja śnię, czy właśnie zabrano nam przekąski? - i wybucha niekontrolowanym śmiechem. Po chwili milknie, ponieważ nikt się do niego nie przyłączył.

- Zabrał przekąski, ponieważ podawane tutaj porcje są tak małe, że doszedł do wniosku... - mówi Price zmęczonym głosem - ...że już skończyliśmy.

- Uważam, że to szaleństwo z tym łóżkiem do opalania - mówię do Van Pattena, chociaż w głębi ducha zazdroszczę mu takiego luksusu na czasie. A zresztą i tak nie miałbym gdzie postawić u siebie takiego mebla. Z drugiej strony, ultrafioletowe łóżko, może służyć nie tylko do opalania.

- Z kim jest Paul Owen:1 - słyszę jak McDermott pyta Price'a.

- Z jakimś chytrusem z Kicker Peabody - odpowiada rozkqjarzony Price. -On zna McCoya.

- To dlaczego siedzi z tymi flimonami od Drexela? - kontynuuje McDermott. - Czy to nie jest Spencer Wynn?

- Strzelasz na ślepo czy jak? - mówi Price. - To nie jest Spencer Wynn.

Spoglądam na Paula Owena siedzącego pan; przegród dalej z trzema innymi facetami -jeden z nich może być Jeffem Duvallem; nosi szelki, zaczesane do tyłu włosy, okulary w rogowej oprawie. Piją szampana. Zastanawiam się leniwie, w jaki sposób Owen załatwił sobie rachunek Fishera.

Odechciewa mi się jeść i dokładnie w tym momencie przynoszą obiad. Przed chwilą zabrano nam przekąski, ale tak czy inaczej rozpoczynamy konsumpcję. McDermott odpina szelki. Price nazywa go łachmytą. Czuję się jak sparaliżowany, ale odwracam wzrok od Owena i spoglądam na talerz (zapiekanka wygląda jak żółty ośmiokąt otoczony paskami wędzonego łososia; wokół potrawy umieszczono artystycznie kleksy zielonego niczym groszek sosu tomatillo), a potem na oczekujący na stół tłum, który gapi się na nas groźnie pijanym - być może dzięki Bellinim na koszt firmy - wzrokiem i wydaje się zmęczony godzinami niepewności i walki o jakiś gówniany stolik przy otwartych drzwiach do kuchni, mimo posiadanej rezerwacji. Ciszę przy naszym stole przerywa Van Patten - rzuca widelcem i odsuwa krzesło.

- Coś nie w porządku? - pytam unosząc głowę znad talerza. Widelec zamarł w bezruchu w połowie drogi do moich ust, lecz nie mogę podnieść go wyżej. Ręka odmawia mi posłuszeństwa, być może bardziej podoba jej się wśród talerzy, być może rządzi się teraz jakimiś własnymi prawami i nie chce uczestniczyć w dekompozycji artystycznie ułożonych potraw. Wzdycham i zdając sobie sprawę z własnej bezsily, odkładam widelec.

- Kurwa. Muszę nagrać ten film 7. kabla dla Mandy. - Van Patten wyciera usta serwetką i wstaje. - Niedługo wrócę.

- Niech sama to robi, idioto - mówi Price. - Co cię napadło'? Demencja? - Jest w Bostonie u swojego dentysty - oburza się Van Patten opętany przez cię.

- I co w związku z tym? - głos mi się łamie. Ciągłe nie mogę zapomnieć wizytówki Van Pattena. - Masz zamiar dzwonić do rady programowej telewizji kablowej?

- Nie - odpowiada. - Mój telefon połączony jest z programatorem Vide-onics magnetowidu. Kupiłem to urządzenie u Hammacher Schlemmera. - Odchodzi podciągając szelki.

- Bardzo na czasie - mówię bez wyrazu.

- Hej, co chcesz na deser? - krzyczy za Van Pattenem McDermott.

- Coś czekoladowego i bez mąki - odpowiada tamten.

- Czy Van Patten przestał ćwiczyć? - pytam. - Wygląda jakby przybierał na wadze.

- W rzeczy samej, prawda? - mówi Price.

- Należy przecież do Vertical Club - dodaje.

- Nie wiem - mruczy Price patrząc w talerz. Nagle prostuje się, odpycha od siebie nakrycie i macha do kelnerki, po czym zamawia kolejną Finlandię z lodem.

Inna kelnerka laskojad podchodzi do nas nieśmiało niosąc butelkę szampana Perrier-Joiiet, bez rocznika i informuje nas, że wino przesyła Scott Montgomery.

- Bez rocznika. A to chytrus - syczy Price wyciągając szyję i szukając Mont-gomery'ego. - Straceniec. - Price podnosi w górę kciuk dziękując Scottowi przez całą długość sali. - Skurwysyn jest tak mały, że ledwo go można dostrzec. Nie wiem, czy przypadkiem nie podziękowałem Conradowi.

- Gdzie jest Conrad'? - pytani. - Powinienem się z nim przywitać.

- Z facetem, który zwraca się do ciebie per Hamilton'? - Price patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- To nie był Conrad - mówię.

- Jesteś pewny? Cholernie był do niego podobny - odpowiada Price bez zainteresowania. Gapi się beczelnie na laskojada; wlepia wzrok w rowek pomiędzy jej piersiami, gdy niewiadoma niczego kelnerka pochyła się, by otworzyć szampana.

- Nie, to nie był Conrad - powtarzam. Zaskakuje mnie to, że Price nie rozpoznaje swoich współpracowników. - Tamten facet jest lepiej ostrzyżony.

Siedzimy nic nie mówiąc, a laskojad nalewa szampana. Gdy wreszcie odchodzi, McDermott pyta, czy smakowało nam jedzenie. Mówię mu, że zapiekan-

ka była dobra, z tym, że przesadzili trochę z ilością sosu tomatillo. Craig kiwa głową i mówi: - Słyszałem już o tym.

Wraca Van Patten. - Nie mają nawet porządnej toalety. Nie ma gdzie przywalić koki - mamrocze.

- Deser? - pyta McDermott.

- Tak, pod warunkiem, że będzie to sorbet Bellini - odpowiada ziewając Price.

- A może po prostu zapłacimy - mówi Van Patten.

- Zgadzam się, panowie. Czas zapolować na jakiś turkawki - mówię. Laskojad przynosi rachunek który opiewa na 475 dolarów - znacznie mniej

niż się spodziewaliśmy. Płacimy wspólnie, ale ponieważ potrzebuję gotówki, daję kelnerce moją platynową kartę kredytową American Express i zbieram pieniądze - głównie banknoty pięćdziesiętodolarowe - od reszty towarzystwa. McDermott chce, żebym wydał mu dziesięć dolarów reszty, ponieważ jego kielbaska z przegrzebka kosztowała tylko szesnaście zielonych. Szampan od Montgome-ry'ego zostaje na stole - rozlany do kieliszków, lecz nie ruszony. Gdy wychodzimy na zewnątrz, przed restauracją siedzi inny włóczęga. Napis na jego tekturze jest kompletnie nieczytelny. Podchodzi do nas i prosi pokornie o drobne, a potem z nadzieją w głosie, o jedzenie.

- Nie zaszkodziłaby mu wizyta u kosmetyczki - mówię.

- Hej, McDermott - krztusi się Price. - Rzuć mu krawat.

- O kurwa, a cóż on kupi za krawat? - pytam patrząc na włóczęgę.

- Przekąski w bistro Jam - śmieje się Van Patten. Przybijamy górną piątkę.

- Cwaniak - mówi obrażony McDermott oglądając swój krawat.

- Wybacz... mamy taksówkę - krzyczy Price machając ręką. - I nie zapomnij o drinkach.

- Do Tunelu - rzuca McDermott kierowcy.

- Wspaniale, McDermott - chwali go Price siadając z przodu. - Wyglądasz na podnieconego.

- To co? Czy sprawia ci różnicę, że nie jestem dekadencckim, wypalonym pedałem jak ty sam? - odpowiada McDermott ze środka taksówki.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że jaskiniowcy mieli więcej tkanki włóknistej niż my? - zwraca się Price do kierowcy.

-Już to słyszałem - przerywa McDermott.

- Van Patten - mówię - czy wdziałeś szampana, którego przysłał Montgomery?

- Naprawdę? - pyta Van Patten i pochyla się w stronę McDermotta.

- Pozwólcie, że zgadnę. Perrier-Joiiet?

- Bingo! - odpowiada Price. - Bez rocznika.

- Pierdolony chytrus - przytakuje Van Patten.

TUNEL

Z jakiegoś powodu wszyscy mężczyźni stojący przed Tunelem ubrani są w smokingi; wyjątek stanowi bezdomny włóczęga w średnim wieku, który siedzi obok śmietnika, kilka stóp od lin odgradzających wejście do klubu. Mężczyzna wciąga rękę ze styropianowym kubkiem do kawy w kierunku każdego, kto zwraca na niego uwagę i błaga o drobne. Gdy Price prowadzi nas przez tłum w stronę lin i macha do bramkarza, Van Patten wyciąga nowiutki banknot jednodolarowy i pokazuje go włóczędze, którego twarz natychmiast się rozjaśnia. Van Patten spokojnie chowa pieniądze do kieszeni, po czym wpadamy do środka klubu, gdzie dają nam z tuzin bonów na alkohol i dwie przepustki dla VIP-ów do Piwnicy. Nagle podchodzą do nas dwaj inni bramkarze - długie wełniane marynarki, włosy związane w kitkę, prawdopodobnie Niemcy - którzy domagają się odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie jesteśmy ubrani w smokingi. Price rozmawia z nimi uprzejmie i wyjaśnia całą sprawę za pomocą napiwku lub - co bardziej prawdopodobne - powołując się na koneksje. Stoję z boku odwrócony plecami do Timothy'ego i słucham jak McDermott skarży się Van Pattenowi na moją głupotę i niechęć do skosztowania pizzy w Pastelach. Ich rozmowę zagłusza Belinda Carlisle wykonująca swoją wersję "I Feel Free". System nagłaśniający dudni na całą moc. W kieszeni marynarki od Valentina mam nóż z ząbkowanym ostrzem i kusi mnie, żeby wypruć bebechy McDermottowi tu na miejscu, przy wejściu do klubu; albo rozciąć mu twarz na pół i połamać kręgosłup. W końcu Price macha do nas i zaprasza do środka. Pokusę zamordowania

McDermotta zastępuje teraz dziwne, radosne oczekiwanie na dobrą zabawę: picie szampana, flirtowanie z la-skojadami, wyjęcie jakiejś dupy, może nawet tańczenie w rytm starych przebojów albo tej nowej piosenki Janet Jackson, która tak mi się podoba.

Gdy przechodzimy do hollu z przodu klubu, muzyka staje się cichsza. Ruszamy w stronę głównego wejścia, a po drodze mijają nas trzy laskojady. Pierwsza ubrana jest w czarny, wełniany żakiet z bocznym zapięciem i zaokrąglonym kołnierzem, spodnie z krepy i dopasowany golf z kaszmiru - całość od Oscara de la Renta; druga ma na sobie dwurzędową, wełnianą marynarkę z mohairowej wełny z dodatkiem nylonowego tweedu, pasujące do niej spodnie o kroju džinsów i męską, bawełnianą koszulę od garnituru - wszystko od Stephena Spouse'a; najładniejsza z nich ubrana jest w wełniany żakiet w kratkę i wełnianą spódnicę z wysokim paskiem - całość od Barneya, oraz w jedwabną bluzkę od Andry Gabrielle. Dziewczyny z całą pewnością zwracają na nas uwagę, a my odwziewamy się im tym samym odwracając za nimi głowy - wszyscy z wyjątkiem Price'a, który ignoruje je całkowicie i mówi coś niegrzecznego.

-Jezu Chryste, Price, rozchmurz się - jęczy McDermott. - Masz jakiś problem? Te cipy były napalone.

- Taa, pod warunkiem że komunikowałbyś się z nimi w farsi - odpowiada Price i wręcza McDermottowi kilka bonów na drinki po to, by go uspokoić.

- Co? - pyta Van Patten. - Nie wyglądały na Hiszpanki.

- Wiesz co, Price, musisz zmienić swój światopogląd, jeśli chcesz coś wyrwać - mówi McDermott.

- I ty masz czelność mówić mi o wrywaniu? - oburza się Price. - Ty, który wyjmujesz dupy po to, żeby zwaliły ci konia?

- Twoje poglądy cuchną, Price - odpowiada Craig.

- Posłuchaj, czy uważasz, że zachowywałbym się tak jak teraz, gdyby zależało mi na wyjęciu jakieś cipy? - atakuje Price.

- Tak, dokładnie tak - odpowiadają razem McDermott i Van Patten.

- Wiecie co - mówię - jeśli ma się ochotę na seks, to można zachowywać się zupełnie inaczej, niżby to wynikało z samopoczucia. Mam nadzieję, że ta uwaga nie obraża twojej niewinności, McDermott. - Przyspieszam kroku chcąc dogonić Tima.

- Zgoda, ale to nie wyjaśnia, dlaczego Price zachowuje się jak dupek pierwszej klasy - mówi McDermott usiłując dotrzymać mi kroku.

- Sądysz, że dziewczyny to obchodzi? - mówi chrapliwie Tim. - Wystarczy, że powiem im, ile wynosi mój roczny dochód... Wierz mi, moje zachowanie nie ma tu żadnego znaczenia.

- A w jaki sposób przekazujesz im tę drobną informację? - pyta Van Patten. - Mówisz: Postawię ci Corone, a tak przy okazji, wyciągam rocznie sto osiemdziesiąt tysięcy, jaki jest twój znak?

- Sto dziewięćdziesiąt - poprawia go Price. - Tak, właśnie tak to robię. Te dziewczyny nie szukają w mężczyznach subtelności.

- A czego szukają o wszechwiedzący? - pyta McDermott pochylając lekko głowę.

Van Patten wybucha śmiechem i przybija z McDermottem górną piątkę nie zwalniając kroku.

- Hej - mówię szczerząc zęby - nie pytałbyś, gdybyś wiedział.

- Szukają mocno zbudowanego faceta, który dwa razy w tygodniu może zabrać je do Le Cirque i potrafi znaleźć miejsce u Nell bez specjalnego wysiłku. I najlepiej żeby był bliskim, osobistym znajomym Donalda Trumpa - odpowiada beznamiętnie Price.

Podajemy bilety niezłe wyglądającej dziewczynie ubranej w marynarkę z mul-tonowo-bajowej wełny i jedwabną apaszkę od Hermesa. Wchodzimy do środka, Price mruga okiem do odzwiernej, a McDermott peroruje: - Wystarczy, że tu-

taj wejdę, a już zaczynam martwić się o choroby. Włóczą się tu różne zdziury. Czuję to.

Na szczęście jego słowa zagłusza długa wersja "New Sensation" INXS. Muzyka jest tak głośnie, że rozmawiać można wyłącznie za pomocą krzyku. W klubie jest dosyć tłoczno. Jedyne oświetlenie stanowią mrugające nad parkietem reflektory. Wszyscy ubrani są w smokingi. Wszyscy piją szampana. Mamy tylko dwie przepustki dla VIP-ów do Piwnicy i Price postanawia wspaniałomyślnie oddać je Van Pattenowi i McDermottowi, którzy uszczęśliwieni pokazują je facetom pilnującemu schodów prowadzących na dół. Bramkarz ubrany jest w dwurzędowy,

wełniany smoking, bawełnianą koszulę z wywiniętym do góry kołnierzykiem od Cerrutti 1881 i jedwabną muszkę w biało-czarną szachownicę od Martina Ding-mana - Skład Dodatków Męskich.

- Hej - krzyczę do Price'a. - Dlaczego my nie zeszliśmy na dół?

- Dlatego... - wrzeszczy przekrzykując muzykę i łapiąc mnie za kołnierz -... że musimy załatwić trochę Boliwijskiego Proszku Na Poty...

Ruszam za Price'em, który maszeruje teraz wąskim korytarzem biegnącym równolegle do parkietu. Przechodzimy obok baru i w końcu zatrzymujemy się w Sali Kryształowej, która zapchana jest facetami od Drexela, Lehinana, Kidder Peabody, Pierwszego Bostońskiego, od Morgana Stanleya, Rothschilda, Gold-mana i nawet zBanku Miejskiego -Jezu Chryste! Ubrani w smokingi, trzymają w dłoniach cienkie, wysokie kieliszki do szampana. "New Sensation" przechodzi płynnie w "The Devil Inside", a Price zauważa Teda Madisona, który opiera się o poręcz z tyłu sali. Ted ma na sobie dwurzędowy, wełniany smoking, bawełnianą koszulę z wywiniętym do góry kołnierzykiem od Paula Smitha, muszkę i pas z Rainbow Neckwear, diamentowe spinki od Fergamo i staromodny zegarek z dewizką w stylu Hamiltona od Saksa. Za Madisonem ciągną się i znikają w ciemności dwie pary torów kolei podziemnej. Tunel metra oświetlony jest dzisiaj na zielono i różowo. Price stoi jak wryty i patrzy w dal ponad plecami Teda, który uśmiecha się znacząco, gdy zauważa Tima. Wzrok Timothy'ego utkwiony w znikające w oddali tory, wyraża jakąś tęsknotę, ukryte pragnienie wolności, ucieczkę od rzeczywistości - słowem to wszystko, czego pożąda Price. Krzyczę do niego: - Hej, tam jest Tedy. - Price dochodzi do siebie, potrząsa głową i dostrzega w końcu Madisona. Odpowiada mi wrzeszcząc na całe gardło: - To nie jest Madison, Jezu Chryste, to jest Turnball. - Facet, którego wziąłem za Madisona wita się z dwoma innymi gośćmi w smokingach i odwraca się do nas tyłem. Nagle, tuż za Price'em pojawia się Ebersol, który łapie Tima od tyłu za szyję i śmiejąc się udaje, że chce go udusić. Price uwalnia się z uścisku, potrząsa ręką Ebersola i mówi: - Cześć, Madison.

Madison, którego wziąłem za Ebersola, ubrany jest we wspianiałą dwurzędową marynarkę z białego lnu od Hacketta z Londynu, którą kupił u Bergdorfa

Goodmana. W jednej ręce trzyma nie zapalone cygaro, a w drugiej wypełniony w połowie kieliszek z szampanem.

- Panie Price - wrzeszczy Madison. - Miło mi pana widzieć.

- Madison - odwrzaskuje Price. - Potrzebujemy twojej pomocy.

- Szukacie guza? - uśmiecha się Madison.

- Czegoś znacznie przyjemniejszego - drze się Tim.

- Rozumiem - Madison kiwa głową, a potem zwraca się do mnie i krzyczy (jak mi się wydaje): - Bateman... ładna opalenizna.

Facet, który stoi za Madisonem i bardzo przypomina Teda Dreyera, ubrany jest w dwurzędowy smoking z szalowym kołnierzem, bawełnianą koszulę i jedwabną muszkę w szkocką kratę - całość (jestem niemal pewny) pochodzi z kolekcji Polo Ralph Lauren. Madison stoi obok mnie i kiwa głową w stronę przewalającego się wokół tłumu. Price traci wreszcie cierpliwość: - Posłuchaj, potrzebujemy koki - krzyczy (jak mi się wydaje).

- Spokojnie, Price, spokojnie - odkrzykuje Madison. - Porozmawiam z Ri-cardem. - Nie rusza się jednak z miejsca i dalej kiwa głową przepychającym się ludziami.

- Może zrobiłbyś to t e r a z - drze się Price.

- Dlaczego nie macie smokingów? - krzyczy Madison.

- Ile nam trzeba? - pyta mnie Price z rozpaczą na twarzy.

- Wystarczy gram - krzyczę. -Jutro rano muszę być wcześniej w biurze.

- Masz gotówkę?

Nie mogę skłamać i wręczam mu czterdzieści.

- Gram - krzyczy Price do Teda.

- Hej - odwrzaskuje Madison i przedstawia nam swojego przyjaciela: - To jest Hiob.

- Gram - Price wciska banknoty w dłoń Madisona. - H i o b? A dalej? Madison i jego kumpel wybuchają śmiechem, a potem Ted wymienia jakieś nazwisko, którego nie słyszę.

- Nie - Madison potrząsa głową. - Rób. - (Jak mi się wydaje).

- Taa, miło mi cię poznać, Rob. - Price podnosi rękę i stuka palcem wskazującym w swojego złotego Rolex.

- Zaraz wracam - krzyczy Madison. - Zostańcie z moim kumplem. Kupicie sobie drinki. - Znika. Hiob, Rób czy Bob wtapia się w tłum. Idę za Price'em w kierunku poręczy.

Chcę zapalić cygaro, ale nie mam zapalek; jednak już sam fakt, że mogę trzymać je w dłoni - sycić nozdrza aromatem tytoniu - oraz lekkie podniecenie wywołane oczekiwaniem na narkotyki, sprawiają, że czuję się dobrze. Biorę od Price'a dwa bony na alkohol i zamawiam dla niego Finlandię z lodem, której nie mają. Informuje mnie o tym z wkurwiającą satysfakcją w głosie laskojad stojący za barem. Ma niesamowite ciało i tak seksowny wygląd, że postanawiam zostawić jej suty napiwek, choćby z tego powodu. Decyduję się wziąć Absolut dla Price'a i J&B z lodem dla siebie. Zastanawiam się, czy nie zrobić Timowi kawału i nie kupić mu szampana Bellinii, lecz Price wydaje się dzisiaj zbyt poirytowany, by docenić dowcip. Przepycham się przez tłum i wręczam mu Absolut. Odbiera go ode mnie bez słowa podziękowania i wypija jedmin haustem, po czym spogląda na szklaneczkę, krzywi się i patrzy na mnie oskarżycielsko. Bezradnie wzruszam ramionami. Price odwraca się i wbija wzrok w tory, wygląda jak opętany. Dzisiaj w Tunelu jest bardzo mało dup.

- Hej, umówiłem się z Courtney jutro wieczorem.

- Z n i ą? - odkrzykuje nie odwracając głowy od torów. - Wspaniale. - Mimo hałasu słyszę sarkazm w jego głosie.

- No cóż, dlaczego nie? Carruthers wyjechał z miasta.

- Równie dobrze mógłbyś wynająć sobie kogoś z agencji towarzyskiej - wrzeszczy bez zastanowienia i lekko zde gustowany.

- Dlaczego?

- Bo zanim ją zwalisz stracisz o wiele więcej pieniędzy.

- Nic z tego - krzyczę.

- Posłuchaj, ja już przez to przeszedłem - wrzeszczy Price machając lekko szklaneczką. Wyraźnie słyszę stukające kostki lodu, co mnie zadziwia. - Meredith jest taka sama. Chce, żeby jej płacić. Wszystkie liczą wyłącznie na to.

- Price... - wypijam duży łyk szkockiej - ...jesteś bezcenny...

Tim wyciąga rękę i wskazuje w głąb tunelu: - Dokąd prowadzą te tory? - Wokół nas migoczą laserowe światła.

- Nie wiem - odpowiadam po długiej chwili, nie wiem nawet jak długiej.

Nudzi mnie wpatrywanie się w Price'a, który nie porusza się ani nie odzywa. Od czasu do czasu odwraca jedynie głowę i szuka wyrokiem Madisona lub Ricarda. W pobliżu nie ma ani jednej kobiety, sami zawodowcy z Wall Street ubrani w smokingi. Jedyna dziewczyna, jaką udaje mi się zauważyć, tańczy samotnie w rogu sali w rytm piosenki, która - jak sądzę - nosi tytuł "Love Triangle". Dupa ubrana jest w coś, co przypomina wyszywaną cekinami krótką bluzkę od Rolandusa Shamaska. Wpatruję się w nią, ale jestem poirytowany, jak to zwykle bywa przed kokainą, i zaczynam rzuć nerwowo bon konsumpcyjny, a potem jakiś facet z Wall Street, który wygląda jak Boris Cunningham, zasłania mi dziewczynę. Jestem już gotów iść po raz drugi do baru, kiedy pojawia się Madison - nie było go dwadzieścia minut - i wciąga głośno nosem powietrze, a potem uśmiecha się od ucha do ucha i nerwowo potrząsa ręką spoconego, poważnie wyglądającego Price'a. Tim odsuwa się od Teda z niezwykłą dla siebie szybkością i gdy Madison usiłuje klepnąć go przyjacielsko po plecach, jego ręka trafia w powietrze.

Ruszam za Price'em mijającym bar i parkiet i wejście do Piwnicy, a potem na górę obok długiej kolejki do damskiej toalety, co jest dosyć dziwne, ponieważ wydało mi się, że w klubie w ogóle nie ma kobiet. W końcu wchodzimy do pustego na szczęście kibla i pakujemy się do jednej z kabin, a Price zamyka drzwi.

- Jestem rozdygotany - mówi Tim wręczając mi małą kopertę. - Otwórz.

Odbieram zawiniątko i ostrożnie otwieram zakładki białej paczuszki. Naszym oczom ukazuje się domniemany gram - prawdopodobnie mniej - kokainy, na którą pada niezbyt jasne, jarzeniowe światło męskiej toalety.

-Jezu - szepcze Price zadziwiająco miękkim głosem. - Nie wygląda na to, że mamy zbyt dużo, prawda? - Pochyla się i wpatruje w narkotyk.

- Może to przez to światło - zauważam.

- Ten Ricardo ma, kurwa, jakiś problem - mówi Price nie odwracając wzroku od koki.

- Ciii... - szepczę wyjmując moją platynową kartę kredytową American Express. - Po prostu przywalmy.

- Czy on to, kurwa, sprzedaje na m i l i g r a m y? - pyta Price. Wtyka swoją platynową kartę AmEx w biały proszek, podnosi do nosa i wciąga. Przez chwilę stoi wyprostowany nie mówiąc ani słowa, a potem wzdycha niskim, gardłowym głosem: - O mój Boże!

- I co? - pytam.

- To jest miligram pierdolonego s ł o d z i k a do herbaty... - krztusi się. Biorę trochę koki i dochodzę do podobnego wniosku. - Z całą pewnością jest słaba, ale jeśli przywalimy wszystko, będzie okay... - Ale Price jest wściekły, ma zaczerwienioną twarz i spocone czoło. Wrzeszczy na mnie, jak gdybym to ja zawinił, jak gdybym to j a wpadł na pomysł kupowania grama od Madisona.

- Chcę się tym naćpać, Bateman - mówi powoli, a jego głos staje się coraz wyższy. - Nie mam zamiaru posypywać Uin pierdolonych płatków owsianych.

- Zawsze możesz dodać to do kawy z mlekiem - odzywa się ktoś z sąsiedniej kabiny.

Price patrzy na mnie z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami, a potem wpada we wściekłość, obraca się i wali pięścią w ściankę działową.

- Uspokój się - mówię. - Tak czy inaczej musimy to skończyć.

- Price odwraca się do mnie i przeciąga dłonią po sztywnych, zaczesanych do tyłu włosach. W końcu przyznaje mi rację: - Tak, skończmy to... - podnosi nagle głos -...jeśli ten pedał, który siedzi obok, nie ma nic przeciwko temu.

Czekamy na jakiś znak i po chwili słyszymy z kabiny obok: - Nie, nie mam nic przeciwko temu...

- Pierdol się - ryczy Price.

- Pierdol się - przedrzeźnia go tamten.

- Nie, to ty się pierdol - odkrzykuje Price i próbuje wspiąć się na aluminiową ściankę działową, ale przytrzymuję go jedną ręką. W kabinie obok słychać spuszczaną wodę i po chwili wypada z niej niezidentyfikowany osobnik, który z pewnością wystraszył się Price'a. Timothy opiera się o drzwi i patrzy na mnie, a na jego twarzy maluję się rozpacz. Pociera drżącą dłonią purpurową twarz i zaciska oczy; ma zbielełe wargi i resztki kokainy pod nosem. - Okay, skończmy to - stwierdza cicho nie otwierając oczu.

- I to jest prawidłowe podejście - przytakuję. Po kolei nabieramy kartami proszek z koperty. To, czego nie da się wyjąć za pomocą platynowych Am Exow, wyciągamy palcami i wciągamy nosem, zlizujemy lub wcieramy w dżiąsła. Nic nie czuję, ale następny J&B może wydobędzie jakiegoś kopa z tej koki i oszuka spragnione WTażęń ciało.

Wychodzimy z kabiny i myjemy ręce, a potem oglądamy się dokładnie w lustrze. Zadowoleni wracamy do Sali Kryształowej. Zaczynam żałować, że nie oddałem do szatni płaszcz (Armani). Po kilku minutach - pomimo obaw Price'a - czuję lekki haj. Staję przy barze i próbuję zwrócić na siebie uwagę laskojada i wkrótce zapominam o płaszczu. Kładę na barze dwadzieścia dolarów, które laskojad łaskawie zauważa. Musiałem tak zrobić, choć mam jeszcze pełno bonów konsumpcyjnych. Forsa działa. Daję jej bony i zamawiam dwie Stoliczne z lodem. Nalewa drinki tuż przede mną.

Czuję się dobrze i krzyczę do barmanki: - Studiujesz w NYU?

Potrząsa głową i nawet nie raczy się uśmiechnąć.

- Hunter? - wrzeszczę.

Znów potrząsa głową. Nie Hunter także nie.

- Columbia? - pytam dowcipnie.

Laskojad gapi się na butelkę z wódką. Postanawiam nie kontynuować rozmowy i rzucam jej niedbale bony, gdy podaje mi drinki. Barmanka potrząsa głową i krzyczy: jest już po jedenastej. Bony tracą ważność. W tym barze płaci się gotówką. Dwadzieścia pięć dolarów. - Nie protestuję, wyciągam portfel ze skóry gazeli i z kamienną twarzą wręczam jej banknot pięćdziesięciodolarowy, na który patrzy - klnę się na Boga - z pogardą w oczach, po czym odwraca się z westchnieniem do kasy i szuka reszty. Nie spuszczam z niej wzroku i odzywam się całkiem głośno i wyraźnie, chociaż moje słowa zagłuszają nieco piosenka "Pump Up The Volume" a rozgadany tłum: - Ty jebana obrzydliwa suko, chciałbym za-dźgać cię nożem i pławić się w twojej krwi. - Przez cały czas uśmiecham się do niej. Nie zostawiam tej piździe żadnego napiwku i odszukuję Price'a, który znów stoi przy poręczach i ponuro wpatruje się w tory zaciskając ręce na stalowej kracie. Paul Owen - ten, który obsługuje rachunek Fischera - ubrany jest w dwurzędowy, zapinany na sześć guzików smoking z wełny i stoi obok Price'a wykrzykując coś, co brzmi mniej więcej tak: - Zrobiłem pięćset powtórzeń wypływu gotówki z obniżoną stopą procentową na ICM PC i pojechałem firmową taksówką do Smitha i Wollensky'ego.

Podaję Timowi drinka i kiwam głową Paulowi. Price nic nie mówi, nawet nie dziękuje. Trzyma drinka w dłoni i patrzy żałośnie na tory, po chwili krzywi się i pochyla głowę nad szklaneczką. Gdy włączają lampy stroboskopowe, Timothy prostuje się i mruczy coś do siebie.

-Jesteś na haju? - pytam go.

-Jak się masz? - krzyczy Owen.

-Jestem bardzo szczęśliwy - mówię.

Muzyka, którą nadają, tworzy jedną, długą, nie kończącą się piosenkę. Utwory zachodzą na siebie, oddziela je jedynie tępy, dudniący rytm, który zagłusza rozmowy - co wcale mi nie przeszkadza podczas wymiany zdań z kimś tak szczwa-nym jak Owen. W Sali Kryształowej jest teraz więcej dziewczyn i próbuję nawiązać wzrokiem kontakt zjedną z nich - w typie modelki z wielkimi cyckami. Price szturcha mnie w bok, pochylam się ku niemu i pytam, czy nie powinniśmy załatwić jeszcze jednego grama.

- Dlaczego nie jesteś ubrany w smoking? - pyta Owen gdzieś za moimi plecami.

- Zostawiam to - krzyczy Price. - Wypadam.

- Co zostawisz? - drę się nic nie rozumiejąc.

- T o - odkrzykuje mając chyba na myśli swoją podwójną Stoliczną.

- Nie - mówię. -Ja to wypiję.

- Posłuchaj mnie, Patricku - wrzeszczy. -Ja odchodzę.

- Dokąd? - naprawdę nic nie rozumiem. - Co chcesz żebym poszukał Ri-carda?

- Odchodzę - krzyczy. -Ja... o d... c h o... d z ę...!

Wybucham śmiechem nie wiedząc o co mu chodzi. - No cóż, dokąd masz zamiar pójść?

- D a l e k o! - krzyczy.

- Nie mów! - odkrzykuję. - Bankowość handlowa?

- N i e, Bateman, mówię poważnie ty głupi skurwysynu. Odchodzę. Znikam.

- Gdzie? - Ciągłe się śmieję, ciągle nic nie rozumiem i ciągle krzycz?. -Morgan Stanley? Odwyk? Co?

Nie patrzy na mnie, nie odpowiada i spogląda na tory tak, jak gdyby chciał odnaleźć wzrokiem punkt, w którym się kończą, jak gdyby pragnął przekonać się, co kryje za sobą ciemność. Price zaczyna być nudny, ale Owen jest jeszcze gorszy a co najlepsze gapi się na mnie.

- Powiedz mu, żeby się nie martwił i był szczęśliwy - wrzeszczy Owen.

- Czy zajmujesz się jeszcze rachunkiem Fishera? - Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Co? - pyta Owen. - Poczekaj. Czy to jest Conrad?

Pokazuje palcem jakiegoś faceta ubranego w jednorzędowy, wełniany smoking z szalowym kołnierzem, bawełnianą koszulę z muszką - wszystko od Pier-re'a Cardina. Gość stoi przy barze tuż pod kryształowym kandelabrem, trzymając w dłoni kieliszek z szampanem i ogląda swoje paznokcie. Owen wyciąga cygaro i prosi o ogień. Jestem tak znudzony, że ruszam w stronę baru, nie prosząc nawet o wybaczenie. Chcę powiedzieć laskojadowi, żeby kopnęła się po zapalki. Sala

Kryształowa jest teraz pełna, wszyscy wyglądają znajomo, wszyscy są do siebie podobni. W powietrzu unosi się ciężki dym z cygar, muzyka - znowu INXS - gra głośniejsz niż przedtem i narasta, ale ku czemu? przez pomyłkę dotykam brwi i stwierdzam, że moje palce są wilgotne. Biorę zapaliki z baru. W drodze powrotnej wpadam na McDermotta i Van Pattena, którzy zaczynają błagać mnie o bony na alkohol. Daję im wszystko co mi zostało, choć wiem, że nie są już ważne. Wokół panuje taki ścisk, że trudno się ruszyć i nawet darmowe drinki nie są w stanie przekonać Van Pattena, by wybrał się w stronę baru.

- Same zdziury - krzyczy Van Patten. - Uważaj. Ani jednego laskojada.

- Piwnica śmierdzi - wrzeszczy McDermott.

- Przywaliliście coś? - drze się Van Patten. - Widzieliśmy Ricarda.

- Nie - krzyczę. - Nie potwierdzam. Madison nic nie znalazł.

- Obsługa, do cholery, obsługa - krzyczy jakiś facet za moimi plecami.

- To bez sensu - wrzeszczę. - Nic nie słyszę.

- Co? - drze się Van Patten. - Nic nie słyszę.

Nagle McDermott chwyta mnie za ramię. - Kurwa, spójrz co robi Price.

I zupełnie jak w kinie odwracam się i nie bez trudu wspinam na palce po to, by zobaczyć Price'a stojącego chwiejnie na poręczy. Ktoś podaje mu kieliszek szampana, a Tim - pijany albo naćpany - wyciąga obie ręce, zamyka oczy i udziela błogosławieństwa tłumowi. Za jego plecami migoczą bezustannie lampy stroboskopowe, maszyna produkująca dym pracuje pełną parą otaczając Price'a szarą, unoszącą się mgiełką. Tim krzyczy coś, file oczywiście nie mogę usłyszeć co - sala jest przepełniona, hałas rozdziera uszy zabójczą kombinacją piosenki "Party All The Time" Eddie Murphy'ego i ryku biznesmenów. Przepycham się do przodu ze wzrokiem wlepionym w Price'a, mijam Madisona, Roba, Turnballa, Cun-ninghama i kilku innych. Dalej tłum jest bardziej zwarty i nie ma nawet co próbować. Tylko kilka twarzy zwróconych jest w stronę Tima, który ciągle balansuje na poręczy z przymkniętymi oczyma. Krzyczy coś. Wstydzę się za niego i odczuwam ulgę, że utknąłem w tłumie, że nie mogę się do niego dostać, ocalić od wszechogarniającej pogardy. Na sekundę zapada cisza i słyszę wyraźnie, jak Price krzyczy: "Do widzenia!" Tłum wreszcie zwraca na niego uwagę. "Pojeby!". Tim

odwraca się z wdziękiem i zeskakuje z poręczy na tory. Zaczyna biec przyciskając do boku kieliszek z szampanem. Potyka się raz, dwa razy, lampy stroboskopowe wciąż migoczą, odzyskuje równowagę i znika w ciemności. Strażnik siedzący obok poręczy patrzy leniwie za Timem rozplywającym się w tunelu. Potrząsa głową (jak mi się wydaje).

- Price! Wracaj! - wrzeszczę. Tłum bije brawo, podoba im się przedstawienie, jakie zrobił z siebie Tim. - Price! - krzyczę jeszcze raz ponad oklaskami. Lecz Timothy zniknął, a nawet gdyby mnie słyszał, to nie sądzę, by zechciał wrócić. Stojący obok Madison wyciąga do mnie rękę, jak gdyby chciał mi złożyć gratulacje. - Ten facet jest n i e s a m o w i t y!

Za moimi plecami wyrasta McDermott i ciągnie mnie za ramię. - Czy Price zna tutaj jakąś salę dla VIP-ów, o której my nie wiemy? - Wygląda na zmartwionego.

Stoję na zewnątrz Tunelu, jestem na haju i bardzo zmęczony. W ustach czuję dziwny smak słodzik Nutra Sweet, chociaż wypilem jeszcze dwie Stoliczne i pół szkockiej. Jest wpół do pierwszej, a my gapimy się na limuzyny skręcające w lewo na drogę szybkiego ruchu West Side. Dyskutujemy we trójkę o namiarach nowego klubu, który nazywa się Nekenieh. Chyba jednak nie jestem na haju, raczej odrobinę pijany.

- Lunch? - pytam ziewając. - Jutro?

- Nie mogę - odpowiada McDermott. - Strzygę się u Pierre'a.

- A może śniadanie? - proponuję.

- Raczej nie - stwierdza Van Patten. - Manikiur u Gio.

- Dobrze, że mi przypomniałeś - mówię patrząc na swoje dłonie. - Mnie też by się przydał.

- A może obiad? - zwraca się do mnie McDermott.

- Umówiłem się na randkę - mówię. - Kurwa.

- A ty? - McDermott pyta Van Pattena.

- Nie wyrobię się - odpowiada Van Patten. - Muszę iść do Sunmakers. A potem mam prywatny trening.

BIURO

Fredrick Dibble, którego spotykam w windzie, opowiada mi o artykule ze Strony Szóstej (a może z jakiejś innej plotkarskiej rubryki) poświęconym Iwanie Trump, a następnie o nowej włosko-tajlandzkiej restauracji na Upper East Side, którą odwiedził poprzedniego wieczoru z Emily Hamilton. Potem zaczyna bre-

dzić o wielkim, gównianym fusilli, które tam podają. Wyjmuję mojego złotego Crossa i zapisuję nazwę restauracji w notatniku. Dibble ubrany jest w dwurzędowy garnitur w delikatne prążki od Canali Milano, bawełnianą koszulę od Billa Blassa, jedwabny krawat w drobną szkocką kratkę zakupiony w Bill Blass Signature, a na rękę trzyma płaszcz przeciwdeszczowy od Missoni Uomo. Fredrick ma dobrze ułożoną kosztowną fryzurę, na którą patrzę z podziwem słuchając jednocześnie, jak gwizdże do wtóru muzakowi - jest to chyba smyczkowa wersja "Sympathy For The Devil" - nadawanemu we wszystkich windach w naszym budynku. Chcę właśnie zapytać Dibble'a, czy oglądał dziś rano The Patty Winters Show - tematem programu był autyzm - jednak Fredrick wysiada piętro niżej. Przed wyjściem z windy powtarza nazwę restauracji: "Thaidialano", a potem dodaje: "Do zobaczenia, Marcus" i rusza przed siebie. Zamykają się drzwi windy. Dzisiaj mam na sobie wełniany garnitur w drobny trójkątny rzucik i spodnie z zakładkami od Hugo Bossa, jedwabny krawat, także od Hugo Bossa, szeroką, bawełnianą koszulę od Josepha Abbouda i buty od Brooks Brothers. Podczas porannej toalety za mocno wyczyściłem zęby niemi dentystycznymi i czuję w ustach metaliczny smak połkniętej krwi, która osadziła się z tyłu gardła. Później płukałem usta Listerine'a, która do tej pory pali mnie w podniebienie, mimo to uśmiecham się wysiadając z windy (sam nie wiem do kogo). Mijam skacowanego Wittenborna i idę dalej machając swoją nową skórzaną dyplomatką od Bottega Veneta.

Moja sekretarka, Jean - zakochana we mnie po uszy, prawdopodobna kandydatka do wyjścia za mnie za mąż - siedzi przy swoim biurku i jak zwykle zwraca na siebie uwagę niemożliwie drogim i całkowicie nieodpowiednim strojem: kaszmirowym kardiganem od Chanel, kaszmirową bluzką z wykładanym kołnierzem i kaszmirowym szalikiem, kolczykami ze sztucznych pereł i spodniami z krepy od Barleya. Zdejmuję z szyi słuchawki walkmana i podchodzę do jej biurka. Jean podnosi głowę i uśmiecha się nieśmiało.

- Spóźniamy się - zauważa.

- Aerobik - odpowiadam spokojnie. - Wybacz. Jakież wiadomości?

- Ricky Hendricks musiał odwołać - informuje mnie. - Nie powiedział mi, co odwołuje ani dlaczego.

- Czasami trenuję boks z Rickym w Harvard Club - wyjaśniam. - Coś jeszcze?

- I... Spencer chce się z tobą spotkać we Fleciku przy Nabrzeżu 17 - mówi uśmiechając się.

- Kiedy?

- Po szóstej.

- Odpowiedź negatywna - oświadczam wchodząc do biura. - Odwołaj to.

Jean wstaje i idzie za mną. - Och, co mam mu powiedzieć? - pyta rozbawiona.

- Wystarczy... powiedzieć... nie - zdejmuję płaszcz od Armaniego i wieszam go na wieszaku od Alexa Loeba, który kupiłem u Bloomingdale'a.

- Wystarczy.. powiedzieć... nie? - powtarza.

- Widziałas The Patty Winters Show dzisiaj rano? - pytam. - O autyzmie?

- Nie - uśmiecha się oczarowana moim przywiązaniem do tego programu. - Co mówili?

Biorę do ręki poranne wydanie Wall Street Journal i omiatam wzrokiem pierwszą stronę - wszystko wydaje mi się jedną wielką, rozmazaną i bezsensowną plamą atramentu. - Chyba miałem halucynacje oglądając ten program. Nie wiem. Nie jestem pewien. Nie pamiętam - mruczę odkładając journal i podnosząc dzisiejszy egzemplarz Financial Times. - Naprawdę nie wiem. - Jean stoi obok czekając na dalsze instrukcje. Wzdycham i składam ręce siadając za biurkiem ze szklanym blatem od Palazettiego. Obydwie lampy halogenowe stojące po przeciwnych stronach

blatu są już włączone. - W porządku, Jean - zaczynam. - Muszę mieć rezerwację na trzy osoby w Camols o wpół do pierwszej, a jeśli nie tam to spróbuj w Kredkach, okay?

- Tak, proszę pana - mówi żartobliwie i zbiera się do wyjścia.

- Zaczekaj - zatrzymuję ją, ponieważ coś mi się przypomniało. - Muszę mieć także rezerwację w Arcadii na dwie osoby o ósmej.

Odwraca się, a kąciki jej ust opadają nieco, chociaż udaje jej się zachować uśmiech. - Och, coś... romantycznego?

- Ależ skąd, niemądra. Zapomnij o tym - mówię. - Sam załatwię tę rezerwację. Dzięki.

- Nie, ja to zrobię - nalega.

- Nie, nie - mówię machając ręką. - Bądź laleczką i przynieś mi Perrie-ra, okay?

- Ładnie dzisiaj wyglądasz - mówi przed wyjściem.

Ma rację, ale postanawiam milczeć. Patrzę przez całą długość biura na obraz Georga Stubbsa wiszący na ścianie i zastanawiam się, czy nie powinienem go przesunąć - wydaje mi się, że jest zbyt blisko stereofonicznego radia AM/FM Aiwa, magnetofonu kasetowego z dwiema kieszeniami, półautomatycznego gramofonu napędzanego paskiem klinowym, korektora graficznego i stojących na półkach głośników odpowiadających barwą błękitom, portretu dobermana rzeczywistej wielkości (700 dolarów w galerii "Piękna i Bestia" w Wieży Trumpa), który wisi w rogu; a może powinienem umieścić go nad antycznym stolikiem od Pacrizinni, który stoi obok dobermana? Wstaję, usuwam leżące na antyku pisma sportowe z lat czterdziestych po trzydziści dolarów za sztukę - które kupiłem w Funchies, Bunkers i Gaks and Gleeks - zdejmuję ze ściany dzieło Stubbsa i stawiam je na stoliku, po czym wracam za biurko i bawię się ołówkami, które trzymam w niemieckim kuflu do piwa kupionym w Man-tiques. Stubbs wygląda dobrze zarówno na ścianie, jak i na nowym miejscu. W przeciwnym rogu biura stoi reprodukcja stojaka na parasole Black Forest (675 dolarów u Huberta des Forges). Zauważam, że nie ma w niej mojego parasola.

Włączam kasetę Paula Butterfielda, wracam za biurko i przeglądam wydanie Sports Illustrated?, zeszłego tygodnia, lecz nie mogę się skoncentrować. Ciągłe myślę o tym cholernym łóżku do opalania, które kupił Van Patten. W końcu zmuszony jestem podnieść słuchawkę i zadzwonić do Jean.

- Tak? - odpowiada.

- Jean, posłuchaj, miej oczy szeroko otwarte na łóżko do opalania, okay?

- Co? - pyta z niedowierzaniem, a mimo to jestem pewny że się uśmiecha.

- No wiesz, łóżko do opalania - mówię niedbale. - Takie... żeby się można było opalić.

- Okay... - odpowiada z wahaniem. - Coś jeszcze?

- L... o kurwa, przypomnij mi, żebym zwrócił kasety do wypożyczalni. - Zamykam i otwieram srebrne pudełko do cygar stojące obok telefonu..

- Coś jeszcze? - powtarza, a potem dodaje kokieteryjnie: - Może napijesz się Perriera?

- Taa, to brzmi zachęcająco. L... Jean?

- Tak - mówi spokojnie. Jej cierpliwość sprawia mi ulgę.

T Nie uważasz chyba, że oszalałem? - pytam. - Z powodu tego łóżka?

Milczy przez chwilę, a potem śmiesz się: - No cóż, jest to trochę niezwykle... - bardzo starannie dobiera słowa. - Ale, oczywiście nie uważam, że oszalałem. To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie ma innego sposobu zadbania o tę diabelsko przystojną opaleniznę.

- Miła jesteś - mówię i odkładam słuchawkę. Mam wspaniałą sekretarkę. Pięć minut później wchodzi do mojego biura z Penierem z dodatkiem li-

mony. Niesie także teczkę Ransoma, której nie musiała przynosić - czuję się wzruszony jej absolutnym oddaniem, które - czego nie da się ukryć - pochlebia mi.

- Masz zarezerwowany stół w Camols o wpół do pierwszej - oznajmia nalewając Perriera do szklanego kubka. - W sali dla niepalących.

- Mogłabyś zmienić ubranie. Nie zakładaj tego nigdy więcej - mówię omiatając ją wzrokiem. - Dzięki za teczkę Ransoma.

- Umm... - jaką się podając mi Perriera, wreszcie pyta: - Słucham? Nie zrozumiałam co powiedziałeś... - Stawia wodę mineralną na biurku.

- Powiedziałem - powtarzam spokojnie z uśmiechem na ustach - żebyś nigdy więcej nie ubierała się tak jak dzisiaj. Załóż sukienkę, spódnicę albo coś w tym rodzaju.

Stoi przede mną tylko odrobinę zdziwiona. Spogląda na siebie i uśmiecha się jak kretyńska: - Rozumiem, że nie podoba ci się mój ubiór - oznajmia pokornie.

- Och przestań - mówię sącząc Perriera. - jesteś zbyt ładna, by nosić coś takiego.

- Dziękuję. Patricku - odpowiada sarkastycznie, ale jestem gotów założyć się, że jutro przyjdzie w sukience. Dzwoni telefon na jej biurku. Mówię jej, że mnie nie ma. Odwraca się do wyjścia.

-1 pantofle na wysokich obcasach - rzucam mimochodem. - Lubię pantofle na wysokich obcasach.

Wychodząc kręci dobrodusznie głowę, po czym zamyka drzwi. Wyjmuję z kieszeni elektroniczny zegar Panasonic z wbudowanym trzycalowym ekranem telewizyjnym i odbiornikiem radiowym AM/FM i próbuję znaleźć coś do oglądania - mam nadzieję, że nadają gdzieś Vii Banquet - a potem siadam przed komputerem.

SALON ODNOWY BIOLOGICZNEJ

Klub odnowy biologicznej, którego jestem członkiem, nazywa się Xclusive i jest prywatną własnością. Znajduje się w odległości czterech przecznic od mojego apartamentu na Upper West Side. Należę do klubu już od dwóch lat i w tym czasie zmieniano jego wystrój trzykrotnie. Sale wyposażone są w maszyny treningowe (Nautilus, Universal, Keiser) i duży zestaw wolnych ciężarów, których również lubię używać. W klubie jest dziesięć kortów tenisowych i racquetballowych, odbywają się zajęcia z aerobiku (w czterech studiach do tańca), są dwa baseny pływackie, rowery treningowe Lifecycles, maszyna Gravitron, maszyna wioślarska, deptak mechaniczny, maszyna narciarska. Członkowie klubu mogą odbywać prywatne treningi, zamawiać pomiary ciśnienia krwi i tętna, własne programy ćwiczeń, masaż, saunę, parówki, opalanie, kabiny z kwarcówkami, mają wreszcie prawo do korzystania z kawiarni i baru z napojami. Klub został zaprojektowany przez J. J. Vogela - tego samego, który zrobił wystrój nowego klubu Normana Pragera o nazwie Petty's. Karta członkowska kosztuje pięć tysięcy dolarów rocznie.

Dziś rano było chłodno, lecz gdy wychodzę z biura wydaje mi się, że jest ciepło. Ubrany jestem w dwurzędowy garnitur (z sześcioma guzikami) w jasne prążki od Ralpha Laurena, bawełnianą koszulę Sea Island w paski szerokości ołówka, z rozkładanym kołnierzykiem oraz francuskimi mankietami - również z kolekcji Polo. Z wdziękiem zdejmuję ubranie w klimatyzowanej szatni, a następnie wciągam kruczoczarne szorty z białym pasem i bocznymi paskami z ba-

wełny i lycry oraz bawełniano-lycrowsy sportowy podkoszulek - całość od Wilke-sa. Mój strój treningowy daje się złożyć tak ciasno, że mogę go nosić w aktówce. Gdy kończę przebieranie, zakładam na szyję słuchawki walkmana (magnetofon mocuję przy szortach z bawełny i lycry). Dzisiaj mam zamiar słuchać nagrań Ste-phena Bishopa i Christophera Crossa, które przygotował dla mnie Todd Hunter. Przed wejściem do sali sprawdzam swój wygląd w lustrze. Nie jestem zadowolony - wracam więc do szatni, wyjmuję z aktówki żel do włosów i nawilżacz. Zauważyłem małą plamkę pod dolną wargą; traktuję ją środkiem odkażającym Clinique Touch-Stick. Zadowolony z efektu włączam walkmana, podkręcam głośność i wychodzę z szatni.

Cheryl - kluchowata dupa, która kocha się we mnie - siedzi za swoim biurkiem i zapisuje nazwiska wchodzących. Teraz jednak czyta rubrykę plotek w 77/e Post, a gdy mnie zauważy, cała kraśnieje. Mówi do mnie "cześć", lecz przechodzę szybko dalej udając, że jej nie widzę. Na szczęście nie ma kolejki do Stainna-stera - zazwyczaj czeka się około dwudziestu minut. Za pomocą Stairmastera ćwiczy się największe grupy mięśni w ludzkim ciele (pomiędzy biodrami a kolanami) i spala więcej kalorii na minutę niż podczas innych form treningowych, może z wyjątkiem narciarstwa klasycznego.

Powinienem najpierw wykonać kilka ćwiczeń rozciągających, ale gdybym /decydował się na nie, musiałbym czekać w kolejce -już teraz stoi za mną jakiś pedał i gapi się pewnie na moje plecy, tyłek i nogi. W sali gimnastycznej nie ma dzisiaj żadnych laskojadów, same pedały z West Side - prawdopodobnie aktorzy bez angażu, która- dorabiają sobie jako nocni kelnerzy - i Muldwyn Butner od Sachsa, z którym byłem w Exeter. Muldwyn ćwiczy bicepsy przy maszynie i ubrany jest w nylonowo-lycrowskie szorty do kolan z zaszewkami w szachownice, bawełniano-lycrowską koszulkę gimnastyczną i skórzane Reeboki. Po dwudziestu minutach schodzę ze Stairmastera,

ustępując miejsce nadmiernie umięśnionemu pedałowowi w średnim wieku z wypłowiałą fryzurą. Rozpaczam ćwiczenia rozciągające i przypominam sobie The Patty Winters Show, który oglądałem dzisiaj rano. Tematem programu były duże piersi i jedną z zaproszonych do wyięcia udziału w dyskusji była kobieta, która poddała się zabiegowi zmniejszenia biustu, ponieważ uważała, że jej cycki były za duże - głupia dziwka. Natychmiast zadzwoniłem do McDermotta, który także oglądał ten kanał i obydwaj wyśmiewaliśmy się z baby przez całą resztę programu. Rozciągam się przez piętnaście minut, a następnie przechodzę do Nautilusa.

Miałem swojego osobistego trenera, którego polecił mi Luis Carruthers, ale zeszłej jesieni facet zaczął się do mnie przystawiać, postanowiłem więc opracować własny program treningowy, obejmujący aerobik i ćwiczenia wytrzymałościowe. Jeśli chodzi o ciężary, używam zarówno hantli, jak i maszyn - z hydrauliczną, pneumatyczną jak i elektromechaniczną przeciwwagą. Większość maszyn jest

bardzo efektywna, bowiem wyposażono je w klawiatury komputerowe, które umożliwiają wprowadzanie niezbędnych zmian w doborze przeciwwagi bez konieczności wstawiania. Innym pozytywnym aspektem trenowania na maszynach jest zminimalizowanie przeciążenia mięśni i całkowite bezpieczeństwo ćwiczeń. Czasami jednak wolę używać wolnych ciężarów ze względu na różnorodność i dowolność ćwiczeń - co nie zawsze jest osiągalne na maszynach.

Wykonuję pięć zestawów ćwiczeń z dziesięcioma powtórzeniami na maszynie trenującej mięśnie nóg. To samo jeśli chodzi o plecy. Następnie sześć zestawów z piętnastoma powtórzeniami na brzuchu i siedem zestawów z dziesięcioma powtórzeniami przy maszynie rozwijającej bicepsy. Przed przejściem na wolne ciężary spędzam dwadzieścia minut na rowerze treningowym czytając jednocześnie nowe wydanie magazynu Money. Dalej ćwiczenia rozciągające nogi - trzy zestawy po piętnaście powtórzeń; następnie wymachy i wyciskanie nogami, trzy zestawy z dwudziestoma powtórzeniami na sztandze, trzy zestawy z dwudziestoma powtórzeniami skłonów z pozycji leżącej - co pomaga rozwinąć mięśnie kapturowe pleców - trzy zestawy z dwudziestoma powtórzeniami skłonów w pozycji stojącej, sprężyny, martwe ciężary i skłony ze sztangą. Jeśli chodzi o Watkę piersiową, wykonuję trzy zestawy z dwudziestoma powtórzeniami wyciskania na ławce uchylniej. Dalej trzy zestawy skłonów i wyciskania na siedząco. Na koniec trening tricepsów - trzy zestawy po dwadzieścia powtórzeń pompek i wyciskanie na ławce. Potem już tylko ćwiczenia rozluźniające, które pomagają ochłodzić po wysiłku, prysznic i szybko do wypożyczalni kaset, gdzie muszę oddać dwie taśmy, które przetrzymuję, od poniedziałku: Więzienie dki kobiet i Sobowtóra. Decyduję się jednak przedłużyć termin oddania Sobowtóra - chciałbym jeszcze raz obejrzeć ten film dziś wieczorem, chociaż wiem, że i tak nie będę miał dość czasu, by onanizować się przy scenie, w której mordują kobietę Za pomocą wiertarki, ponieważ o wpół do ósmej mam randkę z Courtney w Cale Luxembourg.

RANDKA

Wracając do domu po treningu w Xclusive (zakończonym intensywnym masażem shiatsu) zatrzymuję się przy kiosku z gazetami obok mojego domu. Przeglądam regał Tylko Dla Dorosłych. Na uszach mam słuchawki walkmana -kojące dźwięki Kanonu Pachelbela w jakiś dziwny sposób dodają uroku ostro oświetlonym fotografiom na laminowanym papierze w pismach, które oglądam. Kupuję Lesbijskie dziwki i Wibratora oraz Pizda na Piździe, a także Sports Illu-stratedi nowe wydanie Esquire - chociaż abonuję te dwa ostatnie magazyny i odebrałem je wraz z pocztą. Czekam aż zniknie ostatni klient i dopiero wtedy dokonuję zakupu. Sprzedawca mówi coś pokazując na swój haczykowaty nos. Podaje mi pisma wraz z resztą. Ścisza magnetofon i unoszę jedną słuchawkę znad ucha. Pytam: - Co? - Sprzedawca ponownie dotyka nosa i wypowiada z silnym niezrozumiałym akcentem kilka słów, które brzmią jak: - Pana nołs kłfafi. - Stawiam na ziemi aktówkę Bottega Venneta i dotykam palcem twarzy. Gdy spoglądam na palec widzę, -be jest czerwony, wilgotny od krwi. Sięgam do płaszcza od Hugo Bossa i wydaję chusteczkę z kolekcji Polo. Wycieram krew, dziękuję kiwnięciem głowy, zsuwam na oczy lotnicze okulary przeciwsłoneczne Wayfarer i wychodzę. Pierdolony Irańczyk.

W hollu domu, w którym mieszkam, zatrzymuję się przy recepcji i próbuję zwrócić na siebie uwagę ciemnego, latynoskiego portiera, którego widzę pierwszy raz. Portier konwersuje przez

telefon - z żoną, dostawcą albo innym ćpunem - i gapi się na mnie kiwając głową. Przyciska słuchawkę ramieniem do przedwcześnie pomarszczonej szyi. Gdy dociera wreszcie do niego, że mam zamiar zapytać go o coś, wzdycha, przewraca oczami i każe poczekać temu, z kim rozmawia.

- Taaa, oczochodzi? - mamrocze pod nosem.

- Otóż... - zaczynam tonem tak delikatnym i uprzejmym, na jaki tylko mnie stać -... czy byłby pan łaskaw przekazać administratorowi, że na moim suficie pojawiło się pęknięcie...? - Milknę.

Patrzy na mnie tak, jak gdybym spadł z Marsa. Zaczynam zastanawiać się, czy użyłem właściwych słów: być może nie rozumie, co to znaczy "pęknięcie", "administrator", "sufit" czy wreszcie nawet "łaskaw"?

- Oczosierozchodzi? - wzdycha ciężko, pochyla plecy i nie przestaje wpatrywać się we mnie.

Spoglądam na marmurową podłogę, także wzdycham i mówię: - Posłuchaj pan..., sam nie wiem..., powiedz pan administratorowi, że był tu Bateman z dziesiątego... - Kiedy podnoszę głowę, chcąc sprawdzić czy pojął coś z tego, co mówię, zauważam przed sobą maskę bez wyrazu, która jest twarzą grubego, skretyniałego portiera. Jestem dla niego duchem, czymś niepojętym, co z drugiej strony stanowi poważną życiową przeszkodę której postanawia się pozbyć kiwając głową i wracając do przerwanej rozmowy prowadzonej w całkowicie niezrozumiałym dla mnie dialekcie.

Zabieram pocztę - katalog Polo, wyciąg z American Express, czerwcowe wydanie Playboya, zaproszenie na przyjęcie firmowe w nowo otwartym klubie o nazwie Bedlam - i ruszam do windy. Wchodzę do niej z nosem utkwionym w katalogu Ralpha Laurena, naciskam przycisk swojego piętra, a następnie przycisk zamykający drzwi, gdy nagle do windy wpada jakaś postać - na szczęście drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć. Instynktownie podnoszę głowę, by powiedzieć dzień dobry i widzę przed sobą Toma Cruise'a, aktora, który mieszka w eks-

kluzywnej nadbudówce na szczycie domu. Chcę być uprzejmy i naciskam guzik NB nie pytając go o piętro. Dziękuję mi kiwnięciem głowy i wpatruje się w cyferki pięter zapalające się jedna po drugiej nad drzwiami windy. Jest znacznie niższy, niż przypuszczałem i podobnie jak ja ma na nosie ciemne okulary Wayfarer. Ubrany jest w dżinsy, biały podkoszulek i marynarkę Armani. Chcąc przerwać niezręczne milczenie, odchrząkuje i mówię:

- Podobała mi się ta rola w Barmanie. Uważam, że jest to całkiem niezły film, tak samo zresztą jak Top Guń. Obydwa są bardzo interesujące.

Odrywa wzrok od cyferek i patrzy na mnie. - Nazywa się Koktajl - mówi cicho.

- - Przepraszam? - pytam zmieszany.

Cruise chrząka i powtarza: - Koktajl, a nie Barman. Film nazywa się Koktail. Zapada długie milczenie -jedynym dźwiękiem, który przerwa ciężką, niezręczną ciszę, jest skrzypienie kabli wciągających windę do góry.

- Och tak... Racja... - mówię udając, że przypomniałem sobie tytuł.

- KoktjijJTak., zgadza się - wykrzykuje. - No, wspaniale Bateman, o czym ty myślisz? - potrząsam głową, jak gdyby wyrывая się z zadumy, a następnie, by pokryć zmieszanie, wyciągam do niego rękę. - Cześć, Pat Bateman.

Cruise potrząsa nią ostrożnie.

- I cóż - mówię. -Jak ci się mieszka w naszym domu? Zwleka dosyć długo z odpowiedzią: - Chyba nieźle.

- Tak, ten dom jest wspaniały - mówię. - Prawda.

Kiwa głową nie patrząc na mnie. Sam nie wiedząc dlaczego, ponownie naciskam guzik swojego piętra. Stoimy nic nie mówiąc.

- Tak więc... Koktajl - odzywam się po chwili. - Teraz już nie zapomnę. Cruise nie komentuje mojej uwagi, nie kiwa nawet głową, chociaż wpatruje się we mnie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Zsuwa okulary i mówi krzywiąc się lekko: - Hinm... twój nos krwawi.

Przez moment stoję nieruchomo niczym skała, a potem zdaję sobie sprawę, że powinienem coś zrobić, I Idaję kompletne zaskoczenie, dotykam z niedowierzaniem nosa, wyciągam chusteczkę Polo - na której wyraźnie widać brązowe plamy krwi - i wycieram nią okolice górnej wargi. Udaje mi się jakoś opanować ten kryzys. - To przez tę wysokość - śmieję się. - Dotykamy głowami nieba. Kiwa głową nic nie mówiąc i dalej patrzy na cyferki.

Winda zatrzymuje się na moim piętrze, otwierają się drzwi. Przed wyjściem jeszcze raz odwracam się do Toma: -Jestem twoim wielkim fanem. Cieszę się, że w końcu cię poznałem.

, -Jasne, w porządku - Cruise obdarowuje mnie swoim słynnym uśmiechem i wali palcem w guzik zamykający drzwi.

Dziewczyna z którą mam się spotkać dziś wieczór - Patricia Worrell, modelka, blondynka, zaliczony jeden semestr w Sweet Briar - zostawiła dwie wiadomości w automatycznej sekretarce podkreślając za każdym razem, że koniecznie muszę do niej zadzwonić. Rozluźniam jedwabny krawat od Billa Robinsona, którego błękitny wzór jest inspirowany malarstwem Matisse'a i wybieram numer Patridi przechodząc przez całą długość mieszkania z bezprzewodowym telefonem w dłoni, by włączyć klimatyzację.

Podnosi słuchawkę po trzecim sygnale. - Halo?

- Patricia. Cześć. Mówi Pat Bateman.

- Och, cześć - odpowiada. - Posłuchaj, mam rozmowę na drugiej linii. Czy mogę do ciebie oddzwonić?

- No cóż... - mówię.

- Zrozum, rozmawiam ze swoim salonem odnowy biologicznej - tłumaczy mi. - Spieprzyli mój rachunek. Zadzwoń do ciebie za sekundę.

- Dobra - mówię i rozłączam się.

Przechodzę do sypialni i zdejmuję dzisiejsze ubranie: wełniany garnitur w jodełkę z pofałdowanymi spodniami od Giorgia Correggiariego, bawełnianą koszulę oksfordzką od Ralph, i Laurena, włóczkowy krawat od Paula Stuara i zamszowe buty od Cole-Haana. Wskakuję w spodenki bokserskie za sześćdziesiąt dolarów kupione u Barneya i wykonuję kilka ćwiczeń rozciągających nie wypuszczając telefonu z dłoni - czekam na to, co powie Patricia. Po dziesięciu minutach gimnastyki, odzywa się telefon. Odpowiadam po sześciu sygnałach.

- Cześć - mówi. - To ja, Patricia.

- Zaczekaj chwilę. Mam inną rozmowę.

- Jasne - odpowiada.

Każę jej czekać przez dwie minuty, a potem powracam na linię. - Cześć -mówię. - Wybacz.

- Nic się nie stało.

- To co? Obiad - mówię. - Wpadniesz do mnie koło ósmej?

- No właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać - cedzi każde słowo.

- O nie - jęczę. - O co chodzi?

- No więc, rozumiesz, chodzi o to... - zaczyna -...że jest ten koncert w Radio City i...

- Nie, nie, nie - odpowiadam stanowczo. - Żadnej muzyki.

- Ale mój eks-chłopak, ten klawiszowiec z Sarah LawTence, jest w grupie wspomagającej i... - przerywa, jak gdyby chciała przygotować się do stawienia mi czoła.

- Nie. Nic z tego, Patricio - mówię z naciskiem i dodaję w myślach: Kurwa, dlaczego akurat ja muszę mieć taki problem, dlaczego akurat dzisiaj?

- Och, Patricku - skomli w słuchawkę. - Będzie naprawdę śmiesznie.

Jestem niemal pewny, że istnieje duża szansa na pójście do łóżka z Patricia tej nocy, ale nie wtedy, gdy pójdziemy na koncert z eks-chłopakiem (Patricia nie ma eks-chłopaków, bądźmy szczerzy) w zespole wspomagającym.

- Nie lubię koncertów - informuję ją, idąc do kuchni. Otwieram lodówkę i wydaję litrową butelkę wody Evian. - Nie lubię koncertów - powtarzam. -Nie lubię muzyki "na żywo".

- Ale ten będzie zupełnie i n n y - przerywa mi i dodaje bez sensu: - Mamy dobre miejsca.

- Posłuchaj, nie ma się o co spierać, jeśli, chcesz iść, i d ż.

- Ale sądziłam, że chcemy być r a z e m - miauczy z podniecenia. - Sądziłam, że zjemy o b i a d - zastanawia się przez chwilę i zmienia koncepcję: - Będziemy razem we d w o j e.

- Wiem, wiem - przerywam jej. - Posłuchaj, wszyscy powinni robić to, na co mają ochotę. Chcę, żebyś poszła na ten koncert, jeśli tak ci na nim zależy.

Milczy przez moment i próbuje podejść mnie od innej strony: - Ta muzyka jest tak piękna, tak... wiem, że zabrzmi to egzaltowanie... tak wyjątkowo cudo w-n a. Zobaczysz zespół, jakiego jeszcze

nie widziałaś. Są zabawni, wspaniali, a muzyka jest świetna i... o rany... tak bardzo bym chciała, żebyś ich zobaczył. Gwarantuję ci, że cudownie spędzimy czas. - W jej głosie słysząc zapal.

- Nie, nie idź sama - powtarzam. - Baw się dobrze.

- Patricku - krzyczy. - Ja mam dwa bilety.

- Nie, nie lubię koncertów - mówię. - Muzyka na żywo bardzo mnie irytuje.

- No cóż - w jej głosie słysząc chyba nie udawane rozczarowanie. - Będzie mi przykro, że nie poszedłeś ze mną.

- Mówię ci, idź i baw się dobrze. - Zdejmuję nakrętkę z butelki wody Evian przygotowując swoje następne posunięcie. - Nie martw się. Sam pójde do Dor-sii. Nic wielkiego.

Zapada długie milczenie, które według mnie może oznaczać jedynie: aha, mam cię, zastanów się dobrze, czy warto iść na ten wszawy, pojebany koncert. Wypijam duży łyk Evian czekając aż powie mi, o której ma zamiar pojawić się u mnie.

- Dorsia? - pyta, a potem dodaje podejrzliwie: - Masz rezerwację w Dor-sii? Dla nas?

- Tak - odpowiadam. - O ósmej trzydzieści.

- No cóż... - słyszę urywany śmiech i drżenie w jej głosie. - To było... no cóż, chciałam powiedzieć, że w zasadzie widziałam już ten zespół. Chciałam jedynie, żebyś ty ich zobaczył.

- Posłuchaj, co chcesz w końcu robić? - pytam. - Jeśli nie zdecydujesz się pójść ze mną, zadzwonię do kogoś innego. Masz numer Emily Hamilton?

- Ojej, Patricku, nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany... - chichocze nerwowo. - Ten zespół ma jeszcze dwa koncerty, więc mogę ich zobaczyć jutro. Posłuchaj, uspokój się, okay?

- Okay - mówię. - Jestem spokojny.

- Dobrze, o której mogę pojawić się u ciebie? - pyta Restauracyjna Zdzira.

- Mówiłem już: o ósmej - powtarzam zdegustowany.

- W porządku - odpowiada i dodaje uwodzicielskim szeptem: - Do zobaczenia o ósmej. - Nie rozłącza się, jak gdyby czekała, że coś jeszcze powiem albo pogratuluje jej słusznej decyzji. Nie mam jednak czasu na dalsze dysputy i szybko odkładam słuchawkę.

Sekundę później biegnę przez pokój, chwytam przewodnik Zagata i odszukuję telefon Dorsii. Drżącymi palcami wybieram numer. Zajęty. Ogarnia mnie panika, włączam w aparacie funkcję ciągłego powtarzania połączenia, lecz przez następne pięć minut w słuchawce buczy krótki sygnał - powtarza się ze złowrogą pewnością przebranej. W końcu odzywa się jeden długi sygnał dzwonienia i przez kilka sekund, zanim odebrano telefon, doświadczyłem najbardziej niezwykłego ze wszystkich zjawisk - uderzenia adrenaliny.

- Dorsia - mówi ktoś o trudnej do określenia płci: hermafrodyta z powodu hałasu panującego w tle. - Proszę poczekać.

Jest tam tylko odrobinę ciszej niż na stadionie piłkarskim; resztkami odwagi, jaka mi została, zmuszam się do trwania przy telefonie i kontynuowania połączenia. Czekam przez następne pięć minut, moja dłoń jest mokra od potu, zdrętwiała od kurczowego ściskania słuchawki bezprzewodowego aparatu; jakaś część mnie pojmuję daremności wysiłków, inna ciągle ma nadzieję, jeszcze inna zaczyna być wkurwiona, że nie zrobiłem wcześniej rezerwacji lub nie zleciłem tego Jean. Wreszcie po drugiej stronie odzywa się burkliwy głos: - Dorsia.

Odchrząkuję. - Hmm tak, wiem, że jest już dosyć późno, ale chciałbym zapytać, czy można jeszcze zarezerwować stół na dwie osoby o ósmej trzydzieści lub może o dziewiątej? - pytam z zaciśniętymi oczami.

Milczenie - tłum w tle ryczy ogłuszająco niczym wyburzony ocean. Otwieram oczy. Być może jest jeszcze cień nadziei. Maitre d'hotel - niech Bóg go błogosławi - sprawdza w książce rezerwacji, czy ktoś zrezygnował, lecz co to?, w słuchawce odzywa się chichot - najpierw cichy, lecz już po chwili głośny, wysoki, nieokiełznany śmiech, który kończy się tak samo niespodziewanie, jak się zaczął, gdy słuchawka zostaje rzucona na widełki.

Jestem zdruzgotany, cały dię, wewnątrz czuję pustkę, lecz mimo to zaczynam się zastanawiać nad następnym posunięciem. Jedynym dźwiękiem jaki słyszę teraz w pokoju, jest sygnał zgłoszenia centrali dobiegający z telefonu. Zbieram się do kupy, liczę do sześciu, zaglądam po raz drugi do

Zagata i powoli udaje mi się skoncentrować, mimo wszechogarniającej paniki i strachu, czy zdołam

zarezerwować stół na ósmą trzydzieści w restauracji, która jeśli już nie jest tak modna jak Dorsia, to przynajmniej była modna nie tak dawno temu. W końcu odnoszę sukces w Barcadii - stół dla dwóch osób o dziewiątej i to tylko dlatego, że ktoś zrezygnował. Patricia będzie prawdopodobnie rozczerowana, chociaż być może spodoba jej się w Barcadii, gdzie jest dużo miejsca między stołami, światło niezbyt natarczywe i przyciemnione, nouvelle cuisine z Południowego Zachodu - a jeśli jej się nie spodoba, to co mi, kurwa, zrobi? Poda do sądu?

Dzisiaj po wyjściu z biura ćwiczyłem bardzo intensywnie w klubie, jednak nie mogę pozbyć się napięcia. Postanawiam więc zrobić dziewięćdziesiąt skłonów, sto pięćdziesiąt pompek, po czym biegam w miejscu przez dwadzieścia minut słuchając nowego kompaktu Huey Lewisa. Biorę dwa gorące prysznicze używając przy tym nowego mydła w płynie do twarzy Caswell-Massey i płynu do kąpieli Greune, następnie zaś nawilżacza do ciała Lubiderm i kremu kosmetycznego Neutrogena. Rozważam wybór garnituru. Waham się między ubraniem z wełnianej krepy od Billa Robinsona, które kupiłem u Saksa razem z koszulą z zakardowej bawełny od Charivari i krawatem od Armaniego, a wełniano-kasz-mirową sportową marynarką w niebieską kratę, bawełnianą koszulą i pofałdowanymi spodniami z wełny od Alexandra Juliana i jedwabnym krawatem w groszki od Billa Blassa. Julian może okazać się zb)t ciepły jak na maj, lecz jeśli Patricia założy kostium od Karla Lagerfelda - co, mam nadzieję, z r o b i - to ubranie od Juliana pasowałoby do niego najbardziej. Na nogi wybieram krokodylowe półbuty od A. Testoniego.

Butelka Scharffenbergera chłodzi się w aluminiowym wiaderku od Spirosa stojącym w pojemniku z rżniętego szkła od Christine Van der Hurd, który z kolei spoczywa na barowej tacy powlekanej srebrem od Cristofle'a. Szampan Scharf-fenberger to nie to samo co Cristal, nie jest jednak aż tak zły, a po co tracić Cristal na jakąś laskę, która i tak nie jest w stanie odróżnić jednego od drugiego? Wypijam kieliszek czekając na nią i zajmuję się przestawianiem szklanych zwierzątek od Steubena na stoliczku do kawy od Turchina. Później przeglądam książkę w twardej oprawie, którą kupiłem niedawno - jakaś rzecz Garrisona Keillora. Patricia spóźnia się.

Siedzę na sofie w salonie słuchając "Cherish" Lovin' Spoonful z szafy grającej Wurlitzera i dochodzę do wniosku, że Patricia jest dzisiaj b e z p i e c z. n a, że nie wyciągnę znienacka noża i nie potnę jej dla samej przyjemności, że nie sprawi mi radości przyglądanie się, jak krwawią jej podcięte gardło i tętnice szyjne i wydłubane oczy. Ma szczęście, chociaż nie kryje się za tym żadna logiczna przesłanka. Być może jest bezpieczna dlatego, że jest b o g a t a, że chronią ją dziś i rodzinne p i e n i ą d z e, a może jest to mój w y b ó r. Może kieliszek Scharffenbergera uspił moje pragnienia albo nie chcę zabrudzić sobie akurat tego garnituru od Alexandra Juliana krwią, którą ta suka z pewnością by mnie spryskała. Tak czy

inaczej, pozostaje bezsensownym faktem: Patricia będzie żyła - łatwo przyszło jej to zwycięstwo, cóż, dajmy spokój wyobraźni i ekstrawaganckim pomysłom. Tak wygląda świat, m ó j świat.

Spóźnia się pół godziny. Mówię portierowi, żeby ją wpuścił, ponieważ mam zamiar przyjąć ją w korytarzu podczas zamykania drzwi. Nie włożyła kostiumu od Karla Lagerfelda, na który liczyłem, lecz tak czy inaczej wygląda całkiem znośnie: jedwabna gazarowa bluzka od Louisa Dell'Olio. w mankietach spinki z górskimi kryształami, atlasowe, haftowane spodnie od Saksa, kryształowe kolczyki zaprojektowane przez Wendy Cell dla Annę Klein i złociste pantofle zapinane z tyłu na pasek. Jesteśmy w taksówce jadącej do centrum. Dopiero teraz mówię jej, że nie zjemy obiadu w Dorsii i gęsto się tłumaczę wspominając coś o nieczynnych telefonach, pożarze, mściwym maitre d'. Patricia wzdycha leciutko słysząc tę nowinę, nie zwraca uwagi na moje przeprosiny i odwraca się w stronę okna. Próbuję ją uspokoić mówiąc o tym jak modna, jak l u k s u s o w a jest Barcadia. Opisuję jej smak makaronu z koprem i bananem, desery, lecz ona wciąż potrząsa głową. W końcu uciekam się do tego, że Barcadia, Chryste!, jest droższa nawet od Dorsii, lecz Patricia nie daje się przebłagać. Z jej oczu - przysięgam - płyną pojedyncze łzy.

Milczy nawet wtedy, gdy sadzają nas przy średnio dobrym stole z tyłu głównej sali jadalnej. Wreszcie odzywa się, lecz tylko po to, by poprosić o szampana Bellini. Na obiad zamawiam pierożki ravioli nadziewane mleczem złotośledzia i kompot jabłkowy - jako przystawki; jako entree

biorę klopsa z chevre w sosie przepiórkowo-bulionowym. Patricia zamawia pizzę z fiołkami i nasionami sosny i, jako przystawkę, zupę z masła orzechowego z wędzoną kaczka i puie z dyni - co brzmi dosyć dziwnie, lecz, jak się później okazuje, jest całkiem niezłe. Magazyn New York nazwał tę zupę "zabawną i tajemniczą potrawą" - mówię o tym Patricii, która wyciąga papierosa i ignoruje ogień, jakim jej służę. Siedzi ponura i skurczona dmuchając dymem prosto w moją twarz i rzucając mi od czasu do czasu wściekłe spojrzenia, na które grzecznie nie reaguję, jak przystoi dżentelmenowi, którym być potrafię. Gdy przynoszą obiad, zaczynam wpatrywać się we własny talerz - klops ma na wierzchu ciemnoczerwone trójkąty okraszone cheM-e; kozi ser ozdobiono z kolei kropelkami soku z granatów; mięso otoczone jest gęstym, brązowym sosem z przepiórek i bulionu, a na krawędzi szerokiego, czarnego talerza ułożono plasterki mango - i, nieco zmieszany, zastanawiam się przez długą chwilę, czy podnieść widelec i zabrać się do jedzenia.

Obiad trwa tylko dziewięćdziesiąt minut, a mimo to wydaje mi się, że spędziliśmy w Barcadii tydzień. W zasadzie nie chce mi się iść do Tunelu, ale dochodzę do wniosku, że będzie to właściwa kara dla Patricii. Rachunek za obiad wynosi 320 dolarów - mniej niż się spodziewałem, mówiąc szczerze - i płacę moim platynowym AmExem. W taksówce wbijam wzrok w licznik i słyszę, jak kierowca usiłuje nawiązać rozmowę z Patricia, która ignoruje go całkowicie i sprawdza makijaż w kompaktowej pudernicze od Gucciego, a potem nakłada szminkę na wcześniej pomalowane usta. Zdaje się, że dzisiaj miał być mecz baseballowy, który zapomniałem nagrać - nie będę miał co oglądać po powrocie do domu. Pamiętam jednak, że kupiłem jakieś dwa pisma po pracy, więc być może spędzę godzinę bądź dwie na ich przeglądaniu. Sprawdzam czas na Rolexie i przychodzi mi do głowy, że jeśli wypijemy po jednym, góra dwa drinki, to wrócę do domu w sam raz, by obejrzeć Late Night with David Letterman. Patricia fizycznie może się podobać i nie miałbym nic przeciwko temu, by posiąść jej ciało, jednak nie potrafiłbym być dla niej delikatny, jak przystoi chłopcu na randce, nie potrafiłbym okazać skruchy za ten wieczór, za to, że nie zabrałem jej do Dorsii (choć Barcadia jest, na Boga, d w a razy droższa) - na myśl o czymś takim dostaję drgawek. Ta suka ma prawdopodobnie pretensje o to, że nie jedziemy limuzyną.

Taksówka zatrzymuje się przed Tunelem. Płacę taksówkarzowi i zostawiam mu spory napiwek. Przytrzymuję drzwi dla Patricii, która zresztą ignoruje moją pomocną dłoń i sama wysiada z taksówki. Dzisiaj nie ma kolejki wijącej się wśród lin wytyczających wejście do Tunelu. Jedyną osobą na 24 Ulicy jest włóczęga siedzący pod śmietnikiem, wijący się z bólu i błagający o jedzenie lub drobne. Mijamy go szybko i przechodzimy za liny wpuszczeni przez jednego z trzech bramkarzy. Drugi bramkarz klepie mnie w ramię i mówi: - Jak się dzisiaj miewamy, panie McCullough? - Kiwam głową, otwieram drzwi dla Patricii i odpowiadani przed wejściem do środka: - W porządku, ech, Jim - po czym podaję mu rękę.

Płacę pięćdziesiąt dolarów za nas dwoje i natychmiast ruszam do baru nie przejmując się tym, czy Patricia idzie za mną, czy nie. Zamawiam J&B z lodem. Patricia bierze Perriera, bez limony, i sama składa zamówienie. Wypijam połowę drinka opierając się o bar i wpatrując w kelnerkę laskojada, gdy nagle coś wydaje mi się nie w porządku: nie jest to ani oświetlenie, ani INXS śpiewający "New Sensation", a już tym bardziej laskojad stojący za barem. Musi to być coś innego. Powoli odwracam się, by omieść wzrokiem resztę klubu, a przed moimi oczyma rysuje się pusta przestrzeń - Patricia i ja jesteśmy dzisiaj jedynymi gośćmi Tunelu. Jesteśmy - z wyjątkiem laskojada - jedynymi l u c i ż m i w Tunelu. "New Sensation" przechodzi w "The Devil Inside", muzyka wali na ful, lecz wydaje się mniej głośnie, ponieważ nie ma tłumu reagującego na nią spontanicznie. Parkiet jest pusty i olbrzymi.

Odchodzę od baru z zamiarem sprawdzenia innych pomieszczeń klubu. Liczę na to, że Patricia pójdzie za mną, jednak zdecydowała się zostać przy barze. Nikt nie pilnuje schodów prowadzących do Piwnicy. Schodzę na dół, zmienia się muzyka, Belinda Carlisle śpiewa teraz "I Fell Free". W Piwnicy siedzi jakaś para, która przypomina Sama i Ilene Sanfordów. Jest tu ciemniej niż na górze i cieplej, dlatego mogę się mylić co do tych dwojga. Stoją przy barze pijąc szampana. Mijam ich i ruszam w kierunku wspaniale ubranego faceta wyglądającego na Meksykanina, który siedzi na sofie. Ma na sobie dwurzędową, wełnianą marynarkę i doskonale dobrane spodnie od Mario Valentina, bawełniany podkoszulek od Agnes B. i skórzane mokasyny (założone na boso

stopy) od Susan Bennis Warrena Edwardsa. Towarzyszy mu zgrabna, muskularna dupa - jakiś Euro-śmieć: włosy ciemny blond, wielkie cycki, dobra opalenizna, bez makijażu. Pali Merity Ultra Light - ubrana w bawełnianą sukienkę w zebkę od Patricka Kel-ly'ego i pantofle na wysokim obcasie z jedwabiu i dodatkami z górskiego kryształu.

Pytam faceta, czy nazywa się Ricardo.

Kiwa głową: -Jasne.

Proszę go o gram, powołując się na Madisona. Wyciągam portfel i daję mu pięćdziesiątkę i dwie dwudziestki. Każe Eurośmiecowi podać sobie torebkę. Wręcza mu swoją zamszową saszetkę od Anne Moore. Ricardo sięga do środka i podaje mi małą zamkniętą kopertę. Odwracam się, by odejść i słyszę, jak Euro-śmieć mówi, że podoba jej się mój portfel ze skóry gazeli. Odpowiadam jej, że z chęcią zwałiłbym ją w cycki, a potem może obciął obydwie ręce, lecz muzyka -George Michael śpiewający "Faith" - jest tak głośna, że nic nie słyszy.

Wracam na górę, Patricia jest tam, gdzie ją zostawiłem. Siedzi sama przy barze i pije Perriera.

- Posłuchaj, Patricku - mówi z wyraźną zmianą nastawienia - chciałam ci tylko powiedzieć, że jestem...

- Suką? Słuchaj, chcesz przywalić trochę koki? - wrzeszczę nie dając jej dokończyć.

- Eee, taa. Jasne - odpowiada niesamowicie zmieszana.

- Chodź - krzyczę biorąc ją za rękę.

Odstawia szklankę i idzie za mną przez opustoszały klub. Wchodzimy na górę, tam gdzie są toalety. W zasadzie moglibyśmy przywalić na dole, lecz nie wydaje mi się to w porządku i bierzemy kokę w kabinie męskiej ubikacji. Już po wszystkich siadam na sofie przed toaletą i zapalam papierosa Patricii, która w tym samym czasie schodzi na dół, by przynieść drinki.

Wraca po chwili i zaczyna przeproszać mnie za swoje zachowanie dzisiejszego wieczoru: - Chodzi mi o to, że uwielbiam Barcadę, jedzenie było wyborne i ten sorbet z mango, omójbóże, czułam się jak w niebie. Posłuchaj, nic nie szkodzi, że nie poszliśmy do Dorsii. Możemy tam pójść kiedy indziej. Wiem, że faktycznie próbowałeś załatwić rezerwację, ale ta knajpa jest teraz taka modna... Tak, obiad w Barcadii był wspaniały. Jak długo jest już otwarta? Chyba trzy, może cztery miesiące. Barcadia miała doskonałe recenzje w New Yorku, a może był to Gourmet... Tak czy inaczej, chcesz pójść jutro ze mną na ten koncert, a może najpierw skoczmy do Dorsii, a potem na występ zespołu Wallace'a albo później pójdziemy do Dorsii, chociaż kto wie czy będzie jeszcze otwarta? Patricku: mó-

wię poważnie, powinienes ich zobaczyć. Avatar to wspaniały wokalista, kiedyś nawet zdawało mi się, że jestem w nim zakochana, no cóż, to było raczej pożądanie niż miłość. Wallace też mi się podobał, tylko że zajmował się wtedy inwestycjami bankowymi i nie dawał sobie rady ze wszystkim, przeżył załamanie, to było LSD, a nie kokaina, właśnie to go wykończyło. To znaczy w i e d z i a ł a m, ale kiedy to się stało, pomyślałam, że chyba najlepiej będzie pokręcić się trochę i nie zajmować...

J&B myślę sobie. SzklaneczkaJ&B w mojej prawej dłoni myślę sobie. Dłoń myślę sobie. Charivari. Koszula od Charivari. Fusilli myślę sobie. Jami Gertz myślę sobie. Chciałbym wyruchać Jami Gertz myślę sobie. Porsche 911. Szpic mjęślę sobie. Chciałbym mieć szpica. Mam dwadzieścia sześć lat myślę sobie. W przyszłym roku będę miał dwadzieścia siedem. Valium. Chciałbym zażyć Va-lium. Nie, d w a Valium myślę sobie. Telefon komórkowa myślę sobie.

PRALNIA

Chińska pralnia, do której oddają zazwyczaj pokrwawione ubrania, zwróciła mi wczoraj marynarkę Soprani, dwie białe koszule od Brooks Borthers i krawat od Agnes B. pokryte plamami czyjejs krwi. O dwunastej jestem umówiony na lunch - o dwunastej, czyli za czterdzieści minut - postanawiam więc wpaść do pralni i wnieść skargę. Oprócz marynarki Soprani, koszul i krawata, biorę ze sobą torbę z pokrwawionymi prześcieradłami, które także trzeba wyprać. Clińska pralnia znajduje się w odległości dwudziestu przecznic od mojego mieszkania, na West Side niedaleko Columbii, a ponieważ nigdy tam nie byłem, dystans przeraża mnie (poprzednio pranie odbierano zawsze na mój telefon i zwracano po dwudziestu czterech godzinach). Z powodu tej eskapady nie mam czasu na poranne ćwiczenia, do tego zasnęłam - a wszystko dlatego, że urządziliśmy sobie o

świecie kokainową imprezę z Charlesem Griffinem i Hiltonem Ashburym. Zaczęło się niewinnie na jakimś przyjęciu prasowym, na które nikt z nas nie był zaproszony (w M.K.), a skończyło o piątej nad ranem przy bankomacie gdzieś obok mnie. Nie oglądałem The Patty Winters Show, który zresztą okazał się powtórką wywiadu z prezydentem, więc chyba nic nie straciłem.

Jestem spięty, mam zaczesane do tyłu włosy, a oczy przesłonięte Wayfarera-mi; boli mnie cała czaszka. W zębach trzymam nie zapalone cygaro. Włożyłem dziś garnitur Armaniego, białą, bawełnianą koszulę Armaniego i jedwabny krawat także od Armaniego. Wyglądam bojowo, ale wszystko przewraca mi się w żołądku, a w mózgu mam pianę. Po drodze do chińskiej pralni ocieram się o pła-

czącego włóczęgę: wygląda na starego, ma ze czterdzieści do pięćdziesięciu lat, jest gruby i siwy. Otwierając drzwi pralni zauważam, że jest na dokładkę ślepy. Potykam się o jego nogę, a raczej kikut. Kalece wypadają z ręki kubek, a wszystkie drobne toczą się po chodniku. Zrobiłem to celowo? Jak myślicie? A może przez przypadek?

Przez następne dziesięć minut pokazuję palcem plamy małej chińskiej staruszce, która - jak przypuszczam - zawiaduje pralnią. Ponieważ nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi, stara sprowadza z zaplecza męża. Ten jednak w ogóle się nie odzywa i sprawia wrażenie człowieka, który nie ma zamiaru tłumaczyć się komukolwiek. Stara skrzeczy - jak sądzę - po chińsku. W końcu przerywam jej poirytowany.

- Posłuchajcie, moment... - wyciągam przed siebie dłoń z cygarem. Przez ramię mam przewieszoną marynarkę. Soprani. - Nie potraficie... Cisza! Chwila! Ciii... Nie potraficie podać mi p r z y c z y n y.

Chinka piszczy coś po swojemu i małą dłoń szarpie rękawy marynarki. Odpycham jej rękę, pochylam się i mówię powoli: - Co chcesz przez t o udowodnić!

Dalej skrzeczy i wybałusza gały. Jej mąż obraca w rękach dwa prześcieradła, które wyjął z torby. Obydwa poplamione są wyschniętą krwią. Stan' przygląda się im głupawo.

- Wiibielić? - pytam Chinkę. - Powiedziałaś w i i b i e l i i ć? - Kręcę głową z niedowierzaniem. - Wiibielić? O Mój Boże.

Pokazuje paluchem rękawy marynarki Soprani, a potem odwraca się do prześcieradeł. Jej skrzekliwy głos wznosi się o oktawę.

- Dwie podstawowe rzeczy - mówię przekrzykując ją. - Pierwsza: nie możesz wybielić marynarki Soprani. Bez dyskusji! Druga... - mówię coraz głośniejszym głosem, niemal krzyżem - D r u g a: te prześcieradła można kupić tylko w Santa Fe. Są bardzo, bardzo drogie i muszą być czyste... - Stara nie przestaje gdakać, a ja kiwam głową, jakbym ją rozumiał. W końcu uśmiecham się słodko i przysuwam twarz do jej twarzy: -Jeśli-natychmiast-nie-przestaniesz-pierdolić-rozerwę-cię-na-pół-rozumiesz-mnie-ty-kurwo?

Przeżrana Chinka skrzeczy jeszcze głośniejszym głosem, całkiem bez ładu i składu. Oczy wychodzą jej z orbit. Normalnie ma twarz - może przez te zmarszczki? - zupełnie bez wyrazu. Wskazuję dramatycznie plamy i nagle dochodzę do wniosku, że to wszystko nie ma sensu, opuszczam rękę i staram się zrozumieć, co mówi. Po chwili przerywam jej i mówię - niezobowiązująco - razem z nią: - Posłuchaj mnie teraz: mam bardzo ważne spotkanie podczas lunchu... - spoglądam na Rolex -... w restauracji Huberta za trzydzieści minut... - przenoszę wzrok na płaską twarz skośnookiej staruchy -...i potrzebuję te... nie, zaczekaj, za d w a d z i e ś c i a mi-nut. Za dwadzieścia minut jem lunch u Huberta z Rolandem Harrisonem i chcę, żeby te prześcieradła były czyste jeszcze dziś popołudniu.

Nie słucha mnie. Bełkocze coś w tym samym niezrozumiałym, spazmatycznym narzeczu. Nigdy jeszcze nie wysadziłem niczego w powietrze i zaczynam się zastanawiać, jak się do tego zabrać - jakie materiały są potrzebne: benzyna, zapalniczka...? A może wystarczy płyn do zapalniczek?

- Słuchaj - przerywam i pochylam się ku niej ze szczerym wyrazem twarzy. Porusza chaotycznie ustami, odwraca się do męża, który kiwa głową podczas niespodziewanej przerwy w przemowie. Mówię modulując głos. - N i c nie rozumiem.

Wybucham śmiechem, a jednocześnie jestem przerażony absurdalnością tej sytuacji. Walę dłoń w kontuar w nadziei, że wyjdzie wreszcie ktoś, z kim można się porozumieć. Na zapleczu nie ma już

nikogo. - To obłęd - mruczę pod nosem. Wzdycham ciężko i wycieram twarz. Nagle przestaję się śmiać. Jestem wściekły. - Jesteś k r e t y n k ą - warczę. - Nie zniosę tego dłużej!

Znów skrzeczy coś w odpowiedzi.

- Co? - pytam złośliwie. - Nie słyszysz co mówię? Chcesz mniam-mniam? Czy dobrze cię zrozumiałem? Chcesz... m n i a m-m n i a m?

Stara ponownie szarpie rękaw marynarki Soprani. Jej mąż stoi nieruchomo za ladą, poważny, zupełnie nie z tego świata.

- Jesteś... k r e t y n k ą! - ryczę.

Baba bezczelnie pyskuje pokazując bez przerwy paluchem plamy na prześcieradłach.

- Głupia-san kurwa-san? Rozumiesz? - krzyczę z nabiegłą krwią twarzą. Chce mi się płakać, cały się trzęsę. Wrywam jej marynarkę i jęczę: - Chryste!

Nagle otwierają się drzwi za moimi plecami i słyszę dzwonek. Zbieram się do kupy. Zamykam oczy, biorę głęboki oddech, przypominam sobie, że muszę wpaść do solarium po lunchu, potem może do Hermesa lub...

- Patrick?

Niczym piorun uderza we mnie normalne brzmiący ludzki głos, odwracam się i widzę kogoś, kogo znam z mojego domu, osobę, którą widziałem wiele razy w hollu, gdy wpatrywała się we mnie z podziwem podczas zdawkowej wymiany pozdrowień. Jest starsza ode mnie, koło trzydziestki, zgrabna, lekka nadwaga, ubrana w dres do joggingu - od kogo? Bloomingdale? Nie mam pojęcia. I wygląda na r o z p r o m i e n i o n ą. Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i uśmiecha się szeroko. - Cześć Patricku, właśnie pomyślałam sobie, że to ty...

Nie mam pojęcia, jak ma na imię, mruczę więc: - Cześć - i dodaję szeptem jakiś wyraz, który może przypominać kobiece imię. Patrzę na nią wykończony, wypalony do cna i próbuję opanować wściekłość. Chinka skrzeczy za moimi plecami. W końcu klaszczę w dłonie i mówię:

- No cóż...

Nieznajoma stoi zmieszana, aż wreszcie idzie nerwowo do lady z kwitkiem w dłoni: - Czy to nie śmieszne? Spotykamy się tak daleko od domu, ale rzeczywiście ta pralnia jest najlepsza.

- To dlaczego w takim razie nie potrafia pozbyć się tych plam? - pytam cierpliwie, z uśmiechem na ustach i z zaciśniętymi oczyma. Chinka zamknęła się w końcu, ja natomiast otworzyłem oczy. - Chciałabym wiedzieć, czy możesz porozumieć się z tymi ludźmi lub coś w tym rodzaju? - pytam delikatnie. - Ja nie dojdę z nimi do ładu.

Dziewczyna zerka na prześcieradła trzymane przez starego. - O rany, rozumiem - mruczy. Dotyka nieśmiało pościeli, a w tej samej chwili Chinka zaczyna jazgotać. Nieznajoma nie zwraca na nią uwagi i przenosi wzrok na mnie. - Co to jest? - Znów patrzy na plamy i mówi: - O rany.

- Hm, no cóż... -ja także patrzę na prześcieradła, które rzeczywiście wyglądają fatalnie. - To jest, eee, sok żurawinowy, sok jeżyn...

Patrzy na mnie kiwając niepewnie głową, a potem mówi spokojnie: - To nie wygląda jak żurawina, to znaczy jeżyny...

Wpatruję się w prześcieradła przez długą chwilę, a potem bąkam: - No cóż, chciałem powiedzieć, hm, że to jest chyba Bosco. Wiesz, albo...- przerwani -...albo batony... Mars? Mars... rozumiesz... albo syrop Hersheya?

- O tak - kiwa głową jakby rozumiała, jednak wyczuwam odrobinę sceptycyzmu w jej głosie: - O rany.

- Posłuchaj, może porozmawiasz z nimi... - wrywam prześcieradło staremu. - Byłbym 'zobowiązany, n a p r a w d ę... - Składam prześcieradło i kładę je ostrożnie na ladzie. Spoglądam na Rolexa i wyjaśniam dziewczynie: -Jestem spóźniony. Mam bardzo ważny lunch za piętnaście minut u Huberta.... - Idę pod drzwi pralni. Chinka jazgocze rozpaczliwie, pokazując mnie trzęsącym się paluchem. Patrzę na nią i nie bez wysiłku powstrzymuję się przed sparodiowaniem jej gestu.

- U Huberta? N a p r a w d ę? - pyta dziewczyna z fascynacją w głosie. -Przenieśli się gdzieś na przedmieścia, prawda?

- Ta, no cóż, o rany, posłuchaj, muszę pędzić - udaję, że za szklanymi drzwiami zauważyłem taksówkę zatrzymującą się po drugiej stronie ulicy, a potem do niej idę z wymuszoną wdzięcznością: - Dziękuję ci, ech... Samantha.
- Victorio.
- No właśnie, Victorio - przerywam. - Czy nie powiedziałem Victorio?
- Nie. Powiedziałeś Samantha.
- No cóż, wybacz - uśmiecham się. - Mam masę problemów na głowie.
- Może zjemy lunch w przyszłym tygodniu? - proponuje z nadzieją w głosie i przysuwa się do mnie, podczas gdy ja cofam się ku wyjściu. - Wiesz, często bywam w okolicach Wall Street.
- No cóż, nie wiem, Victorio - mówię z wymuszonym, przepraszającym uśmiechem i odwracam wzrok od jej ud. - Jestem taki zajęty.
- A co powiesz, och, no wiesz, o sobocie? - pyta usiłując nie być natrętną.
- O tej sobocie? - pytam zerkając na Rolex.
- Tak - odpowiada pokornie.
- Och, obawiam się, że nie dam rady. - Nędznicy, poranek - kłamię. - Posłuchaj, naprawdę muszę już lecieć... - Dotykam ręką włosów i mruczę: - Chryste! - po czym dodaję: - Zadzwoń do ciebie.
- Okay - uśmiecha się z ulgą.

Rzucam szybkie spojrzenie na Chinkę i wypadam z pralni jak wszyscy diabli, biegnę za nie istniejącą taksówką, a potem zwalniam dwie lub trzy przecznice dalej i...

Nagle mam przed sobą bardzo ładną bezdomną dziewczynę, która siedzi na stopniach domu z piaskowca przy Amsterdam, styropianowy kubek stoi stopień niżej od jej nóg, idę ku niej pchany jakąś nieznaną siłą, uśmiecham się i grzebię w kieszeni szukając drobnych. Jej twarz jest zbyt młoda, zbyt świeża, zbyt opalona, jak na osobę mieszkającą na ulicach; jej los wydaje mi się tym bardziej tragiczny. Przyglądam się jej ostrożnie przez kilka sekund, jakie zajmuje mi przejście od krawężnika do schodów, na których siedzi z pochyloną głową, wpatrzona tępo we własne puste łono. Gdy zauważa mnie obok siebie, podnosi głowę, a na jej twarzy nie ma nawet cienia uśmiechu. Moja wścikłość ulatuje gdzieś, chcę być dla niej miły, dać jej coś zwykłego. Pochylam się i spoglądam w jej oczy, chcąc okazać współczucie tej zblazowanej nagle, poważnej twarzy. Wrzucam dolara do styropianowego kubka i mówię:

- Powodzenia.

Na jej ustach pojawia się grymas, zauważam książkę - Sartre'a - leżącą na jej kolanach i torbę studencką z Columbii tuż obok. W końcu dostrzegam brązową kawę w kubku i mojego dolara, który pływa na powierzchni. Wszystko to zajęło nie więcej niż sekundę, lecz dla mnie jest jak film w zwolnionym tempie. Dziewczyna patrzy na mnie, potem na kubek i krzyczy: - Hej, masz jakiś cholerny problem? - Stoję jak skamieniały, zgarbiony nad kubkiem, zwijam się ze wstydu i mamroczę: -Ja nie... ja nie wiedziałem... że to jest... kawa. - Wstrząśnięty odchodzę, zatrzymuję taksówkę i jadę do Huberta. Po drodze mam halucynacje -budynki wydają mi się górami, wulkanami, ulice są dżunglą, niebo staje się martwym tłem. Przed wyjściem z taksówki przecieram oczy chcąc odzyskać trzeźwość spojrzenia. Lunch u Huberta jest jedną wielką halucynacją, podczas której śnię na jawie.

U HARRY'EGO

- Skarpetki powinny pasować do spodni - Todd Hamlin zwraca się do Reevesa, który słucha z zainteresowaniem i miesza plastikową łopatką Beefeater'a z lodem.
- Kto tak powiedział? - pyta George.
- Posłuchaj - zaczyna wyjaśniać cierpliwie Hamlin - jeśli masz na sobie s z a r e spodnie, zakładasz do nich szare skarpetki. To takie proste.
- Zaczekaj - przerywam mu. - A co zrobisz, jeśli masz czarne buty?
- Okay - mówi Hamlin sącząc martini. - W takiej sytuacji pasek musi odpowiadać kolorem butom.
- Czy dobrze cię zrozumiałem? Twierdzisz, że do s z a r e g o garnituru można nosić szare albo c z a r n e skarpetki? - pytam.
- Noo... taa - odpowiada zmieszany Hamlin. - Chyba tak. Czyja tak powiedziałem?

- Zrozum mnie dobrze, Hamlin - zaczynam. - Nie zgadzam się z tobą co do paska: buty są zbyt daleko od linii talii. Uważam, że powinno się nosić pasek, który odpowiada kolorystycznie spodniom.

- Ma rację - śmierzdzą Reeves.

Cała nasza trójka - Todd Hamlin, George Reeves i ja - siedzimy u Har-ry'ego. Jest parę minut po szóstej. Hamlin ubrany jest w garnitur od Lubiama, wspaniałą bawełnianą koszulę w paski z rozkładanym kołnierzykiem Burrberry, jedwabny krawat od Resikeio i pasek od Ralpha Laurena. Reeves ma na sobie dwurzędowy (sześć guzików) garnitur od Christiana Diora, bawełnianą koszulę, jedwabny krawat Clairborne we wzorki, skórzane, perforowane półbuty ze wzmacnianym czubkiem i zawiązywane na sznurówki od Allen-Edmondsa. Z kieszonki wystaje mu bawełniana chusteczka prawdopodobnie od Brooks Borthers. Okulary z Lafont Paris leżą na serwetce obok drinka Reevesa, a na pustym krześle stojącym przy naszym stole George położył całkiem niezłą dyplomatkę od T. Anthony'ego. Ja natomiast włożyłem dziś jednorzędowy, zapinam' na dwa guziki, wełniano-flanelowy garnitur w tenisowy prążek, wielokolorową bawełnianą koszulę w cukierkowe paski, którą kupiłem wraz z jedwabną chusteczką - całość od Patricka Huberta, jedwabny krawat w groszki od Billa Blassa i nie przyciemniane okulary ze szklami leczniczymi w oprawce z Lafont Paris. Słuchawki jednego z naszych discmanów leżą pośrodku stołu otoczone drinkami i kalkulatorami. Reeves i Hamlin wyszli dzisiaj wcześniej z biura, ponieważ byli umówieni z kosmetyczką. Obaj wyglądają świetnie, ich zaróżowione twarze noszą ślady opalenizny, mają krótkie, zaczesane do tyłu włosy. The Patty Winters Showdzisiaj rano poświęcony był prawdziwym Rambo.

- A co z kamizelkami? - Reeves pyta Todda. - Czy nie są... niemodne?

- Nie, George - odpowiada Hamlin. - Oczywiście, że n i e.

- Potwierdzam - to ja. - Kamizelki nigdy nie wyszły z mody.

- No cóż, pozostaje w takim razie pytanie... jak powinno się je nosić? - rzuca Hamlin.

- Powinny być dopasowane... - odpowiadamy jednocześnie, ja i Reeves.

- Wybacz - Reeves zwraca się do mnie. - Mów, proszę.

- Nic nie szkodzi. Mów ty, proszę.

- Nalegam - odpowiada Reeves.

- No cóż, powinny być zgrabnie dopasowane do ciała i zakrywać linię talii -mówię. - Kamizelka powinna wystawać z zapiętej marynarki tuż nad guzikiem w talii. Jeśli widzi się zbyt duży fragment kamizelki, garnitur wygląda zbyt sztywno i oficjalnie, a tego przecież nie chcemy.

- Alia - odpowiada zmieszany Reeves, któremu niemal odebrało głos. - To prawda, wiedziałem o tym.

- Zamówię jeszcze jednego J&B - oznajmiam wstając. - Panowie?

- Beefeater z lodem i plasterek - odpowiada Reeves.

- Martini - Hamlin.

- Ma się rozumieć. - Podchodzę do baru. Czekam aż Freddy naleje drinki i słyszę, jak jakiś facet - myślę, że jest to ten Grek, William Tlieodocropopolis z Pierwszego Bostońskiego, ubrany w prawdopodobnie sfastrygowaną wełnianą marynarkę w trójkątny rzucik i niezłą koszulę, plus super krawat z kaszmiru od Paula Stuarta - krawat, który dodaje blasku dosyć tandetnemu garniturowi... No więc słyszę jak ten grecki jegomość zwraca się do innego Greka, który popija dietetyczną colę: - Słuchaj, Stingbył w Chernoble... wiesz, w tym nowym klubie, który należy do tych samych facetów, którzy mają Tunel... pisali o tym na Stronie Szóstej, a potem ktoś podjechał porsche 911, a w środku była Whitney i...

Z powrotem przy naszym stole. Reeves opowiada Hamlinowi, w jaki sposób prześladowe bezdomnych na ulicach, mówi, że daje im dolara, a później go wyrzyna, chowa z powrotem do kieszeni i odchodzi.

- Posłuchaj, to d z i a ł a - chwali się. - Są tak przerażeni, że zamykają mordy.

- Wystarczy... powiedzieć... nie - mówię stawiając drinki na stole. - To wszystko.

- Wystarczy... powiedzieć... nie? - uśmiecha się Hamlin. - To działa?

- No cóż, tylko w przypadku bezdomnych kobiet w ciąży - przyznaję.

- Rozumiem, że nie wypróbowałeś jeszcze podejścia wystarczy-powiedzieć-nie na tym siedmiostopowym gorylu, który stoi na Chambers Street? - pyta Reeves. - Na tym z pękniętą rurą?

- Słuchajcie, czy słyszeliście o klubie, który nazywa się Nekenieh? - pyta Reeves.

Zauważam Paula Owena siedzącego przy stole po drugiej stronie sali. Jest z kimś, kto wygląda jak Trent Moore albo Roger Daley i jeszcze z jakimś innym facetem, który przypomina Fredericka Connella. Dziadek Moore'a jest właścicielem firmy, w której pracuje wnuczek. Trent ubrany jest w garnitur z czesanej wełny w maleńki trójkątny rzucik, na którym widać wielokolorową kratę.

- Nekenieh? - pyta Hamlin. - Co to jest Nekenieh?

- Chłopcy, chłopcy - mówię. - Kto siedzi z Paulem Owenem? Czy to Trent Moore?

- Gdzie? - Reeves.

- Właśnie wstają. Przy tamtym stole - pokazuję. - Widzisz ich?

- Czy to nie Madison? Nie, to Dibble - odpowiada Reeves. Wkłada nie przyciemniane lecznicze okulary, żeby się upewnić.

- Nie - mówi Hamlin. - To jest Trent Moore. - Jesteś pewien? - pyta Reeves.

Paul Owen idąc do wyjścia zatrzymuje się przy naszym stole. Na nosie ma okulary przeciwsłoneczne Persol, a w ręku aktówkę kupioną w Coach Leather-ware.

- Czołem, panowie - wita nas i przedstawia nam dwóch facetów, którzy mu towarzyszą: Trenta Moore'a i kogoś, kto nazywa się Paul Denton.

Podajemy im ręce nie wstając z krzeseł. George i Todd zaczynają rozmowę z Trentem, który pochodzi z Los Angeles i wie, gdzie jest Nekenieh. Owen zwraca się do mnie, zaczynam być lekko podenerwowany.

- I jak ci leci? - pyta.

- Wspaniale - odpowiadam. - A tobie?

- Och, cudownie. A jak tam sprawy z rachunkiem Hawkinsa?

- No... - zacinam się i kończę niepewnie: - Wszystko... dób... dobrze.

- Naprawdę? - pyta z dziwnym zainteresowaniem. - To ciekawe. - Uśmiecha się i składa ręce na plecach. - Myślałem, że wszystko idzie w s p a n i a l e.

- No cóż - mówię. - Sam... wiesz.

- A jak tam Marcia? - pyta ciągle się uśmiechając. Rozgląda się po sali i tak naprawdę nie słucha tego co mówię. - To w s p a n i a l a dziewczyna.

- O tak - odpowiadam wstrząśnięty. - Mam... szczęście.

Owen wziął mnie za Marcusa Halberstama (który zresztą spotyka się z Ce-celią Wagner). Nie wiem dlaczego, ale nie wydaje mi się to ważne, a w jego faux pas jest pewna logika, ponieważ Marcus także pracuje u Pierce'a & Pierce'a -w istocie robi dokładnie to samo co ja, podobnie jak ja lubi ubierać się w garnitury od Valentina, nosić nie przyciemniane okulary lecznicze i strzyc się u tego samego fryzjera w Hotelu Pierre; pomyłka Owena jest więc zrozumiała. Nie złości mnie. Natomiast Paul Denton gapi się na mnie - chociaż usiłuje to ukryć -jak gdyby coś podejrzewał, jak gdyby nie był pewien, czy gdzieś już mnie nie widział.

Zaczynani się zastanawiać, czy nie uczestniczył przypadkiem w tym rejsie dosyć dawno temu, w marcu. Jeśli tak, to powinienem jak najszybciej dowiedzieć się o numer jego telefonu lub jeszcze lepiej o adres.

- No cóż, powinniśmy umówić się kiedyś na drinka - mówię do Owena. -Wspaniale- odpowiada Paul. - Umówmy się. Oto moja wizytówka.

- Dzięki - mówię i przyglądam się karcie z bliska; z ulgą zauważam, że jest bardzo niestarannie wydrukowana i chowam ją do kieszeni. - Może przyjdę... -przerwywam, a potem dodaję ostrożnie: - ...z Marcia?

- Byłoby w s p a n i a l e - mówi Owen. - Hej, byłeś już w tym salvador-skim bistro na Osiemdziesiątej Trzeciej? Jemy tam dzisiaj obiad.

- Taa, to znaczy nie - odpowiadam. - Ale słyszałem, że jest niezłe. - Uśmiecham się słabo i upijam łyk drinka.

- Tak, ja też słyszałem. - Patrzy na Rolexa. - Trent? Denton? Spadamy. Rezerwacja za piętnaście minut.

Mówimy sobie do widzenia. Owen i jego towarzysze zatrzymują się jeszcze przy stole Dibble'a i Hamiltona - przynajmniej w y d a j e mi się, że tamci dwaj to Dibble i Hamilton. Po chwili są już obok drzwi, lecz Denton odwraca się jeszcze raz, patrzy w kierunku naszego stołu, gapi się na mnie i wygląda na spanikowanego, na przekonanego o czymś, co związane jest z moją osobą; patrzy tak, jak gdyby w końcu mnie rozpoznał, co z kolei sprawia, że zaczynam czuć się n i e- s w o j o.

- Rachunek Fishera - mówi Reeves.

- O kurwa - odzywam się. - Nie przypominaj.

- Szczęśliwy skurwysyn - dodaje Hamlin.

- Czy ktoś widział jego dziewczynę? - pyta Reeves. - Laurie Kennedy? Absolutny laskojad.

- Znam ją - przyznaję. - To znaczy, znałem.

- Dlaczego tak mówisz? - pyta zaintrygowany Hamlin. - Reeves, dlaczego on tak mówi?

- Spotykał się z nią - odpowiada nonszalancko Reeves.

- Skąd wiesz? - pytam z uśmiechem.

- Dziewczyny uwielbiają Batemana - mówi lekko pijany Reeves. - Bateman jest pierwsza klasa. Absolutna pierwsza klasa. Spójrz na niego: taki jest Bateman.

- Dziękuję, chłopcy, ale... - Nie mam pojęcia, czy w słowach Reevesa nie kryje się sarkazm, ale tak czy inaczej pochlebia mi jego uwaga. Jednak nie pokazuję tego po sobie i mówię: - Laurie miała w s z a w ą osobowość.

- Chryste, Bateman - zgrzyta zębami Hamlin. - Co to znaczy?

- Co? - pytam. - To p r a w d a.

- I co z tego? Liczy się tylko w y g l ą d. A Laurie Kennedy to... to... klejnot- mówi z emfazą Hamlin. - I nie udawaj, że interesowałeś się nią z jakiegoś innego powodu.

- Jeśli dziewczyny mają normalną osobowość... to znaczy, że coś jest z nimi nie w porządku - mówi Reeves zmieszany nieco sensem własnej wypowiedzi.

- Jeśli mają normalną osobowość i nie są ł a d n e... - dodaje Reeves podnosząc rękę, jak gdyby chciał coś podkreślić -...to kogo to kurwa obchodzi?

- No cóż, przyjmijmy hipotetycznie, okay?, że jednak m a j ą normalną osobowość, to co wtedy? - pytam, chociaż doskonale zdaję sobie sprawę z beznadziejnego idiotyzmu tej rozmowy.

- W porządku. Hipotetycznie to nawet lepsze, ale... - zastanawia się Hamlin.

- Wiem, wiem - uśmiecham się.

- Nie m a dziewczyn o normalnej osobowości - mówimy unisono, wybuchamy śmiechem i przybijamy górne piątki.

- Normalna osobowość - zaczyna Reeves - polega na tym, że dupa jest laskojadem, zaspokajają wszystkie fantazje erotyczne, specjalnie niczym się nie chłapie i, co najważniejsze, trzyma swoją głupią, pojebaną mordę na kłódkę.

- Posłuchajcie - mówi Hamlin kiwając głową. - Jedyne dziewczyny o normalnej osobowości, to znaczy sprytnie, zabawne, trochę inteligentne albo nawet utalentowane... chociaż Bóg wie, co to kurwa znaczy... to b r z y d k i e dziewczyny.

- Absolutnie tak - Reeves kiwa głową.

- A jest tak dlatego, że brzydkie dziewczyny muszą jakoś nadrabiać straty związane z ich k u r e w s k o nieatrakcyjnym wyglądem - kończy Hamlin i rozsiada się wygodniej na krześle.

- No cóż, jestem zwolennikiem teorii - zaczynam - że rola mężczyzny na tym świecie ogranicza się wyłącznie do prokreacji, do podtrzymywania gatunku, rozumiecie?

Obaj kiwają głowami.

- Tak więc, jedyny sposób na właściwe odegranie tej roli - mówię starannie dobierając słowa - polega na tym, że oprócz fascynacji kobietami, należy również fascynować się ich p i e n i ę d z m i... s ł a w ą...

- Gówno prawda - przerywa mi Hamlin. - Bateman, czy chcesz mi wmówić, że przespałabyś się z Oprah Winfrey... hej, przecież jest bogata, ma władzę... Albo, zaczekaj, chcesz mi powiedzieć, że przeleciałabyś Nell Carter..., ma przecież show na Broadwayu, wspaniały głos, wszyscy chcą ją oglądać?

- Zaczekaj - wtrąca Reeves. - Kto to jest Nell Carte r?

- Nie wiem - przyznaję, chociaż skądś znam to nazwisko. - To chyba ta, która jest właścicielką knajpy u Nell.

- Posłuchaj mnie, Bateman - kontynuuje Hamlin. - Jedynym powodem istnienia dup jest wzbudzanie fascynacji... tak jak powiedziałeś. Przetrwanie ga-

tunku, prawda? - wyjmuję oliwkę i wrzuca ją sobie do ust. - Właśnie tak to wygląda.

Celowo odczekuję chwilę, a potem mówię: - Wiesz co powiedział Ed Gein o kobietach?

- Ed Gein? - pyta jeden z nich. - Maitre d' w Nad Kanałem?

- Nie. Wielokrotny morderca. Wisconsin lata pięćdziesiąte. Był interesującym facetem.

- Zawsze zajmowali cię tacy ludzie, prawda Bateman? - stwierdza raczej niż pyta Reeves. Po chwili zwraca się do Hamlina: - Bateman czytuje biografie Teda Bundy i Syna Sama... Uwielbia Śmiertelną Wizję i Charlie'go Mansona. Przepada za nimi wszystkimi.

- No więc, co powiedział Ed? - pyta zaintrygowany Hamlin.

- Powiedział tak.....Kiedy widzę ładną dziewczynę idącą ulicą myślę o dwóch rzeczach. Najpierw zastanawiam się, jak by to było gdybym podszedł do niej i porozmawiał, był naprawdę miły i uprzejmy, traktował najlepiej, jak tylko potrafię..." - przerywam i jednym haustem kończę J&B.

- A o czym myśli potem? - pyta nieśmiało Hamlin. -Jakby wglądałaby jej głowa zatknięta na kiju - mówię.

Hamlin i Reeves spoglądają po sobie, a potem patrzą na mnie. Wybucham śmiechem. Po chwili przyłączają się do mnie niepewnie.

- Słuchajcie, co z obiadem? - rzucam od niechcenia zmieniając temat.

- Co powiecie na tę indiańsko-kalifornijską restaurację na Upper West Side? - pyta Hamlin.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiadam.

- Brzmi nieźle - mówi Reeves.

- Kto robi rezerwację. - pyta Hamlin.

LEŻAKI

W poniedziałek wieczorem Courtney Lawrence zaprasza mnie na obiad. Jej propozycja wydaje się nie pozbawiona pewnych erotycznych podtekstów, dlatego przyjmuję zaproszenie. Jest jednak pewien haczyk - musimy przetrwać obiad w towarzystwie dwójki absolwentów Camden, Scotta i Annę Smileyów, którzy proponują nową restaurację przy Columbus, knajpę o nazwie Leżaki. Przed wyjściem z biura każę sekretarce przeprowadzić dokładny wywiad na temat tej spe-luny, tak więc podczas nie kończącej się jazdy taksówką do centrum mam już przygotowane trzy zestawy potraw, które mogę zamówić. Courtney opowiedziała

mi wszystko o Scottym i Annę - on pracuje w agencji reklamowej, ona otwiera restaurację za pieniądze ojca; ostatnią restaurację udało jej się otworzyć chyba w 1968 i była to jakaś nora na Upper West Side. Życiorys Smileyów okazał się tylko odrobinę nudniejszy od opowieści o dniu Courtney: wizycie u kosmetyczki w salonie Elizabeth Arden i zakupach naczyń kuchennych w Pottery Barn (nawiasem mówiąc, Courtney robi to wszystko nafaszerowana litem). Siedzimy chwilę u Harry'ego, gdzie pijemy drinki z Charlesem Murphym i Rusty Websterem, i gdzie Courtney zostawia pod stołem torbę z naczyniami z Pottery Barn. Jedyny szczegół z życia Scotta i Annę, który robi na mnie jakiegokolwiek wrażenie: rok po ślubie adoptowali trzynastoletniego Koreańczyka, zmienili mu imię na Scott Jr. i wysłali do Exter, gdzie duży Scott uczył się cztery lata przede mną.

- Wolałbym, żeby mieli rezerwację - ostrzegam Courtney w taksówce.

- Proszę, Patricku, nie pal cygar - mówi powoli.

- Czy to samochód Donalda Trampa? -- pytam spoglądając na limuzynę stojącą obok nas w korku.

- Boże, Patricku, zamknij się - odpowiada Courtney niskim, zaćpanym głosem.

- Wiesz co, Courtney, w mojej aktówce Bottega Veneta jest walkman i w każdej chwili mogę włożyć słuchawki - mówię. - Powinnaś zażyć jeszcze trochę litu. Albo napij się dietetycznej pepsi. Kofeina poprawi ci nastrój.

- Chcę mieć dziecko - mówi cicho do pustki za oknem. - Albo... dwoje... wspaniałych... dzieci.

- Mówisz do mnie czy to tego gdułaja? - pytam wystarczająco głośno, by usłyszał mnie żydowski taksówkarz. Jak było do przewidzenia, Courtney nie reaguje.

The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był perfumom, szminkom i makijażowi. Luis Carruthers, chłopak Courtney, wyjechał do Phoenix i wraca na Manhattan dopiero w czwartek późnym wieczorem. Courtney ubrana jest w wełniany żakiet i kamizelkę, dżersejowy podkoszulek i gabardynowe spodnie od Bil-la Blassa, w uszach ma kryształowe, emaliowane i pociągane złotem kolczyki od Gerarda E. Yosca, a na nogach jedwabno-satynowe pantofle od Manolo Blahni-ka. Ja natomiast włożyłem dziś szytą na miarę tweedową marynarkę, spodnie i bawełnianą koszulę z butiku Alana Flussera, oraz jedwabny krawat od Paula Stuarta. Rano musiałem czekać dwadzieścia minut w salonie odnowy biologicznej, żeby dostać się na Stairmastera. Pozdrawiam ręką żebraka na rogu Czterdziestej Dziewiątej i Ósmej, a potem pokazuję mu środkowy palec.

Przy obiedzie rozmawiamy o nowej książce Elmore'a Leonarda, której nie czytałem; potem o kiepskich restauracji - w których jadałem; o brytyjskiej wersji Nędzników w płytach kompaktowych, którą porównujemy z amerykańskim nagraniem; o nowym, salwadorskim bistro na rogu Drugiej i Osiemdziesiątej Trze-

kiej; i o plotkarskich rubrykach gazet - która jest lepsza? - ta w /hstczy ta w News? Wygląda na to, że Anne Smiley i ja mamy wspólną znajomą: kelnerkę z Abetone w Aspen, którą zgwałciłem za pomocą pojemnika z lakierem do włosów podczas ostatnich zimowych wakacji (narty, Boże Narodzenie). Leżaki są zatłoczone, od hałasu pękają mi bębenki, akustyka jest do niczego z powodu wysokiego sufitu. Jeśli się nie mylę, z głośników zamontowanych w rogach sali płynie "White Rabbit" w wersji new age, co sprawa, ŻE restauracyjny tumult staje się nieznośny. Ktoś, kto przypomina Forresta Atwatera - zaczesane do tyłu jasne włosy, okulary z zerowymi szklami w palisandrowej oprawce, garnitur Armaniego, szelki - siedzi z Caroline Baker (chyba), specjalistką od inwestycji bankowych od Drexela. Caroline nie wygląda najlepiej. Przydałby jej się mocniejszy makijaż, a kostium, który ma na sobie (Ralph Lauren), wygląda zbyt surowo. Siedzą przy średnio fajnym stole z przodu obok baru.

- Tutejsza kuchnia nazywa się Kalifornia classic - informuje mnie Annę przysuwając się bliżej po skończeniu składania zamówień. Przypuszczam, że jej uwaga zasługuje na odpowiedź, a ponieważ Scott i Courtney zajęci są dysputą nad zaletami plotek w Post, na mnie spada obowiązek rozmowy.

- Chcesz powiedzieć, że istnieje jeszcze jakaś inna kuchnia kalifornijska? - pytam ostrożnie starannie dobierając słowa, a potem dodaję niezdecydowanie: - Kalifornia postmodern?

- Wiem, że brzmi to może nazbyt fachowo, ale w kuchni kalifornijskiej mamy do czynienia z ogromną różnorodnością dań. Różnorodność ta, aczkolwiek subtelna, istnieje niezaprzeczalnie - mówi Annę.

- Tak, słyszałem coś... o kuchni postkalifornijskiej - odpowiadam przyglądając się jednocześnie wystrojowi wnętrza: rurom biegnącym na wierzchu, kolumnom, niezabudowanej pizzerii i... leżakom. - Chyba nawet zdarzyło mi się jej spróbować. Żadnych nowalijek, prawda? Małże w sosie burrito? Krakery Wasa-bi? Dobrze mówię? A tak przy okazji, czy ktoś wspomniał ci już, że wyglądasz jak Garfield rozjechany przez ciężarówkę i obdarty ze skóry? Garfield w obrzydliwym swetrze Ferragamo. Rozjechany Garfield, którego zapomnieli zanieść do weterynarza? Fussili? Olej z oliwek na serze brie?

Dokładnie - odpowiada zafascynowana moją wiedzą Annę. - Och, Courtney, gdzie znalazłeś Patricka? Jest tak doskonale zorientowany we wszystkim. Na przykład Luis, gdy rozmawia się z nim o kuchni kalifornijskiej, wspomina jedynie o pomarańczach i k i s i e l u... - wybucha śmiechem i zachęca mnie spojrzeniem, żebym się przyłączył, co niechętnie czynię.

Na przystawkę zamawiam radicchio z czymś w rodzaju głębiny kałamar-nicy. Annę i Scott biorą potrawkę z anioła morskiego z fiołkami. Courtney niemal zasypia czytając menu i osuwa się z krzesła. Łapię ją za ramiona i prostuję jej plecy. Annę zamawia dla niej coś niewyszukanego i lekkiego o nazwie dmuchana

kukurydza Cajun (chyba). Danie to nie jest wyszczególnione w menu, ale ponieważ Annę zna Noja, tutejszego szefa kuchni, obsługa godzi się przygotować specjalnie dla nas małą torebkę kukurydzy... Wszystko dla Courtney! Scott i Anne nalegają, byśmy zamówili prażonego łososia

(złowionego w okresie tarła); średnio lub dobrze p r a ż o n e g o łosia: specjalność Leżaków, która na szczęście dla nich, znalazła się w jednym z zestawów przygotowanych dla mnie przez Jean. Gdyby było inaczej i gdyby w dalszym ciągu upierali się, żebym zamówił to gównu, nie wykluczam, że po dzisiejszym obiedzie włamałbym się do mieszkania Scotta i Annę o drugiej nad ranem - po programie Late Night with David Letterman - i porąbał ich siekierą na kawałki, każąc najpierw Annę przyglądać się jak Scott wykrwawia się na śmierć z dziury w klatce piersiowej; potem, po załatwieniu Annę, pojechałbym do Exeter i oblał kwasem solnym tę skośnooką małpę, ich synka. Nasza kelnerka jest małym laskojadem ubranym w złociste pantofelki na wysokim obcasie z jaszczurzej skóry. Pantofelki zapinane z tyłu na pasek i ozdobione kutasikami ze sztucznej macicy perłowej.

- Tutejsza kuchnia nazywa się Kalifornia classic - informuje mnie Scott.

- Może wybierzemy się w przyszłym tygodniu do Zeusa? - proponuje Scott-towi Annę. - Myślisz, że dałoby się załatwić stolik na piątek? - Scott ubrany jest w karmazynowo-czerwony kaszmirowy sweter w czarne intarsjowane paski od Paula Stuarta, powypychane welwetowe spodnie od Ralpha Laurena i skórzane mokasyny od Cole-Haana.

- No cóż... może - odpowiada Scott.

- To w s p a n i a ł y pomysł. Bardzo mi się podoba - mówi Annę podnosząc z talerza małeńki kwiatek, który następnie wacha i Wadzie ostrożnie na języku. Ubrana jest w karmazynowo-czerwono-czarny, zrobiony na drutach moha-irowo-wełniany sweter z kolekcji Koos Van Den Akker Couture, spodnie od Annę Klein i zamszowe pantofle z odkrytym czubkiem.

Podchodzi do nas wielkimi krokami jakiś kelner (gdzie się podział laskojad?) gotów przyjąć kolejne zamówienia na drinki.

- J&B. Bez lodu - mówię zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. Courtney zamawia szampana z l o d e m, co w głębi duszy wprawia mnie

w podziw. - Alia - dodaje, jak gdyby o czymś sobie przypomniła - czy mogę prosić o drinka z plasterkiem?

- Plasterkiem czego? - pytam poirytowany nie mogąc się opanować. - Pozwól, że zgadnę. M e l o n a? - Myślę sobie, o mój Boże, Bateman, ty głupi skurwysynu, dlaczego nie oddałeś cholernych kaset do wypożyczalni.

- Chodzi pani o cytrynę? - mówi kelner patrząc na mnie lodowatym wzrokiem.

- Tak, oczywiście. O cytrynę - Courtney kiwa głową zatopiona w jakimś śnie; śnie, który koi i przynosi zapomnienie.

- Ja natomiast poproszę o kieliszek... o rany, chyba Akacji - mówi Scott zwracając się do wszystkich przy stole. - Białej? A może chardonnay? Do łosia przydałby się cabernet.

- Zamów go - mówi wesoło Annę.

- Okay, wezmę... o Jezu, sauvignon blanc - mówi Scott. Kelner uśmiecha się skonfundowany.

- Ależ S c o l l i e... - piszczy Annę. - Sauvignon b l a n c?

- Żartowałem - parska Scott. - Proszę o chardonnay. Akacja.

- Ty mały kutasie - mówi Annę i uśmiecha się z ulgą. - Jesteś przeżabawny.

- Biorę chardonnay - mówi Scott do kelnera.

- To miło - dodaje Courtney klepiąc Scotta po ręce.

-Ja natomiast... - bąka Annę i zastanawia się. - Ocli, ja natomiast poproszę o dietetyczną pepsa.

Scott unosi głowę znad kawałka kukurydzianego chleba, który moczył w małej puszcze oleju z oliwek. - Nie pijesz dzisiaj?

- Nie - odpowiada Annę śmiejąc się nieznacznie. Kto wie dlaczego? I kogo to kurwa obchodzi? - Nie mam dzisiaj nastroju.

- Nawet kieliszka chardonnay? - pyta Scott. - A może sauvignon blanc?

- Mam aerobik o dziewiątej - odpowiada Annę płacząc się i tracąc opanowanie. - Naprawdę nie powinnam.

- W takim razie, ja też rezygnuję - mówi lekko rozczerwony Scott - Mam aerobik o ósmej w Xclusive.

- Czy ktoś chce zgadnąć, gdzie nie będzie mnie jutro o ósmej rano? -pytam.

- Nie, kochanie. Wiem, jak bardzo lubisz Akcję - Annę wyciąga rękę i ściska dłoń Scotta.
- Nie, maleńka. Zostanę przy Pellegrino - odpowiada Scott pokazując coś palcem.
Bębnię głośno o blat stołu i mruczę pod nosem: kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. Courtney ma półprzymknięte oczy i dyszy ciężko.
- Posłuchaj. A niech tam... - zamyka kwestię Annę. Wypiję dietetyczną colę z r u m e m.
Scott wzdycha, uśmiecha się, a nawet rozpromienia. - Dobrze.
- Ta dietetyczna cola jest b e z k o f e i n o w a, prawda? - Annę zwraca się do kelnera.
- Wiesz - przerywam jej. - Dietetyczna pepsi jest znacznie lepsza. Spróbuj.
- Naprawdę? - pyta Annę. - Co chcesz przez to powiedzieć?
- Powinnaś wypić dietetyczną pepsi zamiast dietetycznej coca coli. Jest znacznie lepsza. Ma więcej gazu. Czystszy smak. Łatwiej miesza się z rumem i ma niższą zawartość sodu.
Kelner, Scott, Anne i nawet Courtney wpatrują się we mnie tak, jakbym dokonał właśnie jakiegoś apokaliptycznego odkrycia, jakbym zszargał świętość lub splugawił przysięgę - i nagle wydaje mi się, że w Leżakach zapadła grobowa cisza. Wczoraj wieczorem wypożyczyłem film, który nosił tytuł We wii7i7.u dupy Lydii. Byłem na dwóch halcionach i popijałem dietetyczną pepsi, obserwując, jak Lydia - wspaniale opalony laskojad o wypłowiałych włosach, z kapitalnym tyłkiem i świetnymi, pełnymi cycami - opierając się na kolanach i rękach ciągnie druta jakiemuś facetowi z olbrzymim chujem. W tym czasie inny cudowny laskojad z perfekcyjnie przyciętymi włosami na cipie klęczy za Lydią i najpierw liże jej dupę, potem ssie pizdę, a w końcu zaczyna wpychać w jej odbyt długi, posmarowany kremem, srebrzysty vibrator. Potem jebie ją vibratorem liżąc ciągle jej cipę, a facet z olbrzymim chujem spuszcza się na twarz Lydii, która wcześniej lizała go po jajach. Lydia wygina się w przypominającym autentyczny, silnym orgazmie, a dziewczyna, która klęczała za nią, czołga się i zlizuje spermę z twarzy Lydii, po czym daje jej vibrator do ssania. W zeszły czwartek ukazał się nowy album Stephena Bishopa. Wczoraj kupiłem jego kompakt w Tower Records, a oprócz tego kasetę i płytę analogową, bo lubię mieć wszystkie hay nośniki naraz.
- Posłuchaj - mówię, a mój głos diży z emocji. - Zamów co chcesz, ale powtarzam, że lepsza jest dietetyczna pepsi. - Patrzę na swoje uda, na błękitną serwetkę z wyszytym na krawędzi napisem "Leżaki" i przez chwilę wydaje mi się, że zacznę płakać; nie mogę przełknąć i czuję, jak drży mi broda.
Courtney wyciąga rękę i dotyka mojego nadgarstka, po czym głaszcze Role-xa. - Wszystko jest dobrze Patricku. Naprawdę...
Ostry ból w okolicach wątroby wyrywa mnie ze stanu emocjonalnego rozchwiania, prostuję się na krześle przestraszony i zmieszany. Kelner odchodzi, a Annę pyta, czy widzieliśmy najnowszą wystawę Davida Oniki. Jestem już spokojniejszy.
Okazuje się, że nie widzieliśmy wystawy. Nie chcę zostać uznany za samo chwałę i nie przyznaję się, że mam obraz Oniki na ścianie, postanawiam jednak kopnąć lekko Courtney pod stołem. Ból kostki wyprowadzają na chwilę z ośpienia wywołanego litem i Courtney odzywa się niczym robot:
- Patrick ma Onikę. Naprawdę.
Uśmiecham się zadowolony i pociągam J&B.
- Och, to fantastycznie, Patricku - mówi Annę.
- Naprawdę? Masz Onikę? - pyta Scott. - Słyszałem że jest dosyć drogi.
- No cóż, powiedzmy, że... - piję drinka i czuję nagle zmieszanie: powiedzmy, że... powiedzmy, że co? - Nieważne.
Courtney wzdycha spodziewając się następnego kopniaka. - Obraz Patric-ka kosztował dwadzieścia tysięcy dolarów. - Jest śmiertelnie znudzona i bawi się kawałkiem kukurydzianego chleba.
Rzucam jej surowe spojrzenie i staram się nie syczeć: - O nie, Courtney. Prawdę mówiąc zapłaciłem za ten obraz pięćdziesiąt tysięcy.
Unosi powoli głowę znad chleba, którego nie przestaje ugniatać. Mimo oszołomienia litem patrzy na mnie z taką złością, że automatycznie pokornieję, jednak nie na tyle, żeby powiedzieć Scottowi i Annę prawdę: Onica kosztował faktycznie tylko dwanaście kawałków. Mrożące krew w żyłach spojrzenie Courtney - chociaż może przesadzam, może tylko spojrzała z niesmakiem na pokryte

wzorkami kolumny, na żaluzje zasłaniające niebo albo okalające bar wazony od Mon-tiego pełne fioletowych tulipanów - odbiera mi chęć do dalszego opowiadania o kupnie Oniki. Wyraz je j oczu daje się bardzo łatwo zinterpretować. Jest w nim ostrzeżenie: kopnij mnie jeszcze raz i masz cipę z głowy, rozumiesz?

- To chyba... - zaczyna Annę.

Wstrzymuję oddech, a na mojej twarzy pojawia się napięcie.

- ... t a n i o - kończy.

Wypuszczam powietrze. - Zgadza się. Udał mi się bajeczny interes - przełykam ślinę.

-Ale pięćdziesiąt tysięcy? - pyta podejrzliwie Scott.

- No cóż, uważam, że jego prace... mają ten cudownie proporcjonalny, ironiczny brak głębi... - usiłuję przypomnieć sobie zdanie z recenzji, którą czytałem w magazynie New York. - Ironiczny....

- Słyszałam, że Luis także ma Onikę, prawda Courtney? - pyta Annę klepiąc Courtney po ramieniu. - Courtney?

- Luis... ma... co? - Courtney potrząsa głową chcąc oprzytomnieć i otwiera szeroko zamykające się bezwolnie oczy.

- Kto to jest Luis? - pyta Scott machając jednocześnie do kelnerki i każąc jej zabrać masło postawione niedawno na stole przez pikolaka - Co za zwierzę?

Annę odpowiada za Courtney. - Ależ to chłopiec Courtney, kochanie. -Zmieszana Courtney patrzy na mnie wzywając wzrokiem pomocy.

- Co robi? - pyta Scott.

-Jest w Teksasie - odpowiadam szybko. - To znaczy wyjechał do Phoenix.

- Nie - prostuje Scott. - Pytam, gdzie pracuje?

- L F. Rothschild - mówi Annę szukając wzrokiem potwierdzenia, najpierw u Courtney, później u mnie. - Prawda?

- Nie, pracuje u Pierce'a & Pierce'a - wyjaśniam. - Ze mną... w pewnym sensie.

- Czy kiedyś nie spotykał się z Samanthą Stevens? - pyta Annę.

- Nie - stwierdza stanowczo Courtney. - To było przypadkowe zdjęcie, które ktoś wysłał do W, Gdy podano drinki, wypijam swoją szkocką jednym haustem i gestem pro szę o następną. Courtney to naprawdę niezła dupa, ale nawet najbardziej wymyślny seks z taką jak ona nie jest wart tego obiadu. Zmieniamy temat rozmowy, a ja wpatruję się przez całą długość sali we wspaniałą dziewczynę - blondynka, wielkie cycki, obcisła sukienka, aksamitne pantofle ze złotymi słupkami. Scott zaczyna coś głądzić o swoim nowym odtwarzaczu płyt kompaktowych, a niczego nie świadoma Annę opowiada Courtney - całkowicie nieprzytomnej i nieobecnej duchem - o nowym cieście pszenno-żytowym z niską zawartością sodu, świeżych owocach i muzyce new age na przykładzie zespołu Manhattan Steamroller.

- To Aiwa - mówi Scott. - Musiałbyś to usłyszeć. Dźwięk jest... - przerywa, zamyka ekstatycznie oczy nie przestając jednocześnie żuć kukurydzianego chleba - f a n t a s t y c z n y.

- No cóż, Scottie - przyznaję. - Aiwa jest okay. - Gówno prawda, możesz sobie pomarzyć, Scottie, myślę. - Jednak Sansui to absolutny przebój - Po chwili dodaję: - Mówię z własnego doświadczenia. Mój odtwarzacz został wyprodukowany przez Sansui.

- Sądziłem, że A i w a jest absolutnym przebojem. - Scott wygląda na zmartwionego, lecz nie aż tak bardzo, bym czuł się w pełni usatysfakcjonowany.

- Mylisz się, Scott. Czy Aiwa ma cyfrowe zdalne sterowanie? -Ma.

- Sterowanie komputerowe?

- Alia - Co za skończony i całkowity debil!

- Czy twój zestaw ma talerz na podstawie metakryliczo-mosiężnej?

- Tak. - Co za kłamliwy skurwysyn!

- Czy w twoim zestawie jest... tuner Accophase T-106? - pytam. -Jasne - wzrusza ramionami.

-Jesteś pewien? Zastanów się dobrze.

- Taa... Tak mi się wydaje - odpowiada i drżącymi rękoma sięga po następny kawałek kukurydzianego chleba.

- Jakie masz kolumny?

- No cóż, drewniane Duntech - odpowiada zbyt szybko.

- No to nie mamy o czym mówić, Scottie. Musisz mieć kolumny Infinity IRS typu V... - mówię. - Albo...

- Zaczekaj - wpada mi w słowo. - Kolumny typu V? Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

- Na tym właśnie polega twój problem - wyjaśniam. - Jeśli nie masz kolumn typu V, równie dobrze możesz sobie słuchać cholernego walkmana.

- Jaki jest najniższy zakres basów w tych głośnikach? - pyta podejrzliwie.

- Ultra niski: piętnaście herców - pryham podkreślając każde słowo.

To mu zamyka mordę. Annę marudzi coś o beztłuszczowym mrożonym jogurcie i psach chow-chow. Opieram się wygodniej na krześle zadowolony ze zwycięstwa nad Scottem, który zresztą szybko docłodzi do siebie i stwierdza: -Tak czy inaczej... - chce mi pokazać, jak mało go obchodzi to, że ma tanie, gówniane stereo - ... kupiliśmy dzisiaj nowy kompakt Phila Collinsa. "Groovy Kind Of Love" brzmi wspaniale na naszym sprzęcie.

- Owszem, uważam, że to najlepsza piosenka, jaką kiedykolwiek napisał Collins - mówię i dodaje coś jeszcze. W końcu jest to jedyna rzecz, co do której zgadzamy się ze Scottem. Na stole pojawiają się talerze z prażonym łososem: ryba wygląda tak niesamowicie, że Courtney przeprosza wszystkich i idzie do damskiej toalety. Gdy nie wraca po trzydziestu minutach, postanawiam przejść się na tyły restauracji, gdzie znajduję ją śpiącą w szatni.

Teraz jest już u siebie, rozebrana, leży na plecach z szeroko rozłożonymi nogami - nieźle opalonymi, masykulnymi, wyćwiczonymi i wyaerobikowanymi nogami - ja natomiast klęczę między nimi i walę jej minetę, a przy okazji sobie konia. Odkąd zacząłem lizać i ssać jej cipę, miała już dwukrotnie orgazm. Pizda Courtney jest ciasna, gorąca i wilgotna, nie pozwalam jej się zamknąć wsadzając w nią palec, jednocześnie dbam o swój wzwód. Unoszę jej tyłek z zamiarem wsunięcia języka w odbyt, lecz Courtney tego nie chce, więc wstaje i sięgam do antycznego, portyjskiego nocnego stoliczka, gdzie w popielniczce od Palio stojącej obok lampy halogenowej Tensor i glinianej urny od D' Oro, leżą kondomy. Rozrywam paczuszkę dwoma błyszczącymi, śliskimi palcami i zębami, a potem z łatwością wsuwam gumę na chuja.

- Chcę, żebyś mnie wyjechał - jęczy Courtney i podciąga nogi do tyłu rozszerzając wejście do cipy. Dotyka się palcem, który daje mi do ssania - ma długie, czerwone paznokcie, a wilgoć z jej warg sromowych - lśniącą w świetle ulicznych lamp sączącym się przez żaluzje od Stuarta Halla - smakuje słodko i różowo. Courtney wyciera palec w moją twarz, ociera nim o wargi i język zanim wyschnie.

- Dobra - mówię i Wadę się na niej. Wsuwam jej z wdziękiem ptaka w pizdę całując ją przy tym mocno w usta. Pcham się w nią długimi, szybkimi posunięciami. Mój kutas, moje biodra oszalały: poruszają się własnym pożądlwym rytmem, czuję u podstawy jaj zbliżający się orgazm, czuję go w dupie, nadchodzi gdzieś stamtąd prosto do kutasa, który jest tak sztywny, że aż boli - nagle, w połowie pocałunku, podnoszę głowę i zostawiam ją z wywalonym jęzorem, którym liże czerwone, nabrzmiące wargi. Pracuję jeszcze, lecz już lżej, ponieważ przypomniałem sobie o... pewnym... problemie, choć jeszcze nie wiem o jakim...Już po chwil, gdy patrzę na opróżnioną do połowy butelkę wody Evian, która stoi na stoliku, spada na mnie jak piorun straszliwa prawda. - O kurwa - jęczę i wychodzę z niej.

- Co? - dyszy Courtney. - Zapomniałeś o czymś?

Bez słowa wstaję z łóżka i potykając się idę do łazienki próbując po drodze ściągnąć gumę, która przykleiła mi się do kutasa. Szarpię lateks i potykam się o wagę od Genloda. Usiłuję zapalić światło i powtórnie uderzam się w paluch u nogi. Przeklinam, ale w końcu udaje mi się otworzyć szafkę z lekarstwami.

- Patricku, co ty tam robisz? - słyszę Courtney z sypialni.

- Szukam rozpuszczalnej w wodzie oliwki plemnikobójczej - odpowiadam głośno. - Uważasz, że co powinienem zrobić? Rozejrzeć się za globulkami a n t y?

- O mój Boże -jęczy. - Więc nie zastosowałeś o l i w k i?

- Courtney - krzyczę dostrzegając małą rankę nad górną wargą. - Gdzie o n a jest?

- Nie słyszę cię, Patricku - wyje.

- Luis ma okropny gust, jeśli chodzi o wody kolońskie - mówię do siebie biorąc do ręki buteleczkę Paco Rabanne i wachając ją.

- Co mówisz? - woła.

- Rozpuszczalna w wodzie oliwka plemnikobójcza - odkrzykuję patrząc w lustro i rozglądając się za ałunem Clinique Touch-Stick, który mógłbym przyłożyć do skaleczenia.

- Dlaczego m n i e o nią pytasz? - drze się Courtney. - Chcesz powiedzieć, że nie masz jej przy sobie?

- Gdzie jest ta pieprzona, rozpuszczalna w wodzie oliwka plemnikobójcza? - krzyczę. - Rozpuszczalna! W wodzie! Oliwka! Plemnikobójcza! - drę się na całe gardło przykładając do ranki wacik Clinique, a potem zaczesując do tyłu włosy.

- Na górnej półce - mówi. - Tak mi się wydaje.

Zaczynam szperać w szafce z lekarstwami i przyglądam się wannie zauważając przy okazji jak bardzo jest prymitywna. Mówię: - Wiesz co, Courtney, powinnaś wyjąć się do kupy i wymarmurować sobie wannę albo dodać do niej jakieś ciśnieniowe wloty wody jak wjacuzzi. - Po chwili pytam: - Słyszysz mnie, Courtney? - Upływa kilka sekund: - Tak... Patricku. Słyszę cię.

W końcu znajduję pojemnik z oliwką za olbrzymią butelką, nie słoje m xanaxu, który stoi na górnej półce szafki. Zanim do reszty mi wymiękło, zdążyłem jeszcze wpuścić kropelkę oliwki do czubka prezerwatywy i rozetrzeć ją po lateksowej warstwie ochronnej. Wracam do sypialni, wskakuję do łóżka, a Courtney warczy: - Patricku, to nie jest jakaś kurewska trampolina. - Nie zwracam na nią uwagi, klękam i wsuwam w nią kutasa, Courtney zaczyna pracować biodrami wychodząc naprzeciw moim pchnięciom, a potem oblizuje kciuk i pociera nim łechtaczkę. Przyglądam się własnemu chujowi, który wsuwa i wysuwa się z jej pochwy długimi szybkimi ruchami.

- Zaczekaj - dyszy.

- Co znowu? - jęczę zdziwiony, bo właśnie zacząłem dochodzić.

- Luis ma kłopoty z sikiem - mamrocze i próbuje zepchnąć mnie z siebie.

- Tak - zgadzam się i wyciągam szyję, by wsadzić język do jej ucha. - Luis m a kłopoty z sikiem. Jak też go nienawidzę. - Jej obrzydzenie do narzeczonego nieudacznika dodaje mi skrzydeł, zaczynam poruszać się szybciej, orgazm zbliża się w szybkim tempie.

- Nie, ty idioto - warczy. - Powiedziałam: "Nie czuję czy masz końcówkę z pojemniczkiem", a nie "Luis ma kłopoty z sikiem". Masz końcówkę z pojem-niczkiem czy nieś' Złaz ze mnie.

- Czy co mam? - jęczę.

- Wyciągaj go - krzyczy i wije się pode mną.

- Nie zwracam na ciebie uwagi - mówię przesuwając ustami po jej małych, wspaniałych sutkach, które stwardniały na czubkach jędrnych, wielkich cyczków.

- Wyciągaj go do cholery! - wrzeszczę.

- O co ci chodzi, Courtney? - mruczę zwalniając tempo do tego stopnia, że mogę się wyprostować. Klęczę nad nią z połową chuja w środku. Courtney opiera się o zagłówek i wypadam.

- To chyba zwykła końcówka - pokazuję palcem. - Tak mi się wydaje.

- Zapal światło - mówi próbując usiąść.

- Chryste. Idę do domu.

- Patricku - syczy ostrzegawczo. - Zapal światło. Wyciągam rękę i włączam halogenowego Tensora.

- To zwykła końcówka, widzisz? - mówię. - I co z tego?

- Ściągaj go - rozkazuje szorstko.

- Dlaczego? - pytam.

- Bo musisz zostawić pół cala na końcu - odpowiada zasłaniając piersi kołdrą od Hermesa i podnosząc głos, co znaczy, że traci cierpliwość - po to, żeby zredukować siłę w y t r y s k u!

- Wynoszę się stąd - grozę jej, lecz nie ruszam się z miejsca. - Gdzie twój lit? Zasłania marz poduszką i mamrocze coś pod nosem, a potem zwija się i kładzie na boku w pozycji embrionalnej. Chyba płacze.

- Gdzie jest twój lit, Courtney? - powtarzam spokojnie. - Musisz go zażyć. Znowu mamrocze coś niezrozumiale i potrząsa głową - Nie, nie, nie - przykrytą poduszką.

- Co? C o powiedziałaś? - pytam z wymuszoną uprzejmością. Próbuję odzyskać erekcję waląc lekko konia. - Gdzie? - Szlochy pod poduszką: ledwo słyszalne.

- Wiem, że płaczesz, lecz postaraj się mówić wyraźniej, bo nie rozumiem ani słowa. - Próbuję ściągnąć poduszkę z jej głowy. - Mów głośniej.

Znowu mamrocze całkiem bez sensu.

- Courtney - ostrzegam, zaczynając się wściekać - czyja cię dobrze zrozumiałem? Powiedziałaś, że twój lit jest w pudełeczku w zamrażalniku i stoi obok Frusen Gladje, że twój lit to s o r b e t - drę się na całe gardło. - Jeśli naprawdę tak powiedziałaś, to r o z w a l ę c i ł e b. Twój lit to s o r b e t? Masz sorbet z litem? - wrzeszczę i w końcu udaje mi się ściągnąć poduszkę z jej głowy. Wymierzam jej siarczysty policzek.

- Czy uważasz, że podnieca mnie uprawianie niebezpiecznego seksu? - drze się Courtney.

- Jezu Chryste, to naprawdę nie jest warte aż takich zachodów - warczę ściągając prezerwatywę z czubka tak, żeby na jej końcu zostało wolne pół cala, może trochę mniej. - Spójrz, Courtney. Po co to komu? He? Objasnij nam. - Wymierzam jej jeszcze jeden policzek, tym razem słabszy. - Dlaczego trzeba ściągnąć kondoma o pół cala? Po to, by zredukować siłę w y t r y s k u?

- To wcale mnie n i e podnieca. - Courtney jest na granicy hysterii, szlocha dziko i dusi się łzami. - Wkrótce dostanę awans. W sierpniu jadę na Barbados i nie chcę spierdolić sobie życia jakimś mięsakiem Kaposiego! - Znów krztusi się i kaszle. - Chcę założyć bikini - wyje. - Od Normy Kamali. Niedawno kupiłam sobie u Bergdorfa.

Chwytam ją za głowę i zmuszam do spojrzenia na końcówkę kondoma. - Patrz! Zadowolona? Ty głupia suko! Jesteś zadowolona, ty skretyniała zdziro?

Odwraca oczy i szlocha. - Boże, skończmy już z tym. - Po czym opada na łóżko.

Wchodzę w nią gwałtownie i doprowadzam się do orgazmu, który jest tak słaby, że prawie go nie czuję. Mój przeraźliwy jęk - spodziewanego przecież -rozczarowania, Courtney bierze za wyraz rozkoszy, co dodaje jej wigoru, więc mimo, że szlocha i pociąga nosem, podnosi rękę i wkładają podę mnie, żeby zrobić sobie dobrze. Ja natomiast wymiękam zaraz po szczytowaniu - właściwie już w m o m e n c i e szczytowania - jednak jeśli nie wyjdę z niej z erekcją, to znowu dostanie ataku hysterii, trzymam więc brzegi gumy i dosłownie wędnę wypadając z cipy. Leżymy po dwóch przeciwnych stronach łóżka przez (chyba) dwadzieścia minut, a Courtney miauczy coś o Luisie, antycznych deskach do krojenia mięsa, srebrnej tarce do sera i pojemniku na bułeczki, który zostawiła u Harry'ego. Później próbuje wziąć iní w usta. - Chcę się z tobą pierdolić - mówię jej - ale nie chcę zakładać prezerwatywy, ponieważ nic nie czuję. - Courtney podnosi głowę znad mojego biednego, skurczonego ptaka, patrzy na mnie i mówi: -Jeśli nie założysz gumy, to tak czy inaczej nic nie będziesz czuł.

SPOTKANIE w INTERESACH

Jean - zakochana we mnie po uszy sekretarka - wchodzi do mojego biura nie anonsując się brzęczykiem i oznajmia, że dziś o jedenastej mam bardzo ważne spotkanie w firmie. Siedzę za biurkiem ze szklanym blatem Palazetti, wpatruję się w monitor komputera przez okulary Ray-Ban, żuję nuprin i jestem skacowany po wczorajszej kokainowej imprezie, która zaczęła się całkiem niewinnie w Shout!, gdzie spotkałem Charlesa Hamiltona, Andrew Spencera i Chrisa Staf-forda. Po wyjściu z Shout! przenieśliśmy się do Princeton Club, później zaliczyliśmy Barcadíę i skończyliśmy około trzeciej trzydziści u Nell. Rano - po czterech godzinach snu (podczas którego nic mi się nie śniło) - obudziłem się zlany potem i natychmiast poszedłem wymoczyć się w wannie. Wypiłem Krwawą Mary na bazie Stolicznej i przypomniałem sobie o spotkaniu. Jadąc taksówką do pracy już o nim nie pamiętałem. Jean ubrana jest w czerwony żakiet z elastycznego jedwabiu, dziwną spódniczkę z satynowymi kokardami od Susan Bennis War-rena Edwardsa i złociste kolczyki od Roberta Lee Mprisa. Stoi przede mną z teczką w ręku i nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo wszystko mnie boli.

Przez prawie minutę udaję, że jej nie widzę. W końcu zsuwam okulary na czubek nosa i chrząkam.

- Tak? Coś j e s z c z e? Jean?

- Jesteśmy dzisiaj nie w sosie. - Uśmiecha się kładąc bojaźliwie teczkę na moim biurku i stoi dalej jakby czekała... na co...? że rozbawię ją podkrążonymi po zeszłej nocy oczyma?

- Zgadza się, ty prostaczko, jestem dzisiaj nie w sosie - syczę podnosząc teczkę i wrzucając ją do górnej szuflady biurka.

Gapi się na mnie nic nie rozumiejąc, wygląda na mocno zbitą z tropu, wreszcie mówi: - Dzwonił Ted Madison... i James Baker. Chcą spotkać się z tobą we Fleciku o szóstej.

Wzdycham i spoglądam na nią. - No cóż, co masz im powiedzieć?

Uśmiecha się nerwowo i szeroko otwiera oczy przestępując z nogi na nogę. - Nie jestem pewna. i

-Jean -wstaje zza biurka, żeby wyprowadzić ją za drzwi. - Co.. masz... im... powiedzieć?

Zajmuje jej to trochę czasu, ale w końcu zgaduje i szepcze niepewnie: -Wystarczy... powiedzieć... nie?

- Wystarczy... powiedzieć... nie - kiwam głową, wypycham ją z gabinetu i zatraskuję drzwi.

Przed wyjściem na konferencję zażywam dwa valium, popijam Perrierem, a następnie wycieram twarz emulsją tonizującą, którą nakładam wilgotnymi waci-kami, po czym dodatkowo aplikuję sobie nawilżacz. Ubrany jestem w tweedowy

garnitur i bawełnianą koszulę w paski - całość od Yvesa Sainta Laurent - jedwabny krawat od Armaniego i nowe czarne buty ze wzmacnianym czubkiem od Fer-ragamo. Płuczę usta Plaxem, a potem myję zęby. Gdy wycieram nos, na chusteczce od Hermesa za czterdzieści pięć dolarów sztuka (niestety nie była prezentem) znajduję poskręcane skrzepy krwi i brudnych smarków. Piję codziennie około dwudziestu litrów wody Evian i regularnie chodzę do solarium, dlatego jedna nocna impreza nie wpływa w zasadniczy sposób na gładkość i odcień mojej skóry. Ciągłe mam doskonałą cerę. Trzy krople Visine rozjaśniają spojrzenie. Torba z lodem ujędrnia twarz. Wszystko sprowadza się do bardzo prostego stwierdzenia: czuję się jak kupa gówna, ale wyglądam wspaniale.

Jestem pierwszą osobą, która wchodzi do sali obrad rady. Za mną - niczym piesek depczący po piętach - łąduje się Luis Carruthers. Siada obok mnie, co oznacza, że będę musiał zdjąć z uszu słuchawki walkmana. Luis ma na sobie wełnianą, sportową marynarkę w kratę, wełniane spodnie, bawełnianą koszulę od Hugo Bossa i kaszmirowy krawat. Spodnie są chyba od Brooks Brothers. Zaczyna opowiadać o jakiejś restauracji w Phoenix, która nazywa się u Proroków; prawdę mówiąc, z chęcią dowiedziałbym się czegoś więcej na temat tej knajpy, ale nie od Luisa. Mam w sobie dziesięć miligramów valium, dlatego cierpliwie znoszę jego gadkę. Gośćmi The Putty Winte:i Showdziś rano byli potomkowie uczestników Wyprawy Donnera.*

- Moi klienci w Phoenix okazali się s t u p r o cent o w y m i prowincjuszami, czego zresztą można było się spodziewać - mówi Luis. - Chcieli zabrać mnie na miejscową inscenizację Nędzników, a ja przecież widziałem ten musical w L o n d y n i e...

- Miałeś jakieś problemy z rezerwacją u Proroków? - pytam wchodząc mu w słowo.

- Nie. Absolutnie żadnych. A jedliśmy dosyć późno.

- Co zamówieś?

- Gotowane ostrygi bez skorup, szarlotkę i torcik orzechowy.

- Słyszałem, że dają tam niezłą szarlotkę - mruczę zagubiony we własnych myślach.

- Klient zamówił sobie boudin blanc, pieczonego kurczaka i sernik - mówi Luis.

- Sernik? - powtarzam zdziwiony tą prymitywną, obco brzmiącą nazwą. -Jaki sos lub owoce podali do pieczonego kurczaka? W jakim kształcie był kurczak?

- W żadnym... - odpowiada zmieszany Luis. - Był... po prostu... pieczony.

- A sernik... jaki miał smaki? Był podgrzany? - pytam. - Może był to sernik Ricotta, a może użyto do niego koziego sera? Były w nim kwiatki czy nać kolendry?

- To był... zwykły... sernik - mówi, a potem dodaje. - Patricku, jesteś spocony.

- A co zamówiła dupa? - pytam ignorując jego uwagę. - Laska klienta.

- No cóż, wzięła sałatkę wiejską, małże i torcik cytrynowy - odpowiada Luis.

- Małże z grilla czy małże sashimi? W sosie ceviche? A może były to małże z r u s z t u?

- Nie, Patricku. Były... przypiekane.

W sali posiedzeń rady jest cicho. Rozważam ostatnią wypowiedź Luisa, po chwili jestem gotów zadać mu kolejne pytanie: - Co to znaczy "przypiekane", Luis?

- Nie wiem, nie jestem pewien - odpowiada. - Zdaje się, że to ma jakiś związek z... patelnią?

- Wina?

- Sauvignon blanc rocznik 198,5. Potem Jordan. Dwie butelki.

- Samochód? - pytam. - Wynająłeś coś w Phoenix?

- BMW - uśmiecha się. - Czarny metallic.

- Na czasie - mruczę i przypominam sobie, jak rzygałem wczoraj w toalecie u Nell: piana w ustach, jedyną rzeczą, o jakiej mogłem myśleć, było robactwo, mnóstwo robactwa atakującego gołębie, pieniącego się w ustach i atakującego gołębie. - Phoenix. Janet Leigh była z Phoenix... - zająkuję się i kończę: - Została zasztytowana pod prysznicem. Ogromne-rozczarowanie... - przerywam. - Krew wyglądała jak sztuczna.

- Posłuchaj, Patricku - odzywa się Luis wciskając mi chusteczkę w rękę; moja zaciśnięta w pięść dłoń rozluźnia się pod jego dotykiem. - Dibble i ja jemy razem lunch w Yale Club w przyszłym tygodniu. Chciałbyś się do nas przyłączyć?

- Jasne - myślę o nogach Courtney, rozłożonych, oplatających moją szyję.

Rzucam szybkie spojrzenie na Luisa i przez jedną, króciutką chwilę jego twarz wygląda jak gadająca pizda. Czuję, że ogarnia mnie przerażenie nie do opisania, chcę coś powiedzieć i ścieram pot z czoła: - Masz ładny... garnitur, Luis. - Ostatnia rzecz, jaka mogła mi przyjść na myśl.

Opuszcza wzrok zaskoczony moją uwagą, czerwieni się z zażenowania i dotyka klap marynarki. - Dzięki, Pat. Ty też wyglądasz wspaniale... jak zwykle. - Wyciąga rękę, by dotknąć mojego krawata, chwytam go za dłoń i mówię: - Komplement to aż nadto.

Wchodzi Reed Thompson ubrany w wełniany, dwurzędowy (cztery guziki) garnitur w kratę, bawełnianą koszulę w paski i jedwabny krawat - całość od Armaniego; oprócz tego ma na sobie błękitne (trochę nie na miejscu) bawełniane skarpetki z Interwoven i czarne półbuty od Ferragamo ze wzmacnianym czubkiem - wyglądają tak samo jak moje. W ładnie wymanikiurowanej dłoni trzyma egzemplarz Wall Street Journal, a przez rękę ma przerzucony nonszalancko tweekowy płaszcz z reglanowymi rękawami od Billa Kaisermana. Reed kiwa nam głową i siada po przeciwnej stronie stołu. Chwilę potem wchodzi Todd Broderick ubrany w wełniany, dwurzędowy (sześć guzików) garnitur w tenisowy prążek i szeroką koszulę w paski - całość (plus jedwabny krawat) z kolekcji Polo. W kieszonce ma nieco przesadną chusteczkę, która, jak przypuszczam, także pochodzi z kolekcji Polo. Po Brodericku do sali wkracza McDermott niosąc pod pachą egzemplarz magazynu New York z tego tygodnia i dzisiejsze wydanie Financial Timesa. Na nosie ma nowe okulary z zerowymi szklami od Olivera Peoplesa w palisandrowej oprawie. Ubrany jest w biały, wełniany, jednorzędowy garnitur w trójkątny rzucik z ostro zakończonymi klapami, bawełnianą koszulę w paski z rozkładanym kołnierzykiem i kaszmirowo-jedwabny krawat - całość zaprojektowana i uszyta przez Johna Reyle'a.

Uśmiecham się i unoszę brwi widząc McDermotta, który siada obok mnie z poważną miną. Nie powiedział mi ani "cześć", ani "dzień dobry", domyślam się więc, że jest wkurwiony i podejrzewam, że ma to jakiś związek ze mną. W końcu - przeczuwając, że Luis za chwilę zapyta mnie o coś - zwracam, się do McDermotta: - Co powiesz? Coś nie tak? - uśmiecham się szeroko. - Stałeś w kolejce do Stairmastera, czy co?

- Kto powiedział, że coś jest nie tak? - pyta przerzucając strony Financial Timesa.

- Posłuchaj - mówię pochylając się w jego stronę. - O ile pamiętam już cię przeprosiłem za tę awanturę z pizzą w Pastelach.

- Kto powiedział, że chodzi o pizzę? - pyta z napięciem w głosie.

- Wydawało mi się, że mamy to już za sobą - szepczę ściskając poręcz krzesła i uśmiechając się do Thompsona. - Wybacz mi, jeśli obraziłem pizzę w Pastelach. Zadowolony?

- Kto powiedział, że chodzi o Pastele? - powtarza.

- Więc o co chodzi, McDermott? - mówię szeptem, ponieważ ktoś porusza się za mną. Liczę do trzech, odwracam się i przytapię Luisa na podsłuchiwanie. Wie, że wpadł, więc odsuwa się powoli na swoje krzesło z poczuciem winy na twarzy.

- McDermott, to zaczyna być absurdalne - szepczę. - Nie możesz się na mnie złościć, dlatego że powiedziałem... iż pizza w Pastelach jest... twarda.

- Wyschnięta na wiór - mówi łypiąc na mnie oczami. - Powiedziałeś, że jest wyschnięta na wiór.

- Przepraszam - mówię. - Lecz racja jest po mojej stronie. Naprawdę. Czytałeś recenzję w Timesie, tak?

- Masz - mówi i sięga do kieszeni, z której wyjmuję ksero jakiegoś artykułu. - Chcę ci udowodnić, że nie masz racji. Przeczytaj to.

- Co to jest? - pytam rozkładając kartkę.

- Artykuł o twoim bohaterze Donaldzie Trampie - odpowiada z uśmiechem na twarzy.

- Istotnie - mówię ostrożnie. - Ciekawe dlaczego jeszcze go nie czytałem?

- A teraz... - McDermott przesuwając wzrokiem po tekście i wyciąga oskarżycielsko palec wskazujący w kierunku dolnego akapitu zakreślonego na czerwono. - Spójrz na to. Co mówi Donald Trump na temat najlepszej pizzy podawanej na Manhattanie?

- Pozwól, że przeczytam - wzdycham machając ręką. - Możesz się mylić. Co za wszawie zdjęcie.

- Bateman. Spójrz. Zakreśliłem to dla ciebie - mówi.

Udaję, że czytam pierdolony artykuł i powoli wzbiera we mnie złość. Oddaję kartkę McDermottowi i pytam poirytowany: - I co z tego? Co to znaczy? Co chcesz mi przez to powiedzieć, McDermott?

- Chciałbym wiedzieć, co sądzisz teraz o pizzy w Pastelach, Bateman?

- No cóż - mówię starannie dobierając słowa. - Sądzę, że będę musiał ponownie wybrać się do Pasteli i jeszcze raz skosztować pizzy. - Mój głos wydobywa się zza zaciśniętych zębów. - Chcę ci tylko powiedzieć, że ostatnim razem, kiedy jadłem pizzę w Pastelach, ciasto było...

- Wyschnięte na wiór - podpowiada McDermott.

- Dokładnie - wzruszam ramionami. - Wyschnięte na wiór.

- Aha - uśmiecha się triumfalnie McDermott.

- W porządku, jeśli Donny uważa, że pizza w Pastelach jest okay... - zaczynam i wstydzę się przed McDermottem tej sromotnej porażki, w końcu jednak wzdycham cichutko i mówię: - To ja też tak uważam.

McDermott aż krztusi się z radości. Zwycięzca.

Naliczyłem trzy krawaty jedwabno-krepowe, jeden jedwabno-satynowy od Versace, dwa jedwabne typu fular, jeden jedwabny od Kenzo i dwa z jedwabiu żakardowego. W powietrzu mieszają się zapachy Xeryusa, Tuscany, Armaniego, Obsession, Polo, Grey Flannel, a nawet Anataeusa. Wonie zlewają się ze sobą, parują z garniturów pod sufit, gdzie tworzą jedną ciężką, mdlącą miksturę.

- Nie mam zamiaru cię przeproszać - ostrzegam McDermotta.

- Już to zrobiłeś. Bateman - odpowiada.

Do sali wchodzi Paul Owen ubrany w kaszmirową, sportową marynarkę zapinaną na jeden guzik, wełniano-flanelowe spodnie tropikalne i koszulę od Ronaldusa Shamaska z kołnierzykiem zapinanym na guziczki, jednak dopiero krawat - błękitno-czarny z czerwono-żółtymi paskami kupiony u Andrew Fezzy i zaprojektowany przez Zanzarra - robi na mnie wrażenie. Carruthers także wygląda na podnieconego, pochyla się w stronę mojego krzesła i pyta (jeśli dobrze słyszę): - Czy sądzisz, że założył dzisiaj wzmocniony ochraniacz jąder pasujący do garnituru? - Nie mam zamiaru odpowiadać. Luis wraca do przeglądania Sports Illustrated leżącego na środku stołu. Podśpiewuje sobie pod nosem i czyta artykuł o skoczkach do wody biorących udział w Olimpiadzie.

- Cześć Halberstam - wita mnie przechodzący Owen.

- Cześć, Owen - odpowiadam podziwiając ułożenie jego zaczesanych do tyłu włosów; przedziałek na czaszce jest tak niesamowicie równy i ostry... że doprowadza mnie do szaleństwa. Koniecznie muszę zapytać go, gdzie kupuje środki do pielęgnacji włosów i jakiego używa żelu - przez chwilę rozważam tę ostatnią kwestię i zgaduję, że jest to chyba Ten-X.

Wchodzi Greg McBride i natychmiast zatrzymuje się przy moim krześle. - Oglądałeś dzisiaj rano Winters Show? Niesamowite. Absolutnie niesamowite. - Przybijamy górną piątkę, po czym Greg siada pomiędzy Dibblem i Lloydem. Bóg jeden wie, skąd ci się tutaj wzięli.

Do sali wchodzi Kevin Forrest, któremu towarzyszy Charles Murphy. Forrest mówi: - Mam spieprzoną funkcję zawieszenia połączenia. To Felicja ją spier-doliła.

Nie zwracam uwagi na to jak są ubrani, jednak nie mogę oderwać oczu od bladezielonych spinek Murphy'ego w kształcie sowy z błękitnymi kryształowymi oczami.

WYPOŻYCZALNIA KASET WIDEO NASTĘPNIE D'AGOSTINO

Chodzę po Video Visions - wypożyczalni kaset położonej niedaleko mojego domu w Upper West Side - pijąc z puszkietę dietetyczną pepsę. Mam na uszach słuchawki walkmana Sony, w których dudni nowa płyta Christophera Crossa. Po pracy grałem w racquetball z Montgomerym, potem zaliczyłem masaż shiatsu i spotkałem się przy drinkach z Jesse Lloydem, Jamie Conway'em i Kevinem For-restem. Piliśmy u Rusty'ego na Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Dzisiaj mam na sobie wełniany płaszcz od Ungaro Uomo z Paryża, w ręku trzymam aktówkę Bottega Veneta i parasol od Georgesa Gaspara.

W wypożyczalni jest większy tłum niż zazwyczaj. W kolejce stoi za dużo par, bym mógł bez poczucia wstydu i skrępowania zdecydować się na Więzienie dla kobiet albo Pizdę Ginger, a oprócz tego w dziale horrorów wpadłem na Ro-

berta Ailesa (a przynajmniej tak mi się wydawało) z Pierwszego Bostońskiego. Ailes (chyba) wymamrotał pod nosem: - Cześć McDonald - i poszedł dalej, trzymając w ręku Prątek 13-tęga. część 7 i jakiś dokument o aborcji. Zauważyłem, że ma niezły manikiur, który psuła imitacja złotego Rolexa.

Ponieważ wstydzę się wypożyczać filmy pornograficzne, przechodzę do działu lekkiej komedii i decyduję się - z poczuciem straty - na Woody Allena. Jednak to za mało. Chcę czegoś innego. Przechodzę przez dział musicali rockowych i nic; komedio-horror - to samo. Nagle zaczyna wzbierać we mnie wściekłość. Na półkach jest x dużo jebanych filmów i nie wiem co wybrać. Kucam za kartonową reklamą promującą nowy obraz Dana Aykroyda i biorę dwie pięciomiligramowe tabletki valium, które pijam pepsę. Po chwili sięgam machinalnie na jakąś półkę i (jakby mnie zaprogramowano) zdejmuję z niej Sobowtóra - film, który wypożyczałem już trzydzieści siedem razy. Przez dwadzieścia minut stoję w kolejce do kasy, którą obsługuje jakaś flądra (pięć funtów nadwagi, przesuszone sianowate włosy) ubrana w powypychany, trudny do opisu sweter (który z całą pewnością nie pochodzi z żadnej znanej mi kolekcji). Włożyła go prawdopodobnie po to, żeby ukryć brak cycków i chociaż ma ładne oczy, to co, kurwa, z tego? Wreszcie przychodzi moja kolej. Podaję jej puste pudełko od kaset.

- To wszystko? - pyta przyjmując ode mnie kartę członkowską. Dłonie mam ukryte w rękawiczkach od Mario Valentina koloni perskiej czerni. Roczna składka członkowska w Video Visions wynosi jedynie dwieście pięćdziesiąt dolarów.

- Masz jakieś filmy z Jami Gertz? - pytam próbując patrzeć jej prosto w oczy.

- Słucham? - odpowiada automatycznie.

- Filmy, w których gra Jami G e r t z?

- Kto? - Wystukuje coś na komputerze i rzuca zdawkowe pytanie nie podnosząc przy tym głowy: - Na ile dni?

- Trzy - odpowiadam. - Nie wiesz kto to jest Jami Gertz?

- Chyba nie - wzdycha.

- Jami Gertz jest a k t o r k ą.

- Chyba nie wiem o kogo panu chodzi - odpowiada takim tonem jakbym ją napastował. Hej, poczekajcie, pracuje przecież w wypożyczalni kaset, prawda? Ma bardzo wymagającą i odpowiedzialną posadę, dlatego każdy kto tu przychodzi musi zrozumieć tę cholerną sukę i jej wkurwiające zachowanie, nie? Ta szmata nie wyobraża sobie nawet, co mógłbym zrobić z jej ciałem za pomocą młotka; nie ma pojęcia, jakie słowa mógłbym wyrzucić na jej skórze używając kolca do lodu. Podaje moje pudełko jakiemuś facetowi, który stoi za nią - udaję, że nie widzę jego pełnej przerażenia reakcji, gdy rozpoznaje mnie po kasce Sobowtóra. Facet jest jednak profesjonalistą: biegnie po moje filmy do magazynu na tyłach wypożyczalni.

- Ależ musisz wiedzieć - mówię dobrodusznie. - Jami Gertz występuje w reklamówkach dietetycznej coca coli. Na pewno je widziałas.

- Nie sędzę - odpowiada znudzonym głosem, który odbiera mi ochotę do dalszej rozmowy. Wprowadza do komputera tytuły filmów i numer mojej karty.

- Podoba mi się ten fragment w Sobowtórze, kiedy wiercą dziury w kobiecie... wiertarką udarową... To najlepsza scena... w tym filmie - dyszę. W wypożyczalni robi się bardzo gorąco. Mruczę do siebie "O mój Boże" i opieram o kontuar dłoń w rękawiczce, by powstrzymać jej nagłe drżenie. - Z sufitu kapie krew. - Biorę głęboki oddech. Gdy wypowiadam ostatnie zdanie, moja głowa kiwa się bezwolnie. Przetykam ślinę i mówię do siebie: Muszę zobaczyć jej huty. Z najwyższą ostrożnością próbuję spojrzeć za kontuar, żeby sprawdzić, co ma na nogach i z wściekłością zauważam, że chodzi w tenisówkach i nie jest to obuwie sportowe K-Swiss, a n i Tretorny, Adidasy czy Reeboki, flądra chodzi po ziemi w tanich cichobiegach.

- Proszę tu podpisać. - Nie podnosząc głowy podaje mi kasety. Nie chce się przyznać, że wie kim jestem. Bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze i przyzywa gestem następnych w kolejce: jakąś parę z dzieckiem.

Wracając do domu wstępuję do D'Agostina, gdzie kupuję na obiad dwie duże butelki Perriera, sześć puszek coke classic, główkę aruguli, pięć owoców kiwi średniej wielkości, butelkę balsamicznego, estragonowego octu, puszkę cierne fraiche, karton tapas do kuchenki mikrofalowej, pudełko tofu i batonik z białej czekolady, który zauważam przy kasie.

Po wyjściu z delikatesów staram się nie zwracać uwagi na włóczęgę żującego coś pod plakatem Nędzników. Żebrak trzyma w ręku karton z napisem: STRACIŁEM PRACĘ JESTEM GŁODNY NIE MAM PIENIĘDZY PROSZĘ POMÓŻCIE MI. Postanawiam wypróbować na nim sztuczkę z dolarem i gdy wyrywam mu banknot włóczęga zaczyna płakać. Mówię mu: - Chryste, idź się, kurwa, ogól... proszę. - Mój wzrok niczym sterowany radarem podąża ku czerwonemu hunborghini countach, zaparkowanemu przy krawężniku. Samochód lśni w świetle ulicznych lamp, muszę się zatrainać, czuję bowiem niespodziewanego, przerażającego kopa po valium. Wszystko gdzieś znika: płaczący włóczęga, banda zdziczałych czarnych dzieciaków rapujących w iymt dudniącej z wielkiego radiomagnetofonu muzyki, chmura gołębi kołujących wysoko w poszukiwaniu miejsca na nocleg, syrena karetki pogotowia, trąbiące taksówki, porządnie wyglądająca dziewczyna w sukience od Betsey Johnson... Obraz rozplywa się jak na zwolnionym filmie nakręconym techniką poklatkową, słońce chowa się za horyzontem, nad miastem zapadają ciemności i jedyną rzeczą, jaką widzę, jest czerwone lamborghini, a jedyną rzeczą, jaką słyszę, jest mój własny spokojny, równy oddech. Kilka minut później (nie wiem ile) ciągle stoję przed sklepem zapatrzony w dal, a z kącika ust ścieka mi ślina.

U KOSMETYCZKI

Wychodzę z biura o w pół do piątej i idę do Xclusive, gdzie ćwiczę przez godzinę uznając wolnych ciężarów, a potem biorę taksówkę i jadę na drugą stronę parku do salonu Gio w Hotelu Pierre, do kosmetyczki, manikiurzystki i -jeśli starczy mi czasu - pedikiurzystki. Leżę teraz na wysokiej kanapce w jednym z wydzielonych pomieszczeń salonu i czekam na Helgę, technika skórnoego, która ma oczyścić mi twarz. Koszula od Brooks Brothers wisi w szafie razem z garniturem od Garricka Andersona. Buty od A. Testoniego stoją na podłodze, w jednym z butów leżą zwinięte w kulkę skarpetki od Bameya po trzydzieści dolarów para. Mam na sobie tylko spodenki bokserskie od Comme des Garcons po sześćdziesiąt dolarów para. Fartuch, który powinienem był włożyć, leży zwinięty obok prysznic: chcę żeby Helga przyjrzała się dokładnie mojemu ciału, zauważyła klatkę piersiową, stwierdziła, jak kurewsko n a p i ę t e są moje mięśnie brzucha, jak rozwinęły się od mojej ostatniej wizyty. Helga jest o wiele starsza ode mnie -ma może trzydzieści albo trzydzieści pięć lat - i w zasadzie nie ma sposobu, żebym ją kiedykolwiek wypierdolił. Piję dietetyczną pepsi, którą przyniósł mi posługacz, Mario. W szklance pływa pokruszony lód, o który prosiłem, lecz którego nie chcę.

Ze szklanego stojaka od Shmithly Watsona zdejmuję dzisiejsze wydanie Post i przeglądam rubryki plotek towarzyskich. Mój wzrok przykuwa artykuł opisujący jakieś stworzenia, które niedawno pojawiły się w mieście - zwierzęta będące w połowie ptakami, a w połowie gryzoniami, to znaczy gołębiami z głowami i ogonami szczurów. Mutanty odkryto w saimin sercu Harlemu, a obecnie stwierdzono, że przemieszczają się do centrum. Artykuł ilustruje ziarnista fotografia

przedstawiająca potwory. Postzapewnia swoich czytelników, a eksperci są niemal pewni, że cała ta historia jest oszustwem i wymysłem. Jak zwykle nie wierzę w ich zapewnienia i czuję nieokreślony lęk wyobrażając sobie, że ktoś jest w stanie poświęcić masę energii i czasu na wymyślenie takiej historii: sfabrykowanie zdjęć (zresztą bardzo nieudolne, to coś wygląda jak pierdolony hamburger), wysłanie ich do Postu - który z kolei musi zdecydować się na kupienie sensacji (spotkania, debaty, pokusy odwołania wszystkiego w ostatniej chwili) - opublikowanie fotografii, napisanie o niej artykułu zawierającego wywiady z ekspertami, wreszcie umieszczenie tekstu z obrazkiem na trzeciej stronie dzisiejszego wydania po to, żeby dyskutowano o nich przy setkach tysięcy obiadów spożywanych w mieście tego popołudnia. Odkładam gazetę i opadam wyczerpany na leżankę.

Otwierają się drzwi i do wydzielonego salonu wchodzi dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widziałem. Obserwuję ją zza przymkniętych powiek i zauważam, że jest młodą dobrze wyglądającą Włoszką. Uśmiecha się, siada na krześle

i rozpoczyna pedikur. Przedtem jednak gasi światło i zapala halogenowe żarówki umieszczone strategicznie ponad moimi nogami, rękami i twarzą. W pokoju robi się ciemno, dlatego nie umiem powiedzieć, jakie ma ciało. Wiem tylko, że ma na nogach szaro-czarne trzewiki z zamszu łączonego ze skórą od Maud Fri-zon. The Patty Winters Showdziś rano poświęcony był morderczym, niezidentyfikowanym obiektom latającym. Wchodzi Helga.

- A, pan Bateman - mówi - Jak się pan miewa?

- Świetnie, Helgo - odpowiadam napinając mięśnie brzucha i Watki piersiowej. Mam zamknięte oczy, więc wygląda to na przypadek: mięśnie napinają się same z siebie i nic na to nie poradzę. Helga delikatnie rzuca na mnie fartuch i zapina go na unoszącej się piersi, udając, że nie zauważa fał pod opaloną, czystą skórą.

- Wrócił pan do nas tak szybko... - mówi

- Tak, byłem tu przedwczoraj - odpowiadam zmieszany.

- Wiem, ale... - zajakuje się i rozpoczyna mycie rąk. - Nieważne.

- Helgo? - mówię.

- Słucham, panie Bateman?

- Wchodząc do tego pokoju zauważyłem przed drzwiami obok wystawione do wyczyszczenia półbuty od Bergdorfa Goddmana ze złocistymi kutasikami. Do kogo należą?

- Do pana Erlangera - odpowiada.

- Do pana Erlangera, który pracuje u Lehmana?

- Nie, do pana Erlangera, który pracuje u Salomon Brothers - mówi.

- Czy mówiłem ci kiedyś, Helgo, że chciałbym kiedyś włożyć wielką, żółtą maskę z uśmiechniętą buzią, włączyć kompakt Bobby'ego McFerrina "Don't Worry, Be Happy", wziąć jakąś dziewczynę i psa... może być collie, chow-chow albo szpic, to bez znaczenia... i podłączyć ich do maszyny do przetaczania krwi, podłączyć ich dożylnie i dokonać transfuzji, wymienić im krew, rozumiesz, przetoczyć krew psa laskojadowi i vice versa... Mówiłem ci kiedyś o tym? - Gdy rozmawiam z Helga, dziewczyna zajmująca się moimi stopami śpiewa cicho jakąś piosnkę z Nędzników. Helga przeciera mój nos nawilżonym wacikiem, pochyla się nad twarzą i ogląda pory. Wybucham śmiechem niczym wariat, biorę głęboki oddech i dotykam piersi - spodziewam się wyczuć bijące szybko, niecierpliwie serce, lecz nic tam nie ma. Głaz.

- Spokojnie, panie Bateman - mówi Helga przecierając mi twarz ciepłą gąbką z luffy, która kłuje, a potem chłodzi skórę. - Proszę się odprężyć.

- Okay - odpowiadam. - Już się odprężam.

- Och, panie Bateman - cmoka Helga - ma pan taką ładną cerę. W jakim jest pan wieku, jeśli wolno spytać?

- Mam dwadzieścia sześć lat.

- Ach, to dlatego. Pańska skóra jest taka czysta, taka gładka - wzdycha. - Proszę się odprężyć.

Zapadam w drzemkę, oczy uciekają mi w tył głowy, a umysł koi "Don't Worry, Baby" w wersji na skrzypce. Myślę wyłącznie o rzeczach dobrych: rezerwacji na dzisiejszy wieczór, spotkaniu z dziewczyną Marcusa Halberstama, Cecelia Wagner, puree z kalafiorów w barze przy Union Square, jeździe na nartach z góry Buttermilk w Aspen zeszłej zimy, nowym kompakcie Huey

Lewisa and The News, koszulach od Ike'a Behara, Josepha Abbouda i Ralpa Laurena, pięknych lśniących od oliwki laskojadach liżących się nawzajem po cipach i dupach w świetle reflektorów, ciężarówkach pełnych aruguli i naci kolendry, mojej opale-niżnie, sposobie układania się moich mięśni na plecach, gdy pada na nie odpowiednie światło w łazience i Heldze, której dłonie pieszczą gładką skórę na mej twarzy, rozcierają płynnie krem. emulsje i toniki, i której usta szepczą z podziwem: - Och, panie Bateman, pańska twarz jest tak czysta, tak gładka, tak c z y s-t a. - Myślę również o tym, że nie mieszkam w przyczepie kempingowej, nie muszę pracować w kręgielni, jeść żeberek i chodzić na mecze hokejowe i przypominam sobie wygląd budynku AT&T o północy, tylko o północy. Przychodzi Jeanie i zabiera się za manikiur: najpierw przycina i opiłowuje paznokcie, a potem nadaje im połysk i wygładza krawędzie za pomocą dysku polerskiego.

- Następnym razem wolałbym, żebyś zostawiła je nieco dłuższe - ostrzegam Jeanie.

Bez słowa smaruje paznokcie kremem lanolinowym, myje ręce i nawilża skórki, usuwa je i czyści czubki paznokci szpatułką owiniętą wacikiem. Ciepły wibrator masuje moją dłoń i przedramię. Jeanie wyblęszcza paznokcie irchą i pociąga lakierem.

RANDKA z EVELYN

Evelyn czeka na połączenie na mojej trzeciej linii. Nie miałem zamiaru odbierać jej telefonu, ale ponieważ sam zająłem drugą linię dzwoniąc do Bullocka -kierownika sali w nowej restauracji Davisa Francois przy Central Park South, po to żeby sprawdzić, czy ma jakieś odwołania rezerwacji, bo Courtney (czekająca na pierwszej linii) i ja chcieliśmy zjeść dziś razem obiad - włączam nieopatrznie trzecią linię mając nadzieję, że dzwonią do mnie z pralni. Ale gdzie tam! To Evelyn: włączam ją, mimo że to nie fair wobec Courtney. Mówię Evelyn, że na drugiej linii rozmawiam ze swoim trenerem. Następnie okłamuję Courtney, że właśnie zadzwonił do mnie Paul Owen i umawiam się z nią na ósmą w Żółwiach. Na

końcu przerywam połączenie z Bullockiem, maitrem d'. Evelyn mieszka od dzisiaj w Carlyle, ponieważ zeszłej nocy zamordowano jej sąsiadkę z budynku obok. Ktoś obciął jej głowę i fakt ten ogromnie poruszył Evelyn, która nie mogła pójść dzisiaj do pracy i spędziła całe popołudnie uspokajając się u kosmetyczki w salonie Elizabeth Arden. Evelyn domaga się obiadu ze mną jeszcze tego wieczoru, a potem niespodziewanie zadaje im pytanie: - Gdzie byłeś zeszłej nocy, P a t-r i c k u? - na które nie potrafię od razu wymyślić stosownego kłamstwa, czy dającej się przełknąć wymówki. Milczę.

- Co? Dlaczego? A t y gdzie byłeś? - pytam w końcu pijąc Evian z litrowej butelki, ciągle jeszcze spocony po dzisiejszym treningu.

- Klóciłam się z portierem w Carlyle - odpowiada i wnioskuje z jej głosu, że jest trochę wkurwiona.

- A teraz ty, Patricku, powiedz mi gdzie byłeś?

- Dlaczego z nim się klóciłaś? - pytam.

- Patricku - mówi stanowczo.

-Jestem - odpowiadam chyba po minucie.

- Patricku, powód kłótni z portierem nie jest istotny, ale powiem ci: telefon w moim pokoju nie był wyposażony w dwie linie, nie miał także funkcji zawieszania połączenia - mówi. - G d z i e byłeś?

- Wyglupiałem się trochę... pożyczałem kasety - odpowiadam. Jestem zadowolony z siebie do tego stopnia, że przybijam ze sobą górną piątkę przytrzymując bezprzewodowy telefon ramieniem.

- Chciałam przyjść do ciebie - mówi płaczliwym tonem małej, rozkapryszonej dziewczynki. - Bałam się, ciągle się boję. Nie słyszysz tego w moim głosie?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Nie, Patricku, poważnie: jestem przerażona, cała drzę. Trzęsę się jak osika. Zapytaj Mień, moją kosmetyczkę. Sama zwróciła mi uwagę, że jestem spięta.

- No cóż - mówię - i tak nie mogłabyś do mnie przyjść.

- Dlaczego nie, najdroższy? - skamle, a potem zwraca się do kogoś, kto właśnie wszedł do jej apartamentu: - Proszę postawić to pod oknem... nie, nie t y m oknem... Czy mogłabym się dowiedzieć, gdzie jest ta cholerna masażystka?

- Ponieważ głowa twojej sąsiadki była u mnie w zamrażalniku - Ziewam przeciągając się. - Słuchaj. Obiad? Gdzie? Słyszysz mnie?

O ósmej trzydzieści siedzimy naprzeciw siebie w Barcadii. Evelyn ubrana jest w żakiet ze sztucznego jedwabiu od Annę Klein, spódnicę z wełnianej krepy, jedwabną bluzkę kupioną w Bonwit i antyczne złote kolczyki z agatami odjame-sa Robinsona (musiały kosztować w przybliżeniu ze czterysta dolarów); ja natomiast włożyłem dziś dwurzędowy garnitur, jedwabną koszulę z tkanymi paskami, jedwabny krawat we wzorek i skórzane mokasyny - całość od Gianniego Versace. Nie odwołałem rezerwacji w Żółwiach, ani nie poinformowałem Courtney o przełożeniu spotkania, więc prawdopodobnie biedaczka czeka tam na mnie od ósmej piętnaście i wyobrażam sobie jak jest zdenerwowana. Jeśli nie zażyła dzisiaj elavilu, to wpadnie w furję i właśnie dlatego - a nie z powodu butelki Crista-la, którą Evelyn chce zamówić razem z cassisem - ryczę ze śmiechu na całe gardło. Większą część popołudnia spędziłem na kupowaniu wczesnych prezentów świątecznych dla siebie: nabyłem duże nożyczki w drogerii niedaleko ratusza, nóż do otwierania listów u Hammachera Schlemmera, nóż do sera (u Bloomingda-le'a), który będzie pasował do deseczki, jakajean - zakochana we mnie sekretarka - zostawiła na moim biurku przed lunchem (byłem wtedy na konferencji). The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był prawdopodobieństwu wybuchu wojny nuklearnej. Według zespołu ekspertów, istnieją duże szanse na to, że wojna wybuchnie w połowie przyszłego miesiąca. Twarz Evelyn ma kredowy odcień, jej wargi obrysowane są ciemnoczerwoną szminką, która nadaje jej ustom niesamowity wygląd - dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że Evelyn, choć z opóźnieniem, poważnie potraktowała radę Tima Price'a i przestała stosować samo-opalacz. Postanawiam nie wspominać o tym, nie mam zamiaru wysłuchiwać jej nużących wyjaśnień. Zamiast tego pytam o dziewczynę Tima, Meredith, którą Evelyn - z niezrozumiałych dla mnie powodów - pogardza. Evelyn słyszała już plotki na temat związku łączącego mnie z Courtney, którą - tym razem ze zrozumiałych względów - dołączyła już do list wrogów. Gdy spostrzegawcza kelnerka próbuje - na prośbę Evelyn - dolać mi cassis z borówek do Cristala, zakrywam dłonią wysoki kieliszek do szampana.

- Nie, dziękuję - mówię. - Może później. W innym kieliszku.

- Psujesz mi zabawę - chichocze Evelyn i wciąga gwałtownie powietrze. - Ale ładnie pachniesz. Co to jest...? Obsession? Ty psuj zabawę, skropiłeś się dziś Obsession?

- Nie - odpowiadam poważnie. - Paul Sebastian.

- Oczywiście. - Uśmiecha się i wypija drugi kieliszek. Jest już w znaczenie lepszym nastroju, zachowuje się niemal nachalnie, zupełnie nie tak, jak powinna zachowywać się kobieta, której sąsiadka - nie tracąc przytomności - straciła głowę obciętą w przeciągu kilku sekund mini piłą mechaniczną.

- Co słychać u Meredith? - pytam próbując ukryć otchłań znudzenia.

- O Boże, spotyka się z Richardem Cunnighamem - jęczy Evelyn. - To ten z Pierwszego Bostońskiego. Możesz w to u w i e r z y ć?

- Tim miał zamiar zerwać z nią. Na dobre.

- D l a c z e g o n a Boga? - pyta zaskoczona i zaintrygowana. - Mieli przecież tę bajeczną posiadłość w Hamptons.

- Wspominał mi o ile pamiętam, że jest śmiertelnie znudzony przyglądaniem się, jak Meredith maluje paznokcie przez całe weekendy.

The Party Winters Show

- O mój Boże - mówi Evelyn i dodaje zmieszana: - Chcesz powiedzieć, że... zaczekaj... że ona robiła to s a m a?

- Tim tak mówił, a oprócz tego podkreślał fakt, że Meredith ma osobowość spikerki z teleturniejów - odpowiadam oschle i pociągam szampana z wysokiego kieliszka.

Evelyn uśmiecha się tajemniczo. - Tim to łobuz.

Zastanawiam się leniwie, czy Evelyn przespałaby się z inną kobietą, gdybym przyprowadził odpowiednią kandydatkę i czy pozwoliłaby mi oglądać ów akt? Czy zgodziłaby się na to, żebym pokierował całą sprawą, powiedział im co mają robić, oświetlił je gorącymi lampami halogenowymi? Prawdopodobnie nie - szansę są niewielkie. A gdybym przystawił jej pistolet do skroni? Zagroził, że potnę je obydwie na kawałki, jeśli nie zastosują się do moich wskazówek? Ta

myśl wydaje mi się pociągająca, z łatwością wyobrażam sobie cały scenariusz. Zaczynam liczyć stofy bankietowe okalające salę, a potem ludzi siedzących przy stołach.

Pyta mnie o Tima: - Jak sądzisz, gdzie podział się ten ł o b u z? Krążą plotki, że jest u S a c h s a - mówi poważnym tonem.

- Krążą plotki - odzywam się - że jest na odwyku. Ten szampan jest źle schłodzony - rzucam od niechcenia. - Nie przysłał ci pocztówki?

- Czy Tim... chorował? - pyta z leciutkim draniem głosu.

- Tak mi się wydaje - mówię. - Chyba dlatego zniknął. Wiesz co? Jeśli zamawiasz butelkę Cristala, to powinnaś zadbać o to, żeby przynajmniej był, wiesz, c h ł o d n y.

- O mój Boże - jęczy Evelyn. - Uważasz, że on może być chór y?

- Owszem. Jest w szpitalu. W Arizonie - dodaję. Termin " Arizona" kryje w sobie posmak tajemnicy, dlatego powtarzam raz jeszcze: - W Arizonie, jak sądzę.

- O mój Boże - wykrzykuje Evelyn poważnie zaniepokojona i wypija jednym haustem resztkę Cristala ze swojego kieliszka.

- Kto wie? - leciutko wzruszam ramionami.

- Nie sądzisz chyba... - wciąga powietrze i odstawia kieliszek. - Nie sądzisz chyba... że to... - rozgląda się po restauracji, pochyla w moim kierunku i szepcze: - AIDS?

- Ależ nie, w żadnym razie - odpowiadam i natychmiast żałuję, że nie zwlekałem dłużej z odpowiedzią, żeby ją przestraszyć. - To tylko... ogólne schorzenia... mózgu. - Odgryzam koniuszek chlebowego paluszka przyprawionego ziołami i krzywię się. - Ogólne obrażenia...

Evelyn oddycha z ulgą i pyta: - Czy tutaj jest ciepło?

- Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi teraz do głowy, to ten plakat, który widziałem pewnej nocy na stacji metra, wtedy kiedy zabiłem dwa czarne dzieciaki... Na plakacie było zdjęcie cielaka z głową zwróconą w kierunku kamery, z szeroko

rozwartymi oczyma, w których odbijało się światło lampy błyskowej. Korpus tego zwierzęcia wyglądał tak, jakby został spłaszczony i przepuszczony przez wyżymaczkę... Pod zdjęciem był napis... dużymi czarnymi literami: "Pytanie: Dlaczego to cielę nie może chodzić? Odpowiedź: Ponieważ ma tylko dwie nogi". Obok wisiał drugi plakat, taki sam jak ten pierwszy z wyjątkiem podpisu, który brzmiał: "Trzymaj się z dala od publikatorów"... - Przerывam i międlę w dłoni chlebowy paluszek. Po chwili zadaję pytanie: - Czy to, co mówię dociera do ciebie, a może równie dobrze mógłbym rozmawiać z... och, wiaderkiem do lodu? - Wypowiadam ostatnią kwestię, patrząc prosto w oczy Evelyn i akcentując każdy wyraz. Pragnę opowiedzieć jej o sobie i gdy otwiera usta wydaje mi się, że wreszcie powie coś, co podniesie mnie na duchu. Po raz pierwszy odkąd się znamy staram się mówić ciekawie, skupiam na tym całą uwagę... - Czy to... - zaczyna.

- Czy to... Ivana Trump? - pyta spoglądając mi przez ramię. Odwracam się. - Gdzie? Gdzie jest Ivana?

- Tam z przodu. Przy drugim stole licząc od... - przerwa -...od Brooke Astor. Widzisz?

Mrużę oczy i zakładam zerowe okulary od Oliviera Peoplesa. Evelyn - której wzrok musiał odmówić posłuszeństwa po Cristalu doprawionym cassisem -nie tylko pomyliła Norrisa Powella z Ivana Tramp, lecz wzięła Steve'a Rubella za Brooke Astor. Zaraz wybuchnę, nic na to nie mogę poradzić.

- Nie, o mój Boże, Evelyn -jęczę zdruzgotany i rozczarowany. Uderzenie adrenaliny zamienia się w gorzką rozpacz, obejmuję dłońmi głowę. -Jak mogłaś pomylić tego bydlaka z Ivana?

- Wybacz - ćwierka. - Dziewczyńska nieuwaga.

- Doprowadzasz mnie do furii- syczę i zaciskam powieki.

Nasza kelnerka: laskojad, w satynowych pantoflach z pełnym tyłem, stawia na stole dwa nowe wysokie kieliszki do szampana, ponieważ Evelyn zamówiła drugą butelkę Cristala. Kelnerka wydyma do mnie usta, gdy sięgam po chlebowy paluszek, a ja podnoszę głowę i wydynam wargi na nią, po czym zasłaniam twarz dłońmi. Ta sama sytuacja powtarza się, gdy przynosi przekąski. Suszona papryka w ostrej zupie z dyni dla mnie, dla Evelyn suszona kukurydza i pudding jalapeño. Zasłaniam dłońmi uszy nie chcąc słyszeć głosu Evelyn podczas tych kilku chwil, jakie upłynęły

od jej pomyłki do momentu podania przekąsek, teraz jednak czuję ogromny głód i ostrożnie odsłaniam prawe ucho, w które natychmiast wpada jej otepiałe brzęczenie.

- ... kurczak tandori i foie gras, dużo jazzu i uwielbiał Savoya, nienawidził dziczyzny, kolory były wspaniałe, zieleń aloesu, perłowy, cytrynowy, Morgan Stanley...

Zatykam uszy, tym razem jeszcze mocniej. Lecz znów głód okazuje się silniejszy, postanawiam śpiewać na głos i sięgam po łyżkę. Wszystko na nic: głos Evelyn osiągnął takie natężenie, że nie można nie zwracać na nią uwagi.

- Gregory kończy Saint Paul i we wrześniu rozpocznie naukę w Columbii -dmucha ostrożnie na pudding, który - nawiasem mówiąc - podają na zimno. -Muszę, po prostu muszę kupić mu prezent z okazji skończenia szkoły i nie mam pojęcia co wybrać. Może doradzisz mi, kochanie?

- Plakat z Nędzników - wzdycham półzartem.

- Wspaniale! - wykrzykuje i znów dmucha na pudding. Wypija łyk Cristala i robi minę.

- O co chodzi, kochanie? - pytam i wypływam pestkę z dyni, która zatacza łuk w powietrzu i wpada z wdziękiem w sam środek popielniczki, zamiast za dekolt Evelyn, gdzie chciałem ją posłać. - Hm?

- Musimy zamówić więcej cassisu - skarży się Evelyn. - Poproś kelnerkę.

- Oczywiście - odpowiadam dobroduszenie i po chwili dodaję z uśmiechem na ustach: - Nie mam pojęcia, kim jest Gregory. Mam nadzieję, że ty wiesz?

Evelyn odkłada ostrożnie łyżeczkę obok talerza z puddingiem i patrzy mi prosto w oczy. - Panie Bateman, bardzo pana lubię. Podziwiam pańskie poczucie humoru. - Szczypie mnie lekko w dłoń i śmieje się, w zasadzie mówi poważnie: - Cha-cha-cha - co oznacza, że to nie był żart. Chociaż prawdę mówiąc, usłyszałem właśnie komplement: Evelyn r z e c z y wieście podziwia moje poczucie humoru. Przekąski znikają ze stołu i jednocześnie pojawia się na nim pierwsze danie. Evelyn zdejmuję rękę z mojej dłoni, żeby zrobić miejsce dla talerzy. Zamówiła tortillę z błękitnej kukurydzy nadziewaną mięsem z przepiórki i gar-niowaną ostrygami w łupinach ziemniaka. Ja natomiast wziąłem dzikiego zająca z oregońskimi smardzami i ziołowe frytki.

-... był w Deerfield, potem w Harvardzie. Ona chodziła do Hotchkiss, a później do Radcliff...

Evelyn gada, lecz ja jej nie słucham. Jej monologi nakładają się na siebie. Widzę, jak poruszają się jej usta, ale nie dociera do mnie nic z tego, o czym mówi, nie potrafię jej słuchać, prawdę mówiąc nie mogę się skoncentrować na jej słowach, ponieważ mój zając został pocięty w taki sposób, by przypominał... gwiazdę! Otaczają go cienkie jak sznurówki frytki, krawędź talerza ozdobiono kawałkami czerwonego kozibrodu - talerz jest biały, porcelanowy, szeroki na dwie stopy i razem z kozibrodem ma wyglądać jak zachodzące słońce, chociaż tak naprawdę przypomina bardziej ranę postrzałową. Kręcę głową z niedowierzaniem i dotykam palcem mięsa, zostawiając w nim małe wgłębienie, potem robię to samo innym palcem i rozglądam się za serwetką - byle nie moją - którą mógłbym wytrzeć dłoń. Evelyn nie skończyła jeszcze swojego monologu - wspaniale wychodzi jej mówienie i przeżuwanie. Uśmiecham się do niej uwodzicielsko

i chwytam ją pod stołem za udo, wycieram dłoń w jej spódnice, Evelyn nie przestaje mówić, uśmiecha się nieznacznie i pije łyk szampana. Wpatruję się w jej twarz znudzony jej urodą, pięknem bez skazy. To dziwnie - myślę - jak wiele jej zawdzięczam; jest przy mnie zawsze, gdy tego potrzebuję. Znowu zerkam na talerz i chociaż nie jestem już głodny podnoszę widelec i poszturchuję nim mięso przez minutę lub dwie, w końcu jęczę cicho, wzdycham i odkładam widelec na bok. Biorę do ręki kieliszek z szampanem.

-...Groton, Lawrenceville, Milton, Exeter, Kent, Saint Paul, Hotchkiss, Andover, Milton, Choate... ojej, już mówiłam o Milton...

-Jak nie jem, to nie jem, chcę kokainy - oznajmiam. Nie potrafię jednak przerwać potoku słów wydobywającego się z ust Evelyn - jest niezwykczona, nic i nikt nie może jej zatrzymać, jest jak maszyna, gada, gada i gada.

- Ślub Jayne Simpson był taki piękny - wzdycha. - A przyjęcie zupełnie niesamowite. W Chernoble, pisali o tym na Stronie Szóstej. Billy o tym pisał. Pokazywali w WWD.

- Słyszałem, że minimum wynosiło dwa drinki - mówię słabym głosem kiwając na pikolaka, żeby zabrał mój talerz.

- Śluby są t a k i e romantyczne. Dostała pierścionek zaręczynowy z diamentem. Wiesz co, Patiicku, j a nie przyjąłabym czegoś gorszego - mówi nieśmiało. - To musi być diament. - Jej oczy błyszczą niezdrowo i rozpoczyna śmiertelnie nudną, szczegółową relację ze ślubu: - Na obiad zaproszono pięćset osób..., nie, przepraszam, siedemset pięćdziesiąt, a po obiedzie podano okrągły tort lodowy wysoki na szesnaście stóp. Suknia panny młodej była z białej koronki od Ralphi, nisko wcięta, bez rękawów. Cudowna. Och, Patiicku, a t y co byś włożył?

- Koniecznie musiałbym mieć okulary przeciwsłoneczne. Ray-Ban. Drogie Ray-Bany - dodaje ostrożnie. - Prawdę mówiąc, zażądałbym, aby podczas uroczystości wszyscy nosili okulary przeciwsłoneczne Ray-Ban.

- Chciałabym mieć orkiestrę grającą zydeco, Patiicku. Koniecznie. Orkiestra zydeco - wybucha na bezdechu. - Albo maiiachi. Albo reggae. Coś etnicznego, żeby zaszokować tatkę. Och, sama nie wie m.

- Chciałbym mieć podczas uroczystości karabin maszynowy AK-47 - mówię szybko, znudzony - i trzydzieści magazynków. Najpierw odstrzeliłbym łeb twojej tłustej matce, a potem zająłbym się tym pedałem, którego uważasz za brata. Osobiście nie lubię używać sowieckich produktów, niczego co zostało tam zaprojektowane, nie wiem, ten kałasznikow przypomina mi... - przerywam zmieszany i wpatruję się we wczorajszego manikiura, a potem w Evelyn. - Stoliczną?

- Och i dużo truflí czekoladowych. G o d i v a. I ostrygi. Ostrygi na połówce muszli. Marcepan. Różowe namioty. Setki, tysiące róż. Reporterzy z aparatami fotograficznymi. Annie Leibovitz. Zaprosimy Annie L e i b o v i t z -wykrzykuje podniecona. - I wynajmiemy kogoś z kamerą wideo!

- Albo AR-15. Spodobałby ci się, Evelyn. Najdroższa broń produkowana na świecie, ale warta każdego centa - mrugam do niej. Ciągłe gada, nie słyszy co mówię, nie reaguje. Nie pojmuję a n i słowa. Umyka jej istota rzeczy, wszystko czym jestem. W końcu przerywa i bierze głęboki oddech. Patrzy na mnie oczami pełnymi rosy - to jedyne określenie, jakie przychodzi mi do głowy. Dotyka mojej dłoni, mojego Rolexa. Wzdycha, tym razem wyczekująco i mówi wreszcie: - Powinniśmy to zrobić.

Rzucam okiem na naszą kelnerkę laskojada, która pochyla się, żeby podnieść serwetkę. Nie odwracam głowy do Evelyn i mówię: - Zrobić... co?

- Wziąć ślub - odpowiada mrugając. - Urządzić wesele.

- Evelyn?

- Tak, najdroższy?

- Czy twój szampan... nie jest zaprawiony LSD? - pytam.

- Powinniśmy to zrobić - mówi cicho. - Patricku.

- Czy ty mi się o ś w i a d c z a s z? - wybucham śmiechem próbując zrozumieć jej intencje. Wyjmuję kieliszek z jej dłoni i wącham jego zawartość.

- P a t r i c k u? - powtarza czekając na odpowiedź.

- Jeezu, Evelyn - jestem w kropce. - Nie wiem.

- Dlaczego nie? - pyta rozdrażniona. - Podaj mi choć jedną przyczynę, dla której nie p o w i n n i ś m y tego zrobić?

- Bardzo proszę: pierdolenie się z tobą przypomina francuski pocałunek z bardzo... małą... i bardzo żywotną nutką... - przerywam. - Nie wiem...

- Tak? - mówi. - I co jeszcze?

- Nutką... z aparatem ortodontycznym na zębach - kończę i wzruszam ramionami.

- Jakie są twoje zamiary, Patricku? - pyta. - Chcesz czekać trzy lata do pełnej trzydziestki?

- C z t e i y - poprawiam rzucając jej nienawistne spojrzenie. - Dopiero za c z t e r y lata będą moje trzydzieste urodziny.

- Trzy lata. C/tery lata. Trzy miesiące. Boże, co to za różnica? Tak czy inaczej będziesz już starcem. - Odsuwa rękę. - Wiesz co, zmieniłbyś zdanie, gdybyś był na ślubie Jayne Simpson. Wystarczyłoby jedno spojrzenie i natychmiast chciałbyś się ożenić... ze mną.

- Ależ ja byłem na ślubie Jayne Simpson, Evelyn, miłości mojego życia -informuję ją. - Siedziałem obok Sukhreet Gabel. Uwierz mi, byłem tam.

-Jesteś niemożliwy - skamle. -Jesteś psują zabawę.
- A może nie byłem - zastanawiam się głośno. - Może... pokazywali ten ślub w MTV?
- Ich miesiąc miodowy był taki romantyczny. W dwie godziny po przyjęciu lecieli już Concordem. Do Londynu. Och, być u Claiidge'a - wzdycha składając dłonie pod brodą. W oczach ma łzy.
Nie zwracam na nią uwagi. Wyciągam z kieszeni cygaro i stukam nim o stół. Evelyn zamawia trzy rodzaje sorbetu: o smaku orzeszków ziemnych, lukrecji i pączków. Ja biorę dla siebie bezkofeinowe espresso. Evelyn pogrąża się w smutku. Ja zapalam zapalnik.
- Patricku - mówi ostrzegawczo, wpatrując się w płomień.
- Co? - pytam, a moja ręka zamiera w połowie drogi do cygara.
- Nie pytałeś o pozwolenie - mówi bez uśmiechu.
- Czy wspominałem ci, że mam na sobie spodenki bokserskie za sześćdziesiąt dolarów? - pytam chcąc ją ugłaskać.

WTOREK

Dzisiaj w Puck Building odbywa się przyjęcie (wstęp w czarnych krawatach) zorganizowane z okazji wypuszczenia na rynek nowej, komputerowej maszyny wioślarskiej. Po partyjce squasha z Frederickiem Dibble 'em, wstępuję na drinka do Harry'ego, gdzie spotykam Jamiego Conwaya, Kevina Wynna i Jasona Gla-dwina. Po drinkach wskakujemy do limuzyny, którą Kevin wynajął na dzisiejszy wieczór i wyjeżdżamy ze śródmieścia. Ubrany jestem w żakardową kamizelkę ze skrzydlatymi kłapkami uszytą przez Kilgoura u Frencha Stanbuiy'ego i kupioną u Barneya, jedwabną muszkę od Saksa, skórzane lakierki od Baker-Benjes, mam stare, diamentowe spinki z Kentshire Galleries i szarą marynarkę z jedwabnymi wykończeniami, reglanowymi rękawami i zapinanym na guziki kołnierzykiem od Luciana Sopraniego. W strusiowym portfelu od Bosci trzymam czterysta dolarów w gotówce; portfel mam w tylnej kieszeni czarnych wełnianych spodni. Zamiast Rolexa włożyłem dziś zegarek od H. Sterna z czternastokaratowego złota.

Spaceruję bez celu po sali balowej na pierwszym piętrze Puck Building i czuję znudzenie. Piję niedobrego szampana (czy to możliwe, żeby podali bezroczniko-wego Bollingera?) z plastikowego kubka, żuję plasterki kiwi ozdobione kawałkami koziego sera i rozglądam się niezobowiązująco za jakąś kokainą. Nie mogę znaleźć nikogo, kto znałby jakiegoś dostawcę i nagle przy schodach wpadam na Courtney, która ubrana jest wjedwabno-bawełniany, tiulowy i obcisły top, oraz koronkowe spodnie ozdobione biżuterią. Wygląda na spiętą i każe mi trzymać się z daleka od Luisa, który - jak twierdzi - coś podejrzewa. Zespół muzyczny gra niezdarnie wersje przebojów Motown z lat sześćdziesiątych.

- Co podejrzewa? - pytam omiatając wzrokiem salę. - Że dwa i dwa to cztery? Że ty to nie ty, tylko Nancy Reagan?

- Nie umawiaj się z nim na lunch w Yale Club w przyszłym tygodniu - mówi rozkazująco i uśmiecha się do fotoreportera. Przez chwilę jesteśmy oślepieni blaskiem lampy.

- Wyglądasz dziś... zmysłowo - rzucam i dotykam jej szyi, przebiegam palcem po jej brodzie i kończę na dolnej wardze.

-Ja nie żartuję, Patricku. - Uśmiecha się i macha do Luisa, który tańczy niezdarnie z Jennifer Morgan. Ubrany jest w kremową, wełnianą marynarkę, obiadową, wełniane spodnie, bawełnianą koszulę i jedwabny pas smokingowy w szkocką kratę - wszystko od Hugo Bossa. Jego muszka pochodzi od Saksa, a chusteczka od Paula Stuarta. Luis odpowiada nam kiwając głową. Pokazuję mu uniesiony kciuk.

- Co za kutas - szepcze Courtney ze smutkiem w głosie.

- Słuchaj, wychodzę - mówię kończąc szampana. - Idź zatańcz sobie z tym, co ma., kłopoty z sikiem...

- Dokąd idziesz? - pyta ściskając mnie za ramię.

- Courtney, nie mam zamiaru po raz kolejny być świadkiem ataku... histerii - ostrzegam ją. - Poza tym, podają tu gówniane kanapki.

- D o k a d idziesz? - powtarza. - Szczegóły, panie Bateman.

- Dlaczego tak bardzo cię to obchodzi?

- Bo chcę wiedzieć - mówi. - Chyba nie idziesz do Evelyn, prawda?

- Może -* okłamuję ją.
- Patricku - wybucha - nie zostawiaj mnie tutaj. Nie chcę żebyś sobie poszedł.
- Muszę oddać kasety - kłamię po raz drugi oddając jej pusty kubek po szampanie. Kolejny błysk flesza. Odchodzi.

Zespół muzyczny zaczyna odgrywać podniecającą wersję. "Life in the Fast Lane", ja natomiast rozglądam się za laskojadami. Charles Simpson - lub ktoś niewiarygodnie do niego podobny: zaczesane do tyłu włosy, szelki, okulary od Olivera Peoplesa - potrząsa moją dłońią i wrzeszczy "Hej, Williams", zaprasza mnie na spotkanie z Alexandra Craig i jeszcze jakimiś ludźmi o północy u Nell. Klepię go uspokajająco po ramieniu i zapewniam, że wpadnę.

Wychodzę na dwór, zapalam cygaro i wpatruję się w niebo. Po chwili zauważam Reeda Thompsona, który wychodzi z przyjęcia w towarzystwie Jamiego Conwaya, Kevina Wyiina i Marcusa Halberstama (bez dup) i zaprasza mnie na obiad. Podejrzewam, że skombinowali jakąś kokę, jednak mam złe przeczucia co do wieczoru z nimi i postanawiam nie iść do salvadorskiego bistro, tym bardziej że nie zarezerwowali stołu, a nikt im nie zagwarantuje dobrego miejsca. Macham do nich na pożegnanie, przechodzę na drugą stronę Houston chowając się przed limuzynami opuszczającymi przyjęcie i ruszam przed siebie Broadwayem. Zatrzymuję się przy bankomacie i dla zabawy biorę kolejne sto dolarów. Czuję się lepiej mając w portfelu równą pięćsetkę.

Idę przez dzielnicę sklepów z antykami poniżej Czternastej Ulicy. Mój zegarek stanął, nie mam pojęcia, która jest godzina - chyba wpół do jedenastej lub coś koło tego. Mijają mnie czarni faceci oferujący trawę lub bilety na przyjęcie w Palladium. Przechodzę obok kiosku z gazetami, pralni, kościoła, jadalni. Ulice są puste. Jedyne dźwięki rozpraszające ciszę to warkot taksówek zmierzających w stronę Union Square. Gdy wchodzę do budki telefonicznej chcąc sprawdzić informacje nagrane przez automatyczną sekretarkę, zauważam parę wychudzonych pedałów. Przyglądam się swemu odbiciu w oknie wystawowym sklepu z antykami. Jeden z pedałów gwizdże na mnie, drugi wybucha wysokim, głupkowatym, okropnym śmiechem. Po spękanym, noszącym ślady moczu chodniku, toczy się podarty plakat Nędzników. Niedaleko gaśnie lampa. Ktoś ubrany w płaszcz od Jeana-Paula Gautiera odlewa się w zaułku. Gdzieś spod ulicy wydobywa się para, płynie w górę tworząc zwiewne macki i znika. Wzdłuż krawężnika leżą zamrożone worki ze śmieciami. Błady, ledwo widoczny księżyc wisi nad samym czubkiem Chrysler Building. W oddali, gdzieś w West Village, słysząc wycie syren ambulansu. Niesie je wiatr, odbija echem i rozwiewa.

Czarny włóczęga leży w wejściu do opuszczonego sklepu z antykami na Dwunastej Ulicy. Usadowił się w otwartej skrzynce obłożonej workami pełnymi śmieci. Obok stoi sklepów' wózek, który rąbnął z Gristede'a załadowany - jak przypuszczam - rzeczami osobistymi żebraka; są w nim gazety, butelki i aluminiowe puszki. Z przodu wózka umieszczona jest tektura z ręcznie malowanym napisem: JESTEM GŁODNY I BEZDOMNY PROSZĘ POMÓŻCIE MI. Obok włóczęgi leży piesek, kundelek, chudy jak szyna metra. Pies przywiązany jest do rączki wózka kawałkiem sznurka. Gdy przechodzę obok żebraka po raz pierwszy, nie zauważam zwierzęcia. Dopiero za drugim razem - gdy obszedłem cały kwartał i wróciłem przed sklep - dostrzegam kundla leżącego na stosie gazet. Pilnuje włóczęgi, na szyi ma obrozę z olbrzymią tabliczką, na której widnieje imię GIZMO. Pies spogląda na mnie i macha kościstym, żalonym wyrostkiem, który służy mu za ogon. Wyciągam do niego dłoń w rękawiczce. Liże ją wygłodniały. Mężczyznę otacza niewidzialną chmurą smród jakiegoś taniego alkoholu przemieszanego z ekskrementami, wstrzymuję, oddech i staram się przywyknąć do odoru. Włóczęga budzi się, otwiera oczy i ziewa, ukazując niesamowicie czerniałe zęby za popękkanymi, fioletowymi wargami.

Musi mieć więcej niż czterdzieści lat, jest ciężko zbudowany i gdy usiłuje usiąść wygodniej w swojej skrzynce, przyglądam mu się badawczo w świetle lampy; na twarzy ma kilkuniedniowy zarost, poniżej potrójny podbródek, powyżej zaczerwieniony nos z grubymi, brązowymi żyłkami. Ubrany jest w jakiś nieprzy-

zwoity jasnozielony kombinezon z poliestru, na który wciągnął sprane dzinsy od Sergia Valentego (w tym sezonie dzinsy Sergia Valentego są ostatnim krzykiem mody wśród bezdomnych) i podarty,

brazowo-pomarańczowy sweter z wydeciem w serek, który poplamiony jest czymś, co przypomina burgunda. Wygląda na to, że jest mocno pijany - a jeśli nie, to z pewnością jest nienormalny lub szalony. Gdy stoję przed nim, nie potrafi skupić na mnie wzroku. Zasłaniam mu światło lampy ulicznej i rzucam na niego cień. Przyklękam.

- Cześć - mówię wyciągając do niego rękę, tę, którą polizał pies. - Pat Bateman.

Włóczęga patrzy na mnie i dyszy z wysiłku usiłując się wyprostować. Nie dotyka mojej dłoni.

- Chcesz trochę pieniędzy? - pytam delikatnie. - Jakieś... jedzenie? Żebrak kiwa głową i zaczyna płakać z wdzięczności.

Sięgam do kieszeni i wyciągam banknot <dziesięciodolarowy, a potem zmieniam zdanie i pokazuję mu piątkę. - Czy tego ci trzeba? Włóczęga powtórnie kiwa głową i odwraca wzrok zawstydzony. Kapie mu z nosa. Po chwili ćlirzaka i mówi cicho: - Jestem bardzo głodny.

- Na dworze jest zimno - zauważam. - Prawda?

- Jestem bardzo głodny - wykrztusza z siebie jeszcze raz, potem drugi i trzeci i znów zmieszany odwraca głowę.

- Dlaczego nie pójdziesz do pracy - pytam przez cały czas pokazując mu banknot, jednak na tyle daleko, żeby nie mógł mi go wyrwać. - Jeśli jesteś głodny, dlaczego nie znajdziesz sobie pracy?

Wciąga powietrze, drży i mówi łkając: - Wyrzucili mnie z pracy...

- Dlaczego? - pytam ze szczerym zainteresowaniem. - Piłeś? Czy to dlatego cię wyrzucili? A może za szpiegostwo gospodarcze? Nie, to był żart. Nie, naprawdę... Piłeś w pracy?

Obejmuje się ramionami i wyrzuca z siebie, ciągle płacząc: - Wywalili mnie. Zwolnili.

Przyjmuje, to do wiadomości kiwając głową. - Ojej, łun, to straszne.

- Jestem bardzo głodny - mówi i zaczyna płakać na głos nie opuszczając ramion. Jego pies, ten kundel o imieniu Gizmo, wtóruje mu wyciem.

- Dlaczego nie poszukasz innej pracy? - pytam. - Dlaczego nie rozejrzysz się za jakimś zajęciem?

- Nie mam... - Kaszle i trzęsie się załóżnie. Dostaje jakiegoś ataku i nie może skończyć zdania.

- Nie masz czego? - pytam cicho. - Odpowiednich kwalifikacji? - Jestem głodny - szepcze.

- Wiem, wiem - mówię. - Jeezu, jesteś jak zdarta płyta. Staram się ci pomóc... - zaczynam tracić cierpliwość.

- Jestem głodny - powtarza.

- Słuchaj, uważasz, że uczciwe jest wyludzanie pieniędzy od ludzi, którzy pracują? Ciężko harują na swój chleb?

Jego twarz kurczy się, żebrak dyszy i chiypi: - Co mam zrobić?

- Posłuchaj - mówię. - Jak masz na imię?

- Al - odpowiada.

- Głośniej - mówię. - Nic nie słyszę.

- Al - powtarza nieco głośniej.

- Weź się, cholera, do roboty, Al. Masz zły stosunek do świata. To przeszkadza. Musisz wziąć się w garść. Pomogę ci.

- Jest pan taki dobry. Taki dobry. Taki dobry człowiek - bełkocze. - Wiem to na pewno

- Ciii... - Szepcze. - W porządku. - Zaczynam głaskać psa.

- Proszę - jęczy i chwytam mnie za nadgarstek. - Nie wiem co mam robić. Jest mi tak zimno.

- Wiesz jak brzydko pachniesz? - mówię słodko i głaszczę go po Warzy. - Ten odór, mój Boże...

- Nie mam... - krztusi się, a potem przetyka. - Nie mam gdzie mieszkać.

- C u c h n i e s z - informuję go. - Cuchniesz... gównem. - Poklepuję psa, który wlepia we mnie swoje wielkie, wilgotne, pełne wdzięczności oczy. - Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Kurwa mać, Al! Spójrz na mnie i przestań ryczeć jak peda! - krzyczę. Moja wściekłość narasta, a potem zmniejsza się, przymykam oczy i podnoszę dłoń, by ścisnąć nasadę nosa. Wzdycham: - Al... Wybacz mi. Chodzi o to... sam nie wiem... Nie potrafię współczuć komuś takiemu jak ty.

Włóczęga nie słucha. Płacze tak głośno, że nie jest w stanie udzielić mi żadnej zrozumiałej odpowiedzi. Powoli chowam banknot do kieszeni marynarki od Luciana Sopraniego. Drugą ręką - tą, którą do tej pory głaskałem psa - sięgam do innej kieszeni. Żebrak przerwa nagle szloch i siada wyprostowany, rozglądając się za piątką albo może - jak mi się wydaje - za swoją butelką alpagi.

Wyciągam dłoń i dotykam delikatnie jego twarzy, szepczę, a mój głos jest pełen współczucia: - Czy zdajesz sobie sprawę, Al, jak kurewsko przegrałeś życie? - Kiwa bezradnie głową, ja natomiast wyciągam długi, cienki nóż z ząbkowanym ostrzem i bardzo ostrożnie - tak, by go nie zabić - wbijam czubek na jakieś pół cala w prawe oko włóczęgi, podnoszę do góry rączkę i wydłubuję gałkę z oczodołu.

Jest zbyt zaszokowany, żeby cokolwiek wykrztusić. Otwiera szeroko usta i podnosi niezdarnie rękę w szmacianej, brudnej rękawicy do twarzy. Rozpruwam mu spodnie do samego dołu. W świetle reflektorów przejeżdżającej taksówki dostrzegam jego sflaczałe, czarne uda pokryte wysypką od ciągłego moczenia się w spodnie. Odór gówna uderza mnie w twarz, oddycham przez usta. Przykucam na piętach i zaczynam dźgać go lekko w brzuch tuż nad linią gęstych, skudlonych włosów łonowych. To go otrzeźwia, instynktownie zasłania się rękoma, pies zaczyna wściekle ujadać, ale nie atakuje. Ranie go teraz między palcami, czasami trafiam w dłoń. Z otwartego oczodołu włóczęgi zwisa gałka ze źrenicą, sięga mu prawie do policzka. Żebrak otwiera i zamyka oko, co sprawia, że z pustej rany wypływa krwawa maź przypominająca pocięte żyłkami wnętrze jajka. Łapię go za włosy i odchylam mu głowę do tyłu. Za pomocą kciuka i palca wskazującego otwieram drugie oko, podnoszę nóż i wbijam w oczodół. Najpierw przebijam zewnętrzną tkankę ochronną, białko zabarwia się na czerwono, następnie przecinam ukośnie gałkę na pół. Żebrak w końcu zaczyna wyć. Rozcinam mu nos na dwie części. Krew tryska słabym strumieniem na mnie i na kundla. Gizmo mruga od krwi zalewającej mu oczy. Wycieram szybko ostrze o twarz włóczęgi otwierając przy okazji mięśnie na policzku. Ciągle na kolanach, rzucam mu w twarz ćwierć dolara. Fizjonomia włóczęgi jest śliska i mokra od krwi, obydwie puste oczodoły wypełniają się śluzową posoką. To co zostało z jego oczu dosłownie ścieka w postaci grubych, błoniastych nici na rozwarte krzykiem usta. Jestem zupełnie spokojny. Szepczę: - Daję ci ćwierć dolara. Idźsup sobie gumę, ty pojebany, pierdolnięty czarnuchu! - Odwracam się do szczekającego psa i podnosząc się staję butem na jego przednich łapach - przywarował chcąc mnie ugryźć, widzę jego wyszczerzone kły. Miażdżę kości obydwu psich nóg, kundel przewraca się na bok i wyje z bólu. Wyciąga zdruzgotane kończyny w jakimś obscenicznym geście rozpacz, który ma ulżyć jego cierpieniu. Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem widząc całą tę scenę. Syce nią oczy. Słyszę zbliżającą się taksówkę i odchodzę. Jestem już dwie przecznice dalej. Czuję się świetnie, jestem napompowany energią i zaczynam być głodny, tak jak po treningu, gdy endorfiny krążą żywiej w systemie nerwowym. Podobnie czuję się po pierwszej działce kokainy, po pierwszym dymie cygara lub pierwszym kieliszku Cristala. Umieram z głodu, muszę coś zjeść, ale nie clicę zaglądać do Nell, chociaż mógłbym dojść tam spacerkiem. Indochiny nie wydają mi się wystarczająco dobrym bistro na wzniesienie toastu. Postanawiam wybrać się tam, dokąd mógłby pójść Al, do McDonalda na Union Square. Staję w kolejce i zamawiam koktajl mleczny ("Z super grubą pianą" rzucam facetowi za ladą, który kręci głową i włącza mikser). Biorę szklankę i idę do stołu z przodu baru; do stołu, przy którym usiadłby prawdopodobnie Al. Rękawy mojej marynarki są lekko spryskane krwią. Do McDonalda wchodzi za mną dwie kelnerki z Cat Club. Siadają w przegrodzie naprzeciw mojej i uśmiechają się zalotnie. Nie podniecam się i ignoruję ich spojrzenia. Jakaś stara pomarszczona wariatka, która odpala jednego papierosa od drugiego, siada niedaleko i kiwa głową nie wiadomo do kogo. Ulicą przejeżdża policyjny samochód. Wypijam jeszcze dwa koktajle i moje podniecenie mija, odczucia stają się mniej intensywne. Zaczynam być zmęczony i znudzony. Nadchodzi noc pełna rozczarowań. Przeklinam siebie w duchu za to, że nie zdecydowałem się pójść do salvadorskiego bistra z Reedem Thompsonem i resztą towarzystwa. Kelnerki gapią się na mnie nie ukrywając zainteresowania. Patrzę na zegarek. Meksykanin stojący za ladą zapala papierosa i wpatruje się we mnie i w plamy na marynarce Soprani, jakby chciał coś powiedzieć. Nadchodzi kolejny klient - jeden z tych czarnych facetów, którzy wcześniej usiłowali sprzedać mi trawę - więc Latynos musi przyjąć zamówienie. Gasi papierosa i to wszystko.

GENESIS

Jestem wielkim fanem Genesis od momentu wydania przez tę grupę albumu "Duke", co miało miejsce w roku 1980. Prawdę powiedziawszy absolutnie nie rozumiem wcześniejszych dokonań zespołu, chociaż bardzo podobała mi się piosenka "Follow You, Follow Me" z ich ostatniej płyty

wydanej w latach siedemdziesiątych - wydumanego albumu "And Then There Were Three" (tytuł ma zapewne jakiś związek z odejściem Petera Gabriela, wokalisty, który rozpoczął kulawą karierę solową). Wszystkie płyty nagrane przed "Dukiem" wydają mi się zbyt artystyczne, zbyt intelektualne. Wraz z wydaniem "Duke'a" (Atlantic; 1980), ujawniła się osobowość Phila Collinsa, dzięki czemu muzyka grupy zyskała na nowoczesności (co widać na przykładzie wykorzystania syntezatora perkusyjnego), a teksty stały się mniej mistyczne i bardziej konkretne (być może ze względu na odejście Gabriela) - skomplikowane, niejasne opisy niepowodzeń ustąpiły miejsca przebojowym piosenkom, które idealnie trafiły w mój gust muzyczny. Aranżacje utworów zaczęły opierać się na brzmieniu perkusji Collinsa, a bas Rutherforda i klawisze Tony Banksa zeszły na plan dalszy. Klasycznym przykładem takiego opracowania muzycznego jest piosenka "Misunderstanding", która była pierwszym wielkim hitem grupy w latach osiemdziesiątych i nadała ton wszystkim innym albumom Genesis w nowej dekadzie. Innym ciekawym utworem z "Duke'a" jest "Turn It On Again" - piosenka opowiadająca o negatywnym oddziaływaniu telewizji. Z drugiej strony, nie mam pojęcia o czym opowiada kompozycja "Heathaze", w przeciwieństwie do na przykład "Please Don't Ask" - wzruszającej pieśni miłosnej skierowanej do byłej żony podmiotu lirycznego, która przyjmuje prawa opiekuńcze nad dzieckiem. Czy jakakolwiek grupa rockandrollowa zdołała wcześniej oddać negatywne aspekty rozvodu w bardziej przejmujący sposób? Sądzę, że nie. Utwory "Duke Travels" i "Dukes End" mają zapewne jakiś sens, ponieważ jednak teksty piosenek nie zostały umieszczone na okładce płyty, trudno mi powiedzieć, o czym śpiewa Collins. Drugi ze wspomnianych wyżej utworów zawiera wspaniałe kompleksowe wstawki fortepianowe Tony'ego Bank-

są. Jedynym niewypałem na płycie jest piosenka "Alone Tonight", która za bardzo przypomina późniejszy przebój "Tonight Tonight Tonight" z wydanego w 1986 arcydzieła Genesis pod tytułem "Invisible Touch" - jest to jedyny w karierze Collinsa przykład autoplagiatu.

Płyta "Abacab" (Atlantic; 1981) została wydana niemal natychmiast po "Du-ke'u". Jej zaletą jest obecność nowego producenta, Hugh Padghama, który nadał zespołowi nowoczesne brzmienie w stylu lat osiemdziesiątych. Generalnie piosenki na "Abacab" są nijakie, jednak wytrawny słuchacz znajdzie w nich wspaniałe smaczki, na przykład długą improwizację w środkowej części utworu tytułowego, czy grę sekcji dętej, pochodzącej z jakiegoś zespołu o nazwie Earth, Wind and Fire, w utworze "No Reply At All". Teksty na tym albumie poruszają kwestie ciemnej strony życia, mówią o ludziach, którzy czują się zagubieni lub są skłóceni ze sobą, jednak od strony produkcyjnej i brzmieniowej "Abacab" jest podnoszącym na duchu arcydziełkiem (mimo ponurych tytułów, takich jak: "Bez odpowiedzi", "Niech będzie ciemno", "Kto to zrobił?", czy "Rób co chcesz"). Bas Mike'a Rutherforda jest słabo słyszalny w miksie albumu, lecz poza tym zespół brzmi zgrabnie, co znów jest zasługą wspaniałej pracy bębnow Collinsa. Nawet w najczarniejszych momentach (choćby w piosence "Dodo" opowiadającej o wymierających gatunkach zwierząt), album jest muzycznie finezyjny i lekki.

Moim ulubionym utworem z tej płyty jest piosenka "Man on the Corner", napisana w całości przez Collinsa. Jest to wzruszająca ballada z przepiękną melodią graną na syntezatorach z dodatkiem scalającej maszyny perkusyjnej w tle. Utwór ten mógłby zupełnie swobodnie znaleźć się na jednym z solowych albumów Phila, jednak poruszany w piosence temat samotności, paranoi i wyobcowania jest charakterystyczny dla dokonań zespołu, jego pełnego nadziei humanizmu. "Man on the Corner" w sposób niezwykle głęboki oddaje związek podmiotu lirycznego z samotną postacią (włóczęgą, biednym bezdomnym?), "samotnym człowiekiem na rogu", kimś, kto zawsze stoi gdzieś w pobliżu. Piosenka "Who Dunnit?" bardzo dobitnie wskazuje na chaos ludzkiego życia, odzwierciedlony funkową linią melodyczną. Najbardziej ekscytujące w tym utworze jest to, że narrator aż do samego końca nie znajduje wyjaśnienia dla swoich wątpliwości.

Hugh Padgham wyprodukował również następny, mniej wydumany album, zatytułowany po prostu "Genesis" (Atlantic; 1983). Ogólnie rzecz biorąc, jest to niezła płyta, choć nieco wtórna jak na mój gust. "That's All" brzmi jak "Misunderstanding", "Taking It All Too Hard" za bardzo przypomina mi "Throwing It All Away". "Genesis" jest także mniej jazzująca niż jej poprzedniczki, brzmi bardziej jak typowy album pop z lat osiemdziesiątych, typowy rock and roll z tej dekady. Padgham

spisał się na medal jako producent, jednak pracował nad słabszym niż zazwyczaj materiałem, co wyraźnie słychać na płycie. Album otwiera autobiograficzny utwór "Mama", który jest dziwny i wzruszający zarazem. Nie

mam pojęcia, czy wokalista zwraca się w nim do swojej prawdziwej matki, czy do dziewczyny, którą nazywa "Mama". "That's All" jest lamentem ignorowanego, pomiatanego przez nieczulą kobietę kochanka. Pomimo rozpaczliwego tonu, piosenka ta ma wesołą, nadającą się o śpiewania linię melodyczną, co sprawia, że utwór jest mniej przygnębiający niż w zamierzeniu autorów. "That's All" to najlepsza kompozycja na płycie, jednak głos Phila brzmi najsilniej w "House by the Sea", piosence, której tekst płynie niestety zbyt szerokim strumieniem świadomości, by można było zrozumieć z niego cokolwiek. Być może jest to utwór o dorastaniu i akceptowaniu własnej dojrzałości, wszystko jest jednak zbyt niejasne. Tak czy inaczej, część instrumentalna tej kompozycji godna jest uwagi - Mikę Banks pokazuje w niej swoją wirtuozerię gitarową, podczas gdy Tom Rutherford tworzy wspaniałą senny nastrój grą na syntezatorze. Gdy Phil powtarza trzeci wers piosenki, można naprawdę dostać dreszczy.

"Illegal Alien" jest niewątpliwie najbardziej polityczną i jednocześnie najśmieszniejszą piosenką w całej twórczości zespołu. Temat w zamyśle miał być poważny - utwór mówi o jakimś latynosie, który usiłuje przedostać się przez granicę do Stanów Zjednoczonych - jednak szczegóły podane w tekście są nieodparcie komiczne: Meksykanin niesie ze sobą butelkę tequilii i ubrany jest w no wą parę butów (którą prawdopodobnie ukradł). Wszystko tak, jak w rzeczywistości. Phil śpiewa ostrym, wyjąłym, pseudo-meksykańskim głosem, który sprawia, że "Illegal Alien" jest jeszcze śmieszniejszy. W tekście należy zwrócić uwagę na celowo zrymowane wyrazy "obcy" i "radosny". „Just a Job to Do” to najbardziej funkowy utwór na płycie, z zabójczą linią basu Banksa. Piosenka opowiada chyba o detektywie ścigającym przestępcę, jednak równie dobrze może opisywać kochanka szukającego swojej wybranki. Najbardziej liryczną piosenką albumu jest "Silver Rainbow". Tekst tego utworu cechuje niezwykła intensywność, jest kompleksowy i wspaniały. Płyta kończy się pozytywnym, radosnym utworem zatytułowanym "Będzie lepiej". Być może niektórzy uważają, że słowa tej piosenki są zbyt nijakie, jednak głos Phila brzmi tu tak pewnie (słychać wyraźny wpływ Petera Gabriela, któremu nigdy nie udało się stworzyć tak spójnego, poruszającego albumu), że zaczynamy wierzyć we wspaniałą obietnicę przyszłości.

"Invisible Touch" (Atlantic; 1986) to bez wątpienia prawdziwe arcydzieło grupy. Jest to epicka medytacja nad rzeczami niepojętymi, która pogłębia i wzbogaca znaczenie poprzednich trzech albumów. Płyta pozostawia niezatarte wrażenie w umyśle słuchacza, a muzyka jest tak piękna, że nie można otrząsnąć się z jej wpływu. Każda piosenka dotyczy rzeczy najbardziej istotnych, utwory opowiadają o nieznanym i przestrzeni międzyludzkiej ("Invisible Touch"), zadają kłam roli autorytetów w postaci bądź to dominujących kochanków, bądź rządu ("Land of Confusion") czy wreszcie są bezmyślnymi wyliczankami ("Tonight Tonight Tonight"). Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że "Invisible Touch" jest jednym z naj-

większych osiągnięć rock and rola w całej dekadzie. Siłą sprawczą całego projektu - pominąwszy oczywiście wspaniały zespół w składzie Banks, Rutherford i Collins - był Hugh Padgham, który nigdy przedtem nie uzyskał w studiu tak jasnego, świeżego i nowoczesnego brzmienia. Na płycie słychać najdrobniejsze niuanse melodyczne każdego instrumentu biorącego udział w nagraniu.

Jeśli chodzi o rzemiosło pisarskie i zwykłe umiejętności kompozytorskie, album ten jest czołowym osiągnięciem profesjonalizmu. Weźmy na przykład tekst utworu "Land of Confusion", w którym podmiot liryczny przedstawia problem nadużyć elit politycznych. Słowa podane są w oprawie funkowej, czarnej linii melodycznej, która nie ma sobie równych w dokonaniach nawet takich artystów jak Prince czy Michael Jackson - mówiąc szczerze w dokonaniach żadnego czarnego artysty ostatniej dekady nie znajdzie się czegoś podobnego. Muzyka z albumu doskonale nadaje się do tańca, a mimo to ma wprost niesamowitą, szczerą gwałtowność, która o niebo przewyższa dokonania choćby tak niesłusznie faworyzowanego Bruce'a Springsteena. Collins, jako obserwator zmagających się miłosnych bije Bossa na wszystkich frontach, a w utworze "In Too Deep" osiąga absolutny szczyt emocjonalnej uczciwości. Z drugiej strony, piosenka ta ukazuje kpiarską, figlarną i niejednoznaczną naturę Collinsa. Jest to najbardziej wzruszający utwór lat osiemdziesiątych,

opowiadający o związku monogamicznym i partnerskim oddaniu. "Anything She Does" (przypominający nieco "Centerfold" J. Geils Band, lecz znacznie bardziej natchniony i energiczny niż ten ostatni utwór) otwiera drugą stronę płyty. Kulminacyjnym momentem albumu jest dwuczęściowa piosenka "Domino". Część pierwsza, zatytułowana "In the Heat of the Night", pełna jest ostro zarysowanych obrazów rozpacz - i w połączeniu z "The Last Domino", kojącą i niosącą nadzieję kompozycją, tworzy spójną całość, która w sposób znakomity podnosi słuchacza na duchu. Teksty obydwu utworów są niesłychanie pozytywne - jest to największa w historii rocka afirmacja rzeczywistości takiej, jaka jest.

Solowe dokonania Phila Collinsa wydają się bardziej komercyjne i przez to może nawet bardziej satysfakcjonujące, lecz w węższym znaczeniu tego słowa. Odnosi się to szczególnie do płyty "No Jacket Required" i piosenek takich jak "In The Air Tonight" i "Against All Odds" (która zginęła niejako w cieniu znakomitego filmu, z którego pochodzi) oraz "Take Me Home" i "Sussudio" (wspaniały, wielki, naprawdę genialny utwór - mój ulubiony), a także przeróbki "You Can't Hurry Love", która wedle mnie i nie tylko, jest znacznie lepsza od oryginału The Supremes. Uważam jednak, że Phil Collins wykonuje lepszą robotę w ramach zespołu. Ograniczenia narzucane przez grupę pozwalają mu być wielkim artystą - podkreślam a r t y s t ą. W istocie termin ten można odnieść do wszystkich członków Genesis - najlepszego, najbardziej ekscytującego zespołu, jaki przybył do nas z Anglii w latach osiemdziesiątych.

LUNCH

Siedzę w DuPlexie - nowej restauracji Tony'ego McManusa w Tiibeece - w towarzystwie Christophera Armstronga, który podobnie jak ja pracuje u Pier-ce'a & Pierce'a. Znam Christophera jeszcze z Exeter, gdzie razem się uczylimy. Potem Armstrong studiował na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, a następnie w Wharton. Po studiach zamieszkał na Manhattanie. Z jakiegoś trudnego do zrozumienia powodu nie udało nam się załatwić rezerwacji w Tematach, więc Chris zaproponował to miejsce. Ubrany jest w dwurzędową (cztery guziki) bawełnianą koszulę w tenisowy prążek z rozkładanym kołnierzem od Christiana Diora i duży, jedwabny, wzorzysty krawat kupiony u Givenchy Gentleman. Oprawiony w skórę kalendarz Chrisa i skórzana kopertówka - całość od Bottega Veneta - leżą na wolnym krześle stojącym przy naszym stole, który nawiasem mówiąc jest całkiem niezły: stoi z przodu restauracji, przy oknie. Ja mam dziś na sobie garnitur z czesanej wełny we wzorek (główka szpilki) i kratę kupioną u DeRigueur i zaprojektowaną przez Schoemana, bawełnianą, popelinową koszulę od Billa Blassa, jedwabny krawat Macclesfield od Savoya, a w kieszonce bawełnianą chusteczkę od Ashear Bros. W restauracji gra niezbyt głośna muzyka - rozpoznaję wersję Nędzników Dziewczyną Armstronga jest Jody Stafford, która chodziła kiedyś z Toddem Hamlinem - fakt ten w połączeniu z monitorami telewizyjnymi wiszącymi pod sufitem restauracji, na których widać kucharzy przygotowujących dania dla gości, napawa mnie niezłym przerażeniem. Armstrong wrócił właśnie z wakacji na wyspach i jest bardzo mocno i bardzo równo opalony - podobnie zresztą jak ja.

- Jak było na Bahamach? - pytam po złożeniu zamówienia. - Słyszałem, że dopiero co wróciłeś, prawda?

- No cóż, Taylor - zaczyna Armstrong i wpatruje się w jakiś punkt nad moim ramieniem: chyba kolumnę z terakoty albo rurę biegnącą przez całą długość sufitu. - Turyści rozglądający się za idealnym miejscem, w którym mogliby spędzić tegoroczne wakacje, powinni skierować swoją uwagę na południe, w kierunku Wysp Bahama lub Karaibów. Istnieje przynajmniej pięć istotnych powodów, dla których powinno się odwiedzić Karaiby i są to: pogoda, fiesty i festiwale, nie zatłoczone hotele i miejsca wypoczynku, ceny i unikatowa kultura tubylców. Wielu mieszkańców miast opuszcza latem swoje siedziby w poszukiwaniu regionów o chłodniejszym klimacie, a niewielu zdaje sobie sprawę, że Karaiby mają bardzo umiarkowane warunki klimatyczne z temperaturami w przedziale od siedemdziesięciu pięciu osiemdziesięciu pięciu stopni Farenheita. Do tego należy dodać jeszcze pasaty, które w znakomity sposób chłodzą wyspy. Latem wyższe temperatury notuje się na północy, w takich rejonach jak...

The Putty Winters Show &ńs rano poświęcony był mordercom dzieci. Zgromadzoną w studiu publiczność stanowili rodzice nieletnich ofiar: porwanych, torturowanych i zamordowanych. Na

scenie grupa psychiatrów i pediatrów usiłowała pomóc matkom i ojcom poradzić sobie - bezskutecznie, jak zauważyłem ku swemu wielkiemu zadowoleniu - z ich gniewem i cierpieniem. Jednak najlepsze w całym programie było spotkanie - dzięki łączom satelitarnym, z którego obraz pokazywano na monitorze - z trzema skazanymi mordercami dzieci siedzącymi w celach śmierci i ubiegającymi się o zmianę mroku, prawdopodobnie z powodzeniem ze względu na skomplikowaną procedurę prawą i istniejące w niej niedociągnięcia. Coś nie dawało mi spokoju i odwracało moją uwagę podczas programu, który oglądałem na olbrzymim ekranie telewizora Sony, jedząc śniadanie składające się z plasterków kiwi, japońskiej jabłko-gruszki, wody Evian, rogalików z owsianymi otrębami, mleka sojowego i sproszkowanego cynamonu, coś psuło mi radość z wpatrywania się w rozpaczające matki... Dopiero pod koniec programu zdałem sobie sprawę co to było: otóż podświadomie rejestrowałem pęknięcie nad obrazem Davida Oniki, szparę, o której mówiłem portierowi, który z kolei miał powiadomić administratora, ten zaś ją usunąć. Wychodząc 7. domu zatrzymałem się przed recepcją z zamiarem złożenia skargi i cóż się okazało - stał przede mną zupełnie n o w y portier, facet w moim wieku, tysięcący, o pospolitej urodzie i g r u b y. Na jego biurku leżały trzy lukrowane pączki z dżemem, obok których stały d w i e parujące filiżanki z niezwykle ciemną gorącą czekoladą. Oprócz tego na blacie leżał egzemplarz Posta otwarty na stronie z komiksami. Natychmiast uderzył mnie fakt, że wyglądam o niebo lepiej, jestem tysiąc razy szczęśliwszy i nieskończenie bogatszy od tego biednego skurwysyna, który nigdy nie osiągnie w życiu takiej pozycji, jaka mi przypadła w udziale. Przez chwilę ogarnęło mnie współczucie, uśmiechnąłem się, kiwnąłem głową w lakonicznym, aczkolwiek uprzejmym geście powitania i oczywiście nie złożyłem skargi. - Doprawdy! - wyrwało mi się z ust, mimo że zupełnie nie zwracałem uwagi, na to, co mówi Armstrong.

- Podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, w miesiącach letnich urządzone są liczne festiwale i inne wydarzenia kulturalne, takie jak koncerty, wystawy plastyczne, uliczne jarmarki czy turnieje sportowe. Mimo wielu atrakcji, wyspy nie są zbyt zatłoczone, większość turystów nie wie prawdopodobnie o ich istnieniu, co ma swoje dobre strony w postaci na przykład wyższej jakości usług, braku kolejek w wypożyczalniach sprzętu wodnego czy restauracjach. Uważam, że większość przybywających na wyspy pragnie poznać ich kulturę, skosztować jedzenia, zanurzyć się w ich barwnej historii...

Dziś rano w drodze na Wall Street musiałem wysiąść z firmowego samochodu z powodu korka i przejść kawałek Piątą Aleją do stacji metra. Szedłem równym krokiem, gdy nagle zauważyłem coś co przypominało paradę z okazji

Halloween. Poczułem się nieco dezorientowany, ponieważ dałbym sobie głowę uciąć, że mamy obecnie maj. Zatrzymałem się przy rogu Szóstej Ulicy i przyjrzałem się bliżej uczestnikom marszu. Okazało się, że była to demonstracja pod hasłem "Duma Gejów" - poczułem, że przewracają się we mnie flaki. Homoseksualiści szli z wysoko podniesionymi głowami Piątą Aleją, na ich pastelowych kurtkach widniały różowe trójkąty, niektórzy trzymali się nawet za ręce, a większość śpiewała unisono "Somewhere" fałszując okropnie. Stałem przed sklepem Paula Smitha i przyglądałem się im z jakąś niepokojącą fascynacją, a mój umysł rozsądzał trudny do ogarnięcia fakt, że istota ludzka - m ę ż c z y z n a - może odczuwać dumę dlatego, że uprawia sodomię z osobnikiem tej samej płci. W pewnej chwili usłyszałem przygłupie uwagi rzucane pod moim adresem pomiędzy wersami: Jest dki nas miejsce, gdzieś jest d/a nas miejsce" śpiewanymi przez podstarzałych, nadmiernie umięśnionych plażowych kulturystów z wąsami jak u morsa. Skręciłem biegiem w Szóstą Aleję. Postanowiłem spóźnić się do biura, złapałem taksówkę i wróciłem do domu, gdzie włożyłem nowy garnitur (Cerrutti 1881), zrobiłem sobie pedikiur i zamęczyłem na śmierć małego szczeniaczka, którego kupiłem w sklepie ze zwierzętami na Lexington kilka dni wcześniej. Armstrong brzęczy dalej:

- Sportu- wodne należą oczywiście do głównych atrakcji. Pola golfowe i korty tenisowe są w doskonałym stanie, w sezonie letnim obsługuje je więcej trenerów niż zazwyczaj. Większość z kortów ma oświetlenie, które umożliwia korzystanie z nich także po zmroku...

Pierdol... się... Armstrong, myślę sobie patrząc przez okno na korek i włóczęgów spacerujących po Church Avenue. Przynoszą przekąski: dla Armstronga słodką drożdżową bułeczkę z dodatkiem

suszonych w słońcu pomidorów, a dla mnie chili poblano z odrobiną cebulowej marmolady w kolorze pomarańczowo-fioletowym. Mam nadzieję, że Armstrong nie będzie chciał płacić, ponieważ chcę pokazać temu mało zabawnemu skurwysynowi platynową kartę American Express. Z jakiegoś powodu jest mi teraz bardzo smutno, słucham Armstronga i czuję kluchę w gardle, przełykam więc i popijam Coronę. Smutek mija, Armstrong przerywa na chwilę i żuje drożdżówkę, rzucam więc mimo woli: -Jedzenie?Jakie jest jedzenie? - i myślę o czymś zupełnie innym.

- Dobrze pytanie. Jeśli chodzi o restauracje Karałby stały się bardziej atrakcyjne w momencie, gdy kuchnia wyspiarska przemieszała się z tradycyjną kuchnią europejską. Większość restauracji należy i jest kierowana przez Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów, Włochów, a nawet emigrantów holenderskich...

Na szczęście przerywa na chwilę i odgryza kawałek drożdżówki, która wygląda jak gąbka nasączona krwią -jego dmżdżówka wygląda jak wielka krwawa gąbka. Popija Coronę. Teraz moja kolej.

- A wycieczki krajoznawcze? - pytam bez zainteresowania i wpatruję się w szerniałe chili - żółtawa marmolada tworzy na talerzu artystyczny ośmiokąt otoczony nacią kolendry, która z kolei obramowana jest nasionami chili.

- Wycieczki krajoznawcze pomagają nam poznać wpływ kultury europejskiej na życie wyspiarzy. W osiemnastym wieku Europejczycy ufortyfikowali się na wielu wyspach, tworząc tym samym łańcuch lokalnych fortec. Goście mogą odwiedzać liczne miejsca lądowań wypraw Kolumba, a ponieważ ciągle obchodzimy rocznicę odzyskania Ameryki, na wyspach wzrasta zainteresowanie historią i kulturą, które są integralną częścią wyspiarskiego życia...

Armstrong, ty... dupo w o ł o w a. - Alia - kiwam głową. - No cóż... -Kaszmierowe krawaty, garnitury w kratę, aerobik, kasety do oddania, przyprawy do odebrania u Zabara, żebracy, trufle z białej czekolady... Mdlący zapach Drak-kara Noir, którego używa Armstrong, owiewa moją twarz, miesza się z wonią marmolady i kolendry, cebuli i szerniałego chili. - Alia - powtarzam.

- Turystom preferującym aktywne formy wypoczynku polecam wspinaczki górskie, wyprawy do jaskiń, żeglarstwo, jeździectwo, spływy górkimi potokami, a dla hazardzistów zbudowano kasyna na kilku wyspach...

Wyobrażam sobie przelotnie, co by się stało, gdybym wyciągnął nóż, przeciął sobie nadgarstek i skierował strumień krwi na twarz Armstronga albo -jeszcze lepiej - na jego garnitur, ciekawe, czy dalej by gadał? Rozważam możliwość odejścia od stołu bez podania przyczyny, złapania taksówki i pojechania do innej restauracji, gdzieś w SoHo, może nawet dalej, wypicia drinka, pójścia do toalety, może skorzystania z telefonu (Evelyn?), powrotu do DuPlexu... Każda molekula składająca się na moje ciało podpowiada mi, że Armstrong nawet podczas mojej nieobecności pierdoliłby ciągle o swoich wakacjach na Bahamach, mało tego, zaprosiłby cały świat na te kurewskie Karaiby. Podczas jego przemowy kelner zabiera zjedzone do połowy przekąski, przynosi nowe Corony, dzikiego kurczaka duszonego w occie malinowym z guacamolą, oraz cielecą wątróbkę z ikłą zło tośledzia i porem. Nie jestem pewien kto co zamawiał, chociaż i tak nie ma to najmniejszego znaczenia, ponieważ obydwa talerze wyglądają identycznie. W końcu przypada mi w udziale dziki kurczak z dodatkiem sosu tomatillo - a przynajmniej tak mi się wydaje.

- Turyści odwiedzający Karaiby nie potrzebują wiz, wystarczy potwierdzenie obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Jednak co najlepsze, Taylor, j ę z y k nie stanowi żadnej przeszkody. Wszędzie mówi się po angielsku, nawet na wyspach, na których macierzystym językiem jest francuski czy hiszpański. Większość z archipelagów, to dawne posiadłości brytyjskie...

- Moje życie jest prawdziwym piekłem - rzucam od niechcenia poruszając jednocześnie porem na talerzu, który, nawiasem mówiąc, jest porcelanowym trój-kątem. -Jest wielu ludzi, których... eee... chciałbym.... no cóż... chyba z a m o r-d o w a ć. - Celowo akcentuję ostatnie słowo i patrzę prosto w oczy Armstronga.

- Połączenia lotnicze są teraz o wiele sprawniejsze, a stało się tak dzięki otwarciu w San Juan terminali American Airlines i Eastern Airlines. Z San Juan łapie się połączenie do każdej z wysp, do której nie ma lotów bezpośrednich. Połączenia te są obsługiwane przez takie linie, jak: BWIA, Pan Am, ALM, Air Jamaica, Bahamas Air i Cayman Airways, co sprawia, że wyspy są niemal w

zasięgu ręki. Istnieją także dodatkowe połączenia pomiędzy wyspami obsługiwane przez LIAT i BWIA, które to linie zapewniają całą serię dobrze rozplanowanych skoków powietrznych z wyspy na wyspę...

Ktoś, kto według mnie jest Charlesem Fletcherem, podchodzi do stołu (Armstrong nie przerywa przemowy), klepie mnie w ramię i mówi "Cześć, Simpson", po czym dodaje "Do zobaczenia we Fleciku". Odchodzi w kierunku drzwi, gdzie czeka na niego atrakcyjna kobieta - wielkie cycki, blondynka, przylegająca do ciała sukienka, z pewnością nie sekretarka ani tym bardziej żona. Wychodzą razem z DuPlexu i wsiadają do czarnej limuzyny. Armstrong jeszcze je, wgryza się w idealnie pocięte kwadraciki cielęcej wątróbki i gada przez cały czas. Czuję się coraz bardziej ponuro.

- Turyści, którzy nie mogą pozwolić sobie na całotygodniowy urlop, mogą wykorzystać Karaiby jako idealne miejsce wypadów weekendowych. Linie Eastern Airlines stworzyły specjalny Klub Weekendowicza, który umożliwia podróż do wielu wysp karaibskich i pozwala odwiedzić najbardziej interesujące okolice po znacznie obniżonych cenach, co zresztą nie ma specjalnego znaczenia dla nas, lecz dla wielu korzystających

KONCERT

Wszyscy są bardzo spięci podczas koncertu, na który zaciągnął nas Carruthers. Jesteśmy w New Jersey, a na scenie gra jakiś irlandzki zespół o nazwie U2, który w zeszłym tygodniu był na okładce Time'a. Wykorzystujemy bilety kupione przez firmę dla grupy japońskich klientów, którzy w ostatniej chwili odwołali swój przyjazd do Nowego Jorku. Carruthersowi nie udało się (tak przynajmniej mówi) odsprzedać miejsc w pierwszym rzędzie. W skład naszej małej grupy wchodzi: Carruthers i Courtney, Paul Owen i Ashley Cromwell oraz Evelyn i ja. Gdy dowiedziałem się przed koncertem, że jedzie z nami Paul Owen, zadzwoniłem do Cecelii Wagner, dziewczyny Marcusa Halberstama, ponieważ Paul jest święcie przekonany, że to ja jestem Marcusem. Cecelia była wyraźnie zadowolona

z mojego zaproszenia (zawsze podejrzewałem, że jestem jednym z jej faworytów), jednak umówiła się wcześniej na przyjęcie (czarne krawaty) z okazji premiery nowego brytyjskiego musicalu Afggie/Mimo to wspomniała coś o lunchu w przyszłym tygodniu, a ja obiecałem zadzwonić do niej w przyszły czwartek. Dzisiaj miałem zjeść obiad w towarzystwie Evelyn, jednak już sama myśl o spędzeniu z nią dwóch godzin przy posiłku napawa mnie taką niemą zgrozą, że z przyjemnością poinformowałem ją o zmianie planu. Zapytała mnie, czy idzie z nami Tim Price i gdy odpowiedziałem, że nie, zastanawiała się przez chwilę, w końcu jednak przyjęła zaproszenie, ja natomiast odwołałem rezerwację, którą załatwiła dla nas Jean w H2(), nowej restauracji Clive'a Powella w Chelsea. Po wcześniejszym wyjściu z biura zdążyłem jeszcze pójść na aerobik.

Żadna z towarzyszących nam dziewczyn nie wydaje się specjalnie zachwycona koncertem. Zwierzyły mi się wszystkie (oczywiście nie niżej), że wcale nie chcą być tu, gdzie są, a gdy jechaliśmy limuzyną do jakiegoś miejsca o nazwie Meadowlands, Carruthers uspokajał nas tłumacząc, że Donald Trump jest wielkim fanem U2, a potem, nieco rozpaczliwie, powoływał się na przykład Johna Gutfreunda, który także kupuje ich płyty. Otwarto butelkę Cristala, potem następną. Odbiornik telewizyjny pokazuje konferencję prasową Reagana, ale na ekranie pojawiają się zakłócenia i nikt nie zwraca uwagi na prezydenta, oprócz mnie. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był ofiarom rekinów. Paul Owen zwrócił się do mnie per Marcus już cztery razy, dwukrotnie - ku mojej uldze - nazwał Evelyn Cecelia. Evelyn nawet tego nie zauważyła, ponieważ przez cały czas wpatrywała się w Courtney. Tak czy inaczej, nikt nie poprawił Owena i nie wydaje mi się, by ktoś miał zamiar zrobić to w przyszłości. Ja sam kilkakrotnie zwróciłem się do Evelyn używając imienia Cecelia (upewniwszy się uprzednio, że nikt nie podsłuchuje), jednak nienawiść do Courtney zaślepiła ją do tego stopnia, że nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Carruthers przez cały czas po wtarcza mi, że wyglądam wspaniale i chwali mój garnitur.

Evelyn i ja jesteśmy bez wątpienia najlepiej ubraną parą. Mam na sobie płaszcz z jagnięcej wełny, wełnianą marynarkę i wełniano-flanelowe spodnie, bawełnianą koszulę, kaszmirowy sweter w serek i jedwabny krawat - całość od Armaniego. Evelyn ubrana jest w bawełnianą bluzkę od Dolce & Gabbana, zamszowe pantofle od Yvesa Saint Laurenta, ręcznie malowaną spódnicę do pół łydki

od Adrienne Landau ozdobioną zamszowym pasem od Jill Stuart, rajstopy od Calvina Kleina, kolczyki z weneckiego szkła od Frances Patiky Stein, a w ręku trzyma białą różę, którą kupiłem w koreańskich delikatesach czekając na limuzynę Carruthersa. Luis założył dziś sportową marynarkę z jagnięcej wełny, sweter kardigan z kaszmiru-vicuny, diagonalne sztylpy, bawełnianą koszulę i jedwabny krawat - całość od Hermesa ("Wygląda jak wieśniak" szepnęła mi do ucha Evelyn; milcząc zgodziłem się z nią). Courtney ma na sobie bluzkę z potrójnie malowanego organzynowego jedwabiu, długą welwetową spódnicę z lamówką w kształcie rybiego ogona, emaliowane kolczyki z welwetowych wstążek od Jose i Marii Barrera, rękawiczki od Portolana i buty od Gucciego. Paul i Ashley są, jak sądzę, ubrani nieco przesadnie. Ashley ma nawet przeciwsłoneczne okulary, chociaż szyby w limuzynie są przyciemniane, a na zewnątrz zapada zmrok. Oprócz tego Ashley trzyma w ręku mały bukietik kwiatów, stokrotek, które dał jej Carruthers. Courtney nie zareagowała, ponieważ pochłaniają głównie chęć wydrapania oczu Evelyn, co w tej chwili wydaje mi się (pominawszy fakt, że Evelyn jest ogólnie ładniejsza od swojej przeciwniczki) niezłym pomysłem i nie miałbym nic przeciwko temu, żeby Courtney wprowadziła w życie swój plan. Courtney ma n i e-c o lepsze ciało, Evelyn ma za to ładniejsze cycki.

Koncert ciągnie się już od chyba dwudziestu minut. Nienawidzę muzyki na żywo, wszyscy wokół nas wstali z miejsc i wyją z aprobatą współzawodnicząc z ogłuszającym rykiem wydobywającym się ze ściany głośników zainstalowanych tuż nad nami. Jedyną przyjemność, jaką mam z faktu bycia tutaj, jest to, że Scott i Anne Smiley siedzą dziesięć rzędów za nami - mają gówniane, choć prawdopodobnie tak samo drogie miejsca.

Carruthers zamienia się fotelami z Evelyn, ponieważ chce porozmawiać ze mną o interesach. Nie słyszę ani słowa z tego, co mówi i zamieniam się miejscami z Evelyn, żeby porozmawiać z Courtney.

- Luis to szczywany lis- krzyczę. - Ale n i c nie podejrzewa.

- The Edge ubiera się u Armaniego - wrzeszczy pokazując na basistę.

- To n i e jest Armani - odkrzykuję. - To E m p o r i o.

- Nie - rozdziera się. - A r m a n i.

- Szarość jest przytłumiona, podobnie jak brąz i granat. Ostro wycięte klapy, delikatne kraty, groszki i paski: to wszystko Armani. Anie Emporio - krzyczę poirytowany jej nieznaną najprostszymi rzeczami i całkowitym brakiem wyczucia. Zasłaniam sobie uszy dłońmi. - Nie potrafisz dostrzec różnicy. Który z nich nazywa się The Ledge?*

- Chyba perkusista - odpowiada. - Tak myślę. Nie jestem pewna. Chce mi się palić. Gdzie byłeś zeszłej nocy? Jeśli powiesz mi, że z Evelyn, to cię zabiję.

- Perkusista nie ma nic od Armaniego - drę się. - Ani od Emporio, jeśli już o tym mowa. Absolutnie nic.

- Nie mam pojęcia, który jest perkusistą - krzyczy.

- Zapytaj Ashley - podpowiadam jej wrzaskiem.

- Ashley? - krzyczy przechylając się przez fotel Paula Owena i klepiąc Ashley w nogę. - Który z nich nazywa się The Ledge? - Ashley odkrzykuje coś, czego nie mogę zrozumieć. Courtney odwraca się do mnie i wzrusza ramionami. - Mówi, że nie może uwierzyć, że jest w New Jersey.

Carruthers pokazuje na migi, że chce zamienić się miejscami z Courtney, która gestem każe mu iść się wypchać i ścisnąć moje udo. Napinam twarde niczym skała mięśnie, a dłoń Courtney wyraża zachwyt i zdumienie. Luis nalega. Courtney wstaje i krzyczy do mnie: - Będą nam potrzebne jakieś narkotyki! - Kiwam głową. Wokalista Bono skrzeczy jakiś tekst, który brzmi mniej więcej tak: "Where the Beat Sounds The Same".* Evelyn i Ashley idą kupić papierosy, skorzystać z łazienki, znaleźć coś do picia. Luis siada obok mnie.

- Dziewczyny się nudzą - wrzeszczy mi do ucha.

- Courtney chce, żebyśmy rozejrzeli się za jakąś kokainą - krzyczę. - Wspaniale - odpowiada z grobową miną.

- Mamy gdzieś rezerwacje?

- W Brukseli - krzyczy spoglądając na swojego Rolexa. - Ale wątpię, czy zdążymy.

- Jeśli nie zdążymy - ostrzegam go - nie mam zamiaru iść gdzie indziej. Możecie odwiedzić mnie do domu.

- Z d a ż y m y - drze się.

- A jeśli nie, to może zjemy coś japońskiego - podpowiadam mu poddając się. - Na Upper West Side jest naprawdę dobry bar sushi. Nazywa się Ostrza. Szef kuchni pracował kiedyś w Isoito. Najlepsze noty u Zagata.

- Bateman, nienawidzę Japonii - wrzeszczy do mnie Carruthers zjedną ręką na uchu. - Małe, skośnookie skurwysyny.

- Co? - krzyczę. - O czym ty mówisz do cholery?

- Och, wiem, wiem - drze się i oczy wychodzą mu z orbit. - Oszczędzają więcej od nas i chociaż niczego sami nie potrafią wymyślić, wiedzą, kurwa mać, jak dobrać się, jak ukraść nasze pomysły, trochę je ulepszyć i wepchnąć je z powrotem w nasze pierdolone gardła!

Patrzę na niego z niedowierzaniem i po chwili odwracam głowę w kierunku sceny. Gitarzysta biega w kółko, a Bono maszeruje wzdłuż krawędzi estrady z wyciągniętymi ramionami. Ponownie spoglądam na Luisa, którego twarz jest purpurowa z wściekłości. Gapi się na mnie z szeroko otwartymi oczyma i śliną na wargach. Nic nie mówi.

-Jaki to ma d o c h o l e r y związek z Ostrzami? - pytam naprawdę zmieszany. - Wytrzymaj sobie usta.

- Dlatego właśnie nienawidzę japońskiej kuchni - odkrzykuje. -Sashimi. Kalifornijski zawijaniec. O J e e e z u... - Wsadza sobie palec do gardła i udaje, że rzyga.

- Carruthers... - przerywam i wpatruję się w jego twarz, jestem trochę wystraszony, nie pamiętam co chciałem powiedzieć.

- O co chodzi, Bateman? - pyta pochylając się ku mnie.

- Posłuchaj, gównie mnie to wszystko obchodzi - wrzeszczę. - Nie mogę uwierzyć, że nie załatwiłeś rezerwacji na późni ej. Będziemy musieli czekać!

- Co? - krzyczy nadstawiając ucha i osłaniając małżowinę dłonią, jak gdyby mogło mu to w czymś pomóc.

- Będziemy musieli c z e k a ć! - drę się jeszcze głośnie.

- Żaden problem - krzyczy. Wokalista wyciąga do nas rękę ze sceny, tak jakby chciał się przywitać. Gestem każe mu odejść. - To n i e problem? To nie jest próbie m? Nie, Luis. Mylisz się. To jest cholerny problem! -Rzucam okiem na Paula Owena, który wydaje się tak samo znudzony i zatyka uszy dłońmi. Mimo to rozmawia o czymś z Courtney.

- Nie będziemy musieli czekać - krzyczy Luis. - Obiecuję.

- Lepiej nie obiecuj, ty głupku - odkrzykuję, a potem dodaję: - Czy Paul Owen ciągle obsługuje rachunek Fischera?

- Nie chcę, żebyś się na mnie wściekał, Patricku - drze się rozpaczliwie Luis. - Wszystko będzie dobrze.

- Jezuu, przestań już - krzyczę. - Posłuchaj mnie uważnie: czy Paul Owen ciągle obsługuje rachunek Fischera?

Carruthers rzuca na niego szybkie spojrzenie. - Taa, chyba tak. Słyszałem, że Ashley ma grzybicę..

- Muszę z nim porozmawiać - krzyczę, podnoszę się i siadam na pustym fotelu obok Owena.

Ale gdy zajmuję miejsce, mój wzrok przykuwa jakieś niesamowite zdarzenie rozgrywające się właśnie na scenie. Bono zrobił kilka kroków wzdłuż estrady i odprowadził mnie do fotela obok Owena, po czym przyklęknął i zaczął wpatrywać się w moje oczy. Ubrany jest w czarne dżinsy (chyba od Gitano), sandały i skózaną kamizelkę, którą założył na gołe ciało. Jego skóra ma błądy odcień, spływa po niej pot. Widać, że nie ćwiczy, nie mogę dostrzec zarysu mięśni pod skórą, a oprócz tego jego klatka piersiowa pokryta jest lichym, rzadziutkim włosiem. Na głowie ma kowbojski kapelusz, a włosy spięte z tyłu w kitkę. Z jego ust wydobywa się jakiś żaloszny lament - z którego rozumiem tylko jedno zdanie: "Bohater jest jak owad na tym świecie" - a co gorsza na jego twarzy gości lekki, prawie niewidoczny, a mimo to irytujący uśmieszek, który staje się coraz

szerszy, coraz bardziej pewny siebie. Oczy Bono goreją, scena wybucha nagłą czerwienią i zupełnie niespodziewanie czuję przyływ emocji, jakieś tajemnicze olśnienie.

Serce zaczyna mi bić przyspieszonym rytmem, trudno mi w to uwierzyć, ale otoczył mnie jakiś niewidzialny zwój, którego koniec trzyma w rękach Bono. Publiczność znika gdzieś, muzyka zwalnia, staje się bardziej delikatna, jest tylko Bono, Bono na scenie i pusty stadion, zespół też się rozplynął...

Po chwili wszystko wraca do normy. Pojawia się publiczność, zespół i muzyka, która staje się coraz głośniejsza. Bono odwraca się zostawiając mnie roztrzęsionego, z mrowieniem w kończynach, z zaczerwienioną twarzą, bolesną erekcją pulsującą gdzieś w okolicy uda i z zaciśniętymi pięściami. Nagle wszystko zatrzymuje się, jakby ktoś wyłączył prąd, scena rozbłyskuje bielą. Bono jest teraz po drugiej stronie estrady i wszystko znika: i dziwne uczucie w sercu i podniecenie mrowiące w mózgu... Tak, teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem chcę dowiedzieć się o rachunku Fischera obsługiwanym przez Owena. Informacje te wydają mi się niezwykle istotne, ważniejsze niż sekretny związek, jaki połączył mnie z Bono, który teraz jest bardzo odległy i rozplywa się w powietrzu. Odwracam się do Paula.

- Hej - krzyczę. - I jak?

- Ci faceci... - pokazuje na członków obsługi technicznej zespołu, którzy stoją po drugiej stronie pierwszego rzędu, rozglądają się po tłumie i rozmawiają ze sobą. - Ci faceci pokazywali palcami Cecelię, Courtney i Ashley.

- Co to za jedni? - krzyczę. - Pracują u Oppenheimera?

- Nie - odkrzykuje Owen. - Wydaje mi się, że to techniczni, którzy rozglądają się za dupami, z którymi członkowie zespołu mogliby pobawić się w garderobach.

- Ach tak! - wrzeszczę. - Wyglądają, jakby pracowali u Barneya.

- Nie - odwrzaskuje. - Mówią na nich t r y m e r z y.

- Skąd wiesz?

- Mam kuzyna, który jest menadżerem zespołu All We Need of Hell -krzyczy.

- Twoja wiedza jest irytująca - mówię.

- Co? - wrzeszczę.

- Ciągłe zajmujesz się rachunkiem Fishera? - odkrzykuję.

- Taaa - skrzeczy. - Poszczyściło mi się, co, Marcus? -Jasne - krzyczę. -Jak go dostałeś?

- No cóż, miałem rachunek Ransoma, a potem wszystko jakoś samo się ułożyło - wzrusza ramionami, sprytny skurwysyn. - Wiesz, jak to jest.

- O rany! - krzyczę.

- Taa - odkrzykuje i odwraca się do mnie tyłem, żeby rozedrzeć się na dwie przygłupie grubaski z New Jersey, które palą na zmianę potężnego jointa: jedna z tych krów owinięta jest czymś, co, jak się domyślam, może być flagą irlandzką. - Czy mogłybyście zgasić to śmierdzące zielsko! Ono cuchnie!

- Chcę go mieć! - krzyczę patrząc na idealnie równy przedziałek Owena; nawet jego czaszka jest opalona.

- Co chcesz m i e ć? - pyta zdziwiony. - Peta?

- Nie. Nieważne - odkrzykuję. Boli mnie gardło, osuwam się na swój fotel i patrzę na scenę wypalonym wzrokiem obgryzając paznokieć kciuka i rujnując w ten sposób swój wczorajszy manikiur.

Wychodzimy y. koncertu po powrocie Evelyn i Ashley. Pędzimy limuzyną z powrotem na Manhattan, żeby zdążyć zarezerwować stół w Brukseli. Ktoś otwiera następną butelkę Cristala, Reagan ciągle przemawia w telewizji, Evelyn i Ashley opowiadała jak zostały zaczepione obok damskiej toalety przez dwóch porządkowych, którzy chcieli zaciągnąć je za scenę. Wyjaśniam im, kim byli ci ludzie i na czym polega ich praca.

- O mój B o ż e - dyszy Evelyn - chcesz mi powiedzieć, że miałam zostać w y t r y m o w a n a?

- Założę się, że Bono ma małego ptaka - mówi Owen wyglądając przez ciemną szybę. -Jak wszyscy Irlandczycy.

- Ciekawe czy na tym stadionie był bankomat? - pyta Luis.

- Ashley - krzyczy Evelyn. - Słyszałaś? Zostałybyśmy porządnie w y t r y-m o w a n e!
- Czy moje włosy są w porządku? - pytam.
- Napijesz się jeszcze Cristala? - zwraca się Courtney do Luisa.

RZUT OKA

NA CZWARTKOWE POPOŁUDNIE

jest około trzeciej, stoję obok budki telefonicznej na rogu jakiejs ulicy, gdzieś w centrum, nie mam pojęcia gdzie, wiem tylko, że cały się pocę, w głowie odzywa się tępym dudnieniem migrena, odczuwam potężny napad lęku i przeglądam kieszenie, szukając valium, xanaxa, resztek halcionu, czegokolwiek i znajduję tylko trzy wyblakłe nupriny i pudełeczko na leki od Gucciego, wrzucam wszystkie trzy pastylki do ust, popijam dietetyczną pepsi, choć nie mam pojęcia skąd ją wziąłem, nie umiałbym odpowiedzieć na to pytanie, nawet za cenę własnego życia. Zapomniałem, z kim jadłem dzisiaj lunch, co gorsza, nie wiem nawet gdzie. Czy był to Robert Ailes w Rynnach? A może Todd Hendricks u Urszuli - nowym bistro Philipa Duncana Holmesa w Tribece? Albo Ricky Worral i jedliśmy w Grudniu? Niewykluczone, że spotkałem się z Kevinem Weberem

w Kontrze w SoHo. Zamówiłem kanapkę z przepiórką i drożdżówkę z zielonymi pomidorami czy duży talerz endwii z sosem z mięczaków? - Boże, nic nie p a m i ę t a m - jęczę. Moje ubranie - Iniano-jedwabna sportowa marynarka, bawełniana koszula, lniane spodnie koloru khaki z zakładkami, całość od Matsu-dy, jedwabny krawat ze znakiem Matsudy i pasek kupiony w Coach Leatherware -jest mokre od potu, zdejmuję marynarkę i wycieram nią twarz. Telefon w budce dzwoni już po raz dziesiąty, ale nie mam pojęcia z kim chciałem rozmawiać, więc stoję dalej na rogu, z okularami Ray-Ban zawieszonymi na czole pod jakimś dziwnym, krzywym kątem i nagle słyszę słaby znajomy głos biegnący skądś po drucie - to Jean, która przekrzykuje w słuchawce hałas korka na Broadwayu. Tematem The Patty Winters Showdziś rano była aspiryna: Czy może ratować życie? -Jean:1 - krzyczę. - Halo, Jean? - Patrick? Czy to ty? - odkrzykuje. -H a l o? Jean, potrzebuję p o m o c y - wrzeszczę. - Patrick? - Co? - Dzwonił Jesse Forrest - mówi, - Ma rezerwację w Melrose dzisiaj o ósmej. Ted Madison i Jamie Conway chcą spotkać się z tobą na drinka u Harry'ego. Patrick? - pyta Jean. - Gdzie jesteś? -Jean? - wzdycham i wycieram nos. - Nie mam... - Och, dzwonił także Todd Lauder - mówi. - Nie, to znaczy Chris..., och nie, to był Todd Lauder. Tak, Todd Lauder. - Boże -jęczę rozluźniając krawat, sierpniowe słońce goreje nade mną. - I co mu powiedziałaś, ty głupia dziwko! - Nie, nie mówił, że będzie czekał naprzeciwno, Patricku. Rezerwacja jest w M e l r o s e. - Co ja robi ę? - krzyczę do słuchawki. - Gdzie jesteś? - pyta i po chwili: - Patricku? Co się dzieje? - Chyba nie dam rady, Jean - mówię krztuszając się -nie dam rady... dotrzeć do biura... - Dlaczego? - Wygląda na przygnębioną, a może jest po prostu zmieszana. - Wystarczy... powiedzieć... nie! - wrzeszczę. -

O co chodzi, Patricku? Nic ci nie jest? - pyta. - Przestali pierdolić tak... ponuro, J e e z u - krzyczę. - Patricku. Wybacz mi. To znaczy chciałam, miałam zamiar... powiedzieć... Wystarczy powiedzieć, nie, ale...- Odwieszam gwałtownie telefon

I wybiegam z budki, słuchawki walkmana na szyi ciąży mi niczym młyńskie kamienie (denerwuje mnie grająca w nich muzyka: Dizzy Gillespie), wyrzucam wal-kamana (na szczęście taniego) do najbliższego kosza na śmieci, a potem opieram się o kosz i dysze ciężko przewiązany w pasie tandetną marynarką od Matsudy, patrzę na ciągle grającego walkmana i czuję, jak słońce stapia mi żel na włosach; żel, który miesza się z potem spływającym po twarzy, czuję jego smak na wargach, okazuje się, że żel jest wyśmienity i nagle ogarnia mnie wilczy apetyt, przeciągam dłonią po włosach i liżę łapczywie palce ruszając w górę Broadwayu, ignorując staruszki, wymijając stojaki z reklamami, przechodząc obok sklepów z dzinsami, z których wylewa się muzyka, wylewa na ulicę, po której ludzie kroczą w rytm ostatniego przeboju Madonny ryczącej, że "życie jest tajemnicą, każdy musi walczyć sam..."; kurierzy na rowerach przemykają między samochodami, stoję na rogu i klnę na nich, mijają mnie ludzie, całkiem obojętni, nikt nie zwraca uwagi,

nawet nie udają, że n i e zwracają uwagi i fakt ten trochę mnie otrzeźwia, przynajmniej na tyle, że jestem w stanie podejść do najbliższego sklepu Conrana i kupić czajniczek do herbaty; lecz kiedy zacząłem się już cieszyć z powrotu do normalności i zwykłego życia, mój żołądek napina się i czuję tak potworne skurcze jelit, że wskakuję do pobliskiej bramy, chwytam się za brzuch i

pochylani zgięty wpół z bólu, który znika tak nagle, jak się pojawił; prostuję się i wbiegam do najbliższego sklepu ze sprzętem gospodarstwa domowego, żeby kupić cały komplet noży rzeźnickich, toporek i butelkę z kwasem solnym, po czym pędzę do sklepu ze zwierzętami, który znajduje się przecnicę dalej, gdzie kupuję klatkę i dwa białe szczury, które mam zamiar zamęczyć za pomocą noży i kwasu solnego, jednak później zostawiam klatkę ze szczurami w Pottery Barn, gdzie biorę świece, a może znowu czajniczek do herbaty? Teraz biegnę Lafayette pocąc się, jęcząc i rozpychając ludzi przed sobą, z ust cieknie mi piana, żołądek kurczy się w potwornych spazmach - być może jest to wina sterydów, chociaż wątpię - uspokajam się na chwilę i wchodzę do gristede, biegam wzdłuż półek, kradnę puszkę z szynką konserwową i całkiem opanowany wychodzę ze sklepu z puszką schowaną pod marynarką od Matsudy, idę dalej, przechodzę jedną przecnicę i chowam się w holu American Felt Building, otwieram puszkę kluczami od domu i nie zwracam uwagi na portiera - który najpierw patrzy tak, jakby skądś mnie znał, a potem, gdy zaczynam wypychać sobie do ust całe garście ciepławej, różowej szynki, którą wybieram z puszki palcami, i którą czuję pod paznokciami - grożącego, że zadzwoni po policję. Wychodzę stamtąd, jestem na ulicy i wyrzucuję całą szynkę, opieram się o plakat Nędzników wiszący na przystanku autobusowym i całuję w usta rysunek słodkiej twarzy Eponiny zostawiając brunatną smugę rzygów na jej delikatnym, dziewczęcym policzku, pod którym ktoś nabazgrał słowo LESBI-JA. Rozluźniam szelki, nie zwracam uwagi na żebraków, żebracy nie zwracają uwagi na mnie, jestem cały zlany potem, mam delirium. Po chwili trafiam znowu do centrum, do Tower Records, biorę się w garść i po raz tysięczny powtarzam pod nosem (nie wiadomo do kogo): "muszę oddać kasety, muszę oddać kasety", w końcu kupuję dwa egzemplarze mojego ulubionego kompaktu Bruce'a Willi-sa The Return of Bruno, po czym blokuję się w drzwiach obrotowych na całe pięć okrążeń i wreszcie wypadam na ulicę prosto w objęcia Charlesa Murphy'ego, który pracuje w Kidder Peabody, a może był to Bruce Braker od Morgana Stan-leya, n i e w a ż n e, w każdym razie mówi "Cześć, Kinsley", na co ja bekam mu prosto w twarz i czuję, że oczy uciekają mi w tył głowy, a zielonkawę rzygi wiszą mi u obnażonych kłóć; nie reaguje i mówi spokojnie "Do zobaczenia we Fleci-ku. Przyprowadź Severta, okay?"; piszczę i zaczynam się cofać, wpadam na stoisko z owocami przed koreańskimi delikatesami, na ziemię lecą góry jabłek, pomarańczy i cytryn, toczą się po chodniku, podskakują na krawężniku i rozbiegają po jezdni, gdzie rozjeżdżają je przejeżdżające taksówki, autobusy i ciężarówki;

ogarnięty delirium przepraszam właściciela, pokazuję wrzeszczącemu Koreańczykowi moją platynową kartę AmExa - chyba przez przypadek! - potem wyciągam dwudziestkę, którą natychmiast zabiera, a mimo to nie przestaje szarpać mnie za kłapy brudnej, wymiętej marynarki, w którą się wbiłem, patrzę prosto w jego skośnooką okrągłą gębę i nagle zaczynam śpiewać na całe gardło refren piosenki "Uderzył piorun" Lou Christiego. Uciekam przerażony i biegnę do domu, ale wszystko mi przeszkadza: ludzie, sklepy, knajpy, sprzedawca narkotyków na Trzynastej Ulicy, który oferuje mi strzał w żyłę, na co ja w zaślepieniu macham mu przed nosem banknotem pięćdziesięci dolarowym, on zaś rozdziawia gębę i mówi z ogromną wdzięcznością "Człowieku!", potrząsa moją ręką i wciska mi w dłoń pięć fiolek, które zjadam w całości na jego oczach, sprzedawca cracku gapi się na mnie i próbuje ukryć swój olbrzymi niepokój za wesołym uśmieszkiem, łapię go za gardło i pluję mu prosto w twarz (mój oddech śmierdzi): "Najlepszy silnik jest w BMW7,5(i)L", a potem pędzę do budki telefonicznej, gdzie bełkoczę do telefonistki, w końcu udaje mi się wykrztusić numer mojej karty kredytowej i po chwili rozmawiam z recepcją Xclusivu, gdzie odwołuję masaż, którego nigdy nie zamawiałem. Biorę się w garść najprostszym sposobem, jakim jest obserwacja własnych stóp obutych w mokasyny od A. Testonie-go, kopię przechodzące gołębie i nawet nie wiedząc kiedy, wchodzę do obskurnych delikatesów na Drugiej Alei. Ciągłe jestem zmieszany, zażenowany, spocony. Podchodzę do niskiej, grubej Żydówki, starej i szkaradnie odzianej - Słuchaj - mówię. - Nazywam się Bateman, mam tu rezerwację. Gdzie jest maitre d'? Znam Jackie Masona. - Żydówka wzdycha: - Może pan siadać. Tu nie trzeba rezerwacji. - Bierze menu i prowadzi mnie do okropnego stołu obok kibla, wyrywam jej kartę z ręki i biegnę do boks z przodu sali, nie mogę uwierzyć jak tanie jest tu jedzenie... - Czyja, kurwa, śnię? - Czuję, że zbliża się do mnie kelnerka, więc nawet na nią nie patrząc rzucam: - Hamburgera

z serem. Chcę hamburgera z serem i chcę, żeby był średnio słabo wysmażony. - Pan wybacz - mówi kelnerka. - Żadnych hamburgerów. Miejsce jest koszenie. - Nie mam pojęcia o czym, kurwa, bredzi, mówię więc: - W porządku. Daj mi k o s z e r b u r g e r a ale ma być z s e r e m: najlepiej Moneteray Jack, jak macie i... o Boże... -jęczę czując zbliżające się skurcze. - Nie ma sera, proszę pana - odpowiada. - K o s z e r... -Boże, to jest, kurwa, jakiś koszmar... jesteście pieprzeni g u d ł a j e? -mamrocze, a potem rzucam: - Biały, wiejski serek! Tylko przynieś go szybko! -Przyprowadzę kierownika - mówi. - Jak chcesz. A tymczasem przynieś mi coś do picia - syczę. - Tak? - pyta. - Kok... koktajl... waniliowy.... - Nie ma koktajli mlecznych. K o s z e r - mówi i dodaje szybko: - Przyprowadzę kierownika. -Nie, zaczekaj! - Co pan! Przyprowadzę kierownika. - Co tu się, kurwa, dzieje? - pytam i wszystko gotuje się we mnie. Trzaskam swoim platynowym AmExem o zatłuszczony stół. - Nie ma mlecznych koktajli K o s z e r - mówią jej grube wargi; wargi jednej z miliardów istot, jakie przewinęły się przez tę planetę. - Więc przynieś mi, kurwa, piwo słodowe... o smaku w a n i l i o w y m! -ryczę opluwając śliną całe menu. Patrzy na mnie. - Ż podwójną pianą! -dodaję. Odchodzi po kierownika. Po chwili widzę zbliżającego się do mojego stołu faceta, łyse odbicie kelnerki. Wstaję gwałtownie i krzyczę mu prosto w twarz: - Pierdolcie się w dupę wy pojebane zasrane parchy - i wybiegam na ulicę, gdzie YALE CLUB

- Jakie są wymagania dotyczące bezrękawników? - Van Patten zwraca się do wszystkich obecnych przy stole.
- Co masz na myśli? - McDermott marszczy brwi i wypija łyk Absolutu.
- Tak - dodaję. -Jaśniej.
- No cóż, czy jest to element garderoby n i e o f i e j a l n e j...
- I czy można go nosić z g a r n i t u r e m? - przerywam kończąc jednocześnie jego pytanie.
- Dokładnie. - Uśmiecha się.
- No cóż, według Bruce'a Boyera... - zaczynam.
- Zaczekaj - przerywa mi Van Patten. - Czy to ten, który pracuje u Morgana Stanleya?
- Nie - uśmiecham się. - Bruce nie pracuje u Morgana Stanleya.
- Czy to kolejny seryjny morderca? - pyta podejrzliwie McDermott, a po tem jęczy: - Nie mów mi, błagam, że to kolejny seryjny morderca, Bateman. Nie zniosę jeszcze jednego dewianta w tym towarzystwie.
- Ależ skąd, McD u p o, Bruce nie był mordercą - odpowiadam zwracając się do Van Pattena. Po chwili mówię do McDermotta: - To mnie naprawdę wkurwia.
- Ale to t y zawsze o nich mówisz - skarży się McDermott. - Opowiadasz o nich tak nonszalancko... jakbyś prowadził wykład... Chodzi mi o to, że gównie mnie obchodzi jakiś Syn Sama czy pojebany Dusiciel z Hillside, a nawet Ted Bundy i Pierzasty Łeb razem wzięci!
- Pierzasty Łeb? - pyta Van Patten. - Kto to jest Pierzasty Łeb? Wygląda mi na szczególnie niebezpiecznego.
- Chodziło mu o Skórzaną Twarz - mówię przez zaciśnięte zęby. - Skórzana Twarz. Należał do gangu odpowiedzialnego za Teksąską Masakrę Piłą Łańcuchową.
- Och tak - Van Patten uśmiecha się uprzejmie. - Oczywiście.
- Rzeczywiście był w y j ą t k o w o niebezpieczny - dodaję.
- Okay, idźmy dalej... Co zrobił Bruce Boyer? - nalega McDermott wzdychając i przewracając oczami. - Zastanówmy się... Obdzierał ludzi żywcem ze skóry? Głodził ich na śmierć? Rozjeżdżał walcem drogowym? Żywił nimi psy? Co? Powiedz!
- Chłopcy... - mówię kręcąc głową. Postanawiam zabawić się ich kosztem. -Zrobił coś znacznie gorszego...
- Na przykład? Zabierał ofiary na obiad do nowej restauracji McManusa? -pyta McDermott.
- Tak, to straszne tortury! - zgadza się Van Patten. - Byłeś tam? Jedno wielkie niechlujstwo, prawda?
- A czy jadłeś tam klopsa? - pyta McDermott.
- Klopsa? - Van Patten jest w szoku. - A co powiesz o wnętrzu? Co powiesz o pierdolonych o b r u s a c h?

- Pytam jednak czy jadłeś klopsy? - naciska McDermott.

- Oczywiście, że jadłem klopsy i młode gołąbki i marlina - oburza się Van Patten.

- Boże, zapomniałem o marlinie - jęczy McDermott. - Marlin z chili.

- Każdy przy zdrowych zmysłach, kto czytał recenzję Millera w Timesie, musi zamówić tam klopsa i marlina.

- Ale Miller się pomylił - dorzuca McDermott. - Tam jest po prostu niechlujnie. Quesadilla z papaja? Normalnie to doskonała potrawa, ale t a m, Jezu Chryste! - Gwiżdże i kręci głowę.

- Z a t a n i o - zauważa Van Patten.

- Strasznie tanio - zgadza się z nim McDermott. - A kruche ciasto z arbuzem.

- Panowie - kaszlę znacząco. - Wybaczcie. Nie chciałbym wam przeszkadzać, ale...

- Okay, okay, mów - odzywa się McDermott. - Opowiedz nam o Charlesie Mover.

- Bruce Boyer - poprawiam go. - Bruce jest autorem Elegancji, przewodnika po męskich ubraniach wysokiej jakości. - Po chwili dodaje na boku: - Nie, mój drogi Craig, w wolnych chwilach Boyer nie był seryjnym mordercą.

- I co nasz mały Bruce ma do powiedzenia? - pyta McDermott żując lód.

- Jesteś gburem. To wspaniała książka. Bruce wysunął hipotezę, że nie powinniśmy obawiać się nosić bezrękawnik do garnituru - mówię - Czy słyszałeś, że nazwałem cię gburem?

- Taa.

- A czy Bruce wspomina o tym, że bezrękawnik nie powinien rzucać się w oczy bardziej od garnituru? - podpowiada nieśmiało Van Patten.

- Owszem... - jestem trochę poirytowany tym, że Van Patten odrobił pracę domową, a mimo to pyta o radę. Mówię jednak spokojnie dalej: - Z garniturem w wąski prążek powinno się nosić bładobłękitny lub pieprzowo szary bezrękawnik. Garnitur w kratę wymaga żywszych kolorów.

- I p a m i ę t a j c i e - wtrąca się McDermott. - Zwykła kamizelka powinna być zawsze rozpięta na dole.

Rzucam McDermottowi surowe spojrzenie. Uśmiecha się, pije drinka i cmoka zadowolony z siebie.

- Dlaczego? - chce wiedzieć Van Patten.

- Tak każe tradycja - mówię patrząc na McDermotta. - Oprócz tego, tak jest wygodniej.

- Czy szelki ułatwiają dobre ułożenie kamizelki na ciele? - pyta Van Patten.

- Dlaczego? - zwracam ku niemu twarz.

- No cóż, ponieważ unika się... - przerywa wyraźnie szukając właściwego słowa.

- Utrudnień... - podpowiadam.

- Utrudnień związanych z klamrą paska - kończy McDermott.

- Jasne - mówi Van Patten.

- Należy także pamiętać... - McDermott znów mi przerywa...

-...pamiętać, że kamizelka powinna odpowiadać kolorem i stylem charakterowi garnituru; w żadnym razie nie wolno dobrać kamizelki do wzoru skarpetek czy krawata - kończy McDermott i uśmiecha się do mnie i Van Pattena.

- Myślałem, że nie czytałeś... tej książki - jękam się z wściekłości. - Wspomniałeś przed chwilą, że nie odróżniasz Bruce'a Boyera od... Johna Wayne'a Gacy.

- Przypomniało mi się - wzrusza ramionami.

- Posłuchaj - zwracam się do Van Pattena uznając technikę McDermotta wyprzedzania mnie o krok za całkowicie nie do przyjęcia. - Skarpetki w szkocką kratę z taką samą kamizelką nadają mężczyźnie złwyt wystudiowany wygląd.

- Tak sadzisz? - pyta.

- Owszem. Ubierając się w taki sposób, wyglądasz tak, jakbyś ś w i a d o-m i e stosował normy dotyczące stroju. - Nagle coś każe mi zwrócić się do McDermotta: - P i e r z a s t y Ł e b? Jak do cholery mogłeś zrobić ze Skórzanej Twarzy Pierzastego Łba!"

- Och, rozchmurz się, Bateman - mówi klepiąc mnie po plecach i masując szyję. - O co ci chodzi? Nie byłeś na shiatsu dziś rano?

- Poklep mnie tak raz jeszcze... - mówię z zaciśniętymi oczami, spięty i przygotowany do skoku - ...a zamiast ręki zostanie ci kikut.

- Hej, spokojnie maleńki - odpowiada McDermott cofając dłoń w udawanym przerażeniu. Obaj chichoczą jak idioci i przybijają górną piątkę. Nie mają pojęcia z jaką przyjemnością obciąłbym mu co trzeba... i dużo, dużo więcej.

Cała nasza trójka: David Van Patten, Craig McDermott i ja, siedzi w sali jadalnej Yale Club, dokąd wybraliśmy się na lunch. Van Patten ubrany jest w wełniano-krepowy garnitur w szkocką kratę od Kiizii Homo, koszulę od Brooks Brothers, krawat od Adirondack i buty od Cole-Hanna. McDermott ma na sobie blezer z jagnięcej wełny i kaszmiru, spodnie z flaneli i czesanej wełny od Ral-pha Laurena, koszulę i krawat t a k ż e od Ralpha Laurena, oraz buty od Brooks Brothers. Ja włożyłem dziś grubo tkany garnitur z wełny w parapetową kratę, bawełnianą koszulę od Luciano Barbery, krawat również od Luciano Barbery, buty od Cole-Haana i okulary z zerowymi szklami od Bauscha&Lomba. The Putty Winters Showdnś rano poświęcony był nazistom i - sam nie wiem dlaczego - bardzo mnie podniecił. W zasadzie nie podobały mi się ich wyczyny, z drugiej strony nie uważam ich działań za gorszące, podobnie zresztą jak większość zasiadającej w studiu publiczności. Jeden z nazistów - w przypływie (niezwykle rzadkim) dobrego humoru - zaczął zonglować grapefruitami. Tak mi się to spodobało, że usiadłem w łóżku i biłem mu brawo.

Pięć stołów dalej siedzi Luis Carruthers. Ubrany jest tak, jakby przez cały ranek spożywał żabie udka - ma na sobie niezidentyfikowany garnitur od jakiegoś francuskiego krawca. O ile się nie mylę, melonik leżący na podłodze obok krzesła Luisa, jest także jego własnością. Tylko Carruthers może pozwolić sobie na taki idiotyzm. Uśmiecha się do mnie, udaję, że go nie zauważam. Dziś rano trenowałem w Xclusive przez dwie godziny. Van Patten, McDermott i ja wzięliśmy sobie wolne popołudnie i po lunchu idziemy na masaż. Nie zamówiliśmy jeszcze posiłku, nie spojrzeliśmy nawet w menu. Po prostu pijemy. Początkowo Craig chciał zamówić butelkę szampana, lecz David potrząsnął gniewnie głową i powiedział "Nie ma mowy, nie ma mowy", poprosiliśmy więc o normalne drinki. Przyglądam się Luisowi, a gdy ten rzuca okiem na nasz stół, szybko odwracam głowę i wybucham głośnym śmiechem, choć McDermott i Van Patten nie mówią niczego zabawnego - co zresztą jest regułą. Opanowałem ten trick do tego stopnia, że mój śmiech brzmi naturalnie i nikt nie zwraca nań uwagi. Luis wstaje, wyciera usta serwetką, rzuca mi szybkie spojrzenie i wychodzi z sali. Przypuszczam, że poszedł do toalety.

- Jest pewna granica - mówi Van Patten. - Chodzi mi o to, że nie mam zamiaru spędzać wieczoru z Ciasteczkowym Potworem.

- Ciągle jednak spotykasz się z Meredith, więc... aaa, co za różnica? - pytam. Oczywiście nie słyszy.

- Ależ infantylizm jest milutki - mówi McDermott. - Bardzo milutki.

- Bateman? - pyta Van Patten. - Jakie jest twoje zdanie o dziecinadzie?

- Co? - mówię wstając.

- Cipcianiu, kapujesz? - McDermott. - Cipcianie jest pobudzające, com-preude?

Posłuchajcie - mówię wpychając krzesło pod stół. - Pragnę oznajmić warn, TK wyznaję światopogląd prorodzinny i antynarkotykowy. Wybaczcie.

Gdy odchodzę, Van Patten łapie przechodzącą kelnerkę i zaczyna do niej mówić, a jego głos staje się coraz bardziej odległy: - Czy to jest woda z kranu? Nie pijam wody z kranu. Przynieś mi Evian, dobrze?

Czy Courtney przestałaby mnie lubić, gdyby Luis nie żył? Jest to pytanie, któremu muszę stawić czoła. Co gorsza, nie przychodzi mi do głowy żadna prosta odpowiedź. Przechodzę powoli przez salę jadalną, macham ręką do kogoś, kto wygląda jak Vincent Morrison, potem do kogoś innego, kto - jak przypuszczam -jest kimś podobnym do Toma Newmana. Czy Courtney poświęciłaby mi więcej czasu - czasu, który spędza teraz z Luisem - gdyby ten opuścił scenę, nie istniał już jako alternatywa, gdyby był po prostu... m a r t y? Czy Courtney martwiłaby się, gdyby ktoś go zamordował? Czy zdołałbym ją pocieszyć i jednocześnie nie roześmiałym się jej prosto w twarz, czy nie zgubiłaby mnie moja własna złośliwość, nie wydała chęć dokuczenia? Czy to, że spotyka się ze mną za jego plecami podniecają w tym wszystkim najbardziej, a może chodzi jej o moje ciało lub rozmiar kutasa? Dlaczego - jeśli już o tym mowa - staram się sprawiać przyjemność Courtney? Jeśli podobają się jej wyłącznie moje mięśnie i waga chuja, to jest powierzchowną

dziwką. A l e dziwką pociągającą fizycznie, niemal doskonałą, jeśli chodzi o urodę - i 11) liczy się przede wszystkim, wszystko usprawiedliwia, no może z wyjątkiem nieprzyjemnego oddechu i żółtych zębów, które natychmiast dyskwalifikują każdy układ. Czy jeśli uduszę Luisa, to mój związek z Courtney rozpadnie się? Czy jeśli ożenię się z Evelyn, to będę musiał kupować jej suknie od Lacroix aż do rozwodu? Czy południowoafrykańskie siły kolonialne i czarni partyzanci wspomagani przez Sowietów doszli do pokojowego porozumienia w sprawie Namibii? A może świat byłby bezpieczniejszy, przyjemniejszy, gdyby poćwiartować Luisa na kawałki? M ó j świat z pewnością tak, więc dlaczego tego nie zrobić? Nie ma... żadnej drugiej strony medalu. W zasadzie jest już za późno na wszystkie pytania, bo stoję w męskiej toalecie, przeglądam się w lustrze - mam wspaniałą fryzurę - i sprawdzam uzębienie: równe, białe i lśniące. Puszczam oko do swojego odbicia, wciągam powietrze w[^] płuca i zakładam skórzane rękawiczki od Armaniego, a następnie ruszam w kierunku kabiny, którą zajmuje Luis. W toalecie nie ma nikogo. Wszystkie kabiny są puste, oprócz jednej na samym końcu. Przez nie domknięte, lekko uchylone drzwi słyszę takty jakiejś arii z Nefcowków gwizdanej przez Luisa. Gdy zbliżam się do kabiny melodia staje się głośniejsza, nie do wytrzymania.

Stoi odwrócony do mnie plecami. Ubrany jest w kaszmirowy blezer, wełniane spodnie w kratę, bawełniano-jedwabną białą koszulę i leje do muszli. Jestem pewien, że wyczuł ruch za sobą, wyraźnie sztywnieje i w tej samej chwili zamiera odgłos uryny uderzającej w wodę. Bardzo wolno unoszę ręce - mój ciężki od-

dech zagłusza teraz wszystkie inne dźwięki, obraz, jaki odbierają moje oczy, jest nieco rozmazany na skraju pola widzenia - ponad kaszmirowym blezerem i bawełniano-flanelową koszulą, obejmując dłońmi szyję Luisa w taki sposób, że moje kciuki stykają się na jego karku, a palce środkowe tuż nad jabłkiem Adama. Zaczynam ścisnąć z całej siły, lecz na tyle słabo, że Luis odwraca się przodem do mnie...bardzo, bardzo powoli... zjedną ręką na swoim swetrze Polo z wełny i jedwabiu, a drugą wyciągającą się ku mnie. Mruga przez sekundę, a w jego oczach maluje się zdziwienie - dokładnie tak jak tego pragnę. Chcę, żeby twarz Luisa zaczęła się kurczyć, żeby spurpurowiała, chcę, żeby wiedział, kto jest jego katem. Pragnę, by moja twarz była ostatnim obliczem, ostatnią rzeczą, jaką ujrzy przed śmiercią i mam zamiar krzyknąć przez zacisnięte zęby: "Pierdolę się z Courtney. Słyszysz? P i e r d o ł e się z Courtney! Cha-cha-cha". Chcę, żeby były to ostatnie słowa, ostatnie dźwięki, jakie usłyszy zanim zacznie charczeć, zanim zmiażdżę mu tchawicę i wszystko zniknie na zawsze. Luis wpatruje się we mnie, napinam mięśnie przygotowując się do walki, która ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu w ogóle się nie zaczyna.

Zamiast tego, dzieje się coś niezwykłego: Luis przez chwilę patrzy na moje nadgarstki jakby głęboko coś rozważał, a potem opuszcza głowę i... c a ł u j e moją lewą dłoń, podnosi nieśmiało oczy, a w jego wyroku jest... miłość i jakieś zawstydzenie. Wyciąga prawą rękę i dotyka czule mojego policzka. Cały tężeję, stoję z wyciągniętymi ramionami i nie wiem co robić, moje palce ciągle zaciskają się wokół szyi Luisa.

- Boże, Patricku - szepcze. - Dlaczego tutaj?

Dłoń Luisa pieści moje włosy. Spoglądam na ścianę kabiny, na której ktoś wydrapał napis: Edwin cudownie ciągnie druta i jestem jak sparaliżowany, nie mogę zmienić pozycji, wpatruję się w nagryzmolone słowa i z ogromnym zmieszaniem badam wzrokiem ramkę okalającą napis, szukam w niej jakiejś odpowiedzi, prawdy. Edwin? Co za Edwin? Potrząsam głową chcąc pozbyć się natrętnych myśli i przenoszę wzrok z powrotem na Luisa, który ma przylepiony do twarzy okropny, zakochany uśmiech. Próbuję ścisnąć go mocniej, wykrzywiam twarz z wysiłku i... nie m o g ę, dłonie nie chcą się zamknąć, wyciągnięte ramiona są absurdalnie bezużyteczne i sterczą jak patyki.

- Widziałem, jak na mnie patrzyłeś - dyszy Luis. - Zauważyłem twoje... -przetyka -...rozognione ciało.

Chce pocałować mnie w usta, robię krok do tyłu i niechcący zamykam drzwi kabiny. Opuszczam ręce, ale Luis natychmiast podnosi je z powrotem i kładzie sobie na szyi. Opuszczam je po raz drugi i zastanawiam się nad następnym posunięciem.

Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Nie wstydz się... - mówi.

Biorę głęboki oddech, zamykam oczy, liczę do dziesięciu, otwieram oczy i bezskutecznie próbuję podnieść ręce, żeby w końcu udusić Luisa. Moje członki ważą teraz tonę, nie mogę oderwać ich od bioder choćby o cal.

- Nie masz pojęcia od jak dawna marzyłem o tym... - wzdycha i drżąc pociera moje ramiona. - To wszystko zaczęło się na tym przyjęciu bożonarodzeniowym w Arizonie 206. Wiesz, wtedy, kiedy miałeś ten kaszmirowy krawat w paski od Armaniego.

Dopiero teraz zauważam, że Luis nie zapiął rozporka. Spokojnie i bez oporów ze strony ciała odwracam się i wychodzę, z kabiny. Idę w kierunku kranów, żeby umyć ręce, ciągle jednak mam na nich rękawiczki, których nie chcę zdejmować. Toaleta w Yale Club wydaje mi się najzimniejszym miejscem we wszechświecie. Diżę bezwolnie. Luis wlecze się za mną, dotyka mojej marynarki i pochyla się nad umywalką.

- P r a g n ę cię - mówi niskim, pedalskim szeptem. Powoli odwracam się do niego, by rzucić mu lodowate, pełne odrazy spojrzenie i nie wierzę własnym uszom, gdy dodaje: - T a k ż e...

Wybiegam z toalety i wpadam na - jak przypuszczam - Brewstera Whipple'a. Uśmiecham się do maitre'a d', potrząsam jego dłonią i pędzę do windy, która zamyka mi się przed nosem. Krzyczę, walę pięścią w drzwi i klęk na czym świat stoi. W końcu biorę się w garść zauważając, że maitre d' i kelner szepczą coś do siebie spoglądając znacząco w moją stronę. Prostuję się, uśmiecham nieśmiało i macham do nich ręką. Luis podchodzi do mnie zupełnie spokojnie, szczerzy zęby i jest z a c z e r w i e n i o n y, ja natomiast nie mogę się ruszyć i pozwalam mu zbliżyć się do siebie. Nie odzywa się.

- O... co... chodzi? - syczę w końcu.

- Dokąd idziesz? - pyta lekko rozdrażniony.

- Muszę... muszę... - potykam się i rozglądam po zatłoczonym klubie. Po chwili przenoszę wzrok na wkurwiającą, pożądliwą twarz Luisa. - Muszę oddać kasety - kończę dźgając palcem przycisk windy. Tracę cierpliwość i odchodzę w kierunku stołu.

- Patricku - krzyczy za mną. Odwracam się. - C z e g o?

- Zadzwoń do ciebie - szepcze z takim wyrazem twarzy, jakby chciał mnie z a p e w n i ć, że mój sekret jest bezpieczny, że nikomu go nie zdradzi.

- O mój Boże - duszę się, drżę na całym ciele i siadam w końcu przy stole całkowicie pokonany, w rękawiczkach na dłoniach. Jednym haustem wypijam resztkę wodnistego J&B z lodem. Gdy tylko usiadłem, Van Patten pyta: - Hej, Bateman, jak się powinno nosić spinkę do krawata?

- Spinka nie jest koniecznym elementem garderoby, którą nosi się do pracy, jednak pomaga osiągnąć schludny, poprawny wygląd. Nie powinna zanadto rzucać się w oczy, ani tym bardziej odwracać uwagi od krawata. Najwłaściwsze są niewielkie złote spinki, które umieszcza się w dolnej części krawata pod kątem czterdziestu pięciu stopni w kierunku dolnej krawędzi.

ZABICIE PSA

Dzwoni Courtney. Jest zbyt naćpana Elaviiem, żeby spotkać się ze mną na porządnym obiedzie w Żurawiach - nowej restauracji Kitty Oates Sanders w Gra-mercy Park - gdzie mamy zarezerwowane miejsca od zeszłego tygodnia dzięki Jean, mojej sekretarce. Jestem w kropce. Żurawie miały doskonałe recenzje (jedną w piśmie New York, drugą w The Nation), ale nie skaiżę się i nie mam zamiaru przekonywać Courtney, żeby zmieniła zdanie, ponieważ mam masę roboty: muszę przejrzeć dwie teczki z aktami i obejrzeć The Patty Winters Show, który nagrałem dziś rano. Sześćdziesiąt minut o kobietach, które przeszły mastekto-mię. O siódmej trzydzieści, gdy jadłem śniadanie przed wyjściem do biura, nie miałem dość siły, żeby obejrzeć ten program, lecz teraz po całym dniu, po obijaniu się w pracy z powodu zepsutej klimatyzacji, po wyczerpującym lunchu z Cun-ninghamem w Odeonie, po kolejnej awanturze w pojebanej duńskiej pralni, w której nie potrafią usunąć plam z krwi z marynarki Soprani, po oddaniu zaległych kaset, co kosztowało mnie fortunę i po dwudziestominutowym staniu w kolejce do Stainnastera, zmęźniałem. Wydarzenia te wzmocniły mnie i jestem gotowy stawić czoła problemom omawianym w programie.

Dwa tysiące skłonów i trzydzieści minut skakaniu w salonie - wszystko to mimo dwóch godzin spędzonych w sali gimnastycznej - Wurlitzer ryczy w kółko "The Lion Sleeps Tonight". Po zakończeniu ćwiczeń ubieram się, chcę wyjść po zakupy do D'Agostino: zakładani dzinsy od Armaniego, białą koszulę Polo i sportową marynarkę także od Armaniego. Zaczესuję do tyłu włosy używając żelu Thompsona. Na dworze mży, dlatego wciągę wodoodporne sznurowane półbuty od Manolo Blahnika. Do skórzanej dyplomatki Epi od Luisa Vuittona (za 3.200 dolarów) wkładam trzy noże i dwa pistolety. Jest zimno i nie chcę spierdolić sobie manikiura, więc wsuwam dłonie w irchowe rękawiczki od Armaniego. Na końcu wkładam zapinany na pas trenz z czarnej skóry od Gianfranca Ferre-go; kosztował mnie cztery tysiące dolarów. Delikatesy D'Agostino są blisko mojego domu, mimo to biorę ze sobą discmana, w którym mam maxi-singel Bon Jovi "Wanted Dead or Alive". Chwytam za drewnianą rączkę kaszmirowy parasol od Bergdorfa Goodmana (trzysta dolarów na wyprzedży) i wydjmuję go z nowego stojaka zainstalowanego w garderobie obok drzwi. Wychodzę.

Po pracy trenowałem w Xclusive, a gdy wróciłem do domu zacząłem bawić się w obsceniczne telefony do młodych dziewcząt z Dalton, których numery wybierałem ze spisu skradzionego w biurze administracji, do którego włamałem się w zeszły czwartek. -Jestem korporacyjnym łupieżcą - szeptałem lubieżnie w słuchawkę bezprzewodowego telefonu. - Zawiadamuję tajnym wykupem akcji. I co na to powiesz? - zawieszałem głos, po czym zaczynałem ciamkać, ssać i chrząkać jak obłąkana świnia. - Co ty na to, dziwko? - Większość z nich była z całą pewnością przerażona, co sprawiło mi ogromną przyjemność, pozwoliło na utrzymanie potężnej, pulsującej erekcji przez cały czas trwania rozmów. Wszystko wyjęło w łeb, gdy jedna z dziewcząt, Hilary Wallace, zapytała spokojnie: - Tato, czy to ty? - Mój entuzjazm szlag trafił. Rozczarowany zadzwoniłem jeszcze pod parę numerów, lecz nie wkładałem już serca w rozmowy, przeglądałem jednocześnie pocztę i w końcu odłożyłem słuchawkę w połowie zdania, gdy natknąłem się na list od Cliftbrda - faceta, który pomaga mi u Armaniego - informujący mnie, że w butik na Madison odbyła się zamknięta wyprzedaż... przed d w oma tygodniami! Przyszło mi do głowy, że to jeden z portierów zatrzymał list, żeby mnie wkurwić, co nie zmienia faktu, że straciłem pierdoloną w y p r z e d a ż! Boleję nad tym niepowodzeniem błądząc po zachodniej stronie Central Parku w okolicy Siedemdziesiątej Szóstej, Siedemdziesiątej Piątej Ulicy i nagle uderza mnie tragiczny fakt, że świat jest strasznym, okrutnym miejscem.

Ktoś, kto wygląda dokładnie tak samo jak Jason Taylor - czarne, zaczesane do tyłu włosy, dwurzędowy, granatowy płaszcz z kaszmiru z bobrowym kołnierzem, czarne skórzane buty, Morgan Stanley - przechodzi obok mnie pod świecącą jasno latarnią i kiwa głową. Ściszę discmana i słyszę jak mówi "Cześć, Kevin". Czuję unoszący się w powietrzu zapach Grey Flannel i nie zwalniając kroku oglądam się za nim. Jest bardzo podobny do Taylora, właściwie to może być Taylor, ciekawe, czy spotyka się jeszcze z Shelby Phillips? Nagle potykam się niemal o włóczęgę leżącego na ulicy, rozciągniętego w wejściu do opuszczonej restauracji - knajpy o nazwie Amnezja, którą Tony McManus stworzył dwa lata temu. Okazuje się, że jest to absolutnie porąbana czarna kobieta, która powtarza w kółko niczym jakąś buddyjską mantrę: "Daj pieniędzy proszę pomóż mi daj pieniędzy proszę pomóż mi panie". Próbuję wytłumaczyć jej korzyści płynące ze stałej pracy - nie chcę być nieuprzejmy i proponuję jej zajęcie w multikinie Cine-plex Odeon - i jednocześnie zastanawiam się po cichu, czy nie otworzyć dyplomatki i nie wyciągnąć noża albo pistoletu. W końcu jednak stwierdzam, że kobieta jest zbyt łatwym łupem, bym mógł się czuć w pełni usatysfakcjonowanaiw, każę jej więc iść do diabła i włączam discmana w sam raz na krzyk Johna Bon Jovi: "Ciągłe jest tak samo, tylko nazwy się zmieniają... ". Idę dalej i po chwili zatrzymuję się przy bankomacie, z którego biorę trzysta dolarów sam nie wiem po co. Wszystkie banknoty są szeleszczącymi, świeżo wydrukowanymi dwudziestkami.

Wsuwam je ostrożnie do portfela ze skóry gazeli starając się nie pognieść żadnego banknotu. Na Columbus Circle zauważam żonglera ubranego w trenz i cylinder. Człowiek Guma -jak każe się nazywać - bywa tutaj popołudniami i występuje przed niewielkim, znudzonym tłumem gapiów. Węszę w nim zwierzyne, jest przeciwnikiem godnym mojego gniewu, postanawiam jednak, że dziś

moim celem stanie się ktoś o przynajmniej średnim poziomie umysłowym. Gdyby Człowiek Guma był mimem, bez wątpienia byłby już martwy.

Wyblakłe plakaty z Donaldem Trampem na okładce 7/meawiszaw oknach kolejnej opuszczonej restauracji, która kiedyś nazwała się Palaze. Widok Do-nalda napawa mnie otuchą, podchodzę do D'Agostino, stoję przed wejściem i spoglądam do wnętrza sklepu. Odczuwam niesamowitą potrzebę zrobienia zakupów, przejścia wydłuż wszystkich półek, zapelnienia koszyka butelkami balsamicznego octu i opakowaniami morskiej soli, poszperania pomiędzy warzywami i owocami rolnymi, przyjrzenia się odcieniom czerwonej papryki, żółtej papryki, zielonej papryki i fioletowej papryki, rozważenia smaku i kształtu pierniczków, które chcę kupić, jednak ciągle pragnę czegoś głębszego, nieokreślonego, co powinienem przedsięwziąć, ruszam więc w ciemność i chłód ulicy od zachodniej strony Central Parku. Dostrzegam odbicie swojej twarzy w przyciemnionych szybach limuzyny zaparkowanej przed Cafe des Artistes i bezwolnie poruszam ustami, mój język jest wilgotniejszy niż zazwyczaj, a oczy otwierają się i zamykają w sposób zupełnie niekontrolowany, jakby rząd/iły się własnymi prawami. W ulicznej poświacie widzę wyraźnie swój cień na mokrym chodniku, widzę dłonie w rękawiczkach poruszające się wydłuż bioder i zamykające się w pięści jedna po drugiej, dostrzegam palce, które prostują się i rozczapierzają w szpony i muszę przystanąć na Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, żeby trochę się uspokoić. Pocieszam się szeptem, opowiadając sobie o przyjemnościach płynących z zakupów u D'Agostino, rezerwacji w Dorsii, nowego kompaktu Mike'a and the Mechanics, wreszcie z całej siły powstrzymuję się przed daniem sobie w mordę.

I Tlicą nadchodzi stary pedał ubrany w kaszmirowy golf, kaszmirowo-wełnia-ny fular Ascot i pilśniowy kapelusz, prowadząc na smyczy brązowo-białego shar-pei wężącego przy ziemi splaszczonej mordą. Zbliżają się, mijają jedną latarnię, potem drugą; jestem już na tyle spokojny, że mogę zdjąć z głowy słuchawki disc-inana i niepostrzeżenie otworzyć dyplomatkę. Stoję pośrodku wąskiego chodnika obok białego BMW 320i, a pedał z shar-pei są coraz bliżej, nie dalej niż kilkanaście stóp ode mnie. Mam okazję, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie: facet jest dobrze po pięćdziesiątce, nalany, z obscenicznie zdrowo wyglądającą, zaróżowioną cerą bez jednej zmarszczki - co najlepsze, pod nosem ma absurdalny wąsik, który uwydatnia jego kobiecy wygląd. Wpatruje się we mnie uważnie z pytającym uśmiechem, a shar-pei obwąchuje drzewo i worek ze śmieciami stojący obok BMW.

- Ładny piesek - mówię wesoło i pochylam się w kierunku kundla.

Shar-pei patrzy na mnie niechętnie i zaczyna warczeć.

- R i c h a r d ! - mężczyzna przywołuje bydlę do porządku i rzuca mi przepraszające spojrzenie. Wydaje mi się, że pochlebia mu moje zainteresowanie psem i przede wszystkim to, że zatrzymałem się i zdecydowałem na rozmowę. Stary skurwysyn - przysięgam! - czerwieni się z uciechy i już na pewno świerzbi go w kroku tandetnych, luźnych, wełwetowych spodni, które, jak przypuszczam, pochodzą od Ralphi Laurena.

- Nic nie szkodzi - mówię i delikatnie głaszczę psa stawiając teczkę na chodniku. - To shar-pei, prawda?

- Nie, to shar-p e i - poprawia mnie sepleniąc nazwę w sposób, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem.

- Shar-pei? - mówię starając się naśladować jego wymowę i ciągle głaszczę aksamitny kark i grzbiet psa.

- Nie - śmieje się zalotnie. - Shar-p e i. Akcent na ostatnią sylabę. - Akd-tent na odtanią dtylabę.

- No cóż, nieważne - stwierdzam prostując się i uśmiechając po chłopięcemu. - Piękne zwierzę.

- Och, dziękuję - odpowiada rozanielony. - Kosztował fortunę.

- Naprawdę? Dlaczego? - pytam przykucając i drapiąc psa za uchem. - Czołem Richard. Jak ci leci, kolego.

- Nie u w i e r z y ł b y pan - mówi pedał. - Proszę spojrzeć na te worki pod jego oczami: trzeba je podnosić chirurgicznie co d w a lata. Jeździmy z Richar-dem do Key West na Florydzie, gdzie pracuje jedyny weterynarz, jakiemu jestem w stanie zaufać. Dwa małe cięcia, dwa małe szwy i

Richard odzyskuje swój wspaniały wzrok i wygląd, prawda kochany? - Mężczyzna kiwa głową z aprobatą widząc jak pieszczę jego ulubieńca.

- Tak - mówię. - Jest cudowny.

Przez długą chwilę obserwuję psa. Właściciel wpatruje się we mnie: coś go dręczy, nie może już wytrzymać i odzywa się przerywając milczenie: - Pan wybacz... - zaczyna. - Naprawdę nie śmiałem...

- Ależ proszę... Proszę mówić śmiało - zachęcam go.

- O rany, to takie niemądre... - kryguje się i chichocze. Wybucham śmiechem. - Dlaczego?

- Czy... pan jest modelem? - pyta poważnie. - Przysięgłbym, że widziałem pana w jakimś piśmie czy na pokazie...

- Nie, nie jestem - odpowiadam zgodnie z prawdą. - Ale dziękuję za komplement.

- No cóż, wygląda pan jak gwiazdor filmowy. - Macha pedalską dłonią i dodaje: - Sam nie wiem...

- a w końcu sepleni - klnę się na Boga... - sam do siebie: -...och, przestali, niemądry, narobisz sobie ambarasu...

Pochyliam się udając, że podnoszę teczkę. Moje ramie i górna połowa ciała są ukryte w cieniu i pedał nie widzi jak wyciągam nóż: najostrzejszy, z ząbkowa-nym ostrzem. Jednocześnie pytam go ile zapłacił za Richarda, mój głos brzmi naturalnie i bardzo rzeczowo. Nie zadaję sobie trudu sprawdzenia, czy na ulicy są jacyś przechodnie i jednym szybkim ruchem podnoszę psa chwyciwszy go za grzbiet lewą ręką. Przyciskam go do słupa latarni. Richard kłapie zębami próbując ugryźć rękawiczkę, zaczyna warczeć, ale trzymam go już za gardło, duszę wyrrywając się szczeknięcia i słyszę odgłos miażdżonej tchawicy. Wbijam ostrze ząbkowanego noża w brzuch Richarda i jednym szybkim ruchem otwieram jego bezwłosy bebecz, z którego sika brązowa krew. Pies drapie i odpycha mnie łapami, z jego wnętrza wypływają niebieskie i czerwone jelita, rzucam go na chodnik, a pedał stoi jak skamieniały ściskając w ręku smycz. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie zdążył nawet mrugnąć, jest w szoku, patrzy na mnie z przerażeniem i powtarza: "O mój Boże, o mój Boże", a shar-pei wije się i czołga w kółko, wali bezradnie ogonem o trotuar i skomli. Obwąchuje i liże swoje własne wnętrzności tworzące mały pagórek na chodniku - niektóre jelita ciągle są połączone z jego brzuchem. W końcu zaczyna drgać przedśmiertnie i okręca się wokół smyczy, ja natomiast odwracam się do właściciela, pcham go z całej siły na mur okrwawioną dłonią w rękawiczkę i tnę go na chybił trafił po twarzy i tułowiu, by wreszcie otworzyć mu gardło dwoma krótkimi cięciami. Struga czerwono-brązowej krwi rozpryskuje się na białym BMW 320i zaparkowanym przy krawężniku uruchamiając alarm w samochodzie. Z szyi pedała wylewają się cztery purpurowe fontanny. Odgłos bulgoczącej krwi. Mężczyzna pada na chodnik, drży jak oszalały, krew leje się strumieniami. Wycieram nóż o marynarkę pedała i wrzucam do dyplomatki, po czym spokojnie odchodzę. Muszę mieć pewność, że stara ciota jest martwa i nie udaje nieboszczyka (czasami tak robią), dlatego dwukrotnie strzelam mu w twarz z pistoletu z tłumikiem i odwracam się, żeby pójść w swoją stronę przy czym poślizguję się w kałuży krwi wypływającej z jego głowy. Idę ulicą i wychodzę z ciemności, a kilka chwil później pojawia się - tak jak w kinie - przed sklepem D'Agostino. Sprzedawca zaprasza mnie gestem do środka. Kupuję pudełko płatków owsianych płacąc przeterminowanym bonem, a dziewczyna przy kasie - czarna, przygłupia, powolna krowa - nie zauważa mojego oszustwa, nie dostrzega daty na bonie, mimo że płatki są jedyną rzeczą, jaką biorę. Wychodząc ze sklepu czuję lekki i przelotny dreszcz podniecenia,. Otwieram pudełko i wpycham całą garść płatków do ust próbując jednocześnie gwizdać piosenkę "Normalnym być". A potem otwieram parasol i ruszam pędem w dół Broadwayu, zawracam i biegnę w górę ulicy, a potem znowu w dół, drę się jak dziki, pędzę w rozpiętym płaszczu, którego poły powiewają za mną jak peleryna.

DZIEWCZYNY

Wieczorem irytujący obiad w Pustej Przestrzeni z lekko nawiedzoną Courtney, która bez przerwy pyta mnie o spisy potraw w uzdrowiskach, karierę George'a Busha i tofutii - prawdziwy nocny koszmar. Ignoruję ją całkowicie (z mizernym skutkiem), przerywam jej w połowie zdania - Strona Szósta, Jackie Onas... - i macham na kelnera, po czym zamawiam zupę rybno-rakową na zimno z kukurydzą, cytryną, orzeszkami ziemnymi i koprem, cesarską sałatkę z aruguli, klopsy z miecznika

z musztardą z kiwi i przypominam sobie - nie bez pomocy kelnera - że złożyłem identyczne zamówienie już wcześniej. Spoglądam na obsługującego nas faceta i nawet nie staram się udawać zdziwienia, uśmiecham się ponuro i mówię: - Owszem, zamawiałem już wcześniej, prawda? - Dania z Florydy, jakie tu serwują wyglądają imponująco, ale porcje są małe i drogie, choć na stołach umieszczono -jako dodatkową atrakcję - naczynia z kredkami. (Courtney rysuje na papierowej serwetce oczy Laury Ashley, ja natomiast oddaję wiernie wnętrze brzucha i klatki piersiowej Moniki Lustgarden. Courtney zachwycona moim rysunkiem pyta, co przedstawia, na co odpowiadam: - Aaa... arbuza). Rachunek, który płacę platynową kartą American Express, wynosi dobrze ponad trzysta dolarów. Courtney wygląda nieźle w wełnianym żakiecie od Donny Karan, jedwabnej bluzce i kaszmirowo-wełnianej spodniej'. Ja włożyłem dziś smoking -bez żadnej wyraźnej przyczyny. The Patty Winters Showtego ranka poświęcony był nowej dyscyplinie sportowej, która nazywa się rzucanie karlem.

Jedziemy limuzyną do Nell, gdzie mamy spotkać się na drinka z Meredith Taylor, Louise Samuelson i Piercem Towersem. Każę Courtney wysiąść przed barem, ponieważ -jak tłumaczę - muszę załatwić jakieś narkotyki i obiecuję, że wrócę przed północą. - Ocli, pozdrów ode mnie Nell - rzucam nonszalancko

- Patricku, dlaczego nie kupisz czegoś na d o l e, jeśli już musisz, na Boga Ojca... -jęczy.

- Obiecałem komuś, że kupię u n i e g o. Paranoja. Rozumiesz? - jęczę w odpowiedzi.

- Kto jest paranoikiem? - pyta mrużąc oczy. - Nie rozumiem.

- Kochanie, substancja, którą sprzedają na dole, jest tylko odrobinę słabsza od słodzika Nutra Sweet - tłumaczę jej. - Przecież wiesz.

- Nie mieszaj m n i e do tego, Patricku - ostrzega.

- Wejść proszę do środka i zamów mi Fosterą, okay?

- Dokąd naprawdę jedziesz? - pyta w końcu podejrzliwie. -Jadę do... Noja - odpowiadam. - Kupuję kokę u Noja.

- Ale N o j jest szefem kuchni w Leżakach - skrzeczy, gdy wypycham ją z limuzyny. - Noj nie sprzedaje narkotyków. Jest kucharze m!

- Nie rób scen. Courtney - wzdycham pchając dłońmi jej plecy.

- Więc nie okłamuj mnie co do Noja - krzyczy i nie chce wysiąść z samochodu. - Noj jest szefem kuchni w Leżakach. Słyszysz, co mówię?

Patrzę na nią ze zdumieniem. Na moją twarz pada światło lamp zawieszonych nad wejściem do Nell.

- Chciałem powiedzieć Fiddler - przyznaję w końcu potulnie. -Jadę załatwić coś u Fiddlera.

-Jesteś niemożliwy - mamrocze wysiadając z limuzyny. - Z tobą poważnie jest coś nie w porządku.

- Zaraz wracam - krzyczę za nią, zatraskuję drzwi auta i wybucham szalonym śmiechem zapalając jednocześnie cygaro. - Choć na twoim miejscu nie dałbym za to g ł o w y.

Każę szoferowi jechać do dzielnicy pakowni mięsa, na zachód od Nell, w pobliżu bistra Florent. Mam zamiar rozejrzeć się za jakąś prostytutką. Dwukrotnie objeżdżamy cały kwartał - prawdę mówiąc spędziłem tutaj całe m i e-s i ą c e szukając odpowiedniej dziwki - i w końcu znajduję ją na rogu Washington i Trzynastej. Jest szczupłą, młodą blondynką, wygląda wulgarnie, lecz nie jak kurewka do towarzystwa; i co najważniejsze, jest b i a ł a - rzecz niezwykle rzadka w tych stronach. Ubrana jest w obcisłe, obcięte na dole szorty, biały podkoszulek i tani, skórzany żakiet. Nad lewym kolanem ma bliznę, oprócz tego jej skóra jest nieskazitelnie biała, nawet na twarzy, co podkreślają mocno uszminkowane na różowo usta. Na murze pustego magazynu z czerwonej cegły stojącego za prostytutką, ktoś wypisał wielkimi na cztery stopy, krwawymi literami słowo MIĘCHO. Kształt liter i pusta przestrzeń między nimi wzbudzają we mnie jakieś ukryte pragnienie. Nad magazynem, niczym teatralna dekoracja, wisi bezksiężycowe niebo, które po południu było ciężkie od chmur, a teraz się przetało.

Limuzyna przejeżdża obok dziewczyny. Przez przyciemnione szyby widzę jej zbliżenie - wydaje mi się bardziej biała niż przedtem, włosy wyglądają na ufarbowane, a jej twarz jest z bliska młodsza niż przypuszczałem. Jest jedyną białą, jaką dzisiaj zauważyłem i może dlatego - bez względu na to czy jest to prawda, czy nie - wydaje mi się wyjątkowo czysta. Z łatwością można by

ją wyjąć za jedną z dziewczyn z uniwersytetu wracającą do domu po spotkaniu w Marsie; za dziewczynę, która przez całą noc piła Morską Bryzę tańcząc w rytm nowego przeboju Madonny; dziewczynę, która być może pokłóciła się z chłopakiem... kimś o imieniu Angus czy... Pokey; dziewczynę, która idzie do Florenta na plotki, zamówi koktajl, może cappuccino lub szklanę Evian... W przeciwieństwie do większości kurew w tej dzielnicy udaje, że nie zauważa zatrzymującej się przed nią limuzyny, której silnik pracuje na wolnych obrotach. Rozgląda się nonszalancko i nie daje po sobie poznać, ile w jej życiu może zmienić zwykła limuzyna.

Gdy z boku samochodu otwiera się z cichym szumem okno, dziewczyna uśmiecha się i patrzy gdzieś w dal. Rozmowa zajmuje nam niecałą minutę.

- Nie widywałem cię tutaj - mówię.

- Kiepsko patrzyłeś - odpowiada zupełnie spokojnie.

- Chciałabyś obejrzeć moje mieszkanie? - pytam włączając światło z tyłu limuzyny, tak żeby mogła przyjrzeć się mojej Warzy i smokingowi, który mam na sobie. Rzuca szybkie spojrzenie do wnętrza auta, omiata mnie wzrokiem i znów patrzy w dal. Wyciągam portfel ze skóry gazeli.

- Nie wolno mi - mówi wpatrując się w ciemną przestrzeń między budynkami po drugiej stronie ulicy. Gdy odwraca do mnie głowę, jej wzrok pada na studencki banknot, który trzymam w dłoni. Nie pyta mnie co robię, nie pyta czego od niej chce, nie pyta nawet czy jestem gliną, tylko zabiera pieniądze i daje mi czas na przeformułowanie pytania: - Chcesz iść ze mną do domu, czy nie? - powtarzam z uśmiechem.

- Nie wolno mi - upiera się, ale spogląda raz jeszcze na długi, czarny samochód, banknot, który chowa do kieszeni i włączę wlokącego się w kierunku limuzyny z kubkiem w brudnej wyciągniętej ręce, i dodaje z wysiłkiem: - Ale mogę zrobić wyjątek.

- Bierzesz American Express? - pytam wyłączając światło w samochodzie.

Wpatruje się w ciemną ścianę, jakby czekała na znak od niewidzialnej postaci. Przenosi wzrok na moją twarz, a ja powtarzam: - Czy honorujesz American Express? - Spogląda na mnie jak na wariata, a ja uśmiecham się bezsensownie i otwieram dla niej drzwi. - Żartuję. Wskakuj. - Kiwa głową do kogoś po drugiej stronie ulicy. Sadzam ją w głębi ciemnego auta, zatrzasnę drzwi i wciskam zamek.

Jesteśmy u mnie. Christie bierze kąpiel (nie znam jej prawdziwego imienia, nie pytam o nie, kazałem jej natomiast reagować tylko wtedy, gdy zwrócę się do niej używając imienia Christie), a ja dzwonię do agencji towarzyskiej Cabana Bi i używając swojej złotej karty kredytowej American Express zamawiam kobietę, blondynkę, która obsługuje pary. Dwukrotnie powtarzam adres i podkreślam, że pani ma być b l o n d y n k ą. Facet po drugiej stronie, jakiś stetryczały makaroniarz, zapewnia mnie, że przed upływem godziny pod moimi drzwiami pojawi się blondynka.

Czyszczę zęby nićmi dentystycznymi i przebieram się w jedwabne szorty bokerskie z kolekcji Polo i bawełniany podkoszulek bez rękawów od Billa Blas-sa, po czym wchodzę do łazienki, gdzie Christie leży na plecach w wannie, sącząc białe wino z kieliszka Steubna na cienkiej nóżce. Siadam na marmurowej krawędzi wanny i wlewam do wody ziołowy olejek kąpielowy Monique Van Frere obserwując ciało zanurzone w mlecznej kąpeli. Przez długą chwilę nie mogę opanować myśli, w mojej głowie pojawiają się setki niesmacznych pomysłów -

twarz dziewczyny jest w zasięgu moich rąk, z taką łatwością mógłbym ją zgnieść. Czuję, jak wzbiera we mnie i opada chęć, by ją zaatakować, ukarać sam nie wiem za co. Mija kilka sekund i już spokojny zwracam się do niej: - Pijesz bardzo dobre chardonnay.

Nie odpowiada. Zaciskam dłoń na jej małej, dziewczęcej piersi i mówię: -Chcę, żebyś umyła srom. Patrzy na mnie wzrokiem siedemnastolatki, a potem spogląda na swoje ciało zanurzone w wannie. Wzrusza lekko ramionami i odstawia kieliszek na marmurową krawędź, po czym przesuwając dłoń po rzadkich, jasnych, włosach rosnących poniżej jej gładkiego jak porcelana brzucha. Lekko rozchyła nogi.

- Nie - mówię cicho. - Od tyłu. Uklękni. Znów wzrusza ramionami.

- Chcę widzieć - wyjaśniam. - Masz bardzo ładne ciało - mówię i przynaglę ją gestem.

Przewraca się na brzuch i klęka unosząc pośladki nad wodę. Przesiadam się na drugą stronę wanny, żeby lepiej widzieć pizdę, której dotyka namydloną dłonią. Przesuwam ręką po jej poruszającym

się nadgarstku w stronę odbytu, który rozchylam palcem z odrobiną olejku kąpielowego na opuszkę. Dziura obkurcza się sama z siebie, a Christie wzdycha. Wysuwam palec i wpycham go w wypiętą niżej pizdę. Są tam teraz dwa palce, mój i jej, poruszające się zgodnym rytmem w tę i z powrotem. Christie jest wilgotna w środku i używam jej własnego śluzu, żeby ponownie wsunąć środkowy palec w jej odbyt. Teraz jest znacznie łatwiej, zatapiam w niej palec aż do samego końca. Christie oddycha ciężko i sama wpycha się na moją dłoń, przez cały czas pocierając palcami pizdę. Bawimy się tak dosyć długo, w końcu przerwa nam portier, który dzwoni i oznajmia, że przyjechała Sabrina. Każę Christie wyjść z wanny i wytrzeć się, wybrać sobie jakiś szlafrok - każdy, oprócz Bijan - z garderoby i powitać naszego gościa w salonie, gdzie umawiamy się na drinka. Przechodzę do kuchni i nalewam kieliszek wina dla Sabriny.

Sabrina niestety nie jest blondynką. Stoję zaszokowany w drzwiach i po długiej chwili wpuszczam ją do środka. Jej włosy mają brązowy odcień, są jasne, ale nie jasnobłond. Fakt ten wyprowadza mnie z równowagi, ale nie pokazuję tego po sobie, ponieważ Sabrina jest bardzo ładna - nie tak młoda jak Christie, ale nie wygląda na mocno zużytą. Innymi słowy, jest chyba warta tych pieniędzy (nie mam pojęcia dokładnie ile), które płacę jej za każdą godzinę pobytu u mnie. Uspokajam się, przechodzi mi złość, a Sabrina zdejmuje płaszcz, pod którym ukrywa ciało laskojada ubranego w czarne, obcisłe spodnie i kwiecisty top. Na nogach ma pantofle na wysokim obcasie z ostrym czubkiem. Z ogromną ulgą prowadzę ją do salonu i sadzam na białej, puchowej sofie i nie pytając czy ma ochotę na drinka, przynoszę jej kieliszek białego wina i podstawkę pod szkło

z hotelu Mauna Kea na Hawajach. Z głośników sączy się muzyka -/.Nędzników w broadwayowskim wykonaniu. Po chwili dołącza do nas Christie, która wyszła z łazienki ubrana w aksamitny szlafrok od Ralpia Laurena. Ma zaczesane do tyłu jasne włosy. Wygląda jeszcze bielej niż przedtem (dopiero co wyszła z wanny) i sadzam ją obok Sabriny - kiwają do siebie głowami na powitanie. Siadam naprzeciw sofy na krześle z drewna tekowego z chromowymi dodatkami od Nor-diana. Postanawiam, że powinniśmy się poznać zanim przejdziemy do sypialni, przerwani więc długą, nieprzyjemną ciszę kaszlnięciem i zadaję im kilka pytań.

- Tak więc - zaczynam i zakładam nogę na nogę. - Czy chciałbyście wiedzieć co robię I' Wpatrują się we mnie przez długą chwilę. Na ich twarzach pojawiają się sztuczne uśmiechy. Spoglądają po sobie, po czym Christie niepewnie wzrusza ramionami i mówi cicho: - Nie.

Sabrina uśmiecha się i włącza do rozmowy: - Nie, rzeczywiście nie.

Patrzę na nie przez dobrą minutę, przekładam nogę z jednej na drugą i wzdycham bardzo poirytowany: - No cóż, pracuję na Wall Street. U Pierce'a & Pierce'a.

Długa cisza.

- Czy słyszaliście o tej firmie? - pytam.

Milczenie. W końcu odzywa się Sabrina: - Czy to ma jakiś związek z Mays... albo Macy's?

Zastanawiam się przez chwilę, a potem pytam: - Mays?

Rozważa moje pytanie przez dobrą minutę i wreszcie mówi: - Taa, magazyn z obuwiem. Czy P&P to nie jest sklep z butami?

Patrzę na nią groźnie.

Christie wstaje i ku mojemu zaskoczeniu podchodzi do wieży stereo. - Masz naprawdę ładnie mieszkanie... Paul. - Przegląda płyty kompaktowe: są ich setki, stoją w równych szeregach na białych, dębowych półkach ułożone w porządku alfabetycznym. - Ile za nie zapłaciłeś?

Wstaję i nalewam sobie kolejny kieliszek Akacji. - Mówiąc szczerze, to nie twój interes Christie, ale zapewniam cię, że nie było tanie.

Przechodzę do kuchni i zauważam po drodze, że Sabrina wyciąga papierosy z torebki. Wracam do salonu i kręcę głową, gdy sięga po zapalniczkę.

- Żadnego palenia - mówię jej. - Nie w tym mieszkaniu.

Uśmiecha się, macha przepraszająco ręką i wsuwa papierosa do pudełka kiwając ze zrozumieniem głową. Biorę z kuchni tackę z czekoladkami i częstuję Christie.

- Truffle Varda.

Patrzy niemo na tacę, a potem grzecznie kręci głową. Przechodzę do Sabriny, która uśmiecha się i bierze trufkę. Z niepokojem patrzę na jej kieliszek, który jest ciągle pełny.

- Nie mam zamiaru was upić - mówię jej. - Ale chcę, żebyś wiedziała, że nie pijesz bardzo dobrego chardonnay.

Odstawiam tacę z truflami na stolicek do kawy ze szklanym blatem od Palazzettiego i siadam w fotelu, nakazując Christie gestem, by zajęła miejsce na sofie. Siedzimy milcząc i słuchając Nędzników. Sabrina dokładnie przeżuwa trufkę i bierze następną.

I znów do mnie należy przerwanie milczenia: - Czy któraś z was była zagranicą? - Niemal natychmiast zdaję sobie sprawę, jak głupio zabrzmiało to pytanie i jak fatalnie można je zinterpretować. - To znaczy w Europie?

Spoglądają po sobie, jakby chciały przesłać jedna drugiej jakieś tajemnicze sygnały, po czym Sabrina kręci przecząco głową, a po chwili Christie idzie w jej ślady.

Mija kolejna minuta ciszy i znów zadaję pytanie: - Czy któraś z was była w college'u, a jeśli tak, to w jakim?

Za odpowiedź muszą mi wystarczyć źle maskowane nerwowe błyski w ich oczach, postanawiam więc skorzystać z okazji i zaprowadzić je do sypialni, gdzie każę Sabrinie zatańczyć dla mnie i Christie podczas zdejmowania ubrania w świetle halogenowych lamp. Wyciągam koronkowy peniuar od Christiana Diora i ozdobną halkę z luźnymi majtkami i rzucam je Sabrinie. Zdejmuję z siebie wszystko, oprócz ogólnosportowych tenisówek Nike. Christie zrzuca szlafrok od Ralphi Lauren i staje przede mną całkiem naga, z wyjątkiem jedwabno-lateksowego szala od An-geli Cummings, którym obwiązuję ostrożnie jej szyję. Na dłonie wkładam jej zamszowe rękawiczki z kolekcji Glorii Jose, które kupiłem na wyprzedaży u Berg-dorfa Goodmana.

Leżymy teraz we trójkę na łóżku. Christie klęczy z głową wysuniętą w stronę ściany i wypina do góry pośladki, ja natomiast siedzę na niej okrakiem, jak na psie zwrócony plecami do jej głowy. Opieram kolana o materac, mam połowiczną erekcję i spoglądam na Sabrinę wpatrzoną z determinacją w rozwartą dupę Christie. Sabrina uśmiecha się cierpiennie, oblizuje wargi i robi sobie dobrze palcami, po czym przesuwając dłonią po ustach, jakby malowała je błyszczącym. Rozszerzam dłońmi dupę i pizdę Christie i każę Sabrinie przysunąć się bliżej i powąchać oba otwory. Twarz Sabriny pochyla się ku pośladkom Christie, która doświadcza ciepła moich rąk w obu dziurach. Każę Sabrinie przysunąć się jeszcze bliżej i powąchać mi palce, które wpycham jej do ust, i które ssie jak wygłodniała. Drugą ręką głaszczę biodro Christie i jej wilgotną cipkę wiszącą ciężko (od śluzu) pod rozwartym, napęczniałym odbytem.

- Powąchaj - mówię do Sabriny, która podsuwa nos pod dupę Christie. Mój kutas sterczy' teraz wyprostowany, masuję go dłonią nie pozwalając mu opaść.

- Najpierw poliz jej pizdę - zwracam się do Sabriny, która posłusznie rozsuwa wargi Christie i zaczyna ją lizać jak pies, głaszcząc jednocześnie łechtaczkę.

Następnie unosi głowę do odbytu i liże go w ten sam sposób. Christie jęczy głośno niczego nie udając i wpycha dupę w twarz Sabriny, pcha się prosto na jej język, który dokładnie penetruje dziurę. Przyglądam się temu zafascynowany i zaczynam masować łechtaczkę Christie szybkimi ruchami dłoni. Christie dosłownie skacze po twarzy Sabriny i krzyczy: - Idzie, idzie, już jest! - i ciągnie się za sutki podczas długiego, dobrze oddanego orgazmu. Nie wiem czy nie udaje, ale podoba mi się to co robi, dlatego nie biję jej ani nic z tych rzeczy.

Zmęczony utrzymywaniem równowagi na grzbiecie Christie, opadam na materac i leżę na plecach, umieszczając twarz Sabriny nad sztywnym, nabrzmiałym chujem, którego wsuwam jej do ust pomagając sobie dłonią. Masuję się, a Sabrina ssie żołądź. Przyciągam Christie do siebie, ściągając jej rękawiczki i zaczynam całować ją w usta, mocno, bardzo mocno, liżę ich wnętrze, wpycham głęboko język, odsuwam nim jej własny i trafiając wreszcie do gardła. Christie wsadza sobie palce w pizdę, która jest jeszcze tak mokra, że wnętrze jej ud wygląda jak wysmarowane czymś śliskim i oleistym. Spycham Christie w dół, by pomogła Sabrinie ssąć chuja. Zmieniają się teraz ssąc i liżąc żołądź i całą długość kutasa, po czym Christie zabiera się za nabrzmiałe, obolałe od pożądania jaja przypominające dwie małe śliwki. Liże je przez chwilę, a potem wsadza cały worek do ust, masuje go i ssie delikatnie i rozdziela jaja językiem. Po chwili Christie wraca do chuja, którego ciągle liże

Sabrina. Zaczynają się całować mocno w usta tuż nad czubkiem mojego kutasa, ślinią go i masują dłońmi. Christie masturbuje się przez cały czas, wkłada już trzy palce do pochwy, zwilża łechtaczkę własnymi sokami i jęczy. Podnieca mnie to do tego stopnia, że łapię ją w pasie i umieszczam jej pizdę nad swoją nwarzą, na której z radością siada. W środku jest czysta, różowa, wilgotna i nabrzmiała, jej łechtaczka wygląda jak opuchnięta, wszystko nabiegłe krwią. Pizda Christie wisi nad moją głową, wpycham w nią twarz, smakuję językiem, delektuję się smakiem, wsuwam palce w jej dupę. Sabrina ciągle zajęta jest moim chujem, masuje jego podstawę, reszta znajduje się w jej ustach. Wreszcie siada na mnie, opierając kolana po obu stronach mojej klatki piersiowej. Zdzieram z niej halkę i majtki, tak by jej dupa i pizda stanęły otworem przed Christie, której poleceni przytłumionym głosem: - Liż, ssij tę łechtaczkę - co oczywiście czyni.

Jest to dosyć niewygodna pozycja dla nas wszystkich, więc bawimy się tak nie dłużej niż dwie, trzy minuty, co wystarcza, by Sabrina miała orgazm tuż przed twarzą Christie, która z kolei D~ze pizdą o moje usta i ma orgazm nade mną. Muszę powstrzymać jej zamykające i otwierające się uda, chwytam ją mocno za nogi, bo niewiele brakowało a złamałyby mi nos podskokami. Jestem jedyną osobą, której nie miała jeszcze orgazmu, Sabrina nie wysila się specjalnie nad moim chujem, więc wyciągam go z jej ust i każę na nim usiąść. Wchodzę w nią zbyt łatwo - pizda jest mokra, za dużo w niej śluzu i śliny Christie, w ogóle nie czuję

żadnego tarcia. Ściągam szal z szyi Christie, wyciągam chuja z Sabnny i rozszerzam jej nogi, po czym wycieram cipę do sucha i to samo robię z kutasem. Potem znów zaczynam ją pieprzyć i nie przeżywam lizania Christie, która po kilku minutach ma kolejny orgazm. Dziewczyny są zwrócone do siebie twarzami -Sabrina siedzi na mym chuju, Christie na mej twarzy. Po chwili Sabrina pochyła się i zaczyna ssać i głaskać niewielkie, lecz jędrne i pełne cycki Christie, która odwzajemnia się jej gorącym francuskim pocałunkiem w usta. Liżę i jem ją coraz gwałtowniej, moja broda i szczeka pokryte są sokami Christie, które natychmiast wysychają i spływa po nich następna fala śluzu i wilgoci.

Spycham Sabrinę z chuja i kładę ją na plecach z głową zwieszoną z łóżka. Potem kładę na niej Christie w pozycji sześćdziesiąt dziewięć. Tyłek Christie jest wysoko w górze. Wciągam na palec kondom i z pomocą zaskakująco niewielkiej ilości wazeliny rozluźniam jej odbyt na tyle, żebym mógł wsunąć w środek chuja. Sabrina liże pizdę Christie, wsadza w nią palce, ssie nabrzmiałą łechtaczkę i od czasu do czasu chwytając moje jaja, ścisną je lekko, drażni mój odbyt poślinionym palcem. Christie jest pochylona nad pizdą Sabriny, która szeroko rozłożyła nogi, tak szeroko jak tylko możliwe. Christie wpycha język w wilgotną cipę, ale nie trwa to zbyt długo, bo przerywa jej kolejny orgazm, podnosi głowę i patrzy na mnie, a po jej twarzy spływają soki z pizdy. - Wyjeb mnie, już mi dobrze, liż, liż, o Boże, już mi dobrze - krzyczy, co dodatkowo mnie podnieca i sprawia, że zaczynam walić ją w dupę naprawdę z całych sił. Sabrina liże jej pizdę wiszącą tuż nad jej twarzą, po której spływa wilgotny śluz. Wyciągam kutasa z dupy Christie i wsadzam go Sabrinie do ust, po czym wsuwam go w rozwartą pizdę i po kilku minutach pieprzenia czuję, że zbliża się orgazm. Sabrina nie przestaje lizać mnie po jajach i kilka sekund przed tym jak eksploduję w pizdę Christie, rozszerza mój tyłek i wpycha mi język w odbyt, który zaciska się na niej - dzięki czemu mój orgazm jest dłuższy. Sabrina zaczyna jęczeć i też ma orgazm, bo Christie tuż po orgazmie zaczęła lizać pizdę Sabriny. Przyglądam się temu wszystkiemu pochylony nad plecami Christie. Dyszę, a Sabrina unosi biodra prosto w twarz drugiej dziewczyny, ale nie mogę już na to patrzeć, muszę się położyć. Opadam zmęczony na materac. Ciągłe jestem twardy, mój lśniący chuj pulsuje obolały od wytrysku, zamykam oczy i czuję drżenie i słabość w kolanach.

Budzę się, gdy któraś z nich przypadkowo dotyka mojego nadgarstka. Otwieram oczy i ostrzegani je, by nie dotykały Rolexa, którego nie zdjąłem przed pójściem do łóżka. Leżą spokojnie obok mnie, każda po jednej stronie, czasami dotykają moich piersi, niekiedy przesuwają dłońmi po mięśniach brzucha. Pół godziny później znów jestem twardy. Wstaję i przechodzę do zbrojowni, gdzie obok pistoletu do wstrzeliwania gwoździ, leży wyprostowany i zaostrzony wieszak na ubrania, zardzewiały nóż do masła, zapalniczka z baru Gotham oraz niedopałek cygara. Odwracam się całkiem nagi z wystającą niczym drąg erekcją i rozpoście-

ram przed nimi moje skarby, szepcząc chrapliwie: -Jeszcze nie skończyliśmy... -Godzinę później niecierpliwie odprowadzam je do drzwi. Już ubrane, szlochają i krwawią, lecz obie są sowicie opłacone. Jutro Sabrina będzie kulala na lewą nogę. Christie obudzi się prawdopodobnie z podbitym okiem i głębokim zadrapaniem na pośladkach - efekt użycia wieszaka. Obok mojego łóżka leżą zmięte, pokrwawione chusteczki higieniczne Kleenex i puste opakowanie po włoskiej soli z mikroelementami, którą ukradłem u Deana& Deluki.

ZAKUPY

Na liście moich współpracowników, którym muszę kupić świąteczne prezenty znajdują się: Victor Powell, Paul Owen, David Van Patten, Craig McDermott, Luis Carruthers, Preston Nichols, Connolly O'Brien, Reed Robinson, Scott Montgomery, Ted Madison, Jeff Duvall, Boris Cunningham, Jamie Conway, Hugh Turnbull, Frederick Dibble, Todd Hamlin, Muldwyn Burner, Ricky Hendricks i George Carpenter. W zasadzie mógłbym wysłać Jean, żeby kupiła prezenty za mnie, ale każę jej podpisać, ostemplować i wysłać trzysta artystycznych pocztówek z grafiką Marka Kostabi, a następnie wyszukać dla mnie wszystkie informacje na temat rachunku Fishera, którym zajmuje się Paul Owen. W tej chwili spaceruję po Madison Avenue. Wcześniej spędziłem niemal godzinę na bezmyślnym wpatrywaniu się w pustkę klatki schodowej sklepu Ralpha Laurena na Siedemdziesiątej Drugiej. Gdy oprzytomniałem, obejrzałem kilka kaszmirowych kamizelek. Czułem głód i pustkę, bezskutecznie domagałem się domowego adresu jasnowłosego laskojada pracującego za ladą. Otrząsnąłem się i wybiegłem ze sklepu wrzeszcząc na całe gardło: "Pójdźcie do mnie, o wierni!" Przed chwilą skłamałem jakiegoś włóczęgę skurczonego przy wejściu do magazynu o nazwie Ear-Karma. Żebrak trzymał w ręku tabliczkę, na której był napis: GŁODNY I BEZDOMNY... POMÓŻCIE PROSZĘ, BÓG ZAPŁAĆ. Teraz - sam nie wiem dlaczego - idę Piątą w kierunku Saksa próbując sobie przypomnieć czy przeładowałem kaset)- w magnetowidzie i nagle ogarnia mnie przerażenie: po raz trzydziesty kto r y ś nagrywam coś na Ciasnej dziurze Pameli. Xanax nie przynosi ulgi. Saks wzmaga jeszcze moją panikę.

... pióra i albumy fotograficzne, stojaki do książek i lekkie torby, elektryczne szczotki do butów i ogrzewane wieszaki do ręczników i srebrne termoodporne karafki i przenośne kolorowe telewizory wielkości dłoni ze słuchawkami, klatki dla ptaków i świeczniki, wiklinowe maty na stół, piknikowe kosze z pokrywką i wiaderka do lodu, olbrzymie koronkowe serwetki i parasole i srebrne podstawki pod piłki do golfa z monogramem i węglowe filtry i lampy na biurko i butelki perfum, szkatułki na biżuterię i swetry i koszyki do przechowywania czasopism i pudełka, przenośne torby biurowe, przybory piśmiennicze, szaliki, segregatory, książki adresowe, kalendarze w kształcie torebek.

Przed Bożym Narodzeniem muszę: (1) załatwić rezerwację w Dorsii w piątkowy wieczór o ósmej i zjeść obiad z Courtney; (2) zdobyć zaproszenia na hożo narodzeniowe party Trumpa na jachcie tegoż; (3) zgromadzić wszystkie możliwe informacje o tajemniczym rachunku Fishera obsługiwanym przez Paula Owena; (4) obciąć piłą głowę laskojada i wysiać ją ekspresem do Robina Barkera: tego głupiego skurwysyna z Salomon Brothers i (5) przeprosić Evelyn w taki sposób, żeby nie domyśliła się, że ją przepraszam. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był kobietom, które wyszły za homoseksualistów. Chciałem zadzwonić do Courtney i ostrzec ją - co za żart! - lecz w końcu rozmyśliłem się i nie bez pewnej satysfakcji zacząłem wyobrażać sobie oświadczyzny Luisa Carruthersa, które Courtney skromnie przyjmie i koszmarny miesiąc miodowy tych dwojga. Klnę na włóczęgę trzęsącego się w przenikliwej mżawce na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Piątej, po czym podchodzę bliżej i czule ściskając go za policzki wybucham głośnym śmieciem. Jakież cudne iskierki migoczą w jego oczach! Jakież wesołe dołeczki zdobią jego policzki!" Chór Armii Zbawienia wyje nierówno "Wesele Świata". Macham do kogoś, kto wygląda dokładnie jak Duncan McDonald, a potem chowam się u Bergdorfa.

... kaszmirowe krawaty i kryształowe dzbanki na wodę, serwisy i zegary biurowe z termometrem, barometrem i higrometrem, elektryczna książka adresowa z kartami połączeń i kieliszki do koktajli, wieszaki i zestawy do deserów, karty pocztowe i lustra i zegary pod prysznic i fartuszki i swetry i torby sportowe i butelki szampana i porcelanowe kwietnik i prześcieradła kąpielowe z monogramem i minikalkulatory z kursami obcych walut i książki adresowe w srebrze i przyciski do

papieru z rybką i papeterie i korkociągi i płyty kompaktowe i piłki tenisowe z monogramem i pedometry i kubki do kawy...

Spoglądam na Rolex'a kupując emulsję oczyszczającą, skórę w stoisku Clini-que u Bergdorfa; chcę się upewnić, czy mam dość czasu na dalsze zakupy, ponieważ o siódmej jestem umówiony na drinka z Timem Severtem w Princeton Club. Przed pójściem do pracy trenowałem przez dwie godziny i w zasadzie powinien teraz być na masażu (mam obolałe mięśnie od wyjątkowo wyczerpującego reżimu ćwiczeń, jaki sobie narzuciłem) lub u kosmetyczki (co prawda byłem u niej wczoraj), jednak w nadchodzącym tygodniu jest zbyt wiele koktajli, na które muszę pójść, dlatego najlepiej będzie, jeśli załatwię wszystkie zakupy już teraz i będę miał to z głowy. Przed F. A. O. Schwarzem wpadam na Bradleya Simpso-na z P&P, który ubrany jest w garnitur z czesanej wełny w szkocką kratę z ostro zakończonymi kłapami od Perry Ellisa, popelinową koszulę od Gitinan Brothers,

jedwabny krawat Savoy, chronometr z paskiem z krokodylej skóry od Breila, bawełniany płaszcz od Paula Smitha i pilśniowo-futrany kapelusz od Paula Stuarta. Ellis mówi do mnie "Hej, Davis", na co ja - z niezrozumiałych powodów -zaczynam wymieniać imiona wszystkich ośmiu reniferów Świętego Mikołaja w porządku alfabetycznym. Gdy kończę, Perry uśmiecha się i rzuca: "Słuchaj, dwudziestego jest party bożonarodzeniowe w Nekenieh, będziesz tam?" Uśmiecham się i zapewniam go, że będę w Nekenieh dwudziestego, a odchodząc kiwam głową (sam nie wiem do kogo), po czym odwracam się i krzyczę do Ellisa: "Ty chuju, chciałbym patrzeć jak z d y c h a s z, s k u r w y s y y y n u u u u". Zaraz potem zaczynam wrzeszczeć jak dziki idąc Pięćdziesiątą Ósmą i walę teczką Bottega Veneta o mur. Inny chór - na Lexington - śpiewa "Słuchajcie aniołów", zatrzymuję się i zaczynam stepować postępując i wyjąc tuż pod ich nosem, a potem idę jak zombie do Bloomingdale'a. W sklepie podbiegam do pierwszego z brzegu stojaka z krawatami i mruczę do młodego pedała stojącego za ladą: "Nie... to jest zbity piękne, zbyt cudowne" głaszcząc jedwabny fular Ascot. Sprzedawca flirtuje ze mną i pyta, czy jestem modelem. "Żeby cię pojechało" mówię mu w odpowiedzi i idę dalej.

... wazon i miękkie pilśniowe kapelusze z piórkiem i toaletki ze skóry aligatora ze srebrzystymi buteleczkami i łyżki do butów za dwieście dolarów i świeczniki i ozdobne poszwy na poduszki i rękawiczki i domowe pantofle i lekkie jak piórko puszki do pudru i robione na drutach bawełniane swetry w płatki śniegu, skórzane łyżwy, gogle narciarskie porsche i antyczne butle aptekarskie i diamentowe kolczyki i jedwabne krawaty i buty, butelki perfum i diamentowe kolczyki i buty i kieliszki do wódki i pudełko do kart i aparaty fotograficzne i mahoniowe serwantki i szaliki i wody po goleniu i albumy fotograficzne i solniczki i pieprz-niczki i ceramiczne toasty i słoiki na ciasteczka i łyżki do butów za dwieście dolarów i plecaki i aluminiowe pojemniki na lunch i poszwy...

Gdy oglądam artykuły sprzedawane u Bloomingdale'a, otwiera się przede mną jakaś egzystencjalna otchłań, która powoduje, że szukam telefonu i sprawdzam wiadomości nagrane na mojej automatycznej sekretarce, a potem - bliski łez - biorę trzy halciony (moje ciało jest już zmutowane i przyzwyczajone do tego lekarstwa, które normalnie przynosi sen, lecz w moim przypadku zabezpiecza przed całkowitą szaleństwem) i pędzę do stoiska Clinique, gdzie za pomocą platynowej karty American Express kupuję sześć tubek kremu do golenia flirtując jednocześnie (bardzo nerwowo) ze sprzedawczyniami. Dochodzę do wniosku, że ta egzystencjalna pustka ma pewien związek ze sposobem, w jaki potraktowałem Evelyn w Barcadii któregoś wieczoru, chociaż równie dobrze jej przyczyną może być urządzenie regulujące odczyt ścieżki w moim magnetowidzie. W związku z tym obiecuję sobie, że pojawię się na świątecznym party u Evelyn - kusi mnie, żeby zaprosić jedną z dziewczyn z Clinique - i sprawdzę w instrukcji

obsługi VCR, jak wyregulować regulator. Widzę dziesięcioletnią dziewczynkę stojącą obok matki, która kupuje szaliki i biżuterię. Myślę sobie: "Całkiem niezła". Ubrany jestem w kaszmirowy płaszcz, dwurzędową wełnianą-alpakową sportową marynarkę w kratę, wełniane spodnie z zakładkami, wzorzysty jedwabny krawat - całość kupiona w Valentina Couture - i skórzane sznurowane półbuty od Al-len-Edmondsa.

ŚWIĄTECZNE PRZYJĘCIE

Piję drinki z Charlesem Murphym u Rusty'ego, żeby wzmocnić się przed bożonarodzeniowym party u Evelyn. Ubrany jestem w dwurzędowy (cztery guziki) wełniano-jedwabny garnitur, bawełnianą koszulę z kołnierzykiem przypiętym guziczkami z kolekcji Valentina Couture, wzorzysty jedwabny krawat od Arma-niego i skórzane mokasyny ze wzmacnianym czubkiem od Allen-Edmondsa. Murphy ma na sobie dwurzędowy (sześć guzików) wełniano-gabardynowy garnitur od Courns'ges, bawełnianą koszulę w paski z zaokrąglonym kołnierzykiem i fularowy jedwabno-krepowy krawat - całość od Hugo Bossa. Peroruje na temat Japończyków: - Wykupili Empire State Building i Nell. Nell! Możesz w to uwierzyć, Bateman? - krzyczy pijąc drugi Absolut z lodem. Jego słowa poruszają we mnie jakąś sprężynę, uruchamiają jakiś mechanizm i po wyjściu od Rusty'ego spaceruję przez chwilę po Upper West Side, a potem zaczajam się w wejściu do dawnej restauracji Carly Simon - bardzo modnej knajpy, która należała do J. Akaila i została zamknięta zeszłej jesieni - żeby naskoczyć na przejeżdżającego japońskiego kuriera, którego zrzucam z roweru i wciągam do sieni. Chłopak zaplątał się w ramę Schwinna, na którym jechał i fakt ten działa na moją korzyść, ponieważ gdy podrzynam mu gardło - zupełnie bez wysiłku - rower blokuje jego spazmatyczne wymachy nogami towarzyszące zazwyczaj tej procedurze. Chłopak musiał być silny: podniósł nogami rower z pięć albo sześć razy zanim udławił się własną gorącą krwią. Wiózł japońskie żarcie w kartonach, które oczywiście otwieram i wysypuję zawartość na ziemię. Ku mojemu zdumieniu zamiast sushi, teriy-aki, ręcznie lepionych zawijańców i kluseczek soba, z kartoników wypada kurczak z orzeszkami nerkodrzewu i zakrywa rzygające krwią oblicze kuriera. Po kurczaku leci wołowy chów mein i ryż z pieczonymi krewetkami i wieprzowina moo shu - wszystko rozpryskuje się na unoszącej się ciężko piersi żółtka. Irytuje mnie własna nieroztropność: zabiłem przypadkowo nie tego Azjatę, co trzeba; sprawdzam dokąd wiózł zamówienie - Sally Rubinstein - wyciągam pióro Mont Blanc i z tyłu karteczki z adresem Sally piszę: Ciebie też załatwię... kurwo, a po-

tem kładę wiadomość na twarzy martwego dzieciaka, przepraszając wzruszając ramiona i mówię: - No cóż, wybacz. - Po chwili przypominam sobie, że tematem dzisiejszego The Patty Winters Show były nastoletnie dziewczyny uprawiające seks, żeby zdobyć pieniądze na kompot. Rano ćwiczyłem w sali gimnastycznej przez dwie godziny i mogę zrobić teraz dwieście skłonów w przeciągu niecałych trzech minut. Obok domu Evelyn daję zamarzającemu na śmierć włóczędze ciasteczko z życzeniem, które ukradłem posłańcowi. Żebrak wsadza je w całości -pieprzyć życzenia - do gęby i kiwa z wdzięcznością głową. - Głupi chuj - mruczę wystarczająco głośno, żeby mógł mnie usłyszeć. Skręcam za róg i idę do Evelyn. Zauważam policyjne bariery c i a g l e j e s z c z e otaczające budynek z piaskowca, w którym mieszkała zdekapitowana sąsiadka Evelyn, Victoria Bell. Przed wejściem do Evelyn stoją cztery limuzyny, jedna ma włączony silnik.

Spóźniłem się. W salonie i jadalni jest już tłum ludzi, z którymi prawdę mówiąc nie mam ochoty rozmawiać. Po obu stronach kominka stoją wysokie gęste świerki przystrojone mrugającymi światełkami. Tłie Ronettes śpiewają z kompaktu bożonarodzeniowe przeboje z lat sześćdziesiątych. Barman w smokingu nalewa szampana i ajerkoniak, miesza koktajle - manhattan i martini - otwiera butelki Galera Jesen pinot noir i chardonnay Chappellet. Wzdłuż prowizorycznego baru, między wazonami z gwiazdą betlejemską, stoją rzędem butelki dwudziestoletniego porto. Długi, rozkładany stół przykryty czerwonym suknem, zastawiony jest rondelkami, talerzykami i półmiskami z pieczonymi orzechami włoskimi, zupą z ostryg, homarów i raków, zupą selerową z jabłkiem, kawiozem z jesiotra na trójkątnych tostach, kremem cebulowym, pieczoną gęsią nadziewaną kasztanami, pastą kawiorową, torcikami jarzynowymi z tapenadą, pieczoną kaczką i pieczonym udźcem cielęcym z szarlotką i kluseczkami gnocchi, strudlem jarzyno wym, sałatką Waldorf, przegrzebkami, bruschettą z masarpone, białymi truflami, sufletem z zielonego chili, pieczoną kuropatką z szałwią, ziemniakami, cebulą i sosem żurawinowym, pieczenia rzymską, truflami w czekoladzie, suflecikaini cytrynowymi i torcikiem Tatin z orzeszkami laskowymi. Wszędzie stoją w srebrnych świecznikach od Tiffany'ego zapalone świece. Nie jestem do końca przekonany, czy nie mam halucynacji, ale wydaje mi się, że w mieszkaniu Evelyn pełno jest karłów ubranych w zielono-czerwone kubraczki elfów i pilśniowe kapelusze. Karły roznoszą gościom przekąski. Udaję, że niczego nie zauważam i idę prosto do baru, gdzie wypijam jednym haustem

kieliszek całkiem niezłego szampana. Potem podchodzę do Donalda Petersena, który - podobnie jak większość obecnych mężczyzn - ma na głowie papierowe rogi. Po drugiej stronie pokoju zauważam Cassandę, pięcioletnią córkę Marii i Darwina Huttonów, ubraną w aksamitną sukienkę za siedemset dolarów i haleczkę od Nancy Halser. Wypijam drugi kieliszek szampana i zabieram się za martini - z podwójnym Absolutem. Uspokoilem się już na tyle, by móc baczniej przyjrzeć się otoczeniu: karły nie zniknęły!

- Zbyt dużo czerwieni - mamrocze do siebie wychodząc z transu. - Działa mi to na nerwy.

- Hej, McCloy - krzyczy do mnie Petersen. - Co mówisz?

Biorę się w garść i pytam mechanicznie: - Czy to jest brytyjskie nagranie Les Miserable.* czy nie ?

- Hej, Wesołych Świąt - mówi pokazując mnie palcem. Jest pijany.

- Więc co to za muzyka? - pytam bardzo poirytowany. - A taje przy okazji, proszę pana, czy już przybieżeli do Betlejem?

- Bili Septor - odpowiada wzruszając ramionami. - Ten producent, Septor czy Skeptor.

- Dlaczego, na rany Chrystusa, nie włączyła Talking Heads? -krzyczę zły.

Courtney stoi po drugiej stronie pokoju trzymając w ręku kieliszek szampana. Całkowicie mnie ignoruje.

- Albo Les Miz - odpowiada Petersen.

- W wersji angielskiej czy amerykańskiej? - przymykam oczy. Sprawdzam go.

- Eee... angielskiej - odpowiada z namysłem, a karzeł podaje nam talerzyki z sałatką Waldorf.

- Z całą pewnością - mruczę przyglądając się odchodzącemu kaczym chodem karłowi.

Nagle podbiega do nas Evelyn ubrana w sobolowy żakiet i aksamitne spodnie od Ralpha Laurena. W jednej ręce trzyma gałązkę jemioli, którą unosi nad moją głowę, a w drugiej laseczkę marcepana.

- Jemiolowy alarm! - piszczy i cmoka mnie w policzek. - Wesołych Świąt, Patricku. Wesołych Świąt, Jimmy.

- Wesołych... Świąt - odpowiadam i nie mogę jej od siebie odepchnąć, ponieważ trzymam w dłoniach martini i talerzyk z sałatką Waldorf.

- Spóźniłeś się, kochany - mówi Evelyn.

- Nieprawda - protestuję słabo.

- Ależ tak - sprzeciwia się melodyjnym głosem.

- Byłem tu przez cały czas - zamykam temat. - Po prostu nie zauważyłaś mnie.

- Nie patrz na mnie spode łba, mój gburku. - Odwraca się do Petersena. -Wiesz, że Patrick jest gburem?

- Co za bzdura - wzdyham patrząc na Courtney.

- Do diabła, wszyscy wiemy, że McCloy to gbur - bełkocze pijany Petersen. -Jak ci leci, gburze?

- A co pan gbur chciałby dostać na Gwiazdkę? - pyta Evelyn dziecinnym głosikiem - Czy gburek był grzeczny w tym roku?

Wzdycham. - Gbur chce płaszcz przeciwdeszczowy Burberry, kaszmirowy sweter od Ralpha Laurena, nowego Rolexa, stereo do samochodu...

Evelyn wyjmuje z ust marcepanową laseczkę i przerywa mi: - Ależ ty nie m a s z samochodu, kochanie.

- Co z tego? - wzdyham po raz trzeci. - Gbur tak czy inaczej chce mieć samochodowy odtwarzacz stereo.

- Smakuje ci sałatka Waldorf? - pyta z przejęciem Evelyn. - Uważasz, że jest dobra'?

- Wspaniała - mruczę wyciągając szyję. Zauważyłem kogoś, kto od dawna mnie fascynuje. - Hej, nie wspomniałaś, że zaprosiłaś Laurence'a Tischa.

Evelyn odwraca głowę. - O kim mówisz?

- Dlaczego - pytam - Laurence rozdaje tace z kanapkami?

- O Boże, Patricku, to n i e jest Laurence Tisch - mówi. - To jeden z bożonarodzeniowych elfów.

- Jeden z... c z e g o? Masz na myśli te k a r ł y?

- To są elfy- mówi z naciskiem. - Pomocnicy Świętego Mikołaja. Boże, ależ z ciebie psują zabawy! Spójrz na nie. Są takie milutkie. Ten, który tam stoi, to Rudolf, a ta, która rozdaje cukierki to Blitzen. Jest jeszcze Donner...

- Zaczekaj, Evelyn, sekundę... - zamykam oczy i wyciągam przed siebie rękę z sałatką. Pocę się, mam déjà vu, ale dlaczego? Czy widziałem już gdzieś te elfy? A, do diabła z nimi. -Ja... to znaczy... to są imiona reniferów, a nie elfów. Blitzen to był r e n i f e r.

-Jedyny Żyd w całym stadzie - przypomina nam Petersen.

- Och... - Evelyn wydaje się zgorzonna tą uwagą, a mimo to patrzy na Petersena jakby szukała u niego odpowiedzi na niepokój, który zasiałem w jej sercu. -Czy to prawda?

Petersen wzrusza ramionami i zastanawia się z głupią miną. - Hej, maleńka, renifery, elfy, gbury, maklerzy... Do diabła, co to za różnica dopóki leje się Cristal, nie? - Chichocze i szturcha mnie palcem pod zebro. - Mam rację, co nie, gburze?

- Nie sądzisz, że wyglądają bardzo... świątecznie? - pyta Evelyn z nadzieją w głosie.

- Ależ tak, moja droga - stwierdzam. - Są bardzo świąteczne. Mówię poważnie, nie kłamię.

- Ale spóźniłeś się, psuju - wydyma wargi i potrząsa mi oskarżycielsko nad głową cholerną gałązką jemioli. - I nie pochwaliłeś sałatki Waldorf.

- Wiesz co, Evelyn, w tej metropolii, dokładnie w tej samej chwili odbywa się mnóstwo innych przyjęć ś w i ą t e c z n y c h, na które mógłbym pójść, a jednak wybrałem twoje. Dlaczego...? mogłabyś zapytać. Dlaczego...? pytam sam

siebie. Nie przychodzi mi do głowy żadna rozsądna odpowiedź, lecz mimo to jestem twoim gościem, więc bądź... no wiesz... wdzięczna, maleńka.

- Ach łwięc t o ma być mój świąteczny prezent - zauważa sarkastycznie. -Jak miło z twojej strony, Patricku, jestem wzruszona.

- Nie, moim prezentem jest t o - daję jej kluseczkę, która przypadkowo przylepiła mi się do mankietu koszuli. - Masz.

- Och, Patricku, za chwilę się rozplaczę - wzdycha oglądając kluseczkę w świetle świecy. -Jest wspaniała. Czy nosi się ją na szyi?

- Nie, karmi się nią elfy. Ten tam wygląda mi na głodnego. Wybacz, ale muszę się napić.

Oddaję Evelyn talerzyk z sałatką, szczypię Petersena w rogi i idę do baru nucąc pod nosem "Cicha noc". Jestem nieco rozczarowany strojami większości kobiet - kaszmirowymi pulowerami, blezerami, długimi wełnianymi spódnicami, sukienkami z welwetu i golfami. To przez ten chłód na dworze. A wokół ani jednego laskojada.

Paul Owen stoi obok baru z cienkim kieliszkiem do szampana w dłoni i przygląda się własnemu srebrnemu zegarkowi z dewizką (bez wątpienia od Hamma-chera Schlemmera). Zbieram się, żeby podejść do niego i zapytać o ten cholerny rachunek Fishera, kiedy wpada na mnie Humphrey Rhinebeck, który usiłuje nie rozdeptać któregoś z elfów. Nie zdążył jeszcze zdjąć kaszmirowego płaszcza chesterfield od Crombiego kupionego u Lorda&Taylora, pod którym ma dwurzędowy, wełniany smoking z ostro zakończonymi klapami, bawełnianą koszulę od Perry'ego Ellisa i muszkę od Hugo Bossa. Na głowie ma papierowe rogi przekrzywione w sposób, który sugeruje, że nie zdaje sobie sprawy z ich obecności. Co za bałwan! Widząc mnie strzela prosto z mostu: - Hej, Bateman, w zeszłym tygodniu zaniósłem do przeróbki nową tweedową marynarkę w jodelkę.

- No cóż, ha, trzeba ci pogratulować - mówię potrząsając jego dłonią. - Co za k l a s a!

- Dzięki. - Czerwieni się i opuszcza wzrok. - Tak czy inaczej, mój krawiec zauważył, że detalista, u którego kupiłem marynarkę usunął oryginalną naszywkę z nazwą producenta i w tym samym miejscu umieścił swoją. Powstaje pytanie: czy to jest l e g a l n e?

- Tak, te sprawy są dosyć niejasne dla niewtajemniczonych, wiem, wiem -mówię przeciskając się przez tłum. - Jednak gdy kolekcja zostaje kupiona od producenta, detalista ma pełne prawo umieścić na niej swoją nazwę, na przykład w postaci naszywki. Natomiast nielegalne jest używanie nazwy innego detalisty.

- Zaczekaj, d l a c z e g o? - pyta i idąc za mną próbuje sączyć martini.

- Ponieważ na produkcie muszą pozostać nienaruszone wszystkie znaki dotyczące rodzaju materiału, numeru branżowego producenta i kraju, z którego pochodzi towar. Podszywanie się pod cudzą markę jest bardzo trudne do wykrycia i rzadko bywa zgłaszane władzom - krzyczę odwracając głowę. Courtney całuje Paula Owena w policzek, dostrzegam ich ciasno splecione dłonie. Cały sztywnieję. Zatrzymuję się niespodziewanie. Rhinebeck wpada na moje plecy. Courtney zostawia Owena w spokoju i macha do kogoś po drugiej stronie salonu.

- Więc czy jest jakieś wyjście z tej pogmatwanej sytuacji? - krzyczy Rhinebeck za moimi plecami.

- Kupuj wyłącznie produkty znanych firm u detalistów, co do których nie masz cienia wątpliwości i zdejmij te pierdolone rogi z czoła, bo wyglądasz jak pojeb, Rhinebeck. - Odchodzę. Widzę jeszcze jak Humphrey podnosi rękę do skroni i krzyczy: - Mój B o ż e! - dotykając rogów.

- Owen! - wykrzykuję i wyciągam radośnie dłoń. Drugą ręką zdejmuję martini z tacki niesionej przez przechodzącego elfa.

- Marcus! Wesołych Świąt! - odpowiada Owen i potrząsa moją dłonią. -I jak ci leci. Taki sam pracoholik jak zawsze?

- Dawno cię nie widziałem - rzucam i mrugam. - Pracoholik, he?

- No cóż, właśnie wróciliśmy z Knickerbocker Club - wita się z kimś, kto przed chwilą wpadł na niego plecami: - Hej, Kinsley... - Z powrotem odwraca do mnie głowę. -Jedziemy do Nell. Limuzyna czeka przed wejściem.

- Powinniśmy zjeść razem lunch - proponuję i zastanawiam się, jak skierować rozmowę na rachunek Fishera i nie wydać się natarczywym.

- Tak, wspaniały pomysł - odpowiada. - Może wziąłbyś ze sobą...

- C e c e l i ę? - zgaduję.

- Tak, Cecelię - przytakuje.

- Ocli, Cecelia będzie... zachwycona - stwierdzam.

- No cóż, zróbmy to - uśmiecha się.

- Tak, moglibyśmy pójść do... Le Bernardin - mówię ostrożnie i przerywam na chwilę - Na... coś z r y b? Hm?

- Le Bernardin jest w tym roku w pierwszej dziesiątce Zagata - kiwa głową. - Słyszałeś?

- Tak, moglibyśmy zamówić... - przerywam i uporczywie wpatruję się w niego podkreślając każde wypowiedziane słowo: -...płetwy rekina na fiszbinach. Nie?

- Jeżowca - mówi Owen omiatając wzrokiem pokój. - Meredith uwielbia jeżowce, które tam podają.

- Och, naprawdę?

- Meredith - woła i zwraca się do kogoś stojącego za moimi plecami. -Podejdź tu na chwilę.

- Ona jest t u t a j? - pytam.

- Rozmawia z Cecelia... o tam - wskazuje. - Meredith - krzyczy i macha ręką. Odwracam się. Meredith i Evelyn idą w naszym kierunku.

Odwracam się z powrotem do Owena.

Meredith i Evelyn są już przy nas. Meredith ubrana jest w wełniano-gabar-dynową sukienkę z naszytymi koralikami i bolerko od Goeffreya Beene'a kupione u Barneya, w uszach ma złote kolczyki z diamentami od Jamesa Savitta (18000 dolarów), a na dłoniach rękawiczki z kolekcji Goeffreya Beene'a zaprojektowanej dla Portolano Products. Mówi: -- Tak, chłopcy? O czym rozmawiacie? Układacie listę prezentów?

- O jeżowcach w Le Bernardin, najdroższa - odpowiada Owen.

- Mój ulubiony temat. - Meredith obejmuje mnie ramieniem i szepcze do ucha: - Są bajeczne.

- Rozkosznie - kaszlę nerwowo.

- Co myślicie o sałatce Waldorf? - pyta Evelyn. - Smakowałaś?

- Cecelio, najdroższa, jeszcze jej nie próbowałem - mówi Owen i uśmiecha się do kogoś po drugiej stronie salonu. - Chciałbym jednak wiedzieć dlaczego Laurence Tisch nalewa ajerkoniak?

- To nie j e s t Laurence Tisch -jęczy Evelyn naprawdę zmartwiona. - To świąteczny elf, P a t r i c k u, co ty naopowiadałeś Paulowi?

- Nic - mówię - C e c e l i o!

- Oprócz tego, Patricku, jesteś gburem.

Gdy powtarza moje imię, zaczynani bełkotać coś bez składu i ładu, mając nadzieję, że Owen nie zauważył pomyłki: - No cóż, Cecelio, powiedziałem Paulowi, że według mnie jest to... no wiesz... połączenie tych dwóch... eee... jak na przy... - przerwani i rzucam na nich okiem, a potem szybko kończę - na przykład taki świąteczny tisz-tasz, to znaczy... chciałem powiedzieć misz-masz... - Kradnę nerwowo nać pietruszki z kawałka pasztetu z kuropatwy niesionego przez przechodzącego elfa. Podnoszę rękę z pietruszką nad głowę Evelyn i żeby zamknąć jej usta krzyczę: - Jemiołowy alarm! - Ludzie stojący wokół nas pierzchają po kątach, a ja całuję Evelyn w usta zezując na Meredith i Owena, którzy patrzą na mnie dosyć dziwnie. Kątem oka widzę Courtney, która rozmawia z Rhi-nebeckiem i wpatruje się we mnie nienawistnym, wściekłym wzrokiem.

- Och, Patricku... - zaczyna Evelyn.

- C e c e l i o! Przestań! - Ciągnę ją za ramię i uśmiecham się przeproszająco do Owena i Meredith.

- Wybaczcie nam. Musimy porozmawiać z tym elfem i wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze.

- Przepraszam - krzyczy do nich Evelyn, na co wzruszają ramionami. W końcu udało mi się ją odciągnąć. - P a t r i c k u, o co tu chodzi?

Wpycham ją do kuchni.

- Patricku? - powtarza. - Dlaczego wepchnąłeś mnie do k u c h n i?

- Posłuchaj - mówię łapiąc ją za ramiona i patrząc jej prosto w oczy. - Wyjdźmy stąd.

- Och, Patricku - wzdycha. -Ja nie mogę. Czy źle się bawisz?

- D l a c z e g o nie możesz? - pytam. - To żadne wytłumaczenie. Jesteś tu już wystarczająco długo.

- Patricku, to jest m o j e świąteczne party - odpowiada. - A poza tym, niedługo elfy zaśpiewają dla nas O Taiinenlxmm...

- Boże, Evelyn! Wyjdźmy stąd! -Jestem na krawędzi hysterii, ogarnia mnie przerażenie na myśl, że za chwilę do kuchni może wejść Paul Owen lub co gorsza Marcus Halberstam. - Chcę cię stąd zabrać.

- S k ą d zabrać? - pyta i mruży oczy. - Nie smakowała ci sałatka Waldorf, prawda?

- Chcę zabrać cię gdzieś... gdzie nie ma tego wszystkiego - pokazuję ręką na kuchnię i trzymam ją kurczowo. - Tam, gdzie nie ma sushi i elfów i... innych rzeczy.

Do kuchni wchodzi właśnie jeden z karłów i odstawia tacę z brudnymi talerzami. Spoglądam nad jego głową na nie domknięte drzwi do salonu i widzę Paula Owena pochylającego się w stronę Meredith, która wrzeszczy mu do ucha przekrzykując kolędy. Owen rozgląda się po pokoju i kiwa głową. Po chwili w szparze w drzwiach pojawia się Courtney. Chwytam mocniej Evelyn i przyciągam ją do siebie.

- Sushi? Elf? Patricku, zdumiewasz mnie - mówi Evelyn. - I wcale mi się to nie p o d o b a.

Chodźmy. - Ciągnę ją brutalnie do kuchennych drzwi. - Zrób raz coś niezwykłego, jeden jedyny raz w życiu, Evelyn. Nie bój się.

Zapiera się nogami i nie daje się ciągnąć. Nagle uśmiecha się, jakby rozważała moją propozycję. Wygrałem, ale nie do końca.

- Chodźmy... - jęczę błagalnie. - Niech to będzie świąteczny prezent dla m n i e.

- Ależ nie! Byłam już u Brooks Brothers i... - zaczyna.

- Przestań. Chodź, chcę tego - i w końcu decyduję się na desperacki krok: uśmiecham się do niej zalotnie i całuję ją lekko w usta mówiąc: - P a n i Bateman;l

- Och, Patricku... - wzdycha i wie, że już przegrała. - A co ze sprzątaniami?

- Karły to załatwiają - zapewniam ją.

- Ale ktoś musi ich pilnować, najdroższy.

- Więc wybierz jednego elfa. Zrób z niego dowódcę. Ale chodźmy już, t e r a z. - Ciągnę ją w stronę tylnych drzwi, podeszwy jej pantofli piszczą na marmurowych kafelkach Muscoli.

Jesteśmy na dworze i biegniemy zaufkiem obok domu Evelyn. Zatrzymuję się i wyglądam za róg, żeby sprawdzić czy ktoś kogo znamy nie wchodzi lub nie wychodzi z przyjęcia. Ruszamy pędem do jakiejś limuzyny (mam nadzieję, że to samochód Owena). Po chwili przychodzi mi do głowy, że Evelyn może zacząć coś

podejrzewać, więc zwalniam kroku i podchodzę do pierwszego z brzegu auta, otwieram szeroko drzwi i wpycham ją do środka.

- P a t r i c k u - piszczy zadowolona. - Jesteś niemożliwy. L i m u z y n a...

- Zatraskuję drzwi, obchodzę samochód i pukam w okno szofera. Kierowca otwiera je.

- Cześć - mówię wyciągając rękę. - Pat Bateman.

Szofer - z niedopałkiem cygara w zębach - patrzy najpierw na moją rękę, potem na twarz, a w końcu na czubek głowy.

- Pat Bateman - powtarzam. - O co... o co chodzi?

Nie spuszcza ze mnie wzroku. Nieśmiało dotykam włosów, żeby sprawdzić czy są na swoim miejscu i z przerażeniem i zdumieniem odkrywam, że mam na głowie rogi. Dwie pary! Mam cztery pierdolone rogi na mojej własnej głowie!

- O Jezu, wybaczu... - mamrocze i ściągam poroże, gniotę je w dłoni i z obrzydzeniem rzucam na ziemię, po czym znów zwracam się do kierowcy: - Tak... Pat Bateman - mówię poprawiając włosy.

- No... Sid - wzrusza ramionami.

- Posłuchaj, Sid, pan Owen powiedział, że możemy wziąć jego samochód, więc... - przerywam. Jest mroźno i z moich ust wydobywa się para.

- Kto to jest pan Owen? - pyta Sid.

- Paul O w e n, no wiesz... twój klient.

- Nie. Ta limuzyna jest pana Barkera - rzuca. - Nawiasem mówiąc, miałeś ładne rogi.

- Kurwa - krzyczę i obiegam samochód, żeby wyciągnąć z niego Evelyn zanim stanie się coś złego. Lecz jest już za późno. Gdy otwieram drzwi, Evelyn... trzyma w dłoni butelkę Cristala, a drugą ręką pokazuje na złote pudełko -... i t r u f l e.

Łapię ją za ramię i wyciągam na zewnątrz. - To nie ta limuzyna, zabierz trufle - bełkoczę pod nosem wyjaśnienia. Biegniemy do następnego samochodu. Otwieram drzwi i sadzam Evelyn, a potem przechodzę do przodu i pukam w okienko. Kierowca otwiera je. Wygląda tak samo jak pierwszy.

- Cześć, Pat Bateman - mówię wyciągając rękę.

- Taa? Cześć, Donald Tramp z tej strony, a moja żona Ivana jest z tyłu - odpowiada sarkastycznie, ale podaje mi dłoń.

- Uważaj co mówisz - ostrzegam go. - Słuchaj, pan Owen powiedział, że możemy wziąć jego samochód. O cholera... to znaczy... chciałem powiedzieć, że nazywam się Marcus.

- Przed chwilą mówiłeś, że masz na imię Pat.

- Nie, pomyliłem się - mówię ostro i patrzę mu prosto w oczy. - Pomyliłem się co do swego imienia. Nazywam się Marcus. Marcus Halberstam.

- Jesteś pewien? - pyta.

- Słuchaj, pan Owen powiedział, że mogę wziąć jego samochód na całą noc, więc... - przerywam. - Rozumiesz... załatwmy to polubownie...

- Powinienem chyba porozmawiać najpierw z panem Owenem - mówi rozbawiony szofer. Bawi się mną.

- Nie, zaczekaj! - krzyczę, i staram się zachować zimną krew, - Posłuchaj, ja... to znaczy nie ma sensu rozmawiać... naprawdę. - Nagle zaczynam chichotać.

- Pan Owen jest w bardzo, bardzo kiepskim nastroju.

- Nie wolno mi tego robić - odpowiada kierowca nie patrząc na mnie. - Jest to absolutnie zabronione. Nic z tego. Daj spokój.

- Och, przestań, człowieku - jęczę.

- To całkowicie wbrew przepisom naszej firmy - poucza mnie.

- Pierdol przepisy waszej firmy - warczę.

- Pierdolić przepisy naszej firmy? - kiwa głową i uśmiecha się.

- Pan Owen mówi, że wszystko jest o k a y - nalegam. - Czy ty mnie słuchasz?

- E-e. Nie mogę. - Kręci głową.

Przerywam na chwilę rozmowę, prostuję się, trę dłonią policzek, po czym biorę głęboki oddech i zwracam się do kierowcy: - Posłuchaj mnie... - jeszcze jeden głęboki oddech. - Tam w środku są

karły... - pokazuję palcem dom Evelyn. - Karły, które niedługo będą śpiewać O Tiumenbuum... - patrzę na niego badawczo szukając w jego wzroku współczucia, jednocześnie udaję przerażenie.

- Czy wiesz, jakie to jest straszne? Elfy... - przełykam ślinę - ... śpiewające chore m? - Daję mu czas na przetrwanie tej wiadomości i po chwili dodaję: -Przemyśl to sobie.

- Posłuchaj pan...

- Marcus - przypominam mu.

- Marcus czyż ci tam... Nie mam zamiaru łamać przepisów. Nic na to nie poradzę. Przepisy ustanawia firma, a ja nie mam zamiaru ich łamać.

Zapada cisza. Wzdycham, rozglądam się i zaczynam rozważać, czy nie przeciągnąć Evelyn do trzeciej limuzyny, a może z powrotem do samochodu Barkera -wyjątkowy kutasa - ale nie, do jasnej cholery! C h c ę jechać autem O w e n a! Po chwili szofer bierze głęboki oddech i mówi: - Jeśli karły chcą śpiewać, to niech śpiewają.

- Kurwa mać - przeklinam i wyciągam portfel ze skóry gazeli. - Masz setkę

- daję mu dwie pięćdziesiątki.

- Dwieście - mówi.

- To miasto mnie wykończy - mamrocze i daję mu resztę pieniędzy.

- Dokąd jedziemy, proszę pana? - pyta uprzejmie chowając banknoty i włączając silnik.

- Do Chernoble - rzucam i pędzę do tyłu.

- Tak jest, proszę p a n a - krzyczy za mną.

Wsiadam do limuzyny i zatrzaskuję drzwi. Kierowca odlepia się od krawężnika i jedzie w kierunku Riverside Drive. Evelyn siedzi obok mnie i przypatruje się uważnie, jak łapczywie chwytam powietrze i ścieram pot z czoła chusteczką od Armaniego. Odwracam do niej głowę i widzę, że za moment wybuchnie płaczem: jej usta drgają spazmatycznie i chociaż raz w życiu nic nie mówi.

- Przerażasz mnie, Evelyn. Co się stało:1 - Czuję strach. - Co... co ja zrobiłem? Sałatka Waldorf była wspaniała. Co jeszcze?

- Och, Patricku - wzdycha. - To... ze wzruszenia. Nie wiem co powiedzieć.

- No cóż... - zaczynam ostrożnie. -Ja... też nie.

- Patricku, a to...? - Pokazuje diamentowy naszyjnik od Tiffany'ego - prezent dla Meredith od Owena. - Patricku, najdroższy, pomóż mi go włożyć. Już nie jesteś gburem.

- Acli, Evelyn - mówię i klnę siebie w myślach. Evelyn odwraca się do mnie tyłem ukazując łabędzią szyję. Samochód szarpie, a ona spada na mnie całym ciężarem, wybuchając śmiechem i całuje mnie w policzek. - To najwspanialszy prezent... Wprost przecudowny. Uuuups - beka. - To od trufli. Wybacz, najdroższy. Znajdź szampana i nalej mi kieliszek.

- Ale... - wpatruję się bezradnie w błyszczący naszyjnik. - To nie to.

- Co? - pyta Evelyn rozglądając się po limuzynie. - Czy są tu jakieś kieliszki? Co nie to, kochanie?

- To nie to - powtarzam monotonicznie.

- Och, najdroższy - uśmiecha się. - Masz dla mnie coś j e s z c z e?

- Nie, to znaczy...

- Ach ty mały diable - mówi wpychając rękę do wewnętrznej kieszeni mojej marynarki. - Powiedz, co to jest?

- Co jest c z y m? - pytam spokojnie, choć jestem poirytowany.

- Masz coś jeszcze. Niech zgadnę? Pierścioneł do pary z naszyjnikiem? Bransoletkę do pary? B r o s z k ę? Ach, więc to broszka!- Kłaszczę w dłonie. -Broszka do pary.

Próbuję odepchnąć ją od siebie i trzymam ją za ramię, ale Evelyn nie daje za wygraną, drugą ręką sięga do mojej kieszeni i wyciąga ciasteczko z życzeniem, które ukradłem martwemu Chińczykowi. Patrzy na mnie zmieszana i mówi: -Patricku, jesteś taki... romantyczny. - Przygląda się badawczo ciasteczku i po chwili dodaje mniej entuzjastycznie: - Taki... oryginalny.

Ja też wpatruję się w ciasteczko. Jest na nim dużo krwi. Wzruszam ramionami i mówię jowialnie (na tyle, na ile mnie stać): - Och, przecież mnie znasz.

- Co to za polewa? - Evelyn podnosi ciasteczko bliżej oczu. - Co to jest... to czerwone?

- To... - rzucam okiem na wypiek, udaję że jestem zaintrygowany plamami, a potem krzywię się. - To...jest polewa kwaśno-słodka.

Evelyn przełamuje ciasteczko i wyciąga karteczkę z życzeniem, czytają i wpada w zakłopotanie.

- I co tam jest napisane? - wzdycham. Bawię się radiem, szukam wzrokiem teczki Owena i zastanawiam się, gdzie może być szampan. Puste pudełko od Tiffany'ego leży otwarte na podłodze, co napawa mnie nagle straszliwym, niepojętym lękiem.

- Napisane jest... - przerywa i mrużąc oczy czyta jeszcze raz. - Napisane jest... Świeże fbie gras z grilla w Le Cirque jest wyborne, natomiast sałatka z ho marów tylko taka sobie.

- Ładnie powiedziane - mruczę i rozglądam się za kieliszkami do szampana, magnetofonem, czymkolwiek.

- Naprawdę tak jest napisane, Patricku. - Evelyn podaje mi karteczkę, a na jej twarzy pojawia się lekki uśmiech - doskonale widoczny mimo panujących w aucie ciemności. - Co to może znaczyć? - pyta podejrzliwie.

Biorę karteczkę, czytam ją, spoglądam na Evelyn, potem znów na karteczkę, w końcu wyglądam przez okno, za którym śnieg wiruje wokół lamp, wokół ludzi czekających na autobusy, żebraków płaczących się bez celu po ulicach miasta. Mówię głośno do siebie: - Mogło być gorzej. Mogło być znacznie gorzej.

- Och, mój maleńki - Evelyn rzuca się na mnie, oplata mnie ramionami i tuli moją głowę: - Lunch we Le Cirque? Jesteś wspaniała. Nie jesteś gburem. Wycofuję to. Czwartek? Czy czwartek ci odpowiada? Och nie. Nie mogę w czwartek. Mam maseczkę ziołową. A może w piątek? I czyrzeczywiście musimy iść do Le Cirque? Co powiesz na...

Odpycham ją od siebie i pukam w szybę odgradzającą nas od kierowcy. Walę mocno i w końcu kierowca otwiera. - Sid, to znaczy Earle czy jak ci tam, to nie jest droga do Chernoble.

- Ależ tak, panie Bateman...

- Hej!

- To znaczy panie H a l b e r s t a m. Aleja C, prawda? - Chrząka uprzejmie.

- Tak mi się wydaje - mówię wyglądając przez okno. - W ogóle nie poznaję tej okolicy.

- Aleja C? - Evelyn podnosi głowę znad naszyjnika kupionego przez Owena dla Meredith. - Co jest na Alei C? Rozumiem, że mówimy o C jak w wyrażeniu... Carrier?

- Aleja C jest bardzo na czasie - zapewniam ją. - Absolutnie na czasie.

- Byłeś tam? - pyta.

- Miliony razy - mamrocze.

- Chernoble? O nie, tylko nie C h e r n o b l e - jęczy. - Kochanie, są Święta...

- Co to z n a c z y, do cholery?

- Panie kierowco, och, panie kierowco... - Evelyn pochyla się kładąc rękę na moich kolanach. - Panie kierowco, jedziemy do Sali Tęczowej. Proszę jechać do Tęczowej Sali.

Odpycham ją i sam pochylam się w stronę szofera. - Nie słuchaj jej! Chernoble. Biegusiem. - Naciskam guzik i szyba odgradzająca nas od kierowcy podnosi się i zamyka.

- Och, Patricku. Jest Boże Narodzenie -jęczy.

- Mówisz to tak, jakby to miało jakieś z n a c z e n i e - syczę patrząc jej prosto w oczy.

- Ale są Święta - kolejny jęk.

- Nie z n o s z ę Sali Tęczowej - odpowiadam nieugięcie.

- Dlaczego n i e, Patricku? - skamle. - W Sali Tęczowej podają najlepszą sałatkę Waldorf w mieście. Smakowała ci moja? Smakowała ci moja sałatka Waldorf, najmiłszy?

- O mój Boże - szepczę chowając twarz w dłoniach.

- Przyznaj się, bądź szczerzy... Smakowała ci? - pyta. - Tak naprawdę to martwiłam się tylko o sałatkę i nadzienie z kasztanów... - przerywa. - Wiesz dlaczego? Bo nadzienie z kasztanów było... no cóż... wstrętne, wiesz.

- Nie chcę iść do Sali Tęczowej - przerywam jej nie podnosząc głowy. - Nie chcę iść do Sali Tęczowej, ponieważ nie można załatwić tam żadnych narkotyków.

- Och... - patrzy na mnie z oburzeniem. - No, no, no... Narkotyki? Patricku? O jakich, przepraszam, narkotykach mówimy?

- Narkotycznych, Evelyn. O kokainie. O niej właśni e. Mam zamiar zażyć trochę kokainy dziś wieczór. Rozumiesz? - siadam prosto i patrzę na nią gniewnie.

- Patricku - potrząsa głową tak jakby straciła we mnie wiarę.
- Widzę, że jesteś zmieszana - stwierdzam.
- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - oświadcza.
- Nikt ci nie każe nic brać - mówię. - Nikt nie będzie cię do niczego namawiał.
- Nie rozumiem tylko dlaczego psujesz mi ten piękny, świąteczny wieczór - odpowiada.
- Pomyśl o tym jak o... mrozie. Bożonarodzeniowym mrozie. Drogim bożonarodzeniowym m r o z i e - mówię.
- No cóż... - rozwesela się. - Czasami dobrze jest wytarzać się w błocie, prawda?
- Trzydzieści papierów od sztuki przy wejściu, Evelyn, to nie jest według mnie tarzanie się w błocie. - Po chwili pytam podejrzliwie: - Dlaczego nie zaprosiłaś do siebie Donalda Trampa?
- Proszę cię, przestań! Nie mogę już słuchać o Donaldzie Trumpie - jęczy.
- Boże, czy to dlatego zachowujesz się jak bufon? Ta obsesja musi się skończyć!
- mówi podniesionym głosem. - Z jego powodu zachowujesz się jak osioł.
- Wszystko przez tę sałatkę Waldorf - odpowiadam przez zaciśnięte zęby.
- Zachowuję się jak osioł z powodu sałatki Waldorf.
- O mój Boże, chcesz mnie zranić - rozpaczliwie odrzuca głowę do tyłu. - Wiedziałam, wiedziałam.
- Przecież jej nie robiłaś! - krzyczę. - D o s t a r c z o n o c i ją!
- Boże - wyje. - Nie mogę w to uwierzyć...

Limuzyna zatrzymuje się przed klubem Chernoble, w kolejce do wejścia czeka około dziesięciu osób. Wsiadamy z samochodu. Ku zdumieniu Evelyn używam jej jako tarczy, żeby przepchnąć się przez tłum: na szczęście zauważam kogoś podobnego do Jonathana Leatherdale'a, kto właśnie wchodzi do środka, pcham Evelyn z całej siły (ciągle trzyma w ręku swój gwiazdkowy prezent) i krzyczę: - Jonathan! Hej, Letherdale! - oczywiście jak było do przewidzenia tłum natychmiast podchwytuje mój okrzyk i wrzeszczy: -Jonathan! Hej, Jonathan! -Facet zauważa mnie i woła w odpowiedzi: - Hej, Baxter! - mrugając okiem i unosząc do góry kciuk, lecz nie do mnie, do kogoś innego. Tak czy inaczej, udajemy z Evelyn, że należymy do wpuszczanego do środka towarzystwa. Przed samym wejściem bramkarz opuszcza przed nami liny. Po chwili pyta: - To wy przyjechaliście tą limuzyną? - Patrzy na jezdnię i pokazuje głową.

- Tak - potwierdzamy skwapliwie
- Okay, wchodźcie - mówi i podnosi liny.

Przy drzwiach wyciągani sześćdziesiąt dolarów. Oczywiście zabrakło kart na alkohol. Klub -jak można się było spodziewać -jest dosyć ciemny. Jedyne oświetlenie stanowią mrugające lampy stroboskopowe. W ich świetle widzę suchy lód wydobywający się z maszyny do robienia dymu i jednego laskojada tańczącego na parkiecie w rytm "New Sensation" INXS, piosenki dudniącej w głośnikach z taką mocą, że drga każdy nerw w naszych ciałach. Każę Evelyn iść do baru i zamówić dla nas dwa kieliszki szampana. - Och, oczywiście - odkrzykuje i maszeruje posłusznie w kierunku białego, cienkiego, neonowego paska, który z pewnością oznacza miejsce, gdzie podaje się alkohol. Udaje mi się załatwić gram od kogoś, kto wygląda jak Mike Donaldson. Przez dziesięć minut wpatruję się w laskojada i zastanawiam się, czy machnąć ręką na Evelyn czy też nie; w końcu problem rozwiązuje się sam, bo pojawia się moja narzeczona z dwoma wysokimi kieliszkami wypełnionymi do połowy szampanem, oburzona i smutna. - To Kor-

bel - krzyczy. - Chodźmy stąd. - Kręcę przecząco głową i wrzeszczę. - Idziemy do toalety. - Posłusznie rusza za mną.

Jedyna toaleta w klubie jest przeznaczona dla pań i dla panów. Są już w niej dwie inne pary: jedna z nich siedzi w kabinie, druga czeka niecierpliwie - podobnie jak my - na swoją kolej. Dziewczyna ubrana jest w jedwabną dżersejową górę, jedwabno-szyfonową spódnicę i jedwabne pantofle zapinane na pasek - całość od Ralphi Laurena. Jej chłopak ma na sobie garnitur uszyty przez - jak mi się wydaje - Williama Fioravantiego lub Vincenta Nicolosiego, a może Scaliego -w każdym razie przez jakiegoś makaroniarza. Oboje trzymają w dłoniach kieliszki z szampanem: jego jest pełny, jej pusty. W toalecie panuje cisza, którą przerywają od czasu do czasu pociągania nosem i śmiech dochodzący z kabiny. Drzwi prowadzące do klubu są wystarczająco grube, by wygłuszyć muzykę. Słyszymy jedynie jej głęboki, basowy rytm. Facet przytupuje niecierpliwie nogą.

Dziewczyna wzdycha i przerzuca włosy przez ramię, poruszając przy tym zmysłowo głową. Rzuca okiem na Evelyn i na mnie i szepcze coś do swojego partnera. W końcu, po następnej wymianie uwag na ucho kiwają głowami i wychodzą.

- Bogu niech będą dzięki - mruczę dotykając palcami koperty z kokainą w kieszeni marynarki. - Dlaczego nic nie mówisz? - pytam Evelyn.

- Sałatka Waldorf - odpowiada szeptem nie patrząc na mnie. - Cholera. - Słysząc trzask otwieranego zamka i z kabiny wychodzi siedząca tam do tej pory para: facet ubrany jest w dwurzędowy wełniany garnitur w kawaleryjski diagonal, bawełnianą koszulę i jedwabny krawat - całość od Givenchy, dziewczyna ma na sobie jedwabno-taftową sukienkę ze strusią lamówką od Goeffreya Beene'a, kolczyki z pozłacanego srebra z kolekcji Stephen Dweck Modernę i aksamitne baletki od Chanel. Oboje dyskretnie wycierają sobie nawzajem nosy, przeglądają się w lustrze i wychodzą z toalety. Ruszamy do wolnej kabiny, gdy nagle do środka wpada para, która zrezygnowała z kolejki i próbuje wepchnąć się przed nas.

- Państwo w y b a c z ą - mówię wyciągając rękę i blokując wejście do kabiny. - Teraz nasza kolej. Wydaje mi się, że eee... zrezygnowaliście.

- Och nie, wprost przeciwnie - odpowiada nijako facet.

- Patricku - Evelyn szepcze za moimi plecami. - Pozwól im... no wiesz.

- Nie, zaczekaj. Teraz nasza kolej - mówię.

- Taa, ale to my byliśmy pierwsi.

- Posłuchajcie, nie mam zamiaru kłócić się z wami...

- Więc po co to robisz? - przerywa mi dziewczyna wyraźnie znudzona, lecz zdolna do uszczypliwości.

- O rany - mruczy Evelyn i spogląda na nich nad moim ramieniem.

- Słuchaj, może załatwimy to tutaj - wypływa z siebie dziewczyna, którą z przyjemnością bym wyjeżdżał.

- Cholerna d z i w k a - mruczę kręcąc głową.

- Posłuchaj - mówi pojednawczo facet. - Tracimy czas na kłótnie, podczas gdy ktoś mógłby już siedzieć w środku.

- Owszem - mówię. - M y.

- Chryste - wzdycha dziewczyna, kładzie ręce na biodrach i patrzy wyzywająco na Evelyn. - Aż trudno uwierzyć, kogo tu teraz wpuszczają.

- Ty s z m a t o - syczę nie mogąc uwierzyć własnym uszom. - Twój pogląd na rzeczywistość cuchnie, wiesz o tym?

Evelyn dyszy ciężko i chwyta mnie za ramię. - P a t r i c k u.

Facet zabrał się już za wciąganie koki. Wyjmuje narkotyk z brązowej fiołki przy pomocy małej łyżeczki; po każdym niuchu wybucha śmiechem i opiera się o drzwi.

- Twoja dziewczyna to s t u p r o c e n t o w a zdzira - zwracam się do niego.

- Patricku - mówi Evelyn. - Przestali.

- Jest zdzira - powtarzam i pokazuję ją palcem.

- P a t r i c k u, przepros - nalega Evelyn.

Facet wyje histerycznie z głową odrzuconą do tyłu, bierze następną porcję, powtarza w drugą dziurkę i próbuje złapać oddech.

- O mój B o ż e - zwraca się do niego oburzona Evelyn. - Z czego się śmiesz? Broń jej.

- Dlaczego? - pyta chłopak wzruszając ramionami. Wokół nozdrzy ma biały proszek. - On ma rację.

- Wychodzę, Danielu - mówi dziewczyna bliska płaczu. - Mam już tego dość. Mam dość ciebie. Mam dość i c h. Ostrzegałam cię w Kobalcie.

- Idź - mówi facet. - Idź. Zrób to. Przeleć się. Guzik mnie to obchodzi.

- Patricku, to wszystko przez ciebie - mówi Evelyn odsuwając się ode mnie. - To jest nie do przyjęcia. - Zadziera dumnie głowę. - Podobnie jak to oświetlenie. Wychodzę. - Ale nie rusza się z miejsca i czeka.

- Wychodzę, Danielu - powtarza dziewczyna. - Słyszałeś?

- Idź. Przewietrz się. Spadaj - mówi Daniel oglądając się w lustrze. Macha do niej ręką. - Powiedziałem ci, żebyś poszła.

- Wchodzę do kabiny - informuję wszystkich obecnych. - Czy ktoś ma coś przeciwko temu?

- Nie masz zamiaru stanąć w obronie swojej dziewczyny? - Evelyn pyta Daniela.

- Chryste, co mam według ciebie zrobić? - Patrzy na nią w lustrze wycierając nos i biorąc następną działkę. - Postawiłem jej obiad. Przedstawiłem ją Ri-chardowi Marxowi. Na rany Chrystusa, czego jeszcze może chcieć?

- Wpierdol mu - proponuje dziewczyna wskazując mnie palcem.

- Małeńka - mówię kręcąc głową - Nawet nie wyobrażasz sobie, co mógłbym ci zrobić przy pomocy zwykłego wieszaka do ubrań.

- Do widzenia, Danielu - żegna się dziewczyna i robi dramatyczną przerwę. - Wychodzę stąd.

- Dobrze - odpowiada Daniel podnosząc fiolkę. - Będzie więcej pour moi.

- I nie dzwoń do mnie więcej - wrzeszczy otwierając drzwi. - Mam włączoną automatyczną sekretarkę i będę podsłuchiwała wszystkie rozmowy!

- Patricku - odzywa się Evelyn z wystudiowaną godnością. - Czekam na zewnątrz.

Patrzę na nią przez chwilę z wnętrza kabiny, a potem przenoszę wzrok na dziewczynę. - Tak... i co?

- Patricku - napomina mnie Evelyn. - Nie mów niczego, czego później będziesz żałował.

- Idź już - polecam jej. - Wyjdź. Weź limuzynę..

- Patricku...

- W y n o ś się - ryczę. - Gbur każe ci wyjść!

Zatrząskuję drzwi kabiny i wpycham kokę do nosa przy pomocy platynowej karty American Express. Pomiędzy jednym niuchem a drugim słyszę, jak Evelyn wychodzi z toalety i łkając skarży się dziewczynie: - K a z a ł mi wyjść z mojego własnego świątecznego przyjęcia, możesz w to uwierzyć? Z m o j e g o świątecznego party! - Na co tamta odpowiada ze złością: - Co za życie! - Wybucham histerycznym śmiechem, walę głową o ścianę kabiny, a potem słyszę, że facet ładuje sobie dalej i w końcu wychodzi. Przyjmuję większą część zawartości koperty i otwieram lekko drzwi, żeby sprawdzić, czy Evelyn rzeczywiście wyszła i czy nie stoi w kiblu zapłakana, z obrażoną miną i przygryzioną dolną wargą - uuu-aaa-uuu-eee - ale nie ma jej i nagle wyobrażam sobie Evelyn i dziewczynę Daniela razem w łóżku: dziewczyna Daniela rozkłada nogi Evelyn, która klęczy z głową zadartą do góry i czeka, aż tamta zacznie lizać jej dupę, wsadzać palce do cipy... Robi mi się słabo, wychodzę z toalety do klubu podniecony i zrozpaczony zarazem, marząc o kontakcie z inną istotą ludzką.

Jest już dosyć późno i w Chernoble są teraz nowi goście: głównie punkowcy i czarni. Zostało niewielu facetów z Wall Street, za to więcej jest znudzonych, łąjących w tę i z powrotem bogatych dziewczyn z Alei A. Muzyka także jest inna: zamiast Belindy Carlisle śpiewającej "I Feel Free", rapuje jakiś czarny gość, a utwór ma tytuł - jeśli dobrze słyszę - „Jej gówno na mym chuju”. Przesuwam się bokiem w stronę dwóch bogatych laskojadów ubranych jak kurwy w sukienki w typie Betsey Johnson. Jestem naćpany po czubki uszu i zagajam do dziewczyn mniej więcej tak: - Muzyka jest cool. Czy ja przypadkiem nie widziałem was u Salomon Brothers? - Na co jedna z nich zadziera nos i mówi: - Wracaj na Wall Street. - A druga z k o l c z y k i e m w nosie dodaje: - Pierdolony yupiszon.

Mówią tak, choć w panujących w klubie ciemnościach mój garnitur wygląda na czarivvy, a krawat - kaszmirowo-jedwabny Armani - mam poluzowany.

- Hej - zwracam się do nich zgrzytając zębami. - Możecie myśleć, że jestem obrzydliwym yuppie, ale tak naprawdę to nim nie jestem. - Łykam ślinę nabuzo-wany do szaleństwa.

Przy stole dziewczyn siedzi dwóch czarnych facetów. Obaj mają na sobie czarne džinsy, czarne podkoszulki i czarne skórzane marynarki. Jeden z nich ma lustrzane okulary, drugi ogoloną na łyso głowę. Wpatrują się we mnie. Wyciągam do nich rękę pod jakimś dziwnym kątem i próbuję naśladować sposób mówienia raperów.

- Hej. Kumam czacze. Jestem cool, jak... no wieta...bra... brachu... - Wypijam łyk szampana. - Wieta, nie... c o o l.

Żeby się w pełni uwiarygodnić, podchodzę do faceta z kołtunem na łbie i krzyczę: - Rasta, człowieku! Rasta Mań! - i podnoszę dłoń w oczekiwaniu na górną piątkę. Lecz czarnuch tylko się gapi na mnie.

- Chciałem powiedzieć... - kaszlę - Men...? - Potem już z mniejszym entuzjazmem dodaje: - Moja i twoja... eee... nasza... przydzemować...

Przechodzi dalej kręcąc głową. Odwracam się do dziewczyn, które również kręcą głowami dając mi do zrozumienia, że mam je zostawić w spokoju. Przenoszę wzrok na laskojada, który tańczy samotnie obok kolumny, a potem kończę szampana, podchodzę do niej i pytam o numer telefonu. Uśmiecha się. Wychodzę.

NELL

Północ. Siedzę przy stole u Nell z Craigiem McDermottem i Alexem Tay-lorem - któremu przed chwilą urwał się film - oraz trzema modelkami o imionach Libby, Daisy i Caron z Agencji Elite. Jest połowa maja, zbliża się lato, ale w klubie jest chłodno dzięki klimatyzacji. Z głośników sący się lekka muzyka jazzowa, pod sufitem wypełnionej do połowy sali obracają się wentylatory, a na zewnątrz czeka na wejście i moknie w deszczu dwudziestoosobowy tłum - morze ludzi. Libby jest blondynką i ma na sobie czarne atlasowe wieczorowe pantofle na wysokim obcasie od Yvesa Saint Laurenta z przesadnie ostrymi czubkami i czerwonymi satynowymi kokardami. Daisy ma jaśniejsze włosy, a na nogach satynowe pantofle na słupku ze ściętym czubkiem oraz czarne rajstopy od Betsey Johnson przetykane srebrną nitką. Caron jest platynową blondynką i włożyła dziś skórzane botki na półsłupku z kolekcji Karla Lagerfelda z ostrymi lakierowanymi czubkami i welniano-tweedową wywijaną cholewką - całość zaprojektowana dla Chanel. Wszystkie trzy ubrane są w krótkie czarne sukienki z welnianej

dzianiny od Giorgia di Sant'Angelo i piją szampana z sokiem żurawinowym i brzoskwiniowym sznappsem. Wszystkie trzy palą niemieckie papierosy - nie narzekam, ale uważam, że w najlepszym interesie Nell byłoby wydzielenie sali dla niepalących. Dwie mają na nosie okulary przeciwsłoneczne od Giorgia Armaniego. Libby cierpi z powodu zmiany strefy czasu. Z całej trójki Daisy jest jedyną, którą chciałabym wyjechać. Wcześniej spotkałem się z moim adwokatem w sprawie jakichś sfabrykowanych oskarżeń o gwałt, po czym doświadczyłem napadu lęku u Deana & Deluki. Pokonałem lęk ćwiczeniami w Xclusive. Potem spotkałem się z modelkami w Trump Plaza. Po drinkach poszliśmy na francuski film, który był dla mnie kompletnie niezrozumiały, ale ponieważ dużo się o nim mówiło, musiałem go zaliczyć. Po kinie obiad w barze sushi, który nazywa się Jaskrawość i mieści się obok Lincoln Center, stamtąd poszliśmy na przyjęcie do ekskłopa-ka jednej z modelek, u którego podawano obrzydliwą, owocową sangrię. Zeszłej nocy moje sny były tak wyraziste jak filmy pornograficzne. Śniło mi się, że pieprzę dziewczyny wycięte z tektury. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był aerobikowi.

Jestem ubrany w welniany garnitur zapinany na dwa guziki, spodnie z zakładkami - całość od Luciano Soprano, bawełnianą koszulę od Brooks Brothers i jedwabny krawat od Armaniego. McDermott ma na sobie welniany garnitur od Lubiama z lnianą chusteczką od Ashear Bros. w kieszonce, do tego bawełnianą koszulę od Rapha Laurena i jedwabny krawat od Christiana Diora. W tej chwili ma właśnie rzucić monetę, żeby wylosować który z nas zejdzie na dół po Proszek Boliwijskich Kawalerzystów. Ż a d e n z nas nie chce zostać przy stole z dziewczynami, chwiaż prawdopodobnie obaj chcielibyśmy je wyruchać. Nie chcemy jednak - co gorsza nawet nie może m y (jak się okazało) - rozmawiać z nimi (choćby i protekcjonalnie): dziewczyny nie mają po prostu n i c do powiedzenia, co jak przypuszczam nie powinno być dla nas zaskoczeniem. Mimo to czujemy się nieco zdezorientowani. Taylor siedzi prosto z zamkniętymi oczyma i lekko otwartymi ustami; początkowo sądziliśmy z McDermottem, że kontestuje w ten sposób brak więzi werbalnych z naszymi partnerkami, potem jednak doszliśmy do wniosku, że jest rzeczywiście ujebyany na śmierć (w zasadzie był już niezbyt komunikatywny od czasu, gdy wypił trzy sake w Jaskrawości), jednak żadna z dziewczyn nie zwraca na niego uwagi - może z wyjątkiem siedzącej obok niego Libby, choć to wątpliwe, nawet bardzo wątpliwe.

- Orzeł, orzeł, orzeł - szepczę na wdechu. McDermott rzuca monetę.

- Reszka, reszka, reszka - intonuje i kładzie dłoń na pieniążku, który wylądował na serwetce.

- Orzeł, orzeł, orzeł - syczę i modłę się w duchu. Unosi dłoń. - Reszka - mówi patrząc mi w oczy. Przez długą chwilę przyglądam się ćwierćdolarówce, a potem mówię do McDennotta: - Rzuć jeszcze raz.

- No to cześć - rzuca zerkając na dziewczyny. Wstaje, spogląda na mnie i z politowaniem kręci głową. - Słuchaj - przypomina mi - chcę jeszcze jedno martini. Absolut. Podwójny. Bez oliwki.

- Pośpiesz się - wołam za nim, a potem - widząc jak macha do mnie radośnie ze szczytu schodów - dodaję szeptem: - Pojebany kretynie.

Odwracam się do dziewczyn. Za nami siedzą jakieś Eurośmieci podejrzenie przypominające brazylijskich transwestytów. Drą się zgodnym chórem. Zastanówmy się... W sobotę wieczorem idę na mecz Metsów z Jeffem Hardingiem i Leonardem Davisem. Na niedzielę pożyczam filmy z Rambo. Nowy rower treningowy Lifecycle przywiozą mi w poniedziałek... Przyglądam się trzem modelkom przez nieskończenie długą chwilę. Miną kolejne minuty zanim którakolwiek otworzy usta... zauważam nagle, że ktoś zamówił talerz plasterków papai, ktoś inny talerz szparagów i oba talerze stoją nietknięte. Daisy ostrożnie taksuje mnie wzrokiem, kieruje usta w moją stronę i wypuszcza z nich chmurę dymu, który sływa po moich włosach i na szczęście omija oczy ukryte za okularami od Olivera Peoplesa z zerowymi szklami w palisandrowej oprawie - noszę je przez cały wieczór. Druga modelka, Libby - cierpiąca z powodu nagłej zmiany stref czasowych - głęboko zastanawia się nad sposobem rozłożenia serwetki. O dziwo poziom mojego sfrustrowania jest zaskakująco niski, mogło być gorzej. Mogliśmy trafić na A n g i e l k i. Musielibyśmy pić... herbatę.

- No więc... - zaczynam i klaszczę w dłonie udając poruszenie -...mieliśmy dzisiaj upał, nie?

- Dokąd poszedł Greg? - pyta Libby, która dopiero teraz zauważyła brak McDennotta.

- Na dole jest Gorbaczow - odpowiadam. - McDermott, to znaczy Greg, poszedł podpisać układ o współpracy i wzajemnej przyjaźni między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim - przerywam próbując zbadać ich reakcje, a potem dodaję: - McDermott, rozumiecie, popiera gktsnost.

- No... taaa... - mówi Libby głosem pozbawionym jakiejkolwiek barwy i kiwa głową. - Ale przedtem powiedział mi, że zajmuje się... tymi no... co się z nich strzela... o mam już: fuzjami...

Patrzę na śpiącego Taylora. Strzelam dosyć mocno jego szelką - żadnej reakcji, żadnych oznak życia. Odwracam się do Libby. - Nie pomyliło ci się, prawda?

- Nie - mówi wzruszając ramionami. - Chyba nie.

- Na dole nie ma Gorbaczowa - wtrąca się nagle Caron.

- Okłamujesz nas? - pyta z uśmiechem Daisy.

O rany!, myślę sobie. - Tak. Caron ma rację. Na dole nie ma Gorbaczowa. Jest w Tunelu. Wybaczcie. Kelnerka! - wołam i łapię przechodzącego laskojada, który ubrany jest w koronkową suknię od Billa Blassa z jedwabnym organtyno-wyin żabotem. - Proszę J&B z lodem i nóż rzeźnicki albo coś ostrego z kuchni. Dziewczęta?

Żadna nie reaguje. Kelnerka wpatruje się w Taylora. Rzucam na niego okiem, a potem przenoszę wzrok na laskojada, po czym znów patrzę na Taylora. - Dla niego sorbet, eee, grapefruitowy i powiedzmy... jedną szkocką, okay?

Kelnerka nie reaguje.

- Przepraszam, kochanie - macham jej ręką przed nosem. - J&B? Z lodem? - mówię głośno przekrzykując orkiestrę jazzową, która gra właśnie bardzo przyjemną wersję "Take Five".

W końcu kiwa głową.

- A dla nich... - wskazuję ręką na dziewczyny -...to co przedtem. Piwo imbirowe? Mrożone wino?

- Nie - mówi Libby. - Szampan. - Pokazuje palcem kieliszki, a potem zwraca się do Caron: - Prawda?

- Chyba - Caron wzrusza ramionami.

- Że sznapsem brzaskwiniowym - przypomina jej Daisy.

- Szampan - powtarzam kelnerce. - Z tym tam... sznapsem brzaskwiniowym. Pojmujesz?

Kelnerka kiwa głową i zapisuje coś w notesie. W końcu odchodzi, a ja wpatruję się w jej tyłek. Po chwili odwracam się do dziewczyn i zaczynam przyglądać się im badawczo szukając wzrokiem

jakiegoś znaku, szczeliny, pęknięcia, najmniejszej rysy na ich twarzach żywych automatów. W sali jest ciemno i moje nadzieje na odnalezienie jakichś ludzkich cech w tych robotach spełzają na niczym, więc po raz drugi klaszczę w dłonie i wciągam powietrze w płuca. - No więc mieliśmy dzisiaj straszny upał. Prawda?

- Muszę sobie kupić nowe futro - wzdycha Libby wpatrując się w swój kieliszek.
 - Do kostki czy do kolan? - pyta Daisy takim samym bezbarwnym głosem.
 - Może etolę? - sugeruje Caron.
 - Albo do kostki, albo... - Libby przerywa i zastanawia się głęboko przez całą minutę. - Widziałam takie krótkie, milutkie w dotyku...
 - Z norek, prawda? - pyta Daisy. - Na pewno norki.
 - Taa. Norki - mówi Libby.
 - Hej, Taylor - szepczę szturchając go pod żebro. - Obudź się. Rozmawiają. Musisz to zobaczyć.
 - Ale jakie? - Caron dostaje słowotoku.
 - Nie sądzisz, że niektóre futra z norek są zbyt... p u s z y t e? - pyta Daisy.
 - Rzeczywiście, niektóre futra z norek są zbyt puszyste - to Libby.
 - B a r d z o modny jest srebrny lis - wtrąca Daisy.
 - Odcienie beżu są także niesamowicie modne - oświadcza Libby.
 - Które to? - pyta któraś z nich.
 - Ryś. Szynszyle. Gronostaje. Bobry...
 - Halo? - Taylor budzi się i mruga oczami. - Tu jestem.
 - Śpij dalej, Taylor - wzdycham.
 - A gdzie pan McDermott? - pyta przeciągając się.
 - Wałęsa się na dole. Szuka koki - rzucam leniwie.
 - Srebrny lis jest bardzo modny - mówi jedna z nich.
 - Szopy. Tchórze. Wiewiórki. Piżmoszczury. Mongolskie karakuły.
 - Czyja śnię... - zwraca się do mnie Taylor - ...czy rzeczywiście słyszę rozmowę?
 - Coś w tym rodzaju - krzywię się. - Ciii, posłuchaj, to bardzo inspirujące.
- Nieco wcześniej, gdy byliśmy w restauracji, McDermott znajdujący się wówczas w stanie totalnej frustracji zapytał dziewczyny czy znają nazwę jakiejkolwiek z dziewięciu planet. Libby i Caron obstawiały Księżyc. Daisy nie była pewna, ale postanowiła strzelać i powiedziała: kometa. Naprawdę! Zupełnie wygłupieni zapewniliśmy ją, że w istocie ma rację: kometa jest planetą.
- No cóż, teraz łatwo jest znaleźć dobre futro - mówi ospale Daisy. - Odkąd na rynku futrzarskim pojawili się projektanci z gotowymi wyrobami, zwiększył się asortyment produktów, ponieważ każdy projektant wybiera inną skórę, by nadać swojej kolekcji indywidualny charakter.
 - To takie przerażające - mówi Caron i diży na całym ciele.
 - Nie ma się czego bać - zapewnia Daisy. - Futro jest jędrnie dodatkiem, dlatego nie powinno cię onieśmielać.
 - Luksusowym dodatkiem - stwierdza Libby.

Spoglądam na wszystkich obecnych przy stole i pytam: - Czy ktoś miał kiedyś w rękę dziewięćmilimetrowy Uzi TEC? To pistolet. Jest bardzo użyteczny ze względu na możliwość stosowania tłumika, który zwiększa długość luft- - kiwam głową.

- Futra nie powinny onieśmielać - Taylor patrzy na mnie i dodaje pustym głosem: - Stopniowo dowiaduję się coraz ciekawszych rzeczy.

- Są jednak luksusowym dodatkiem - powtarza Libby.

Pojawia się kelnerka i stawia na stole drinki oraz półmisek z sorbetem gra-pefruitowym. Taylor przygląda się deserowi i mówi mrugając oczami: - Ja tego nie zamawiałem.

- Owszem, zamawiałeś - informuję go. - Zamówiłeś go przez sen. Spałeś i kazałeś przynieść sobie sorbet.

- Nieprawda - protestuje niezbyt stanowczo.

- W porządku go zjem - oświadczam. - Słyszysz? - Stukam głośno palcami o stół.

- Karl Lagerfeld odpada - mówi Libby.

- Dlaczego? - Caron.

- Oczywiście z powodu kolekcji Fendi - odpowiada Daisy zapalając papierosa.

- Podobają mi się mongolskie karakulu z dodatkiem kretów albo... - Caron zaczyna chichotać -...ten skórzany żakiet wykończony persami.

- Co sądzisz o Goeffreyu Beene? - pytają Daisy.

Caron zastanawia się. - Białe satynowe kołnierzyki... tandeta.

- Ale te jego cudo w n e tybetańskie jagnięta... - wtrąca Libby.

- Carolina Herrera? - pyta Caron.

- Nie, nie, zbyt puszyste - mówi Daisy potrząsając głową.

- Zbyt dziewczęce - zgadza się Libby.

- A James Galanos ma najpiękniejsze brzuszki rosyjskich rysy - dodaje Daisy.

- I nie zapominajcie o Arnoldzie Scaasim. Białe gronostaje - przypomina Libby. - Oddałabym za nie ż y c i e.

- Naprawdę? - uśmiecham się. - Oddałabyś za nie życie?

- Oddałabym za nie życie - powtarza Libby zgadzając się ze mną po raz pierwszy tego wieczoru.

- Taylor, uważam, że wyglądałbyś rozkosznie w futrze od... eee... Goefffreya Beene - mówię wysokim, pedalskim głosem i poklepuję go luźną w nadgarstku dłonią po ramieniu. Znowu zasnął, więc nie może docenić mojego kunsztu. Cofam rękę z westchnieniem.

- To Miles... - Caron wpatruje się w jakiegoś podstarzałego goryla przy stole obok, z ostrzyżoną najeża siwiejącą głową i jedenastoletnią sikszą rozpartą na kolanach.

Libby odwraca głowę chcąc się upewnić. - Zdawało mi się, że kręci ten film o Wietnamie w Filadelfii.

- Nie w Filadelfii tylko na F i l i p i n a c h - poprawiają Caron.

- Doprawdy? - mówi z niedowierzaniem Libby. - Jesteś pełnia?

- Taa. Zresztą już go skończył - odpowiada Caron zupełnie bez przekonania i mruga oczami. - Zresztą... grali już ten film. - Znowu mruga. - Zresztą wydaje mi się, że... grali go w zeszłym roku. Zerkają na sąsiedni stół bez specjalnego zainteresowania, po czym odwracają się, a ich wzrok trafia na śpiącego Taylora. Caron wzdycha i pyta Libby: -Może powinniśmy iść się przywitać?

Libby bardzo powoli kiwa głową, a na jej twarzy pojawia się jakiś zagadkowy uśmiech, który dostrzegam w świetle świecy, gdy wstaje. - Wybaczcie nam. -Odchodzą. Daisy zostaje i sący szampana z kieliszka Caron. Wyobrażam ją sobie nagą, martwą, z robakami wżerającymi się w jej ciało, uczującymi na jej brzuchu poniżej wypalonych papierosem sutków, a potem Libby przyłączającą się do biesiady... Chrząkam. - No więc, rzeczywiście było dzisiaj strasznie gorąco, prawda?

- Prawda - zgadza się ze mną.

- Zadaż mi jakieś pytanie - wracam się do niej w przypiływie, no cóż, spontaniczności. Zaciąga się papierosem i wypuszcza dym. - No więc, czym się zajmujesz?

- A na kogo według ciebie wyglądam - rozbrykałem się.

- Model? - wzrusza ramionami. - Aktor:*

- Nie. Pochlebiasz mi, ale się mylisz.

- No więc?

- Ogólnie rzecz biorąc, och, morduję i wypruwam bebechy - mówię z grymasem na ustach.

- Lubisz to? - pyta spokojnie.

- Hmm... To zależy. Dlaczego? - biorę do ust kawałek sorbetu.

- No cóż, większość facetów, którzy kupują i sprzedają pakiety, nie lubi swojej pracy.

- Nie zrozumiałaś mnie - zauważam z wymuszonym uśmiechem i kończę J&B. - A zresztą, nieważne.

- A teraz ty zadaż mi pytanie - rozkazuje.

- Okay. Dokąd jeździsz... - przerywam czując, że nagle brakuje mi słów -... na wakacje?

- Maine - odpowiada. - Zapytaj o coś innego.

- Gdzie ćwiczysz?

- Mam prywatnego trenera. A ty?

- Xclusive - mówię. - Na Upper West Side.

- Naprawdę? - I Jśmiecha się dostrzegając kogoś za moimi plecami. Po chwili ma już taki sam wyraz twarzy jak poprzednio, a jej głos pozostaje bezbarwny i płaski. - Francesca. O mój Boże. To Francesca. Spójrz.

- Daisy! I Patrick, ten s z a t a n! - piszczy Francesca. - Daisy, coś ty na Boga robisz z takim o g i e r e m jak Bateman? - Wsuwa się do naszej łóż. Towarzyszy jej jakaś znudzona blondynka, której nie rozpoznaję. Francesca ubrana jest w aksamitną sukienkę z kolekcji Saint Laurent Rive Gauche, a dziewczyna, której nie znam, ma na sobie wełnianą suknię od Geoffreya Beena. Obie założyły dziś naszyjniki z pereł.

- Cześć, Francesca - mówię.

- Daisy, mój Boże, Ben i Jerry są t u t a j. U w i e l b i a m Bena i Jeny. -Przypuszczam, że tak brzmią jej słowa wypowiedane na bezdechu z szybkością karabinu maszynowego, w zasadzie wykrzykiwane, zagłuszające lekką muzykę

orkiestry jazzowej. - A ty co o nich sądzisz? - pyta z szeroko otwartymi oczyma, po czym chiypi do przechodzącej kelnerki: - Sok pomarańczowy! Chcę sok p o m a r a ń c z o w y! Jezu Chryste, co za kurewska obsługa! Coś trzeba z tym z r o b i ć! Gdzie jest Nell? Muszę jej o tym powiedzieć - bełkocze rozglądając się po sali. Odwraca się do Daisy. -Jak moja cera? Bateman, Ben i Jeny są tutaj. Nie patrz na mnie jak idiota! O Boże, żartuję. Uwielbiam Patricka, ale rusz się, Bateman, nabierz życia, ty ogierze, Ben i Jeny są tutaj. - Mruga do mnie lubieżnie, a potem oblizuje obie wargi. Francesca pisuje do Vanity Fan.

- Ale ja już... - przerwani i patrzą zaniepokojony na swój sorbet. -Ja już zamówiłem sorbet grapefruitowy. - Ponuro wskazuję na talerz i jestem zmieszany. - Nie chcę lodów.

- Na Boga, Bateman, J a g g e r jest tutaj. Mick. Jerry. Rozumiesz? - wykrzykuje do nas i bez przerwy rozgląda się po sali. Wyraz twarzy Daisy pozostaje nie zmieniony. - Co za y-u-p-p-i-e! - syczy Francesca do blondynki, która jej towarzyszy, a potem rzuca okiem na mój sorbet, który przysuwam do siebie z czułością.

- Taa! - wykrzykuję. -Jeszczejedna noc, jeszcze jedna noc z tobą... - nucę, a przynajmniej tak mi się wydaje. - Wiem, kim jest Jagger.

- Schudłaś, Daisy, chce mi się rzygać, jak na ciebie patrzę. Tak czy inaczej, to jest Alison Poole, która także schudła i jej widok również przyprawia mnie o mdłości - mówi Francesca i klepie mnie lekko w dłoń, którą zakrywam sorbet, a potem przyciąga do siebie talerz. - A to jest Daisy Milton i Patrick...

- Spotkaliśmy się - mówi Alison wpatrując się we mnie.

- Cześć, Alison. Pat Bateman - wyciągam do niej rękę.

- S p o t k a l i ś m y się - powtarza i ppręża mnie wzrokiem.

- Hm... Czyżby? - pytam.

Francesca wrzeszczy: - Boże, spójrz na profil Batemana. Wygląda jak C e-z a r. I te rzęsy.

Daisy uśmiecha się z aprobatą. Zachowuję spokój i nie zwracam na nie uwagi.

Rozpoznaję w Alison dziewczynę, którą załatwiłem zeszłej wiosny na der-bach w Kentucky, na które pojechałem z Evelyn i jej rodzicami. Pamiętam, że wrzeszczała, gdy próbowałem wepchnąć całe ramię - w gumowej rękawiczce posmarowanej wazeliną, pastą do zębów, wszystkim, co akurat było pod ręką -do jej pochwy. Była pijana, naćpana kokainą, związałem ją kablem, zalepiłem jej usta taśmą izolacyjną, którą owinąłem też jej twarz i piersi. Przedtem Francesca ciągnęła mi druta. Nie pamiętam, gdzie to było, ani kiedy, ale z pewnością ciągnęła mi druta i bardzo mi się to podobało. Nagle przypomniałem sobie z bolesną rozkoszą, że chciałem wykrwawić Alison na śmierć tamtego popołudnia zeszłej wiosny i coś mi przeszkodziło. Była na strasznym łajaju. "O mój Boże" -jęczała przez dobrych kilka godzin i choć z nosa płynęła jej krew, nie skarżyła się i nie płakała. Może na tym polegał problem, może właśnie to ją ocaliło. Wygrałem masę pieniędzy podczas tamtego weekendu stawiając na konia, który nazywał się Ekshibicjonista.

- No cóż... Cześć - uśmiecham się słabo i po chwili odzyskuję zwykłą pewność siebie. Alison nie opowie nikomu co wtedy zaszło. Nikt nigdy nie dowie się o cudownym i przerażającym popołudniu, jakie spędziliśmy we dwoje. Uśmiecham się do niej w półmroku sali jadalnej u Nell. -

Taa, teraz sobie przypominam. Byłaś prawdziwą... - przerwani i kończę groźnie -...pułapką dla mężczyzny.

Nie odpowiada i gapi się na mnie jakbym stanowił przeciwieństwo rozwoju cywilizacyjnego, czy coś w tym rodzaju.

-Jezu, Taylor śpi czy tylko umarł? - pyta Francesca kończąc mój sorbet. -

O mój Boże, czy ktoś czytał dzisiaj Stronę Szóstą? Pisali o mnie, o Daisy też. loT^fly.

Alison wstaje nie patrząc na mnie. - Idę na dół poszukać Skipa. Chcę potańczyć. - Odchodzi.

Wraca McDermott. Omiata wzrokiem przechodzącą Alison i siada obok mnie.

- Załatwiłeś coś? - pytam.

- Nic z tego - mówi wycierając nos. Bierze mojego drinka, unosi do ust

1 wacha. Upija łyk i zapala papierosa z paczki Daisy. Przygląda mi się pocierając zapałkę, przedstawia się Francesce, a potem znów patrzy na mnie. - Dlaczego jesteś taki zdziwi o n y, Bateman? To się z d a r z a.

Przez chwilę nic nie mówię, a potem pytam: - Czy ty sobie, eee, przypadkiem ze mną nie lecis... McDermott?

- Nie. Nie miałem szczęścia, zdarza się.

Znowu milczę. Opuszczam głowę i wzdycham. - Słuchaj, McDermott, ja doskonale cię znam. Wiem na co cię stać.

- Pierdoliłem się z nią - mówi pociągając nosem i wskazując jakąś dziewczynę kilka stołów dalej. Po czole spływa mu obficie pot, cuchnie Xeryusem.

- Naprawdę? Niesamowite. A teraz posłuchaj mnie... - przerywam, bo zauważyłem coś kątem oka.

- F r a n c e s c a...

- Co? - podnosi głowę, sorbet cieknie jej po brodzie.

- Zjadłaś mój sorbet - pokazuję jej talerz.

Przełyka i patrzy na mnie. - Rozchmurz się, Bateman. Co chcesz ode mnie w zamian, mój wspaniały ogierze? Test na AIDS? O mój Boże, jak już jesteśmy przy AIDS... ten facet tam... Krafft? Uuups, już go straciliśmy.

Facet, którego pokazuje Francesca siedzi przy stoliku pod sceną, na której gra orkiestra jazzowa. Ma bardzo chłopięcą twarz, zaczesane do tyłu włosy i ubrany jest w garnitur z plisowanymi spodniami i jedwabną koszulę w jasnoszare groszki od Comme des Garçons Homme. Popija martini i łatwo można go sobie wyobrazić w czyjejs sypialni tej nocy. Zatai prawdę, okłamie dziewczynę, którą być może będzie jego towarzyszką: blondynka, duże cycki, ubrana w nabijaną ćwiekami sukienkę od Giorgia di Sant'Angelo.

- Może powinniśmy jej powiedzieć? - proponuje ktoś.

- O nie - sprzeciwia się Daisy. - Nie róbmy tego. Ona wygląda mi na dziwkę.

- Posłuchaj mnie, McDermott - pochylam się w jego stronę. - Ty masz kokę. Widzę to po twoich oczach. Nie wspominając już o tym kurewskim pociąganiu nosem.

- Nie. Odpowiedź n e g a t i f n a. Nie dzisiaj, najdroższy - kręci głową. Oklaski dla orkiestry - klaszcze cały stół, nawet Taylor, którego Francesca

niechcący obudziła. Odwracam się od McDermotta. Jestem potężnie wkurwiony, mimo to klaszczę, jak wszyscy. Caron i Libby wracają do nas i Libby mówi: -Caron musi jutro lecieć do Atlanty. Zdjęcia do Vogue's. Wychodzimy. - Ktoś prosi o rachunek. McDermott płaci swoim złotym AmExem, co ostatecznie dowodzi, że jest naćpany, ponieważ normalnie słynie ze swego skąpstwa.

Na dworze jest duszno, pada leciutka mżawka, która wygląda prawie jak mgła, błyska się, ale nie słychać grzmotów. Idę za McDermottem gotowy na wszystko i wpadam na faceta w wózku inwalidzkim, faceta, który siedzi tu odkąd przyjechaliśmy: podjeżdża do lin zamykających wejście i cofa się, wraca na chodnik i znów podjeżdża całkowicie ignorowany przez bramkarzy.

- McDermott - krzyczę. - Co ty wyprawiasz? Daj mi moją działkę. Odwraca się twarzą do mnie i nagle zaczyna kręcić piruety, wiruje na jednej

nodze, po czym zatrzymuje się tak niespodziewanie jak zaczął i podchodzi do Murzynki z dzieckiem siedzącej w wejściu do zamkniętych delikatesów obok Nell. Kobieta -jak było do

przewidzenia - żebrze o jedzenie i ma - co też można było przewidzieć - tekturową tablicę u swych stóp. Nie mam pojęcia czy dzieciak, który ma około sześciu albo siedmiu lat, jest biały czy czarny; nie wiem nawet, czy należy do niej - światła przed Nell są zbyt jasne, okrutnie uwydatniają braki urody i nadają skórze przechodniów taki sam żółtawy, sprany odcień.

- Co oni r o b i ą! - odzywa się Libby wpatrując się ze zdumieniem w żebraków. - Czy nikt im nie mówił, że powinni stać bliżej wejścia?

- L i b b y, przestań - rzuca Caron i ciągnie przyjaciółkę do taksówek stojących przy krawężniku.

- McDermott? - pytam. - Co ty do cholery wyprawiasz?

Craig ze szklanym wzrokiem macha banknotem jednodolarowym przed twarzą kobiety: ta wybucha płaczem i żałośnie wyciąga rękę po pieniądze, których oczywiście nie dostanie. McDermott wyciąga zapalki z bani Nad Kanałem i podpala banknot, a potem zapala cygaro, które trzyma w białych, równych zębach - z pewnością ma koronki, ten kutas.

-Jakże to... po pańsku, McDermott - mówię do niego.

Daisy opiera się o białego mercedesa zaparkowanego obok chodnika. Inny mercedes, czarna limuzyna, stoi tuż obok białego. Błyskawica. Czternastą T Ilicą jedzie karetka na sygnale. McDermott podchodzi do Daisy, całuje ją w rękę i wskazuje do taksówki.

Stoję przed zapłakaną Murzynką, a Daisy patrzy na mnie.

- Jezu - mamrocę do siebie. - Masz... - daję czarnej pudełko zapalek z Lutecji, po chwili zdaję sobie sprawę z własnej pomyłki i rzucaam dzieciakowi zapalki z Zielonej Tawerny, wyrывая z brudnych, owrzodzonych paluchów starej pierwsze pudełko.

-Jezu... - powtarzam podchodząc do Daisy.

- Nie ma już taks ó w e k - informuje mnie opierając ręce o biodra. Błyskawica. Daisy drży, odwraca głowę, i piszczy: - Gdzie są reporterzy? Kto robi z d j ę c i a?

- Taxi - gwizdzą na przejeżdżającą taksówkę.

Niebo nad Zeckendorf Towers rozdziera błyskawica, a Daisy wrzeszczy: -Gdzie jest ten fotograf? P a t r i c k u, powiedz mu, żeby przestał! -Jest przerażona, kręci głowę w lewo, w prawo i do tyłu, potem znów w lewo, w prawo i do tyłu. Chowa się za ciemnymi okularami.

- O mój Boże - mamrocę, a mój szept zamienia się w krzyk. - To b ł y s k a w i c e. Nie ma tu żadnych fotografów! B ł y s k a się!

- No jasne! I j a mam ci wierzyć! Po tym, jak powiedziałeś, że na dole jest Gorbaczow - rzuca oskarżydelko. - Nie ufam ci. Wydaje mi się, że jest tutaj prasa.

-Jezu, jedzie taksówka. Hej, t a x i - gwizdzą na taksówkę, która właśnie wyjechała z Ósmej Alei i czuję, że ktoś klepie mnie po ramieniu. Odwracam się i rozpoznaję Bethany - dziewczynę, z którą kiedyś chodziłem na Harvardzie, i która rzuciła mnie po pewnym czasie. Stoi przede mną ubrana w sweter z koronkową lamówką i wiskozowo-krepowe spodnie od Christiana Lacroix. W ręku trzyma otwartą, białą parasolkę. Taksówka, na którą gwizdałem jedzie dalej.

- Bethany - mówię zaskoczony.

- Patrick - uśmiecha się.

- Bethany - powtarzam. -Jak się masz? - pyta.

- Eee, dobrze, eee, wspaniale -jąkam się po sekundzie milczenia. - A ty?

- Naprawdę dobrze, dziękuję - odpowiada.

- No wiesz... cóż... byłaś u Nell?

- Taa, byłam - kiwa głową. - Miło cię widzieć.

- Mieszkasz... tui' - przełykam ślinę. - Na Manhattanie?

- Tak - uśmiecha się. - Pracuję w Milbank Tweed.

- Och... to wspaniale - spoglądam na Daisy i nagle czuję wzbierający gniew, bo przypomniałem sobie lunch w Cambridge, w Kwaterach, kiedy to Bethany -z ręką na temblaku i podbitym okiem - zakończyła naszą znajomość. Przeraża mnie jeszcze coś innego: moje włosy, Boże, moje w ł o s y - czuję, jak mżawka rujnuje mi fryzurę. - No cóż, muszę lecieć.

- Pracujesz u Pierce'a & Pierce'a, prawda? - pyta. - Wspaniale wyglądasz. Podjeżdża taksówka i robię krok do tyłu. - Taa, wiesz, jak to jest.

- Zjedztny razem lunch - proponuje.

- To byłoby zabawne - mówię niezbyt pewnie. Taksówkarz zauważył Daisy i zatrzymał się.

- Zadzwoń do ciebie - krzyczy Bethany. - Jak chcesz - odpowiadam.

Jakiś czarny facet otworzył Daisy drzwi taksówki. Daisy zgrabnie wsuwa się do środka. Czarnuch pratrzymuje drzwi także dla mnie czekając aż pożegnają się z Bethany. - Jakiś napiweczek, proszę pana? - prosi Murzyn. - Od panicza i pięknej panienki?

- Taa - warczę sprawdzając ułożenie włosów w tyhrym lusterku taksówki. - Dam ci radę: weź się do roboty, ty głupi czarny skurwysynu. - Zatraskuję drzwi i każę taksówkarzowi jechać na 1 - pper West Side.

- Nie sądzisz, że to było ciekawe w Uiri filmie, na który dzisiaj byliśmy, jak tamci byli szpiegami, choć tak naprawdę nie byli szpiegami? - pyta Daisy.

- Niech ją pan wysadzi w Harlemie - mowie do taksówkarza.

Stoję u siebie w łazience przed lustrem od Orobwenera i zdejmując koszulę zastanawiam się, czy wziąć prysznic i umyć włosy spieprzone przez deszcz. Ostrożnie wmasowuję odrobinę żelu we fryzurę, a potem przeczesuje włosy grzebieniem. Daisy siedzi obok sofy na mosiężnym chromowanym krześle od Louisa Montoniego i wypycha do ust pełne łyżki lodów Haagen-Dazsa o smaku kruchego tłucznia. Ma na sobie tylko koronkowy stanik i pasek do pończoch od Bloomingdale'a.

- Wiesz - krzyczy do mnie - mój były chłopak, Fiddler, ten, którego spotkaliśmy dzisiaj na przyjęciu, nie mógł zrozumieć, dlaczego zadaję się z yuppie.

Nie słucham jej. Wpatruję się we własne odbicie w lustrze. W końcu zdobywam się na krótkie: - Naprawdę?

- Powiedział... - wybucha śmiechem - ...powiedział, że wyczuwa wokół ciebie złe vibracje.

Wzdycham i napinam mięśnie. - To... przykre.

Daisy wzrusza ramionami i rzuca bezceremonialnie: - Kiedyś brał sporo kokainy. I bił mnie często.

Nagle jej słowa nabierają sensu. - Ale nigdy nie dotknął mojej twarzy. - Co za rozczarowanie.

Wchodzę do sypialni i zaczynam się rozbierać.

- Uważasz, że jestem głupia, prawda? - pyta wpatrując się we mnie. Przerzuciła opalone, wyaerobikowane nogi nad poręczą fotela.

- Co! - Zdejmuję buty i podnoszę je z podłogi.

- Myślisz, że jestem głupia - stwierdza. - Uważasz, że wszystkie modelki są głupie.

- Nie - odpowiadam próbując powstrzymać wybuch śmiechu. - Niezupełnie.

- Ależ tak - nie daję za wygraną. - Czuję to.

- Uważam, że jesteś... - mój głos rozplywa się w powietrzu.

- Tak? - uśmiecha się wyczekująco.

- Uważam, że jesteś wyjątkowo błyskotliwa i niesamowicie... błyskotliwa - odpowiadam znużony.

- To miło - uśmiecha się uspokojona i oblizuje łyżeczkę. - Masz w sobie coś... jakąś taką czułość...

- Dzięki. - Zdejmuję spodnie i składam je równo, po czym odwieszam razem z koszulą i krawatem na czarnym, stalowym wieszaku od Philippe'a Starka. - Wiesz, niedawno przyłapałem służącą, jak kradła kawałek otrębowego tosta z kubła na śmieci w kuchni.

Daisy rozważa moje słowa i pyta: - Dlaczego?

Przyglądam się jej płaskiemu, wspaniale zarysowanemu brzuchowi. Daisy ma całkowicie opalony i doskonale umięśniony tors. Podobny do mojego. - Powiedziała, że była głodna.

Wzdycha i z uwagą oblizuje łyżeczkę.

- Czy moje włosy są w porządku? - pytam stojąc przed nią ubrany jedynie w sportowe szorty od Cahina Kleina (pod którymi rysuje się wzwód) i skarpetki od Armaniego po pięćdziesiąt dolarów za parę.

- Taa - wzrusza ramionami. - Jasne. Siadam na krawędzi łóżka i ściągam skarpetki.

- Dzisiaj pobitem na ulicy dziewczynę, która zaczęła ludzi prosić o pieniądze... - przerywam, a kiedy podejmuję wątek starannie artykułuję każde słowo: - Była młoda i wyglądała na przestraszoną. Miała przy sobie tabliczkę, na której był napis mówiący, że zgubiła się w Nowym Jorku, i że ma dziecko, chociaż go nie widziałem. Potrzebowała pieniędzy najedzenie czy coś w

tym rodzaju. Na bilet autobusowy do Iowa. Iowa. Chyba do Iowa... - milknę i robię kulkę ze skarpet, a potem ją rozkładam.

Daisy przez całą minutę wpatruje się we mnie pustymi oczyma i pyta: - I co dalej?

Nie odpowiadam jej od razu. Moje myśli błądzą daleko. Wstaję i przed wyjściem do łazienki rzucam: - Co dalej? Dalej wpierdoliłem jej tak, że zapomniała jak się nazwa. - Otwieram szatkę z lekarstwami i wyjmuję prezerwatywę,

po czym wracam do sypialni. - Napisała błędnie słowo u p o ś l e d z o n y, to znaczy nie dlatego ją pobilem, ale... rozumiesz - wzruszam ramionami, -...była tak ohydna, że nie mogłem jej zgwałcić.

Daisy wstaje i odkłada łyżeczkę obok kartonika lodów Haagen-Dazs na nocnym stoliku zaprojektowanym precz Gilberta Rhodego.

Wyciągam rękę. - Nie tak. Wsadź ją do kartonika.

- Wybacz - mówi.

Przygląda się wazonowi od Palazzettiego, a ja wciągam prezerwatywę. Kładę się na niej i odbywamy stosunek. Jest tylko kształtem, czymś obcym leżącym pode mną, nie widzę jej, choć palą się wszystkie halogenowe żarówki. Trochę później leżymy po przeciwnych stronach łóżka. Dotykam jej ramienia.

- Sądę, że powinnaś iść do domu - mówię. Otwiera oczy i drapie się w szyję.

- Mogę cię... zranić - dodaję. - Czasami nie potrafię się opanować. Spogląda na mnie i wzrusza ramionami. - Okay. Jasne. - Zaczyna się ubierać. - Ja także nie mam zamiaru się wiązać.

- Za chwilę stanie się coś złego - mówię jej.

Wciąga majtki i poprawia fryzurę przeglądając się w lustrze od Nabohvev. Kiwa głową. - Rozumiem.

Jest ubrana. Mijają całe minuty niczym nie zmaconej, trudnej do wytrzymania ciszy. W końcu pytam ją nie bez nadziei w głosie: - Nie chcesz, żeby ktoś cię zranił, prawda?

Zapina górę sukienki i wzdycha nie patrząc na mnie: - Dlatego wychodzę.

- Chyba przegrywam - mówię.

PAUL OWEN

Podsluchuję monologi nagrywające się przez cały ranek na automatycznej sekretarce, nie odbieram żadnego telefonu i wpatruję się zmęczonym wzrokiem w słuchawkę bezprzewodowego aparatu pijąc jedną po drugiej kolejne filiżanki ziołowej, bezteinowej herbatki. Potem idę do sali gimnastycznej, w której ćwiczę przez dwie godziny. Później lunch w barze Zdrowie. Podczas lunchu nie mogę przełknąć połowy porcji sałatki z endywii przybranej marchewką. Sałatkę z endywii zamówiłem jako główne danie. Wracając z opuszczonego magazynu w okolicach Hell's Kitchen, gdzie wynająłem jedno pomieszczenie składowe, zatrzymuję się u Barneya. Idę do kosmetyczki. Potem squash z Brewsterem Whipplem w Yale Club, skąd dzwonię do Texarkany - gdzie mam się spotkać o ósmej na

obiedzie z Paulem Owenem - w sprawie rezerwacji na nazwisko Marcus Halber-stam. Wybrałem Texarkane, ponieważ jestem pewien, że większość ludzi, z którymi mam do czynienia na co dzień nie wybiera się tam dzisiaj na obiad. Poza tym mam ochotę na wieprzowinę w chili i jedno albo dwa piwa Dixie. Jest czerwiec i ubrany jestem w lniany garnitur zapinany na dwa guziki, bawełnianą koszulę, jedwabny krawat i skórzane mokasyny - całość od Armaniego. Przed Texarkaną kiwa na mnie wesoły, czarny włóczęga i wyjaśnia, że jest młodszym bratem Boba Hope'a i nazywa się No Hope. Trzyma w ręku styropianowy kubek do kawy. Wydaje mi się zabawny i daję mu ćwierć dolara. Z otwartego okna na Dziesiątej Ulicy płyną ostatnie takty "A Day in the Life" Beatlesów. Jestem spóźniony o całe dwadzieścia minut.

Bar w Texarkanie świeci pustkami, a w sali jadalnej zajętych jest tylko pięć czy sześć stołów. Owen siedzi w łożu na końcu sali i wyklóca się z kelnerem: w zasadzie robi mu piekło chcąc się dowiedzieć, dlaczego akurat dzisiaj nie mają w karcie zupy rakowej. Kelner - całkiem nieźle wyglądający pedryl - wie, że przegrał i z zakłopotaniem przekazuje sepleniąc wyrazy ubolewania. Owen nie jest dzisiaj w nastroju do żartów, podobnie zresztą jak ja. Gdy siadam, kelner przeprosza raz jeszcze i przyjmuje ode mnie zamówienie na drinki: - J&B czyste-podkreślam. - I piwo Dixie. - Uśmiecha się zapisując zamówienie - skurwysyn trzepocze do mnie rękami - i już mam zamiar go

ostrzec, że nie toleruję błazeństw, gdy Owen warczy: - Martini z podwójnym Absolutem - i pedzio znika.

- Rojno tutaj, jak... eee... w ulu, Halberstam - mówi Owen pokazując niemal pustą salę. - To miejsce jest genialne, aż uszy bolą od hałasu.

- Posłuchaj, podają tu zupe z bagien i arugulę pieczoną na węglu drzewnym. Wszystko jest w y b o r n e - dodaje.

- Taa, no cóż - burczy wpatrując się w martini. - Spóźniłeś się.

- Hej, jestem dzieckiem z rozbitej rodziny. Nie wolno mnie denerwować -mówię wzruszając ramionami, a w myślach dodaje: Och Halberstam, jesteś wyjątkowym chujem. Czytam menu i odzywam się ponownie: - Hm, widzę, że nie ma dziś golonki w zalewie limonowej.

Owen ubrany jest w dwurzędowy jedwabno-lniany garnitur, bawełnianą koszulę i jedwabny krawat - wszystko od Josepha Abbouda. Jego opalenizna jest nienaganna. Wyraźnie jest nie w sosie: w ogóle się nie odzywa, a jego skrzywiona mina studzi nieco mój wesoły, pełen nadziei nastrój. Ograniczam się zatem do wypowiedzi w rodzaju: "Czy to nie Ivana Trump tam przy barze?", po czym wybucham śmiechem: „Jezu, Patricku, to znaczy M a r c u s i e, o czym ty myślisz? Dlaczego Ivana miałaby jadać w Texarkanie i". Mimo to obiad nie staje się ani odrobinę weselszy. Nie pomaga też świadomość, że Paul Owen ma dokładnie tyle samo lat co ja, to znaczy dwadzieścia siedem i w końcu cała ta sytuacja wyprowadza mnie z równowagi.

To, co początkowo brałem za wyniosłość Owena jest - jak się okazuje -zwykłym uzależnieniem od alkoholu. Gdy staram się wydobyć z niego informacje o rachunku Fishera, Paul rzuca jakieś bezużyteczne statystyczne ochłapy i mówi

O rzeczach, o których wiem od dawna: informuje mnie, że rachunkiem zajmował się kiedyś Rothschild, po którym Owen go przejął. Jean zebrała dla mnie te wiadomości przed kilkom a miesiącami, mimo to kiwam głową udając, że bzdety, którymi mnie karmi są dla mnie objawieniem. Od czasu do czasu rzucam w odpowiedzi: "Ach, jakież to interesujące" dodając w myślach: "Jestem stuprocentowo nienormalny" albo "Lubię rozczłonkowywać dziewczyny". Za każdym razem, kiedy staram się skierować rozmowę na szczegóły dotyczące rachunku, Owen zmienia temat - co doprowadza mnie do szaleństwa - i opowiada o solariach, markach cygar, salonach odnowy biologicznej albo najlepszych miejscach do biegania na Manhattanie. Wybucho przy tym idiotycznym śmiechem, który doprowadza mnie niemal do płaczu. Przez pierwszą część posiłku - pre entice i po przekąskach - piję piwo z Południa, potem decyduję się na dietetyczną pepsi, bo muszę zachować względną trzeźwość. Mam właśnie zamiar powiedzieć Owenowi, że Cecelia, narzeczona Marcusa Halberstama, ma dwie pochwy, i że zamierzam wziąć z nią ślub na wiosnę w List Hampton, kiedy wpada mi w słowo: -Czuję się trochę... eee... nieswojo - pra-znaje i wyciska limonę na stół nie mogąc trafić do kufla z piwem.

- Aha. - Nabieram łodygajicamy trochę sosu musztardowo-rabarbarowego

l udaje, że nie słyszę co mów.

Gdy obiad dobiega końca, Owen jest już tak pijany, że (1) każe mu zapłacić rachunek, który wynosi dwieście pięćdziesiąt dolarów; (2) wymuszam na nim stwierdzenie, że jest głupim skurwysynem; (3) zabieram go do siebie, gdzie nalewa sobie następnego drinka, a w zasadzie otwiera srebrnym korkociągiem od Mulazoniego (prezent od Petera Radloffa po zakończonej powodzeniem kampanii Heatherberga) butelkę Akacji, którą miałem zamiar przed nim schować. Idę do łazienki i wyciągam spod prysznicz siekierę, którą tam wcześniej ukryłem, zażywam dwie pięciomiligramowe tabletki valium i popijam je kubkiem Plaxa. Przechodzę do foyer i wkładam tani płaszcz przeciwdeszczowy, który ukradłem w środę u Brooks Brothers, po czym wracam do Owena pochylonego nad moimi kompaktami stojącymi obok wieży stereo; w całym mieszkaniu palą się wszystkie światła, żaluzje w oknach są spuszczone. Owen prostuje się i cofa pociągając z kieliszka. Omiata wzrokiem salon i siada na białym, aluminiowym, składanym krześle, które kupiłem na wyprzedaży z okazji Dnia Weterana w sklepie Con-rana dwa tygodnie temu. W końcu patrzy na gazety i czasopisma - egzemplarze USA Today, W i New York Timesa - rozłożone pod krzesłem i zakrywające znaczną część podłogi. Rozłożyłem je po to, żeby nie uwaliał mi krwią świeżo

wycyklinowanego parkietu z białego dębu. Podchodzę do niego ściskając w jednej ręce siekiere, a drugą zapinając płaszcz przeciwdeszczowy.

- Hej, Halberstam - mówi sepleniąc jak każdy pijak.

- Tak, Owen - odpowiadam i podchodzę bliżej.

- Dlaczego... eee... masz podłogę przykrytą działami mody? - pyta zmęczonym głosem. - Masz psa? Chow-chow czy coś takiego?

- Nie, Owen - obchodzę powoli krzesło i zatrzymuję się przed nim. Stoję na wprost jego oczu, ale jest już tak pijany, że nie widzi nawet siekiery, nie zauważa, że uniosłem ją wysoko nad głowę. Nie zdaje sobie również sprawy, że zmieniłem zamiar. Opuszczam siekiere na wysokość bioder i trzymam ją tak, jak kij baseballowy, który za chwilę uderzy w piłkę, którą w tym przypadku jest jego głowa.

Owen otwiera usta i mówi: - Mówiąc szczerze nienawidziłem kiedyś z całego serca Iggy Popa, ale teraz, odkąd stał się bardziej komercyjny, robi na mnie wrażenie...

Siekiera nie pozwala mu dokończyć zdania, trafia go prosto w twarz, potężne ostrze rozcina mu usta na dwie części i zamyka je na zawsze. Oczy Paula unoszą się ku mnie, a potem - chyba niechcący - uciekają w tył głowy, by znów wrócić na swoje miejsce. Ręce Owena próbują chwycić trzon siekiery, ale ból wywołany uderzeniem odbiera im siłę. Początkowo nie widać krwi, nie słychać też żadnych niezwykłych odgłosów oprócz szelestu rozdzielanych gazet leżących pod drgającymi stopami. Wkrótce jednak w kącikach rozciętych ust Paula pojawia się krew, a gdy wyciągam siekiere z rany - o mały włos nie mywając mu przy tym głowy - i tnę po raz drugi rozcinając twarz na pół, krew tryska dwoma brązowymi gejzerami prosto na mój płaszcz i uniesiona ramiona Paula. Towarzyszy temu nieprzyjemny syk, który wydobywa się z rany w czaszce - z miejsca, w którym ciało oddzieliło się od kości; potem słychać coś w rodzaju pierdnięcia: odgłos wypływającego - pod wpływem ciśnienia - przez szczelinę w czaszce różowego, lśniącego mózgu. Paul w agonii spada na podłogę. Ma zszarzałą, spływającą krwią twarz. Mruga do mnie w sposób niekontrolowany jednym, żywym jeszcze okiem. Jego usta są wielką czerwono-różową jamą, w której przemieszały się zęby, mięśnie i kości szczękowe. Język zwisa z otworu w prawym policzku i trzyma się gardła na grubej, fioletowej żyłę. Krzyczę na niego: - Ty pojebany, głupi skurwysynu. Ty chuju - i czekam patrząc na szparę nad obrazem Davida Oniki - pęknięcie, którego administracja nie zdążyła jeszcze zagipsować. Paul potrzebuje całych pięciu minut, żeby umrzeć. Po następnych trzydziestu przestaje krwawić.

Biorę taksówkę i jadę do mieszkania Owena na Upper East Side. Podczas jazdy przez Central Park w samym środku dusznej czerwcowej nocy przypomina mi się, że nie zdjąłem zakrwawionego płaszcza. Wchodzę do mieszkania używając klucza, który wyjąłem z kieszeni nieboszczyka. W środku oblewam płaszcz

płynem do zapalniczek i spalam w kominku. Salon Paula jest bardzo obszerny, utrzymany w stylu - rzekłbym - minimalistycznym. Wszystkie ściany z wyjątkiem jednej są białe. Ta, która nie jest biała wygląda jak powiększony rysunek techniczny, co - jak słyszę - jest modne. Kawałek ściany od strony Piątej Alei wyłożony jest boazerią ze sztucznej skóry wołowej. Poniżej stoi czarna, skórzana sofa.

Włączam szerokoekranowy trzydziestojednocalowy telewizor Panasonic i oglądam przez chwilę Late Night with David Letterman, po czym szukam automatycznej sekretarki, żeby zmienić nagranie. Kasuję ostatnią wiadomość Owena (w której podaje wszystkie numery telefonów, pod jakimi można go złapać, w tym w Seaport - n a r a n y C h r y s t u s a - w tle nagrania słychać - cóż za smak - Cztery pory roku Vivaldiego). Zastanawiam się głośno dokąd powinienem wysłać Paula i po kilku minutach sprzeczki z samym sobą postanawiam: Londyn. -Wyślę skurwysyna do Anglii! - Chichoczę i ściszam telewizor, żeby nagiąć nową wiadomość. Mam głos bardzo podobny do głosu Paula - ci, którzy usłyszą mnie przez telefon nie powinni wyczuć różnicy. Letterman w swoim dzisiejszym pro gramie opowiada o cyrkowych sztuczkach wykonywanych przez zwierzęta domowe. Widzę owczarka alzackiego w klubowej czapce Mets, który obiera i zjada pomarańcze. Potem oglądam powtórkę w zwolnionym tempie.

W ręcznie szytą skórzaną walizkę Paula - obciążoną płótnem koloru khaki i ze wzmacnianymi rogami, zapinaną na złożone klamry i zamki, całość od Ralpa Laurena - pakuję wełniane, dwurzędowe (sześć guzików) garnitur w tenisowy prążek z ostro zakończonymi klapami, i drugi garnitur, wełniano-flanelowy koloru morskiej wody - oba od Brooks Brothers; dokładam maszynkę do golenia Mitsubishi, srebrną łyżkę do butów od Barneya, sportowy zegarek Tag-Heuer, czarny skórzany portfel Prada, przenośną kopiarkę Sharpa, przenośny telefon bezprzewodowy także Sharpa, paszport w czarnej, skórzanej oprawie i suszarkę do włosów Panasonic. Dla siebie biorę przenośny odtwarzacz kompaktowy To-shiby z płytą Nędzników w oryginalnej obsadzie. Łazienka Owena jest pomalowana na biało, oprócz jednej ściany, którą pokrywa tapeta w czarno-białe łaty, jak sierść dalmatyńczyka. Do plastikowej torby Hefty wrzucam resztę przyborów toaletowych.

Wracam do siebie. Trupa Owena ogarnął już rigor mortis. Zawijam go w cztery tanie ręczniki frote - które kupiłem na wyprzedaży z okazji Dnia Weterana w sklepie Conrana - i wkładam zwłoki - głową do przodu, bez zdejmowania ubrania - w puchowy śpiwór od Canalino. Zapinam zamki błyskawiczne i przenoszę nieboszczyka do windy, potem niosę go przez holi obok nocnego portiera i wreszcie wychodzę na dwór, przechodzę jedną przecnicę i wpadam na Arthura Crystala i Kitty Martin, którzy właśnie skończyli obiad w Cafe Luxembourg. Na szczęście Kitty chodzi z Craigiem McDermottein, więc nie czepia się mnie (Craig wyjechał na jeden dzień do Houston), natomiast Crystal - co za nieuprzej-

my skurwysyn - zadaje mi pytanie o generalne zasady noszenia białej wieczorowej marynarki. Odpowiadam mu szorstko i zatrzymuję taksówkę, do której wrzucam bez najmniejszego wysiłku śpiwór, po czym wsiadam i podaję adres magazynu w Hell's Kitchen. Na miejscu wnoszę śpiwór na czwarte piętro do pomieszczenia magazynowego, które od niedawna jest moje. Wrzucam trupa Owena do olbrzymiej porcelanowej wanny, ściągam z niego garnitur od Abbouda i moczę zwłoki w wodzie, a potem wsypuję do niej dwa worki niegaszonego wapna.

Później - koło drugiej - przewracam się w łóżku nie mogąc zasnąć. Evelyn udaje się wejść na jedną z wolnych linii, gdy przesłuchuję rozmowy na 976-TWAT oglądając jednocześnie nagranie dzisiejszego The Patty Winters Show poświęconego ludziom zdeformowanym.

- Patrick? - mówi Evelyn.

Nie odpowiadam przez chwilę, a w końcu odzywam się cichym, monotonnym głosem: - Ten numer należy do pana Patricka Batemana. W tej chwili pan Bateman nie może podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału... - przerywam i dodaję: - Życzę miłego dnia. - Milknę i modlę się, żeby dała się nabrać, po czym wydaję z siebie żałosne "piiip".

- Och, przestali, Patricku - mówi poirytowana. - Wiem, że to ty. Co ty na Boga sobie wyobrażasz? Trzymam telefon w wyciągniętej ręce, rzucam go na podłogę i walę kilka razy słuchawką o nocny stolik. Przyciskam kilka guzików na raz mając nadzieję, że gdy podniosę słuchawkę do ucha, przywita mnie długi sygnał centrali. - Halo! Halo! - drę się do słuchawki. - Kto mówi? Słucham?

-Jezu, Chryste, przestań! Przestań, Patricku -jęczy Evelyn.

- Cześć, Evelyn - odzywam się w końcu radośnie, chociaż twarz wykrzywia mi potworny grymas.

- Gdzie wczoraj b y ł e ś? - pyta. - Wydawało mi się, że byliśmy umówieni na obiad. Wydawało mi się, że mieliśmy rezerwację w Pustej Przestrzeni.

- Nie, Evelyn - wzdycham czując się nagle bardzo zmęczony. - Mylisz się. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wydawało mi się, że mam to zapisane - piszczy. - Wydawało mi się, że sekretarka zostawiła mi taką notatkę.

- No cóż, któraś z was musiała się pomylić - odpowiadam i pilotem przewijam taśmę w magnetowidzie. - W Pustej Przestrzeni? Jezu...! Ty chyba... oszalałaś...

- Kochanie - wzdycha. - Chcę wiedzieć, gdzie dzisiaj byłeś? Chyba nie poszedłeś do Pustej Przestrzeni beze mnie?

- O mój Boże -jęczę. - Musiałem wypożyczyć kasety. To znaczy musiałem oddać kasety.

- Co jeszcze robiłeś? - marudzi.

- Spotkałem po drodze Arthura Crystala i Kitty Martin - mówię. - Właśnie wychodzili z obiadu w Cafe Luxembourg.

- Naprawdę? - To niesamowite, ale Evelyn wydaje się zaintrygowana. - Co miała na sobie Kitty?
- Suknię balową bez ramiączek i aksamitne bolerko i koronkową halkę w kwiaty od Laury Marolakos. Tak mi się wydaje.
- A Artur?
- To samo.
- Och, panie Bateman - chichocze. - Uwielbiam pańskie poczucie humoru.
- Słuchaj, jest już późno, jestem zmęczony - udaję, że ziewam.
- Czyżbym cię obudziła? - pyta zaniepokojona. - Mam nadzieję, że jeszcze nie spałeś.
- Zgadłś. Obudziłaś mnie. Odebrałem twój telefon, więc to moja wina, nie twoja.
- Kochanie, obiad?Jutro? - pyta i niecierpliwie czeka na moją zgodę.
- Nie mogę. Praca.
- Przecież ta cholerna firma praktycznie należy do ciebie - jęczy. - Jaka praca?Jaka prac a? Nic nie rozumiem...
- Evelyn - wzdycham. - P r o s z ę.
- Och, Patricku, wyjedźmy gdzieś razem latem - mówi tęsknie. - Pojedźmy do Edgartown albo do Hamptons.
- Ma się rozumieć, że pojedziemy... bez ciebie.

SKLEP PAULA SMITHA

Stoję w sklepie Paula Smitha i rozmawiam z Nancy i Charlesem Hamilto-nami oraz ich dwuletnią córką Glenn. Charles ubrany jest w dwurzędowy (cztery guziki) lniany garnitur od Redaelli, popelinową koszulę Ascot Chang, wzorzysty jedwabny krawat od Eugenia Venanziego i półbuty od Brooks Brothers. Nancy ma na sobie jedwabną bluzkę z cekinami z macicy perłowej, jedwabno-szyfono-wą spódnicę od Valentino, a w uszach srebrne kolczyki od Reeny Pachochi. Ja włożyłem dziś dwurzędowy (sześć guzików) wełniany garnitur w tenisowy prążek, wzorzysty jedwabny krawat - całość od Louisa z Bostonu - i koszulę z oksfordz-kiego płótna od Luciana Barbery. Glenn ubrana jest w dżinsowy kombinezon od Armaniego, a na głowie ma maleńką klubową czapeczkę Metsów. Sprzedawczyni wybija w kasie zakupy Charlesa, a ja bawię się z dzieckiem siedzącym na rękach Nancy. Pokazuję Glenn platynowa, kartę American Express, ona próbuje mi ją wyrwać, na co kręcę głową, szczypię Glenn w brodę, macham jej kartą przed buzią i szczebioczę: - Tak, wujek jest stuprocentowym psychopatycznym mordercą, o tak, wujek uwielbia zabijać ludzi, bardzo a bardzo, maleńka, tak moja słodziutka, tak to wygląda... - Po pracy grałem wsquasha z Ricky Hen-drickssem, potem poszedłem na drinka do Flecika ze Stephenem Jenkinsem, a o ósmej mam spotkać się z Bonnie Abbott na obiedzie w Poondrakach - nowej restauracji Bishopa Sullivana w Gramercy Park. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był osobom, które przetrwały obozy koncentracyjne. Wyjmuję kieszonkowy telewizor Sony Watchman (FD-270) z 2,7-calowym czarno-białym mini-ekranem (całość waży tylko trzynaście uncji) i pokazuję go Glenn. Nancy pyta: - A jak tam ikra ze złotośledzia u Rafaeliego? - Na dworze nie jest jeszcze ciemno, ale wkrótce zapadnie zmrok.

- Niesamowita - mruczę wpatrzony w uszczęśliwioną Glenn.
- Charles podpisuje rachunek i chowa złotą kartę American Express do portfela. Odwraca się do mnie i kiwa głową do kogoś za moimi plecami.
- Cześć, Luis - mówi z uśmiechem na ustach. Odwracam się.
- Cześć Charles, cześć Nancy - Luis Carruthers całuje żonę Charlesa w policzek, a potem potrząsa ręką dziecka: - Ciołem, Glenn, no no, ale ułożyliśmy ostatnio, stłśnie jesteśmy duzie.
- Luis, znasz Roberta Chanc... -przedstawia mnie Charles.
- Pata Batemana - poprawiam go chowając watchmana do kieszeni. - Nieważne. Spotkaliśmy się już.
- Och, wybac. Co za pomyłka. Jasne! Pat Bateman! - mówi zakłopotany Charles. Luis ubrany jest w wełniano-krepowy garnitur, popelinową koszulę i jedwabny krawat - całość od Ralpa Laurena. Podobnie jak ja i Charles ma zaczesane do tyłu włosy, a na nosie okulary w palisandrowej oprawie od Olivera Pe-oplesa. Moje okulary mają przynajmniej zerowe szkła.

- No, no - mówię ściskając jego dłoń. Uścisk Luisa jest dosyć silny i jedno cześnie niezwykle zmysłowy. - Wybaczcie, muszę kupić sobie krawat. - Macham na pożegnanie ręką do małej Glenn i przechodzę do sąsiedniego działu obejrzeć męską pasmanterię. Po drodze wycieram dłoń w ręcznik kąpielowy za dwieście dolarów wiszący na marmurowym wieszaku.

Nie mija minuta, gdy pojawia się Luis. Podchodzi do mnie i opiera się o gablotę z krawatami udając, że przygląda im się uważnie, podobnie zresztą jak ja.

- Co ty tu robisz? - szepcze.

- Kupuję krawat dla brata. Wkrótce będą jego urodziny. Wybacz mi - przechodzę dalej, jak najdalej od niego.

- Musi być bardzo szczęśliwy mając takiego brata jak ty - mówi idąc za mną i uśmiechając się szczerze.

- Być może, dla mnie jest on wyjątkowo odrażającą osobą - odpowiadam. - Choć tobie mógłby się spodobać.

- Patricku, dlaczego nawet na mnie nie spojrzysz? - pyta Luis z miną cierpiénika. - S p ó j r z na mnie.

- Proszę, proszę cię, Luis, daj mi spokój - mówię z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi ze złości pięściami.

- Patricku, chodźmy razem na drinka do Sofii i porozmawiajmy o tym - proponuje błagalnie.

- Porozmawiajmy o c z y m? - pytam z niedowierzaniem i otwieram oczy.

- No cóż... o n a s - wzrusza ramionami.

- Czy ty mnie ś l e d z i s z? - pytam. - Jak to? Gdzie cię śledzę?

- Tutaj. W sklepie Paula Smitha. Dlaczego?

- Ja? Ja miałbym cię śledzić? Och, przestań - próbuje się roześmiać, wykić mój zarzut. - Jezu...

- Luis - mówię i zmuszam się do tego, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. - Proszę, daj mi spokój. Idź w swoją stronę.

- Patricku - dyszy. - Ja... bardzo cię kocham. Chyba to rozumiesz.

Z gardła wyrывa mi się jęk. Przechodzę do działu obuwniczego uśmiechając się słodko do sprzedawcy.

Luis idzie za mną. - Patricku, co my tu robimy?

- Wyobraź sobie, że próbuję kupić krawat dla brata - biorę z półki męski pantofel i wzdygam. - Natomiast ty, jak mi się wydaje, chcesz mi obciągnąć druta. Jezu, wychodzę stąd.

Wracam do stoiska z dodatkami męskimi, łapię pierwszy z brzegu krawat i podchodzę do kasy. Luis pędzi za mną. Nie zwracam na niego uwagi, podaję sprzedawczyni platynowego AmExa i mówię: - Na zewnątrz jest włóczęga. - Wyciągam rękę i pokazuję płaczącego bezdomnego mężczyznę z torbą pełną gazet opartą o ławkę obok wejścia do sklepu. - Powinna pani zadzwonić po policję czy coś w tym rodzaju. - Dziewczyna kiwa głową, dziękuje i wsuwa moją kartę do czytnika. Luis stoi obok i skromnie wpatruje się w podłogę. Podpisuję rachunek, zabieram krawat i wskazując brodą Luisa mówię do kasjerki: - Ten pan nie jest ze mną.

Na ulicy próbuję zatrzymać taksówkę jadącą Piątą Aleją. Luis wybiega za mną.

- Patricku. musimy porozmawiać - przekrzykuje uliczny hałas. Podbiega i łapie mnie za połę płaszcza. Odwracam się. Mam w dłoni otwarty nóż sprężynowy i macham nim ostrzegawczo przed oczami Luisa. Każę mu się cofnąć. Ludzie usuwają się nam z drogi i idą dalej.

- Hej, co ty, Patricku - mamrocze Luis wyciągając rękę i cofając się o krok. - Patricku...

Z mojego gardła wydobywa się syk. Zatrzymuję taksówkę ręką, w której trzymam nóż. Luis podchodzi z uniesionymi ramionami, nie opuszczam noża, mierzę nim prosto w niego, tnę powietrze przed jego twarzą otwierając drzwi taksówki. Wsiadam i nie przestając syczeć zatraskuję drzwi i każę taksówkarzowi jechać do Gramercy Park. Do Poondraków.

URODZINY. BRACIA

Przez cały dzień zastanawiam się, przy jakim stole posadzą mojego brata Seana w Pikowanej Żyrafie. Dzisiaj są jego urodziny, a ponieważ tak się złożyło, że jest akurat w mieście, zadzwonił do mnie księgowy mojego ojca, Charles Con-roy, a zaraz po nim administrator naszego funduszu powierniczego, Nicholas Leigh. Obaj bombardowali mnie telefonami przez cały zeszły tydzień.

Sugerowali, że w najlepszym interesie nas wszystkich byłoby wykorzystanie urodzin Seana do wysondowania co mój brat ma zamiar robić dalej ze swym życiem. Urodziny są - według nich - doskonałą okazją do zadania Seanowi kilku stosownych pytań. Zarówno Charles jak i Nicholas zdają sobie sprawę, jak bardzo gardzę moim bratem; wiedzą również, że Sean odwzajemnia to uczucie. Obiad z nim to w sumie nic wielkiego - mówili obaj - a jeśli Sean odmówi spotkania, można postraszyć go, że stało się coś niedobrego. Moja ostatnia rozmowa z Charlesem i Nico- lasem miała charakter telekonferencji i odbywała się w zeszłą środę.

- Coś niedobrego? Co na przykład? - spytałem próbując jednocześnie skoncentrować się na liczbach pojawiających się na moim monitorze. Gestem wyrzuciłem Jean z pokoju, choć miała w ręku plik papierów, które powinienem podpisać. - Mam mu powiedzieć, że Michelob zamyka wszystkie browary na Północnym Wschodzie? Że przestała wydzwaniać do domu jego DUPA NUMER 967?

- Nie - odrzekł Charles, a potem dodał cicho: - Powiedz mu, że pogorszyło się matce.

Rozwahałem przez długą chwilę zaproponowaną przez Charlesa taktykę i w końcu odpowiedziałem: - Może mieć to gdzieś.

- W takim razie powiedz mu... - wtrącił Nicholas chrząkając delikatnie: -...że to ma związek z jej masą spadkową.

Odwrociłem głowę od monitora, opuściłem niżej okulary lotnicze Wayfarer i spojrzałem na Jean, która jednak nie wyszła, a potem zacząłem przewracać palcem kartki przewodnika Zagata leżącego obok monitora. Pastele odpadają. Tak

samo Dorsia. Gdy dzwoniłem tani ostatnim razem, ktoś odłożył słuchawkę zanim zdążyłem zapytać: - A jeśli nie w przyszłym miesiącu, to może w styczniu? -Złożyłem uroczystą przysięgę, że kiedyś w końcu załatwię rezerwację w Dorsii (jeśli nie w tym roku kalendarzowym, to przynajmniej nim skończę trzydzieści lat), ale Sean nie jest wart takiego wysiłku. Poza tym Dorsia jest zbyt szykowna jak dla niego. Chcę, żeby obiad ze mną był dla Seana torturą. Nie mam zamiaru pozwolić mu na zachwycanie się laskojadami umawiającymi się w Nell. Muszę wybrać miejsce, w którym w kiblu siedzi baba klozetowa, żeby męczył się aż do granic wytrzymałości nie mogąc zaspokoić c h r o n i c z n e g o - jak sądzę -uzależnienia od kokaiiry. Rzuciłem przewodnikiem Zagata w Jean polecając jej znalezienie najdroższej restauracji na Manhattanie. Jean załatwiła nam rezerwację na dziewiątą w Pikowanej Żyrafie.

- W Sandstone sprawy nie wyglądają najlepiej - mówię Seanowi koło czwartej po południu. Mój brat zatrzymał się w należącym do ojca apartamencie w Hotelu Carlyle. W słuchawce wyje MTV, słyszę też inne głosy przekrzykujące hałaśliwą muzykę. Wydaje mi się, że z łazienki dobiega odgłos odkręconego prysznica.

- Co się stało? Mamusia połknęła poduszkę czy co?

- Powinniśmy zjeść niżem obiad - proponuję.

- Dominique, uspokój się - milknie i chyba zasłania słuchawkę dłonią bo, słyszę jego przytłumiony szept.

- Halo, Sean. Co się tam dzieje? - pytam.

- Zadzwoń do ciebie później - odpowiada i odkłada słuchawkę. Spodobał mi się krawat, który w zeszłym tygodniu kupiłem przypadkowo

Seanowi w sklepie Paula Smitha. Postanowiłem nie robić mu z niego prezentu (choć z drugiej strony czułbym ogromną radość, gdyby ten kutas, powiedzmy, powiesił się na nim). Przyszło mi do głowy, żeby włożyć ów krawat na obiad w Pikowanej Żyrafie. Zamiast krawata dam Seanowi zegarek Casio QD-150 Quick-Dialer z kalkulatorem i bazą danych. Zegarek sam wybiera numery telefoniczne (dźwiękowo), gdy przystawi się go do słuchawki telefonu; można także przechowywać w nim do pięćdziesięciu nazwisk wraz z numerami. Wybucham śmiechem wkładając ten bezużyteczny przedmiot do pudełka, przyszło mi bowiem do głowy, że Sean nie ma pięćdziesięciu przyjaciół, czy choćby nawet znajomych. Gdyby go zapytać, nie potrafiłby w y m i e n i ć pięćdziesięciu nazwisk. The Patty-Winters Showdnś rano poświęcony był barom sałatkowym. Sean dzwoni do mnie o piątej z Racquet Club i komunikuje, że oczekuje mnie wieczorem w Dorsii. Właśnie rozmawiał z Blinem, właścicielem restauracji i zarezerwował stolik na dziewiątą. Mam

mętlik w głowie. Nie wiem co myśleć, ani co powiedzieć. The Putty Winters Showdziś rano poświęcony był sałatkom barowym.

Siedzę w Dorsii. Jest już wpół do dziesiątej: Sean spóźnia się o pół godziny. Maitre d' nie zgadza się, żebym usiadł przy stole dopóki nie nadejdzie mój brat. Moje najgorsze przeczucia sprawdzają się: najlepsza łoża w Dorsii - na wprost baru - czeka, aż Sean łaskawie zaszczyci ją swoją obecnością. Wściekłość nie ustępuje nawet po xanaxie i Absoluście z lodem. Gdy odlewam się w kiblu, przyglądam się cienkiej jak włos szparze nad rączką pisuaru i przychodzi mi do głowy, że gdybym w niej zniknął, gdybym nagle zmniejszył się i uciekł małym pęknięciem, nikt nie zauważyłby mojej nieobecności. Nikogo... by... to... nie... obeszło... Co więcej, niektórzy z pewnością ucieszyliby się, gdybym przepadł: poczuliby nieskończenie wielką ulgę. To prawda: świat staje się lepszy, gdy znikają z niego pewni ludzie. Nasze żywoty w o gołe nie są ze sobą powiązane. Teoria, która mówi, że jest inaczej, to kupa nic nie wartego gówna. Niekiedy ludzie naprawdę nie muszą tutaj być. Jednym z nich jest mój brat Sean, który siedzi przy zarezerwowanym przez siebie stole, gdy wychodzę z męskiej toalety. Wcześniej zadzwoniłem do domu, żeby sprawdzić wiadomości na automatycznej sekretarce (Evelyn jest w nastroju samobójczym, Courtney chce kupić chow-chow, a Luis proponuje obiad w czwartek). Sean pali jednego papierosa za drugim. Pytam sam siebie: cholera, dlaczego nie zażądałem stołu w sali dla niepalących? Gdy zbliżam się do łoża wymienia uściski z maitrem d', ale nie zadaje sobie trudu, żeby nas sobie przedstawić. Siadam i kiwam głową. Sean odpowiada kiwnięciem. Zamówił już butelkę Cristala wiedząc, że to ja płacę rachunek; wiedząc -jestem pewien - że ja wiem, że nie pija szampana.

Sean ma dwadzieścia trzy lata. W zeszłym roku był w Europie, a przynajmniej tak powiedział Charlesowi Conroyowi, który po pewnym czasie rzeczywiście otrzymał spory rachunek z Hotelu Plaža Athenee. Później okazało się, że podpis na rachunku nie odpowiada wzorcowi podpisu Seana i nikt tak naprawdę nie miał pojęcia jak długo mój brat bawił we Francji i czy w ogóle tam był. Po powrocie Sean objął się przez czas jakiś, a potem po raz drugi zapisał się do Camden, gdzie wytrzymał trzy tygodnie. Teraz szwenda się po Manhattanie i z pewnością wybiera się do Palm Beach albo do Nowego Orleanu. Jak było do przewidzenia, jest na przemian ponury i arogancki. Zauważyłem przed chwilą, że zaczął depilować brwi. Ma ich kilka nad okiem. Czuję ogromną potrzebę zwrócenia mu na to uwagi, ale pokonuję przymus zaciskając dłoń w pięść - robię to tak mocno, że przecinam paznokciami skórę we wnętrzu dłoni, a mój lewy biceps napina się i rozrywa rękaw lnianej koszuli od Armaniego.

- Podoba ci się tutaj? - pyta z uśmiechem.

- To moje... ulubione miejsce - zdobywam się na żart mimo zaciśniętych zębów.

' - Zamówmy coś - proponuje Sean nie patrząc na mnie i macha do lasko-ja-da, który przynosi dwie karty i listę win; zerka przy tym z podziwem na mojego

brata, który zupełnie nie zwraca na to uwagi. Otwieram menu - kurwa mać! - nie ma w nim cen, co oznacza, że Sean zamówi homara z kawio-rem i brzoskwiń-owe ravioli jako przekąskę, a jako entree homara z rusztu z sosem truskawkowym -dwa najdroższe dania w karcie. Każę sobie podać sashimi z kuropatwy z drożdżówką z grilla i młode kraby w miękkich skorupkach w zalewie winnej. Lasko-ja-d otwiera butelkę Cristala i nalewa szampana do kryształowych k u b k ó w - co prawdopodobnie uważane jest tutaj za szczyt dobrego smaku. Po odejściu kelnerki Sean zauważa, że przyglądam się mu z dezaprobatą.

- O co chodzi? - pyta.

- O nic.

- Co... ci... jest... Patrick u? - obrzydliwie cedzi słowa.

- Homara na przekąskę? I jako entiee?

- A co według ciebie mam zamówić? Przystawki z chrupków ziemniaczanych Pringles?

- D w a homary?

- Zapalki, które leżą na stole, są tylko odrobinę większe od homarów, które tutaj podają - mówi. - Poza tym nie jestem głodny.

- No właśnie.

- Przyślę ci faksem wyrazy ubolewania.
- To nic nie zmieni, Sean.
- Rock and roli...
- Wiem, wiem, rock and roli, pocałuj się gdzieś, prawda? - mówię unosząc dłoń z kubkiem szampana. Zastanawiam się, czy nie jest za późno, żeby poprosić kelnerkę o przyniesienie tortu ze świecą - choćby tylko po to, żeby zaszokować tego małego skurwiela, żeby pokazać mu, gdzie jego miejsce - ale tylko odstawiam kubek i pytam: - Posłuchaj no, o Jezu... - biorę głęboki oddech i wypuszczam powietrze. - Co dzisiaj robiłeś?
- Grałem w squasha z Kichaniem Lindquistem - wzrusza pogardliwie ramionami. - Kupiłem sobie smoking.
- Nicholas Leigh i Charles Conroy chcą wiedzieć, czy pojawisz się tego lata w Hamptons?
- Jeśli będzie to tylko ode mnie zależne, to z pewnością nie - odpowiada i znów wzrusza ramionami.

Jakaś blondynka o niemal doskonałej urodzie: z dużymi cyckami i programem z Le.s Misemblesvf dłoni, ubrana w długą wieczorową suknię z matowego jedwabnego dżerseju z kolekcji Michaela Korsy zaprojektowanej dla Bergdorfa Goodmana, w pantoflach od Manolo Blahnika, z połączanymi żyrandolowymi kolczykami od Ricarda Siberna w uszach, zatrzymuje się przy naszym stole i wita z Seanem. Z chęcią wyjechałbym to stworzenie, Sean natomiast całkowicie ignoruje jej zalotne uśmiešky i nawet nie przedstawia nas sobie. Podczas rozmowy z dziewczyną mój brat jest wyjątkowo nieuprzejmy, a mimo to blondynka odchodzi uśmiechnięta podnosząc dłoń w rękawiczce. - Będziemy u Mortimera. Później. - Sean kiwa głową i wpatruje się w mój kieliszek z wodą, a potem macha na kelnera i zamawia szkocką bez lodu.

- Kto to był? - pytam.
- Jedna laska, która chodziła do Stephens.
- Skąd ją znasz?
- Grywamy w bilard w M.K. - wzrusza ramionami.
- Czy ona nie jest jedną z Du Fontów? - pytam.
- Dlaczego? Chcesz jej numer?
- Nie, chciałbym tylko wiedzieć czy ona nie jest jedną z Du Fontów?
- Możliwe. Nie wiem. - Zapala kolejnego papierosa, Parliamanta, czymś co wygląda jak zapalniczka z osiemnastokaratowego złota od Tiffany'ego. - Być może jest przyjaciółką jednego z Du Fontów.

Szukam w sobie i otaczającej mnie rzeczywistości jednej logicznej przyczyny, dla której siedzę w Dorsii z moim bratem Seanem i żadna nie przychodzi mi do głowy. Przed moimi oczyma pojawia się ciąg zer powtarzający się w nieskończoność. Po obiedzie - doskonałym, choć podanym w mikroskopijnych porcjach, których Sean nie tyka - informuję go, że jestem umówiony z Andream Rothmere u Nell, więc jeśli chce espresso lub deser, to niech lepiej zamówi je teraz, ponieważ o północy muszę być w mieście.

- Po co się tak spieszyć? - pyta. - Nell to już nie to co kiedyś.
- No cóż... - jąkam się, ale szybko dochodzę do siebie. - Spotykamy się u Nell, a potem idziemy do... - szukam w myślach odpowiedniego miejsca -... Chernoble. - Upijam łyk szampana z kubka.
- Nudy. N a p r a d ę straszne nudy - mówi rozglądając się po sali.
- Albo do Contraclub East. Nie pamiętam.
- Też odpada. To prehistoria. Epoka kamienna łupanego - śmieje się cynicznie.

Zapada pełne napięcia milczenie. - Skąd możesz wiedzieć? - pytam w końcu.

- Rock and roli - wzrusza ramionami. - Trzeba sobie jakoś radzić.
- No cóż, Sean, a t y dokąd idziesz?
- Petty - pada natychmiastowa odpowiedź.
- No tak - mruczę do siebie. Zapomniałem, że Klub Petty jest już otwarty. Sean gwizdże coś i pali papierosa.
- Idziemy na przyjęcie do Donalda Trumpa - Warnie.
- Ubawisz się po pachy. Gratuluję.

- Donald to miły facet. Powinienesz go poznać - mówię. - Jeśli chcesz... mogę cię przedstawić.
- Naprawdę! - pyta Sean z nadzieją w głosie, a może tak ini się tylko wydaje.
- Taa, jasne - o tak, nryślę sobie.

Zastanówmy się: jeśli wkrótce przyniosą rachunek... i... zapłacę go, to gdy dojadę taksówką do domu będzie już północ, a to oznacza, że nie zdążę oddać do wypożyczalni wczorajszych kaset, ale jeśli nie pojechałbym do domu, tylko wpadł prosto do wypożyczalni, to zdążyłbym jeszcze wziąć jakąś kasety na dzisiaj, tylko że na mojej karcie członkowskiej jest wyraźnie napisane, że nie można pożyczyć więcej niż trzech filmów na raz. Pomyślmy... wczoraj wziąłem tylko dwa filmy (Sobowtóra i Gorącą martwą blondynkę), więc dziś mogę pożyczyć jeszcze jeden film, no a poza tym jestem członkiem Złotego Kręgu Wypożyczalni, co oznacza, że przez ostatnie pół roku wydałem tam (przynajmniej) tysiąc dolarów, więc mogę wypożyczać tyle filmów dziennie ile mi się podoba, ale jeśli nie oddałem tych wczorajszych, to być może nie pożyczą mi nowych, bez względu na Złoty Krąg... nie pożyczą mi nic, dopóki nie oddam tego, co mam w domu, ale...

- Niezła blizna, niezła blizna - mruczy pod nosem Sean, albo tak mi się wydaje.
- Co mówisz? - pytam podnosząc głowę. - Nie dosłyszałem.
- Niezła opalenizna - wzdycha. - Powiedziałem, że masz niezłą opaleniznę.
- Ach tak - odpowiadam mając w głowie zamęt: nie mogę dojść do ładu z tymi kasetami. Opuszczam wzrok i patrzę - na co? - na własne kolana? - Eee... dzięki.
- Rock and roli. - Gasi papierosa. Z kryształowej popielniczki unosi się dym i rozplywa w powietrzu.

Sean wie, że ja wiem, że mógłby załamać nam wejście do Petty, nowego klubu Normana Pragera przy Pięćdziesiątej Dziewiątej, ale nie mam zamiaru go prosić, a on nie kwapi się z zaproszeniem. Kładę na rachunku platynową kartę American Express. Sean gapi się na laskojada przy barze ubranego w wełnianą dżersejową sukienkę od Thierry Muglera i szalik od Claude'a Montany. Dziew-czviia pije szampana z kryształowego kubka. Gdy pojawia się kelnerka, żeby zabrać kartę i rachunek, kręcę znacząco głową. W końcu Sean rzuca okiem na AmExa: patrzy na niego przez sekundę, może trochę dłużej... Przywołuję kelnerkę i pozwalam jej zabrać rachunek.

LUNCH z BETHANY

Dzisiaj jestem umówiony z Bethany na lunch w Próżności - nowym bistro Evana Kely w Tribeca. Rano ćwiczyłem przez dwie godziny, przed południem podnosiłem ciężary w biurze, mimo to jestem wyjątkowo spięty. Nie wiem dla-czego, ale po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że najogólniej można wyodrębnić dwa powody, dla których nie czuję się najlepiej (jeden z nich na pewno jest prawdziwy): po pierwsze, być może podświadomie obawiam się braku akceptacji ze strony Bethany (choć nie wiem dlaczego - to przecież o n a zadzwoniła do mnie, to o n a chce się ze mną spotkać, o n a chce zjeść ze mną lunch i wreszcie o n a ma zamiar iść ze mną po raz kolejny do łóżka); po drugie, upatruję przyczynę podenerwowania w nowym włoskim żelu, który nałożyłem na włosy: istotnie wyglądają teraz na gęściejsze i ładniej pachną, ale są przy tym lepkie i nie czuję się z nimi najlepiej. Chcąc uniknąć kłopotliwej sytuacji, jaką zawsze jest brak tematu do rozmów podczas lunchu, zabrałem się do czytania modnego zbioru opowiadań zatytułowanego Chińska patelnia. Kupiłem tę książkę wczoraj w księgarni Barnes & Noble. O młodym autorze opowiadań pisano niedawno w Błyskawicznym Przeglądzie Literackim magazynu New York. Wkrótce po rozpoczęciu lektury musiałem odłożyć stosunkowo ciekawą książkę na półkę, napić się J&B z lodem i zażyć dwa xanaxy, by otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiły na mnie opowiadania, z których każde zaczynało się zdaniem: "Gdy księżyc rozbłysnął na niebie jak wielka, czerwona pizza..." Przed pójściem spać postanowiłem zrobić Bethany niespodziankę napisałem dla niej wiersz. Zajęło mi to sporo czasu - co ogromnie mnie zdziwiło, bo kiedyś dosyć często pisywałem dla niej długie, ponure poematy. Ale wówczas studiowaliśmy na Harvardzie i Bethany jeszcze ze mną nie zerwała. Boże - mówię do siebie wchodząc do Próżności spóźniony jedynie o piętnaście minut - mam nadzieję, że nie wyładowała w końcu w ramionach tego głupiego skurwysyna Roberta Halla. Przechodzę obok lustra zawieszonego nad barem i sprawdzam swój wygląd - żel spisuje się doskonale. Tematem The Patty Winters Showdziś rano było pytanie: Czy Patrick Swayze stał się cyniczny, czy nie?

Muszę się na chwilę zatrzymać przed stołem, do którego prowadzi mnie maitre d' (wszystko odbywa się jak na zwolnionym filmie). Bethany siedzi odwrócona do mnie tyłem. Widzę tylko jej kark i spięte w kok brązowe włosy; gdy zerka za okno, dostrzegam fragment jej profilu - wygląda zupełnie jak m o d e l - k a. Bethany włożyła dziś jedwabną, gazarową bluzkę i jedwabno-satynową spódnicę na krynolinie. Zielona torba myśliwska z zamszu i żeliwa zaprojektowana przez Palomę Picasso stoi na stole obok butelki wody San Pellegrino. Bethany spogląda na zegarek. Para siedząca przy stole obok pali papierosy. Pochyliłam się nad karkiem Bethany i całuję ją w policzek, a potem zde gustowany proszę ma-itre'a d' o znalezienie dla nas stołu w sali dla niepalących. Jestem uprzejmy, ale mówię na tyle głośno, by usłyszeli mnie nikotyniści, którzy powinni poczuć się zażenowani i rzucić swój obrzydliwy nałóg.

- Co pan proponuje? - pytam kierownika sali stojąc przed nim ze skrzyżowanymi ramionami i niecierpliwie tupiąc nogą.

- Obawiam się, że w naszej restauracji nie ma sali dla niepalących, proszę pana - informuje mnie maitre d'.

Przestaję przytupywać i powoli rozglądam się po restauracji - po bistro-zastanawiając się, jak naprawdę wyglądają moje włosy; nagle zaczynam żałować, że nie zmieniłem żelu, bo coś stało się z moją fryzurą od chwili, gdy przeglądałem się w lustrze nad barem: czuję, że fryzura ma inny, obcy kształt, jakbym potargał się podczas drogi do stołu. Zalewa mnie fala mdłości, których nie potrafię opanować; jest mi jakoś dziwnie ciepło. W końcu mówię sobie, że coś mi się subiektywnie przywidziało i zwracam się do kierownika sali: - Więc pomada pan, że t u - t a j nie ma sali dla niepalących? Czy dobrze pana zrozumiałem?

- Owszem, proszę pana. - Maitre d' - młodszy ode mnie, pedziowaty, z niewinną buźką, aktor bez wątpienia- dodaje po chwili: - Przepraszam.

- No cóż, to... bardzo interesujące. Przystaję na to... - sięgam do tylnej kieszeni po portfel ze skóry gazeli i wyciągam z niego dwadzieścia dolarów, które następnie wciskam w nieśmiało wysuniętą dłoń maitre'a d'. Spogląda na banknot, widać że jest zmieszany, szepcze - Dziękuję panu - i odchodzi jak w transie.

- Nie, to ja dziękuję p a n u - wołam za nim i siadam naprzeciw Bethany kiwając z galanterią głową do pary siedzącej przy stole obok. Staram się nie zwracać uwagi na moją towarzyszkę nie będąc przy tym nieuprzejmym, jednak nie mija chwila gdy czuję, że dłużej już nie wytrzymam. Bethany wygląda absolutnie szokująco, z u p e ł n i e j a k modelka! Wszystko jest mrokiem. A ja pływam na krawędzi ciemności. Przez głowę przebiegają mi gorączkowe, romantyczne myśli...

- Pamiętam, że paliłeś na Harvardzie... - odzywa się w końcu Bethany.

- Cygara, tylko cygara.

- Ach tak - wzdycha.

- Rzuciłem również i to przyzwyczajenie - kłamię i oddycham ciężko) mocno zaciskając dłonie.

- To dobrze - kiwa głową.

- Słuchaj, miałaś jakieś problemy z rezerwacją? - pytam (kunya ja cały d r ż ę!). Kładę ręce na stole jak idiota. Mam nadzieję, że przestaną się trząść pod jej uważnym wzrokiem.

- Tutaj nie trzeba rezerwować stołów, Patricku - mówi pocieszająco, wyciąga rękę i kładzie ją na mojej dłoni. - Uspokój się. Wyglądasz jak dzikus.

- Jestem spokojny, to znaczy spokojny - mówię oddychając ciężko i próbując się uśmiechnąć; potem zupełnie niechcący, nie mogąc nad sobą zapanować py-tam: - Jak tam moje włosy?

- W porządku - odpowiada. - Ciii, wszystko jest okay.

- To dobrze. Nic mi nie jest - znów próbuję się uśmiechnąć, ale na mojej twarzy -jestem pewien - pojawia się grymas.

Po chwili Bethany mówi: - Masz ładny garnitur. To Henry Stuart?

- Nie - odpowiadam urażony i dotykam kłapy. - Garrick Anderson.

- Bardzo ładny - na twarzy Bethany pojawia się wyraz zaniepokojenia. - Czy naprawdę nic ci nie jest, Patricku? Masz jakiś... tik?

- Słuchaj, konam ze zmęczenia. Właśnie wróciłem z Waszyngtonu. Samolotem Trumpa dziś rano...
- odpowiadam szybko nie patrząc jej w oczy. - Było wspaniale. Obsługa... pierwsza klasa. Muszę się napić.

Uśmiecha się rozbawiona i patrzy na mnie w jakiś przenikliwy sposób. - Czyżby? - pyta nie bez pewnego (czuję to) zadowolenia z siebie.

- Tak - Nie mogę oderwać od niej wyroku i z ogromnym wysiłkiem rozkładam serwetkę; opuszczam ją na kolana, poprawiam, kładę dłoń na kieliszku do wina i modlę się o kelnera. Cisza jaka zapadła przy stole jest jak grom dzwoniący w uszach. - Oglądałaś dzisiaj rano The Patty Winters Show)

- Nie, biegałam - pochyła się w moją stronę. - Tematem był Michael J. Fox, prawda?

- Nie - poprawiam ją. - Patrick Swayze.

- Doprawdy? Tak trudno za wszystkim nadążyć. Jesteś pewien?

- Tak. Patrick Swayze. Na sto procent.

- I co mówili?

- No cóż, program był bardzo interesujący - wciągam powietrze. - Coś w rodzaju debaty, w której spierano się o to, czy stał się bardziej cyniczny, czy nie.

- A ty co o tym sądzisz? - pyta z uśmiechem.

- No cóż, nie, nie wiem... - zaczynam nerwowo. - To ciekawe pytanie, na które nie udzielono jeszcze wyczerpującej odpowiedzi. To znaczy po Dirty Dan-cing Patrick nie był jeszcze cyniczny, ale gdy na ekranach pojawił się Tiger Warsaw... to kto wie... Być może jestem szalony, ale odkrywam w nim pewne zgorzknienie. Sam nie wiem.

Wpatruje się we mnie z takim samym wyrazem twarzy jak poprzednio.

- Och, prawie bym zapomniał - mówię sięgając do kieszeni. - Napisałem dla ciebie wiersz. - Podaję jej kartkę. - Proszę, przeczytaj. -Jest mi źle, podle, męczę się, żyję na krawędzi.

- Och, Patricku - uśmiecha się. -Jak to ładnie z twojej strony.

- No wiesz... - skromnie spuszcza oczy. Bethany bierze ode mnie kartkę i rozkłada ją.

- Przeczytaj - nalegam entuzjastycznie.

Szybko przesuwam wzrokiem po tekście, wygląda na zaskoczoną, zdziwioną, spogląda na drugą stronę, żeby zobaczyć czy jest coś jeszcze; w końcu do jej świadomości dociera fakt, że wiersz jest krótki i jeszcze raz patrzy na czerwone litery.

- To jak haiku, wiesz? - mówię. - Przeczytaj. Głośno.

Bethany chrząka i zaczyna czytać z ociąganiem, powoli, robiąc długie przerwy: - Biedny czarnuch na ścianie. Spójrz... - przerywa, mruży oczy i ponownie zaczyna czytać: - Spójrz na biednego czarnucha. Spójrz na biednego czarnucha... na... ścianie... - zająkuje się, podnosi głowę i opuszcza oczy.

- No dalej - ponaglam rozglądając się za kelnerem. - Dokończ. Chrząka i nie podnosząc oczu czyta cichutko, niemal szeptem: - Chuj mu

w dupę... Pierdol Murzyna na ścianie... - znowu się jąka i wzdychając ciężko kończy ostatnie zdanie: - Czarny człowiek... to... de... debil?

Para przy stole obok powoli odwraca głowy i patrzy na nas. Facet wygląda na skonsternowanego, kobieta na przerażoną. Rzucam jej wściekle spojrzenie, odwraca głowę do własnej, jebanej sałatki.

- No cóż, Patricku - mówi Bethany z wymuszonym uśmiechem i oddaje mi kartkę.

- Tak? - pytam. - I cóż?

- Widzę... - przerywa i zastanawia się -...że twoje poczucie... sprawiedliwości społecznej... - znowu chrząka i opuszcza głowę -...jest tak silne jak dawniej.

Odbieram od niej wiersz i chowam go do kieszeni. Staram się zachować kamienny wyraz twarzy, siedzę wyprostowany, żeby nie domyśliła się przypadkiem, że przewracają się we mnie flaki. Do stołu podchodzi kelner. Pytam go, jakie mają piwo.

- Heineken, Budweiser, Amstel Light - recytuje.

- Tak? - mówię patrząc na Bethany i nakazując mu gestem, by kontynuował.

- To... eee... wszystko, proszę pana - odpowiada.

- A Corona? A Kirin? A Grolsch? A Morretti? - pytam zmieszany i wściekły.

- Pan wybaczy, ale nie mamy ich - odpowiada ostrożnie. - Tylko Heineken, Budweiser i Amstel I Jght.

- To szaleństwo - wydycham. - Proszę J&B z lodem. Nie, martini z Absolutem. Nie, J&B bez lodu.

- A ja proszę o jeszcze jedną wodę San Pellegrino - mówi Bethany.

- Dla mnie to samo - dodaję szybko; czuję, że noga podskakuje mi bezwolnie pod stołem.

- Okay. Czy przedstawić państwu specjalność naszej kuchni? - pyta.

- Tak, ze wszech miar - wypływam z siebie, a potem uspokajam się i uśmiecham przepraszająco do Bethany.

- Jest pan pewien? - śmieje się kelner.

- P r o s z ę - mówię wpatrując się ponuro w menu.

- Jako przekąski polecam państwu suszone na słońcu pomidory ze złotym kawiozem i chili poblano, mam także zupę ze świeżej endywii...

- Chwileczkę, chwileczkę - podnoszę do góry rękę przerywając mu. - Niech no pan zaczeka.

- Słucham pana? - pyta zmieszany kelner.

- M a pan zupę? To niewiarygodne. Domyślam się, że chciał pan powiedzieć w rest a u r a c j i m a m y z u p ę... - poprawiam go. - Pan nie ma żadnej zupy. Natomiast restauracja owszem. Chili poblano też nie jest p a n a. Należy do restauracji. Więc niech pan będzie łaskaw wyrażać się ściślej.

Zaszokowany kelner gapi się na Bethany, która próbuje ratować sytuację pytaniem: - Wspomniał pan o zupie z endywii, jak jest podawana'?

- Eee... na zimno - odpowiada kelner nie całkiem jeszcze zdrowszy po moim wybuchu. Czuje, że ma do czynienia z kimś bardzo, bardzo przerażającym. Milknie nie wiedząc co powiedzieć, ani jak się zachować.

- Dalej - mówię do niego. - Proszę dalej.

- Zupa podawana jest na zimno - zaczyna po raz drugi. - A jako entree m a m y anioła morskiego z plasterkami mango i kanapkę z drożdżówki z czerwoną papryką polaną syropem klonowym - rzuca okiem na swoje notatki -i... bawełnę.

- Mm, brzmi zachęcająco. Bawełna, mmm... - mruczę zacierając ręce z zadowolenia. - Bethany?

- Poproszę ceviche z porem i szczawiem - mówi Bethany. - I endywię z... sosem z orzechów włoskich.

- Dla pana? - pyta nieśmiało kelner.

-Ja wezmę sobie... - przerywam i rzuca okiem na menu. - Wezmę sobie kałamarnicę z szyszkami sosnowymi i kawałek koziego sera, chevre... - spoglądam na Bethany, żeby sprawdzić czy zauważyła mój błąd w wymowie - ... i do tego...och... trochę kozibrodu na boku.

Kelner kiwa głową i odchodzi. Jesteśmy sami.

- No cóż - Bethany uśmiecha się i zauważa, że stół trochę się trzęsie. - Co... coś nie w porządku z twoją nogą?

- Z moją nogi...? Och... - patrzę na dół, a potem znów podnoszę wyrok na Bethany. - To... przez muzykę. Bardzo podoba mi się ta muzyka. To, co grają.

- Co to jest? - pyta przechylając głowę i starając się wychwycić melodię gównianego new age'u na skrzypce sączącego się z głośników zawieszonych pod sufitem nad barem.

- To... Wydaje mi się, że to Belinda Carlisle - zgaduję. - Nie jestem pewien.

- Ale... - zaczyna i przerywa. - Och, nieważne.

- Ale co?

- Ale nie słyszę, żeby ktoś śpiewał - uśmiecha się poważnie i opuszcza głowę. Przytrzymuję ręką nogę i udaję, że słucham. - To jedna z jej piosenek - stwierdzam i dodaję: - Nazywa się chyba "Heaven Is a Place on Earth". Znasz ją?

- Słuchaj - zaczyna Bethany. - Byłeś ostatnio na jakimś koncercie?

- Nie - odpowiadam wściekając się, że pyta mnie akurat o to; jakby nie było innych tematów do rozmowy! - Nie lubię muzyki na żywo.

- Muzyki na ż y w o? - pyta zbита z tropu i popija San Pellegrino.

- Tak, no wiesz... jak zespół gra na scenie - tłumaczę, a jej wyraz twarzy podpowiada mi, że mówię bzdury. - Och zapomniałem, widziałem ostatnio U2.
- I jak było? - pyta. - Bardzo podoba mi się ich ostatnia płyta.
- Byli wspaniali, absolutnie wspaniali. Absolutnie... - milknę nie wiedząc co powiedzieć. Bethany unosi brwi czekając na ciąg dalszy. - Absolutnie... irlandzcy.
- Słyszałam, że nieźle grają na koncertach -jej głos brzmi teraz jakoś tak... śpiwnie. - Kogo jeszcze lubisz?
- Och, no wiesz - zupełnie nie wiem co powiedzieć. - The Kingsmen. "Louie, Louie"... takie rzeczy.
- O rany, Patricku - wykrzykuje i przygląda się badawczo mojej twarzy.
- Co? - W panice dotykam włosów. - Za dużo żelu? Nie lubisz The Kingsmen?
- Nie - śmieje się. - Tylko nie przypominam sobie, żebyś w szkole był kiedyś tak opalony.
- Byłem opalony, chyba...? - pytam. - To znaczy nie byłem blade, prawda? - Opieram łokieć o stół i napinam biceps. Każę jej pomacać mięśnie. Dotyka ich niechętnie, a ja pytam dalej: - Naprawdę nie byłem taki opalony w Harvar-dzie? - udaje, że jestem zmartwiony i jestem zmartwiony.
- Nie, nie - wybucha śmiechem. - Wyglądałeś jak Marcel Proust, Marcel Proust rocznik osiemdziesiąt cztery.
- Dzięki - mówię zadowolony.

Kelner przynosi drinki. Dwie butelki San Pellegrino. Scena Druga.

- Więc pracujesz w młynie... wodnym? Tafta? No jak to się nazywa:1 - pytam. Jej ciało, kolor jej skóry, wszystko w Bethany jest jędrne i różowe.
- Millbank Tweed - mówi. - Tam właśnie pracuję.
- No cóż - odpowiadam wyciskając limonę do szklanki. - To wspaniale. Oplacało się studiować prawo.
- A ty jesteś u Pierce'a & Pierce'a? - pyta. -Tak.
Kiwa głową, milczy, chce coś powiedzieć, zastanawia się czy powinna, a po tem - po upływie kilku sekund - pyta: - Zdaje się, że twoja rodzina ma...
- Nie chcę o tym mówić - przerywam jej. - Ale nie mylisz się, Bethany. Jest tak jak myślisz.
- I mimo to pracujesz w P&P? - pyta. Wymawia dokładnie każdą sylabę, każdą zgłoskę, a wszystko to wybucha mi w głowie jak dopalacz odrzutowca.
- Tak - przyznaję i rozglądam się po sali.
- Ale... - zaczyna zmieszana. - Twój ojciec...
- Tak, oczywiście - wpadam jej w słowo. -Jadłaś focaccię w Poondrakach?
- P a t r i c k u.
- Taki'
- Co się dzieje?
- Nie chcę po prostu mówić o... - przerywam. - O pracy.
- Dlaczego nie?

- Ponieważ jej nienawidzę. A teraz posłuchaj, byłaś już w Poondrakach? Uważam, że Miller ocenił je zbyt surowo.

- Patricku - mówi powoli. -Jeśli praca nie sprawia ci przyjemności, dlaczego jej po prostu nie rzucisz? Nie musisz pracować.

- Nie - patrzę jej prosto w oczy. - Chcę... być... taki... jak... inni. Uśmiecha się i milczy przez chwilę, po czym przytakuje: - Rozumiem. -

Kolejna chwila milczenia.

Tym razem ja odzywam się pierwszy: - Spójrz na to, jak na... no cóż... nowe podejście do kwestii prowadzenia interesów.

- Bardzo -jąka się - rozsądnie. - Znowu się jąka: - Bardzo... eee... praktycznie.

Ten lunch jest dla mnie wieloma rzeczami na raz: jest ciężarem, zagadką, którą trzeba rozwiązać, i wreszcie przeszkodą, która ni z tego ni z owego zamienia się we wszechogarniające poczucie ulgi. Teraz jestem już w stanie dać umiejętne przedstawienie - moja przepastna inteligencja działa na najwyższych obrotach i informuje mnie, że Bethany ma na mnie ochotę; ja wycofuję się, bo nie

mam zamiaru z nikim się wiązać. Potem ona także się wycofuje, ale nie przestaje ze mną flirtować. Zapraszając mnie na lunch przedstawiła mi pośrednio pewną wizję nas dwojga. Rozważam ją i wpadam w panikę dokładnie wtedy, gdy przynoszą kałamarnicę i nagle wiem już, że nigdy nie dojdę do siebie, dopóki nie spełni się obietnica związana z Bethany. Mężczyźni przechodzący obok naszego stołu zerkają na nią z zainteresowaniem. Szepczę do niej stylowo. Od czasu do czasu. Słyszę wiele rzeczy na raz: hałas, tajemnicze odgłosy brzmiące w mojej głowie; usta Bethany otwierają się, zamykają, przetykają płyn, uśmiechają, przyciągają mnie do siebie niczym magnes pomalowany szminką i mówią coś o taksach -dwukrotnie. Zamawiam J&B z lodem, potem koniak. Bethany prosi o sorbet miętowo-kokosowy. Dotykam, ściskam jej dłoń leżącą na stole. Mój gest sugeruje coś więcej niż przyjaźń. Do Próżności wlewa się słońce, restauracja pustoszeje, jest już koło trzeciej. Bethany zamawia kieliszek chardonnay, potem jeszcze jeden, potem prosi o rachunek. Jest rozluźniona, lecz zauważam, że coś się z nią stało. Serce bije mi raz szybciej raz wolniej, po chwili jego rytm stabilizuje się.

Słucham uważnie. W głowie kłębią mi się tysiące pomysłów, niewykorzystanych nigdy możliwości. Opuszcza oczy, a kiedy podnosi głowę, ja opuszczam moje.

- No więc - zaczyna - spotykasz się z kimś?

- Moje życie jest bardzo nieskomplikowane - odpowiadam ostrożnie. Uspiała moją czujność.

- Co to znaczy? - pyta.

Piję koniak i uśmiecham się tajemniczo do siebie: drażnię się z nią, rozbudzam jej nadzieje, jej marzenia o naszym powtórnym związku.

- Patricku, pytałam czy z kimś się spotykasz - powtarza. - Nie wygłupiaj się, tylko mi odpowiedz.

Myślę o Evelyn i mruczę do siebie: - Tak.

- Z kim? - słyszę jak pyta.

- Z wielką butelką płynu do płukania ust - mówię cicho i nagle robi mi się bardzo smutno.

- C o? - pyta uśmiechnięta. Nagle coś jej się przypomniało, bo kręci głową i mówi: - Nie powinnam była tyle pić.

- W zasadzie nie spotykam się z nikim - kończę temat, a potem - niejako wbrew sobie - dodaję: - To znaczy, czy można się z kimś naprawdę s p o t y k a ć? Czy w dzisiejszych czasach ktokolwiek spotyka się z drugim człowiekiem? Czy t y kiedyś spotykałaś się ze m n ą? Rozumiesz? To nic nie znaczy! Ha! R o - z u m i e s z? Ha! Boja n i e! Ha! - wybucham śmiechem.

Zastanawia się nad tym, po czym mówi kiwając głową: - Jest w tym jakaś dziwna, wewnętrzna logika, jak przypuszczam.

Znów milczymy, w końcu pełen obaw pytam: - A ty? Spotykasz się z kimś? Uśmiecha się zadowolona i spuszcza głowę, po czym odpowiada z właściwą jej naturze, niebanalną rzeczowością: - Tak, no cóż, mam chłopaka i...

- Kto?

- Co? - podnosi głowę.

- Kto to jest? Jak się nazywał?

- Robert Hali. Dlaczego?

- Ten z Salomon Brothers?

- Nie, jest szefem kuchni.

- U Salomon Brothers?

- Patricku, on jest szefem k u c h n i. I współwłaścicielem restauracji.

- Której?

- Czy to ważne?

- Nie, naprawdę pytam której? - z trudem łapię powietrze. - Mam zamiar wykreślić ją z mojego Zagata.

- Nazywa się Dorsia - mówi. - Patricku, nic ci nie jest?

Tak, mój mózg rzeczywiście eksplodował, a żołądek doświadczył implozji: spazmatycznej, kwaśnej reakcji gastycznej. Na ekranie moich oczu pojawia się film z gwiazdami i planetami, całymi galaktykami małych czapek kucharskich. Wypluwam z siebie następne pytanie:

- Dlaczego Robert Hali? Dlaczego akurat on?

- No... nie wiem - odpowiada. Słysząc, że jest już lekko wstawiona. - Chyba dlatego, że mam już dwadzieścia siedem lat i...

- Tak? Ja też. Podobnie zresztą jak połowa Manhattanu. I co z tego? To nie jest powód, dla którego trzeba wychodzić za Roberta Halla.

- Wychodzić...? - pyta z szeroko otwartymi oczami. - Czy ja tak powiedziałam?

- Wydaje mi się, że mówiłaś coś o ślubie.

- Nie, nieprawda, a zresztą kto wie? - wzrusza ramionami. - Zawsze to jakieś wyjście.

- Wspania-le!

- Tak jak mówiłam, Patricku - wpatruje się we mnie rozbawiona, aż robi mi się niedobrze. - Zdajesz sobie sprawę, że, no cóż, czas nie stoi w miejscu. Mój zegar biologiczny ciągle tyka... - Mój Boże, myślę sobie, wystarczyły tylko dwa kieliszki chardonnay i jest gotowa przyznać się do wszystkiego. Chryste, co za słaba głowa. - Chcę mieć dzieci.

- Z Robertem Hallem? - pytam z niedowierzaniem. - Równie dobrze mogłabyś je mieć z kapitanem Lou Albano. Na Boga, Bethany, nie rozumiem cię.

Kładzie dłoń na serwetce, opuszcza głowę, a potem wygląda przez okno, za którym kelnerzy nakrywają stoły do obiadu. Ja też ich obserwuję. - Nie wiem dlaczego, ale wyczuwam w tobie jakąś wrogość, Patricku - mówi cicho i upija łyk wina.

- Może jestem wrogi z natury - wypluwam. - A może tylko tak ci się wydaje.

- Jezu, Patricku - przerywa mi. - Myślałam, że ty i Robert jesteście przyjaciółmi.

- Co takiego? - pytam. - Nic nie rozumiem.

- Byliście przecież przyjaciółmi?

Milczę pokazując jej, jak bardzo nieestosowne jest to, co mówi. - Czyżby?

- Owszem, Patricku, byliście.

- Robert Hali? Robert Hali? Robert Hali? - mruczę pod nosem udając, że usiłuję przypomnieć sobie o kogo chodzi. - Ten, który miał stypendium? Przewodniczący na ostatnim roku? - Zastanawiam się jeszcze przez sekundę, a potem dodaje: - Z cofniętym podbródkiem?

- Nie, Patrieku - mówi dobitnie. - I n y Robert Hali,

- Czy był jeszcze jakiś inny Robert Hali? - pytam.

- Owszem - mówi wyczerpana.

Wszystko się we mnie kurczy, zamykam oczy i wzdygam. - Robert Hali. Chyba nie ten, do którego rodziców należała połowa tego... jak mu tam... stanu... no... Waszyngton? Mówisz o tym, który był kapitanem - przełykam - drużyny wioślarskiej? Sześć stóp?

- Tak - zgadza się. - Mówię o t y m Robercie Hallu.

- Ale... - przerywam.

- Tak? Ale c o? - wydaje mi się, że jest przygotowana na najgorsze.

- Ależ on był p e d a ł e m - mamroczę.

- Nieprawda, nie b y ł - mówi wyraźnie przejęta.

- Jestem pewien, że był pedałem - zaczynam kiwać głową.

- Skąd ta pewność? - pyta, a w jej głosie nie słychać rozbawienia.

- Bo pozwalał chłopakom z korporacji... nie tym, z którymi ja mieszkałem... żeby, no wiesz, gwałcili go zbiorowo na przyjęciach, wiazali i takie tam inne rzeczy. Tak przynajmniej, rozumiesz, słyszałem - mówię zupełnie poważnie, a potem obniżam głos i zwieram się jej udając, że jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak poniżony: - Posłuchaj, Bethany, kiedyś... zaproponował... że no wiesz... obciągnie mi druta. Działo się to w dziale nauk społecznych biblioteki.

- O mój Boże - dyszy zdeglustowana. - Proszę o rachunek.

- Wydaje mi się, że wyrzucili go ze studiów za napisanie pracy semestralnej o Babarze? Albo o czymś takim... Babarze słoniu... O Jezu, Babarze f r a n c u s- k i m słoniu!

- O czym ty mówisz?

- Posłuchaj mnie: czy nie przeniósł się do szkoły biznesu w Kellog? Na Uniwersytecie Northwestern? Nie?

- Przerwał naukę - mówi nie patrząc na mnie.

- Słuchaj... - dotykam jej dłoni. Krzywi się i zabiera rękę.

Próbuję się uśmiechnąć. - Robert Hali nie jest pedałem...

- Mogę cię o tym zapewnić - mówi zbyt dobitnie. Jak można przejmować się kimś takim jak Robert Hali? Ale zamiast powiedzieć jej: "Doprawdy? Ty głupia, żalosna kurwo", pocieszam ją: - Wiem, wiem - a potem: - Opowiedz mi

O nim. Chciałbym wiedzieć, jak układa się wam życie. - Uśmiecham się i choć jestem wściekły, zaślepiony gniewem, przepraszam ją: - Wybacz.

Poddaje się, choć zabiera jej to trochę czasu. Odwzajemnia mój uśmiech

I kiwa głową, gdy ponawiani prośbę: - Opowiedz mi o nim. - W myślach dodaję (śmiejąc się szeroko): "Chciałbym rozciąć ci piczkę". Chardonnay zrobił swoje, jest teraz łagodna i mówi zupełnie swobodnie.

Myślę zupełnie o czym innym, gdy Bethany mówi o przeszłości: o powietrzu, wodzie, niebie, czasie, jakiejś chwili, punkcie na mapie, który odwiedziliśmy razem. Podobno chciałem pokazać jej wszystko co najpiękniejsze na świecie.

Brakuje mi cierpliwości, by wysłuchiwać tych rewelacji, rozpoczynać wszystko od nowa, zajmować się sprawami nie znajdującymi się w kręgu mojego bezpośredniego doświadczenia. Przed laty jakaś świeżo upieczona studentka - dziewczyna, którą spotkałem w barze w Cambridge na początku studiów (jesienią) - powiedziała mi: "W życiu jest nieskończenie wiele możliwości". Dzielnie walczyłem, żeby nie zakrztusić się orzeszkami podanymi do piwa, gdy cisnęła we mnie tym kamieniem żółciowym ogólnoludzkiej mądrości. Popiłem orzeszki resztką Heinekena, uśmiechnąłem się i zająłem oglądaniem gry w strzałki, która właśnie toczyła się obok. Nie muszę chyba dodawać, że ta bystra studentka nie dożyła dyplomu. Jeszcze tej samej zimy jej ciało wyłowiono z rzeki Charles. Trup miał obciętą głowę, którą znaleziono na drzewie trzy mile dalej. Głowa przywiązana była za włosy do niskiej gałęzi. Moje napady gniewu na Harvardzie nie były tak gwałtowne jak dziś, ale nie ma co się łudzić, że z czasem wszystko minie - to n i e- m o ż l i w e.

- Och, Patiicku - wzdycha Bethany. - Ciągłe jesteś taki sam. Nie wiem, czy to źle czy dobrze.

- Pomyśl, że dobrze.

- Dlaczego? Jak jest naprawdę? - pyta marszcząc czoło. - Jak było? Wtedy?

- Znasz mnie tylko z jednej strony - mówię. - Pamiętasz mnie jako studenta.

- Kochanka? - Jej głos brzmi teraz bardzo po ludzku.

Przyglądam się jej lodowato, wcale nie wzrusza mnie to co mówi. Na ulicy gra jakaś muzyka podobna do salsy. Kelner przynosi w końcu rachunek.

- Zapłacę - wzdycham.

- Nie - Bethany otwiera torebkę. - To ja cię zaprosiłam.

- Aleja mam platynową kartę American Express - informuję ją. - Ja także - odpowiada z uśmiechem.

Milczę. Przyglądam się jak kładzie kartę na tacy obok rachunku. Jeśli nie wstanę, dostanę za chwilę gwałtownych torsji. - Feministki. O rany - uśmiecham się, ale jej gra nie robi na mnie wrażenia.

Bethany czeka na chodniku, gdy rzygam lunchem w męskiej toalecie. Wyrzucam z siebie kałamarnicę, całkiem świeżą, może mniej fioletową niż była na talerzu. Wychodzę z Próżności wkładając Waytarery i żuję gumę Cert. Mruczę pod nosem, a kiedy całuję Bethany w policzek, wymyślam jakąś wymówkę: - Wybacz, że zajęło mi to tyle czasu. Musiałem zadzwonić do adwokata.

- Och? - udaje, że jest zaniepokojona. Głupia dziwka.

- Chodzi o przyjaciela - wzruszam ramionami. - Bobby Chambersa. Siedzi w więzieniu. Jego znajomi, no cóż... głównie ja... próbują zrobić coś w jego sprawie. - Jeszcze raz wzruszam ramionami i zmieniam temat: - Słuchaj...

- Tak? - pyta uśmiechnięta.

- Jest już późno. Nie chce mi się wracać do biura - spoglądam na Rolex. Zachodzące słońce rzuca bolesne błyski, z których jeden ją oślepia. - Może wpadlibyśmy do mnie!

- Co? - wybucha śmiechem.

- Może wpadlibyśmy do mnie? - powtarzam.

- Patricku - jej śmiech jest dosyć sugestywny. - Mówisz poważnie?

- Mam zamrożoną butelkę Pouilly-Fuise, he? - mówię unosząc brwi.

- Słuchaj, takie teksty były dobre na Harvardzie, ale teraz... - wybucha śmiechem i mówi dalej - ...hm, jesteśmy starsi i... - przerywa.

- I... co? - pytam.

- Nie powinnam była pić wina do lunchu - powtarza po raz kolejny. Idziemy. Na dworze jest chyba ze sto stopni, nie ma czym oddychać. Nie jest to ani dzień, ani noc. Niebo ma żółty kolor. Daję dolara żebrakowi na rogu Duane i Greenwich tylko po to, żeby zrobić na niej wrażenie.

- Posłuchaj, chłódź do mnie - nalegam niemal błagalnie. - Chodź...

- Nie mogę - odpowiada. - Klimatyzacja w moim biurze nie działa, ale nie mogę. Chciałabym, ale nie mogę.

- Och, przestań - obejmuję ją ramieniem. Przyciskam do siebie.

- Patricku. muszę wrócić do biura - jęczy i protestuje słabo.

- Ugotujesz się tam - ostrzegam.

- Nie mam wyboru.

- Chodź - kuszę. - Mam w domu serwis do kawy i herbaty z lat czterdziestych, czyste srebro od Durgin Gorhama, chciałabym ci go pokazać.

- Nie mogę - śmieje się i wkłada okulary.

- Bethany - mówię ostrzegawczo.

- Posłuchaj - poddaje się. - Postawię ci lody. Zjedzmy lody.

- Wspaniały pomysł! Wiesz ile gramów- tłuszczu, ile sodu jest w samej polewie czekoladowej? - dyszę udając przerażenie.

- Och, przestań. Chyba nie traktujesz tego poważnie.

- Nie, to ty przestali - wyprzedzam ją o kilka kroków, żeby nie zauważyła grymasu wściekłości. - Posłuchaj, pójdziemy do mnie na drinka, a potem wybierzemy się do Dorsii i spotkamy z Robertem, okay? - Odwracam się i idę tyłem. - P r o s z ę?

- Patricku. Marudzisz.

- Naprawdę chcę ci pokazać ten serwis do herbaty Durgin Gorhama - przerywam. - Proszę - Znów przerywam. - Zapłaciłem za niego trzy i pół tysiąca dolarów. Zatrzymuje się, ja także przystanęłam. Opuszcza głowę, a kiedy ją podnosi zauważam, że jej czoło, oba policzki, nawet brwi pokryte są warstwą potu, która błyszczy w świetle zachodzącego słońca. Jest jej gorąco. Wzdycha i uśmiecha się do siebie. Spogląda na zegarek.

- I co? - pytam.

- Gdybym się zgodziła... - zaczyna.

- Ta-a-ak? - przeciągam to słowo do granic możliwości.

- Gdybym się zgodziła, musiałabym zadzwonić.

- Nie, nie zgadzam się - mówię zatrzymując taksówkę. - Zadzwonisz ode mnie.

- P a t r i c k u - protestuje. - Obok jest telefon.

- Chodźmy - mówię. - Taksówka czeka.

W taksówce jadącej na Upper West Side Bethany mówi: - Nie powinnam była pić wina.

- Jesteś pijana?

- Nie - odpowiada wachlując się programem Nędzników, który leżał na tylnym siedzeniu. W samochodzie nie ma klimatyzacji i mimo otwartych okien Bethany jest gorąco. - Tylko lekko... wstawiona.

Oboje bez powodu wybuchamy śmiechem, Bethany opiera się o mnie, a potem coś jej się przypomina i odsuwa się. - Masz w domu portiera, prawda:1 -płta podejrzliwie.

- Tak - uśmiecham się. Podnieca mnie jej nieświadomość ryzyka, na jakie się naraża.

U mnie. Bethany wchodzi do salonu, kiwa głową z aprobatą i mruczy: -Bardzo ładnie, panie Bateman, bardzo ładnie. -Ja w tym czasie zamykam drzwi na wszystkie zasuw i przechodzę do baru, nalewam sobie J&B. Bethany przesuwą dłonią po szafie grającej Wurlitzera, oglądają. Z gardła wydobywa mi się char-kot, ręce trzęsą mi się tak mocno, że postanawiam nie dodawać lodu

do drinka. Idę do salonu. Staję za jej plecami. Bethany ogląda obraz Davida Oniki wiszący nad kominkiem. Przekrzywia głowę, wpatruje się w płótno i nagle zaczyna chichotać. Zerka na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy, potem znów na Onikę i ciągle się śmieje. Nie pytam o co chodzi - mało mnie to wzrusza. Jednym haustem wypijam drinka i idę do garderoby: mojej zbrojowni z białego dębu (prawdziwy Anaholian), w której mam ukryty nowiutki pistolet do wstrzeliwania gwoździ kupiony w zeszłym tygodniu w sklepie z narzędziami obok mojego biura na Wall Street. Wkładam czarne rękawiczki i sprawdzam, czy pistolet jest załadowany.

- Patricku? - woła mnie Bethany nie przestając chichotać.

- Tak? Słucham, kochanie?

- Kto wiesz o Onice i*?

- Podoba ci się i* - pytam.

- Jest w porządku, ale... - milknie, a potem dodaje: - Jestem pewna, że wisi do góry nogami.

- Co?

- Kto wiesz o Onice?

- Ja - odpowiadam odwrócony do niej plecami.

- Powiesiłeś go do góry nogami - powtarza i wybucha śmiechem.

- Hm? - stoję przed zbrojownią ściskając pistolet w garści, ważąc jego ciężar.

- Nie wierzę, że mogłeś powiesić go do góry nogami. Jak długo go masz'?

- Od stuleci - odpowiadam szeptem, odwracam się i podchodzę do niej.

- Co? - pyta wpatrzona w obraz.

- Pytałem cię, co do kurwy nędzy robisz z Robertem Hallem? - szepczę.

- Co mówisz? - odwraca się. Teraz wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, zupełnie jak w kinie. Czekam aż zobaczy pistolet i krzyczę: - CO DO KURWY NĘDZY ROBISZ Z ROBERTEM HALLEM?

Być może zrobiła to instynktownie, być może przypomniawszy sobie co zaszło kiedyś między nami, w każdym razie rzuciła się ku drzwiom wrzeszcząc jak opętana. Chardonnay uspił jej refleks, natomiast scotch, którego przed chwilą wypilem wyostrzył moje zmysły. Doganiam ją bez wysiłku, stoję między nią a wyjściem i czterema uderzeniami kolbą pozbawiam ją przytomności. Ciągnę ją z powrotem do salonu i kładę na podłodze na białym bawełnianym prześcieradle z Voila-cutro. Rozkładam jej ręce, przyciskam dłonie wewnątrz do góry do płaskich, grubych drewnianych klocków. Strzelam gwoździami w trzy palce nie zastanawiając się specjalnie nad wyborem: przybijam je opuszkami do klocków. Bethany odzyskuje przytomność i zaczyna krzyczeć. Wyciągam pojemnik z gazem obojętnym i spryskuję nim jej oczy, usta i nos. Na twarz rzucam jej marynarkę, z wielbłądziej wełny od Ralphi Lauren. Powinna stłumić krzyki... przynajmniej trochę. Zabieram się za wstrzeliwanie gwoździ w dłonie Bethany. Pokrywam je nimi w całości - wstrzeliwuję jeden obok drugiego tak gęsto, że gwoździe zakrzywiają się o siebie. Bethany nie może już usiąść. Muszę zdjąć jej buty: spodziewałem się przy tym większych wrażeń, ale Bethany kopie tylko bezsilnie w podłogę rysując wycyklinowany parkiet z białego dębu. Przez cały czas krzyczę do niej "TY DZIWKO", aż w końcu głos odmawia mi posłuszeństwa i zamienia się w charkot. Więc charczę jej prosto do ucha: "Ty pierdolona pizdo".

Zdejmuję jej marynarkę z głowy. Na twarzy Bethany maluje się śmiertelne przerażenie, prosi błagalnie: - Patricku, o Boże, przestań proszę, o Boże, przestań to boli... - Jak zwykle w takich sytuacjach ból nasila się, staje się tak intensywny, że nie można go znieść. Bethany mdleje, wymiotuje nie odzyskując przytomności. Unoszę i przechylam jej głowę, żeby nie udławiła się własnymi rzygami. Potem znów spryskuję ją gazem. Próbuję odgryźć jej palce, których nie przybiłem. Odnoszę niemały sukces z lewym kciukiem, z którego zdzieram zębami całą skórę i mięso: z kciuka zostaje tylko kość. Po chwili odpoczynku spryskuję ją gazem - zupełnie niepotrzebnie - po raz trzeci. Znów rzucam jej na głowę marynarkę z wielbłądziej wełny - na wszelki wypadek, gdyby z krzykiem doszła do siebie - i rozstawiam statyw z kamerą Sony (wielkości dłoni), żeby sfilmować to, co będzie działo się później. Sprawdzam obraz w wizjerze, włączam nagrywanie i wydaję nożyczki. Rozcinam jej sukienkę, a kiedy zbliżam się do klatki piersiowej tnę kilka razy biust i przypadkowo (niezupełnie) obcinam jej przez biustonosz

sutek. Bethany zaczyna krzyczeć, zdzieram z niej sukienkę i zostawiam ją w staniku - którego prawa miseczka nasiąka brunatną krwią - i w majtkach poplamionych uryną. Bieliznę zostawiam na potem.

Pochylam się nad nią i przekrzykując jej krzyki wrzeszczę: - No krzycz, krzycz, krzycz bez przerwy... - Otwieram wszystkie okna i drzwi na taras. Wracam, a z otwartych do połowy ust Bethany wydobywają się już tylko jakieś potworne, gardłowe, niemal zwierzęce jęki, które przerywa odgłos bekania. - Wyj, maleńka - nalegam. - Otwórz buzię. - Pochylam się niżej i dotykam jej włosów. - Nikogo to nie obchodzi. Nikt ci nie pomoże... - Próbuje krzyczeć, ale znów traci przytomność i wydaje z siebie ciche czknięcie. Wykorzystuję jej stan: zdejmuję rękawiczkę, otwieram jej usta i obcinam nożyczkami język, który z łatwością wyciągam z gardła i kładę na dłoni. Jest ciepły, krwawi, ale wydaje się o wiele mniejszy niż między jej Wargami. Rzucam nim o ścianę. Przylepia się do niej na chwilę (zostawiając plamę), a potem spada na podłogę z cichym wilgotnym mlaśnięciem. Z ust Bethany płynie krew, muszę podnieść jej głowę, żeby się nie udusiła. Pierdolę ją w usta i po wytrysku i wyciągnięciu kutasa, spryskuję ją gazem.

Nieco później odzyskuje na krótko przytomność. Mam na głowie damski kapelusz, który dostałem w prezencie od jakiejś dziewczyny na pierwszym roku studiów na Harvardzie.

- Pamiętasz to? - krzyczę stojąc nad nią. - I spójrz na TO! - wrzeszczę triumfalnie pokazując jej cygaro. - C i a g l e palę. Ha! Widzisz? Cygaro. - Zapalam je spokojnie pewnymi ruchami pokrytych krwią palców, a jej twarz - tak blada, że aż sina - zaczyna się kurczyć i wykrzywiać z bólu. Przerażone, otepiałe oczy Bethany zamykają się, a potem otwierają do połowy. Jej życie stało się koszmarem.

- I jeszcze jedno! - ryczę chodząc po pokoju. - Mój garnitur nie został uszyty przez Garricka Andersona! To jest Armani! Giorgio A r m a n i! - rzucam z obrzydzeniem, pochylam się nad nią i syczę: - A ty myślałaś, że to Henry Stuart. B o ż e! - Iderzam ją pięścią w twarz i parskam: "Głupia kurwa" opryskując ją śliną. Twarz Bethany pokrywa tyle gazowej piany, że prawdopodobnie niczego już nie czuje, więc spryskuję ją raz jeszcze, a potem znowu próbuję wyjebać ją w usta, ale nie mogąc się spuścić przestaję.

CZWARTEK

Trochę później, a w zasadzie następnego wieczoru, cała nasza trójka czyli Craig McDermott, Courtney i ja, jedzie taksówką do Nell. Rozmawiamy o wodzie mineralnej Evian. Chichocząca Courtney - w norkach od Armaniego - wyznała przed chwilą, że używa wody Evian do robienia lodu, co wywołuje dyskusję na temat różnic między wodami butelkowanymi. Na prośbę Courtney każdy z nas wymienia wszystkie gatunki, jakie zna.

Courtney jest pierwsza i liczy na palcach. - No cóż, Sparcal, Perrier, San Pellegrino, Polska Zdrojowa, Calistoga... - milknie. Utknęła i patrzy na McDermotta.

Craig wzdycha i zaczyna wyliczać: - Kanadyjska Zdrojowa, Kanadyjska Przejrzysta, Montclair... też z Kanady, Vittel z Francji, Crodo z Włoch... - przerywa i pociera w zamyśleniu podbródek. Przychodzi mu do głowy jeszcze jedna nazwa, którą przedstawia nam jakby nie miał pewności: - Elan? - Czekam aż poda kolejną markę, ale Craig milknie nie zaskoczywszy nas niczym nowym.

- Elan? - pyta Courtney.

- Ze Szwajcarii - odpowiada McDermott.

- Aha - Courtney odwraca się do mnie. - Teraz twoja kolej, Patricku. Wyglądam przez okno zatopiony w myślach, moje milczenie wywołuje we mnie nieokreśloną zgrozę, po chwili otwieram odrętwiałe usta i jak automat przedstawiam swoją listę: - Zapomnieliście o Alpenwasser z Dolnej Australii, Schat z Libanu, Qubol i Zimnej Zdrojowej...

- Ta już była, to ja ją wymieniłam - przerywa mi oskarżycielsko Courtney.

- Nie, wymieniłaś Polską Z d r o j o w ą - mówię do niej.

- Naprawdę? - pyta Courtney i ciągnie McDermotta za płaszcz. - Czy on mówi prawdę, Craig?

- Prawdopodobnie - McDermott wzrusza ramionami. - Tak mi się wydaje.

- Musicie pamiętać, że wodę mineralną kupuje się w szklanych butelkach. Wystrzegajcie się plastikowych - mówię złowieszczo i czekam, aż któreś z nich zapyta mnie dlaczego.

- Dlaczego? - głos Courtney wyraża prawdziwe zainteresowanie.

- Ze względu na utlenianie - wyjaśniam. - Woda mineralna musi być czysta, nie może zostawiać żadnego posmaku.

Po długim zastanowieniu (charakterystycznym dla Courtney), McDermott przyznaje mi rację wyglądając jednocześnie przez okno, - To prawda.

- Mówiąc szczerze nie umiem dostrzec żadnej różnicy między wodami mineralnymi - przyznaje Courtney. Siedzi między mną a McDennottem na tylnym siedzeniu taksówki, a pod norkami ma diagonalny wełniany kostium od Given-

chy, rajstopy od Calvina Kleina i pantofle od Warren Susan Allen Edmondsa. Nieco wcześniej dotknąłem jej nerek w sugestywny sposób, ale moim jedynym zamiarem było sprawdzenie jakości futra, a Courtney - choć doskonale o tym wiedziała - zapytała mnie, czy mam miętowy odświeżacz do ust. Nic nie odpowiedziałem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pyta poważnie McDermott.

- No cóż - zaczyna Courtney. - Chciałabym wiedzieć, czym naprawdę różnią się od siebie wody zdrojowe i naturalne, to po pierwsze; a poza tym chcę wiedzieć czy taka różnica w o g ó l e istnieje?

- C o u r t n e y, woda naturalna pochodzi ze zwykłych zbiorników podziemnych - wzdycha Craig nie przestając wyglądać przez okno. - Jej skład mineralny jest zawsze taki sam, nawet po dezynfekcji i przefiltrowaniu. - McDermott ubrany jest w wełniany smoking z ostro zakończonymi kłapami od Gianniego Versace. Cuchnie Xeryusem.

Wydobywam się z myślowego bezruchu i wyjaśniam dalej: - Jeśli chodzi

o wodę zdrojową, to woda tego rodzaju zawiera minerały, które inożna dodawać lub usuwać. Woda ta jest zazwyczaj filtrowana i nie poddaje się jej żadnej innej obróbce - milknę. - Siedemdziesiąt pięć procent wszystkich wód butelkowanych, które sprzedaje się w Ameryce, to wody zdrojowe - znów milknę, a potem pytam wszystkich obecnych: - Wiedzieliście o tym?

Zapada długie, bolesne milczenie. Po długiej chwili Courtney zadaje następne pytanie, którego nie potrafi nawet dokończyć: - Różnice między wodą destylowaną a oczyszczoną...?

W zasadzie nie przysłuchuję się tej rozmowie, nie słucham nawet sam siebie, bo obmyślam sposoby pozbycia się ciała Bethany. Zastanawiam się, czy przechować je w mieszkaniu jeszcze przez jeden dzień lub dwa. Jeśli będę musiał pozbyć się jej dzisiaj, z-łatwością upcham to co z niej zostało do worka na śmieci Hefty i wyrzucę do zsypu. Mogę też włożyć w to nieco więcej wysiłku i wynieść worek na ulicę i zostawić go przy krawężniku. Mógłbym nawet zawieźć Bethany do magazynu w Hell's Kitchen, posypać ją wapnem, zapalić cygaro i przyglądać się jak znika słuchając muzyki z walkmana. Wolę jednak trzymać oddzielnie ciała kobiet i mężczyzn, a poza tym chciałbym obejrzeć Krwiopijcę - film, który pożyczyłem dziś po południu. Reklama na opakowaniu kasety brzmiała zachęcająco: "Są clowni, którzy cię rozśmieszają, lecz Bobo sprawi, że umrzesz; a potem z.je twoje ciało". Podróż do Hell's Kitchen o północy - zakładając nawet, że nie zatrzymałbym się w Bellvue na małą przekąskę - zajęłaby mi zbyt dużo czasu

I nie zdążyłbym obejrzeć filmu. Kości Bethany i większa część jej wnętrza skończą prawdopodobnie w maszynie do mielenia śmieci zamontowanej w korytarzu mojego budynku.

Courtney, McDermott i ja wyszliśmy niedawno z przyjęcia firmowego Morgana Stanleya zorganizowanego niedaleko portu, na samym końcu Manhattanu w nowym klubie o nazwie Złota Karta. W Złotej Karcie było tłoczno jak w mieście i przypadkowo spotkałem Waltera Rhodesa - stuprocentowego Kanadyjczyka - którego nie widziałem od czasów Exeter, i który - podobnie jak McDermott - cuchnął Xeyusem. Powiedziałem mu: - Słuchaj, staram się unikać ludzi, przestałem nawet z nimi rozmawiać - i poprosiłem o wybaczenie. Walter był tylko odrobinę zaniepokojony i powiedział: - Aaa... no jasne... aaa... rozumiem. - Ubrany jestem w dwurzędowy (sześć guzików) wełniano-krepowy smoking, spodnie z zakładkami z przodu i jedwabną muszkę - całość od Valentino. Luis Carruthers wyjechał na tydzień do Atlanty. W Złotej Karcie przyjąłem działkę koki z Herbertem Gittesem, a potem McDermott zatrzymał taksówkę, którąje-dziemy do Nell. Zanim wsiedliśmy zażyłem halcion, by zlikwidować działanie uboczne kokainy, ale lekarstwo jeszcze nie działa. Courtney chyba leci na McDer-motta - zauważyłem to, gdy nie zadziałała jej karta

kredytowa Chemical Bank. Bankomat, przy którym się zatrzymaliśmy nie przyjął karty Courtney (powodem może być to, że Courtney zbyt często używa karty do dzielenia koki, choć się do tego nie przyznaje. Kokainową osady już parę razy spierdoliły moje karty), natomiast bez problemu przyjął kartę Craiga. Courtney nie skorzystała z mojej karty i poprosiła o pomoc McDermotta, co oznacza - o... doskonale ją znam! - że chce się z nim p i e r d o l i ć. W sumie nic mnie to nie obchodzi. Jestem co prawda przystojniejszy od Craiga, ale ogólnie wyglądamy niemal tak samo. Gadające zwierzęta były tematem dzisiejszego The Patty Winters Show. W zbudowanym na potrzeby programu akwarium pływała ośmiornica z mikrofonem przymocowanym do jednej z macek. Ośmiornica prosiła - tak przynajmniej utrzymywał jej "trener" święcie wierzący w to, że mięczaki mają struny głosowe - o "ser". Oglądałem to widowisko z jakąś chorą fascynacją, a w końcu zacząłem szlochać. Żebrak przebrany za Hawajczyka grzebie w koszu na śmieci na słabo oświetlonym rogu Ósmej i Dziesiątej.

- Zarówno w wodzie destylowanej, jak i oczyszczonej - mówi McDermott
- brakuje większości minerałów, które się usuwa. Wody te poddaje się obróbce przez gotowanie, podczas którego kondensuje się parę, która po skropleniu daje czystą H₂O.
- Woda destylowana w ogóle nie ma smaku i raczej nie nadaje się do picia
- ziewam.

- A woda mineralna? - pyta Courtney.

- Nie dolega regu... - McDermott i ja zaczynamy mówić równocześnie.

- Mów - zwracam się do niego ziewając, co powoduje, że Courtney także otwiera szeroko usta.

- Nie, ty mów - odpowiada apatycznie.

- Nie podlega regulacjom Federalnego Biura Ochrony Zdrowia - wyjaśniam jej. - Nie ma w niej chemikaliów, soli, cukrowani koteiny.

- A bąbelki w wodzie gazowanej to dwutlenek węgla, prawda? - pyta Courtney.

- Tak - równocześnie kiwamy głowami patrząc przed siebie.

- Wiedziałam - mówi leniwie; z tonującą głosu wnioskuje - nawet na nianie patrząc - że pozwoliła sobie na uśmiech.

- Pamiętaj jednak, żeby kupować wodę naturalnie gazowaną - ostrzegam ją. - Czyli taką, w której dwutlenek węgla pochodzi ze źródła i nie został dodany chemicznie.

- Tak zwana woda klubowa i seltzer są wodami sztucznie gazowanymi - wyjaśnia McDermott.

- Wyjątkiem jest seltzer Biała Skała - zauważam poirytowany słowami McDermotta, który wyprzedza mnie zawsze o pół zdania.

- Bardzo dobra jest też gazowana woda mineralna Ramlosa. Taksówka powinna skręcić w Czternastą, ale przed nami stoi pięć czy sześć

również skręcających w prawo limuzyn, więc nie zdążamy przejechać na zielonych światłach. Klnę na kierowcę, który prawdopodobnie niczego nie słyszy, bo w radiu nadają właśnie jakiś stary przebój wytwórni Motown, chyba The Supremes, a poza tym odgradza nas szyba z pleksiglasu. Próbuje ją otworzyć, ale jest zablokowana i nie chce się przesunąć. Courtney pyta: - Jaką wodę powinno się pić po treningu?)

- No cóż - wzdycham. - Cokolwiek, byle zimne.

- Ponieważ?

- Ponieważ zimna woda wchłania się szybciej niż woda o temperaturze pokojowej. - Rzucam okiem na Rolex. - Najlepiej, żebyś piła wodę Evian. Ale nie z plastikowej butelki.

- Mój trener mówi, że Gatorada jest w porządku - wtrąca McDermott.

- A czy twój trener nie wie o tym, że woda najszybciej zastępuje ubytki płynów, ponieważ jest najlepiej wchłaniana przez krwioobieg, lepiej niż jakikolwiek inny napój? - nic nie poradzę, muszę dodać: - C h ł o p t a s i u?

Ponownie zerkam na zegarek. Jeśli wypiję u Nell tylko jedną J&B z lodem, to zdążę do drugiej obejrzeć w domu Ki-wiopijce. W taksówce jest teraz cichło. Suniemy w stronę tłumu przed klubem. Co kilka sekund z limuzyn wysypują się nowi goście, a samochody odjeżdżają; wpatrujemy się w tę scenę, a potem spoglądamy na niebo nad miastem, ciężkie i pełne ciemnych chmur.auta trąbią na siebie, co oczywiście niczego nie rozwiązuje. Moje gardło - z powodu koki, którą zażyłem z

Gittesem - jest obolałe i kłuje, przełykam mając nadzieję, że wilgoć śliny przyniesie mi ulgę. Na zabitych deskami oknach opuszczonej kamienicy czujiszowej po drugiej stronie ulicy wiszą plakaty reklamujące wyprzedaż u Crab-tree Evelyn. Przeliteruj "magnat", Bateman. Jak się pisze "magnat"? M-a-g-n-a-t. Mag-nat. Mag-nat. Lód, duchy, obcy...

- Nie lubię Evian - oznajmia smutno McDenrott. - Jest za słodka. - Wygląda tak żałośnie informując nas o tym, że wzruszony zgadzain się z nim.

Rzucam na niego okiem w ciemnościach taksówki i przychodzi mi na myśl, że Courtney z pewnością zaciągnie go dzisiaj do łóżka. Natychmiast robi mi się go żal.

- To prawda, McDenrott - mewie powoli. - Evian jest za słodka.

Na podłodze mojego mieszkania było tyle krwi z Bethany, że mogłem przeglądać się w niej jak w lustrze. Przyglądałem się swojemu czerwonemu odbiciu sięgając po bezprzewodowy telefon i umawiając się na wizytę u fryzjera w salonie Gio. Courtney wyrывa mnie z transu stwierdzając: - Bałam się spróbować Pelle-grino po raz pierwszy. - Spogląda na mnie nerwowo, oczekując, że co... że zgodzę się z nią? Przenosi wzrok na McDermotta, który uśmiecha się do niej sztywno. -Ale gdy spróbowałam, okazało się... że jest w porządku.

- Co za odwaga - mruczę ziewając. Taksówka cał po cał zbliża się do Nell. Pytam głośniej: - Czy słyszeliście może o takim urządzeniu, które po zainstalowaniu w telefonie emituje sygnał zajętej linii?

Po powrocie do domu stoję nad ciałem Bethany i pijąc drinka kontempluję to, co z niej zostało. Ma otwarte do połom- oczy, przenoszę wzrok niżej, tam gdzie ze szczęki wystają dolne zęby, bo urwałem jej - a w zasadzie odgryzłem -obie wargi. Nieco wcześniej odpiłowałem jej lewą rękę - właśnie wtedy umarła -podnoszę ją teraz trainając za kość wystającą w miejscu, w którym była kiedyś dłoń (nie mam pojęcia, co się z nią stało; jest w zamrażarce? w garderobie?). Ściskam ją jak rurę - w niektórych miejscach ciało i mięśnie trzymają się wokół kości, choć większość tkanek miękkich odgryzłem lub odciąłem - biorę zamach i spuszcza na głowę trupa. Po kilku uderzeniach - pięciu najwyżej sześciu -rozwalam jej całą szczękę. Następne dwa i twarz wpada do wnętrza czaszki.

WHITNEY HOUSTON

Whitney Houston zdobyła szturmem serca publiczności w roku 1985 wydając album zatytułowany po prostu "Whitney Houston", na którym znalazły się cztery superprzeboje, w tym między innymi: "The Greatest Love of All", "You Give Good Love" i "Saving All My Love for You". Płytę uhonorowano nagrodą Grammy w kategorii Najlepszej Wokalistki Muzyki Pop; płyta zdobyła także dwa wyróżnienia American Music Awards: pierwsze - za najlepszy singel rhythm and bluesowy; i drugie za najlepszy rhythm and bluesowy teledysk. Whitney Houston uznano za najciekawszą nową artystkę roku na łamach pism Billboard i Rolling Stone. Szum informacyjny, jaki towarzyszył pierwszym dokonaniom artystki nie powinien przesłaniać faktu, że album "Whitney Houston" (Arista) jest jednym z najbardziej interesujących, najlepiej nagranych i najcieplej przyjętych nagrań rhythm and bluesowych całej dekady, a głos Whitney dodaje mu blasku swą skalą i wprost niewiarygodnymi możliwościami. Wystarczy rzut oka na wspaniałą fotografię na okładce płyty, na której Whitney pojawia się w eleganckiej sukni od Giovanniego De Maura i spojrzenie na bardzo seksowne zdjęcie po drugiej stronie (w kostiumie kąpielowym od Normy Kamali), by stwierdzić, że koncepcja albumu znacznie wykracza poza zwykły, nudny profesjonalizm. Muzyka - mimo delikatności - jest niezwykle intensywna, a głos Whitney pokonuje tyle nieprzekraczalnych - wydawałoby się - barier i jest tak zróżnicowany (mimo j a z z o w e-g o -cokolwiek to znaczy - rodowodu artystki), że trudno ocenić wszystkie zalety płyty przy pierwszym słuchaniu. Zresztą nie ma takiej potrzeby. Jest to album, do którego wraca się wielokrotnie.

Płytę otwierają piosenki "You Give Good Love" i "Thinking About You" wyprodukowane i zaaranżowane przez Kashifa. Utwory te emanują ciepłym, soczystym, jazzowym brzmieniem opartym na współczesnym syntezatorowym rytmie. Są to naprawdę dobre kompozycje, ale album osiąga całkiem nowy wymiar dopiero w piosence "Someone for Me" wyprodukowanej przez Jarmaine Jack-sona: Whitney śpiewa tęsknie z towarzyszeniem jazzowo-dyskotekowego zespołu, a

różnica napięć między jej romantycznym śpiewem a skocznym akompaniamentu sprawia, że utwór robi na słuchaczu piorunujące wrażenie. Ballada "Saving All My Love for You" jest najbardziej seksowną, najbardziej wzruszającą piosenką na płycie. Zabójcze solo na saksofonie wykonuje Tom Scott, można tu także usłyszeć wpływy żeńskich grup wokalnych z lat sześćdziesiątych (współautorem kompozycji był Geny Goffin); zespołów, którym, nawiasem mówiąc, nigdy nie udało się osiągnąć takiego napięcia emocjonalnego czy erotycznego (nie wspominając już o produkcji). "Nobody Loves Me Like You Do" to wspaniały duet z Jermaine Jacksonem (producentem tej piosenki) i jeden z wielu przykładów genialnej pracy autora tekstów. Słowa wszystkich piosenek są majstersztykiem poezji lirycznej, co nie często zdarza się w sytuacji, gdy wykonawca nie pisze własnego materiału i w sprawie dobrego tekstu zdaje się na producenta. Whitney i jej ludzie nie pomylili się w swoich gustach literackich.

Dyskotekowy singel "How Will I Know" (według mnie najlepsza piosenka do tańca w całej dekadzie) jest radosną odą do dziewczęcej niepewności wynikającej z braku reakcji na dziewczynę wśród chłopców. Mamy tu wspaniały klawiszowy riff, a producentem nagrania (szkoda, że tylko tego) jest cudowne dziecko konsolety Narada Michael Walden. Moją ulubioną balladą na płycie (pominą-

szy "The Greatest Love of All" - arcydzieło Whitney) jest "All at Once". Piosenka opowiada o tym, jaką tragedią dla młodej kobiety jest nagłe odejście kochanka, wokalizie towarzyszą cudownie zaaranżowane smyczki. W zasadzie żadna z piosenek na płycie nie brzmi jak "wypełniacz", jedynym wyjątkiem może być utwór "Take Good Care of My Heart" - kolejny duet z Jermaine Jacksonem. Główny zarzut, jaki mam wobec tej piosenki, to odejście od jazzowych korzeni albumu w stronę muzyki tanecznej lat osiemdziesiątych.

Talent Whitney najdobitniej ukazuje się w piosence "The Greatest Love of All", jednej z najlepszych, najbardziej wzruszających kompozycji opowiadających o godności ludzkiej i ratowaniu własnej twarzy. Od pierwszej linijki tekstu do ostatniej (autorami słów - jak podano na płycie - są Michael Masser i Linda Creed) wsłuchujemy się z wypiekami na twarzy we współczesną balladę o zachowaniu wiary w siebie. Whitney prezentuje niezwykle interesujące spojrzenie na rzeczywistość, a robi to w sposób niemal boski. Uniwersalne przesłanie tego utworu ważne jest zawsze i wszędzie, nigdy bowiem nie jest za późno na poprawę własnego losu, czy stanie się lepszym, pokazanie światu swojej dobrej strony. W świecie, w jakim żyjemy, trudno troszczyć się o wszystkich wszędzie, jednak zawsze powinniśmy znaleźć czas i miejsce, by zatroszczyć się o siebie. To bardzo istotna myśl, kto wie czy nie jedna z najistotniejszych wyrażonych na tej płycie w sposób tak doskonały.

Druga płyta artystki, zatytułowana "Whitney" (Arista; 1987), zawiera - podobnie jak pierwsza - cztery superprzeboje: "I Wanna Dance With Somebody", "So Emotional", "Didn't We Almost Have It All?" i "Where Do Broken Hearts Go?". Większość utworów została wyprodukowana przez Narada Michaela Waldena, jednak nie jest to już to samo, co "Whitney Houston", chociaż z drugiej strony trudno cokolwiek zarzucić temu albumowi. Płytę rozpoczyna skoczny przebój "I Wanna Dance With Somebody (Who Loves Me)" o podobnej inspiracji, co niewiarygodnie piękna piosenka "How Will I Know" z poprzedniego albumu. Dalej mamy zmysłową kompozycję "Just the Lonely Talking Again" z silnie zaznaczonym jazzowym motywem podobnym do tych, które zdominowały pierwszą płytę. W utworze tym głos Whitney osiąga nową artystyczną dojrzałość - warto dodać, że artystka odpowiedzialna jest za wszystkie aranżacje wokalne - co potwierdza się w piosence "Love Will Save the Day" - najbardziej niejednoznacznym utworze wykonywanym przez Whitney. Kompozycja ta została wyprodukowana przez Jellybean Beniteza, który nadał jej pulsujący, szybki rytm. Jak większość utworów z płyty, jest dojrzałą refleksją nad światem, na którym przyszło nam żyć. Whitney śpiewa, a my jej wierzymy. Jest to dosyć istotna zmiana w stosunku do pierwotnego wizerunku artystki, która na pierwszej płycie jawiła się jako nieco zagubiona, romantyczna dziewczynka.

Bardzo dojrzałe brzmi również wyprodukowany przez Michaela Massera utwór "Didn't We Almost Have It All?", piosenka o spotkaniu z dawnym kochankiem i zapomnianych uczuciach. Whitney jest tutaj niezwykle poetycka w barwie i towarzyszy jej - jak w większości ballad - sekcja

smyczkowa. "So Emotional" należy do tej samej kategorii co "How Will I Know" i "I Wanna Dance With Somebody", jednak słyhać tu mocniejszy wpływ rocka, dzięki wspaniałej grze zespołu towarzyszącego Whitney na całej płycie. W skład grupy studyjnej weszli: Narada na syntezatorach rytmicznych, Wolter Afanasieff na syntezatorach i syntetycznym basie, Corrado Rustici na syntetycznej gitarze i ktoś o przydomku Bongo Bob, kto programował instrumenty perkusyjne i zajmował się sam-plingiem bębnów. "Where You Are" to jedyny utwór wyprodukowany przez Kashifa; trudno w nim przeoczyć jego niezwykle profesjonalizm - mamy tu gładkie, błyskotliwe brzmienie i funkową solówkę na saksofonie wykonywaną przez Vincenta Henry'ego. Według mnie jest to doskonały materiał na przebój singlowy (podobnie zresztą jak większość utworów na płycie) i zastanawiam się, dlaczego nie wydano go w małym formacie.

"Love Is A Contact Sport" to prawdziwa niespodzianka na tej płycie: mamy tu doskonałe brzmienie, odważny, erotyczny tekst i - biorąc pod uwagę produkcję - jest to oś albumu zarówno tekstowo jak i rytmicznie. Jest to jedna z moich ulubionych piosenek. W utworze "You're Still My Man" Whitney udowadnia, że potrafi traktować głos instrumentalnie - wokaliza jest bezbłędna i ciepła, zwycięża nawet z samą aranżacją muzyczną, chociaż z drugiej strony tekst i linia melodyczna są tak wspaniale zarysowane i silne, że żaden wokalista czy wokalistka -nawet kalibru Whitney Houston - nie są w stanie ich przyćmić. "For The Love of You" pokazuje genialne umiejętności Narady, jeśli chodzi o programowanie bębnów, a jazzowy nowoczesny feeling może znokautować innych wykonawców współczesnego jazzu, takich jak Michael Jackson i Sade, czy nawet artystów tej miary co Miles Davis, Paul Butterfield i Bobby McFerrin.

"Where Do Broken Hearts Go?" to najbardziej wzruszające wyznanie straconej niewinności i pragnienia powrotu do krainy dzieciństwa, jakie znam. Głos Whitney jest cudowny, w pełni kontrolowany emocjonalnie przez artystkę, a piosenka ta prowadzi nas do "I Know Him So Well" - niezwykle podniosłego momentu na płycie, ze względu na duet Whitney z matką, Cissy. Kompozycja ta jest balladą opowiadającą o... o kim? - wspólnym kochanku? straconym ojcu? - i stanowi połączenie tęsknoty, żalu, stanowczości i piękna, połączenie kończące album nutą doskonałości i chwały. Whitney jeszcze nie raz da nam okazję do zachwytów nad jej głosem (prawdziwym zaskoczeniem był jej olimpijski prezent z roku 1988, zatytułowany "One Moment In Time"), lecz nawet gdyby tak się nie stało pozostanie w naszej pamięci jako jedna z najbardziej ekscytujących i oryginalnych czarnych śpiewaczek jazzowych swojego pokolenia.

OBIAD z SEKRETARKĄ

Poniedziałek, ósma wieczorem. Jestem u siebie w biurze próbując rozwiązać wczorajszą krzyżówkę z New York Timesa, słucham rapu i zastanawiam się nad fenomenem jego popularności. Przed dwoma dniami mały blond laskojad, którego spotkałem w Au Bar, powiedział mi, że rap jest jedyną muzyką jakiej słucha i choć później wpierdoliłem jej w czyimś mieszkaniu w Dakocie tak, że

0 mało nie zobaczyła nieba (niewiele brakowało, a uciałbym jej łeb, co w sumie nie byłoby dla mnie niczym nowym), jej gust muzyczny nie dawał mi spokoju

1 dziś rano poszedłem do Tower Records na Upper West Side, gdzie kupiłem stos rapowych kompaktów wart dziewięćdziesiąt dolarów, ale tak jak się spodziewałem, nie wiem co o nich myśleć: docierają do mnie tylko jakieś murzyńskie głosy wyszczekujące brzydkie słowa typu kumam czacze, siani i chlastać. Jean siedzi przy swoim biurku, na którym leżą stosy dokumentów do przejrzenia. Dzisiaj nie było źle: trenowałem przez dwie godziny przed pracą; w Chelsea otwarto nową restaurację Robisona Hirscha o nazwie Finna; Evelyn zostawiła dwie wiadomości: jedną na mojej automatycznej sekretarce, a drugą u Jean, obie sprowadzały się do tego, że na resztę tygodnia wyjeżdża do Bostonu; a co najlepsze The Patzr Winters Show dziś rano składał się z dwóch części. Pierwszą był wywiad z Donaldem Trumpem, drugą raport o kobietach, które torturowano. Miałem zjeść obiad z Madisonem Greyem i Davidem Campionem w Cafe Luxembourg, ale o ósmej piętnaście zorientowałem się, że zaproszono też Luisa Carruthersa, więc zadzwoniłem do Campiona, tego głupiego skurwysyna, i odwołałem spotkanie, a potem przez dziesięć minut zastanawiałem się, co zrobić z resztą wieczoru. Wyglądałam przez okno i dochodzę do wniosku, że za moment niebo nad tym miastem będzie całkiem czarne.

Jean zagląda do mnie pukając cicho w lekko uchylone drzwi. Udaję, że jej nie zauważam, choć sam nie wiem dlaczego, bo czuję się przecież samotny. Podchodzi do mojego biurka. Wpatruje się w krzyżówkę przez okulary Wayfarer i jestem otępiały bez wyraźnego powodu.

Jean kładzie jakąś teczkę na blacie biurka i pyta: - Rozwiązujemy krzyżówkę? - Jej nieznosna maniera zwracania się do mnie w liczbie mnogiej jest żalonym gestem mającym świadczyć o poufałości i traktuję ją tak jak zasługuje wymuszana siłą zażyłość. Moje jestestwo milczy, choć na zewnątrz kiwam głową nie podnosząc oczu.

- Potrzebujemy pomocy? - pyta obchodząc ostrożnie biurko do miejsca, które zajmuję, a potem zagląda mi przez ramię gotowa wesprzeć moje wysiłki. Wypełniłem całą krzyżówkę dwoma słowami: mięchoi kości, Jean widząc to wydycha lekko, po czym usłużnie zabiera z biurka kilkanaście ołówków No 2, które przełamiałem na pół i wychodzi.

-Jean? - wołam ją.

- Tak, Patricku? - znów pojawia się w drzwiach udając, że nie jest gotowa biec na każde moje wezwanie.

- Czy zechciałabyś towarzyszyć mi podczas obiadu? - pytam patrząc na krzyżówkę i zapamiętałe wycierając jedno "m" w którymś -/.miech. - To znaczy jeśli nie... nie jesteś zajęta.

- Och nie - odpowiada za szybko, a potem kryguje się (tak mi się wydaje) i dodaje ostrożnie: - Nie mam żadnych planów.

- No to wspaniale się składa - mówię podnosząc głowę i opuszczając okulary. Uśmiecha się lekko, z przymusem i jakby z zażenowaniem, co niestety nie wpływa kojąco na mój stan.

- Chyba tak - wzrusza ramionami.

- Mam także bilety na koncert... Milla Vanilla... jeśli chciałabyś pójść... -rzucam nonszalancko.

- Och naprawdę? - rzuca zbita z tropu, a potem dodaje: - Czyj koncert:1

- Milla... Vanilla - powtarzam.

- Milla... Vanilla? - pyta cicho.

- Milla... Vanilla - mówię. - Tak się chyba nazywają.

- Nie jestem pewna - szepcze.

- Czy pójdziesz?

- Nie... co do nazwy - odpowiada skonsternowana. - Wydaje mi się, że ten zespół nazywa się... Milli Vanilli.

Milczę przez długą chwilę, a potem mówię: - Alia. Jean kiwa głową, raz.

- To nieważne - odzywam się. I tak nie mam żadnych biletów. - Koncert jest dopiero za miesiąc.

- Alia - kiwa głową. - Oka)-.

- Posłuchaj, dokąd pójdziemy? - odchylam się w fotelu i z górnej szuflady biurka wyciągam przewodnik Zagata.

Jean nic nie mówi, boi się odpowiedzieć, myśli, że chcę ją przetestować. W końcu niepewnie otwiera usta nie wiedząc czy wybrała właściwą odpowiedź: -Tam gdzie ty chcesz?

- Nie, nie, nie - uśmiecham się przerzucając stronicę przewodnika. - Pójdziemy tam, gdzie ty chcesz.

- Och, Patricku - wzdycha. - Nie mogę podjąć takiej decyzji.

- Co ty mówisz? - nie mam zamiaru dać jej się wykpić. - Wybierz coś.

- Och, nie mogę - bezradnie rozkłada ręce. - Nie wiem.

- Przestań - nalegam. - Dokąd chcesz iść? Pójdziemy tam, gdzie ty chcesz. Tylko powiedz. Wszędzie mam wejścia.

Zastanawia się bardzo długo, a potem wyczuwając, że jej czas się kończy, mówi nieśmiało chcąc zrobić na mnie wrażenie: - A co powiesz o... Dorsii?

Przestaję kartkować Zagata i nie podnosząc oczu uśmiecham się sztywno ze ściśniętym ganilem. W duchu zadaję sobie pytanie: Czy naprawdę mam powiedzieć nie? Czy naprawdę mam powiedzieć jej, że nie potrafię załatwić rezerwacji? Czy jestem gotów, żeby się do tego przyznać? Czy naprawdę mam to zrobić?

- Ta-a-a-k - wzdycham odkładając przewodnik i natychmiast otwierając go z powrotem, by szybko poszukać numeru. - A więc Jean chce iść do Dorsii...

- Och, sama nie wiem - odpowiada zmieszana. - Nie, pójdziemy tam, dokąd ty chcesz.

- Dorsia jest... w porządku - zauważani nonszalancko i podnoszę słuchawkę, żeby drżącymi palcami wykręcić siedmiocyfrowy, przerażający numer. Staram się zachować zimną krew. O dziwo telefon w Dorsii jest wolny i po dwóch sygnałach odzywa się ten sam straszny głos, do którego przyzwyczailem się przez ostatnie trzy miesiące: - Dorsia, słucham - a w tle ogłuszający jazgot.

- Tak, macie dwa wolne miejsca, och, powiedzmy za dwadzieścia minut? - pytam zerkając na Rolexa i puszczając oko do Jean, która wpatruje się we mnie zafascynowana.

- Wszystkie stoły są zajęte - krzyczy maitre d'.

- Naprawdę? - mówię starając się wyglądać na zadowolonego, choć chce mi się rzygać. - To wspaniale.

- Powiedziałem, że wszystkie stoły są zajęte - powtarza wrzeszcząc.

- Dwa na dziewiątą? - pytam. - Wspaniale.

- Nie mamy żadnych wolnych miejsc - ryczy kierownik sali. - Lista oczekujących także jest pełna. - Odkłada słuchawkę.

- W takim razie do zobaczenia - przerywam połączenie i uśmiecham się próbując jak najlepiej wyrazić radość z trafnego wyboru; czuję przy tym, że się duszę, a każdy mój mięsień napięty jest aż do bólu. Jean ubrana jest w dżersejo-wą, wehliano-flanelową sukienkę od Calvina Kleina z paskiem ze srebrną sprzączką z kolekcji Barry Kieselstein Cord, w uszach ma srebrne kolczyki, a na nogach jasne rajstopy także od Calvina Kleina. Stoi przed moim biurkiem i wygląda na zmieszaną.

- Tak? - pytam podchodząc do wieszaka z płaszczami. - Twój strój jest... okay.

Milczy. - Nie podałeś im nazwiska - zauważa po chwili bardzo cicho.

Zastanawiam się nad tym zakładając marynarkę od Armaniego i zawiązując na nowo jedwabny krawat - także od Armaniego. - Zna... znają mnie - jękam się.

Kiedy podchodzę z Jean do podium kierownika sali - na którym leży otwarta księga rezerwacji z absurdalnie czytelnymi nazwiskami - maitre d' sadza właśnie jakąś parę, która wygląda - jestem niemal pewien - jak Kate Spencer i Jason Lauder. Pochyliam się nonszalancko nad książką i widzę rezerwację na dwie osoby na dziewiątą. Rezerwacja jest wciąż aktualna, nazwiska nie są przekreślone i brzmią - o Jezu - S c h r a w t z. Wzdycham, przytupuję nogą, a w mojej głowie kłębią się miliony myśli. Próbuje stworzyć jakiś sensowny plan działania. Nagle odwracam się do Jean i mówię: - Może przesłabyś się do toalety.

Jean rozważa moją propozycję rozglądając się po restauracji. Chaos. Dziesiątki ludzi tłoczą się oczekując na miejsce przy barze. Maitre d' sadza parę, która przyszła przed nami przy stole na środku sali. W loży, w której kiedyś jadłem obiad z Seanem, siedzi teraz Sylvester Stallone z jakąś laską. Widząc to czuję coś w rodzaju chorej fascynacji, tym bardziej że przy stole obok siedzą całą kupą goryle aktoTa. Dalej je obiad właściciel klubu Petty, Norman Prager. Jean odwraca się do mnie i wrzeszczy: - Co?.

- Czy nie zechciałabyś skorzystać z toalety? - pytam. Zbliża się kierownik sali. Idzie z namaszczeniem przez zapchaną restaurację, a na jego twarzy nie widać nawet cienia uśmiechu.

- Dlaczego? To znaczy... nie wiem - odpowiada totalnie skonsternowana,

- Po prostu... idź - syczę rozpaczliwie ściskając ją za rękę.

- Ale ja nie muszę, Patricku - protestuje.

- Chryste - jęczę, ale i tak jest już za późno.

Maitre d' wchodzi na podium i przygląda się książce, odbiera telefon, po kilku sekundach odkłada słuchawkę i rzuca szybkie spojrzenie w naszą stronę: po jego twarzy widać, że zdołaliśmy na nim dobre wrażenie. Facet ma chyba po pięćdziesiątce i włosy spięte w kitkę. Chrząkam dwa razy, by zwrócić na siebie jego uwagę i próbuję spojrzeć mu w oczy.

- Słucham? - odzywa się w końcu tak, jakbym go zaczepiał.

Patrzę na niego z godnością i wzdycham wewnętrznie. - Rezerwacja dla dwóch osób... - przełykam -...na dziewiątą.

- Ta-a-a-k? - pyta, podejrzliwie przeciągając słowa. - Nazwisko? - rzuca i odwraca się do przechodzącego kelnera - osiemnaście lat, przystojnyjak model - który przed chwilą zapytał: "Dzie tyn lód?"; kierownik sali jest wściekły, krzyczy: - Nie teraz... dobrze? Jak często trzeba ci powtarzać? - Kelner pokornie wzruszą ramionami. Maitre'd pokazuje ręką bar. - T y n lód jezd tam! - Odwraca się do nas, a ja jestem najnormalniej w świecie przerażony.

- Nazwisko - wyszczekuje komendę.

A ja myślę sobie: Dlaczego akurat t o? Ze wszystkich kurewskich nazwisk na świecie, dlaczego to?

- Ułun, Schrawtz - o Boże - Pan i Pani Schrawtz. - Moja twarz, jestem pewien, ma popielaty kolor. Wypowiadam nazwisko jak robot, ale kierownik sali jest zbyt zajęty, żeby to zauważyć. Nie zadaję sobie trudu spojrzenia na Jean, która jest absolutnie przerażona moim zachowaniem. Prowadzą nas do stołu Schrawtzów, który -jestem pewien - stoi koło kibla, a jednak... nie!

Na stole leżą już karty; jestem tak zdenerwowany, że słowa, a nawet ceny wydają mi się hieroglifami, czuję się kompletnie zagubiony. Kelner przyjmuje nasze zamówienia na drinki - ten sam chłopak, który nie mógł zlokalizować lodu. Stwierdzam, że mówię coś zupełnie bez składu i ładu (nie słuchając nawet odpowiedzi Jean), na przykład: - Ochrona warstwy ozonowej to niezły pomysł. -Opowiadam jej jakieś idiotyczne kawały, wybucham śmiechem, w zasadzie śmieję się przez cały czas, choć myślami jestem gdzie indziej. Nie mija nawet pięć minut - kelner nie zdążył nawet przedstawić nam specjalności szefa kuchni - gdy przy podium staje para przystojnych, wysokich ludzi konferujących zawzięcie z ma-itrem d'. Wzdycham głęboko i jak pijany bąkam do Jean: - Dzieje się coś złego.

Podnosi wzrok znad menu i odstania drinka (bez lodu), którego sączyła. -Dlaczego? Co się dzieje? Maitre d' wpatruje się w nas z wściekłością - szczególnie we m n i e - i prowadzi nowo przybyłą parę przez całą długość sali do naszego stołu. Gdyby ci ludzie byli mali, źle ubrani lub przesadnie żydowscy, mógłbym zatrzymać ten stół nie pozwalwając się nawet pięćdziesiątki, ale niestety wyglądają tak, jakby dopiero co zesłi z reklamy Ralphi Laurena. Co prawda Jean i ja nie wyglądamy gorzej (podobnie jak cała reszta kurewskiej restauracji), ale facet o nazwisku Schrawtz ma na sobie smoking, a jego dziewczyna - absolutnie do wyjebania - obwieszona jest klejnotami. Tak oto wygląda rzeczywistość i -jak mówi mój obrzydliwy brat Sean - trzeba jakoś dać sobie z nią radę. Maitre d' stoi przy naszym stole z rękoma złożonymi na plecach i ponurym wyrazem twarzy. Milczy przez długą chwilę, a potem pyta: - Pan i Pani... S c h r a w t z?

- Tak - odpowiadam z zimną krwią.

Patrzy nic nie mówiąc. Jego milczenie jest nienormalne. A jego kitka - siwiejąca i wypomadowana - wisi jak jakaś złośliwa narośl poniżej kołnierza.

- Wie pan co - mówię w końcu łagodnie - tak się składa, że znam szefa kuchni.

Patrzy dalej. Podobnie zresztą jak para stojąca za nim.

Mija kolejna długa chwila. Pytam zupełnie bez związku: - Wrócił już z... Aspen?

To nic nie daje. Wzdycham i odwracam się do Jean, która kompletnie nic nie rozumie: - Chodźmy, okay? - Automatycznie kiwa głową. Poniżony jak nigdy dotąd biorę Jean za rękę i wstajemy - ona trochę wolniej ode mnie. Przechodzimy obok maitre'a d' i wysokiej pary Schrawtzów, idziemy przez zatłoczoną restaurację i w końcu stajemy na zewnątrz. Jestem całkowicie zdruzgotany, mruczę do siebie jak robot: - Powinienem był wiedzieć, powinienem był wiedzieć, powinienem był... -Jean biegnie uśmiechnięta ulicą i ciągnie mnie za sobą. W końcu dostrzegam jej dziwną wesołość, a ona krzyczy chichocząc: - To było takie śmieszne - a potem ściska moją zaciśniętą pięść i oświadcza: - Twoje poczucie

humoru jest takie spontaniczne. - Poruszony do głębi idę sztywno u jej boku. Nie zwracam na nią uwagi i pytam sam siebie: - Dokąd... teraz? - Po kilku sekundach mam już gotową odpowiedź: Arkadia! Tam właśnie zaprowadzę swoją sekretarkę.

Ktoś, kto wygląda jak Hamilton Conway, bierze mnie za kogoś o nazwisku Tecl Owen i pyta, czy mogę mu załatwić wejście do klubu Petty dzisiejszego wieczoru. Odpowiadam: - Zobaczę, co da się zrobić - i patrzę na Jean, która siedzi naprzeciw mnie w prawie pustej sali jadalnej Arkadii. Po

wyjściu nagabującego mnie faceta zajętych jest tylko pięć stołów. Zamówiłem J&B z lodem. Jean pije białe wino i mówi mi o tym, że tak naprawdę chciałaby się zająć "bankowością handlową", na co odpowiadam jej w myślach: Możesz sobie pomarzyć. Ktoś inny, Frederick Dibble, zatrzymuje się na chwilę przy stole i gratuluje mi rachunku Larsena, a potem ma czelność powiedzieć: - Pogadamy później, Saul. - Jestem oszołomiony, moje myśli wędrują w odległości milionów mil od tego miejsca, a Jean nawet tego nie zauważa. Opowiada teraz o nowej powieści jakiegoś młodego autora. Widziałem okładkę w neonowych barwach, a jak słyszę temat książki są górnolotne cierpienia. Przypadkowo wydaje mi się, że mówi o czymś zupełnie innym i odpowiadam jej nie podnosząc głowy takimi oto słowami: - Trzeba mieć naprawdę grubą skórę, żeby przetrwać w tym mieście. - Jean czerwieni się, jest chyba zmieszana, upija kolejny łyk wina - całkiem przyjemnego sauvignon blanc.

- Wydajesz się taki odległy - słyszę jej słowa.

- Co? - pytam mrugając.

- Powiedziałam "że wydajesz się bardzo odległy.

- Nie - wydycham. - To ciągle ja, twój stary dobry serwis do kawy.

- To świetnie - uśmiecha się - czyja śnię? - z ulgą.

- No więc słuchaj - próbuję skupić na niej wzrok. - Co tak naprawdę masz zamiar zrobić z życiem?

- Nagle przypominam sobie, że przed chwilą bredziła o jakiejś karierze w bankowości handlowej, więc dodaję: - To znaczy, powiedz krótko, same najistotniejsze punkty, rozumiesz? - I kończę: - Tylko nie mów mi, że lubisz pracować z dziećmi, okay?

- No cóż, lubię podróżować. Może wrócę na studia, sama nie wiem... - przerywa, zastanawia się, a potem wyznaje szczerze: - W tej chwili znalazłam się w takim punkcie, że otwierają się przede mną nowe możliwości, ale ciągle jestem... no nie wiem... taka niepewna.

- Niektórzy powinni znać swoje ograniczenia... to niezwykle ważne - zauważam. Nagle ni z tego ni z owego pytam ją: - Masz chłopaka?

Jean uśmiecha się skromnie, oblewa rumieńcem i odpowiada: - Nie, niezupełnie.

- To ciekawe - mruczę. Otwieram menu i przyglądam się cenom dzisiejszych obiadów.

- A ty spotykasz się z kimś? - pyta nieśmiało. - To znaczy, poważnie'?

Postanawiam zamówić rybę pilota z tulipanami i cynamonem. Unikam odpowiedzi wzdychając: - Chciałbym mieć kicryś sensowny związek z kimś wyjątkowym - i nie czekając na jej komentarz pytam, co zje na obiad.

- Chyba mahi-mahi - mruży oczy wpatrując się w menu -...z imbirem. - Ja biorę rybę pilota - oznajmiam. - Ostatnio zaczynają mi smakować. To znaczy... ryby piloty... piloci... - kończę kiwając głową.

Później, po takim sobie obiedzie, po butelce drogiego kalifornijskiego ca-berneta sauvignon i creine brulee, którym się dzielimy, zamawiam kieliszek pięć-dziesięciodolarowego porto, a Jean pije bezkofeinowe espresso. Gdy pyta mnie dlaczego Arkadia nazywa się Arkadia, nie wymyślam niczego śmiesznego i mówię jej prawdę - chociaż aż mnie korci, żeby z niej zadrwić; choćby tylko po to żeby sprawdzić czy byłaby skłonna uwierzyć moim słowom. Siedząc naprzeciwko Jean w półmroku Arkadii z łatwością wyobrażam sobie, że przełknęłaby każdą bzdurę, którą podałyby jej na tacy - jej słabość do mnie sprawia, że stała się intelektualnie bezbronna. Jakoś nie podnieca mnie jej bezradność. Myślę, że gdybym zaczął teraz przekonywać ją do swoich poglądów i stwierdził, że popieram apartheid, wkrótce zaczęłaby nienawidzić Murzynów i zainwestowałaby oszczędności w rasistowskie korporacje wydobywające diamenty, kto...

- Arkadia to starożytny region na Półwyspie Peloponez w Grecji. Jej rozkwit zaczął się w roku 370 p.n.e. Otoczona jest górami. Stolicą Arkadii było... Megalopolis, główny ośrodek działalności politycznej i jednocześnie stolica konfederacji arkadyjskiej... - upijam łyk porto, które jest ciężkie, mocne i drogie. - Arkadia została zniszczona podczas greckiej wojny o niepodległość... - przerywam. - Najważniejszym bóstwem czczonym w Arkadii był bożek Pan. Wiesz kim był Pan! Kiwa głową nie odwracając ani na chwilę ode mnie oczu.

- Jego biesiady bardzo przypominały hulanki Bachusa - tłumaczę. - Pan figlował z nimfami w nocy, ale lubił także... straszyć podróżnych za dnia... Stąd wzięło się słowo: pan-ika. - Bla bla bla.

Jestem rozbawiony własną wiedzą, podnoszę oczy znad porto, w które wpatrywałem się zamyślony i uśmiecham się do Jean. Milczy przez długą chwilę, jest zmieszana, nie wie co powiedzieć, w końcu patrzy mi głęboko w oczy, opiera się o stół i mówi zacinając się: - To... takie... interesujące. - To wszystko. Nie potrafi powiedzieć nic więcej: nic więcej nie ma do powiedzenia.

Jedenasta trzydzieści cztery. Stoimy na chodniku przed domem Jean na Upper East Side. Jej portier wpatruje się w nas uważnie, co napawa mnie nie-określonym przerażeniem, czuję jego świdrujące spojrzenie na całym ciele. Kurtyna gwiazd długa na miliony mil rozwieszona jest na połyskującym niebie. Mnogość migoczących punkcików sprawia, że czuję jakąś dziwną pokorę, co z kolei jest dla mnie nudne do zaakceptowania. Jean wzrusza ramionami i kiwa głową, gdy mówię o różnych formach lęku. Wygląda to tak, jakby jej umysł nie był w stanie porozumieć się z narządami mowy w trakcie dokonywania przez nią jakiejś na poły racjonalnej analizy mojej osoby, co jest oczywiście niemożliwe: nie... pasuje... do mnie... żaden... klucz.

- Obiad był cudowny. Dziękuję bardzo.

- Prawdę mówiąc, jedzenie było takie sobie, ale bardzo proszę - wzruszam ramionami.

- Chcesz wejść do mnie na drinka? - pyta przesadnie niezobowiązująco. Mam bardzo krytyczny stosunek do jej spojrzenia na świat, ale to nie znaczy, że nie miałbym ochoty pójść do niej... na drinka, ale coś mnie powstrzymuje, coś ścina pulsującą żywiej krew - portier? oświetlenie holu? jej szminka? Poza tym zaczynam wierzyć, że pornografia jest mniej męcząca niż prawdziwy seks - i z tego względu znacznie przyjemniejsza.

- Masz jakiś pejotl? - pytam. Milczy skonsternowana. - Co?

- Żartowałem. Posłuchaj, chciałabym obejrzeć Davida Lettermana, więc... - przerywam nie wiedząc po co tu jeszcze stoję. - Powinienem już iść.

- Możesz obejrzeć... - milknie nagle i proponuje - ...u mnie.

Nie odpowiadam przez chwilę. - Masz telewizję kablową? - pytam w końcu.

- Tak - kiwa głową. - Mam.

Wpadłem. Udaję, że się zastanawiam. - Nie, w porządku. Lubię oglądać... bez kabla.

Patrzy na mnie smutna i zakłopotana. - Co?

- Muszę oddać kasety - wyjaśniam szybko.

Milczy. - Teraz? Jest już... - spogląda na zegarek - ...prawie północ.

- No... tak - mówię z absolutną obojętnością.

- No cóż, w takim razie... dobranoc - szepcze.

Ciekawe jakie książki czyta Jean ? Już widzę te tytuły: Jak rozkochać w sobie mężczyznę. Jak zatrzymać na zawsze ukochanego mężczyznę. Jak dopełnić związek dwojga ludzi: Małżeństwo. Jak wyjść za mąż w ciągu jednego roku. Suplikant W kieszeni płaszcza mam kupione w zeszłym tygodniu strusie etui na prezerwatywy od Luca Benoit. Dotykam palcami przedmiotu, jednak... eee... nie.

Niezgrabnie podajemy sobie ręce. Jean trzyma moją dłoń w swojej i pyta: -Naprawdę nie masz kabla?

Nasz wieczór nie należał do najbardziej romantycznych, ale teraz bije od niej i obejmuje mnie jakieś dziwne ciepło, którego nie znam. Jestem przyzwyczajony do tego, że wszystko dzieje się jak na filmie, wyobrażam sobie ludzi, rzeczy i zdarzenia w taki sposób, w jaki mogłyby pojawiać się na ekranie, czasem nawet słyszę narastające crescendo orkiestry zza kadru - i teraz oczyma wyobraźni wi-

dzę kamerę okrążającą nas w planie amerykańskim, fajerwerki wybuchające w zwolnionym tempie nad naszymi głowami, siedemdziesięciomilimetrowe zbliżenie jej rozchylających się warg i cichy szept: "Pragnę cię" w systemie Dolby Surround. Mój uścisk nie ma w sobie życia, zdaję sobie sprawę - początkowo niejasno, później już bardzo wyraziście - że narastający we mnie, pustoszący wszystko gniew mija i Jean całuje mnie w usta. Jej pocałunek przywraca mi poczucie rzeczywistości. Odpycham ją lekko. Patrzy na mnie przestraszona.

- Posłuchaj, muszę już iść - mówę spoglądając na Rolexa. - Nie chciałbym stracić... cyrkowych sztuczek zwierząt domowych.

- Okay - odpowiada biorąc się w garść. - Cześć, -...branoc - mówię.

Odchodzimy w przeciwnych kierunkach i nagle słyszę, jak mnie woła. Odwracam się.

- Nie zapomnij, że jutro jesz śniadanie z Frederickiem Bennetem i Charlesem Rustein w '21 - mówi stojąc w drzwiach przytrzymywanych dla niej przez portiera.

- Dzięki - odpowiadam machając do niej ręką. - Zupełnie o tym zapomniałem.

Żegna mnie i znika w korytarzu.

Idąc w kierunku Park Avenue do taksówki, mijam obrzydliwego bezdomnego włóczęgę - członka genetycznej podklasy, który cicho prosi mnie o drobne, o "cokolwiek"; obok żebraka na schodach kościoła stoi firmowa torba księgarni Barnes & Noble. Oburza mnie to i mówię głośno: - Idź, poczytaj sobie... - a potem w taksówce, która wiezie mnie do domu wyobrażam sobie, że biegnę z Jean wokół Central Parku: jest chłodny wiosenny wieczór, a my śmiejemy się i trzymamy za ręce. Kupujemy balony i puszczamy je wolno.

DETEKTYW

Maj przechodzi w czerwiec, który przechodzi w lipiec, który wlecze się w oczekiwaniu na sierpień. Z powodu upałów przez ostatnie cztery noce miałem bardzo wyraziste sny o krojeniu zwłok. Nic nie robię, wegetuję w biurze jak roślina i z ogłupiającym bólem głowy słucham z discmana kojącej muzyki Kenny'ego G. Pokój zalewa oślepiające poranne słońce, jego promienie przeszywają mi czaszkę na wylot, pobudzają mdłego kaca, z powodu którego nie poszedłem dzisiaj na trening. Słuchając muzyki zauważam, że na moim aparacie telefonicznym mruga bez przerwy lampka, co oznacza, że chce ze mną mówić Jean. Wzdycham i ostrożnie zdejmuję słuchawki z głowy.

- O co chodzi? - pytam zmęczonym głosem.

- Uhm, Patricku - zaczyna.

- Ta-ak, Je-an? - odpowiadam przeciągając słowa.

- Patricku, chce się z tobą widzieć jakiś pan Donald Kimball - mówi nerwowo.

- Kto? - szczekam w słuchawkę.

Słyszę, jak wzdycha: jest niewątpliwie zmartwiona; potem obniża głos o pół oktawy i mówi jakby mnie pytała: - Detektyw Kimball?

Milczę. Spoglądam przez okno na niebo, potem na monitor, a w końcu na bezgłową kobietę, którą narysowałem na ostatniej stronie Sports Illustrated tego tygodnia. Przesuwam dłonią po śliskiej kartce magazynu - raz i drugi - po czym wrywam rysunek i zgniatam go w kulkę. W końcu mówię do Jean: - Po wiedz mu... - Przerywam, zastanawiam się, rozważam opcje, wreszcie kończę: - Powiedz mu, że wyszedłem na lunch.

Krótką pauza i słyszę szept Jean: - Patricku... wydaje mi się, że on wie, że jesteś u siebie. - Nie odpowiadam, więc Jean czuje się w obowiązku dodać: - Jest wpół do jedenastej.

Wzdycham nie znajdując odpowiednich słów, wreszcie lekko spanikowany wydaję polecenie: - No to go wpuść.

Wstaję, podchodzę do lustra od Jodi, które wisi obok obrazu George'a Stubbsa i sprawdzam ułożenie włosów. Przeczesałem je grzebieniem z wołowego rogu, a potem spokojnie podnoszę jeden z moich bezprzewodowych telefonów i przygotowuję się do pełnej napięcia sceny: udaję, że rozmawiam z Johnem Akersem. Detektywa nie ma jeszcze w biurze, mimo to mówię głośno i wyraźnie do telefonu: - Tak więc, John... - chrząkam - ...ubrania dobieramy z myślą o naszym wyglądzie... - Nikt mnie nie słucha. - Z pewnością jest wiele z a i wiele p r z e c i w, mój stary, gdy chodzi o noszenie koszul w szerokie pasy. Taka koszula najlepiej wygląda z garniturem o mocnej kolorystyce lub nawet w delikatny wy. o - rek, podobnie rzecz się ma z krawatem...

Drzwi otwierają się i gestem zapraszam detektywa do środka. Mężczyzna jest zaskakująco młody, być może w moim wieku. Ubrany jest w lniany garnitur od Armaniego - ładząco przypominający mój - lekko wymięty w najmodniejszy sposób, co trochę mnie martwi. Uśmiecham się do niego uspokajająco.

- Koszula z mocnego włókna jest trwalsza od koszuli... Tak, wiem... Ale żęly to stwierdzić, musisz przyrzeć się sposobowi tkania materiału... - Wskazuję ręką krzesło z drewna lękowego z chromowanymi dodatkami od Marka Schragera, które stoi po przeciwnej stronie biurka. Gestem proszę go o zajęcie miejsca.

- Tkaniny o gęstym splocie, to nie tylko gęste włókna... ich jakość zależy od rodzaju przędzy, jej długości i przekroju, co z kolei... tak...oczywiście, jeśli chcemy mieć materiał o odpowiedniej gęstości, najlepiej używać włókien długich i cienkich, a nie krótkich i grubych, jak te które stosuje się do produkcji tweedu. Materiały o luźnym s p l o c i e, na przykład dzianiny, są wyjątkowo delikatne i należy je traktować ostrożnie... - Z powodu wizyty detektywa dzień nie zapowiada się najlepiej. Przyglądam się mu bacznie gdy siada i zakłada nogę na nogę w sposób, który napawa mnie nieokreśloną zgrozą. Wiem, że milczę za długo. Mężczyzna rzuca na mnie okiem chcąc sprawdzić czy skończyłem rozmowę.

- Tak, i... tak, John, to prawda. I... tak, fryzjerowi zawsze dajemy piętnaście procent napiwku... - Przerywam. - Nie, właściciel zakładu nie musi brać napiwków... - Wzruszani bezradnie ramionami i przewracam oczami. Detektyw uśmiecha się ze zrozumieniem i przekłada nogi. Ładne skarpetki. Jezu. - Dziewczyna, która myje ci głowę? To zależy. Dałbym jej dolara albo nawet dwa... - wybucham śmiechem. - W zależności od wyglądu... - śmieję się głośno. - Tak, no tak, w zależności od tego, co jeszcze myje... - Przerywam. - Słuchaj John, muszę kończyć. Właśnie wszedł do mnie T. Boone Pickens... - milknę i szczerzę zęby jak idiota. - Nie żartowałem... - kolejna przerwa. - Nie, nie dawaj napiwku właścicielowi zakładu - śmiech. - Okay, John... dobrze, zrozumiałem. - Odkładam telefon, wsuwam antenę do środka i - niepotrzebnie podkreślając swoją normalność - mówię: - Pan wybaczy.

- Nie, to ja proszę o wybaczenie - mówi przepraszająco. - Powinienem był się z panem umówić. - Przesuwam telefon i w końcu wkładam go do gniazda zasilającego. Detektyw pyta: - Przerwałem panu... eee... ważną rozmowę?

- Ach nie - podchodzę do biurka i rzucam się na tftel. - Gadaliśmy o interesach. Omawialiśmy nowe możliwości... trochę plotek... o tym i owym. - Wybuchamy śmiechem. Pierwsze lody zostały przełamane.

- Cześć - mówi nagle, prostując się na krześle i wyciągając rękę. - Nazywam się Donald Kimball.

- Cześć, Pat Bateman - ściskam mocno jego dłoń. - Miło mi cię poznać.

- Wybacz mi - mówi - że wpadłem tu niezapowiedziany, ale byłem umówiony z Luisem Carruthersem, który gdzieś wyszedł, więc postanowiłem... skorzystać z okazji... A ponieważ jesteś na miejscu, więc... - uśmiecha się i wzrusza ramionami. - Wiem, że nie macie zbyt wiele czasu w tym interesie. - Odwraca wzrok od trzech egzemplarzy Sports Illustrated leżących wraz z discmanem na moim biurku. Po kolei zamykam wszystkie trzy pisma i wrzucam je do górnej szuflady, a na wierzchu Wadę ciągle grający odtwarzacz.

- Tak więc - zaczynam starając się mówić lekkim, przyjaznym tonem. -O czym będziemy rozmawiać?

- No cóż - odpowiada. - Zostałem wynajęty przez Meredith Powell, żeby zbadać sprawę zniknięcia Paula Owena.

Kiwam ostrożnie głową i pytam: - Nie pracujesz dla FBI, ani czegoś w tym rodzaju, prawda?

- Nie, nie - mówi. - Nic z tych rzeczy. Jestem zwykłym prywatnym detektywem.

- Ach, rozumiem... Tak - po raz drugi kiwam głową, ale jeszcze nie odczuwam ulgi. - Zniknięcie Paula... rozumiem.

- Więc nasza rozmowa nie jest oficjalna - przyznaje. - Mam tylko kilka prostych pytań dotyczących Paula Owena. I ciebie...

- Kawy? - proponuję nagle. Odpowiada niezbyt pewnie: - Nie, chyba nie.

- Perrier? San Pellegrino? - nalegam.

- Nie, nie, dziękuję - odmawia i otwiera mały czarny notes, który przed chwilą wyjął z kieszeni razem ze złotym piórem Cross. Wzywam Jean.

-Jean, czy mogłabyś przynieść panu... - przerywam i spoglądam na niego. On także podnosi głowę.

- Kimball. -...panu Kimballowi butelkę San Pelle...

- Och, nie. Nic mi nie trzeba - protestuje.

- Żaden problem - odpowiadam.

Odnoszę wrażenie, że stara mi się nie przyglądać, a jednak robi to w jakiś przedziwny, zagadkowy sposób. Zerka do notesu, coś w nim zapisuje, a potem coś przekreśla. Jean pojawia się niemal

natychmiast i stawia przed Kimballem butelkę San Pellegrino oraz kryształowy, rżnięty kubek od Steubena. Rzuca na mnie niespokojne, zmartwione spojrzenie. Karczę ją wzrokiem. Kimball podnosi głowę i uśmiecha się. Dziękuje Jean, która - jak zauważam - nie włożyła dzisiaj biustonosza. Wpatruję się w nią niewinnie, gdy wychodzi; potem odwracam głowę do Kimballa, składam dłonie i prostuję się w fotelu. - Więc o czym to mieliśmy mówić? - pytam po raz drugi.

- O zniknięciu Paula Owena - przypomina mi.

- Ach tak. No właśnie, nie słyszałem nic o żadnym zniknięciu, ani o niczym innym... - przerywam i próbuję się uśmiechnąć. - Nie pamiętam, żeby pisali o tym na Stronie Szóstej.

Kimball uśmiecha się uprzejmie. - Jego rodzina chce zachować sprawę w tajemnicy.

- To zrozumiałe - kiwam głową w kierunku kubka i butelki, których nawet nie tknął i pytam: - Z limoną?

- Nie, naprawdę. Niczego mi nie trzeba. - Jesteś pewien? Cytrusów nam nie brakuje.

Milczy przez chwilę, a potem mówi: - Tylko kilka wstępnych pytań... wyłącznie do moich akt, okay?

- Strzelaj.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia siedem. W październiku będę miał dwadzieścia osiem.

- Gdzie studiowałeś? - Zapisuje coś w notesie.

- Harvard - rzucam. - Potem szkoła biznesu na Harvardzie.

- Twój adres? - pyta nie podnosząc głowy.

- Zachodnia Osiemdziesiąta Pierwsza numer pięćdziesiąt pięć. American Gardens Building.

- Wspaniale - podnosi głowę, zafascynowany. - To piękny dom.

- Dzięki - odpowiadam uśmiechem na komplement.

- Słyszałem, że mieszka tam Tom Cruise?

- Alia - ściskam nasadę nosa. Nagle muszę zacisnąć oczy.

- Wybacz, ale czy dobrze się czujesz? - słyszę jego słowa. Otwieram załzawione oczy. - Dlaczego pytasz?

- Wydajesz się... z d e n e r w o w a n y.

Sięgam do szuflady i wyciągam buteleczkę z aspiryną.

- Nuprin? - proponuję detektywowi.

Kimball patrzy jakoś dziwnie na lekarstwo, a potem na mnie i potrząsa głową. - Uhm... nie, dziękuję. - Z kieszeni wyjmuję paczkę Marlboro i kładzie ją z roztargnieniem obok butelki San Pellegrino, przy czym nie przestaje zaglądać do notesu.

- Brzydki nałóg - stwierdzam.

Podnosi głowę i zauważa brak aprobaty w moich oczach. Uśmiecha się bo-jaźliwie. - Wiem. Przepraszam. Patrzę na pudełko.

- Czy... czy wolałbyś, żebym nie palił? - pyta nieśmiało.

Nie odrywam wzroku od pudełka papierosów rozważając jego słowa. - Nie... to znaczy w porządku.

- Jesteś pewien? - pyta.

- Żaden problem. Wzywam Jean.

- Słucham, Patricku?

- Przynieś, proszę, popielniczkę dla pana Kimballa. Pojawia się po kilku sekundach.

- Co mógłbyś opowiedzieć mi o Paulu Owenie? - pyta po wyjściu Jean, która obok nietkniętej butelki San Pellegrino postawiła kryształową popielniczkę od Fortunoffa.

- No cóż - kaszlę polykając dwa Nupriny bez popicia. - Nie znałem go za dobrze.

- No właśnie, jak dobrze go znałeś? - pyta.

- Nie mam... pojęcia - mówię zgodnie z prawdą. - Należał do tej paczki... z Yale, rozumiesz?

- Paczki z Y a l e? - pyta zmieszany.

Milczę nie mając pojęcia, o czym właściwie mówię. - No tak... paczki z Yale.

- Co chcesz przez to powiedzieć...? Co oznacza "paczka z Yale"? - Jest wyraźnie zaintrygowany.

Milczę. Co chcę p o w i e d z i e ć? - No cóż, po pierwsze uważam, że prawdopodobnie był homoseksualistą... ukrywającym swoje preferencje... - Nic

O tym nie wiem: w zasadzie to bardzo wątpliwe biorąc pod uwagę liczbę otaczających go kobiet. - I brał dużo kokainy... - Przerywam, a potem dodaję drżącym głosem: - Do tego sprowadza się przynależność do paczki z Yale. - Jestem pewien, że wyrażam się niezbyt jasno, ale inaczej nie potrafię.

W biurze jest teraz bardzo cicho. Pokój wydaje mi się nagle za ciasny, jest w nim zbyt gorąco i mimo że klimatyzacja pracuje pełną parą powietrze ma jakiś sztuczny, przetworzony posmak.

- Tak więc... - Kimball zagląda bezradnie do notesu - ... nie wiesz nic innego na temat Paula Owena?

- No cóż - wzdyham. - Prowadził, jak przypuszczam, uporządkowane życie, chyba... - Nie mam pojęcia co dalej. - Stosował... rozsądną dietę.

Wyczuwam frustrację Kimballa. -Jakim był człowiekiem? - pyta. - Pomijając... - zająkuje się i próbuje uśmiechnąć - ... to, o czym już mówiliśmy.

Jak mam opisać Paula Owena temu facetowi? Mam powiedzieć, że lubił się przechwalać, że był aroganckim kutasem, któremu dopisywał humor i zawsze zwał na innych płacenie rachunków u Nell? Mam mu powiedzieć, że jestem w posiadaniu bezcennej informacji, a mianowicie: wiem ponad wszelką wątpliwość, że penis Paula miał imię, a imię to brzmiało M i c h a e l i' Nie, tylko spo kojnie, Bateman. Wydaje mi się, że na mojej twarzy zagościł uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie jestem przesłuchiwany - mówię.

- Odnosisz takie wrażenie:* - pyta. Chyba chce być groźny, ale nie jest.

- Nie - odpowiadam ostrożnie. - Niezupełnie.

Znów coś zapisuje. Doprowadza mnie to do szału. Nie podnosi głowy

1 żując koniuszek pióra, pyta: - Dokąd chadzał Paul?

- Cha...dzał? - powtarzam.

- Ta... - mówi. - No wiesz... gdzie bywał?

- Pomyślmy... - będę palcami w blat biurka. - The Newport. U Harry'ego. Flecik. Indochiny. U Nell. Cornell Club. Nowojorski Klub Jachtowy. Tam, gdzie wszyscy.

Kimball wygląda na zmieszanego. - Miał jacht?

Zatkało mnie, lecz rzucam nonszalancko: - Nie. Po prostu chadzał tam.

- A gdzie studiował?

- To ty nie wiesz?

- Chcę się dowiedzieć, czy ty wiesz/? - mówi nie podnosząc głowy.

- Eee... Yale - mówię powoli. - Prawda?

- Zgadza się.

- A potem w szkole biznesu Uniwersytetu Columbia - dodaję. - Tak przypuszcza m.

- A przedtem? - pyta.

-Jeśli dobrze pamiętam... Saint Paul's... To znaczy...

- Nie, w porządku. To nie jest aż takie istotne - przeprasza. - Chyba nie mam już więcej pytań. Nie ma tego zbyt wiele.

- Słuchaj... - zaczynam delikatnie i taktownie -...chciałbym ci pomóc...

- Rozumiem.

Długie milczenie. Zaznacza coś w notesie, ale nie jest to chyba zbyt ważne.

- Możesz jeszcze coś dodać? - pyta niemal pokornie.

Zastanawiam się, po czym oznajmiam cichutko: - W 1969 obaj mieliśmy siedem lat.

Kimball uśmiecha się. -Ja też.

Udaję, że zainteresowała mnie jego praca i pytam: - Masz jakichś świadków, odciski palców...

Odpowiada zmęczonym głosem: - No cóż, na jego automatycznej sekretarce jest wiadomość, że wyjeżdża do Londynu.

- No... - w moim głosie brzmi nadzieja -...może rzeczywiście tam pojechał, he?

-Jego przyjaciółka tak nie uważa - rzuca znudzony Kimball. Nic jeszcze nie rozumiem, ale wyobrażam sobie, jaką kruszyną był Paul Owen w porównaniu z odwiecznym trwaniem wszechrzeczy.

- A może... - przerywam -...ktoś widział go w Londynie?

Kimball zagląda do notesu, kartkuje go i podnosi głowę. - Rzeczywiście tak było.

- Hm.

- W zasadzie trudno zweryfikować tę informację - przyznaje. - Niejaki... Stephen Hughes twierdzi, że widział go tam w restauracji. Sprawdziłem to i okazało się, że pomylił Paula z Hubertem Ainsworthem, więc...

- Ach tak.

- Czy pamiętasz, co robiłeś w dniu zniknięcia Paula - zagląda do notesu -...to znaczy dwudziestego czwartego czerwca wieczorem?

- O rany... chyba... - zastanawiam się. - Chyba oddawałem kasety. - Otwieram szufladę i wyciągam kalendarz. Przeglądam zapiski z gi-udnia, po czym oznajmiam: - Byłem umówiony z dziewczyną o imieniu Veronica... - kłamię w żywe oczy i beczelnie zmyślam.

- Zaczekaj - przerywa mi zmieszany i zagląda do notesu. - Mam tu... coś zupełnie innego.

Napinam mięśnie ud. - Co?

- Podano mi inne informacje.

- No cóż... - nagle zaczynam odczuwać strach i zmieszanie, Nupriny palą mnie w żołądku. -Ja... Zaczekaj... Jakie informacje ci p o d a n o?

- Chwileczkę... - kartkuje notes. - Powiedziano mi, że byłeś z...

- Poczekaj - wybucham śmiechem. - M o g ł e m się pomylić... - Czuję pot spływający po plecach.

- No tak... - przerywa. - Kiedy po raz ostatni widziałeś Paula Owena?

- Byliśmy... - o mój Boże, Bateman, wymyśl coś szybko -...byliśmy na premierze nowego musicalu, który nazywa się... Oh Africa, Brave Atnca... - przełykam. - To... kupa śmiechu... i to chyba wszystko. Wydaje mi się, że jedliśmy obiad wOrso... nie, wPetalumie. Nie, wOrso... - przerywam. - Natomiast... jeśli chodzi o nasz ostatni kontakt... to było to... przy bankomacie. Nie pamiętam przy którym... chyba gdzieś w pobliżu, uhm, Nell.

- W dniu, w którym zniknął? - pyta Kimball.

- Nie jestem pewien.

- Być może pomyliły ci się daty - śmierzdzą zerkając do notesu.

- To niemożliwe - rzucam. - Gdzie według c i e l i i e był Paul tamtej nocy?

- Zgodnie z tym co zapisał w kalendarzu, i co potwierdza jego sekretarka, był umówiony na obiad z Marcusem Halberstamem - mówi.

- I? - pytam.

- Przesłuchiwałem go.

- Marcusa?

- Tak. Wszystkiemu zaprzecza. Chociaż początkowo nie umiał sobie przypomnieć.

- Marcus wszystkiemu zaprzeczył?

- Tak.

- No cóż, czy Marcus ma alibi i' - wyostrzam słuch.

- Tak. Milczenie.

- N a p r a w d ę? - pytam. -Jesteś pewien?

- Sprawdziłem to - mówi z dziwnym uśmiechem. - Marcus jest czysty. Milczenie.

-Alia.

- A t y gdzie byłeś? - śmieje się.

Ja także wybucham śmiechem, choć nie wiem dlaczego. - Gdzie był Marcus? - pytam chichocząc.

Kimball nie przestaje się uśmiechać patrząc na mnie. - Nie był z Paulein Owenem - odpowiada enigmatycznie.

- Więc z kim był? - śmieję się dalej i kręci mi się w głowie.

Kimball otwiera notes i po raz pierwszy patrzy na mnie groźnie. - Był w Atlantis z Craigiem McDermottem, Frederickiem Dibble, Hariym Newmanem, Geo-rgem Butnerem i... - przerywa podnosząc głowę -...z tobą.

Jestem u siebie w firmie i właśnie zastanawiam się, jak długo w moim biurze musiałby rozkładać się trup. Otacza mnie mnóstwo rzeczy i spraw, o niektórych śnię na jawie, w tym między innymi: o jedzeniu żeberek w Czerwonym, Gorącym i Niebieskim w stołecznym mieście Waszyngtonie; o tym czy powinienem zmienić szampon; jakie piwo jest najlepsze; czy Bili Robinson jest projektantem nie zasługującym na sławę, jaką się cieszy? co się dzieje z IBM? co jest szczytem luksusu; czy wyrażenie "zagrawszy w baseball" jest imiesłowem; dlaczego pokój w Asyżu jest nietrwały; co robi prąd elektryczny; czy istnieje orgazm luksusu; orgazm szczytu luksusu. Skurwysyn Kimball noszący taki sam lniany garnitur od Armaniego, jaki mam na sobie, absolutnie nie zdaje sobie sprawy z pustki w moim wnętrzu. Nie istnieją żadne dowody na to, że w moim biurze istnieją organiczne formy życia, a mimo to robi notatki. W czasie, gdy będziesz czytał to zdanie, w jakimś punkcie na kuli ziemskiej wystartuje lub wyląduje odrzutowiec Boeinga. Napiłbym się piwa marki Pilsner Urquell.

- Och, prawda... - przyznaję. - Oczywiście... Chcieliśmy zaprosić Paula Owena - Kiwam głową jakbym przypominał sobie tamten wieczór. - Ale miał inne plany... Kończę nieskładnie: - Obiad z Victoria był chyba... następnego dnia.

- Słuchaj, tak jak mówiłem, zostałem wynajęty przez Meredith - wzdycha i zamyka notes.

- Wiesz, że Meredith Powell spotyka się z Brockiem Thompsonem? - py-tam nieśmiało.

Wzrusza ramionami i wzdycha po raz drugi. - Nic nie wiem na ten temat. Jedyna rzecz, jaka mnie interesuje, to domniemanie, że Paul Owen winny jest dosyć znaczną sumę pieniędzy mojej klientce.

- Alia - kiwam głową. - Naprawdę?

- Osobiście uważam - zwierza mi się - że facetowi odbiła szajba. Zniknął z miasta na pewien czas. Może rzeczywiście pojechał do Londynu. Rozejrzeć się. Popić. Cokolwiek. Tak czy owak, jestem przekonany, że pojawi się prędzej czy później.

Kiwam głową mając nadzieję, że wyglądam na stosownie zaszokowanego.

- Czy uważasz, że Owen mógł mieć coś wspólnego z... powiedzmy... okulty-zmem lub wyznawcami Szatana? - pyta poważnie Kimball.

- Eee... z czym?

- Wiem, że brzmi to dosyć głupio, ale w zeszłym miesiącu w New Jersey... nie wiem czy o tym słyszałeś... aresztowano młodego maklera giełdowego: rytuały voodoo przy pomocy... eeee... różnych organów... ludzkiego ciała...

- Niesamowite! - wykrzykuję.

- I no wiesz... - uśmiecha się nieśmiało. - Słyszałeś może o czymś takim?

- Czy facet nie przyznał się do winy? - pytam z wypiekami na twarzy.

- Zgadza się - Kimball kiwa głową.

- To ciekawa sprawa - szepczę z przejęciem.

- Facet co prawda mówi, że jest niewinny, ale utrzymuje, że jest wcieleniem Inki, czy innego ptasiego bóstwa - Kimball wstaje powoli.

Obaj wybuchamy śmiechem.

- Nie - mówię w końcu. - Paul nie zajmował się takimi sprawami. Stosował rozsądną dietę i...

- Ta, wiem, należał do paczki z Yale - kończy za mnie zmęczonym głosem. Zapada długie milczenie, chyba najdłuższe do tej pory.

- Czy konsultowaliście się z jakimś medium? - pytam.

- Nie - kręci głową w sposób, który każe mi przypuszczać, że rozważał tę możliwość. Och, kogo to w zasadzie obchodzi?

- Czy włamano się do jego mieszkania? - pytam.

- Nie, raczej nie - odpowiada. - Co prawda brakuje niektórych rzeczy, takich jak garnitur, środki kosmetyczne, walizka... i to wszystko.

- Podejrzewasz, że mogło mieć miejsce przestępstwo!'

- Nie umiem odpowiedzieć. Jak już wspominałem, wcale bym się nie zdziwił, gdyby Paul ukrywał się przed nami.

- To znaczy, że sprawą nie zajmuje się sekcja zabójstw ani nic takiego? -pytam.

- Nie, jeszcze nie. Tak jak powiedziałem, niczego nie jesteśmy pewni. Ale... - przerywa i wygląda na przygnębionego. - Zasadniczo nikt nic nie widział, ani nie słyszał.

- To takie typowe, prawda?

- Dziwne - mówi wyglądając przez okno, zagubiony we własnych myślach. -Jednego dnia ktoś chodzi po ulicach, pracuje, cieszy się życiem i nagle... - Kimball nie kończy zdania.

- Pustka - wzdycham kiwając głową.

- Ludzie... znikają - przytakuje.

- Otwiera się ziemia i pochłania ich - dodaję smutnym głosem zerkając na Rolex.

- Dziwne... - Kimball ziewa. - Naprawdę dziwne...

- I straszne - kiwam głową zgadzając się z nim.

- To wszystko - mówi z wysiłkiem - jest bez sensu.

Milczę nie wiedząc co powiedzieć, w końcu dodaję: - Z bezsenssem... trudno sobie poradzić.

Nie myślę o niczym. W biurze jest cicho. Żeby przerwać milczenie pokazuję książkę leżącą na biurku obok butelki San Pellegrino. Sztuka interesu Donal-da Trumpa.

- Czytałeś? - Pytam Kimballa.

- Nie - wzdycha i pyta mnie uprzejmie: - Dobra?

- Bardzo dobra - odpowiadam kiwając głową.

- Słuchaj - znowu wzdycha. - Zabrałem ci już mnóstwo czasu. - Chowa do kieszeni Marlboro.

- Tak czy inaczej za dwadzieścia minut mam lunch w Czterech Porach Roku z Cliffem Huxtablem - kłamię wstając. - Także wychodzę.

- Cztery Pory Roku... to chyba gdzieś na przedmieściu -jest zaniepokojony. - To znaczy, nie boisz się, że możesz się spóźnić?

- Uhm, nie -jąkam się. - Tutaj w mieście... też jest takie miejsce.

- Naprawdę? - pyta. - Nie słyszałem.

- Tak - mówię prowadząc go do drzwi. - To bardzo dobra restauracja.

- Posłuchaj - odwraca się do mnie twarzą. - Gdyby coś ci się przypomniało, gdybyś uznał, że coś jest ważne... cokolwiek...

Podnoszę rękę. - Absolutnie. Masz to u mnie jak w banku - przyrzekam solennie.

- Wspaniale - odpowiada z wyraźną ulgą. Nieudacznik. - Dziękuję za poświęcenie mi czasu, panie Bateman.

Na miękkich nogach idę z nim do drzwi, stąkam jak astronauta, wyprowadzam go z biura i dalej... Czuję pustkę w środku, jestem wyprany z wszelkich uczuć, mimo to wiem - i wcale się nie oszukuję - że udało mi się coś osiągnąć. Nasza rozmowa ma teraz bardzo nieciekawą przebieg: przez kilka minut wymieniamy uwagi o balsamicznych ałunach i koszulkach polo. Nasze spotkanie w biurze było dziwnie niejednoznaczne, odbywało się w niespiesznej atmosferze i fakt ten koi moje nerwy: przecież nic się nie stało. Kimball wychodzi z uśmiechem zostawiając mi swój bilet wizytowy i gdy zamyka drzwi w głowie rozbrzmiewa mi rykiem milion owadzich skrzydeł; słyszę skwierczenie smażonego boczku, a potem pojawia się olbrzymia pustka. Sprawdzam czy wyszedł z budynku (Jean dzwoni do Toma z ochrony) i zaraz potem łączę się z pewną osobą wskazaną mi przez adwokata, której zlecam skontrolowanie, czy żaden z moich telefonów nie jest na podsłuchu. Zązywam Xanaxa i jestem gotów spotkać się z moją dietetyczką w drogiej, wysoko ocenianej restauracji ze zdrową żywnością o nazwie Cuisine de Soy w Tribeca. Siedzę pod wypchanym i pociągniętym szelakiem delfinem wiszącym nad barem tofu i wygiętym w luk; jestem w stanie zadawać dietetyczce pytania w rodzaju: "Okay, podaj mi wartość kaloryczną drożdżówki", nie wpadając jednocześnie w konwulsje. Dwie godziny później jestem z powrotem w biurze i dowiaduję się, że telefony nie są na podsłuchu.

W piątek wieczorem spotykam w Ereze Meredith Powell z Brockiem Thompsonem. Rozmawiamy przez dziesięć minut: głównie o tym, dlaczego jeszcze nie jesteśmy w Hamptons, a Brock przez cały czas patrzy na mnie wściekle. Meredith ani razu nie wspomina o Paulu. Jem potwornie nudny

obiad ze swoją towarzyszką - Jeanette. Restauracja jest wystrzałowa i dopiero co otwarta, ale posiłek wlecze się w nieskończoność cal po calu. Porcje są skromne. Czuję narastające pobudzenie ruchowe. Po wyjściu z Ereze zamierzam ominąć M. K. -mimo próśb Jeanette, która chce tańczyć. Jestem zmęczony i muszę wypocząć. Kładę się do łóżka zaraz po przyjeździe do domu i jestem zbyt roztrzęsiony, żeby odbyć stosunek z Jeanette, która w związku z tym wychodzi. Oglądam poranny The Putty Winters Shom kasety; program poświęcony jest najlepszym restauracjom na Bliskim Wschodzie. Niechętnie sięgam po bezprzewodowy telefon i dzwonię do Evelyn.

LATO

Większą część lata spędziłem w katatonicznym odrętwieniu przesiadując w biurze, nowych restauracjach, w domu (gdzie oglądałem filmy i programy z kaset), w taksówkach, w niedawno otwartych nocnych klubach, magazynie w Hell's Kitchen lub w nowych restauracjach. Tego lata wydarzyły się cztery duże katastrofy lotnicze i większość została sfilmowana, jakby ktoś wyznaczył dokładną datę i miejsce wypadków pokazywanych następnie w nieskończoność w telewizji. Najpierw samoloty rozbiły się w zwolnionym tempie, potem kilka przypadkowych ujęć tłących się jeszcze wraków i migawki z ofiarami - poparzonymi i pokrytymi krwią - a na koniec łkający strażacy wydobywający z pogorzeliśk różne części ludzkich ciał. Zacząłem używać dezodorantu Oscara de la Renty i dostałem wysypki pod pachami. Na ekrany wszedł poprzedzonymi fanfarami film o małym, gadającym robaczku; obraz zarobił ponad dwieście milionów dolarów. Met-si przegrywali sromotnie. Żebracy i bezdomni wyjątkowo rozmnożyli się w sierpniu i wszystkie ulice miasta zapchane były szwadronami nieudaczników: głodnych, starych bądź opóźnionych w rozwoju. Stwierdziłem, że podczas obiadów w modnych restauracjach i przed pójściem na Les Miserable* często pytam mo-

ich letnich współpracowników, czy wdzieli Narzędzia tortur w HBO. Na tak postawione pytanie jedyną odpowiedzią była cisza całego stołu. W związku z tym kaslałem grzecznie i prosiłem kelnera o rachunek, sorbet albo - jeśli obiad dopiero się zaczął - o następną butelkę San Pellegiino. "Nie?" pytałem niewinnie, po czym zapewniałem ich, że film "był bardzo dobry". Moja platynowa karta American Express zużyła się do tego stopnia, że w akcie samozniszczenia złała się na pół. Miało to miejsce podczas jednego z obiadów z dwoma letnimi współpracownikami w Niespokojnych i Młodych - nowej restauracji Pabla Le-stera w centrum. Na szczęście w portfelu z gazeli miałem dosyć pieniędzy, żeby zapłacić za posiłek. Tego lata wszystkie programy The Patty Winters Show były powtórkami. Życie przypominało pusty obraz, banał, operę mydlaną. Czulem się śmiertelnie chory, byłem na granicy szaleństwa. Moje krwawe nocne orgie ciągnęły się w nieskończoność, pragnąłem krwi za dnia, więc musiałem wyjechać z miasta. Maską normalności zsuwała się: ukazywałem światu twarz potwora. Zaczął się sezon ogórków i kości, potrzebne mi były wakacje. Wyjazd do Hamptons stał się koniecznością.

Zaproponowałem Evelyn wspólne spędzenie wakacji, a ona niczym samica pająka skwapliwie na to przystała.

Dom, w którym mieliśmy się zatrzymać należał w zasadzie do Tima Pri-ce'a. Evelyn z takiego czy innego powodu miała do niego klucze. Prostracja w jaką popadłem sprawiła, że zapomniałem zapytać narzeczoną jak weszła w ich posiadanie.

Dom Tima stał nad wodą w East Hampton i ozdobiony był wieloma szczytami. Miał cztery piętra połączone ze sobą klatką schodową z galwanizowanej stali, która - jak mi się początkowo wydawało - pokryta była jakimś motywem roślinnym z Południowego Zachodu. Później okazało się, że jest inaczej. Kuchnia o powierzchni tysiąca stóp kwadratowych zaprojektowana została z minimalistycz-nym wdziękiem. Na jednej ścianie znajdowało się niemal wszystko: dwa olbrzymie piece, masywne kredensy, zamrażarka wielkości spiżarni i trzydrzwiowa lodówka. Na środku stała wyspa z ręcznie kutej nierdzewnej stali dzieląca kuchnię na trzy, praktycznie oddzielone od siebie pomieszczenia. W czterech z dziewięciu łazienek wisiały martwe natury, a w pięciu z nich powieszono nad umywalkami antyczne ołowiane baranie głowy puszczające z pysków wodę. Wszystkie umywały, wanny i prysznice wykonane były ze starego marmuru, a na podłogach lśniły mozaiki z marmurowej kostki. W głównej łazience, w niszy stał odbiornik telewizyjny. W każdym pokoju była aparatura stereo. W domu znajdowało się dwanaście stojących lamp projektu Franka

Lloyda Wrighta, czternaście foteli klubowych Josefa Heffermana, dwie ściany zastawione od sufitu do podłogi półkami z kasetami wideo i jedna ściana z tysiącami płyt kompaktowych w szklanych gablotach. W głównym holu wisiał kryształowy żyrandol projektu Erica Schmidta, a pod nim stał żelazny wieszak z warsztatów Atomie Ironworks, zaprojektowany w kształcie rogów łosia przez jakiegoś młodego rzeźbiarza, o którym nigdy nie słyszałem. W pokoju przylegającym do kuchni stał dziewiętnastowieczny okrągły rosyjski stół obiadowy, ale nie było przy nim krzeseł. Dziwaczne fotografie Cindy Sherman rozwieszono na ścianach w całym domu. Na dole była sala treningowa. Naliczyłem też osiem garderób wielkości średniego pokoju, pięć magnetowidów, jeden stół obiadowy z orzecha ze szklanym blatem od Noguchi, jedną toaletkę od Marca Schaffera i jeden faks. Za oknem w stylu Ludwika XVI z ławeczką (w głównej sypialni) rosło artystycznie przyszyżone drzewo. Nad jednym z marmurowych kominków wisiał obraz Erica Fischla. Obok domu był kort tenisowy. Mieliliśmy do dyspozycji dwie sauny, jacuzzi pod dachem i maty domek dla gości stojący obok basenu z czarnym dnem. W różnych miejscach pojawiały się ni z tego ni z owego kamienne kolumny.

Przez te kilka tygodni, które spędziliśmy w domu Tima bardzo się starałem, żeby wszystko było jak najlepiej. Jeździłem z Evelyn na rowerowe wycieczki, biegałem z nią i grałem w tenisa. Rozmawialiśmy wiele o podróży na południe Francji lub do Szkocji. Marzyła nam się jazda samochodem przez Niemcy i zwiedzanie zabytkowych oper. Uprawialiśmy windsurfing. Staraliśmy się mówić wyłącznie o rzeczach romantycznych: świetle we wschodniej części Long Island i wschodzie księżyca w październiku nad wzgórzami Wirginii pełnymi myśliwych. Kąpaliliśmy się razem w olbrzymich marmurowych wannach. Jedliśmy śniadanie w łóżku układając się wygodnie pod kaszmirowymi kołdrami: nalewałem importowaną kawę z dzbanka Melior do filiżanek od Hermesa i budziłem Evelyn dając jej polne kwiaty. Wkładałem liściki do jej torby od Louisa Vuittona, gdy raz tydzień wracała na Manhattan i szła do kosmetyczki. Kupiłem jej pieska, czarnego szczeniaczka chow-chow, którego nazwała NutraSweet i karmiła dietetycznymi truflami czekoladowymi. Czytałem jej długie fragmenty z Doktora Żiwugo i Pożegnaniu z bronią (mojej ulubionej książki Hemingwaya). Wypożyczałem w mieście filmy, których nie było w kolekcji Price'a: głównie komedie z lat trzydziestych; odtwarzałem je na jednym z wielu magnetowidów. Naszym ulubionym obrazem były Rzymskie wakacje - obejrzeliliśmy je dwukrotnie. Słuchaliśmy Franka Sinatry (tylko z lat pięćdziesiątych) i Nat King Cole'a Po północy-, odtwarzaczy Tima. Kupowałem Evelyn drogą bieliznę, którą czasami wkładała.

Po wieczornej kąpieli w oceanie wracaliśmy do domu i drżąc z zimna, otuleni ręcznikami od Alpha Laurena zabieraliśmy się do smażenia omletów i klusek na oleju z oliwek z dodatkiem trufl i grzybków porcini. Robiliśmy suflety ze smażonych gruszek, owocowe sałatki z cynamonem, polentę z grilla z łosiosia i papryki, sorbet z jeżyn i malin, mascarpone, czerwoną fasolę arroso zawijaną w sałatę romaine, półmiski salsy i rai marynowanej w balsamicznym occie, chłodnik ziemniaczany i risotto z burakami, limonem, szparagami i miętą, piliśmy lemo-niadę lub szampana lub wiekowego Chateau Margaux. Po pewnym czasie przestaliśmy podnosić razem ciężary i pływać wokół basenu. Evelyn zaczęła jeść wyłącznie dietetyczne truflle, których nie chciał NutraSweet i coraz częściej narzekała, że przybiera na wadze - co zresztą było nieprawdą. Stwierdziłem z przerażeniem, że chodzę nocami po plaży, wykopuję młode kraby i zjadam je na surowo razem z garściami piasku - działa się to zazwyczaj o północy, gdy niebo było tak przejrzyste, że widziałem cały Układ Słoneczny, a plaża w blasku gwiazd wyglądała jak na Księżycu. Pewnego ranka - gdy Evelyn jeszcze spała - przyniosłem do domu meduzę i ugotowałem ją w kuchence mikrofalowej, po czym połknąłem niemal w całości, a resztkami nakarmiłem psa.

Coraz częściej pokładałem się to tu, to tam i sączać bourbona albo szampana z wysokich, kryształowych kieliszków rżniętych w kaktusy - i stanianych przez Evelyn na ceglanych podkładkach, może dlatego, że zawsze dolewała do nich malinowego cassisu, który rozprowadzała papierowymi mieszadełkami w kształcie krzewu jalapeno - marzyłem o zabiciu kogoś kijkiem do nart Allsop Racer. Wpatrując się w antyczny wiatrowskaz wiszący nad jednym z kominków, zastanawiałem się z szeroko otwartymi oczyma, czy mógłbym nim kogoś przebić na wylot, a potem narzekałem głośno - bez względu na to, czy w pobliżu była Evelyn czy nie - że popełniliśmy

błąd wybierając dom Tima, i że już dawno powinniśmy byli się przenieść do Stratford Inn Dicka Loudona. Evelyn mówiła wyłącznie o uzdrowiskach i chirurgii kosmetycznej, a potem wynajęła sobie masażystę - jakiegoś przerażającego pedryla - który mieszkał kilka domów dalej ze znanym wydawcą książek. Pedal otwarcie ze mną flirtował. Podczas ostatniego tygodnia w Hamptons Evelyn jeździła do miasta trzy razy: pierwszy raz do manikiurzystki, pedikiurzystki i kosmetyczki, drugi raz na prywatny trening ze Stephanie Herman i trzeci raz, żeby spotkać się ze swoim astrologiem.

- Czy koniecznie musisz wynajmować helikopter? - spytałem ją szeptem.

- A co mam zrobić? - rozdarła się wrzucając do ust setną czekoladową trufkę. - Wynajęć sobie Volv o?

Kiedy jej nie było, wymiotowałem - ot tak sobie - do rustykalnych dzbanków z terakoty stojących rzędem w patio od frontu, albo jeździłem do miasta z przerażającym masażystą i kupowałem brzytwy. Nocami kładłem na głowie Evelyn kinkiet ze sztucznego cementu z aluminiowymi drutami od Jerry'ego Knotta. O niczym nie wiedziała, bo przed pójściem do łóżka pożerała pół butelki halcionu. Tarzałem się ze śmiechu patrząc na kinkiet unoszący się miarowo na jej twarzy, potem jednak zrobiło mi się smutno i przestałem jej wkładać abażur.

Nic nie było w stanie mnie ukoić. Wszystko zaczęło być nudne: kolejny świt, żywoty herosów, miłość, odkrycia dokonywane przez ludzi na swój temat. Jedyna rzecz, która była mnie w stanie rozruszać, to kwota zarobionych przez Tima pieniędzy, lecz i to wkrótce mi się przejadło. W moim wnętrzu nie było ani

jednego wyraźnego, łatwego do opisanie uczucia - tylko chciwość i - momentami - obrzydzenie. Miałem wszystkie cechy charakterystyczne istoty ludzkiej: ciało, krew, skórę, włosy, ale proces mojej dezintegracji zaszedł tak daleko i był tak głęboki, że uczucia wyższe - ze współczuciem na czele - były mi całkiem obce. Padłem ofiarą procesu powolnego rozkładu. Świat wokół mnie był imitacją rzeczywistości, stałem się kimś, kto tylko pozornie przypominał człowieka, wiedziałem, że tylko niewielka część mojego umysłu nie jest skażona szaleństwem. Działo się coś przerażającego, a ja nie miałem pojęcia co: nie znajdowałem źródła, przyczyny tego stanu. Jedynym ukojeniem był stukot i chrzęst kostek lodu pływających w J&B. W końcu utopiłem psa, po którym Evelyn wcale nie płakała; nie zauważyła nawet jego nieobecności, choć leżał w zamrażalniku owinięty w jeden z jej swetrów od Bergdorfa Goodmana. Musieliśmy wyjechać z Hamptons, bo coraz częściej stawałem przed świtem w nogach łóżka z czymś ostrym w zaciśniętej dłoni, czekając aż Evelyn otworzy oczy. Któregoś ranka przy śniadaniu proponowałem jej powrót i ostatniej niedzieli przez Świętem Pracy* wróciliśmy na Manhattan helikopterem.

DZIEWCZYNY

- Uważam, że fasola pinto z łososiem i miętą była naprawdę, naprawdę... no wiesz - mówi Elizabeth wchodząc do salonu i zrzucając ze stóp pełnym wdzięku ruchem satynowo-zamszowe pantofle Maud Frizon; potem wali się całym ciężarem na sofę - Dobrze, Patricku. Mój Boże, zapłaciłeś tyle p i e n i ę d z y... -przerywa i rzuca wściekle: -...a kuchnia była tylko pseudo-nouvelle.

- Nie wiem, czy nie miałem halucynacji, ale odniosłem wrażenie, że na stołach leżały złote rybki. - Odpinam szelki od Brooks Brothers szukając w lodówce butelki sauvignon blanc. - Tak czy inaczej uważam, że lokal jest bardzo na czasie.

Christie siada na długiej, szerokiej sofie w bezpiecznej odległości od przeciągającej się leniwie Elizabeth.

- Tylko na czasie, Patricku? - krzyczy Elizabeth. - Przecież jada tam sam Donald T r u m p.

Wyjmuję butelkę i stawiam ją na kuchennej ladzie. Przez chwilę oglądam ją z drugiego końca kuchni, w którym szukam korkociągu. - Naprawdę? Czyżbym wyczuwał sarkazm?

- Zgadnij - ryczy i beka tak głośno, że Christie skręca się z obrzydzenia.

- Gdzie teraz pracujesz, Elizabeth? - pytam zamykając szufladę. - II rzeź-nika czy czymś w tym rodzaju?

Elizabeth wybucha krótkim śmiechem i odpowiada pogodnym głosem (w tym czasie otwieram Akację): - Nie muszę pracować, Bateman - Po chwili dodaje znudzona: - Ze wszystkich ludzi na

świecie, ty panie Wall Street powinienes wiedzieć o tym najlepiej,. - Przegląda się w pudernicze od Gucciego sprawdzając ułożenie szminki; jak było do przewidzenia jej makijaż jest nienaganny. Postanawiam zmienić temat i pytam ją: - Kto dokonał wyboru? - Nalewam wina dziewczynom, a sobie J&B z lodem i odrobiną wody. - Chodzi mi o restaurację...

- Carson, a może Robert - Elizabeth wzrusza ramionami, zatrząskuje po-kiywkę kompaktu i rzuca okiem na Christie. - Skądś cię znam. Chodziłaś do Dalton?

Christie kręci przecząco głową. Jest już prawie trzecia nad ranem. Rozgniatam tabletkę ecstasy i patrzę, jak rozpuszcza się w kieliszku, który mam zamiar podać Elizabeth. Tematem dzisiejszego The Patty Winters Showbyli ludzie ważący powyżej siedmuset funtów - co możemy z nimi zrobić? Zapalam światło w kuchni i znajduję w zamrażalniku dwie inne tabletki, po czym gaszę światło.

Elizabeth jest dwudziestoletnim laskojadem i czasami występuje reklamach Georgesa Marciana, poza tym pochodzi z bardzo dobrej, starej bankierskiej rodziny z Wirginii. Wieczorem zjedliśmy obiad z dwójką jej przyjaciół: Robertem Farrellem, dwudziestosiedmioletnim, dosyć przeciętnym finansistą i jego dziewczyną, Carson Whitall. Robert ubrany był w garnitur Belvest, bawełnianą koszulę z francuskimi mankietami od Charveta i jedwabne/-krepowy krawat z abstrakcyjnym deseniem od Hugo Bossa. Podczas posiłku nie zdjął z nosa okularów przeciwsłonecznych Ray-Ban. Carson miała na sobie sukienkę z kolekcji Yves Saint Laurent Rive Gauche i perłowy naszyjnik, a w uszach stosowane perłowo-diaamentowe kolczyki od Harry'ego Winstona. Obiad jedliśmy w Wolnym Obrocie, nowej restauracji Alberta Liomana we Flatiron. Potem pojechaliśmy limuzyną do Nell, gdzie na chwilę opuściłem towarzystwo zapewniając wściekłą Elizabeth, że zaraz wrócę. Skierowałem szofera do dzielnicy pakowni mięsa, gdzie stała zazwyczaj Christie. Zabrałem ją z ulicy i kazałem czekać w zamkniętej limuzynie, sam natomiast wróciłem do Nell na kilka drinków z Elizabeth, Carson i Robertem w jednej z łóż od frontu - wolnej tylko dlatego, że do klubu nie zajrzała żadna znakomitość: zły znak dla Nell. O wpół do trzeciej, gdy Carson przechwalała się pijackim głosem ile płaci miesięcznie za kwiaty, Elizabeth i ja opuściliśmy towarzystwo. Moja partnerka była tak wkurwiona tym, co według Carson znalazło się w ostatnim wydaniu W, że nawet nie zapytała mnie skąd się wzięła Christie.

Wcześniej po drodze do Nell, Christie wyznała mi, że ciągle nie może dojść do siebie po naszym ostatnim spotkaniu i w związku z tym obawia się tego, co może zdarzyć się dzisiaj, ale pieniądze, które jej zaproponowałem były zbyt łakomym kąskiem, by mogła odmówić, a poza tym obiecałem jej, że będę zachowywał się poprawnie. Nie wiem, czy rozviałem do końca jej wątpliwości, ale kilka kieliszków wódki w limuzynie i pewna suma, którą jej przekazałem, podziałały jak środek uspokajający. Jej kapryśny nastrój bardzo mnie podniecił - zachowywała się jak stuprocentowy kociak, a gdy dałem jej forsz: sześć banknotów spiętych srebrnym spinaczem od Hughlansa, jej oczy zapłonęły pożądaniem. Potem powiedziała mi jeszcze, że prawdopodobnie potrzebny będzie jej chirurg kosmetyczny lub prawnik, więc wypisałem jej czek na tysiąc dolarów, którego i tak nigdy nie zrealizuje. Wiedząc o tym nie wpadłem w panikę ani nic takiego. Przyglądałem się teraz Elizabeth rozwalonej na sofie i podziwiam obfitość, z jaką bozia wyposażyla okolice jej klatki piersiowej. Mam nadzieję, że po kilku tabletkach ecstasy, Elizabeth da się nakłonić do odbycia stosunku z Christie na moich oczach.

Elizabeth zasypuje Christie pytaniami o jakiegoś dupka o przydomku Spi-cey z Au Bar. Christie nigdy nie była w Au Bar i kręci niepewnie głową. Podaję Elizabeth sauvignon blanc doprawione ecstasy, a ona wpatruje się w Christie jakby ta pochodziła z Neptuna. Po chwili ziewa i mówi: - Tak czy inaczej w Au Bar śmierdzi. Teraz jest tam p-o-t-w-o-r-n-i-e. Wyobraź sobie zaproszono mnie kiedyś na przyjęcie urodzinowe Malcolma Forbesa. O mój Boże... nieee... - Wypija wino jednym haustem i krzywi się. Siadam na jednym z dębowych krzeseł od Sottsassa z chromowanymi dodatkami i wyciągam rękę do wiaderka z lodem, które stoi na stolyczku do kawy ze szklanym blatem; chcę obrócić butelkę i tym samym zapewnić równomierne schłodzenie wina. Elizabeth natyclimiasz rzuca się na wino i nalewa sobie kolejny kieliszek. Zanim przyniosłem butelkę do salonu rozpuściłem w niej dwie tabletki, które znalazłem w zamrażalniku. Christie sączy swoje wino (bez dodatków) z grobową miną i stara się nie patrzeć na podłogę: ciągle się boi. Wreszcie

przerywa nieznośne milczenie - które w jej pojęciu stanowi dowód moich złych zamiarów - i pyta Elizabeth, jak mnie poznała.

- O Boże - zaczyna zapytana jęcząc tak, jakby nagle przypomniała sobie coś absolutnie potwornego. - Spotkałam Patricka na, o Boże, Derbach w Kentucky w 86..., nie, 87, i... - odwraca się do mnie - Szlajałeś się wtedy z tą dziwką Alison, jak jej tam... Stooole?

- Poole, najdroższa - podpowiadam spokojnie. - Alison Poole.

- Taa, tak miała na nazwisko - kiwa głową i dodaje nie ukrywając sarkazmu: - Napalona jak cholera.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam urażony. - Istotnie, była napalona. Elizabeth odwraca się do Christie i mówi dosyć nieskładnie: - Jeśli facet

miał kartę American Express, to z miejsca ciągnęła mu druta. - Modlę się, żeby

Christie nie spojrzała na Elizabeth i nie powiedziała przypadkiem: "Ależ my nie przyjmujemy kart kredytowych". Chcąc się zabezpieczyć przed czymś takim, ryczę na całe gardło: - Gówno prawda - zresztą dosyć dobroduszenie.

- Posłuchaj - Elizabeth zwraca się do Christie wyciągając przed siebie rękę jak pedał opowiadający plotki. - Ta dziewczyna pracowała w solarium i... - nie zmieniając tonu kończy zdanie pytaniem: - Co ty tu właściwie robisz?

Milczenie, Christie czerwieni się i jest jeszcze bardziej przerażona. - Ona jest... moją kuzynką - oświadczam.

Elizabeth zastanawia się nad tym i mówi powoli: - A-ha?

Kolejna długa chwila milczenia i rzucam nagle: - Pochodzi... z Francji.

Elizabeth taksuje mnie wzrokiem - jakbym kompletnie oszalał - ale nie zadaje więcej pytań i zwraca się do mnie: - Gdzie jest telefon? Muszę zadzwonić do Harleya.

Idę do kuchni i przynoszę jej aparat bezprzewodowy wyciągając po drodze antenę. Elizabeth wybiera jakiś numer i czekając na połączenie patrzy na Christie i pyta: - Gdzie spędzasz lato? W Southampton?

Christie zerka na mnie, potem na Elizabeth i mówi: - Nie.

- O Boże - jęczy Elizabeth. - To znowu ta m a s z y n a.

- Elizabeth - pokazuję swojego Rolexa. - Jest trzecia rano.

- A on jest cholernym d i l e r e m - mówi rozdrażniona. - Dla niego są to godziny pracy.

- Nie mów mu gdzie jesteś - ostrzegam.

- Po co? - pyta. Z roztargnieniem sięga po kieliszek, wypija zawartość jednym haustem i robi minę.

- Co za potworny smak. - Sprawdza etykietę na butelce i wyrusza ramionami. - Harley? To ja. Muszę skorzystać z twoich usług i możesz zrozumieć to jak chcesz. Jestem u... - spogląda na mnie.

- Jesteś u Marcusa Halherstama - szepczę.

- U kogo? - pochyla się i chichocze figlarnie.

- Mai-cusa Hal-ber-stama - powtarzam.

- N u m e r, idioto - macha ręką zrezygnowana i mówi dalej: - Tak czy inaczej jestem u Marka Hammersteina i zadzwonię do ciebie później, a jeśli nie przyjdiesz wieczorem do Baru Nad Kanałem, to poszczuję cię moim fryzjerem. Bon voyage. Jak to się rozłącza? - p)ta, chociaż schowała już antenę i nacisnęła odpowiedni klawisz. Rzuca telefon na krzesło od Schragera, które postawiłem obok szafy grającej.

- Widzisz - uśmiecham się. - Udało ci się.

Dwadzieścia minut później Elizabeth wije się na sofie, a ja próbuję przekonać ją, żeby odbyła stosunek z Christie na moich oczach. Najpierw przedstawiłem swoją propozycję jako niewinny żart, teraz jednak mój pomysł nie daje mi spokoju, a ja z kolei nie daję spokoju Elizabeth. Christie wpatruje się bezmyślnie

w płamę, której przedtem nie zauważyłem na podłodze z białego dębu. Jej kieliszek jest ciągle pełen.

- Nie jestem lesbijką - protestuje Elizabeth chichocząc. - Nie interesują mnie d z i e w c z y n k i.

- Czy to twoja ostatnia odpowiedź? - pytam patrząc na jej kieliszek i prawie pustą butelkę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mogłabym wziąć udział w czymś takim? - pyta. Ecstasy już działa, słowa Elizabeth brzmią kokieteryjnie i wydaje mi się, że jest naprawdę zaciekawiona. Masuje stopą moje udo. Przeniosłem się na sofę i siedzę teraz między dziewczynami dotykając dłonią łydki Elizabeth.

- Po pierwsze, chodziłaś do Sarah Lawrence - mówię. - Dziewczyny z tej szkoły słyną z tego.

- To c h ł o p c y z tego słyną, Patricku. Chłopcy z Sarah Lawrence - po prawią mnie chichocząc i trze coraz mocniej czując opór, gorąco, wszystko.

- Wybacz - przyznaję jej rację. - Zazwyczaj nie mam do czynienia z facetami, którzy chodzą w damskiej bieliźnie po ulicy.

- Patricku, chodziłeś do... Patricku, to znaczy do Harvardu, o Boże, jestem taka pija n a. Tak czy inaczej, posłuchaj, to znaczy słuchaj... - przerywa, bierze głęboki oddech, mamrocze coś pod nosem o tym, że dziwnie się czuje, zamyka i otwiera oczy, wreszcie pyta: - Masz jakąś kokę?

Wpatruję się w jej kieliszek i zauważam, że rozpuszczona ecstasy zmieniała kolor wina. Elizabeth podąża za moim wzrokiem i wypija łyk sauvignon niczym eliksir, którym można uspokoić wyrastające poruszenie. Leniwie opiera głowę na poduszce. - Albo halcion? Wzięłabym halcion.

- Posłuchaj, chcę tylko zobaczyć... jak to... robicie - mówię niewinnie. - Co w tym złego? Masz stuprocentową gwarancję, że nie złapiesz żadnej choroby.

- Patricku - śmieje się. - Jesteś obłąkany.

- Nie wygłupiaj się - nalegam. - Nie podoba ci się Christie?

- Nie bądź sprośny - napomina mnie. Widzę jednak, że narkotyk zrobił swoje: Elizabeth jest podniecona, choć tego nie chce. - Nie jestem w nastroju do sprośności.

- Przestali - mówię. - Zobaczysz, jakie to fajne.

- Czy on się tak zachowuje przez cały czas? - Elizabeth pyta Christie. Patrzę na nią.

Christie wzrusza ramionami i przygląda się badawczo obwolucie płyty kompaktowej, którą później odkłada na stół obok odtwarzacza.

- Czy chcesz mi wmówić, że nigdy nie robiłaś tego z dziewczyną? - pytam dotykając jej czarnych rajstop.

- Ale nie jestem lesbijką - podkreśla. - I nie, nigdy tego nie robiłam.

- N i g d y? - pytam unosząc brwi. - No cóż, najwyższy czas, żebyś spróbowała...

- Przez ciebie czuję się jakoś dziwnie - jęczy tracąc kontrolę nad wyrazem twarzy.

- To nie przeze mnie - odpowiadam spokojnie.

Elizabeth kocha się z Christie. Leżą nagie na moim łóżku w pełnym świetle halogenowych lamp, a ja siedzę na krześle od Luisa Montoniego tuż przy nich i przyglądam się badawczo temu co robią wydając od czasu do czasu dyspozycje w sprawie ułożenia ciał. Każę Elizabeth położyć się na plecach i unieść wysoko rozwarte nogi, rozłożyć je tak szeroko, jak tylko możliwe, a potem opuszczam głowę Christie i każę jej lizać cipę - żadnego ssania, zaznaczam, ma ją lizać jak spragniony pies, a jednocześnie dotykać palcami łechtaczki. Christie wsadza dwa palce w wilgotną, otwartą pizdę, potem zastępuje je językiem, a ociekającą śluzem dłoń podnosi prosto do ust Elizabeth, która ssie ją chciwie. Potem każę Christie położyć się na Elizabeth i ssać oraz gryźć pełne, nabrzmiałe cycki ściskane jednocześnie przez właścicielkę; później każę im się całować, mocno, bardzo mocno. Elizabeth wciąga do ust język, który przed chwilą lizał jej małą, różową piczkę. Robi to jak zwierzę i nagle obie dziewczyny rzucają się jedna na drugą bez opamiętania i przyciskają do siebie pizdami, Elizabeth jęczy głośno obejmując nogami Christie w pasie: wygina się i pcha prosto w biodra partnerki; nogi Christie są rozłożone pod takim kątem, że widzę od tyłu jej cipę, wilgotną i rozwartą, a nad nią bezwłosy różowy odbyt.

Christie siada i odwraca się, żeby usiąść na dyszącej spazmatycznie Elizabeth i wkrótce - zupełnie jak na filmie, zupełnie jak zwierzęta - liżą się nawzajem i gorączkowo wsadzają sobie palce w pizdy. Elizabeth ma purpurową twarz, jej szyja napina się jak u wariatki: próbuje wsadzić całą głowę w pizdę Christie, rozwiera jej pośladki i liże odbyt wydając z siebie gardłowe dźwięki. - Taaa - mówię monotonna. - Wsadź tej kurwie język do dupy.

W czasie tej zabawy smaruję wazeliną wielkiego, białego, sztucznego penisa przymocowanego do paska. Wstaję i ściagam Christie z Elizabeth wijącej się bezradnie na łóżku, zapinam Christie w

talii pas ze sztucznym chujem. Odwracam Elizabeth w drugą stronę i każę jej klęknąć opierając się na łokciach. Christie pierdoli ją jak pies, a ja wsadzam jej palce w jej cipę, dotykam łechtaczki, potem dziury w dupie - tak rozluźnionej i wilgotnej od śliny Elizabeth, że bez trudu wpycham w nią palec wskazujący. Czuję zwieracz, który zaciska się na moim palcu. Każę Christie wyciągnąć kutasa z pizdy Elizabeth. Mówię jej, że ma się położyć na plecach, żeby Christie mogła ją wyjechać w pozycji zalecanej przez Kościół. Elizabeth bawi się swoją łechtaczką i jak oszalała całując Christie po całym ciele. Nagle bezwolnie opada na poduszkę, obejmuje nogami pracujące biodra Christie i wrzeszczy: - Boże już mi dobrze, już mi dobrze, pierdol mnie, już mi dobrze - a na jej napiętej twarzy i rozwartych krzykiem ustach widać szminkę roz-smarowaną śluzem z pizdy. Elizabeth spełnia moje życzenie: wcześniej kazałem im oznajmiać głośno i wyraźnie, że mają orgazm.

Teraz kolej na Christie. Elizabeth bez namysłu wkłada pas i pierdoli partnerkę, ja w tym czasie rozwieram jej dupę i liżę ją, ale Elizabeth odpycha mnie i rozpaczliwie wpycha sobie palce w odbyt. Zmieniają się rolami: Christie bierze kutasa i jebie Elizabeth w dupę, ale Elizabeth to nie wystarcza, masuje sobie łechtaczkę, wypina tyłek do góry i wpycha się na sztucznego członka aż po sam koniec kwicząc z rozkoszy jak prosię; wkrótce ma kolejny orgazm. Wyciągam kutasa z jej dupy i każę go lizać i ssać. Po chwili Elizabeth przepasuje się w talii i z łatwością wpycha penisa w pizdę leżącej na plecach Christie. Siedzę obok niej i liżę ją po cyckach ssąc sutki, które sztywnieją i czerwienieją. Masuję je palcami, żeby się nie zmniejszyły. Christie ma na sobie sięgające ud zamszowe buty od Henrie Bandela, które włożyła na moje polecenie.

Naga Elizabeth ucieka z sypialni. Jest pokryta krwią, porusza się z trudem i bełkocze coś niezrozumiale. Miałem długi orgazm zakończony gwałtownym wytryskiem i czuję słabość w kolanach. Jestem nagi, krzyczę: - Ty dziwko, ty ku-rewski śmieciu. - Większość krwi pochodzi z jej stóp, Elizabeth potyka się, ślizg!;!, ale jakoś wstaje i wtedy wbijam w nią lśniący od posoki rzeźnicki nóż, który trzymam w prawej dłoni. Robię to dosyć niezdarnie: rozcinam jej szyję od tyłu otwierając chyba jakieś żyły. Po drugim uderzeniu nożem ma jeszcze tyle siły, żeby uciec pod drzwi. Krew tryska w salonie, spływa w całym mieszkaniu, rozpryskuje się o wypolerowane szkła i laminowane dębowe lady w kuchni. Elizabeth biega jak oszalała: przeciąłem jej szyjną aortę, z której tryskają hektolitry krwi oślepiając mnie na chwilę; w końcu wskakuję na nią i kończę z nią na dobre. Odwraca się przodem do mnie, jej twarz wykrzywia przerażenie, nogi odmawiają jej posłuszeństwa; walę ją pięścią w brzuch - pada, a ja za nią. Zadaję jej pięć albo sześć ciosów nożem, krew tryska fontannami. Pochylam się, żeby nasycić się jej zapachem, a mięśnie Elizabeth tężeją, sztywnieją coraz bardziej, ciałem wstrząsają przedśmiertne konwulsje. Z gardła wypływa jej ciemnoczerwona krew, a Elizabeth rzuca się na wszystkie strony jakby ktoś związał ją sznurem, co oczywiście jest nieprawdą. Tak czy inaczej muszę ją przytrzymać. Z ust nadal wypływa krew, cieknie po policzkach i brodzie. Trzęsące się spazmatycznie ciało Elizabeth przypomina według mnie epileptyka przechodzącego atak. Łapię ją za głowę i pocieram sztywnym, pokrytym krwią kutasem ojej drgające, plujące czerwoną mazią usta i czekam aż znieruchomieje.

Wracam do sypialni, w której na łóżku leży przywiązana sznurem Christie. Ma ręce wyciągnięte nad głową, a w ustach kilka zmiętych stron wydartych z ze-szło-miesięcznego Vanity Fair. Do jej piersi przymocowane są dwa cienkie druciki połączone z akumulatorem. Płyne przez nią prąd, a sutki przypalają się na

brązowo. Wcześniej razem z deliryczną Elizabeth, która przedawkowała ecstasy, rzucaliśmy na brzuch Christie zapalone zapalki z Le Ralais. Elizabeth bardzo mi pomogła, dopóki w zapamiętaniu nie odgryzłem jej jednego sutka, który połknąłem w całości. Dopiero teraz mogę w całej pełni rozkoszować się delikatną budową Christie: jej drobną strukturą kostną. Ugniatam jej piersi obcęgami, a potem miażdżę je trochę: wszystko dzieje się bardzo szybko, syczę jak wąż, a Christie udaje się wypłuć papier z ust i próbuje ugryźć mnie w rękę. Wybucham śmiechem, umiera, ale wcześniej zaczyna płakać. Potem oczy uciekają jej w tył głowy, niczym w potwornym śnie.

Rano - sam nie wiem dlaczego - poranione dłonie Christie puchną do rozmiarów piłek futbolowych, a palce znikają gdzieś stapiając się z resztą kończyn górnych. Z jej nadpalonego ciała wydobywa się odrażający smród, otwieram okna: na żaluzjach leżą strzępy przysmażonego

tłuszczu z piersi, które w pewnym momencie wybuchły jak przekłute balony. Biedaczka umarła porażona prądem, muszę przewietrzyć pokój. Oczy Christie są szeroko otwarte i szklane, jej usta nie mają warg, tam gdzie kiedyś był srom widnieje czarna dziura (choć nie pamiętam, żebym ją wwiercił), widzę jej płuca poniżej zwęglonych żeber. To, co zostało z Elizabeth, leży zwinięte w kącie salonu. Ciało nie ma prawego ramienia i fragmentów prawej nogi. Lewa dłoń Elizabeth, obcięta przy nadgarstku, leży zaciśnięta w pięść na środkowej ladzie w kuchni we własnej, małej kałuży krwi. Głowa Elizabeth stoi na kuchennym stole, a jej pokryta krwią twarz - z pustymi oczodołami przesłoniętymi okularami od Alaina Mikli - wygląda na oburzoną. Męczy mnie wpatrywanie się w nią. Zeszłej nocy w ogóle nie spałem, najnormalniej w świecie padam z nóg, a do tego umówiony jestem o pierwszej na lunch w Odeonie zjemem Davisem i Alaną Burton. To spotkanie jest dla mnie bardzo ważne i przez długą chwilę zastanawiam się, czy mogę je odwołać.

TWARŻĄ w TWARZ z PEDALEM

Jesień, niedziela, koło czwartej po południu. Jestem u Barneya, gdzie kupuję spinki do koszul. Wyszedłem z domu o drugiej trzydzieści po zimnej przekąsce z ciała Christie, pobiegłem do lady i powiedziałem sprzedawcy: - Potrzebny mi jest bat. Naprawdę. - Oprócz spinek, kupiłem już strusiową torbę podróżną z podwójnym suwakiem i winylowymi wykończeniami, stary słój na lekarstwa wykonany ze srebra, szkła i krokodylej skóry, stary pojemnik na szczotki do zębów, szczotkę do zębów z borsuczego włosia i szczotkę do paznokci ze sztucznej skorupy żółwiowej. Wczorajszy obiad? W Bryzgu. Nic specjalnego: rozwodnio-

ny Bellini, rozmokła sałatka z aruguli, śmiertelnie poważna kelnerka. Później oglądałem powtórkę starego The Putty Winters Show z taśmy, na której - jak początkowo przypuszczałem - były sceny tortur i śmierci dwóch dziewcząt z agencji towarzyskiej (temat programu: jak zrobić z domowego zwierzęcia gwiazdę filmową). W tej chwili jestem w połowie procedury kupowania pasa - nie dla siebie - i trzech krawatów po dziewięćdziesiąt dolarów za sztukę oraz dziesięciu chusteczek, jednego szlafroka za czterysta dolarów i dwóch piżam od Ralpha Laurena. Każę wysłać wszystko na mój adres, z wyjątkiem chusteczek, na których polecam wyszyć monogram i przesłać do biura. Udało mi się już wywołać coś w rodzaju sceny w dziale z damskim obuwiem, skąd - speszzonego - wypłoszyła mnie zdenerwowana sprzedawczyni. Odczuwam jakiś trudny do określenia niepokój, którego przyczyny nie potrafię zgłębić, wydaje mi się - choć nie jestem o tym do końca przekonany - że ktoś mnie śledzi, że ktoś chodzi za mną po domu towarowym Barneya.

Luis Carruthers jest tu - jak przypuszczam - incognito. Ma na sobie coś w rodzaju wieczorowej marynarki we wzór przypominający skórę jaguara, ircho-we rękawiczki, pilśniowy kapelusz i lotnicze okulary; chowa się za kolumną udając, że ogląda rzędy krawatów, a potem rzuca mi pozbawione wdzięku powłóczyście spojrzenie. Pochyliam się i coś podpisuję, chyba rachunek; obecność Luisa w jakiś przedziwny sposób wywołuje ciąg krótkich skojarzeń sprowadzających się do tego, że życie w tym mieście, na Manhattanie i zajmowanie się pracą, taką jak moja, jawi mi się jako kompletna bzdura; nagle wyobrażam sobie Luisa na jakimś obrzydliwym przyjęciu: pije dobre wytrawne rose, a wokół tłoczą się pedały - wstrętne pedryle zgromadzone wokół króla ciot - Luis trzyma w dłoni kwiatek, a wokół szyi powiewa mu pierzaste boa; pianista - najdroższy - bębni coś z Les Mix. koszmar.

- Patricku? Czy to ty? - słyszę nieśmiały głosik.

Błyskawiczne zbliżenie, gwałtowny najazd kamery jak w horrorze: mam przed sobą Luisa Carruthers we własnej osobie. Bez ostrzeżenia wylania się zza kolumny, skrada i skacze - jeśli coś takiego w ogóle jest możliwe. Uśmiecham się do młodej sprzedawczyni i odsuwam od niego pod gablotę z szelkami; koniecznie muszę zażyć hanax, valium, halcion, Płynny Owoc, c o k o l w i e k. Nie mogę, nie potrafię, spojrzeć mu w twarz; czuję, że zbliża się do mnie. Potwierdza to jego głos.

- Patrick?... Cześć?

Zamykam oczy, dotykam twarzy i szepczę: - Nie każ mi tego mówić, Luis.

- Patrick? - powtarza udając, że nie wie o co chodzi. - Co przez to rozumiesz?

Obrzydliwe milczenie, a potem: - Patricku... Dlaczego na mnie nie spojrzysz?

- Ignoruję cię - wciągam powietrze i uspokajam się sprawdzając cenę blezera od Armaniego. - Czy ty nie możesz tego pojąć? Ignoruję cię!

- Patricku, czy nie możemy po prostu porozmawiać? - prosi niemal skomląc. - P a t r i c k u, spójrz na mnie.

Jeszcze jeden głęboki oddech i otwierali., usta: - Nie mamy o czym ze sobą rozmawiać.

- Tak dłużej być nie może - rzuca niecierpliwie. -Ja dłużej tego nie zniosę. Bełkoczę coś. Odchodzę. Idzie za mną nie dając za wygraną.

- Tak czy inaczej - zaczyna w drugim końcu sklepu, gdzie udaje, że oglądam rzędy jedwabnych krawatów, które zlewają się w moich oczach w jedną rozedrganą plamę - z pewnością ucieszy cię wiadomość, że opuszczam... ten stan.

Jakiś ciężar spada mi z serca i jestem w stanie zadać mu krótkie pytanie, choć ciągle nie mogę na niego spojrzeć: - Dokąd jedziesz?

- Będę pracował w innym dziale - mówi rozluźniony - chyba dlatego, że zdecydowałem się spytać go o cokolwiek. - W Arizonie.

- Wspa-nia-le - mruczę.

- Nie chcesz wiedzieć dlaczego? - pyta.

- Nie, absolutnie.

- Z twojego powodu - stwierdza'.

- Proszę cię, nie mów tak - błagam.

- Z t w o j e g o powodu - powtarza.

- Jesteś chory.

- Jestem chory z twojego powodu - oznajmia nonszalancko i ogląda sobie paznokcie. - Rozchorowałem się przez ciebie i już nigdy nie wyzdrowieję.

- Twoja obsesja zaczyna wymykać się spod kontroli. Kompletnie nie panujesz nad sobą, nic a nic... - stwierdzam i przechodzę do innego działu.

- Ależ ja w i e m, że ty czujesz to samo co ja - Idzie za mną krok w krok. -Wiem o tym dlatego, że... - ścisza głos i wzrusza ramionami - dlatego właśnie, że nie chcesz się do tego przyznać... nie chcesz przyznać się do własnych uczuć, a to wcale nie znaczy, że ich nie masz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - syczę.

- Chcę powiedzieć, że wiem, że czujesz to samo co ja. - Dramatycznym ruchem ściąga z nosa okulary przeciwsłoneczne, co ma zdaje się podkreślić wagę jego słów.

- Wnioskujesz... niezbyt precyzyjnie - krztuszę się. - Jesteś z pewnością niezdrow.

- Dlaczego? - pyta. - Cóż złego jest w tym, że cię kocham?

- O... mój... Boże.

- Że cię p r a g n ę? Że chcę być z tobą? Czy to jest aż tak złe?

Wpatruje się we mnie bezradnie, podejrzewam, że za chwilę przeżyje załamanie nerwowe. Nie potrafię mu odpowiedzieć, milczę. W końcu podnoszę głowę i syczę: - Na tym polega twoja permanentna niezdolność do racjonalnej oceny sytuacji - przerywam. - Rozumiesz?

Podnoszę wzrok znad swetrów, krawatów i sam już nie wiem czego i patrzę na Luisa. Na jego twarzy pojawia się uśmiech ulgi, którym wyraża radość z mojej odmiany, ale jego dobry nastrój wkrótce pryska: coś przychodzi mu do tego pe-dalskiego łba i zaczyna płakać. Spokojnie podchodzę do kolumny, za którą chcę się ukryć. Luis idzie za mną, bezczelnie łapie mnie za ramię i odwraca twarzą do siebie. Patrzę na niego, widzę jak zmaga się z rzeczywistością.

Mówię mu: - Odejdź. - Szłocha - O Boże, Patricku. dlaczego mnie nie lubisz? - i nagle rzuca się na podłogę u moich stóp, co nie jest zbyt fortunnym posunięciem.

- Wstawaj - bełkoczę. - W s t a w a j.

- Dlaczego nie możemy być razem? - łka, wałąc pięściami w podłogę.

- Ponieważ nie czuję... - rozglądam się szybko po sklepie, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje; Luis łapie mnie za kolana, odpycham jego rękę - do ciebie... pociągu - szepczę - dosyć głośno - i patrzę na niego. - Nie wierzę wła-siwym słowom - mruczę do siebie, w zasadzie do nikogo, a potem potrząsam głową pragnąc pozbyć się jakiejś myśli; wszystko jest tak zagmatwane, że nad niczym już nie panuję. - Zostaw mnie, daj mi spokój, proszę - odwracam się od Luisa i odchodzę.

Nie może tego zrobić, łapie mnie za podszewkę jedwabnego trencza od Armaniego i leżąc na podłodze wyje: - Proszę, Patricku, proszę nie zostawiaj mnie.

- Posłuchaj - przyklękam próbując podnieść go z podłogi. Wszystko na nic: Luis jęczy coś niezrozumiale i zaczyna wyć jak opętany, co zwraca uwagę pracownika ochrony sklepu. Ochroniarz stał przy wyjściu, a teraz idzie w naszą stronę.

- Spójrz, co narobiłeś - szepczę zrozpaczony. - Podnieś się. Wstawaj.

- Wszystko w porządku? - Ochroniarz - wielki czarny facet - patrzy na nas z góry.

- Tak, nic się nie stało - odpowiadam i patrzę wściekle na Luisa. - Wszystko jest w porządku.

- Nie-e-e-e-e - wyje Luis szlochając.

- Ależ tak - protestuję spoglądając na wartownika.

- Jest pan pewny? - pyta ochroniarz.

Uśmiecham się do niego jak zawodowiec i mówię: - Przyjaciół musi nieco ochłoniąć. Gdyby zechciał pan zostawić nas na minutkę. - Odwracam się do

Carruthersa. - No starczy już, Luisie. Wstań. Cały się obśliniłeś. - Odwracam się do wartownika i podnoszę dłoń kiwając głową. - Jedną minutkę, okay.

Murzyn patrzy niepewnie i wraca na swoje stanowisko.

Kłęcząc łapie Luisa za ramiona i mówię do niego spokojnym głosem, w zasadzie niskim szeptem, który ma brzmieć groźnie, tak jak głos, którym karci się nieposłuszne dziecko: - Posłuchaj mnie. Jeśli natychmiast nie przestaniesz ryczeć, ty żałosny, skurwiału pedale, to poderżnę ci to twoje pierdolone gardło. Słyszysz mnie? - Uderzam go lekko w twarz kilka razy. - Czy nic do ciebie nie trafia?

- Och, zabij mnie - wyje z zamkniętymi oczyma kiwając głową w tę i z powrotem, a potem znów coś bełkocze. Brzmi to mniej więcej tak: -Jeśli nie mogę cię mieć, to nie chcę żyć. Chcę umrzeć.

Czuję, że za chwilę wpadnę w szal, w samym środku domu towarowego Bar-neya. Łapie Luisa za kołnierz, gniotę go w garści, przyciągam jego twarz jak najbliżej siebie i szepczę cicho: - Posłuchaj mnie, Luisie. Słyszysz, co do ciebie mówię? Zazwyczaj nie ostrzegam swoich ofiar, Luisie. Więc bądź-mi-wdzięczny-za-to-że-cię-uprzedziłem.

Jego umiejętność racjonalnego rozumowania trafił szlag, kwiczy gardłowo, przechyla wstydliwie głowę i mówi tak cicho, że w ogóle go nie słyszę. Trzymam go za sztywne od żelu włosy - po zapachu poznaję Kaktus, nową markę - i szarpię go do góry szczerząc zęby. Pluję mu prosto w twarz: - Słuchaj, chcesz u m r z e ć? Załatwię ci to. Robiłem to już setki razy i wypruję ci b e b e c h y, rozetnę ci brzuch na pół i wepchnę te śmierdzące pedalskie flaki prosto do s k u r w i a ł e g o gardła, aż się nimi udusisz.

Nie słuchu mnie. Kłęczę ipatrxe na niego z niedowierzaniem

- Proszę, Patricku, proszę posłuchaj mnie. Wszystko przemyślałem. Rzucam pracę u P&P, ty też możesz to zrobić i... i... przeniesiemy się do Arizony, a potem...

- Zamknij się, Luisie - potrząsam nim. -Jezu Chryste, zamknij się. Wstaję i strzepuję pył z kolan. Wydaje mi się, że jego atak już minął i będę

mógł odejść, ale Luis łapie mnie za prawą kostkę i ciągnie się za mną przez sześć stóp, kiedy usiłuję wyjść ze sklepu. W końcu kopię go w twarz uśmiechając się przepraszaюще do jakiejś pary, która ogląda skarpetki. Luis patrzy na mnie ze zdziwieniem, a na jego lewym policzku pojawia się niewielki siniak. Para idzie dalej.

- K o c h a m cię - wyje rozpaczliwie. - Kocham.

-Jestem o tym święcie przekonany - odkrzykuję. - Przekonałeś mnie, Luisie. A teraz wstań.

Podchodzi do niego jakaś zaalarmowana krzykami sprzedawczyni i pomaga mu wstać.

Po kilku minutach Luis jest już spokojny i stoimy w głównym wejściu do Barneya. Trzyma w ręku chusteczkę i zaciska oczy. Na lewym policzku ma guza i nabierającego koloru siniaka. Opanował się.

- Miej choć tyle odwagi, uhm, żeby stanąć twarzą, w twarz z rzeczywistością

- mówię mu.

Spogląda udręczonym wzrokiem na obrotowe drzwi, za którymi pada ciepły deszcz. Wzdycha żałośnie i odwraca się do mnie. Patrzę na niekończące się rzędy krawatów, a potem na sufit.

ŚMIERĆ DZIECKA w Zoo

Mija szereg dni. Nocami sypiam w dwudziestominutowych interwałach. Straciłem poczucie celu, rzeczywistość przesłaniają ciężkie, ołowiane chmury. Moje mordercze instynkty raz są, raz ich nie ma, potem znów są i tak w kółko; podczas lunchu w Aleks Wybiera Się Na Obóz są prawie uśpione. Jem sałatkę z jagnięcych kiełbasek z homarem i białą fasolę z dodatkiem limony i octu o zapachu foie gras. Mam na sobie wytarte dżinsy, marynarkę od Armaniego i biały podkoszulek za sto czterdzieści dolarów od Comme de Garçons. Dzwonię i sprawdzani wiadomości w automacie. Oddaję kasety. Zatrzymuję się przy bankomacie. Zeszłej nocyjeanette zapytała mnie: - Patricku, dlaczego nosisz w portfelu żyletki?

- The Patty Winters Showdziś rano poświęcony był chłopcu, który zakochał się w kostce mydła.

Nie jestem w stanie zapanować nad swym publicznym wizerunkiem, dlatego pełen złych myśli przemierzam zoo w Central Parku. Wzdłuż siatki w okolicach bramy stoją sprzedawcy narkotyków. Nad powozami jeżdżącymi za ogrodzeniem unosi się zapach końskiego gówna dolatujący aż do zoo. Park, który otacza zoo, sam jest otoczony wierzchołkami drapaczy chmur, kamienicami na Piątej Alei, tnurynkami Trump Płaza i AT&T, co pogłębia aurę sztuczności. Czarny dozorca wycierający podłogę w męskiej toalecie prosi mnie o spuszczenie wody w pisuarze. - Sam to zrób, czarnuchu - mówię mu. Idzie na mnie, więc macham mu nożem przed oczami i zostawia mnie w spokoju. Wszystkie punkty informacyjne są zamknięte. Niewidomy żuje i zjada precla. Dwóch pijanych pedałów pociesza się na ławce. Obok matka karmi piersią niemowlę - widok ten wzbudza we mnie jakieś obrzydliwe pożądanie.

Zoo wydaje się puste i pozbawione życia. Białe niedźwiedzie są brudne i chyba naćpane. Przygnębiony krokodyl pływa w oleistej cieczy wypełniającej jego phtki staw. Maskonury rzucają smutne spojrzenia ze szklanych klatek. Tukany

mają dzioby ostre jak brzytwy. Głupie foki rzucają się ze skał do wzburzonej czarnej wody i szczekają jak oszalałe. Dozorcy rzucają im zdechłe ryby. Wokół basenu zbiera się tłum - głównie dorosłych; kilkorgu towarzyszą dzieci. Obok basenu dla fok wisi ostrzegawczy napis: MONETY ZABIJAJĄ ZWIERZĘTA -PO POŁKNIĘCIU MONETY ZWIERZĘ NIE MOŻE JEJ WYDALIĆ, CO GROZI WRZODAMI ŻOŁĄDKA, INFEKCJĄ I ŚMIERCIĄ. UPRASZA SIĘ O NIEWRZUCANIE MONET DO BASENU. I co mam zrobić? Wrzucam do stawu całą garść monet, gdy dozorca odwrócenie się w drugą stronę. To nieprawda, że nienawidzę fok - denerwuje mnie jedynie radość, jaką wzbudzają wśród gawiedzi. Śnieżna sowa ma oczy takie, jak moje - szczególnie wtedy, gdy je otworzy. Stoję i przyglądam się jej opuszczając okulary przeciwsłoneczne i nagle między mną a ptakiem zachodzi coś niewypowiedziane dziwnego: czuję jakieś niesamowite napięcie, niezrozumiały przymus, który każe mi coś zrobić - coś, co zaczyna się, dzieje i kończy bardzo szybko.

W ciemnościach panujących na wybiegu pingwinów - który administracja zoo nazwała pretensjonalnie Krawędzią Góry Lodowej - jest chłodno, inaczej niż na dworze, gdzie gorące powietrze przesiąknięte jest wilgocią. Pingwiny pływają leniwie w basenie tuż za szklanymi ścianami, prey których gromadzi się tłum ciekawskich. Pingwiny na skałach wyglądają na oszołomione, zestresowane, zmęczone i znudzone. Ich głównym zajęciem jest przeciąganie się i - od czasu do czasu - ziewanie. Z głośników wiszących wzdłuż ścian wydobywają się maksymalnie wzmocnione (ze względu na hałas czyniony przez zwiedzających) skrzeki i piski pingwinów puszczane z kasety. Ptaki są według mnie całkiem miłe. Widzę jednego, który przypomina Craiga McDermotta.

Jakieś dziecko - niespełna pięcioletnie - kończy jeść batonik. Matka poleca mu wyrzucić opakowanie do kosza, a potem odwraca się do kobiety, z którą rozmawiała wcześniej. Ta druga ma ze sobą dziecko mniej więcej w tym samym wieku i cała trójka wpatruje się w brudny błękit wybiegu. Chłopiec idzie do pojemnika na śmieci ustawionego w ciemnym kącie z tyłu sali. Czekam na niego skulony. Dziecko wspina się na palce i ostrożnie wrzuca opakowanie do śmieci. Odzywam się cichutkim szeptem. Chłopczyk patrzy na mnie i zamiera w bezruchu. Jest przestraszony i po dziecinnemu zafascynowany. Zwiedzający są bardzo daleko. Przyglądamy się sobie nawzajem.

- Chcesz... ciasteczko? - pytam sięgając do kieszeni.

Kiwa małą główką w górę i w dół, powoli, z namysłem, chce otworzyć buzię, ale nie pozwala mu na to mój brak rozwagi spiętrzając-' się w gwałtowny atak furii: wyciągam z kieszeni nóż i błyskawicznie zadaję mu cios w szyję.

Cofa się przerażony i wpada na śmietnik bulgocząc jak niemowlę. Nie może krzyczeć, ani płakać, a to za sprawą krwi, która nyska z rany na szyi. Chciałbym popatrzeć jak umiera, ale muszę się spieszyć i wpycham go za śmietnik, a potem

-jak gdyby nigdy nic - wtapiam się w tłum, dotykam ramienia ładnej dziewczyny, uśmiecham się i pokazuję pingwina, który przygotowuje się do skoku. Gdyby ktoś przyjrzał się teraz uważnie tylnej części pomieszczenia, dostrzegłby stopki dziecka kopiące podłogę za pojemnikiem na śmieci. Rzucam okiem na matkę chłopca, która nagle zauważyła brak dziecka i zaczyna szukać synka wzrokiem. Po raz drugi dotykam ramienia dziewczyny, która uśmiecha się do mnie i przepraszająco wzrusza ramionami - nie wiem dlaczego.

Matka znajduje zagubione dziecko: nie krzyczy, bo widzi tylko jego stopy i zakłada, że chłopczyk bawi się z nią w chowanego. Oddycha z ulgą i idzie do pojemnika na śmieci ćwierkając po drodze:

- Bawisz się z mamusią w chowanego, mój mały? - Mój punkt obserwacyjny - obok ładnej dziewczyny, która, jak się okazuje, jest zagraniczną turystką - umożliwia mi obejrzenie jedyne w swoim rodzaju momentu: gdy wyraz twarzy matki wykrzywia przerażenie, gdy zarzucając torbę na ramię odsuwa śmietnik i znajduje za nim dziecko pokryte jasno-czerwoną krwią. Chłopczyk z trudem otwiera oczy, matka dotyka gardła dziecka, przesuwając ręką po drgających nóżkach. Odgłos, który usłyszeliśmy, jest nie do opisania. Histeryczny pisk w najwyższych rejestrach opadający do krzyku.

Kobieta rzuca się na ziemię obok ciała, parę osób odwraca się, a ja stwierdzam, że przed chwilą powiedziałem pełnym napięcia głosem: - Jestem lekarzem, proszę się odsunąć, jestem lekarzem - Klękam obok matki. Tłum gapiów otacza nas ciasnym kręgiem. Zdejmuję z dziecka ręce matki. Chłopczyk leży na plecach bezsilnie walcząc o oddech, krew płynie miarowymi strumieniami, zalewa mokrą koszulkę Polo. Niejasno zdaję sobie sprawę - podtrzymując z należytym szacunkiem (lecz tak, by się nie pobrudzić) głowę chłopczyka - że gdyby ktoś zadzwonił teraz po pogotowie lub pojawił się prawdziwy doktor, dziecko miałoby duże szanse na przeżycie. Nic takiego się nie dzieje. Podtrzymuję dłonią bezsensownie stracone życie, a matka - całkiem przystojna kobieta o nieco se-mickim typie urody, z lekką nadwagą, ubrana w żalostną imitację markowych džinsów i krótki czarny, wełniany sweter w liściasty wzór - krzyczy z r ó b coś, z r ó b c o ś, z r ó b c o ś; jesteśmy we dwoje oddaleni od otaczającego nas chaosu, od wrzeszczących ludzi; koncentrujemy się na umierającym dziecku.

Początkowo mój czyn sprawił mi dużą satysfakcję, teraz jednak czuję głęboką rozpacz widząc, jak bezsensowne, jak wyjątkowo bezbolesne jest odebranie życia dziecku. Ta rzecz u moich kolan - maleńka, powykrecana i pokrwawiona -nie ma żadnej historii, żadnej istotnej przeszłości, niczego, co warto byłoby stracić. O ileż potworniejsze (a przez to satysfakcjonujące) jest zabicie kogoś w kwiecie weku, w rozkwicie jego osobistej historii; kogoś, kto ma żonę lub męża, wielu przyjaciół, ciekawą pracę; człowieka, którego śmierć poruszy masę ludzi - w każdym razie więcej niż śmierć jakiegoś tam dziecka - i być może zrukuje życie innym. Nieistotna, wręcz absurdalnie śmieszna zagłada chłopca nie może się z tym

równać. Ogarnia mnie przerażające pragnienie, żeby zasztyletować rozhisteryzo-waną matkę dziecka, ale jedyne co mogę zrobić, to dać jej parę razy mocno w twarz i powiedzieć, że ma się uspokoić. Nikt mi nie przeszkadza, nikt nie patrzy na mnie z odrazą. Podświadomie czuję, że w sali robi się jaśniej, otwierane są drzwi, przybiega obsługa i administracja zoo, strażnik, ktoś - jeden z turystów? -robi zdjęcia, pingwiny szaleją ze strachu w basenie za naszymi plecami: walą w panice głowami o szklane ściany. Odpycha mnie jakiś gliniarz, choć mówię mu, że jestem lekarzem. Ktoś wynosi chłopczyka na zewnątrz, kładzie na ziemi i zdejmuje koszulkę. Dziecko dusi się i umiera. Matkę trzyma dwóch ludzi.

Czuję wewnętrzną pustkę, myślami błędę gdzie indziej, nawet przyjazd policji nie wydaje mi się wystarczającym powodem do odejścia. Stoję w tłumie przed wybiegiem dla pingwinów, wokół

mnie są dziesiątki ludzi; staję się jednym z nich, co trwa dosyć długo; potem odchodzę, stwierdzam, że jestem na Piątej Alei i nie bez zdziwienia zauważam, że marynarka jest prawie czysta, widać na niej tylko niewielkie plamki krwi. Wchodzę do księgarni i kupuję książkę, a potem zatrzymuję się przy sprzedawcy lodów na rogu Pięćdziesiątej Szóstej i każę sobie podać rożek kokosowych myśląc jednocześnie o dziurze na Słońcu; z jakiegoś powodu wyobraźnia pomaga mi złagodzić napięcie, które odczuwałem od spotkania ze śnieżną sową; napięcie wprost nieznosne w chwili, w której wyciągano chłopca z wybiegu dla pingwinów, a ja odchodziłem z rękoma unurzanymi we krwi i nikt mnie nie zatrzymał.

DZIEWCZYNY

Od miesiąca albo i dłużej bywam w biurze - mówiąc ogólnie - nader rzadko. Jedyne, na co mam ochotę to treningi - polegające głównie na podnoszeniu ciężarów - i załatwianie rezerwacji w nowych restauracjach (w których już byłem) po to, żeby je odwołać. W mieszkaniu śmierdzi zgniłymi owocami, choć tak naprawdę zapach jest pochodną substancji, którą udało mi się wyskrobać z głowy Christie i przelać do szklanego półmiska od Marca, który stoi na półce niedaleko wejścia. Pusta w środku głowa z resztkami mózgu i wylupanymi oczyma, leży w rogu salonu pod fortepianem: mam zamiar zrobić z niej lampion na Halloween -oszczędzę na dyni. Z powodu panującego u mnie zaduchu, umówiłem się na małą randkę dziś wieczorem w apartamencie Paula Owena. Kazałem sprawdzić, czy jego mieszkanie jest na podsłuchu i ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu okazało się, że nie. Ktoś - z kim porozumiewam się p.-zez adwokata - poinformował mnie, że prywatny detektyw Donald Kimball dowiedział się, że Owen r z e c z y w iście bawi w Londynie: widziano go dwukrotnie w holu hotelu Clardige, potem u krawca przy Savile Row i w modnej restauracji w Chelsea. Przed dwoma dniami Kimball wyjechał do Anglii, co oznacza, że nikt nie obserwuje mieszkania Paula. Klucze, które mu ukradłem, przydają się: w przerwie na lunch znoszę do Owena narzędzia (wiertarkę, butelkę kwasu, pistolet do wstrzeliwania gwoździ, noże, zapalniczkę Bić). Wynająłem dwie dziewczyny ze znanej, choć cieszącej się złą sławą prywatnej agencji towarzyskiej. Nigdy nie korzystałem z jej usług i podałem numer złotej karty American Express Owena - wiem na pewno, że nikt nie kazał śledzić wypływu gotówki z AmExa (chyba dlatego, że wszystkim wydaje się, że korzysta z niego w Londynie); platynowy Am Ex Paula jest natomiast pod ścisłą kontrolą. Dzisiejszy The Patty IVintem Showbył poświęcony -

0 ironio! - poradom kosmetycznym, z których korzysta Lady Di.

Północ. Rozmowa, jaką prowadzę z dziewczynami - obie są bardzo młodymi laskojadami o blond włosach i dużych cycach - jest z konieczności krótka

1 zdawkowa: mam spore problemy z utrzymaniem w ryzach mego niespokojnego ducha.

- Pan mieszka w pałacu, proszę pana - mówi dziecinnym głosikiem jedna z dziewczyn, Toni, podziwiając absurdalnie wymalowane mieszkanie Owena. -To najprawdziwszy pałac.

Patrzę na nią z wściekłością. - Tu wcale nie jest ładnie.

Nalewając drinki w dobrze zaopatrzonym barze Paula wspominam, że pracuję na Wall Street u Pierce'a & Pierce'a. Żadna z dziewczyn nie wydaje się zainteresowana i mam wrażenie, że słyszę głos - chyba jednej z nich - który pyta, czy P&P to sklep z obuwem. Tiffany przegląda egzemplarz GQ sprzed trzech miesięcy. Siedzi na czarnej skórzanej sofie pod boazerią ze sztucznej wołowej skóry. Wygląda na zmieszaną, jakby czegoś nie rozumiała. Myślę sobie: Módl się, dziwko, złóż ręce do Boga - i przyznaję w duchu, że bardzo podnieca mnie zmuszanie dziewczyn do upodlenia się na moich oczach za sumę, o której nie warto nawet wspominać. Nalewając drugiego drinka mówię, że studiowałem w Harvar-dzie, po czym pytam: - Słyszaliście kiedyś tę nazwę?

Jestem zdruzgotani,' słysząc odpowiedź Toni: - Mój znajomy z pracy mówił, że też tam studiował. - Wzrusza głupkowato ramionami.

- Klient'? - pytam zaintrygowany.

- No wiesz... - zaczyna nerwowo. - Powiedzmy, że po prostu znajomy z pracy.

- To znaczy alfons? - nalegam czując, że dzieje się coś niesamowitego.

- Nie... - zaczyna się -...mówiłam, że znajomy z pracy... - Upija łyk z kieliszka. - M ó w i ł, że studiował na Harvardzie, ale... ja mu nie wierzyłam. - zerka na Tiffany, a potem na mnie. Nasze

aprobujące milczenie skłaniają do kontynuowania wątku: otwiera usta i mówi zacinając się bez przerwy: - Miał taką, no, małpę. I kazał mi pilnować jej... w domu... - przetyka i opowiada dalej jednostajnym głosem: - Chciałam przez cały dzień oglądać telewizję, bo nie było nic innego do roboty, jak facet wyszedł do miasta... Od czasu do czasu... no... rzucałam okiem na małpę. Ale z nią było... coś nie tak... - przerywa i bierze głęboki oddech -...bo bez przerwy chciała oglądać... - znowu przerywa i zamyślona rozgląda się po pokoju jakby nie była pewna, czy może nam opowiedzieć tę historię, jakby wątpiła, czy może nam - mnie i tej drugiej dziwce - zaufać. Czekam na coś szokującego i gorszącego zarazem, wydaje mi się, że za chwile usłyszę, niesamowitą rewelację, po której nic nie będzie już takie jak kiedyś i... - Bez przerwy chciała oglądać... - wzdycha i kończy szybko - Oprah Winfrey Showi nic innego. Facet miał tysiące kaset z tym programem specjalnie dla małpy... - spogląda na mnie badawczo, jakby straciła rozum - tutaj, w mieszkaniu Owena - i chciała, co? Żeby potwierdził jej absurdalną historię? -...i wykasował wszystkie reklamy, też dla niej... Raz chciałam zmienić program, wyłączyć kasetę... chciałam obejrzeć jakiś serial czy coś..., ale... - dopija drinka i przewraca oczami wyraźnie zaniepokojona opowieścią, którą mimo to kończy bohatersko: -...ale małpa zaczęła na mnie w... w... wrzeszczeć i uspokoiła się dopiero jak włączyłam jej Oprali. - Przetyka, chrząka i wygląda tak, jakby miała się rozplakać, choć na szczęście tego nie robi. - I wiesz co, jak później chciałam zmienić kanał to ta cholerna małpa mało mnie nie podrapała - kończy z ciężkim westchnieniem i obejmuje się rękoma; musi się ogrzać, drży na całym ciele.

Milczenie. Arktyczna, lodowata, martwa cisza. Pali się nad nami chłodne, elektryczne światło. Stoję w mieszkaniu Owena i patrzę na Toni, a potem na tę drugą, Tiffany, która wygląda jakby miała mdłości.

Wreszcie mówię coś, potykając się na każdym słowie: - Nic... mnie... nie... obchodzi... czy... wasze... życie... było... godne... czy... nie...

Dalej jest seks: pornograficzny montaż - z tych najbardziej wyuzdanych. Golę cipę Toni. Leży na plecach na łóżku Paula i rozszerza nogi, kiedy wsadzam jej palce i oblizuję je; potem wsuwam jej język w odbyt. Tiffany ssie mi chuja: ma gorący, wilgotny język, którym obraca po żółędzi, co doprowadza mnie do pasji; wyzywam ją od dziwek i złośliwych kurew. Pierdoląc jedną z nich w kondomie (druga ssie i liże moje jaja) przyglądam się wiszącej nad łóżkiem grafice od Ange-lisa - malowanej na jedwabiu - i wyobrażam sobie kałużę krwi, gejzery tryskającej posoki. Czasami w pokoju robi się bardzo cicho, a jedynym dźwiękiem jest wilgotne mlaskanie chuja chowającego się w pochwie jednej z dziewczyn. Tiffany i ja liżemy na zmianę bezwłosą pizdę Toni; potem dupę. Dziewczyny mają razem orgazm (przynajmniej razem wrzeszczą) w pozycji sześćdziesiąt dziewięć. Wkrótce mają znów wilgotne pizdy i dają im wibrator do zabawy. Toni rozkłada nogi i masuje sobie łechtaczkę, a Tiffany jebie ją wielkim, pokrytym wazeliną penisem. Toni każe Tiffany walić się mocniej: dyszy, krzyczy i ma kolejny orgazm.

Znów każe im lizać się po cipach, ale przestaje mnie to podniecać - myślę tylko o krwi, zastanawiam się, jaki będzie miała kolor. Toni zna się na tej robocie, wie jak robić minetę, ale nic mi z tego nie przychodzi, więc odpycham ją znad pizdy Tiffany i sam zaczynam lizać i gryźć różowe, miękkie, mokre wnętrza, a Torri rozkłada pośladki i siada na twarzy Tiffany głaszcząc się po łechtaczce. Toni chciwie wsadza język w otwartą cipę - lśniąca i mokra od śluzu - a Tiffany pochyla się i ugniata wielkie, twarde cycki partnerki. Gryzę, zaciskam zęby na piździe Tiffany. Dziewczyna tężeje. - Odpręż się - rzucam uspokajająco. Zaczyna się więc, chce uciec i w końcu krzyczy, gdy rozrywam jej ciało. Toni myśli, że Tiffany ma orgazm i wpycha się mocniej w usta Tiffany dławiąc jej wrzaski. Podnoszę głowę, mam czerwoną twarz, z ust zwisa mi mięso i włosy łonowe, na materac leje się krew z rozgryzionej pizdy. Torri patrzy na mnie z przerażeniem. Oślepiam je gazem łzawiącym i pozbawiam przytomności kolbą pistoletu do wstrzeliwania gwoździ.

Gdy Torri odzyskuje świadomość, jest już związana i leży na plecach zwisając z łóżka. Ma zakrwawioną twarz, bo obciąłem jej wargi nożyczkami do paznokci. Po drugiej stronie łóżka leży Tiffany związana sześcioma parami szelek Paula. Jęczy ze strachu. Potworna rzeczywistość

odebrała jej całkowicie rozum. Tężeje w bezruchu. Chcę, żeby widziała, co zrobię z Toni, sadzam ją w taki sposób, że nie ma wyboru, musi patrzeć. Jak zwykle próbuję zrozumieć, co kieruje takimi jak one, dlatego filmuję ich śmierć. Używam ultra-miniaturowej kamery Minox LX z filmem 9,5 mm i obiektywem 1.5 mm f/8,,5, oraz licznikiem wykorzystanej taśmy i wbudowanym filtrem gęstości naturalnej. Kamera stoi na statywie. Do przenośnego odtwarzacza kompaktowego leżącego obok łóżka włożyłem płytę Traveling Wilburys. Muzyka zagłusza wszystkie krzyki.

Zaczynam od obdarcia Torri ze skóry: nożem do krojenia steków robię małe nacięcia i zrywam kawałki ciała z nóg i brzucha. Dziewczyna wyje, na próżno błaga o litość wysokim, cienkim głosem. Mam nadzieję, że jest w stanie docenić, że kara jaka ją spotyka jest niczym w porównaniu z tym, co zaplanowałem dla drugiej dziewczyny. Oślepiam Torri gazem, próbuję obciąć jej palce nożyczkami do paznokci, wreszcie polewam jej kwasem brzuch i genitalia. Torri nie chce umrzeć, więc muszę zadać jej kilka ciosów nożem w gardło. Ostrze łamie się w szyi trafiając w któryś z kręgów. Chcąc nie chcąc muszę zrobić przerwę. Gdy wracam, Tiffany dowiaduje się jak można odpikrwać ludzką głowę. Strumienie krwi tryskają na ściany, nawet na sufit. Unoszę głowę w rękę jak trofeum. Drugą rękę kładę na chuja - purpurowego z podniecenia. Opuszczam głowę Torri, wpycham się w jej zakrwawione usta i zaczynam pierdolić aż do eksplozji orgazmu. Po wytrysku jestem tak twardy, że mogę chodzić po zalanym krwią pokoju nosząc głowę - ciepłą w środku i lekką jak piórko - na chuju. Przez chwilę jest to nawet zabawne, muszę jednak odpocząć. Zdejmuję głowę z członka i chowam ją

do tekowo-dębowej komody, po czym rzucam się na krzesło. Jestem nagi, pokryty krwią i oglądam HBO pijąc Coronę. Klnę na świętej pamięci właściciela telewizora. Za to, że nie kazał zainstalować kabla Cinemaxu - sieci nadającej najlepsze filmy.

Później - to znaczy teraz - mówię do Tiffany: - Pozwolę ci odejść, ciiii... -i delikatnie głaszczę ją po policzku śliskim od łez i gazu. Jej pełne nadziei spojrzenie piecze mnie żywym ogniem; wszystko się kończy, gdy dostrzega w mojej dłoni zapaloną zapalniczkę wyjętą z pudełka, które ukradłem w barze Palio, gdzie w ostatni piątek piłem drinki z Robertem Farrellem i Robertem Prechterem. Przykładam jej zapalniczkę do oczu, które instynktownie zamyka, opalam rzęsy i brwi, potem wyjmuję zapalniczkę Bić i przystawiam ją do gałek ocznych. Powieki otwieram palcami. Parzę się w kciuk i mały palec; źrenice pękają zgodnie z planem. Jest jeszcze przytomna, gdy przewracam ją na brzuch i rozkładam pośladki. Przy pomocy pistoletu do wstrzeliwania gwoździ przybijam jej do odbytu wibrator, który wcześniej przymocowałem do kawałka deski. Odwracam ją na plecy - jest już bardzo osłabiona - i odcinam jej wargi oraz ciało wokół ust. Biorę do ręki wiertarkę z potężną, masywną głowicą i poszerzam jej dziurę między zębami. Tiffany szarpie się. Gdy stwierdzam, że średnica dziury jest taka, o jaką mi chodzi - usta dziewczyny nie 'mogą się zamknąć, a za nimi otwiera się czerwono-czarny tunel wypełniony poszarpanym językiem i zgniecionymi zębami - wkładam jej rękę do gardła aż po nadgarstek. Głowa Tiffany trzęsie się bezwolnie. Nie może mnie ugryźć, bo wiertło wyrwało jej wszystkie zęby z dziąseł. Pod palcami czuję żyły poukładane jak rury, rozdzielam je delikatnie i chwytam mocno całą wiązkę, wrywam je gwałtownie przez otwarte gardło i usta, ciągnę; szyja znika nagle, zapada się, choć skóra ciągle jest napięta. Widzę małe zewnętrzne pęknięcia w okolicy tchawicy i nigdzie ani śladu krwi. Większość naczyń szyjnych, w tym tętnica, zwisa z ust Tiffany, której ciało zaczyna drgać spazmatycznie jak karaluch leżący na plecach. Wije się i trzęsie, a jej pęknięte oczy wypływają na wierzch mieszając się ze łzami i skropionym gazem. Nie chcę tracić czasu, gaszę szybko światło i w ciemnościach - zanim zdąży umrzeć - rozrywam jej gołymi rękami brzuch. Nie wiem co dzieje się z moimi dłońmi, słyszę tylko jakieś wilgotne odgłosy, a w palcach mam coś mokrego i gorącego.

A później? Żadnego strachu, żadnego wstydu, nic. Nie mogę zostać dłużej u Owena - jest tyle rzeczy, które muszę dzisiaj załatwić: oddać kasety, iść na trening, obejrzeć nowy angielski musical na Broadwayu (obiecałem Jeanette, że zabiorę ją ze sobą), zdobyć rezerwację gdzieś tam. Oba ciała są już we wczesnym rigor mortis. Część trupa Tiffany - wydaje mi się, że to ona, chociaż trudno je teraz rozróżnić - zapadła się w okolicy klatki piersiowej: widać wystające żebra, w większości połamane, które przekłuły to co zostało z żołądka i obu - spłaszczonych teraz - piersi. Na ścianie wisi przybita gwoździami głowa, wszędzie wala-

ją się rozrzucone palce, z których część leży ułożona w okrąg wokół odtwarzacza płyt kompaktowych. Jedno z ciał - to, które leży na podłodze - pokryte jest kałem (moim), widnieją na nim głębokie ślady po ugryzieniach: dzikich i na oślep. Zanurzam rękę w brzuchu jednego z ciał i piszę krwią nad boazerią ze sztucznej wołowej skóry WRÓCIŁEM. Pod rozmazanymi, ociekającymi posoką literami maluję przerażający rysunek, który wygląda tak

SZCZUR

W połowie października dostarczono mi następujące sprzęty:

Tuner ze wzmacniaczem marki Pioneer model VSX-9300S ze zintegrowanym procesem dźwięku Dolby Prologic Surround opóźnianym cyfrowo i wielofunkcyjnym pilotem na podczerwień sterującym 154 zaprogramowanymi funkcjami innych pilotów. Wzmacniacz generuje 125 watów mocy z przodu kolumny i 30 watów z tyłu.

Analogowy odtwarzacz kasetowy Akai model GX-950B z ręcznie sterowanym poziomem nagrywania wspomaganym przez kontrolę poziomu Dolby, z wbudowanym generatorem dźwięku oraz systemem montażowym i kasującym pozwalającym na oznaczenie początku i końca wybranych fragmentów muzycznych, które następnie kasuje się jednym przyciśnięciem klawisza. Dek ma trzy głowice stożkowe zamknięte w zatrzaskowej komorze kasetowej, co minimalizuje wpływ zakłóceń zewnętrznych. Filtry redukujące szumy wzmocnione są systemem Dolby HX-Pro, a całość można obsługiwać za pomocą pilota.

Wielodyskowy odtwarzacz kompaktowy marki Sony model MDP-700 obsługujący zapisy audio i wideo od nagrań na trzycalowych cyfrowych dyskach audio do dwunastocalowych dysków wideo. Odtwarzacz wyposażony jest w laser odpowiedzialny za funkcję zatrzymywania obrazu, zwalniania obrazu, oraz w wie-loszybkościowe funkcje audio z czterokrotnym oversamplingiem i podwójnym systemem napędowym, który zapewnia stałą szybkość wirowania dysku. System ochrony dysku pomaga przeciwdziałać zakłóceniom elektronicznym powodującym błędy odczytu. Automatyczny system sensorów umożliwia wybór dziewięćdziesięciu dziewięciu nagrań, natomiast system automatycznego skanowania pozwala na przegląd siedemdziesięciu dziewięciu segmentów dysku wideo. Do tego dołączony jest dziesięcioklawiszowy pilot (z dodatkową funkcją skanowania Watka po klatce) i pamięć. Dwa zestawy pozłacanych wtyków A-V zapobiegają wszelkim usterkom na łączach.

Odtwarzacz kasetowy NEC model DX-.500, który ze względu na swój pół-profesjonalny charakter łączy cyfrowe efekty specjalne z wysmienitą jakością hi-fi. Odtwarzacz wyposażony jest w zestaw czterech połączonych ze sobą głowic VHS-HQ, umożliwiających zaprogramowanie ośmiu nagrań z dwudziestojedno-dniowym wyprzedzeniem, dekodery MTS i 140 kanałów telewizji kablowej. Dodatkowo: pięćdziesięciofunkcyjny /integrowany pilot, przy pomocy którego mogę kasować reklamy.

Kamcorder Sony model CCD-V200 - ośmiomilimetrowy kamero-odtwarzacz z kasowaniem pasma w siedmiu kolorach, generatorem znaków, funkcjami montażowymi, takimi jak na przykład zdjęcia poklatkowe umożliwiające, powiedzmy, sfilmowanie rozkładającego się ciała w pięciastosekundowych interwałach lub, powiedzmy, otrutego pieska w konwulsjach. System audio wyposażony jest w cyfrową funkcję nagrywania na żywo lub podkładania dźwięku. Obiektyw z zoomem ma minimum czytelności w oświetleniu o sile czterech luksów i sześć różnych prędkości migawek.

Nowy monitor telewizyjny z dwudziestosiedmiocalowym ekranem Toshiba model CX-2788 z wbudowanym dekodery MTS, filtrem CCS, programowanym skanowaniem kanałów, wyjściem VHS o dużej jakości, mocą siedmiu watów na kanał i dziesięcioma dodatkowymi watami superniskoczęstotliwych bumbum i systemem dźwiękowym Carver Sonic Holographing, który generuje trójwymiarowe efekty stereofoniczne.

Odtwarzacz kompaktowy marki Pioneer model LD-ST z pilotem i wielodyskowy odtwarzacz Sony MDP-700 z efektami cyfrowymi i uniwersalnym zdalnym programowaniem (do sypialni i do salonu), który działa ze wszystkimi rodzajami i rozmiarami dysków audio i wideo - ośmiocalowymi i dwunastocalowymi dyskami laserowymi, pięciocalowymi kompaktowymi dyskami wideo i trzycalowymi i pięciocalowymi płytami kompaktowymi - całość rozmieszczona w

dwóch automatycznie ładowanych szufladach. LD-W1 firmy Pioneer odtwarza dwa pełno wymiarowe dyski po obydwu stronach na przemian, a przerwa podczas zmiany wynosi jedynie kilka sekund, co powoduje, że nie trzeba samemu przekładać płyt. Dźwięk jest cyfrowy, pilot na podczerwień, a pamięć daje się programować. Wielodyskowy odtwarzacz Yamaha CDV-1600 przyjmuje dyski wszystkich formatów i ma pamięć dowolnego dostępu do piętnastu segmentów i pilota na podczerwień.

Przynoszą mi także parę monoblokowych wzmacniaczy Threshold, które kosztują prawie 15 000. Do sypialni kredens z białego dębu, w który wstawię jeden z nowych telewizorów, jak tylko dostarczą mi je w poniedziałek. Sofę wyściełaną bawełną z ramą w osiemnastowiecznym włoskim brzoście i marmurowe po piersie na współcześnie malowanym drewnianym piedestale - dostawa w czwartek. Także w czwartek przywożę.... nowy zagłówek do łóżka (bawełna z beżową mosiężną lamówką). W środę pojawia się nowa grafika Franka Stelli do łazienki oraz nowe zamszowe fotele Superdeluxe. Sprzedaję starego Onikę i wymieniam go na nowego: olbrzymi portret korektora graficznego w barwach chromu i pastel.

Rozmawiam z dostawcami ze sklepu ze sprzętem grającym na Park Avenue

O nowym HDTV, który jest jeszcze niedostępny na rynku, gdy dzwoni jeden z nowych, czarnych, bezprzewodowych telefonów AT&T. Rozdaję napiwki, a potem odbieram telefon. Dzwoni mój adwokat, Ronald. Słucham go kiwając głową

I jednocześnie wyprowadzam dostawców z mieszkania. Mówię: - Rachunek wynosi trzysta dolarów, Ronald. Wypiliśmy tylko kawę. - Pauza, podczas której z łazienki dochodzi jakieś dziwne szuranie. Podchodzę ostrożnie do drzwi, z telefonem w dłoni i mówię do Ronalda: - Ależ tak... Zaczekaj... Ależ mam... Przecież wypiliśmy tylko espresso. - Zaglądam do łazienki.

Na kłapie sedesowej siedzi wielki, wyprostowany, mokry szczur, który - jak przypuszczam - wyszedł z muszli klozetowej. Siedzi na samej krawędzi, otrząsa się z wody, a potem zeskakuje ostrożnie na podłogę. Gryzoń jest rzeczywiście spory, ślizga się i gramoli niezdarnie po kafelkach, idzie w stronę drugiego wyjścia prowadzącego do kuchni. Siedzę go do opakowania po pizzy z Le Madri, które z jakiegoś powodu leży na podłodze na wczorajszym egzemplarzu New York Timesa, obok kosza na śmieci od Żony. Szczur - skuszony zapachem - bierze pudełko do pyska i z wściekłością potrząsa głową, zupełnie jak pies, próbując dobrać się do resztek porowo-trufkowej pizzy z kozim serem; popiskuje przy tym z głodu. Jestem po kilku halcionach i w tej chwili szczur nie robi na mnie takiego wrażenia, jak - chyba - powinien.

Żeby go złapać kupuję w sklepie z narzędziami w okolicach Amsterdam, pułapkę na myszy olbrzymich rozmiarów,. Postanawiam też przenieść się na noc do apartamentu mojej rodziny w hotelu Carlyle. Jedyny ser, jaki mam w domu, to kawałek Brie z lodówki. Przed wyjściem kładę delikatnie cały ser - szczur jest naprawdę duży - wraz z suszonymi na słońcu pomidorami i odrobiną kopru na pułapce, którą następnie naciągam. Gdy nazajutrz wracam do domu, szczur jeszcze żyje, co zawdzięcza swoim rozmiarom. Leży przytrzaśnięty w pułapce i piszczy, wali wokół siebie potwornym, przezroczysto-różowym ogonem, długim jak ołówek, choć ze dwa razy grubszym. Każde uderzenie ogona o dębową podłogę rozbrzmiewa w całym mieszkaniu jak głuchy płask. Używając zmiotki do śmieci - której szukam kurwa mać przez g o d z i n ę - łapię szczura, który wcześniej uwalnia się z pułapki. Podnoszę go: zwierzę wpada w panikę, piszczy coraz głośniejszy, syczy na mnie, obnaża ostre, żółte szczurze kły; wrzucam go do pudła na kapelusze od Bergdorfa Goodmana. Rozrywa je jednak z łatwością i muszę wsadzić szczura wraz z pudłem do zlewu. Przykrywam go deską do mięsa, na którą kładę kilka ciężkich nie używanych książek kucharskich, lecz nawet tak zabezpieczony wymyka mi się niemal, gdy siedzę w kuchni rozmyślając nad sposobami

torturowania dziewczyn przy pomocy tego zwierzęcia (jak było do przewidzenia, mam całą masę pomysłów). Oprócz zabaw ze szczurem, przychodzi mi do głowy rozcinanie obu piersi i nicowanie ich na drugą stronę oraz okracanie głów drutem kolczastym.

KOLEJNY WIECZÓR

McDermott i ja mamy dziś zjeść obiad w 1.500. Craig dzwoni do mnie koło szóstej trzydziestu, dokładnie czterdzieści minut przed umówionym spotkaniem (nie udało mu się załatwić rezerwacji

w żadnym innym terminie - miał do wyboru szóstą, dziesiątą lub dziewiątą, która zresztą i tak nie mogła wchodzić w rachubę, bo 1,500, jako restauracja serwująca kuchnię kalifornijską, stosuje się do przepisów macierzystego stanu i zamyka podwoje o dwudziestej pierwszej). Jestem właśnie w połowie czyszczenia zębów niemi dentystycznymi i wszystkie moje telefony bezprzewodowe leżą obok umywalki w łazience. Po drugim sygnale domyślam się, który z nich dzwoni i podnoszę słuchawkę. Tymczasem ubrany jestem w czarne spodnie od Armaniego, białą koszulę od Armaniego i czerwono-czarny krawat także od Armaniego. McDermott informuje mnie, że Hamlin chce nam towarzyszyć podczas obiadu. Jestem głodny. Milczę.

- No więc? - pytam w końcu i poprawiam krawat. - W porządku.

- No tak - wzdycha McDermott. - Tylko, że Hamlin nie chce iść do 1500.

- Dlaczego? - Zakręcam kran.

- Był tam w c z o r a j.

- Rozumiem, mój drogi McDermocie, że chcesz mi w związku z tym coś zaproponować?

- To prawda. Musimy iść gdzie indziej.

- Gdzie? - pytam ostrożnie.

- Hamlin zaproponował Aleks Wybiera Się Na Obóz.

- Zaczekaj. Muszę wypłukać usta Plaxem. - Dokładnie płuczę jamę ustną roztworem antyosadowym i sprawdzam ułożenie włosów w lustrze. Wypłuwam Plaxa. - Sprzeciw. Nie zgadzam się. Byłem tam w z e s z ł y m tygodniu.

- W i e m. Ja też tam byłem - mówi McDermott. - Poza tym to tandeta. Co proponujesz?

- Czy to znaczy, że Hamlin nie ma, kurwa, nic w rezerwie? - warczę poirytowany.

- Eee... no nie.

- Zadzwoń do niego i dowiedz się - polecam wychodząc z łazienki. - Zgubiłem gdzieś Zagata.

- Chcesz zaczekać na drugiej linii, czy mam się rozłączyć? - pyta.

- Rozłącz się, frajerze. - Odkładamy słuchawki.

Mijają minuty. Dzwoni telefon. Nie włączam się na podsłuch - to na pewno McDermott.

- I co? - pytam.

- Hamlin nie ma nic w rezerwie i chce zaprosić Luisa Carruthersa, ja natomiast chciałbym wiedzieć czy to oznacza, że Courtney także z nami idzie? - mówi szybko McDermott.

- Luis nie m o ż e iść z nami - stwierdzam.

- Dlaczego?

- Po prostu nie m o ż e - powtarzam. - Do czego jest mu potrzebny Luis? Milczenie. - Zaczekaj - odzywa się w końcu McDermott. - Mam go na drugiej linii. Zapytam go.

- Kogo? - pytam panicznie. - Luisa?

- Hamlina.

Czekam nie rozłączając się i przechodzę do kuchni, gdzie wydaję z lodówki butelkę Perriera. Rozglądam się za jakąś szklanką, gdy w słuchawce rozlega się cichy trzask.

- Posłuchaj - mówię do McDermotta, który wrócił na linię. - Nie mam zamiaru spotkać się ani z Luisem, a n i z Courtney, więc, rozumiesz, załatw to jakoś, odmów albo zrób co chcesz. Użyj swojego czaru. Oczaruj ich.

- Hamlin musi zjeść obiad z klientem z Teksasu i...

Wpadam mu w słowo: - Zaczekaj, to nie ma nic wspólnego z Luisem. Jeśli Hamlin chce, to niech sam się umówi z tym pedałem.

- Hamlin chce zaprosić Carruthersa, ponieważ razem zajmują się sprawą Panasonic, a Luis wie znacznie więcej na ten temat od niego, no i dlatego jest mu potrzebny - wyjaśnia McDermott.

Milczę i rozważam jego słowa. - Jeśli Luis pojawi się w pobliżu mojego stołu, zabiję go. Klnę się na Boga, że go zabiję. Poderżnę mu, kurwa, gardło.

- Jezu, Bateman - mruczy zmartwiony McDermott. - Podziwiam twoje humanitarne podejście do bliźnich. Jesteś niczym starożytni mędrcy.

- Nie. Tylko... - zaczynam zmieszany i poirytowany -... tylko... jestem rozsądny.

- Mnie natomiast interesuje wyłącznie to, czy obecność Luisa pociąga za sobą konieczność przebywania w towarzystwie Courtney? - zastanawia się głośno.

- Powiedz Hamlinowi, żeby zaprosił... o kurwa, sam nie wiem - przerywam. - Powiedz Hamlinowi, żeby sam zjadł obiad z tym facetem z Teksasu - znów przerywam, bo coś przyszło mi do głowy. - Zaczekaj... Czy to znaczy, że

Hamlin nas zaprasza? To znaczy płaci za wszystko... bierze rachunek na koszt firmy?

- Wiesz co, czasami jesteś bardzo sprytny, Bateman - stwierdza McDermott. - Niekiedy zaś...

- Kurwa mać, co ja pierdolę do jasnej cholery? - pytam sam siebie. - Przecież ty i ja także mamy zjeść obiad na koszt firmy. Jezus, nigdzie nie idę. Koniec. Nie ruszam się z domu.

- Nawet wtedy jeśli nie będzie Luisa? - pyta.

- Nie. Wykluczone.

- Dlaczego nie? Mamy przecież rezerwację w 1500.

- Mu... muszę obejrzeć... Cosby Show.

- Nagaj, ty ośle.

- Zaczekaj - znów coś przyszło mi do głowy. - Myślisz, że Hamlin będzie miał... - przerywam - ...będzie miał jakieś narkotyki..., może dla... Teksasńczyka?

- A co na ten temat myśli pan Bateman? - pyta McDermott, ta dupa wołowa.

- Hm. Zastanawiam się. Mocno się nad tym zastanawiam.

Po przerwie słyszę głos McDermotta: - Tik-tak, tik-tak - odmierzającego śpiewnie czas. - Ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Oczywiście, że Hamlin będzie miał coś przy sobie.

- Powiedz Hamlinowi... każ mu... powiedz mu, żeby włączył się na trzeciego - wypluwam z siebie patrząc na Rolexa. - Pośpiesz się. Może przekonamy go do 1.500.

- Okay - mówi McDermott. - Nie rozłączaj się.

W słuchawce rozlegają się cztery trzaski i po chwili słyszę, jak Hamlin pyta: - Bateman, czy można nosić skarpety w kratę do garnituru, w jakim chodzi się do pracy?

To miał być żart, ale wcale nie jest mi do śmiechu.

Wzdycham wewnętrznie, zamykam oczy i odpowiadam niecierpliwie: - Niezupełnie, Hamlin. Skarpety w kratę są zbyt sportowe. Robią niepoważne wrażenie. Można natomiast nosić je z garniturami podczas nieoficjalnych okazji. Z twoim, z czymkolwiek. I jak Hamlin?

- Bateman? - odzywa się i dodaje po chwili: - Dziękuję.

- Luis nie może iść z nami - informuję go. - Niech ci idzie na zdrowie.

- Żaden problem - odpowiada. - Teksaszyk także nie idzie.

- Dlaczego nie?

- Bo chciał co by my poszły na striptiz, co to on słyszał jeżdżąc bardzo na czasie. Różnice kulturowe - wyjaśnia Hamlin. - Do poniedziałku mam go z głowy. W sposób zdecydowany i szybki, muszę dodać, przearanżowałem swoje niezbyt sprecyzowane plany. Rozchorował mi się ojciec. W obejściu wybuchł pożar. Zawsze można znaleźć jakąś wymówkę.

^

- Jaki to ma związek z Luisem? - pytam podejrzliwie.

- Otóż Luis je dzisiaj obiad z Teksaszykiem, dzięki czemu zaoszczędzi mi masę kłopotów, współniku. W poniedziałek spotykam się z nim u Smitha i Wollensky'ego - odpowiada zadowolony z siebie Hamlin. - Wszystko jest piko bello.

- Zaczekaj - włącza się nieśmiało McDermott. - Czy to znaczy, że Courtney także nie idzie?

- Za chwilę przepadnie nam albo już przepadła rezerwacja w 1,500 - stwierdzam. - Zdaje się, Hamlin, że byłeś tam wczoraj.

- Taa - odpowiada. - Dają niezegowane carpaccio. Możliwego strzyżyka. Pierwszoklasne sorbety. Ale chodźmy gdzie indziej, co?, a potem wybierzemy się na poszukiwanie, eee... jakiejś cielesnej doskonałości. Panowie?

- Brzmi zachęcająco - mówię rozbawiony i zadowolony z tego, że chociaż raz Hamlin wpadł na dobry pomysł. - Lecz co na to powie Cindy?

- Cindy musiała pójść na jakąś imprezę dobroczynną do... tego tam Plaża, jak mu tam...?

- Chodzi ci zapewne o T r u m p Plaża - rzucam z roztargnieniem i otwieram w końcu butelkę Peniera.

- Ta, Trump Plaza - poprawia się. - Zbierają forszę na jakieś drzewa obok biblioteki. Drzewa albo krzaki... - mruży niepewnie. - Kwiatki? Rośliny...? Zabijcie mnie, nie wiem.

- Więc dokąd? - pyta McDermott.

- Kto odwołuje 1500? - pytam.

- Ty - mówi McDermott.

- Och, Craig - jęczę. - Zrób to.

- Zaczekajcie - wtrąca się Hamlin. - Ustalmy najpierw, dokąd idziemy.

- Popieram - oświadcza parlamentarnie McDermott.

- Jestem fanatycznym przeciwnikiem restauracji, które nie są zlokalizowane po stronie Upper West lub Upper East w tym mieście - stwierdzam.

- Bellini? - proponuje Hamlin.

- Odpada. Tam nie można palić cygar - odzywamy się z McDermottem jednocześnie.

- Wykreślam - mówi Hamlin. - Gandango?

- Niewykluczone, niewykluczone - mruczę rozważając wszystkie za i przeciw. - Trump tam jada.

- Bar Zeus? - pyta jeden z nich.

- Zrób rezerwację - odzywa się drugi.

- Zaczekajcie - przerywam im. - Myślę.

- Bateman... - zaczyna ostrzegawczo Hamlin.

- Rozważam ten pomysł - odpowiadam.

- B a t e m a n...

- Chwila. Dajcie mi się zastanowić,

- Jestem zbyt poirytowany, żeby nadal uczestniczyć w tej rozmowie - oświadcza McDermott.

- A może zapomnimy o całej tej sprawie i dla odmiany wpierdolimy jakimś Japończykom - proponuje Hamlin. - A potem wyruszymy na poszukiwania cielesnej doskonałości.

- Niezły pomysł - wzruszam ramionami. - Co powiecie na damski tercecik?

- Więc co chcesz w końcu robić, Bateman? - pyta McDermott. Zastanawiam się, a mój umysł błądzi po zakamarkach kosmosu. - Chciałbym...

- Tak...? - pytają razem wyczekująco.

- Chciałbym... rozgnieść na miazgę twarz kobiety przy pomocy dużej, ciężkiej cegły,

- A oprócz tego? - jęczy niecierpliwie Hamlin.

- Okay, dobrze - kończę marzenia. - Bar Zeus.

- Jesteś pewien, prawda? Bar Zeus? - zamyka sprawę Hamlin z nadzieją w głosie.

- Chłopcy, stwierdzam, że nie jestem w stanie dalej w tym uczestniczyć - mówi McDermott. - Bar Zeus. To ostateczna decyzja.

- Nie rozłączajcie się - prosi Hamlin. - Zadzwoń i sprawdź, czy są wolne miejsca.

Trzask w słuchawce. Czekamy na linii. Nie odzywamy się do siebie przez długą chwilę.

- Wiesz co - mówię w końcu. - Prawdopodobnie nie uda mu się załatwić rezerwacji.

- Może powinniśmy iść do M. K. Teksańczykowi spodobałoby się M. K. - stwierdza McDermott.

- Ależ, mój drogi, Teksańczyk z nami nie idzie - poprawiam go.

- A zresztą i tak nie mógłbym pójść do M. K. - wcale mnie nie słucha i nie mówi dlaczego.

- Nie chcę nic słyszeć na ten temat. Mijają następne dwie minuty,

- Co on do cholery wyprawia? - pytam, a w słuchawce rozlega się sygnał nowego połączenia.

McDermott także to słyszy. - Odbierzesz? - pyta.

- Zastanawiam się. - Sygnał dzwoni uparcie. Jęczę i każę McDermottowi czekać na linii. Dzwoni Jeanette. Jest zmęczona i smutna. Nie chce mi się wracać do rozmowy z McDermottem, więc pytam ją, co robiła wczoraj wieczorem.

- Po tym, jak miałaś się ze mną spotkać? - pyta.

Milczę niepewnie. - Uhm, tai*

- Trafiliśmy do Palladium, gdzie było zupełnie pusto. Wpuszczali ludzi za darmo. - Wzdycha. - Widzieliśmy ze cztery lub pięć osób.

- Znajomych? - pytam z nadzieją.

- Nie, w... klubie... - odpowiada odmierzając słowa, a w jej głosie słysząc rozpacz.

- Wybacz - mówię wreszcie - ale muszę... oddać kasety... - jej milczenie jest przerażające - wiesz przecież, że... .spotkałbym się z tobą...

- Nie chcę nic słyszeć na ten temat - wzdycha przerywając mi. - Co dzisiaj robisz?

Milczę nie wiedząc co powiedzieć, w końcu wyznaję szczerze: - Bar Zeus o dziewiątej.

McDermott. Hamlin. - Potem pytam zniechęcająco: - Chciałabyś przyjść?

- Nie wiem - wzdycha. Jest bardzo niedelikatna zadając mi następne pytanie: - A chciałabyś, żebym przyszła?

- Po co ten patos'? - rzucam.

Odkłada słuchawkę. Wracam na drugą linię.

- Bateman, Bateman, Bateman, Bateman - powtarza w kółko Hamlin. -Jestem. Zamknij, kurwa, dziób.

- Czy ciągle odkładamy sprawę na później? - pyta McDermott. - Nie róbmy już tego.

- Postanowiłem, że wolę zagrać w golfa - mówię. - Od dawna nie byłem na polu.

- Pierdol golfa, Bateman - rzuca Hamlin. - Mam rezerwację na dziewiątą w Kaktusie...

- I rezerwację do odwołania w 1,500, Uhm, zaczekaj... dwadzieścia minut temu, Bateman - dodaje McDermott.

- Kurwa mać, Craig. Odwołaj ją teraz - odpowiadam zmęczonym głosem.

- Boże, jak ja nienawidzę golfa - głos Hamlina aż drży z obrzydzenia.

- Tyją odwołaj - mówi McDermott ze śmiechem.

- Na jakie nazwisko rezerwowaliście stoły? - pytam podniesionym głosem, ponieważ wcale mi nie do śmiechu.

Milczenie, po chwili odzywa się McDermott: - Carruthers - mówi miękko. Hamlin i ja wybuchamy śmiechem.

- Naprawdę? - pytam.

- Nic nie dało się załatwić w Barze Zeus - informuje nas Hamlin. - Idziemy do Kaktusa.

- Na czasie - mówię niechętnie. - Chyba.

- Rozchmurz się - ćwierka Hamlin.

W słuchawce słysząc sygnał kolejnej rozmowy; nie wiem, czy odebrać czy nie, Hamlin postanawia za mnie: - No więc, jeśli nie chcesz iść do Kaktusa...

- Zaczekaj, mam rozmowę na innej linii - przerywam mu. - Nie rozłączajcie się.

Jeanette tonie w łzach. - Do czego nie jesteś zdolny? - pyta szlochając. -Powiedz mi proszę, czego n i e potrafisz zrobić?

-Jeanette, maleńka - mówię uspokajająco. - Posłuchaj mnie, proszę. Będziemy w Barze Zeus o dziesiątej. Okay?

- Patricku, proszę. Nic mi nie jest. Chcę tylko porozmawiać...

- Spotkamy się o dziewiątej albo dziesiątej, kiedy chcesz... Słuchaj, muszę kończyć, Hamlin i McDermott czekają na drugiej linii...

- Okay - pociąga nosem, bierze się w garść, chrząka. - Do zobaczenia w Zeusie. Wyba...

Przełączam się na drugą linię. Został tylko McDermott.

- Gdzie Hamlin?

- Rozłączył się. Jesteśmy z nim umówieni na dziewiątą.

- Wspaniale - mruczę. - Czuję się teraz bezpiecznie.

- Kto dzwonił? -Jeanette.

Słyszę słaby trzask, potem jeszcze jeden.

- To u ciebie czy u mnie? - pyta McDermott.

- U ciebie - mówię. - Tak mi się wydaje.

- Zaczekaj.

Czekam przechadzając się niecierpliwie po kuchni. McDermott wraca na linię.

- To Van Patten. Włączam go na trzeciego. Cztery trzaski.

- Hej, Bateman - krzyczy Van Patten. - C h ł o p i e!

- Król Manhattanu - mówię. - Potwierdzam odbiór.

- Hej, jak się powinno nosić pas do smokingu? - pyta.

- Dzisiaj odpowiadałem już na to pytanie dwukrotnie - warczę,

Van Patten i McDermott zaczynają rozmawiać o tym, czy Van Patten może przyjść do Kaktusa o dziewiątej. Przestaję ich słuchać, nie interesują mnie głosy dobiegające ze słuchawki bezprzewodowego telefonu i przyglądam się ze wzrastającą ciekawością szczurowi, którego kupiłem ostatnio wraz ze szklaną klatką; olbrzymi mutant, który wyłonił się z mojej toalety czeka w zaciszu na swoją życiową szansę. Kupny szczur jest cieniem samego siebie, zrobiłem z niego narkomana i teraz kiwa się w tę i z powrotem w swojej nowoczesnej bawialni, idzie do pojemnika z wodą, do którego nalałem zatrutej Evian. Scena jest bardzo żałosna, a jednocześnie niezbyt żałosna. Sam nie wiem. Sygnał nowego połączenia wyrwa mnie z bezmyślnego delirium i proszę McDermotta i Van Pattena o nierozłączanie się.

Przełączam się na drugą linię, milczę przez chwilę, a potem zaczynam monotonnym głosem: - Dom Patricka Batemana. Proszę zostawić wiadomość po...

- Na rany Chrystusa, Patricku, kiedy ty wreszcie zmądrzejesz? - jęczy Evelyn. - P r z e s t a ń.

Dlaczego bez przerwy mi to robisz? Myślisz, że jestem taka głupia?

- Nie - odpowiadam. - Chronię siebie.

- A mnie zadręczasz! - krzyczy obrażona.

- Kochanie...

- Tak? - pociąga nosem.

- Nie masz pojęcia, czym jest udręka. Nie masz pojęcia o czym mówisz -informuję ją. - Absolutnie nie zdajesz sobie z tego sprawy.

- Wystarczy już. Nie chcę już o tym słyszeć. A teraz, powiedz mi co robisz dzisiaj z obiadem? -jej głos jest teraz delikatniejszy. - Myślałam, że może wybralibyśmy się do TDK, gdzieś tak, och, koło dziewiątej?

- Dzisiaj jem sam w Harvard Club.

- Och, nie wygłupiaj się - przerywa mi. - Wiem, że jesteś umówiony na obiad w Kaktusie z Hamlinem i McDermottem.

- Skąd wiesz? - pytam i wcale mnie nie obchodzi, że zostałem przyłapany na kłamstwie. - A zresztą idziemy do Baru Zeus, a nie do Kaktusa.

- Przed chwilą rozmawiałam z Cindy...

- Zdawało mi się, że Cindy poszła na tę imprezę z kwiatami... drzewami, nie, krzakami... - stwierdzam.

- Och nie, nie, nie, - mówi Evelyn. - To będzie w przyszłym tygodniu. Chciałbyś się wybrać i'

- Zaczekaj.

Wracam na linię Craiga i Van Pattena.

- Bateman? - krzyczy Van Patten. - Co ty, kurw a, wyprawiasz?

- Skąd do jasnej cholery Cindy wie, że jemy obiad w Kaktusie? - żądam wyjaśnień.

- Hamlin jej powiedział? - zgaduje McDermott. - Nie wiem. Dlaczego?

- Bo teraz wie o tym E v e l y n - mówię.

- Kiedy do kurwy nędzy dadzą nam jeść bez pieniędzy? - pyta nas Van Patten.

- Czy Van Patten rozpoczął już trzecią skrzynkę Foster'a, czy dopiero kończy picie pierwszej? - pytam McDermotta.

- Jeśli dobrze zrozumiałem twoje intencje, Patricku... - zaczyna McDermott -...to pytanie brzmi: Czy powinniśmy wyłączyć z naszego towarzystwa kobiety, czy też nie? Prawda?

- Coś bardzo szybko zamienia się w nic - ostrzegam. - Tylko to chciałem powiedzieć.

- Czy powinienes zaprosić Evelyn? - ciągnie McDermott. - O to ci chodzi?

- Nie, to m y n i e p o w i n n i ś m y - podkreślam.

- Hej, zaczekajcie, ja chciałem wziąć ze sobą Elizabeth - mówi nieśmiało (albo udaje?) Van Patten.

- Nie - decyduję. - Żadnych kobiet.

- Nie pasuje wam Elizabeth? - pyta Van Patten.

- Ta - mruczy McDermott.

-Jest idiotką. Jeszcze gorzej, jest inteligentna. Nie wiem. Nie zapraszaj jej -mówię.
Milczenie. Po chwili odzywa się Van Patten: - Wyczuwam, że dzieje się coś niesamowitego.
- No więc, jeśli nie Elizabeth, to kto? Może Sylvia Joseph? - sugeruje McDermott.
- Gdzie tam! Jest za stara, żeby ją wypierdolić - oświadcza Van Patten.
- Chryste - krzyczy McDermott. - Ma dopiero dwadzieścia trzy lata.
- Dwadzieścia osie m - poprawiam go.
- Naprawdę? - pyta po chwili zadumy zmartwiony McDermott.
- Tak. Naprawdę.
Wszystko, co może powiedzieć, to krótkie: - Och.
- Kurwa, na śmierć zapomniałem - krzyczę uderzając się w czoło. - Zaprosiłem Jeanette.
- Tak, to jest chyba jedyna laska, której nie obawiałbym się, he-he, zaprosić - odzywa się lubieżnie Van Patten.
- Dlaczego taka miła cizia jak Jeanette wytrzymuje z kimś takim jak ty? -pyta McDermott. -Jak to się dzieje?
- Ubieram ją w kaszmiry. Dużo kaszmirów - mruczę. - Muszę do niej zadzwonić i powiedzieć, żeby nie przychodziła.
- Nie zapomniałeś o czymś? - pyta mnie McDennott.
- O czym? - gubię się w domysłach.
- Czy, no, Evelyn ciągle czeka na drugiej linii?
- O kurwa - krzyczę. - Nie rozłączajcie się.
- W zasadzie co mnie to wszystko obchodzi? - słyszę jeszcze, jak McDermott wzdychając pyta sam siebie.
- Weź ze sobą Evelyn! - drze się Van Patten. - Ona też jest niezła! Powiedz, że będziemy w Zeusie o wpół do dziewiątej!
- Okay, okay - krzyczę i przełączam się na drugą linię.
- Wcale mi się to nie podoba, Patricku - mówi Evelyn.
- Co powiesz na spotkanie, w Zeusie o wpół do dziesiątej? - sugeruję.
- Mogę zabrać ze sobą Stasha i Vanden? - pyta bojaźliwie.
- Czy to ten z tatuażem? - pytam nie mniej bojaźliwie.
- Nie - wzdycha. - Bez tatuażu.
- Odmawiam, odmawiam.
- Och, Patricku - skamle.
- Posłuchaj, ciesz się, że w ogóle cię zaproszono i... - mój głos zanika. Cisza, podczas której wcale nie czuję się źle.
- Nie wygłupiaj się, przyjdź sama i spotkaj się z nami - mówię. - Przepraszam.
- No dobra - odpowiada zrezygnowana. - Wpół do dziesiątej?
Przełączam się z powrotem do Van Pattena i McDermotta, którzy zawzięcie dyskutują o tym, czy błękitny garnitur można wkładać na te same okazje, co granatowy blezer.
- Halo? - przerywam im. - Zamknijcie się. Czy wszyscy mnie słuchają?
- Tak, tak, tak - wzdycha znudzony Van Patten.
- Dzwonię do Cindy, żeby wyperswadowała Evelyn obiad z nami - oznajmiam.
- Po jaką cholerę w ogóle ją zapraszałeś? - pyta jeden z nich.
- My żartowaliśmy, ty idioto - dodaje drugi.
- Eee... dobre pytanie -jąkam się. - Uhm, za-zaczekajcie. Wybieram numer Cindy, który znalazłem najpierw w obrotowym notesie.
Cindy podsłuchuje, a potem odbiera telefon.
- Cześć, Patricku - wita mnie.
- Cindy - mówię. - Wyświadczyć mi przysługę.
- Hamlin nie idzie z wami na obiad - informuje mnie. - Próbował dodzwonić się do was, ale wszystkie linie były zajęte. Powinniście zaopatrzyć się w funkcje oczekiwania na połączenie w waszych aparatach, chłopcy.

- Ależ my mamy tę funkcję - odpowiadam z oburzeniem. - Za kogo ty nas bierzesz... za barbarzyńców?

- Hamlin nie przyjdzie - powtarza krótko.

- A co będzie robił? - pytam. - Pomadował bokobrody?

- Wychodzi ze mną, panie Bateman.

- A co z tą imprezą charytatywną na... eee... krzaki? - pytam.

- Hamlinowi się pomyliło.

- Serdeńko... - zaczynam. -Tak?

- Serdeńko, spotykasz się z dupkiem - mówię słodkim głosem.

- Dziękuję, Patricku. Jesteś bardzo miły.

- Serdeńko - ostrzegam - spotykasz się z największym kutafonem w całym Nowym Jorku.

- Myślisz, że tego nie wiem - ziewa.

- Serce moje, spotykasz się z wymiękłym, mięciutkim, opadłym kutafonem.

- Wiesz, że Hamlin ma sześć telewizorów i siedem magnetowidów?

- Czy w ogóle korzysta z tej maszyny wioślarskiej, którą mu załatwiłem? -zastanawiam się głośno.

- Stoi nietknięta - odpowiada. - Nawet nie rozpakowana.

- Duszko, to wał.

- Przestań się przezwąć - mówi poirytowana.

- Posłuchaj, Cindy, gdybyś miała do wyboru czytanie WWDalbo... - przerywam, ponieważ sam nie wiem, co chciałem powiedzieć. - Posłuchaj, czy coś się dzisiaj dzieje? Coś... niezbyt hałaśliwego?

- Czego chcesz, Patricku? - wzdycha.

- Chcę pokoju, miłości, przyjaźni, zrozumienia...

- Cze-go-chcesz? - powtarza.

- Może spotkacie się z nami?

- Mam inne plany.

- Ale Hamlin załatwił dla nas tę cholerną rezerwację! - krzyczę wściekle.

- Możecie ją, chłopcy, wykorzystać.

- W takim razie przyjdź s a m a - proponuję lubieżnie. - Zostaw kutafona wjuanicie albo gdzieś i...

- Odpuszczam sobie dzisiaj obiad - mówi. - Przepróż "chłopców" w moim imieniu.

- Ale idziemy do Kaktusa, uhm, to znaczy do Bani Zeus - już sam nie wiem -...nie, do Kaktusa...

- Naprawdę chcecie tam iść, chłopcy?

- Dlaczego?

- Mądrość ludowa podpowiada, że ta knajpa nie jest już najwłaściwszym miejscem do spożywania obiadów.

- Ale Hamlin załatwił tę pierdoloną rezerwację! - krzyczę.

- Rezerwację? Tam'? - pyta rozbawiona.

- Wieki temu! - wrzeszczę.

- Słuchaj - mówi - muszę się ubrać.

- Wcale mi się to nie podoba - stwierdzam.

- Nic się nie martw - odkłada słuchawkę. Wracam na pierwszą linię.

- Bateman, wiem, że brzmi to dosyć nieprawdopodobnie - mówi McDer-mott - lecz nicość się powiększa.

- Nie interesują mnie meksykańskie czary - stwierdza Van Patten.

- Zaczekajcie, kto mówił o Meksyku? - pytam. - Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale zdawało mi się, że jemy w Barze Zeus?

- Ależ nie, ty kretynie - wypływa z siebie McDermott. - Nie udało nam się załatwić rezerwacji w Zeusie. Kaktus. Kaktus o dziewiątej.

- Nie c h c ę nic meksykańskiego - mówi Van Patten.

- S a m załatwiłeś rezerwację, Van Patten - wścieka się McDermott. -Ja też nie chcę - oświadczam nagle. - Dlaczego akurat Meksyk?

- To nie jest meksykański Meksyk - tłumaczy rozdrażniony McDermott. - Kuchnia nazwa się Nouvelle Mexicana, tapas i te inne rzeczy', które sprzedają za południową granicą. Rozumiecie? Zaczekajcie. Mam rozmowę na drugiej linii.

Trzask w słuchawce. Zostajemy sami z Van Pattenem.

- Wiesz co, Bateman - wzdycha Van Patten - moja euforia szybko mija.

- O czym ty mówisz? - Usiłuję sobie przypomnieć, gdzie umówiłem się z Jeanette i Evelyn.

- Zmieńmy rezerwację - proponuje.

Rozważam to przez chwilę, a potem pytam podejrzliwie. - Na co?

- 1969 - mówi kusząco. - Hm? 1969?

- Chciałbym tam iść - przyznaję.

- To co robimy?

Zastanawiam się. - Załatw rezerwację. Szybko.

- Okay. Na trzy osoby? Pięć? Ile?

- Pięć albo sześć... tak mi się wydaje.

- Okay. Nie rozłączaj się.

Van Patten schodzi z linii i w tym samym momencie wraca na nią McDermott.

- Gdzie Van Patten? - pyta.

- Poszedł... się odlać.

- Dlaczego nie chcesz iść do Kaktusa?

- Ponieważ przezwani załamanie egzystencjalne - kłamię.

- Myślisz, 'L to jedyry powód? - pyta McDermott. - Boja nie.

- Halo? - włącza się Van Patten - Bateman?

- I co? - pytam. - Jest z nami McDermott.

- Nic z tego. Żegnaj Genia.

- Kurwa.

- O co chodzi? - dziwi się McDermott.

- To co, panowie, pijemy margarity? - pyta Van Patten - Czy nie pijemy?

- Optuję za margaritą - stwierdza McDermott.

- Bateman? - pyta Van Patten.

- Mam ochotę na kilka butelek piwa, najchętniej n i e-meksykańskiego - odpowiadam.

- O kurwa - klnie McDermott. - Znowu rozmowa. Nie rozłączajcie się. - Trzask w słuchawce.

Jeśli się nie mylę, jest już ósma trzydzieści.

Godzinę później ciągle debatujemy. Odwołaliśmy rezerwację w Kaktusie, ale zdaje się, że ktoś ją odnowił. Wszystko tak mi się pomieszało, że odwołałem też nie istniejącą rezerwację w Barze Zeus. Jeanette wyszła z domu i nie ma sposobu, żeby się z nią porozumieć, nie mam pojęcia do której restauracji poszła, nie pamiętam także, gdzie umówiłem się z Evelyn. Van Patten, który wpił już dwa kieliszki Absolutu, pyta o detektywa Kimballa i o czym z nim rozmawiałem. Pamiętam tylko to, że ludzie zapadają się pod ziemię.

- Z tobą też rozmawiał? - pytam.

- Taa, no taa.

- Co według niego przytrafiło się Owenowi?

- Zniknął. Po prostu zniknął. Puff, rozplynął się - mówi. Słyszę, że otwiera lodówkę. - Żadnych śladów, żadnego wypadku, nic. Nada, jak mówią władze.

- Taa - przytakuję... - Bardzo mnie to niepokoi.

- No cóż, Owen był... Sam nie wiem... - Słyszę, jak otwiera butelkę piwa.

- Co jeszcze mu powiedziałeś, Van Patten? - pytam.

- No, to co zwykle - wzdycha. - Że nosił żółto-kasztanowe krawaty. Że jadał lunch w "21. Że tak naprawdę nie pracował w arbitrażu, jak imślał Thimble, tylko zajmował się fuzjami. No, to co się mówi... - Widzę niemal, jak wzrusza ramionami.

- Co jeszcze? - pytam.

- Poczekaj... Aha, że nie nosił szelek. Sprzedał duszę paskom. Że nie brał już kokainy... piwo jest molto simpatico, wiesz Bateman?'

- To kretyn - mówię. - A teraz siedzi w Londynie.
- Chryste - mruczy Van Patten - jak niewielu zostało na tym pierdolonym świecie ludzi prawdziwie kompetentnych.

McDermott włącza się ponownie. - Okay. Dokąd teraz idziemy?

- Która godzina? - pyta Van Patten.
- Wpół do dziesiątej - odpowiadamy obaj.
- Zaczekaj, co stało się z 1969? - pytam Van Pattena.
- O co chodzi z tym 1969? - McDermott wyraźnie się pogubił.
- Nie pamiętam - mówię.
- Zamknięte. Nie ma rezerwacji - przypomina mi Van Patten.
- Możemy wrócić do 1,500? - pytam.
- 1,500 jest j u ż z a m k n i ę t e - krzyczy McDermott. - Kuchnia jest nieczynna. Restauracja także. Koniec. Musimy iść do Kaktusa.

Cisza.

- Halo? Halo? Jesteście tam do cholery? - wścieka się tracąc cierpliwość.
 - Rześcy jak majowy poranek - mówi Van Patten. Wybucham śmiechem.
 - Myślicie, że to jest śmieszne... - dąsa się McDermott.
 - Jasne! A co? Co chcesz robić? - pytam.
 - Chłopcy, jedyna rzecz, o jaką mi chodzi to to, że w takim tempie nie uda nam się załatwić stołu przed północą.
 - Jesteś pewny co do 1500? - pytam. - Wydaje mi się to dosyć dziwne.
 - Gadasz bzdur y! - wrzeszczy McDermott. - Dlaczego, mógłby ktoś zapytać? Ponieważ-są-zamknięci! A-ponieważ-są-zamknięci-pi-zestali-przyjmować-rezerwacje! Czy-to-do-ciebie-dociera?
 - Nie złość się, kochanie - mówi spokojnie Van Patten. - Pójdziemy do Kaktusa.
 - Termin naszej rezerwacji upłynął dziesięć, nie, piętnaście minut temu -zauważa McDermott.
 - Wydawało mi się, że wszystko odwołałem - rzucam łykając następnego hanaxa.
 - Odnowiłem ją - komunikuje McDermott.
 - Jesteś nieoceniony - stwierdzam bez emocji.
 - Biorąc pod uwagę fakt, że muszę zatrzymać się przy bankomacie, będę tam około dziesiątej piętnaście - oświadcza Van Patten i odlicza minuty.
 - Czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę z tego, że Jeanette i Evelyn czekają na nas w Barze Zeus, gdzie n i e m a m y rezerwacji? Czy komuś przyszło to do głowy? - pytam.
 - Ale Bar Zeus jest zamknięty, a pomijając fakt, że odwołaliśmy w nim rezerwację, należy stwierdzić, że przede wszystkim n i g d y jej nie mieliśmy! -McDermott stara się opanować.
 - Ale zdaje się, że powiedziałem Jeanette i Evelyn, żeby czekały tam na nas - podnoszę palce do ust przerażony własnymi słowami.
- Milczenie, po chwili McDermott pyta: - Szukasz guza? Naprawdę chcesz mieć kłopoty, czy jest to tylko moje niezbyt fortunne wrażenie?
- Ktoś do mnie dzwoni - mówię. - O mój Boże. Która jest godzina? Ktoś do mnie dzwoni.
 - To pewno jedna z dziewczyn - mówi radośnie Van Patten.
 - Nie rozłączajcie się - chrypię.
 - Powodzenia - krzyczy Van Patten przed trzaskiem w słuchawce.
 - Halo? - mówię potulnie. - Tu mieszkanie...
 - To j a - wrzeszczy Evelyn, a hałas w tle jest niemal nie do zniesienia.
 - O, cześć - rzucam nonszalancko. - Co się dzieje?
 - Patricku, co robisz w domu?
 - Gdzie jesteś? - pytam dobrodusznie.
 - Jestem-w-Kaktusie! - syczy.
 - Co tam robisz! - pytam.
 - I Jmówiłeś się tu ze mną, ot co! - krzyczy. - Potwierdziłam twoją rezerwację.
 - O Boże, wybac. Zapomniałem ci powiedzieć.

- Co-zapomniałeś-mi-powiedzieć?
- Zapomniałem ci powiedzieć, że... - przetykam ślinę - ...nie idziemy do Kaktusa. - Zamykam oczy.
- KUHo-do-cholery-jest-Jeanette? - pyta złośliwie.
- Dobrze się bawicie?
- Nie!
- Dlaczego nie? Zaraz... tam będziemy.
- Dlatego, że to wszystko wydaje mi się, no, nie wiem... bardzo nie na miejscu! - drze się.
- Posłuchaj, zaraz do ciebie zadzwonię - mam zamiar udać, że zapisuję numer.
- Nie zrobisz tego - mówi Evelyn niskim i pełnym napięcia głosem.
- Dlaczego nie? Telefony już nie strajkują - żartuję, a przynajmniej tak mi się wydaje.
- Bo-za-moimi-plecami-stoi-Jeanette-i-chce-skorzystać-z-telefonu - mówi Eveljii.

Milczę przez długą chwilę.

- Patricku?

- Evelyn, niech się dzieje co chce. Za chwilę wychodzę z domu. Zaraz do ciebie dojedziemy. Obiecuję.

- O mój Boże... Przełączam się na drugą linię.

- Panowie, panowie, ktoś coś spierdolił. Ja coś spierdoliłem. Wy spierdoli-liście wszystko. Sam nie wiem - krzyczę panicznie.

- Co się dzieje? - pyta jeden z nich.

- Jeanette i Evelyn są w Kaktusie.

- O rany - jęknął Van Patten.

- Wiecie co, panowie, czasami w życiu bywa tak, że człowiek musi wsadzić ołowianą rurę w pochwę dziewczicy i wykonać nią kilka gwałtownych ruchów - Van Patten i McDermott milczą, biorę to za szok i ostateczną aprobatę (po jakim czasie?) dla mojego immanentnego okrucieństwa. - Lecz ja robię to z uczuciem!

- Wszyscy znamy tę twoją ołowianą rurę, Bateman - mówi McDermott. -Przestali się przechwalać.

- Czy on chce nam przez to wmówić, że ma długiego kutasa? - Van Patten pyta Craiga.

- O rany, nie wiem - wzdycha McDermott. - Czy właśnie to usiłujesz nam powiedzieć, Bateman?

Milczę, a potem rzucam: - No..., nie, niezupełnie... - Słyszę sygnał zgłaszającego się połączenia.

- W porządku, stwierdzam oficjalnie, że zazdroszczę ci - żartuje McDermott. - A teraz dokąd? Chryste, która jest godzina?

- Nieważne. Mój umysł już nie pracuje. - Jestem taki głodny, że wyjadam płatki owsiane z pudełka.

Ponownie słyszę sygnał zgłoszenia rozmowy.

- Może udałoby się załatwić jakąś kokę.

- Zadzwoni do Hamlina.

-Jezu, w każdym kiblu w tym mieście można kupić tonę kokainy, więc nie ma się o co martwić.

- Słyszeliście o nowej umowie Bella na telefonię komórkową na Południu? -Jutro w The Patty Winters Showwystępuje Spuds McKenzie.

DZIEWCZYNA

Środa, noc, kolejna dziewczyna spotkana w M.K: mam zamiar ją torturować i sfilmować. Nie wiem nawet, jak się nazwa i tak już zostanie. Siedzi na sofie w salonie, a obok na szklanym stole stoi opróżniona do połowy butelka szampana distal. Wciskam podświetlane klawisze z numerami piosenek w szafie grającej Wurlitzera. Dziewczyna odzywa się w końcu: - Pachnie tu... tak jakoś dziwnie? - Odpowiadam szeptem: - To zdechły szczur - i otwieram okna i drzwi na szynach prowadzące na taras; na dworze jest chłodna jesienna noc, dziewczyna ma na sobie dość lekki strój, wypija kolejny kieliszek Cristala, który rozgrzewają na tyle, że pyta, czym się zajmuję. Mówię jej, że studiowałem na Harvardzie, gdzie również ukończyłem szkołę biznesu, po czym rozpocząłem pracę na Wall Street u Pierce'a & Pierce'a. Następne pytanie - nie wiem czy żartuje, czy po prostu nie jest pewna: - Co to jest? - Przetykam ślinę odwrócony do niej plecami, poprawiam nowego Onikę na ścianie i znajduję w sobie dość siły, by odpowiedzieć: - Sklep... z obuwem. - Zaraz po przyjeździe do domu zażyłem linijkę kokainy, którą znalazłem w szafce z lekarstwami; distal

redukuje nieco działanie narkotyku, ale ciągle czuję niezłego kopa. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był maszynie, która umożliwia ludziom porozumiewanie się ze zmarłymi. Dziewczyna ubrana jest w miękki wełniany kostium, bluzkę z jedwabnej żoizety, w uszach ma kolczyki z kości słoniowej i agatów od Stephena Dwecka,

a pod zakietem jedwabną zakardową kamizelkę torsolette, a całość od... kogo? Chyba Charivari.

Leży w sypialni naga i wysmarowana olejkim, ssie mojego chuja. Stoję nad nią, łapię ją za włosy i wyciągam kutasa z jej ust; biję ją członkiem po twarzy. Krzyczę i przeklinam, nazywam ją, "pierdoloną, skurwiałą dziwką", co podnieca ją jeszcze bardziej, wsadza z powrotem penisa w usta i zaczyna niezdarnie robić sobie palcówkę. Liże mnie po jajach i pyta: - Lubisz to? - na co odpowiadam: -Aha, aha - i dyszę ciężko. Ma wysokie, pełne i jędrne piersi, obydwa sutki sterczą sztywno, dusi się moim chujem, gdy pierdolę ją coraz mocniej w usta. Pochylam się i ściskam cycki; wsadziłem jej w dupę vibrator, który przymocowałem na stałe przy pomocy pasa; jebię ją i drapię po piersiach, dopóki nie każe mi przestać. Wcześniej zjadłem obiad z Jeanette w nowej północnowłoskiej restauracji na 1 Tpper East w pobliżu Central Parku i zapłaciłem horrendalny rachunek. Miałem na sobie garnitur uszyty przez Edwarda Sextona i myślałem ze smutkiem o rodzinnej posiadłości w Newport. Odstawiłem Jeanette do domu i wpadłem do M.K., gdzie odbywała się jakaś impreza, której celem było, zdaje się, zbieranie funduszy na kampanię wiceprezydencką Dana Quayle'a, którego zresztą nie lubię. Dziewczyna, którą teraz jebię, leciała na mnie od samego początku, gdy siedziałem na kanapie w M.K., czekając na swoją kolej przy stole bilardowym. -

O Boże -jęczy. W podnieceniu uderzam ją w twarz, potem zadaję jej lekki cios prosto w usta, całuję gryząc wargi. Strach, przerażenie, zmieszanie biorą w niej górę. Pęka pas i vibrator wysuwa się z jej dupy, gdy próbuje mnie odepchnąć. Schodzę z niej i udaję, że pozwalam jej odejść. Zbiera swoje ciuchy mruczając pod nosem, że nie spotkała jeszcze tak "popierdolonego skurwysyna"; w tym momencie rzucam się na nią jak szakal tocząc pianę z ust. Krzyczy, przeprasza mnie, szlochając histerycznie, błaga, żebym nie robił jej krzywdy; jest cała zapłakana i ze wstydem zakrywa dłońmi piersi. Nawet jej szloch nie sąw stanie mnie podniecić. Odczuwam lekką satysfakcję spryskując jej twarz gazem łzawiącym. Nieco mniejszą, gdy uderzam jej głową w ścianę ze cztery albo pięć razy. Traci przytomność, a na ścianie zostaje nieduża plama z przylepionymi włosami. Dziewczyna zwała się na podłogę, a ja biegnę do łazienki, gdzie przyjmuję kolejną linijkę dosyć słabej w sumie koki, którą udało mi się załatwić parę dni temu u Nell czy w Au Bar. Słyszę, że dzwoni telefon, automatyczna sekretarka włącza się zaraz potem. Pochylam się nad lustrem, nie zwracam uwagi na to, kto dzwoni, nie chce mi się nawet podsłuchiwać.

Później, jak było do przewidzenia, leży naga na plecach przywiązana za ręce

i nogi do przygotowanych wcześniej słupków, które stoją na ciężkich, metalowych płytach. Dłonie ma dodatkowo przybite gwoździami do podłogi, a nogi rozwarłe na całą szerokość. Pod tyłek wsuwam jej poduszkę; jej rozwartą pizdę smaruję serem brie, którego kawałki wsuwam do pochwy. Przed chwilą odzyskała świadomość,

widzi mnie, gdy stoję nad nią zupełnie nagi i wyobrażam sobie, że moje nieludzkie cechy napęniają ją szaleńczą wprost zgrozą. Położyłem ją na wprost nowego telewizora Toshiba, na którego ekranie pojawia się nagrana na kasecie scena tortur mojej ostatniej ofiary. Występuję w telewizji ubrany w garnitur od Josepha Abbouda, krawat od Paula Stuarta, buty od J. Crew i marynarkę od jakiegoś Włocha. Klęczę na podłodze obok ciała dziewczyny i wyjadam jej mózg, pożeram go łapczywie z kawałkami żółtego sera, które kładę na różowej, inazio-watej galarecie.

- Widzisz? - pytam leżącą na podłodze. - Widzisz to? Przypatrz się dobrze - szepczę.

Próbuję wywiercić jej dziurę w ustach przy pomocy szybkoobrotowej wiertarki, ale zachowała na tyle przytomności i siły, że zaciska zęby - dostaje niemal szczękostisku - i choć wiertło z łatwością przechodzi przez jedyńki i dwójki, zabawa ta przestaje mnie podniecać. Podnoszę głowę dziewczyny; z jej ust sączy się krew, i każę oglądać jej nagranie, na którym moja ofiara krwawi z każdej możliwej dziury i zagłębienia. Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, że czekają podobny los i żadna siła na świecie nie jest w stanie jej pomóc. Jej przeznaczeniem było znaleźć się na podłodze mojego mieszkania z dłońmi przybitymi do podłogi, serem i stłuczonymi kieliszkami

wepchniętymi w pochwę, poranioną głową krwawiącą purpurowo - i nic nie może tego zmienić; jej los był już dawno przesądzony i nawet gdyby poszła do Nell lub do Indochin, do Marsa lub do Au Bar, zamiast do M.K., nawet gdyby nie zgodziła się wsiąść ze mną do taksówki jadącej na Upper West Side, nie miałyoby to najmniejszego znaczenia, /tak bym ją znalazł. Tak toczy się ten świat. Postanawiam dać sobie dzisiaj spokój z kamerą.

Próbuje wsunąć jej w pochwę jedną z plastikowych rurek, które stanowiły wyposażenie rozebranej nowoczesnej klatki dla szczura. Rozchylam wargi sromowe i wpycham rurę, która choć posmarowana olejkami, nie chce wejść. W szafie grającej Frankie Valli śpiewa "Najgorsze co mogło się stać" - otwieram usta wtórując mu niemo i przez cały czas wpycham plastikową rurę do pizdy tej suki. W końcu muszę się uciec do bardziej radykalnych metod i polewam zewnętrzną część cipy kwasem solnym, żeby rozluźnić mięśnie i ciało opierające się rurze. Wkrótce jej koniec tkwi bezpiecznie zanurzony w pochwie. - Mam nadzieję, że to cię bolało - mówię.

Szczur rzuca się na szklane ściany klatki, gdy przenoszę go z kuchni do salonu. Nie chciał zeżreć tego co zostało z jego kupnego partnera, którego truchło gnije teraz w jednym z rogów terrarium. (Przez ostatnie pięć dni mój żywy mutant nie miał specjalnego wyboru, bo celowo nie dawałem mu nic do jedzenia). Stawiani szklaną klatkę obok dziewczyny, szczur miota się jak oszalały, czując prawdopodobnie zapach sera. Biega w kółko popiskując i chce wyskoczyć ze swojego więzienia, ale jest zbyt osłabiony, by cokolwiek wskórać. Wsuwam plasti-

kową rurę w specjalny otwór w klatce i okazuje się, że szczur nie potrzebuje zachęty: odkładam metalowy wieszak, którym chciałem mu wskazać drogę. Dziewczyna jest przytomna, a szczur odzyskał energię, połowa jego ciała znika w rurze, a po minucie widać już tylko ogon. Rura diży - szczur zapewne rozpoczął posiłek - wyrywam ją gwałtownie z pochwy zamykając gryzonie w pułapce. Koniuszek ogona znika pomiędzy obrzmiałymi wargami sromowymi. Dziewczyna belkocze coś, ale nic nie mogę zrozumieć.

Wiem, jak bardzo niepotrzebna i bezmyślna jest ta śmierć, ale zdołałem się już do tego przyzwyczaić. Każdy zgon ma teraz jakiś abstrakcyjny, przedestylowany format, który przez swoją bezosobowość nie robi na mnie żadnego wrażenia. Nie potrafię rozpaczać i żeby udowodnić sobie, że to prawda, po dwóch minutach patrzenia jak szczur wgryza się w podbrzusze świadomej wszystkiego dziewczyny - która rzuca rozpaczliwie głowę z rozszerzonymi z przerażenia i bólu oczyma - biorę piłę łańcuchową i przecinam ją na pół. Wirujące zęby rozszarpują ciało, mięśnie, ścięgna i kości z taką szybkością, że zanim zmarła widziała, a przynajmniej mogła widzieć, jak odrzucam nogi odcięte od korpusu - w zasadzie przeciąłem ją na wysokości bioder, a nogom towarzyszy to, co zostało z jej poranionej pochwy. Unoszę dolne kończyny jak trofeum, trzymam je przed sobą, a wokół tryska krew. Przez całą minutę oczy dziewczyny nie mogą się zamknąć, patrzą rozbiegane i zrozpaczone na to, co dzieje się z jej ciałem, potem przesłania je mgłą: kona, a ja zupełnie niepotrzebnie wsadzam jej nóż do nosa i rozcinam twarz aż do czoła, a trzonkiem odbijam od czaszki kość podbródka. Została jej tylko górna szczeka i połowa ust, w które pierdolę ją raz, potem drugi, wreszcie trzeci. Nie zastanawiając się, czy jeszcze oddycha, wyłupuję jej palcem oczy. Szczur wyłazi z okaleczonego korpusu głową naprzód - udało mu się obrócić

0 sto osiemdziesiąt stopni w jej wnętrzu - cały pokryty purpurową krwią (ma tylko połowę ogona, resztę musiałem mu odciąć piłą). Rzucam mu kawałek brie, a potem czuję potrzebę zdeptania go na śmierć, co czynię sekundę później. Po kilku minutach kość udowa i lewa kość szczękowa dziewczyny pieką się w piekarniku, a na kryształowej popielniczce od Steubena leżą kępki jej włosów łonowych. Podpalam je. Płoną bardzo szybko.

W INNEJ NOWEJ RESTAURACJI

Momentami jestem w stanie odczuwać coś w rodzaju połowicznej radości

i chęci bycia z ludźmi, dlatego przyjmuję zaproszenie Evelyn na obiad u Luke'a - nowej, supennodnej restauracji serwującej dania chińskiej kuchni nouvelle, oraz - co dziwne - potrawy kreolskie. Jest początek listopada. Mamy dobry stół (który zarezerwowałem na nazwisko Wintergreen - taka mała zemsta) i odczuwam coś, co być może jest spokojem, a także poczuciem zakorzenienia, gdy siedzę naprzeciw Evelyn rozprawiającej z przejęciem o wielkim jaju Faberge, które -jakodniosła wrażenie - toczyło się samo z siebie po holu

hotelu Pierre czy coś takiego. W zeszłym tygodniu w Royaltonie odbyło się przyjęcie firmowe z okazji Halloween. Poszedłem na nie przebrany za seryjnego mordercę. Na plecach przyczepiłem sobie tabliczkę z napisem SERYJNY MORDERCA (była zdecydowanie lżejsza od dwóch tekturowych tablic głoszących ZABUAM WIERTARKĄ i sporządzonych przeze mnie wcześniej z zamiarem włożenia ich na przyjęcie), pod którym napisałem krwią Tak, to ja. Garnitur, który miałem na sobie, był cały unurzany we krwi, częściowo sztucznej. W zaciśniętej pięści trzymałem kępkę włosów, które kiedyś należały do Victorii Bell, a w butonierce, obok małej, białej róży, umieściłem spreparowany palec (samą kość, ciało wygotowało się wcześniej). Mimo tylu zabiegów, mój kostium nie zdobył pierwszej nagrody, która przypadła w udziale Craigowi McDermottowi przebranemu za Ivana Boesky'ego. Uważam, że było to niesprawiedliwe, ponieważ wielu ludzi brało mnie w zeszłym roku za Michaela Milkena. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był domowym zestawom do usuwania ciąży.

Pierwsze pięć minut przy stole jest całkiem znośne, potem pojawiają się zamówione przez nas drinki i gdy instynktownie wyciągam po nie rękę czuję, że przewracają się we mnie wszystkie flaki, bo Evelyn znów otwiera usta. Zauważam Saula Steinberga jedzącego obiad kilka stołów dalej, ale celowo nie wspominam o tym Evelyn.

-Jakiś toast? - proponuję.

- Och, z jakiej okazji? - pyta bez zainteresowania i wyciąga szyję rozglądając się po gołych, słabo oświetlonych, bardzo białych ścianach sali.

- Wypijmy za wolność - mówię zmęczonym głosem.

Nie słucha mnie, ponieważ jakiś Anglik ubrany w wełniany garnitur w trójkątny wzorek i zapinany na trzy guziki, wełnianą tattersallową kamizelkę, bawełnianą koszulę oksfordzką z wykładanym kołnierzykiem, zamszowe buty i jedwabny krawat, całość od Garricka Andersona - Anglik, którego Evelyn pokazywała mi po naszej kłótni w Au Bar mówiąc, że wygląda "wspaniale", na co ja stwierdziłem, że jest "karłem" - otóż ten sam Anglik podchodzi do naszego stołu i zaczyna otwarcie z nią flirtować. Wkurwia mnie świadomość, że Evelyn myśli, że jestem zazdrosny, ale i tak śmieję się jako ostatni, bo facet pyta "czy pracuje jeszcze w tej galerii przy Pierwszej Alei" i Evelyn opada szczeka, cała tężeje i odpowiada, że nie, poprawia go i po kilku następnych niestosownościach facet odchodzi. Evelyn pociąga nosem, otwiera menu i natychmiast zaczyna mówić o czymś zupełnie innym, nawet na mnie nie patrząc.

- O co chodzi z tymi podkoszulkami? - pyta. - Widuję je w całym mieście. Zauważyłeś te napisy? Nadmucha Mi Śmierć? Czyżby ludzie mieli kłopoty z klimatyzacją? A może ja czegoś nie rozumiem? Może coś przeoczyłam? O co w tym wszystkim chodzi?

- Mylisz się całkowicie. Napisy brzmią: Nauka To Śmierć - wzdycham, zamykam oczy, -Jezu Chryste, Evelyn, tylko ty mogłaś zrobić z tego taką bzdurę. - Nie mam pojęcia, o czym do cholery mówię. Kiwam głową i macham do kogoś przy barze. Jest to jakiś starszy facet z twarzą ukrytą w cieniu, ktoś kogo znam połowicznie, a kto mimo to podnosi kieliszek szampana w moją stronę i uśmiecha się, co przyjmuję z ulgą.

- Kto to? - słyszę pytanie Evelyn.

- Przyjaciół.

- Nie znam go. Z P&P?

- Nieważne - wzdycham.

- Chcę wiedzieć k t o to jest! - W tej chwili bardziej interesuje ją moja niechęć do przedstawienia nieznanego, niż jego prawdziwe nazwisko.

- Dlaczego? - pytam.

- Kto to jest? - powtarza. - Powiedz mi.

- Mój przyjaciel - cedzę przez zaciśnięte zęby.

- Ale kto, Patricku? - Mruży oczy i przypatruje się mężczyźnie. - Zdaje się, że był u mnie na przyjęciu bożonarodzeniowym...

- Nie był. - Bębnię palcem po stole.

- Czy to przypadkiem nie jest Michael J. Fox? - pyta ciągle mrużąc oczy. - Ten aktor?

- Niezupełnie - stwierdzam i mam już tego dosyć. -Jezu Chryste, nazywa się George Levanter i na pewno nie grał w Tajemnicy mojego sukcesu.

- To interesujące - Evelyn spogląda na menu. - O czym to rozmawialiśmy? Usiłuję sobie przypomnieć. - O klimatyzacji? Suszarkach do włosów? -

wzdycham, - Nie wiem. Zdaje się, że ty rozmawiałaś z karłem.

- Ian nie jest karłem, Patricku - stwierdza dobitnie.

- W takim razie jest niezwykle niski, Evelyn - mówię. -Jesteś pewna, że nie był na twoim świątecznym przyjęciu... - obniżam głos - ... i nie podawał ci przekąsek?

- Nie wolno ci nazywać Iana karłem - mówi rozkazująco i rozpościera serwetkę na kolanach. - Nie znoszę tego - szepcze nie patrząc na mnie.

Nie mogę powstrzymać chichotu.

- To nie jest śmieszne, Patricku - mówi.

- Kazałaś mi się zamknąć - stwierdzam.

- Uważasz, że pochlebiasz mi zachowując się w ten sposób* - wypływa poirytowana.

- Posłuchaj, maleńka, staram się, żeby nasze spotkanie miało jak najbardziej przyjemny przebieg, więc, hm, no wiesz, nie spieprz sobie zabawy.

- Przestali - rzuca i nie zwraca na mnie uwagi. - Och, spójrz, to Robert Farrell. - Macha do niego, a potem dyskretnie wskazuje palcem. Rzeczywiście, Bob Farrell, którego wszyscy lubią, siedzi przy stole pod oknem, co w duszy doprowadza mnie do wściekłości. - Ładnie wygląda - stwierdza z podziwem Evelyn, a robi to dlatego, że właśnie zauważyła, jak przypatruję się dwudziestoletniemu laskojadowi, z którym siedzi Robert. Chcąc upewnić się, że dobrze trafiła, ćwierka złośliwie: - Mam nadzieję, że nie jesteś zazdrosny.

-Jest przystojny - zgadzam się. - Głupi, ale przystojny.

- Nie bądź złośliwy. Jest bardzo przystojny - oświadcza, a potem proponuje: - Może byś się ostrzygł tak jak on?

- Nie podoba ci się moja fryzura? - Minęło tylko kilka sekund, a moja furia sięga zenitu. - Czego jej brak do cholery? - Dotykam lekko włosów.

- Niczego. - Wie, że doprowadziła mnie do pasji. - To była tylko propozycja... - Patrzy na moją nabiegłą krwią twarz. - Twoje włosy są naprawdę... naprawdę wspaniałe. - Próbuje się uśmiechnąć, ale wygląda raczej na zmartwioną.

Łyk - pół szklanki - J&B uspokaja mnie na tyle, że mogę powiedzieć rzucając okiem na Farrella: - Przeraża mnie jego brzuch.

Evelyn przygląda mu się uważnie. - Och, przecież nie ma brzucha.

- Z całą pewnością to brzuch - stwierdzam. - Spójrz tylko.

- Nie, to sposób, w jaki usiadł... - przerywa rozdrażniona. - Och, jesteś...

- To b r z u c h, Evelyn - podkreślam z mocą.

- Oszalałeś - macha na mnie ręką. -Jesteś nienormalny.

- Evelyn, ten człowiek dopiero co skończył trzydzieści lat.

- I co z tego? Nie każdy może podnosić ciężary, jak ty - mówi poirytowana i pochyla głowę nad menu.

-Ja nie "podnoszę ciężarów" - wzdycham.

- No więc idź i strzel go w pysk, ty zbirze - kończy temat. - Nic mnie to nie obchodzi.

- Nie kuś - ostrzegam, a potem przenoszę wzrok na Farrella i mruczę: -Co za gnida.

- O mój Boże, Patricku, nie masz prawa być taki rozżalony - mówi gniewnie nie podnosząc głowy znad menu. - Twoja wrogość w stosunku do tego mężczyzny nie jest niczym uzasadniona. Z tobą naprawdę jest coś nie w porządku.

- Spójrz na jego garnitur - kontynuuję nie bez satysfakcji. - Spójrz, jak się ubrał.

- I co z tego, Patricku? - Przekłada stronę, stwierdza, że dalej jest pusta kartka, więc wraca do tego, co czytała wcześniej.

- Czy nie przyszło mu do głowy, że jego garnitur może wzbudzać odrazę? -pytam.

- Patricku, zachowujesz się jak szaleniec - oświadcza potrząsając głową i przegląda listę win.

-Jasna cholera, Evelyn, co to znaczy "zachowujesz się"? - pytam. -Ja, do kurwy nędzy, jestem s z a l e ń c e m.

- Czy musisz chwalić się tym na prawo i lewo?

- Nie wiem - wzruszam ramionami.

- Tak czy inaczej chciałam powiedzieć ci, co przytrafiło się Melanii i Taylo-rowi - dostrzega coś, wzdycha i kończy zdanie - ... przestań patrzeć na moją klatkę p i e r s i o w ą Patricku. Patrz na m n i e, a nie na mój biust. No więc o czym to ja... aha, Taylor Grassgren i Melania byli... Znasz Melanię, chodziła do Sweet Briar. Jej ojciec ma, zdaje się, wszystkie banki w Dallas? A Taylor studiował w Cornell. W każdym razie mieli spotkać się w Cornell Club, a potem mieli rezerwację u Mondriana o siódmej i Taylor ubrany był... - przerywa, wraca myślami do jakiegoś punktu opowieści. - Nie. W Le Cygne. Szli do Le Cygne i Taylor... - znowu przerwa. - O Boże, to był jednak Mondrian. Mieli być u Mondriana o siódmej i Taylor miał na sobie garnitur od Piera Dimitriego. Melania wcześniej była na zakupach.. Chyba u Bergdorfa, ale nie jestem pewna... Tak czy inaczej... och, tak, to b y ł Bergdorf, bo potem w biurze miała ten szal, no więc, alia, nie była już na aerobiku od dwóch dni i napadnięto na nich na jednej z...

- Kelner - krzyczę do jakiegoś przechodzącego faceta. - Poproszę o drinka! J&B? - Pokazuję szklankę zmartwiony, że moje słowa brzmiały bardziej jak prośba niż polecenie.

- No więc chcesz wiedzieć, co było dalej? - pyta niezadowolona Evelyn.

- Wstrzymuję oddech - wzdycham zupełnie nie zainteresowany. - Nie mogę się doczekać.

- No więc, stało się coś przezabawnego - zaczyna.

Pochłaniam to, co masz mi do powiedzenia, myślę sobie. Zauważam u Eve-hrt całkowity brak cielesności i po raz pierwszy urąga to mojemu smakowi. Przedtem właśnie owa bezcielesność najbardziej mnie u niej pociągała. Teraz jej brak bardzo mnie niepokoi, wydaje mi się czymś złowrogim i napelnia mnie niemym przerażeniem. Na ostatniej sesji - która zresztą odbyła się wczoraj - psychiatra, z którym spotykam się od dwóch miesięcy, zapytał mnie: „Jakie środki antykoncepcyjne stosujecie z Evelyn?”; westchnąłem głęboko i ze wzrokiem wbitym w drapacz chmur za oknem, a potem w obraz wiszący nad szklanym stolikiem do kawy od Turchina - gigantyczną wizualną reprodukcję korektora graficznego, którą namalował jakiś inny artysta, na pewno nie Onika - odpowiedziałem: „Jej pracę”. Gdy zapytał mnie o ulubioną pozycję podczas stosunku, zupełnie poważnie oznajmiłem: "Wykluczenie". Podświadomie zdaję sobie sprawę, że gdyby nie

to, że w restauracji jest pełno ludzi, wziąłbym jedną z chińskich pałeczek do ryżu i wepchnął ją w oko Evelyn, a potem w drugie - tak żeby pękły na pół... kiwam głową udając, że słucham, ale myślami błędę gdzieś daleko i w końcu postanawiam, że na razie dam jej spokój. Zamawiam butelkę Chassagne Montrachet.

- Czy to nie zabawne? - pyta Evelyn.

Śmieję się niezobowiązująco w tych samych momentach co ona, ale dźwięk wydobywający się z moich ust jest czystym szyderstwem. - Niesamowite - przyznaję, sam nie wiem dlaczego. Mój głos brzmi głucho. Mój wzrok wędruje po ciałach kobiet stojących wzdłuż baru. Czy mógłbym wyjechać jedną z nich? Prawdopodobnie. Może tego długonogiego laskojada, który pociąga kir siedząc na ostatnim stołku? Może. Evelyn waha się pomiędzy rodzynkami mache z sałatką gumbo i sałatką z mielonych buraków, kasztanów, nowalijek i endywii, a ja czuję się tak, jakby ktoś nagle wpompował mi do żołądka litr clonopinu, który jest środkiem antykonwulsyjnym, i który w ogóle nie działa.

- Chryste, dwadzieścia dolarów za pierdolonego zawijańca z jajkiem? -mruczę spoglądając na menu.

- To krem moo shu z mleka i jaj lekko podsmażony na grillu - poprawia mnie Evelyn.

- To pierdolony zawijaniec z jajkiem - protestuję.

Na co Evelyn odpowiada: - Ach,-jakież wspaniałe maniery, Patricku.

- Nie - wzruszam ramionami. -Jestem po prostu rozsądny.

- Rozpaczliwie marzy mi się kawior z jesiotra - stwierdza. - A tobie, najdroższy:1

- Nie - rzucam krótko.

- Dlaczego nie? - pyta robiąc kwaśną minę.

- Bo nie mam ochoty na nic z puszki, a tym bardziej na nic, co pochodzi z Iranu - wzdycham.

Pociąga wyniośle nosem i zerka do menu. - Jambalaya moo foo jest naprawdę pierwszorzędna - słyszę jej słowa.

Mijają minuty. Zamawiamy. Przynoszą nam potrawy. Talerz jest jak zwykle masywny, z białej porcelany. Na środku leżą dwa kawałki wędzonego sashimi z karmazyna z imbirem; otaczające maleńkie kropki wasabi, które z kolei są okolone przez mikroskopijne ilości hijiki; u góry talerza pojedyncza, samotna, mała krewetka. Taka sama, nawet mniejsza, zwinięta jest na samym dnie, co wprowadza zamęt w mojej głowie, bo zdawało mi się, że to chińska restauracja. Patrzę na talerz przez bardzo długą chwilę i proszę o szklankę wody. Nie minęło nawet kilka sekund, gdy przy stole pojawia się kelner z pieprzniczką, kręci się wokół nas i co chwilę pyta: "Czy przypadkiem nie trzeba państwu pieprzu?" albo: "Może pieprzu?", i gdy wreszcie znika w przegrodzie obok, gdzie - jak widzę kątem oka - ludzie zasłaniają swoje dania rękoma, kiwam do maitre'a d' i mówię mu: - Czy

zechciałby pan poprosić kelnera z pieprzniczką, żeby przestał miotać się wokół naszego stołu? Nie chcemy pieprzu. Nie zamówiliśmy nic, do czego konieczne byłoby użycie pieprzu. Żadnego pieprzu. Powiedz mu pan po prostu, żeby zabrał dupę w troki.

- Oczywiście. Państwo wybaczą - maitre d' kłania się pokornie. Zaambarasowana Evelyn pyta: - Czy zawsze musisz być tak przesadnie uprzejmy?

Odkładam widelec i zamykam oczy. - Dlaczego bez przerwy podajesz w wątpliwość stan mojego umysłu?

Wciąża powietrze. - Porozmawiajmy, Patricku. Przestańmy się przesłuchiwać. Okay?

- O czym? - warczę.

- Posłuchaj. Złot Młodych Republikanów ma odbyć się w Pla... - Przerwa, przypomina sobie coś i mówi dalej: - ... w T r u m p Plaża w przyszły czwartek. - Chcę powiedzieć jej, że się nie wyrobię i modłę się, żeby miała inne plany, choć dwa tygodnie temu, pijany i naćpany, s a m ją zaprosiłem, a działo się to u Morti-mera albo w Au Bar. - Idziemy?

Milczę przez chwilę, a potem mówię ponuro: - Chyba.

Na deser przygotowałem coś specjalnego. Dziś rano jadłem wysokokaloryczne śniadanie w Klubie «21 z Craigiem McDermottem, Alexem Baxterem i Charlesem Kennedym i ukradłem z pisuaru (gdy klozetowa patrzyła w drugą stronę) substancję zapachowo-odkazującą w formie ciasteczka z dziurką. W domu oblałem ją tanim syropem czekoladowym, wsadziłem do zamrażalnika, a potem umieściłem w pudełku od trufla Godiva, które przewiązałem jedwabną wstążką. Proszę Evelyn o wybaczenie i idę do toalety, przedtem jednak wpadam do kuchni (po drodze wyjąłem pudełko z płaszcza) i proszę kelnera, żeby zaniósł je do naszego stołu i poinformował siedzącą tam panią, że pan Bateman wcześniej zamówił ów przysmak specjalnie dla niej. Każę mu nawet wsadzić do środka kwiatek, cokolwiek, otwieram pudełko i jednocześnie daję mu pięćdziesiątkę. Mija trochę czasu, ze stołu usunięto brudne naczynia i kelner przynosi pudełko: patrzę zafascynowany z jakim namaszczeniem stawia je przed Evelyn. Na wieczku położył jakąś srebrną kopułkę i Evelyn cmoka i ćwierka z zachwytem, a kelner otwiera pudełko niczym sztukmistrz mówiąc: - Voi-la. - Evelyn sięga szybko po łyżeczkę, którą położono obok jej kieliszka do wody (zadbałem o to, żeby był pusty) i odwraca się do mnie: - Patricku, jesteś taki kochany. - Kiwam głową kelnerowi i z uśmiechem pokazuję mu, że może odejść, bo chce położyć łyżeczkę po mojej stronie stołu.

- Nie skosztujesz nawet? - pyta zmartwiona Evelyn. Cieknie jej ślinka na polanę czekoladą ciasteczko zurynału. Podnosi niecierpliwie głowę. - Uwielbiam Godive.

- Nie jestem głodny - mówię. - Obiad był taki... sycący.

Pochyla się, wacha brązowy krążek i wyczuwa coś podejrzanego (prawdopodobnie środek odkazający). Pyta mnie lekko rozczarowana: - Jesteś... pewien?

- Owszem, kochanie - odpowiadam. - Chcę, żebyś to zjadła. Zresztą i tak nie ma tego zbyt wiele.

Bierze do ust pierwszy kęs, żuje posłusznie i z natychmiastowym oczywistym obrzydzeniem przełyka. Trzęsie ją: na jej twarzy pojawia się jakiś grymas, ale zmusza się do uśmiechu i nabiera na łyżeczkę następny kawałek.

- Smakuje ci? - pytam. - Jedz, przecież to nie trucizna, a ty lubisz słodkie. Jej twarz - wykrzywiona niesmaką - bieleje, jakby brakowało jej tchu.

- O co chodzi? - pytam z uśmiechem. - Coś nie tak?

- Nie... tylko... - twarz Evelyn jest teraz długą, przedśmiertną maską, drgają na niej wszystkie mięśnie, kaszle - ... tylko dodali za dużo mięty. - Próbuje uśmiechnąć się z wdziękiem, co oczywiście jest niemożliwe. Sięga po mój kieliszek z wodą i opróżnia go jednym haustem rozpaczliwie starając się pozbyć obrzydliwego smaku z ust. Zauważa mój zmartwiony wyraz twarzy i znów próbuje się uśmiechnąć, tym razem przeprasząc. - Jest za bardzo... - trzęsie ją - ... za bardzo... miętowe.

Wyobrażam ją sobie jako wielką, czarną mrówkę - wielką, czarną mrówkę ubraną w ciuchy od Christiana Lacroix - jedzącą ciastko z pisuaru i o mały włos nie wybucham śmiechem. Muszę się opanować, zachować kamienną twarz, nie chcę, żeby nabrała podejrzeń, musi przecież skończyć urynałowy przysmak. Ale Evelyn nie może już więcej, zjadła dwa kęsy, udaje, że ma już dosyć i odsuwa od siebie kolorowy talerzyk; dokładnie w tym samym momencie zaczynam odczuwać pewien niesmak. Fakt: omal nie umarłem z zachwyty widząc, jak pożera to obrzydlistwo, ale robi mi się smutno, bo zdaję sobie sprawę, że bez względu na to, ile satysfakcji przyniosło mi wpatrywanie się w Evelyn jedzącą coś, na co ja -i niezliczone rzesze innych - szczaliśmy bez opamiętania, to jednak wszystko -włącznie z jej obrzydzeniem - odbywa się m o i m kosztem. Niesmak, rozczarowanie i żadnej korzyści z trzech straconych z nią godzin. Szczęki zaciskają się i rozluźniają, zaciskają i rozluźniają, raz za razem. Gdzieś gra muzyka, ale nic nie słyszę. Evelyn prosi szorstko kelnera, żeby przyniósł jej pastylki na niestrawność z koreańskich delikatesów za rogiem.

A potem, w sposób niezwykle prosty obiad osiąga swój punkt krytyczny, gdy Evelyn pyta: - Patricku, ja muszę wiedzieć, na czym stoję, jeśli chodzi o twoje zaangażowanie uczuciowe.

Wieczór tak czy inaczej jest już stracony, więc jej uwaga nie może zrujnować go w istotny sposób, w zasadzie byłem nawet przygotowany na coś takiego, ale idiotyzm sytuacji sprawia, że krztuszę się, popycham kieliszek z wodą w stronę Evelyn i każę kelnerowi zabrać nadgryzione ciasteczko. Moja cierpliwość kończy

się w tej samej chwili, w której znika ze stołu topiący się deser. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że przez ostatnie dwa lata Evelyn bacznie mnie obserwowała i to wcale nie z podziwem, lecz z czymś w rodzaju chciwości. Wreszcie ktoś przynosi jej kieliszek i butelkę wody Evian, choć nie słyszałem, żeby ją zamawiała.

- Wydaje mi się, Evelyn, że... - zaczynam, jakam się i zaczynam od nowa -...że... że straciliśmy ze sobą kontakt.

- Dlaczego? Co się stało? - Macha ręką do jakiejś pary - Lawrence Montgomery i Geena Webster, jak mi się wydaje. Geena (?) podnosi dłoń w bransoletach w drugim końcu sali. Evelyn kiwa z aprobatą głową.

- Moja... moja potrzeba folgowania... własnym morderczym instynktom na skalę masową jest, hm, nie do przewyciężenia - mówię starannie odmierzając słowa. - Nie istnieje... żaden inny sposób, żeby zaspokoić moje skrywane... potrzeby. - Ku własnemu zaskoczeniu czuję, że wyznanie bardzo mnie rozczuliło, jest mi ciężko, a z drugiej strony kręci mi się w głowie. Evelyn, jak zwykle, nie wraca uwagi na sens moich słów. Zastanawiam się, ile jeszcze czasu trzeba, żebym wreszcie pozbył się jej na zawsze.

- Musimy porozmawiać - mówię cicho.

Odstawia pusty kieliszek i patrzy na mnie. - Patricku - zaczyna. - Jeśli jeszcze raz powiesz mi, że powinnam powiększyć sobie biust, wychodzę - ostrzega mnie.

Zastanawiam się nad tym i mówię: - Wszystko skończone, Evelyn. Między nami nic nie ma.

- Pan Obrażalski, no, no... - Prosi kelnera o wodę.

- Mówię poważnie - rzucam cicho. - Wszystko jest, kurwa, skończone. Między nami. Ja nie żartuję.

Spogląda na mnie. Zastanawiam się czy ktokolwiek z ludzi, z którymi rozmawiam, pojmuje choćby ułamek, jakąś minimalną część z tego, co staram się im przekazać. Evelyn otwiera usta: - Pomińmy już tę kwestię, dobrze? Wybacz, że w ogóle zaczęłam o tym mówić. Napijesz się kawy? - Znowu macha do kelnera.

- Poproszę o bezkofeinowe espresso - rzuca. - Patricku?

- Porto - wzdycham. - Jakiegokolwiek.

- Czy zechciałby pan rzucić... - zaczyna kelner.

- Najdroższe porto - przerywam mu. - Aha! I piwo. Gorzkie.

- No, no - mruczy Evelyn po odejściu kelnera.

- Chodzisz jeszcze do tego konowała? - pytam.

- Patricku - syczy. - S ł o w n i c t w o!

- Przepraszam - wydycham. - Do twojego psychoanalityka.

- Nie! - Otwiera torebkę i szuka czegoś.

- Dlaczego? - pytam zmartwiony.

- Mówiłam ci już o tym - odpowiada niechętnie.

- Nie pamiętam - rzucam naśladując jej ton.

- Po którejś sesji zapytał mnie, czy nie mogłabym załatwić wejścia dla trzech osób do Nell. - Sprawdza makijaż, usta, w lusterku w pudernicze. - Dlaczego pytasz?

- Wydaje mi się, że powinnaś zasięgnąć czyjejś porady - zaczynam z wahaniem, ale mówię szczerze. - Uważam, że jesteś rozchwiana emocjonalnie.

- No wiesz! Osoba, która ma u siebie w mieszkaniu plakat pułkownika Oli-vera Northa wiszący na ścianie, śmie nazywać mnie emocjonalnie rozchwianą! - Dalej szuka czegoś w torebce.

- Mówię prawdę, Evelyn.

- Przesadzasz. Naprawdę przesadzasz. - Przerzuca rzeczy w torebce nie patrząc na mnie.

Wzdycham i zaczynam grobowym tonem: - Nie chciałbym ci się naprzykrzać, ale...

- Jakież to do ciebie niepodobne, Patricku - przerywa mi.

- Evelyn. To musi się skończyć - wzdycham do serwetki. - Mam dwadzieścia siedem lat. I nie mam zamiaru wiązać się z nikim.

- Kochanie? - zwraca się do mnie.

- Nie nazywaj mnie tak - warczę. - Jak? Kochanie? - pyta.

- Tak - odszczekuję.

- A jak mam się do ciebie zwracać? - pyta oburzona. - Panie Prezesie Rady Nadzorczej? - chichocze.

- Chryste.

- Mówię poważnie, Patricku. Jak chcesz, żebym się do ciebie zwracała? Królu, myślę sobie. Królu, Evelyn. Chcę, żebyś nazywała mnie Królem. Nie mówię tego na głos. - Evelyn, nie chcę, żebyś zwracała się do mnie w jakiegokolwiek sposób. Uważam, że powinniśmy przestać się spotykać.

- Wykluczone. Mamy wspólnych przyjaciół. Twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi, moi przyjaciele są twoimi przyjaciółmi. Nie sądzę, żeby było to możliwe - stwierdza wpatrując się w jakiś punkt w okolicach moich ust. - Masz jakiś okruszek nad wargą. Wytrzyj usta serwetką.

Rozdrażniony wycieram twarz. - Posłuchaj, wiem, że twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi i vice versa. Przemyślałem to... - przerywam i biorę głęboki oddech. - Możesz ich sobie zatrzymać.

Spogląda na mnie zmieszana i mówi: - Mówisz serio, prawda?

- Tak - stwierdzam. - Jak najbardziej.

- Ale... ale co z nami? Co z naszą przeszłością? - pyta płaczliwie.

- Przeszłość nie istnieje. To tylko sen - tłumaczę. - Nie mówmy o przeszłości.

Przymyka delikatnie oczy. - Co masz mi do zarzucenia, Patricku? - Zaciętość w wyrazie jej twarzy ustępuje wyczekiwaniu, może nawet nadziei.

- Evelyn - wzdycham. - Wybacz, ale tak się składa, że... przestałaś być dla mnie... szczególnie ważna.

Wcale jej to nie zraża. - Więc w takim razie kto jest dla ciebie ważny? Powiedz mi Patricku? Z kim chcesz być? - Przerywa gniewnie. - Z Cher?

- Cher? - powtarzam zmieszany. - C h e r? O czym ty mówisz? A zresztą nieważne. Chcę to skończyć. Muszę mieć regularne życie erotyczne. Potrzebuję jakiejs rozrywki i odprężenia.

W tej samej sekundzie Evelyn wpada w szal, nie jest już w stanie zapanować nad histerią, która wstrząsa jej ciałem. Nie sprawia mi to satysfakcji, jakiej oczekiwałem. - A co z przeszłością? Naszą przeszłością? - powtarza niepotrzebnie.

- Nie mówmy już o tym - pochylam się w jej stronę.

- Dlaczego nie?

- Bo nigdy jej nie mieliśmy - mówię starając się panować nad głosem. Evelyn bierze się w garść, przestaje zwracać na mnie uwagę i znowu zagląda do torebki. - Patologia - mruczy. - Twoje zachowanie jest patologiczne.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam urażony.

- Jesteś odrażający. Patologicznie odrażający. - Wyjmuje pudełko do lekarstw od Laury Ashley i otwiera je.

- Patologicznie jaki? - pytam próbując się uśmiechnąć.

- Nieważne. - Zażywa tabletkę, której nie rozpozna i popija wodą z mojego kieliszka.

- Moje zachowanie jest patologiczne? Wmawiasz mi, że ja zachowuję się patologicznie? - pytam z niedowierzaniem.

- Mamy zupełnie inne spojrzenie na świat, Patricku. - Pociąga nosem.

- I dzięki Bogu! - rzucam złośliwie.

- Jesteś nieludzki - oświadcza powstrzymując się - jak przypuszczam - od płaczu.

- Mam... - jąkam się chcąc wyjść z tego obronną ręką -...mam... bardzo dobry kontakt z ludzkością.

- Nie, nie, nie - potrząsa głową.

- Wiem, że czasami... popełniam błędy... - stwierdzam gmerając we wła-snym wnętrzu, lecz nagle, zupełnie niespodziewanie, Evelyn sięga rozpaczliwie po moją rękę i przyciąga ją do siebie.

- Co mam zrobić? Powiedz, czego żądasz ode mnie?

- Och, Evelyn... -jęczę cofając dłoń. Jestem zaszokowany, w końcu coś do niej trafiło.

Płacz. - Co mam zrobić, Patricku? Powiedz mi. Proszę.

- Powinnaś... o Boże, nie wiem, nosić podniecającą bieliznę? - mówię strzelając na ślepo. - Chryste, Evelyn, nie mam pojęcia. Chyba nic. Nic nie możesz zrobić.

- Proszę, powiedz, zrobię dla ciebie wszystko - szlocha cichutko.

- Nie śmiej się tak często? Zainteresuj się samochodami? Nie powtarzaj w kółko mojego imienia? Czy to chcesz usłyszeć? - pytam. - To nic nie zmieni. Nie pijesz nawet piwa - mruczę.

- Ty także nie pijesz piwa.

- To nie ma nic do rzeczy. Poza tym, zamówiłem piwo, więc mylisz się.

- Och, Patricku.

- Jeśli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić, to nie urządź tutaj sceny -mówię rozglądając się niespokojnie dokoła.

- Kelner? - zwraca się do mężczyzny, który przyniósł nam bezkofeinowe espresso, porto i gorzkie piwo. - Poproszę o... proszę o... o co? - Wpatruje się we mnie ze łzami w oczach, jest panicznie zmieszana. - Coronę? Czy właśnie to pijesz, Patricku? Coronę?

- O mój Boże. Daj spokój. Proszę jej wybaczyć - zwracam się do kelnera, który zresztą szybko odchodzi. - Tak. Coronę. Ale ponieważ znajdujemy się w pierdolonym chińsko-kreolskim przybytku, więc...

- O Boże, Patricku - szlocha i wydmuchuje nos w chusteczkę, którą jej rzuciłem. -Jesteś taki podły. Taki... nieludzki.

- Nie. Jestem... -jąkam się.

- Nie jesteś... - przerywa, wyciera twarz i nie może skończyć.

- Nie jestem kim? - pytam z zaciekawieniem.

- Nie jesteś... - pociąga nosem, patrzy w ziemię, a jej ramionami wstrząsa szloch - ... spójny..? i... - krztusi się - ... spolegliwy?
- Owszem jestem - zaprzeczam oburzony. -Jestem bardzo spolegliwy.
- Jesteś wampirem - szlocha.
- Nie, nie - patrzę na nią zakłopotany. - To ty jesteś wampirem.
- O Boże - jęczy tak głośno, że ludzie przy sąsiednim stole odwracają głowy. - Nie mogę w to uwierzyć!
- Wychodzę - mówię jej na pocieszenie. - Dokonałem oceny sytuacji i po stanowilem wyjść.
- Nie - próbuje chwycić mnie za rękę. - Nie odchodź!
- Wychodzę, Evelyn.
- Dokąd chcesz iść? - Nagle wygląda na zupełnie opanowaną. Starła się, by łzy - dopiero teraz zauważyłem, jak mało ich było - nie rozmazały jej makijażu. - Powiedz mi, Patricku, dokąd chcesz iść?

Położyłem cygaro na stole. Jest zbyt zdenerwowana, żeby odnotować ten fakt. - Po prostu wychodzę - mówię zwięźlej.

Wszyscy, którzy są zasięgu naszych głosów, jakoś dziwnie odwracają głowy.

- Dokąd idziesz? - powtarza.

Nie odpowiadam zagubiony w swoim własnym, prywatnym labiryncie mój-śli, które błędą wokół: pełnomocnictw, ofert sprzedaży akcji, EDSOP-ów, LBS-ów, IPO-sów, finansów, refinansów, zadłużeń, konwersji, prokurencji, paragrafów 8-K, 1()-Q, kuponów zero wartościowych, PiK-sów, Produktów Narodowych Brutto, Międzynarodowych Funduszy Walutowych, najmodniejszych gadżetów dla biznesmenów, miliarderów, Kenkichi Nakajimów, nieskończoności, Nieskończoności, jazd superluksusowym samochodem, kaucji, lewych obligacji, pytania czy powinienem dalej abonować The Economist, Bożego Narodzenia, kiedy miałem czternaście lat i zgwałciłem jedną z naszych służących, Wewnętrzności, zazdrości w stosunku do innych ludzi, pytania czy można przeżyć ze złamaną podstawą czaszki, czekania na lotniskach, duszenia w sobie krzyku, karta kredytowych i czyjś paszportu, i zapalek z La Cote Basque spryskanych krwią, powierzchni powierzchni powierzchni, i tego, że Rolls to jest Rolls to jest Rolls. Dla Evelyn nasz związek ma barwy błękitu i żółci, dla mnie jest to dojmująca szarość przechodząca w czerń: zbombardowaną; w mojej głowie kręci się rolka filmu, na której zapisano nie kończące się ujęcia kamieni, język na ścieżce dźwiękowej brzmi całkiem obco, odgłosy nakładają się na nowe obrazy: krew lejącą się z bankomatów, kobiety rodzące dupami, zamrożone, rozdarte embriony (sam w końcu nie wiem jakie?), głowice nuklearne, miliardy dolarów, totalną zagładę świata, bicie kogoś, śmierć kogoś innego, niekiedy bezkrwawą, częściej od kuli karabinu, morderstwa, stany śpiączki, życie odgrywane w serialu komediowym, białe płótno, które rekonfiguruje się w operę mydlaną. To izolotka, oddział zamknięty, który służy jedynie wyrażaniu mojej mocno nadwerężonej zdolności odczuwania. Stoję pośrodku, wysłany, nieodebrany i nikt nie pyta nawet, kim jestem. Nagle wyobrażam sobie szkielet Evelyn, poskręcam, rozsypujący się w proch i ta myśl napęnia mnie radością. Odpowiedź na pytanie Evelyn - Dokąd idziesz? - zabiera mi dużo czasu. Upijam łyk porto, potem piwa, podniecam sam siebie i chcę jej powiedzieć, a jednocześnie myślę: Czy sprawiłoby ci różnicę, gdybym był automatem?

- Libia - dosyć długa pauza. - Pago Pago. Chciałem powiedzieć Pago Pago - a potem dodaje: - Z powodu twojego skandalicznego zachowania, nie płacę za ten posiłek.

PRÓBUJE UGOTOWAĆ i ZJEŚĆ DZIEWCZYNE

Świt. Listopad. Nie mogę zasnąć, wije się na sofie ubrany w garnitur. Głowa boli mnie tak, jakby ktoś rozpałił na niej ognisko, ból pełza po całej czaszce, nie pozwala zaniknąć oczu: jestem zupełnie bezbronny. Żaden narkotyk, ani jedzenie, żaden alkohol nie jest w stanie pokonać potęgi wszechogarniającego bólu. Mam napięte, sztywne mięśnie, wszystkie nerwy płoną żywym ogniem. Co godzinę zażywam sominex, bo skończyło mi się dalmane. Lekarstwo nie pomaga, opakowanie po sominexie jest już puste. W rogu sypialni leżą jakieś rzeczy: para damskich butów od Edward Susan Bennis Allena, dłoń bez kciuka i palca środkowego, nowy egzemplarz P-śnity/a/rpoplamiony czyjąś krwią i pas do smokingu czerwony od posoki; z kuchni sączy się do sypialni świeży zapach

gotującej się krwi. Zwlekam się z sofy i idę do salonu, w którym ściany oddychają smrodem rozkładu przenikającym każdy centymetr ich powierzchni. Zapalam cygaro mając nadzieję, że dym choć na chwilę zmieni skład dusznej atmosfery.

Odcięte piersi mają teraz sinawy kolor i wyglądają tak, jakby ktoś spuścił z nich powietrze; sutki przybrały niepokojący brązowy odcień. Otoczone zaschniętą, czarną-krwią leżą ułożone delikatnie obok siebie na porcelanowym półmisku - który kupiłem w Pottery Barn - stojącym na szafie grającej Wurlitzera w rogu pokoju; nie pamiętam, żebym go tam stawiał. Zdarłem skórę i większość mięśni z jej twarzy, która teraz jest tylko czaszką z długimi splotami jasnych włosów opadających po bokach. Głowa połączona jest jeszcze z kompletnym, zimnym ciałem. Z szeroko otwartych oczodołów zwisają gałki oczne. Większość klatki piersiowej i szyi nie różni się od siebie wyglądem i przypomina mielone mięso, żołądek zaś z łatwością można by wziąć za bakłażana z lasagną z kozim serem podawanymi w II Marlboro, albo za jedzenie dla psów z dominującymi barwami czerwieni, bieli i brązu. Część wnętrza jest rozsmarowana na ścianie, reszta leży zbita w kulki układające się na szklanym blacie stoliczka do kawy w długie, węzowate kształty przypominające zmutowane tasiecmce. Kawałki skóry, które jeszcze trzymają się ciała są sinoszare zupełnie jak cyniblia. Z pochwy wylał się brązowy płyn o konsystencji syropu, cuchnący jak chore zwierzę, jak strawiony szczur, którego pochłonęły żarłoczne wargi sromowe.

Przez następne piętnaście minut nie jestem sobą: wyciągam z trupa sine sznury jelit, wpycham je do ust, krztusząc się wilgotną zawartością smakującą jak zepsuty makaron. Po godzinie ciężkiej pracy udaje mi się oddzielić od ciała kręgosłup, który postanawiam zawinąć w chusteczki higieniczne i wysłać ekspresem (nie oczyściwszy go nawet) na adres Leony Helmsley (na poczcie podpiszę się

cudzym nazwiskiem). Chcę pić krew tej dziewczyny jak szampan, zanurzam twarz w tym, co zostało z jej brzucha i ocieram żarłoczną szczękę o pęknięte żebro. Gdzieś - chyba u mnie? - dudni włączony telewizor: najpierw nadają The Patty Winters Show poświęcony dzisiaj przetworom z ludzkiego mleka, potem teleturniej Koło Fortuny, podczas którego oklaski ze studia rozlegające się za każdym razem, gdy koło zatrzymuje się na jakiejś nowej liczbie, brzmią jak zakłócenia w aparacie radiowym. Rozluźniam krawat brudną od krwi ręką i oddycham głęboko. Tak wygląda moja rzeczywistość. Wszystko, co jest poza nią przypomina stary film, który kiedyś widziałem.

W kuchni próbuję przygotować klopsy z ciała dziewczyny: jest to bardzo frustrujące zajęcie i spędzam resztę popołudnia rozsmarowując wnętrza po ścianach i żując kawałki skóry, które odrywam od trupa; potem odpoczywam oglądając z taśmy nowy serial komediowy CBS zatytułowany chyba Murphy Bromj. Wypijam dużą szklankę J&B i wracam do kuchni. Głowa w kuchence mikrofalowej jest już zupełnie czarna i bezwłosa, przekładam ją na blachę i wsadzam do piekarnika, żeby dopiec resztki ciała, których nie zdołałem oderwać. Następnie wrzucam korpus do worka na śmieci; moje mięśnie wzmocnione preparatem Ben-Gay z łatwością dają sobie radę z ciężarem. Postanawiam, że to, co zostało z dziewczyny, wykorzystam do sporządzenia jakiejś kielbasy.

W głośnikach gra muzyka z ostatniego kompaktu Richarda Marxa, na kuchennym stole leży torba od Zabara wypełniona cebulowymi bagietkami i przyprawami. Mielę kości, tłuszcz i mięso na pasztet i cliociaż od czasu do czasu przychodzi mi do głowy myśl, że to co robię jest absolutnie nie do przyjęcia, odganiam ją napominając się, że ta rzecz, ta dziewczyna, to mięso, jest niczym, jest głównym; zażywam hanax (biorę go teraz co pół godziny) i znajduję spokój, zaczynam nucić, nucić melodie z programów, które oglądałem jako dziecko -Jet-sanów? Skórki banana? Scooby Doo? Zygmun i morskie potwory? Pamiętam dokładnie tę piosenkę, melodię, nawet tonację i klucz, ale nie mogę sobie przypomnieć tytułu programu. Może to było Udsville? A może KofPufnucy? Pytaniom towarzyszą inne, bardziej zróżnicowane, na przykład: "Czy wsadzą mnie do więzienia?" albo "Czy ta dziewczyna miała ufne serce?" Zapach mięsa i krwi wisi jak ciężka chmura nad całym mieszkaniem i w zasadzie nie zwracam już na niego uwagi. Później moja makabryczna radość zmienia się w płacz, łkam nad sobą nie znajdując ukojenia we własnych czynach, szlocham i powtarzam w kółko: "Chcę być tylko kochany", przeklinam ziemię i wszystko, czego mnie nauczono, odrzucam od siebie zasady, rozróżnienia, wybory, moralność, kompromisy, wiedzę,

spójność, modlitwę - wszystko to jest błędem i nie służy żadnemu ostatecznemu celowi. Wszystko sprowadza się do jednego stwierdzenia: przystosuj się lub zdychaj. Wyobrażam sobie własną pustą twarz i bezcielesny głos wydobywający się z ust: Żyjemy w potwornych czasach. Robaki wiją się już na ludzkiej kielbasie,

kapie na nie ślina sącząca się z moich warg i ciągle nie wiem, czy zastosowałem dobrą recepturę, czy to, co gotuję, będzie smaczne, bo nie mogę przestać płakać i tak naprawdę nigdy przedtem niczego nie gotowałem.

ZABIERA PISTOLET MASZYNOWY Uzi DO SALI GIMNASTYCZNEJ

Pewnej bezksiężycowej nocy czuję się dobrze po dwóch godzinach treningu i siedzę w pustej sali klubu Xclusive. Pistolet leżący w mojej szafce nazywa się Uzi i kosztował mnie całe siedemset dolarów. W aktówce Bottega Veneta mam jeszcze Lugera Mini (IISD469) - ulubioną broń wszystkich myśliwych, ale nie podoba mi się jego wygląd; Uzi jest bardziej męski, wywołuje dramatyczne wrażenie, co niesamowicie mnie podnieca. Siedzę na ławce ze słuchawkami na uszach ubrany w kolarskie spodenki z czarnej lycry za dwieście dolarów i odczuwam pierwsze efekty działania valium: wpatruję się w kuszącą ciemność szafki. Gwałt i morderstwo dokonane zeszłej nocy na studentce NYU, tuż za Gristede na Placu Uniwersyteckim obok akademika, mimo niezbyt sprzyjających okoliczności, czasu i miejsca, okazały się nad wyraz satysfakcjonujące. Jestem w refleksyjnym nastroju i niejako wbrew sobie wkładam pistolet - będący dla mnie symbolem porządku - z powrotem do szafki. Użyję go innym razem. Teraz muszę oddać kasety, podjąć pieniądze z bankomatu i skorzystać z trudnej do załatwienia rezerwacji w 150 Wooster.

POŚCIG, MANHATTAN

Czwartkowy wieczór, u Bouleya w Pasie Ziemi Niczyjej, niewarty zapamiętania obiad; w którymś momencie zwracam się do wszystkich obecnych przy stole: - Posłuchajcie panowie, moje życie jest piekłem. - Ignorują mnie, całe towarzystwo (w składzie: Richard Perry, Edward Lampert, John Constable, Craig McDermott, Jim Kramer, Lucas Tanner) dyskutuje zawzięcie o lokowaniu aktywów, akcjach, które mają największe szansę w nadchodzącej dekadzie, lasko-jadach, majątkach trwałych, złocie, dlaczego obligacje długoterminowe są obecnie zbyt ryzykowne, rozkładanych kołnierzykach, pakietach kontrolnych, jak efek-

Skórki banana? Scooby Doo ś' Zygmunta i morskie potwory?

tywnie wykorzystać władzę, nowych metodach treningowych, Stolicznej Cristall, jak robić najlepsze wrażenie na przełożonych, odwiecznej czujności, życiu w rozkwicie; zupełnie nie mogę nad sobą zapanować w sali restauracyjnej, w której zebrały się całe hordy potencjalnych ofiar. Ostatnio widuję je wszędzie - na spotkaniach w interesach, w klubach nocnych, restauracjach, w przejeżdżających taksówkach i w windach, w kolejce do bankomatów i na kasetach porno, w Ciasteczkach Davida i w CNN, wszędzie i zawsze mają jedną wspólną cechę: są zwierzy-ną. Podczas obiadu o mało się nie rozklejam, kręci mi się w głowie, co zmusza mnie do opuszczenia stołu przed deserem i pójścia do toalety, w której zażywam liniijkę kokainy. W szatni zdejmuję z wieszaka wełniany płaszcz od Giorgio Ar-maniego, w którego fałdach ukryłem niezbyt starannie.3.57 magnum. Wkładam kaburę pod pachę i wychodzę na zewnątrz; w dzisiejszym wydaniu The Patty Winters Show pokazano wywiad z mężczyzną, który podpalił swoją rodzoną córkę, na obiad wszyscy zamówili rekina...

... w Triebce mgła, niebo wygląda jakby zaraz miał zacząć padać deszcz, restauracje na dole świecą pustkami, po północy ulice wydają się odległe, nierealne, jedyną oznaką życia jest dźwięk saksofonu dobiegający z rogu Duane Street, gdzie w wejściu do tego, co kiedyś było DuPlexem, a teraz jest zwykłym opuszczonym bistro zamkniętym w zeszłym miesiącu, stoi młody chłopak, z brodą, w berecie gra bardzo piękne choć banalne saksofonowe solówki, u jego stóp leży otwarty parasol, w nim wilgotny banknot jednodolarowy i trochę drobnych, nie mogę się powstrzymać i podchodzę bliżej, słucham muzyki, zdaje się, że jest to coś z Nędzników, chłopak zauważa moją obecność, kiwa głową i zamyka oczy podnosząc instrument do góry odchyła się do tyłu, co ma zapewne wyrazić emocjonalne podejście do muzyki; jednym płynnym ruchem wyciągam 357 magnum z kabury i nie chcąc zwracać niczyjej uwagi przykręcam tłumik, ulicami wieje zimny jesienny wiatr, który targa połami naszych płaszczy, i gdy ofiara otwiera oczy i zauważa pistolet,

dźwięk urywa się, choć ustnik tkwi pomiędzy wargami chłopca, czekam, głową nakazuję mu grać dalej, bojaźliwie dmucha w instrument, podnoszę pistolet do jego twarzy i naciskam spust w połowie tonu, tłumik nie zadziałał, za głową grajka pojawia się olbrzymi purpurowy pierścień, huk broni ogłusza mnie, chłopak jeszcze żyje, choć to agonia, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma i zwała się na kolana, potem na saksofon, usuwam łuskę i umieszczam nowy nabój w komorze, i wtedy dzieje się coś niedobrego...

... gdy byłem zajęty chłopcem nie zauważyłem wozu patrolowego, który zatrzymał się przy chodniku w niewielkiej odległości od DuPlexu - po co? Bóg jeden wie, może z zamiarem wlepiania nam mandatu za złe parkowanie? - i gdy huk magnum zamiera odbijając się echem od dalszych budynków, nocną ciszę przeszywa syrena policyjna, której dźwięk wydobywa się jakby spod ziemi sprawiając, że o mały włos nie dostaję palpitacji serca, odchodzę od diżącego ciała, powoli, nonszalancko, udając niewinnego, a potem nagle ruszam z kopyta, pędzę ile sił, auto z gliniarzami wyje za mną, a z głośnika dobiega bezsensowny krzyk posterunkowego "stój zatrzymaj się, stój odłóż broń", nie zwracam na to uwagi, skręcam w lewo na Broadway i pędzę w stronę City Hall Park, wpadam w zaułek, samochód glin jedzie za mną, ale musi stanąć w połowie wąskiego przesmyku, błękitne iskry sypią się z szorujących o mur drzwi, dobiegam do końca zaułka i wypadam na Church Street, gdzie zatrzymuję taksówkę, wskakuję na przednie siedzenie i wrzeszczę do kierowcy - 'jakiegoś młodego Irańczyka, który kompletnie zbaraniał - by "wypierdalał stąd szybko, albo nie, niech prowadzi", macham mu spluwą przed nosem, chłopak wpada w panikę, krzyczy swoim łamanym angielskim "nie strzelaj, proszę nie zabijaj mnie" i wyciąga ręce do modlitwy, mrużę "o kurwa" i drę się na całe gardło "jedź", ale on jest zbyt przerażony "och nie zabijaj mnie człowieku nie strzelaj", rzucam niecierpliwie "pierdol się" i unoszę pistolet, pociągam za spust, kula otwiera głowę, rozwala ją na pół jak ciemnoczerwonego arbuza rozprysniętego na szybie, wyciągam rękę ponad ciałem, otwieram drzwi, wypycham trupa, zatrzaskuję drzwi, ruszam...

... dyszę czując gwałtowny skok adrenaliny, udaje mi się przejechać tylko kilka przecznic, po części z powodu paniki, ale przede wszystkim dlatego, że krew, mózg i kawałki głowy rozmazały się na szybie ograniczając widoczność, o mały włos nie doprowadzam do zderzenia z inną taksówką na rogu Franklin - czy to na pewno Franklin? - i Greenwich, odbijam ostro w prawo, ocieram się o drzwi zaparkowanej limuzyny, potem wrzucam wsteczny bieg i ruszam z piskiem opon włączając wycieraczki, za późno, zdaję sobie sprawę, że krew rozprysnięta na szybie znajduje się w e w n ą t r z auta, próbuję zetrzeć ją dłonią w rękawiczce i pędząc na oślep Greenwich całkowicie tracę panowanie nad kierownicą, taksówka mknie wprost na koreańskie delikatesy obok restauracji karaoke, która nazywa się Kwiat Lotosu (byłem tu kiedyś z japońskim klientem), przetacza się po straganach z owocami, rozwala szklaną ścianę (ciało kasjerki dudni głucho o maskę), a Patrick usiłuje wrzucić wsteczny bieg, ale nic się nie dzieje, więc wychodzi chwiejnym krokiem z auta, opiera się o bagażnik i kulejąc wymyka się ze sklepu, wokół panuje denerwująca cisza, "ładnie narozrabiałeś Bateman" mruży do siebie, za jego plecami jęczy w agonii leżąca na masce kobieta, Bateman nie ma pojęcia, skąd wziął się gliniarz pędzący teraz w jego stronę przez ulicę, mężczyzna wrzeszczy coś do swojego walkie-talkie myśląc, że Patrick jest w szoku, lecz ten zaskakuje go rzucając się do przodu i pozbawiając przytomności, zanim zdążył wyciągnąć pistolet...

... gliniarz pada na chodnik, na którym tłoczą się teraz goście Kwiatu Lotosu wpatrując się tępym wzrokiem w zniszczenia, nikt nie rusza na pomoc policjantowi, który doszedł do siebie i leżąc walczy z Patrickiem, a nawet siada na nim dysząc z wysiłku, próbuje wytrącić magnum z jego ręki, ale Bateman jest skazo-

ny, w jego żyłach płynie benzyna zamiast krwi, ziywa się wiatr, spada temperatura, zaczyna padać deszcz, walczący toczą się miękko po chodniku, Patrick uważa, że brakuje muzyki, łypie demonicznie okiem, serce wali mu niczym młot, z łatwością kieruje pistolet w twarz gliniarza, broń trzymają dwie obce ręce, lecz tylko palec Patricka jest na spuście, kula żłobi wgłębienie w czaszce i nie zabija policjanta, Patrick celuje jeszcze raz, zelżał uścisk obcej dłoni na kolbie, Bateman strzela prosto w twarz tamtego, wychodząca z głowy kula zostawia za sobą różową mgiełkę, niektórzy

ludzie na chodniku krzyczą i nic więcej, chowają się, uciekają z powrotem do restauracji, a do delikatesów jedzie wóz patrolowy, który -jak wcześniej wydawało się Patrickowi - na dobre utknął w zaułku, migoczą czerwone światła, auto zatrzymuje się z piskiem dokładnie w tym samym momencie, w którym Patrick potyka się o krawężnik i pada na chodnik, przeładowuje magnum, czołga się za róg, ogarnięty przerażeniem, które - jak sądził - minęło, myśli: nie wiem, co zrobiłem, dlaczego wszyscy mnie gonią?, zastrzeliłem sakso-fbniśtę, tylko s a k s o f o n i s t ę?, który był też prawdopodobnie mime m?, i za to spotyka mnie to w s z y s t k o?, słyszy nadjeżdżające samochody zagubione gdzieś w pobliskim labiryncie ulic, otaczający go gliniarze nie będą bawić się w ostrzeżenia, rozlegają się strzały, Patrick odpowiada na nie ogniem, strzela 7, biodra, kątem oka widzi dwóch policjantów kryjących się za otwartymi drzwiami samochodu, broń pluje ogniem jak w kinie i Patrick zdaje sobie sprawę, że wdał się w prawdziwą bitwę, czy coś w tym rodzaju, że schyla głowę przed kulami, że sen może się skończyć, właściwie już się skończył, że nie celuje zbyt dokładnie, odpowiada po prostu ogniem na ogień zagubiony we własnych myślach, leży, gdy prapadkowa kula, szósta z nowego magazynku, trafia w bak z paliwem policyjnego auta, przednie światła gasną na chwilę tylko po to, żeby rozbłysnąć ognistą kulą razem z resztą samochodu, odłamki wirują wysoko w ciemnościach, nagle, zupełnie nieoczekiwanie pękają żarówki ulicznych lamp, wokół wirują żółtozielone iskry, płomienie liżą ciała policjantów, jeszcze żywych i już martwych, wybuch wrywa wszystkie okna w Kwiecie Lotosu, Patrickowi dzwoni w uszach...

...gdy biegnie przez Tribekę w kierunku Wall Street trzyma się z dala od jasnych plam światła rzuconego przez latarnie, dostrzega bogate domy stojące wzdłuż ulicy, pędzi obok stojących rzędem sportowych porsche, próbuje dostać się do każdego z nich uruchamiając po kolei wszystkie alarmy, samochód, który chciałby ukraść to czarny range rover z napędem na cztery koła, nadwoziem z lotniczego aluminium spoczywającym na stalowym zawieszeniu, z ośmiocyndrowym silnikiem i bezpośrednim wtryskiem paliwa, ale w pobliżu nigdzie nie ma takiego auta, co bardzo go rozczarowuje, czuje się pijany splotem niesamowitych wręcz okoliczności, samym miastem, deszczem padającym z mroźnego nieba, deszczem, który miasto ogrzewa trzewiami tworząc mgłę unoszącą się w kanionach między wieżowcami w Battery Park, Wall Street, wszędzie, większość z nich

jest teraz rozmazana niczym w kalejdoskopie, Patrick przeskakuje przez metalową przegrodę na jezdni, wykonuje s a l t o i biegnie jak oszalały, pędzi co sił w płucach, jego mózg podporządkował całe ciało potrzebie maksymalnego wysiłku, wszystko przez panikę, byle dalej, byle tylko znaleźć jakieś schronienie, wydaje mu się, że drogą szybkiego ruchu jedzie za nim samochód, czuje, że noc przyjęła go jak swego, gdzieś daleko słysząc strzał, którego nawet świadomie nie rejestruje, jego umysł pracuje teraz asynchronicznie, zapomina co się z nim dzieje i dokąd zmierza i dopiero widok budynku, w którym mieści się firma Pierce & Pierce, jego firma, uświadamia mu gdzie jest i dlaczego, w budynku gasną światła wyłączane piętro po piętrze, wygląda to tak, jakby dom pochłaniała ciemność, Patrick biegnie jeszcze sto jardów, dwieście jardów, wpada na schody prowadzące na dół, dokąd?, stara się opanować strach i przerażenie, z zamętem w głowie rzuca się do holu biurowca, który wziął za swój budynek, lecz nie, coś jest nie tak, o co chodzi?, przeniosłeś się (przeprowadzka była koszmarem, choć ma teraz lepsze biuro, nowe sklepy Barneya i Godny dodają uroku prowadzącemu do niego koniarzowi), pomylił domy, ale dopiero przy windzie...

... zamkniętej na głucho dostrzega stojącego w holu olbrzymiego Juliana Schnabela, mówi do siebie kurwu to nie ten budynek, odwraca się, biegnie do obrotowych drzwi, ale nocny portier, który już wcześniej machał do niego ręką, zastępuje mu drogę tuż przed samym wyjściem, "Gania nas po nocy, co, panie Smith? Zapomniał się pan wpisać", sfrustrowany Patrick strzela do niego kręcąc się raz i drugi w obrotowych drzwiach, które zresztą wrzuciły go z powrotem do holu Bóg wie czego, kula trafia portiera w gardło przewracając go na plecy, drobiny rozprószonej krwi wiszą przez chwilę w powietrzu, a potem opadają na skurczoną, wykrzywioną twarz młotczyzny, w odległym kącie korytarza stoi czarny dozorca i przygląda się temu wszystkiemu, Patrick dostrzega go kątem oka, zauważa szczotkę, której koniec spoczywa w rękach Murzyna i która teraz opada w kierunku wiadra stojącego w pewnej odległości od jego stóp, czarnuch unosi dłonie ku twarzy, a Patrick strzela mu między oczy, twarz dozorca zalewa krew, tył głowy eksploduje czerwoną

miazgą, kula odrywa kawałek marmuru za plecami ofiary, która wpada na ścianę rzucona siłą uderzenia, Patrick biegnie przez ulicę do światła nowego biura i gdy wchodzi do holu...

...kiwa głową Gusowi, naszemu nocnemu portierowi, wpisuje się, idzie do windy, jedzie wysoko w zbawczą ciemność okrywającą jego piętro, powraca spokój, poczucie bezpieczeństwa w anonimowym wnętrzu mojego biura, drżącymi dłońmi podnoszę telefon bezprzewodowy, przeglądam numery zapisane w obrotowym notatniku Rolodex, zmęczone oczy odnajdują telefon Harolda Carnesa, powoli wybieram siedmiocyfrowy numer, oddycham głęboko, równo, postanawiam ogłosić publicznie to, co do tej pory było moją prywatną, osobistą tragedią, Harolda nie ma w domu, wyjechał w interesach do Ixmdynu, zostawiam nagraną wiadomość, przyznaję się do wszystkiego, do trzydziestu, do czterdziestu, stu morderstw, rozmawiam z maszyną Harolda, a na niebie pojawia się helikopter z mocnym punktowym reflektorem, leci nisko nad rzeką, gdzieś dalej niebo rozdziera na pół błyskawica, helikopter leci w kierunku budynku, w którym byłem poprzednio, ląduje na dachu po przeciwnej stronie ulicy, na dole aż roi się od policjantów, są dwie karetki, z helikoptera wyskakuje brygada antyterrorystyczna, pół tuzina uzbrojonych po zęby ludzi znika w wejściu na dachu, wszędzie na dole palą się policyjne flary, obserwuję to z telefonem w dłoni skulony obok biurka, łkam, choć sam nie wiem dlaczego i zwieram się maszynie Harolda: -Zostawiłem ją na parkingu... obok Ciastkarni Dunkina... gdzieś w śródmieściu... - i wreszcie po dziesięciu minutach rozłączam się konkludując: - Uhm, jestem poważnie chory... - odkładałam słuchawkę, po chwili dzwonię do niego po raz drugi, sygnał buczy w nieskończoność, co dowodzi, że moje wcześniejsze wyznanie rzeczywiście się nagrało, w końcu odzywam się: - Słuchaj, to jeszcze raz ja, Bateman, jak będziesz jutro w mieście, wpadnij do Da l Jmberto, może tam będę, więc, rozumiesz, miej oczy szeroko otwarte... - a potem słońce, ognista gwiazda dźwiga się nad Manhattanem, jeszcze jeden świt i wkrótce noc zamienia się w dzień w takim tempie, że wygląda to jak złudzenie optyczne...

HUEY LEWIS AND THE NEWS

Huey Lewis and the News to formacja pochodząca z San Francisco, która na początku dekady szturmem zdobyła krajową scenę muzyczną wydając w wytwórni Chrysalis pop-rockowy album (zatytułowany po prostu "Huey Lewis and the News"). Jednak dopiero przebojowa płyta "Sports" z roku 1983 stała się pierwszym artystycznym i komercyjnym sukcesem zespołu. Już na pierwszym dużym krążku grupy z łatwością można było doszukać się fascynacji i inspiracji czerpanych z bluesa, brzmienia soul z Memphis czy muzyki country, jednak w tym okresie członkowie zespołu zbyt żarłocznie odcinali kupony popularności New Wave (stylu obowiązującego na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych), co nie pozostało bez wpływu na kształt debiutanckiej płyty, która mimo wielu zalet ma swoje wady w postaci surowego, punkowego brzmienia, którego przykładem może być praca bębnowa na pierwszym singlu "Some of My Lies Are True (Sooner or Later)" czy syntetycznie wyklaskiwany rytm na "Don't Make Me Do It", a także organy w "Taking a Walk". Teksty w początkowej fazie działalności formacji mają nieco wymuszony charakter, choć ich bezpretensjonalność (ograniczają się głównie do spraw męsko-damskich) oraz energia, z jaką podaje je wokalista Lewis, sprawiły, że całość jawi się świeżo i ciekawie. Jest to także spora zasługa gitarzysty prowadzącego, Chrisa Hayesa, który oprócz gry na instrumencie wspiera wokalnie Lewisa. Solówki Hayesa są oryginalnymi improwizacjami, tak charakterystycznymi dla najlepszych dokonali rocka. Klawiszowiec, Sean Hopper, gra-wprawdzie zbyt mechanicznie na organach, ale jego popisy fortepianowe w drugiej części albumu są znacznie lepsze. Bębny Billa Gib-sona były na pierwszej płycie zbyt wytłumione, by mogły zrobić wrażenie. Talent kompozytorski członków grupy nie rozwinął się w pełni na ich debiutanckim albumie, miało to nastąpić nieco później, jednak nawet tutaj piosenki są stosunkowo melodyjne i nawet udatnie wyrażają tęsknotę, żal czy przerażenie ("Stop Trying" to tylko jeden z przykładów).

Huey Lewis and the News pochodzą z San Francisco, co oznacza, że ich muzyka ma pewne cechy wspólne z brzmieniem południowokaliifornijskim reprezentowanym choćby przez taką formację jak The Beach Boys (mam na myśli wspaniałe harmonie, wspólne skomplikowane wokalizy, śpiewne melodie, a nawet zdjęcie z okładki pierwszej płyty, na którym członkowie zespołu pozują z deskami surfingowymi), ale oprócz tego niesie ze sobą swoisty nihilizm i ponury nastrój, tak

charakterystyczne dla - na szczęście zapomnianego już - punk rocka granego na początku dekady w Los Angeles. Mówiąc o Młodych Gniewnych pamiętajmy o Huey Lewisie i posłuchajmy "Who Cares", "Stop Trying", "Don't Tell Me That You Love Me" czy "Trouble in Paradise" - tytuły tłumaczą się same! Huey śpiewa atakując nuty jak zgorzkniały rozbitek, a zespół brzmi tak samo gniewnie, jak wykonawcy w rodzaju The Clash, Billy Joela czy Blondie. Nie powinniśmy zapominać, że odkrycie Huey Lewis and the News zawdzięczamy samemu Elvisowi Costello. Huey grał na harmonijce ustnej na drugim pustym i jałowym albumie Costello zatytułowanym "My Aim Was You". Lewis ma to samo zgorzknienie, które przypisuje się Elvisowi, ale Huey jest przy tym bardziej wesoły w swój cyniczny, rozczarowany sposób. Ehis uważa być może, że intelektualna zabawa słowami jest tak samo ważna jak na przykład dobre przyjęcie i nie wierzy, zdaje się, że pogoda ducha potrafi zniwelować cyniczne nastawienie do świata, ale ciekawy jestem, co myśli na temat sprzedaży płyty Lewisa znacznie przewyższającej jego własną?

Dla Hueya i chłopców sprawy przybrały lepszy obrót wraz z wydaniem w roku 1982 drugiego albumu zatytułowanego "Picture This". Pochodzą z niego dwa półprzeboje: "Workin' for a Living" i "Do You Believe In Love". Nie bez znaczenia dla sukcesu piosenek były narodziny teledysku jako formy artystycznej (nakręcono jeden wspólny wideoklip dla obu utworów) wspomagającej sprzedaż płyt. Brzmienie albumu - cłóć ciągle bliskie ślepemu zaułkowi Nowej Fali - kierowało się już w stronę korzeni rocka, co być może było wynikiem mik.su płyty sporządzonego przez Boba Clearmountaina i przejęcia produkcji przez człon-

ków zespołu. Kompozycje z "Picture This" są niewątpliwie o wiele ciekawsze niż te, które grupa nagrała na pierwszej płycie - zespół nie obawiał się nawet cichych eksperymentów z innymi gatunkami muzycznymi, jak choćby reggae ("Tell Her a Little Lie") czy ballada ("Hope You Love Me Like You Say", "Is It Me?"). Grupa wzięła sobie na szczęście do serca pochwały za swoje potężne popowe brzmienie i zaczęła być mniej buntownicza, mniej gniewna (choć są tutaj wyjątki, jak choćby "Workin' for a Livin'" - robotniczy hymn, który brzmi jakby pochodził z pierwszego albumu). The News przykładą teraz większą wagę do znaczenia osobistych stosunków z ludźmi, do miłości - cztery do dziesięciu utworów na płycie ma słowo "miłość" w tytule - i nie stara się pozować na ansambl nihilistyczny. Generalnie druga płyta ma zaskakująco lekki i przyjemny charakter, co stanowi duży krok naprzód w karierze zespołu.

Jeśli chodzi o warsztat wykonawczy, członkowie the News zrobili duży postęp. Sekcja instrumentów dętych o nazwie Tower of Power nadała płycie bardziej otwarte, cieplejsze brzmienie. Niewątpliwie najlepszymi utworami na drugim albumie są "Workin' for a Livin'" i "Do You Believe In Love?" - ten ostatni to prawdziwe małe arcydzieło opowiadające o dziewczynie, którą spotkał kiedyś wokalista "rozglądając się za kimś"; dziewczynie, którą pyta "czy wierzy w miłość?" Piosenka nie przynosi odpowiedzi na to pytanie (słuchacz nie dowiaduje się, co powiedziała dziewczyna), co jest dodatkowym wyrazem nowego podejścia do sprawy uczuć przez członków zespołu - tak innym od prostoty zaprezentowanej na debiutanckim albumie. W "Do You Believe In Love?" mamy też wspaniałe solo saksofonowe Johnny'ego Colli (który mógłby zawstydić nawet Clarence'a Clemons'a). Colla, podobnie jak Chris Hayes na gitarze i Sean Hopper na klawiszach, to mocny akcent zespołu (solówka w balladzie "Is It Me?" potwierdza ten fakt). Głos Hueya pełen jest eksperymentalnych niuansów, nie brzmi już tak zgrzytliwie i jest w nim jakaś żałość, co szczególnie słychać w "The Only One" - wzruszającej piosence opowiadającej o tym, co dzieje się z naszjini duchowymi przywódcami i dlaczego (praca perkusji Billa Gibsona ma wyjątkowe znaczenie dla tego nagrania). W zasadzie płyta mogłaby się skończyć na tym mocnym, robiącym duże wrażenie utworze, lecz dodano jeszcze "Buzz Buzz Buzz" - nic nie warty bluesowy numer, który brzmi dosyć bezsensownie w porównaniu z tym, co było przedtem, choć z drugiej strony można go potraktować jako żart, a Tower of Power są na nim w znakomitej formie.

Zespół nie popełnił podobnego błędu na trzecim albumie, bezbłędnym arcydziele "Sports" (Chrysalis). Każda piosenka z tej płyty jest potencjalnym olbrzymim przebojem i większość z nich rzeczywiście wspięła się na szczyty krajowych list. "Sports" to album, dzięki któremu Huey Lewis and the News weszli do panteonu rocka. Zespół już dawno porzucił swój stajny image "złych chłopców", na płycie dominuje słodczy charakterystyczna dla młodych członków studenc-

kich korporacji (w jednej z piosenek wycięto nawet słowo "dupa"). Cała płyta ma jasne, przejrzyste brzmienie i błyszczy całkowitym profesjonalizmem. Śmieszne teledyski nakręcone do takich utworów, jak "Heart And Soul", "The Heart of Rock'n'Roll", "If This Is It", "Bad Is Bad", "I Want a New Drug" sprawiły, że zespół został supergwiazdą MTV.

Wyprodukowany przez członków grupy album "Sports" otwiera popisowy numer "The Heart of Rock'n'Roll", pełna miłości oda do muzyki rockowej granej w całych Stanach Zjednoczonych. Po niej słuchamy "Heart and Soul", pierwszego wielkiego singla grupy i markowej piosenki Huey Lewisa (choć napisali ją "outsider/y" w osobach Michaela Chapmana i Nicky Chinna), która sprawiła, że zespół został uznany za jedną z najlepszych i najważniejszych formacji rockowych w latach osiemdziesiątych. Co prawda tekst tego utworu nie współgra z innymi przedstawionymi na płycie - z których większość ma charakter czysto usługowy - jednak generalnie jest interesującym opisem często popełnianego błędu, jakim są znajomości zawierane na jedną noc (wcześniejszy, gniewny Lewis nigdy nie pozwoliłby sobie na tak konformistyczne przesłanie). "Bad Is Bad", piosenka napisana w całości przez Lewisa, jest najbardziej bluesowym numerem nagrany do tego momentu przez zespół, bas Maria Cipollini brzmi tutaj niezwykle efektownie, ale dopiero harmonijka Lewisa nadaje utworowi jego niepowtarzalny charakter. "I Want a New Drug" z zabójczym riffem gitarowym (Chrisa Hayesa) to oś płyty - jest to nie tylko najlepsza piosenka mówiąca o szkodliwości narkotyków, jaką kiedykolwiek napisano, lecz także dowód na rozwój osobowości wszystkich członków grupy, którzy pozbyli się gorsetu "niegrzecznych chłopców" i stali się dorośli. Solówka Hayesa jest wprost niewiarygodna, maszyna perkusyjna - której co prawda nie odnotowano w instrumentarium - nadaje "I Want a New Drug" i większości utworów na płycie spójny rytm, którego nie znajdziemy we wcześniejszych dokonaniach grupy, mimo przyzwoitej pracy Billa Gibsona.

Reszta kompozycji z albumu "Sports" jest bezbłędna - drugą stronę otwiera głęboko poruszający utwór "Walking on a Thin Line" - nikt do tej pory, włącznie z Bruce'em Springsteenem, nie napisał tak miażdżącej krytyki losu, jaki spotkał weteranów wojny w Wietnamie w naszym społeczeństwie. Piosenka - choć nie napisana przez członków zespołu - pokazuje nowo nabytą świadomość społeczną grupy i udowadnia wszystkim, którzy kiedykolwiek w to wątpili, że Huey Lewis and the News to formacja o wielkim sercu. W "Finally Found a Home" - peanie na cześć dorastania - zespół potwierdza swoją dojrzałość. Utwór mówi o odrzuceniu pozy buntownika i "odnalezieniu siebie" w pochłaniającej energii rocka. W zasadzie piosenka ta ma tyle warstw znaczeniowych, że czasami można odnieść wrażenie, że jest zbyt skomplikowana jak na ten album, ale wspaniały rytm i dzwoniące klawisze Seana Hoppera sprawiają, że nadaje się nawet do tańczenia. "If This Is It" to jedyna ballada na całej płycie, lecz w żadnym razie nie jej

słaby punkt. Utwór ten jest prośbą kochanka o niezrywanie związku przez partnerkę, a wokół Hueya (być może najlepszy na całej płycie) genialnie wyraża nadzieję i miłość. Podobnie jak w większości kompozycji zawartych na albumie, tekst "If This Is It" nie opowiada o uganianiu się za dziewczynami czy pragnieniu ich posiadania, zamiast tego koncentruje się na opisie związku partnerskiego dwojga ludzi. "Crack Me Up" to chwilowy powrót do epoki NewWave i momentami zabawny, popierający dojrzałość protest przeciwko narkotykom i picciu.

Na koniec wspaniałego albumu zespół wybrał "Honky Tonk Blues" (piosenkę, którą napisał ktoś o nazwisku Hank Williams) i choć jest to zupełnie inny rodzaj muzyki, jej wpływ daje się odczuć także we wcześniejszych utworach. Myślę tu o profesjonalizmie, który cechuje wykonawstwo bluesów honky-tonk. (Na marginesie warto dodać, że Huey Lewis nagrał w tym okresie dwie piosenki do filmu "Powrót do przyszłości", "The Power of Love" i "Back in Time" - obydwie zajęły pierwsze miejsca na krajowej liście przebojów stając się tym samym integralną częścią, a nie tylko dodatkiem do legendarnej kariery). Cóż można jeszcze dodać - szczególnie dla tych wszystkich, którym nie podobał się album "Sports"? Dziewięć milionów ludzi nie może się mylić!

"Fore!" (Chrysalis; 1986) to w zasadzie kontynuacja koncepcji zawartych na albumie "Sports" w wykonaniu stuprocentowych profesjonalistów. Na tej płycie chłopcy nie muszą już udowadniać, że są dorośli i że zaakceptowali rock and rola jako swoje medium artystyczne. Zrobił to za nich trzyletni okres, jaki upłynął od nagrania poprzedniego albumu (na okładce płyty trzech członków

zespołu wystąpiło w garniturach!). Pierwsza piosenka to prawdziwy ognisty wybuch - "Jacob's Ladder" opowiada o walce i bezkompromisowości, czyli tych wartościach, którym - o czym być może nie wszyscy pamiętają - hołduje Huey Lewis and the News. Jest to (pomijając "Hip to Be Square") z pewnością najlepsza piosenka na płycie (choć nie napisali jej członkowie grupy). Następnie przychodzi kolej na dobroniosny i pełen słodczy utwor "Stuck With You" - zabawny pean na cześć przyjaźni i małżeństwa. W zasadzie większość kompozycji na płycie poświęcona jest trwałym związkom partnerskim - w przeciwieństwie do materiału z wcześniejszych albumów, na których przedstawiano pożądanie i pragnienie związane z dziewczyną i kłopoty, jakie sprawia miłość. Na "Fore!" kontrolę przejmuje chłopiec (który zdobył dziewczynę) mocno trzymający sprawy w swoich rękach. Ten nowy wymiar The News podkreśla sens materiału zawartego na płycie, członkowie zespołu są zadowoleni i usatysfakcjonowani, mniej spięci a bardziej rozluźnieni, co sprawia, że album jest radosnym wyrazem wspólnego odczuwania świata i przykładem wspaniałej roboty wykonawczej. Lecz mimo to, na każdy utwor w rodzaju "Doing It All for My Baby" (który jest rozkoszną odą na cześć mono-gamii i zadowolenia) przypada bluesowa szczypta soli w postaci na przykład "Whole Lotta Lovin". Strona pierwsza albumu (utwór numer pięć na CD) koń-

czy się arcydziełem "Hip To Be Square" (cóż to za nieszczęście, że teledysk nakręcony do tej piosenki jest tak potworny! ale to chyba jedyny zły videoklip Huey Lewis and the News), kluczową piosenką na "Fore!", będącą nywolną odą do konformizmu obdarzoną tak śpiwną melodią, że ludzie prawdopodobnie nie zwracają nawet uwagi na słowa! I rzeczywiście, kogóż może obchodzić tekst, gdy z głośników rozbrzmiewają potężna gitara Chrisa Hayesa i wspaniałe klawisze Hoppera? Piosenka ta, to nie tylko opowieść o przyjemnościach płynących z konformizmu i mody - utwor zawiera również ważne przesłanie dotyczące samego zespołu, choć nie jestem pewny jego treści.

Druga część "Fore!" nie ma już takiej intensywności jak część pierwsza, lecz mimo to możemy znaleźć na niej kilka prawdziwych perełek o dosyć złożonym charakterze, jak choćby "I Know What I Like", odważną deklarację niezależności - utwor, który sześć lat wcześniej nie mógłby się znaleźć w repertuarze the News. "I Never Walk Alone" uzupełnia poprzednią piosenkę i jego miejsce na płycie nie jest przypadkowe. Utwór ten wyjaśnia sens "I Know What I Like" na szerszej płaszczyźnie (jest tu także wspaniałe solo organowe i, jeśli pominąć "Hip To Be Square", najlepsza wokaliza na płycie). "Forest for the Trees" to gorący apel antysamobójczy i choć tytuł brzmi jak komunał, Huey i zespół potrafią przedstawić nawet najbardziej banalne stwierdzenia w sposób fascynujący i tylko sobie właściwy. Szykowna wokaliza a cappella zatytułowana "Naturally" przywodzi na myśl okres niewinności, tak genialnie wpleciony w melodyjne harmonie wokalne zespołu (które równie dobrze można by wziąć za jedno z nagrań The Beach Boys) i choć w zasadzie jest to piosenka z odrzutów, coś w rodzaju drobnego żartu, to jednak mamy jeszcze majestatyczną kompozycję "Simple as That", robotniczą balladę, w której rezygnacja współbrzmi z nadzieją, a dosyć skomplikowane przesłanie (nie napisane przez członków zespołu) mówiące o przetrwaniu, prowadzi wprost do następnego albumu, "Smali World", na którym zespół porusza kwestie globalne. "Fore!" być może nie jest arcydziełem na miarę "Sports" (cóż mogłoby dorównać tej płycie?), ale jest to album niezwykle satysfakcjonujący na swój sposób, podobnie jak spokojniejszy, delikatniejszy Huey Lewis and the News anno domini 1986.

"Smali World" (Chrysalis; 1988) to najambitniejszy i najbardziej zadowalający artystycznie projekt wyprodukowany przez zespół. Młodzi Gniewni ustąpili miejsca sprawnym profesjonalistom i chociaż Huey gra dobrze tylko na jednym instrumencie (harmonijce ustnej), jej majestatyczne, dylanowskie brzmienie nadaje "Smali World" czar i powab, który udało się osiągnąć tylko niewielu artystom. Album ten świadczy o zmianach dokonujących się w łonie zespołu, jest to także pierwsza płyta o jednorodnym temacie - Huey podejmuje tutaj jedną z najistotniejszych kwestii współczesności, to znaczy problemy globalnej komunikacji. Nie powinno nas zatem dziwić, że czteię z dziesięciu piosenek na płycie ma w ty-tułę słowo "świat". Również po raz pierwszy na albumie umieszczono aż t r z y utwory instrumentalne zamiast jednego, jak było to do tej pory.

Kompakt zaczyna się efektownie utworem napisanym przez Lewisa/Hayesa, "Smali World (Part One)", który oprócz przesłania mówiącego o zgodzie i życiu w harmonii ze światem ma wspaniałe solo gitarowe Hayesa w samym środku. W kompozycji "Old Antone's" można doszukać się wpływów stylu zydeco, który zespół poznał zapewne podczas licznych tras koncertowych po kraju. Pełne smaku wykonawstwo muzyki Cajun jest zupełnie unikatowe i jedyne w swoim rodzaju, a to dzięki między innymi Bruce'owi Hornshy'emu, który cudownie gra na akordeonie i słowom, w których pobrzmiewa echem klimat Delt. W przeboju singlowym "Perfect World" słyszymy znów niesamowicie wprost sprawną sekcję dętą Tower of Power. Jest to z pewnością najlepsze nagranie na płycie (napisane przez Alexa Calla, który nie jest członkiem zespołu) łączące w sobie wszystkie tematy poruszane na albumie - akceptację niedoskonałości świata i "marzenia o życiu w świecie lepszym". Piosenka ta, to typowy szybki utwór pop, który porusza głęboko czystymi intencjami i wspaniałą grą zespołu. Dalej słyszymy dwa nieco dziwne nagrania instrumentalne: pierwsze z nich to niezrozumiały konglomerat reggae i afrykańskich rytmów tanecznych zatytułowany "Bobo Tempo", następnym jest druga część piosenki "Smali World". Mimo braku słów w tych kompozycjach, słuchacz nie traci z pola widzenia zasadniczego przesłania, jakim jest globalna komunikacja, co świadczy na korzyść wykonawców, którzy nie poszli na łatwiznę i zamiast "wypełniaczy" zaserwowali nam powrót tematyczny do początku płyty wraz z wszelkimi tego faktu implikacjami; dodatkowo członkowie zespołu mogą się popisać swoimi umiejętnościami improwizatorskimi.

Stronę drugą otwiera przebojowy utwór "Walking with the Kid", w którym Huey po raz pierwszy dzieli się z nami przemyśleniami na temat odpowiedzialnego ojcostwa. Jego głos brzmi tutaj dojrzałe i chociaż słuchacz dopiero w ostatniej linijce tekstu dowiaduje się, że "dzieciak" to nie jest kumpel wokalisty, lecz jego syn, powaga Lewisa w pełni może nas usatysfakcjonować i aż trudno uwierzyć, że jest to ten sam facet, który nie tak dawno śpiewał "Heart and Soul" czy "Some of My Lies Are True". Największa ballada na płycie, zatytułowana "World to Me", jest marzycielską perełką, która opowiadając o byciu razem, czyni aluzje do odległych krain, takich jak Chiny, Alaska czy Tennessee, i powtarza temat "Smali World", w którym zespół brzmi naprawdę dobrze.

"Give Me the Keys (And I'll Drive You Crazy)" to wesoły rockowy blues opowiadający (jakże inaczej?) o jeździe samochodem. Tym razem motyw przewodni albumu powtórzony jest w bardziej radosny sposób niż w poprzednim utworze i chociaż tekst tej piosenki może niektórym wydać się ubogi treściowo, to mimo wszystko jest ona bardzo charakterystyczna dla nowego "poważnego" Lewisa - Hueya artysty - który zresztą nie stracił nieco frywolnego poczucia humoru. Album kończy utwór "Slammin'", kompozycja instrumentalna, która w zasadzie ogranicza się do gry sekcji dętej i mówiąc szczerze - jeśli włączy się ją naprawdę głośno - doprowadza do kurewskiego bólu głowy, a nawet mdłości; być może na płycie analogowej albo na kasecie brzmi to inaczej, ale ja nic o tym nie wiem. Po wysłuchaniu tego utworu czułem się bardzo dziwnie przez kilka dni. Co gorsza, melodia nie nadaje się do tańczenia.

Prawie setka ludzi pracowała nad płytą "Smali World" (wliczając w to muzyków sesyjnych, techników od bębnow, księgowych, prawników - dla których także są specjalne podziękowania), co pogłębia w nas zrozumienie zasadniczego tematu porozumienia między ludźmi i nie wprowadza zamieszania na albumie - wręcz odwrotnie "Smali World" stanowi niezwykle radosne doświadczenie. Mając w dorobku taką płytę (i cztery poprzednie) Huey Lewis and the News udowadniają, że jeśli świat jest rzeczywiście mały, to członkowie grupy tworzą n aj-lepszy amerykański zespół lat osiemdziesiątych na tym czy jakimkolwiek innym kontynencie, a Huey Lewis jest kompozytorem i wokalistą, którego nie da się prześcignąć.

W ŁÓŻKU z COURTNEY

Leżę w łóżku z Courtney. Luis jest w Atlancie. Courtney diży, przytula się do mnie, odpoczywa. Zsuwam się z niej i opadam na plecy lądując na czymś twardym i pokrytym futrem. Sięgam za siebie i wyciągam czarnego, wypchanego kota z błękitnymi klejnotami zamiast oczu. Zdaje się, że widziałem go na wystawie u F.A.O. Schwarza podczas wczesnych zakupów przed Bożym Narodzeniem. Nie mam pojęcia jak powinienem zareagować, więc chrząkam i mówię: - Podobno lampy Tiftany'ego... znowu są w modzie. - Nie widzę jej twarzy w ciemnościach, słyszę tylko

westchnienie, bolesne i ciche, potem trzask zakrętki, gdy otwiera buteleczkę z lekarstwami i odgłos prostujących się sprężyn, gdy zmienia pozycję na łóżku. Rzucam kota na podłogę i wstaję, żeby wziąć prysznic. Tematem The Patty Winters Showdziś rano były piękne nastoletnie lesbijki. Oglądając program czułem tak wielkie podniecenie, że zostałem w domu (zamiast iść na konferencję) i onanizowałem się dwa razy. Potem, nie mając nic innego do roboty, spędziłem nieprzyzwoicie dużo czasu w galerii Sotheby, gdzie wynudziłem się śmiertelnie czując przy tym dziwne zakłopotanie. Wczoraj: obiad z Jeanette w Leżakach - moja partnerka wyglądała na zmęczoną i prawie nie jadła. Podzieliliśmy się pizzą, która kosztowała dziewięćdziesiąt dolarów. Wycieram ręcznikiem włosy do sucha, wkładam szlafrok od Ralph Lauren i wracam do sypialni, gdzie

zaczynam się ubierać. Courtney pali papierosa i ogląda Late Night with David Letterman z mocno ściszonego dźwiękiem.

- Zadzwoń do mnie przed Świętem Dziękczynienia? - pyta.

- Może. - Zapinam koszulę i zastanawiam się po co właściwie tutaj przyszedłem.

- Wybierasz się gdzieś na świąteczny obiad? - pyta głucho. Moja odpowiedź jest zwięzła: - River Cafe. Potem Au Bar, może.

- To miło - mruczy.

- A ty i... Luis? - pytam.

- Jesteśmy zaproszeni na obiad do Tada i Maury - wzdycha. - Ale nie sądzę, byśmy tam poszli.

- Dlaczego nie? - Wkładam kamizelkę z czarnego kaszmiru (Polo) myśląc: naprawdę jestem ciekaw.

- Och, wiesz przecież co myśli Luis o Japończykach... - zaczyna, a jej wy.rok jest już szklisty.

Nie kończy. Poirytowany zachęcam ją do mówienia: - Twoje słowa mają sens. Mów dalej.

- W zeszłą niedzielę Luis nie chciał grać w chińczyka u Tada i Maury, bo mają w domu Akitę. - Zaciąga się papierosem.

- No i... - przerywam. - Co dalej?

- Graliśmy u mnie.

- Nie wiedziałem, że palisz - stwierdzam.

Uśmiecha się smutno i dosyć głupkowato. - Nigdy nie zauważyłeś.

- Okay, przyznaję, że jestem zakłopotany, ale tylko trochę. - Podchodzę do lustra od Marlina, które wisi nad tekowym biurkiem od Sottsassa i sprawdzam, czy nie przekrzywił mi się węzeł kaszmirowego krawata od Annaniego.

- Posłuchaj, Patricku - mówi z wysiłkiem. - Czy moglibyśmy porozmawiać?

- Wyglądasz cudownie - wzdycham odwracając głowę i przesyłając jej pocałunek dłonią. - Nie ma o czym mówić. Wychodzisz za Luisa. I to już w przyszłym tygodniu.

- Czy to nie dziwne? - pyta sarkastycznie, lecz bez gniewu

- Czytaj z moich ust - rzucam i odwracam się z powrotem do lustra. - Wyglądasz cudownie.

- Patricku?

- Tak, Courtney?

- Jeśli nie zobaczymy się przed Świętem Dziękczynienia... - przerywa zmieszana -...już teraz życzę ci wszystkiego najlepszego!

Patrzę na nią przez chwilę, a potem rzucam bezbarwnie: - Wzajemnie.

Podnosi z podłogi wypchanego, czarnego kota i głaszcze go po głowie. Wychodzę do hollu i idę do kuchni.

- Patricku? - woła cicho z sypialni. Przystaję, lecz nie odwracam się. - Taki'

- Nic.

SMITH & WOLLENSKY

Jestem z Craigiem McDermottem u Hany'ego na Hanover. Craig pali cygaro, pije martini Stoli Cristall i pyta mnie, jak powinno się nosić chusteczkę w kieszonce marynarki. Piję to samo i udzielam mu odpowiedzi. Czekamy na Harolda Carnesa, który w czwartek wrócił z Londynu i spóźnia się już pół godziny. Jestem nerwowy, niecierpliwy i gdy mówię McDermottowi, że powinniśmy byli zaprosić Todda lub nawet Hamlina, który z pewnością miałby kokainę, ten

wzrusza ramionami i stwierdza, że może znajdziemy Carnesa w Delmonico. Jednak nie znajdujemy Carnesa w Delmonico i idziemy na przedmieścia do Sinitha & Wollensky'ego, gdzie mamy rezerwację o ósmej; rezerwację załatwioną przez jednego z nas. McDermott ubrany jest w dwurzędowy (sześć guzików) wełniany garnitur od Cerrutti 1881, tatersallową, bawełnianą koszulę od Louisa z Bostonu i jedwabny krawat od Dunhilla. Ja założyłem dziś dwurzędowy (sześć guzików) wełniany garnitur od Ennenegilda Zegny, bawełnianą koszulę w paski od Lucia-na Barbery, jedwabny krawat od Armaniego, zamszowe półbuty od Ralpa Lau-rena i skarpety od E.G.Smitha. Mężczyźni zgwałceni przez kobiety - tak brzmiał temat porannego The Putty Winters Show. Siedzę przy stole u Smitba & Wollensky'ego - restauracja jest zadziwiająco pusta. Wcześniej zażyłem valium, a teraz piję dobre czerwone wino. Zastanawiam się od niechcenia nad losem kuzyna z St. Alban's w stanie Waszyngton; krewnego, który ostatnio zgwałcił dziewczynę i odgryzł jej płatki uszu; potem myślę o chorym podnieceniu jakie mi towarzyszyło, gdy nie zamówiłem mielonych i o tym jak kiedyś jeździliśmy z bratem konno i grywaliśmy w tenisa - wspomnienie to dotyka mnie boleśnie. McDermott wyrывa mnie z zadumy zauważając - gdy podano obiad - że nie zamówiłem mielonych.

- O co chodzi? Nie możesz jeść obiadu u Sinitha Wollensky'ego bez mielonych! - marudzi.

Unikam jego spojrzenia i dotykam cygara w kieszeni marynarki.

-Jezu, Bateman, ty jesteś niebezpiecznym maniakiem. Za długo pracujesz u Pierce'a & Pierce'a - jęczy. - Żeby, kurwa, nie zamówić mielonego!

Milczę. W jaki sposób mam poinformować McDermotta, że przeżywam jeden z najtragiczniejszych okresów w moim życiu i że według mnie ściany, które pomalowano na kłującą w oczy biel pulsują i świecą w jarzeniowym blasku żarówek. Gdzieś daleko Frank Sinatra śpiewa "Czary". Wpatruję się w ściany, wsłuchuję w tekst piosenki i nagle odczuwam pragnienie, ale nasz kelner przyjmuje właśnie zamówienie od dużego stołu, przy którym siedzą sami japońscy biznesmeni. Ktoś, kto według mnie jest Georgem McGowanem lub Taylorem Presto-nem, siedzi w łożu za nami i wpatruje się we mnie podejrzliwie; McDermott wbił oczy w mój stek i przygląda mu się ze zdumieniem, a jeden z Japończyków ma ze sobą liczydło, inny próbuje wymówić słowo "teriyaki", jeszcze inny otwiera usta i śpiewa wrą/ z Sinatra, a stół wybucha śmiechem - dziwny to, choć niezupełnie obco brzmiący dźwięk. Japończyk podnosi pałeczki do ryżu, potrząsa dumnie głową i naśladuje Franka. Otwiera usta, z których płyną słowa: -...sróbujpsynść tu i spóiiż... te solone sury...

Coś w TELEWIZJI

Ubierając się przed spotkaniem z Jeanette - z którą wybieram się na nowy angielski musical (premiera odbyła się przed tygodniem na Broadwayu), a potem na obiad w Progresie, nowej restauracji Malcolma Forbesa na Upper East Side - oglądam nagrany na taśmie poranny The Patty Winters Showskładający się z dwóch części. Pierwsza poświęcona jest wokaliście zespołu rockowego Guns N'Roses, Axlowi Rose'owi, który według Patty miał powiedzieć w jednym z wywiadów: "Kiedy jestem zestresowany, tracę kontrolę i wyżywam się na sobie. Kiedyś ciąłem się żyłkami, ale później zdałem sobie sprawę, że blizny szpecą bardziej niż na przykład to, że nie ma się wieży stereo... więc teraz wolę skopać magnetofon, niż dać komuś w ryja. Kiedy się wściekam, jestem zmartwiony lub jest mi źle, siadam do fortepianu i gram dla siebie". Na część drugą składają się czytane przez Patty listy Teda Bundy'ego, masowego mordercy, pisane do narzeczonej podczas jednego z wielu procesów, jakie mu wytoczono. "Droga Carole" - czyta Patty, a na ekranie pojawia się nieszczególny portret Teda na kilka dni przed egzekucją, "proszę nie siadaj w sądzie w jednym rzędzie z Janet. Gdy patrzę na ciebie, ciągle widzę ją, widzę, jak wbija we mnie oszalałe spojrzenie obłąkanej mewy obserwującej kraba... Czuję, jak oblewa mnie wrzącą smołą..."

Czekam aż coś się stanie. Siedzę w sypialni blisko godzinę. I nic się nie dzieje. Wstaję, biorę resztę koki - mikroskopijną ilość - która zaplatała się w garderobie po ostatniej imprezie w M.K. czy Au Bar. Wpadam do Orso na drinka przed spotkaniem z Jeanette; gdy zadzwoniłem do niej wcześniej wspominając, że mam dwa bilety na musical, powiedziała: "Pójdę", więc kazałem jej czekać na siebie przed teatrem za dziesięć ósma, a ona odłożyła słuchawkę. Siedząc samot-

nie przy barze w Orso przypominam sobie, że chciałem zadzwonić do telewizji na jeden z dziesięciu numerów migających u dołu ekranu, ale nie wiedziałem, co powiedzieć, a potem powtarzam cicho sześć słów przeczytanych przez Patty: Czuję, juk oblewa mnie wrzącą smołą.

Zjakiegoś powodu przypominam sobie to zdanie raz jeszcze, gdy po musicalu siedzimy z Jeanette w Progresie. Jest już późno, a w restauracji tłok. Zamawiamy coś, co nazwa się orle carpaccio, do tego mahi-mahi mesquite z grilla, endywię z chevre i migdały w czekoladzie, potem to niesamowite gazpacho z surowym kurczakiem w środku i gorzkie piwo. W tej chwili na moim talerzu nie ma nic, co nadawałoby się do jedzenia, a to co jest, smakuje jak gips. Jeanette ma na sobie wełniany smokingowy żakiet, jedwabny szyfonowy szal z rękawem, wełniane spodnie od smokingu - całość od Armaniego, w uszach stare .dote kolczyki z diamentami, na nogach rajstopy od Givenchy i płaskie lakierki ze wstążeczkami ze sztucznego jedwabiu. Bez przerwy wzdycha i grozi, że zapali papierosa, choć siedzimy w sali dla niepalących. Jej zachowanie bardzo mnie niepokoi, powoduje, że w mojej głowie rodzą się i rozwijają czarne myśli. Od pewnego czasu Jeanette pije kiry na bazie szampana i widać to po niej; gdy zamawia szóstego, sugeruję, że może starczy. Spogląda na mnie i mówi: -Jest mi zimno i mam pragnienie, dlatego zamówię to, na co mam, kurwa, ochotę

Odpowiadam: - Dlaczego więc na litość boską nie weźmiesz sobie Evian lub San Peilegrino.

SANDSTONE

Siedzę z matką w jej prywatnym apartamencie w Sandstone, gdzie obecnie mieszka na stałe. Matka jest na dużej dawce środków uspokajających, na nosie ma okulary przeciwsłoneczne i bez przerwy dotyka włosów. Wpatruję się we własne dłonie przekonany, /t diąż w sposób widoczny. Matka próbuje się uśmiechnąć i pyta, co chcę dostać na Gwiazdkę. Nie jestem zaskoczony wysiłkiem, jaki muszę włożyć w uniesienie głowy i spojrzenie na nią. Jestem ubrany w wełniano-gabardynowy garnitur zapinany na dwa guziki z ostrymi klapami od Gian Marca Venturiego, sznurowane, skórzane półbuty ze wzmacnianym czubkiem od Armaniego. krawat z kolekcji Polo i skarpety nie pamiętam już od kogo. Zbliża się połowa kwietnia.

- Nic - odpowiadam i uśmiecham się uspokajająco.

Milczenie. Przerywam je pytaniem: - A ty co chciałabyś dostać?

juk oblewa mnie wrzaca. smołą.

Nie odpowiada przez bardzo długą chwilę, opuszczam głowę i znów wpatruję się we własne dłonie, w zaschniętą krew - prawdopodobnie dziewczyny o imieniu Suki - pod paznokciem kciuka. Matka oblizuje wargi i mówi zmęczonym głosem: - Nie wiem. Chciałabym jedynie mieć miłe Święta.

Nie odpowiadam. Przez ostatnią godzinę przyglądam się własnym włosom w lustrze, które szpital zainstalował na moje polecenie w pokoju matki.

- Wyglądasz na nieszczęśliwego - stwierdza nagle.

- Nieprawda - zaprzeczam wzdychając lekko.

- Wyglądasz na nieszczęśliwego - powtarza, tym razem ciszej. Ponownie dotyka swoich oślepiająco białych włosów.

- No cóż, ty też - odpowiadam powoli mając nadzieję, że nic więcej nie powie.

Nie mówi nic więcej. Siedzę na krześle pod oknem i widzę przez kraty, że trawnik na zewnątrz jest teraz ciemniejszy, chmura przesłoniła słońce; wkrótce jednak trawnik znów się zieleni. Matka siedzi na łóżku w podomce od Bergdor-fa i pantoflach od Normy Kamali, które kupiłem jej na Gwiazdkę w zeszłym roku.

- Czy przyjęcie było udane? - pyta.

- Owszem - rzucam zgadując.

- Ilu było gości?

- Czterdziestu. Pięciuset - wzruszam ramionami. - Nie jestem pewien. Znów oblizuje wargi i dotyka włosów. - O której wyszedłeś?

- Nie pamiętam - odpowiadam po długiej przerwie.

- O pierwszej? Drugiej? - pyta.

- Musiała być pierwsza - rzucam chcąc zamknąć tę kwestię.

- Ach tak... - przerywa i poprawia okulary, czarne Ray-Bany, które kupiłem jej u Bloomigdale'a za dwieście dolarów.

- Nie było zbyt udane - mówię niepotrzebnie spoglądając na nią.

- Dlaczego? - pyta z zaciekawieniem.

- Po prostu nie było - odpowiadam opuszczając głowę i patrząc na dłoń, na odrobinę krwi pod paznokciem kciuka. Na nocnym stoliku obok łóżka stoi fotografia ojca z lat młodości, obok zdjęcie Seana i moje, gdy mieliśmy po kilkanaście lat: ubrani jesteśmy w smokingi i żaden się nie uśmiecha. Ojciec ma na foto grafii dwurzędową marynarkę sportową zapinaną na sześć guzików, białą bawełnianą koszulę z rozkładanym kołnierzykiem, krawat, chusteczkę w kieszonce, buty - wszystko od Brooks Brothers. Stoi obok artystycznie uformowanego krzewu, który przypomina zwierzę (zdjęcie zrobiono dawno temu w posiadłości jego ojca w Connecticut) i coś jest nie w porządku z jego oczyma.

NAJLEPSZE MIASTO DO INTERESÓW

W deszczowy czwartkowy wieczór po treningu w Xclusive odwiedzam mieszkanie Paula Owena na Upper East Side. Upłynęło sto sześćdziesiąt jeden dni od momentu, gdy spędziłem tu wieczór z dwiema dziewczynami z agencji towarzyskiej. W żadnej z gazet nie wspomniano nawet o odkryciu ciał, nie mówiła o tym żadna lokalna rozgłośnia ani stacja telewizyjna. Żadnych plotek, żadnych domysłów wśród znanych mi osób. Posunąłem się nawet do tego, że podczas obiadów lub w hollu Pierce'a & Pierce'a nagabywałem różnych ludzi - dziewczyny, znajomych z pracy - czy słyszeli o dwóch okaleczonych trupach prostytutek znalezionych w apartamencie Paula Owena. I zupełnie jak na filmie: nikt nic nie słyszał, nikt nie miał pojęcia o czym w ogóle mówię. Jest cała masa innych zmartwień: zastraszająca ilość środków na przeczyszczenie i amfetaminy dodawanych do sprzedawanej na Manhattanie kokainy, Azja w latach dziewięćdziesiątych, faktyczne niepodobieństwo załatwienia rezerwacji na ósmą w PR - nowej restauracji Tony ego McManusa na wyspie Liberty - heroina. Z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę przyjąć, że w zasadzie nie znaleziono żadnych ciał. Z tego co wiem Kimball również przeniósł się do Londynu.

Gdy wysiadam z taksówki, wydaje mi się, że budynek wygląda inaczej niż ostatnio, choć sam nie wiem dlaczego. Ciągle mam jeszcze klucze, które zabrałem Owenowi w noc zabójstwa, wydaję je teraz, by otworzyć drzwi hollu - lecz nic z tego, klucz nie pasuje. Natomiast za drzwiami pojawia się umundurowany portier - którego nie było sześć miesięcy temu - i zaprasza mnie do środka przepraszając za zwłokę. Stoję w deszczu kompletnie zmieszany, a portier pokazuje za siebie i pyta wesoło z silnym irlandzkim akcentem: - Wchodzi pan czy nie? A może lubi pan moknąć? - Wchodzę do hollu z parasolem pod ręką i wpycham z powrotem do kieszeni maseczkę chirurgiczną, którą wziąłem ze sobą spodziewając się, że cały dom będzie przesiąknięty trupim odorem. Trzymam w dłoni walkmana i zastanawiam się, co powiedzieć, jaką strategię przyjąć.

- W czym mogę panu pomóc? - pyta.

Milczę - długa, niezręczna pauza - a potem rzucam po prostu: - Czternaście A.

Portier przygląda mi się uważnie, sprawdza coś w swojej księdze, uśmiecha się promiennie i pisząc mówi: - Ach, oczywiście. Pani Wolfe jest już na górze.

- Pani... Wolfe? - uśmiecham się słabo.

- Tak. Pośredniczka handlu nieruchomościami - odpowiada spoglądając na mnie. - Był pan umówiony, prawda?

Windziarz - kolejna nowość - wpatruje się w podłogę, gdy wjeżdżamy na górę. Próbuję przypomnieć sobie krok po kroku wszystko, co robiłem tamtej

nocy i dalej, przez cały następny tydzień. Jestem święcie przekonany - zresztą zupełnie niepotrzebnie - że nie wracałem do mieszkania Paula po zamordowaniu dziewczyn. Ile jest wart apartament Owena? - kołaczę się we mnie i nie daję mi spokoju. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był ludziom, którym usunięto połowę mózgu. W piersiach czuję lód.

Otwierają się drzwi windy. Wychodzę ostrożnie i spoglądam za siebie, a potem idę korytarzem do mieszkania Owena. Za drzwiami słyszę głosy. Opieram się o ścianę i wzdycham. Trzymam klucze w dłoni, ale wiem już, że zamki zostały zmienione. Zastanawiam się co robić, drzę na całym ciele, wpatrując się we własne mokasyny - czarne, od A. Testoniego. Nagle otwierają się drzwi, co

przywraca mi trzeźwość myślenia i kończy niepewność. Z mieszkania wychodzi pośredniczka handlu nieruchomościami, kobieta w średnim wieku, zagląda do notesu i pyta: - Z panem umówiłam się na jedenastą?

- Nie - odpowiadam.

- W takim razie przepraszam. - Idzie korytarzem oglądając się za siebie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy, po chwili znika za rogiem. Zerkam do środka. W salonie stoi młode małżeństwo (chyba przed trzydziestką) i wymienia uwagi. Kobieta ubrana jest w wełniany żakiet, jedwabną bluzkę, wełniano-flanelowe spodnie - Armani - w uszach ma kolczyki z połączanego srebra, na dłoniach rękawiczki, a pod pachą butelkę wody Evian. Mężczyzna ma na sobie tweedową, sportową marynarkę, kaszmirowy bezrękawnik, bawełnianą koszulę chambray, krawat - Paul Stuart - przez ramię przerzucony bawełniany trenecz od Agnes B. Mieszkanie za nimi wygląda jak nowe. W oknach żaluzje prosto ze sklepu, znik-nęła gdzieś boazeria ze sztucznej wołowej skóry; ale meble, deseń na ścianie, szklany stolik do kawy, krzesła Thoneta, czarna skórzana sofa są nietknięte. Do salonu przeniesiono szerokoekranowy telewizor, który gra teraz dosyć cicho: pokazują reklamę, w której plama schodzi z marynarki i zwraca się do widzów ludzkim głosem, a ja nie mogę zapomnieć tego, co zrobiłem z piersiami Christie, z głową jednej z dziewczyn, tą z odciętym nosem i odgryzionymi uszami; widać w niej było wszystkie zęby, po tym jak obdarłem skórę i ciało ze szczęk i policzków. Strumienie krwi zalewały mieszkanie, wszędzie śmierdziało trupem, w mojej głowie rozlegał się ostrzegawczy dzwonek, gdy...

- Czym mogę panu służyć? - przerwa mi pani Wolfe -jak się domyślam -która pośredniczy w handlu nieruchomościami. Ma regularne, delikatne rysy, duży nos - wygląda przeraźliwie realnie - mocno umalowane usta i jasnobłękitne oczy. Ubrana jest w wełniany żakiet boucle, spraną jedwabną bluzkę, pantofle, kolczyki, bransolety, od kogo? Nie wiem. Być może ma mniej niż czterdzieści lat.

Ciągle opieram się o ścianę i wpatruję w młode małżeństwo, które przeszło teraz do sypialni. Salon jest pusty. Dopiero teraz zauważyłem bukiety kwiatów

w szklanych wazonach, jest ich chyba z kilkanaście i rozstawiono je w całym mieszkaniu, mocny zapach unosi się nawet w korytarzu. Pani Wolfe ogląda się za siebie chcąc sprawdzić na co patrzę.

- Szukam... Czy nie mieszka tu Paul Owen? Milczenie, a potem krótka odpowiedź: - Nie, nie mieszka.

Tym razem ja milczę przez długą chwilę. - Czy jest pani, eee... pewna? -urywam i po kilku sekundach dodaję: - Nic... nie rozumiem.

Kobieta myśli o czymś, tężeją jej mięśnie twarzy. Mruży oczy, lecz nie zamyka ich. Spogląda na maskę chirurgiczną, którą trzymam w spójonej dłoni i bierze głęboki, gwałtowny oddech nie odwracając wzroku. Nie podoba mi się to wszystko. W telewizji kolejna reklama: mężczyzna podnosi do góry tost i zwraca się do żony: - Hej, miałaś rację... Ta margaryna naprawę do jedzenia jest lepsza od gówna. - Żona uśmiecha się.

- Czytał pan ogłoszenie w Timesie? - pyta pani Wolfe.

- Nie... To znaczy tak. Tak, czytałem. W Timesie - jękam się zbierając resztki odwagi; ciężki zapach róż ukrywa coś obrzydliwego. - Ale... czy Paul Owen... nie jest już właścicielem...? - pytam najgłośniejszym jak tylko mogę.

Milczy, a potem śmiesz się: - Nie było żadnego ogłoszenia w Timesie.

Patrzmy na siebie przez nieskończenie długą chwilę. Jestem przekonany, że wyczuwa, że chcę coś powiedzieć. Widziałem już wcześniej taki wyraz twarzy. Nie pamiętam u kogo? W klubie? Na twarzy ofiary? A może niedawno w kinie? Niewykluczone że w lustrze? Mija godzina, zanim ponownie otwieram usta: - To są... chyba... - urywam, serce przestaje mi bić, potem znów podejmuje pracę -... jego... meble. - Parasol wypada mi z dłoni i szybko pochylam się, by go podnieść.

- Niech pan stąd idzie - mówi.

- Chciałbym... wiedzieć co się stało? -Jestem chory, piersi i plecy mam pokryte potem, który teraz zalewa całe ciało.

- Nie chcemy żadnych kłopotów - mówi.

Wszystkie ograniczenia - jeśli w ogóle kiedykolwiek istniały - wydają się proste i łatwe do usunięcia, już do końca dnia nie pozbędę się wrażenia' że to inni kierują moim losem. To... nie...jest... gra - chcę krzyknąć, lecz nie mogę złapać oddechu, choć pani Wolfe tego nie widzi. Zakłopotany wyciągam rękę chcąc wesprzeć się na ramieniu pośredniczki, lecz dłoń zamiera w powietrzu, cofa się i dotykam własnych piersi. Nic nie czuję, nawet wtedy, gdy rozluźniam krawat. Dłoń drży i nie próbuję tego ukryć. Czerwienię się, milczę.

- Proponuję, żeby pan stąd poszedł - powtarza. Stoimy w hollu zwróceniu do siebie twarzami.

- Nie chcemy żadnych kłopotów - mówi cicho.

Patrzę na nią jeszcze przez kilka sekund, a potem cofam się i wyciągam ręce chcąc ją uspokoić.

- Proszę tu nie wracać - mówi.

- Nie zrobię tego - potwierdzam. - Zapewniam panią.

W drzwiach pojawia się małżeństwo. Pani Wolfe obserwuje mnie, gdy podchodzę do windy i naciskam guzik. Wszędzie pachną róże.

TRENING

Ciężary i Nautilus pomagają pozbyć się stresu. Moje ciało potrzebuje treningu. Zdejmuję koszulkę i przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką w szatni Xclusive. Pieką mnie mięśnie ramion, brzuch jest napięty do granic wytrzymałości, piersi jak ze stali, barki twarde niczym granit, oczy białe jak lód. W mojej szafce w Xclusive leżą trzy pochwy, które w zeszłym tygodniu wyciąłem trzem różnym kobietom. Dwie są umyte, jedna nie. Do jednej przyczepiłem baretkę od medalu, moja ulubiona przewiązana jest błękitną wstążką od Hermesa.

KONIEC LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

Zapach krwi przenika do moich snów, które w większości są koszmarami: śnią mi się płonące statki, wybuchy wulkanów na Hawajach, zabójstwa oszustów pracujących u Salomonów, James Robinson robiący mi krzywdę, powrót do szkoły z internatem, Harvard i zmarli chodzący wśród żywych. Nocami w mojej głowie ktoś wyświetla nie kończący się film z katastrofami samochodowymi, ujęciami klęsk żywiołowych, krzeseł elektrycznych i przerażających samobójstw, strzykawek i okaleczonych dziewcząt z okładek magazynów, latających talerzy, marmurowych jaccuzzi i różowych ziarenek pieprzu. Gdy budzę się zlany zimnym potem, włączam szerokoekranowy telewizor, by zagłuszyć hałasy z budowy (nie mam pojęcia jakiej?) przeszkadzające mi przez cały dzień. Przed miesiącem minęła kolejna rocznica śmierci Elvisa Presleya. Przez ekran przebiegają piłkarze, wyłączam dźwięk. Słyszę jak włącza się automatyczna sekretarka (bez głosu), raz, potem drugi. Przez całe lato Madonna krzyczy do nas, że "życie jest tą/emnicą, każdy musi walczyć sum... "

Gdy idę Broadwayem na spotkanie z Jean, moją sekretarką, z którą zamierzam coś zjeść, przed Tower Records zaczyna mnie student z notatnikiem i pro-

si, bym wymienił najsmutniejszą piosenkę jaką znam. Bez zastanowienia rzucam: "You Can't Always Get What You Want" Beatlesów. Potem pyta mnie o najweselszą piosenkę jaką znam, na co odpowiadam podając tytuł "Brilliant Disguise" Bruce'a Springsteena. Kiwa głową, notuje, a ja ruszam w dalszą drogę. Mijam Lincoln Center. Wypadek. Prey krawężniku stoi karetka. Na chodniku leży góra wnętrzości w kałuży krwi. Kupuję bardzo twarde jabłko w koreańskich delikatesach i jem je idąc na spotkanie z Jean, która w tej chwili stoi na Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy przy wejściu do Central Parku. Chłodny, słoneczny wrześnieowy dzień. Gdy podnosimy głowy patrząc na chmury, Jean widzi wyspę, szczeniaczka, Alaskę i tulipana. Ja natomiast widzę - nie mówiąc jej o tym - spinacz do pieniędzy od Gucciego, siekierę, kobietę przeciętą na pół i dużą, skłębioną kałużę białej krwi, która rozlała się na niebie i spływa na miasto, na Manhattan.

Siadamy na tarasie kawiarni o nazwie Nigdzie na Upper West Side. Rozmawiamy o filmach, które warto zobaczyć, wystawach muzealnych, które trzeba zwiedzić, o spacerze -Jean proponuje zoo - bezmyślnie kiwam głową. Moja sekretarka wygląda znakomicie -jakby zaczęła trenować - i ubrana jest w zakiet ze złocistej lamy oraz welwetowe szorty od Matsudy. Wyobrażam sobie siebie w telewizji, w reklamie nowego produktu - schładzacza do win? olejku do opalania? bezcukrowej gumy do żucia? - jak idę (ostre zbliżenie) po plaży, film jest czarno-biały, celowo podrapany, na ścieżce dźwiękowej jakiś dziwny, nierozpoznawalny pop z połowy lat sześćdziesiątych, muzyka

rozbrzmiewa echem, przypomina dźwięk katarynki. Patrzę prosto w kamerę, podnoszę do góry produkt - nowy żeli* tenisówki.* - włosy rozwiewa mi wiatr, jest dzień, potem noc, potem znów dzień i znów noc.

- Poproszę mrożoną bezkofeinową kawę au lait -Jean zwraca się do kelnera.

- Dla mnie także odmrożona kawa - rzucam bezmyślnie, a potem łapię się na błędzie i dodaję: - To znaczy... mrożona. - Zerkam zmartwiony na Jean, która uśmiecha się do mnie pusto. Na stoliku leży niedzielne wydanie Timesa. Rozmawiamy o wspólnym obiedzie, może. Ktoś, kto wygląda jak Taylor Preston, przechodzi obok i macha do mnie ręką. Opuszczam niżej Ray-Bany, odpowiadam na pozdrowienie. Przejeżdża rowerzysta. Proszę pikolaka o wodę. Lecz zamiast niej kelner przynosi dwa talerzyki z sorbetem: jeden o smaku kolendrowo-cytrynowym, drugi wódczanolimonowym. Nie słyszałem, by Jean je zamawiała.

- Skosztuj - mówi.

-Jestem na diecie - odpowiadam. - Dziękuję.

- Nie musisz zrzucić nadwagi - stwierdza zaskoczona. - Żartujesz, prawda? Wyglądasz wspaniale. Tryskasz zdrowiem.

- Zawsze można być szczuplejszym - mruczę patrząc na ruch uliczny, coś mnie niepokoi - co? Sam nie wiem. - Wyglądać... lepiej.

- Może w takim razie nie powinniśmy jeść obiadu - mówi zmartwiona. -Nie chcę nadwierać twojej... silnej woli.

- Ależ nie, wszystko będzie dobrze - rzucam. - A zresztą... i tak specjalnie się nie kontroluję.

- Patricku, mówię poważnie, zrobię tak, jak będziesz sobie życzył - oświadczam. -Jeśli nie chcesz iść na obiad, to nie pójdziemy. To znaczy...

- Wszystko będzie dobrze - powtarzam dobitnie. Coś szczeka. - Nie powinnaś przejmować się nim tak bardzo... - urywam, a potem poprawiam się - To znaczy... m n ą. Okay?

- Chcę po prostu wiedzieć, na co masz ochotę.

- Żyć długo i szczęśliwie, prawda? - zauważam sarkastycznie. - Tego właśnie chcę. - Wpatruję się w nią twardo przez około pół minuty, a potem odwracam głowę. To ją uspokaja. Po jakimś czasie zamawia piwo. Na ulicy jest gorąco.

- No, uśmiechnij się - prosi mnie trochę później. - Nie ma się co smuć.

- Wiem - wy. dycham poddając się. - Ale... śmiać się też nie ma z czego. Obecnie. Przynajmniej ja tak uważam. Chyba już się odzwyczaiłem. Nie wiem.

- Dlatego właśnie. Ludzie potrzebują się nawzajem - mówi delikatnie i próbuje spojrzeć mi w oczy jedząc jednocześnie niezbyt drogi sorbet.

- Nie wszyscy - chrząkam z namysłem. - No... może rzeczywiście... ludzie się uzupełniają... przystosowują do siebie... - przerywam i milczę długą chwilę -Ludzie mogą się przyzwyczaić do wszystkiego, prawda? - pytam. - Przyzwyczajenie... to druga natura...

Znów długa cisza. Jean mówi zmieszana: - Nie wiem. Chyba masz rację... Ale trzeba się jakoś starać... żeby świat nie był taki... ponury... żeby był lepszy... -przerywa - ... to znaczy... chyba mam rację, prawda? - Wygląda na zdziwioną jakby zaskoczyło ją to, że wypowiedziała takie zdanie. W przejeżdżającej taksówce dudni muzyka, znowu Madonna: "życie jest tajemnicą, każdy musi walczyć sam..." "Przy stole obok huragan śmiechu, wyciągam szyję i słyszę jak ktoś mówi: - Czasami bardzo ważne jest to, co zakłada się do biura - a potem Jean otwiera usta i każe jej powtórzyć, bo nie dosłyszałem.

- Czy nigdy nie chciałeś kogoś uszczęśliwić.' - pyta.

- Co? - staram się zwracać uwagę na jej słowa. -Jean?

Nieśmiało mówi po raz trzeci: - Czy nigdy nie chciałeś kogoś uszczęśliwić?

Wpatruję się w nią. Zalewa mnie fala chłodnego, odległego strachu, coś we mnie gaśnie. Chrząkam po raz drugi i odpowiadam starając się, by brzmiało to niezwykle rozsądnie: - Któregoś wieczoru wybrałem się do Słodkiej Rafy... karaibskiej restauracji na Lower East Side... znasz ją...

- Z kim byłeś? - przerywa.

Byłem z Jeanette. - Z Evanem McGlinnem - kłamię.

- Alia - kiwa głową z cichą ulgą, wierzy mi.

- No więc, tak czy inaczej... - wzdycham i mówię dalej: - W męskiej toalecie był facet... stuprocentowy... biznesmen z Wall Street... ubrany w garnitur zapinany na jeden guzik... garnitur wiskozowo-wełniano-nylonowy od... Luciana So praniego... i bawełnianą koszulę od... Gitman Brothers... jedwabny krawat od Ermenegilda Zegnny i, to znaczy, rozpoznałem go, to był makler, niejaki Eldrid-ge... Widywałem go u Harry'ego i w Au Bar, i w DuPlexie, i w Alex Wybiera Się Na Obóz... wszędzie, ale... gdy wszedłem za nim, zobaczyłem... że pisze coś na ścianie... nad... pisuarem, przy którym stał... - przerywam, upijamy łyk piwa. -Gdy zobaczył, że wchodzę... przestał pisać... schował pióro Mont Blanc... zapiął rozporek... powiedział do mnie "Cześć, Henderson"... przejrzał się w lustrze... zakasłał... tak, jakby był zdenerwowany... czy coś w tym rodzaju... i wyszedł -kolejna przerwa, kolejny łyk. - No więc, tak czy inaczej... podszedłem do pisuaru... chcąc z niego skorzystać... i pochyliłem się... by przeczytać... to, co napisał. - Dzię na całym ciele i wycieram czoło serwetką.

- I co to było? -Jean pyta ostrożnie.

Zamykam oczy i z moich ust, z moich warg, spływają te oto słowa: - Zabić... Wszystkich... Yuppies.

Nic na to nie odpowiada.

Żeby przerwać niezręczne milczenie plotę co mi ślina na język przyniesie, to znaczy zadaję jej pytanie: - Czy wiesz, że pierwszy pies Teda Bundy'ego, owczarek collie, miał na imię Lassie? - Przerwa. - Słyszałaś o tym?

Jean patrzy w swój talerz, jakby działa się tam coś niesamowitego, a potem podnosi głowę i pyta: - Kto... to jest Ted Bundy?

- Nieważne - wzdycham.

- Posłuchaj, Patricku. Musimy porozmawiać - mówi. - Przynajmniej ja muszę z tobą porozmawiać. ... tam gdzie przyroda i ziemia, życie i woda, widziałem pustynny krajobraz, aż po sam horyzont i coś w rodzaju krateru, gdzie ani rozsądku, ani światła, ani ducha, które można by objąć umysłem na dowolnym poziomie świadomości, a gdy podeszło się bliżej, myśli cofały się i umysł cofał się niezdolny do podjęcia takiego wyzwania. Moja wizja była tak wyraźna, tak rzeczywista, tak istotna dla mojego jestestwa, że aż abstrakcyjna w swojej przejrzystości. Oto świat, który mogę zrozumieć, oto życie, jakie prowadzę, rzeczy, wokół których krążę, oto moja dziedzina poznania. Tak właśnie wygląda geografia, wokół której winna obracać się moja rzeczywistość: n i g d y, przenigdy nie przyszło mi do głowy, że ludzie są dobrzy albo że człowiek może się zmienić, albo że świat mógłby być lepszy dzięki prostej przyjemności radowania się uczuciem, spojrzeniem, gestem, albo dzięki czyjejś miłości i czyjemuś oddaniu. Nic się nie potwierdzało, wyrażenie "wielki duchem" nie przystaje do niczego, jest banałem, czymś w rodzaju kiepskiego żartu. Seks to matematyka. Indywidualność nie wchodzi już w grę. Cóż może

"życie jest tajemnicą, każdy musi walczyć

znaczyć inteligencja? Zdefiniuj rozum. Pragnienie - bez sensu. Intelpekt nie jest lekarstwem. Sprawiedliwość umarła. Strach, wyrzuty sumienia, niewinność, współczucie, poczucie winy, strata, porażka, żal - to stany i uczucia, których już nie ma. Myślenie niepotrzebne, swat dzisiaj nie myśli. Zło jest tym, co trwa wiecznie. Bóg nie żyje. Miłości wierzyć nie można. Powierzchnia, powierzchnia, to co na wierzchu, tylko to się liczy... otóż tak widziałem cywilizację, kolosa, który tonie...

- ... i nie pamiętam już, z kim wtedy rozmawiałaś... zresztą to nieważne. Istotne jest to, że byłeś taki... potężny i... słodki zarazem i... chyba wtedy zrozumiałam, że... - Odkłada łyżeczkę; nie patrzę na nią. Spoglądam na taksówki jadące Broadwayem, które zresztą nie są w stanie przeciwdziałać niczemu, bo Jean mówi dalej: - Wielu ludzi straciło... -przerwa, waha się - ... straciło poczucie rzeczywistości, a ja nie chciałabym znaleźć się pośród nich. - Kelner sprząta stół i gdy odchodzi, Jean dodaje: - Nie chcę zostać... zraniona.

Wydaje mi się, że kiwam głową.

- Wiem już, co oznacza samotność i... myślę, że cię kocham - tę ostatnią część zdania wypowiada szybko, dobitnie.

Jak zaczarowany pochylam się ku niej i popijając Evian mówię bezmyślnie, z uśmiechem: - Kocham kogoś innego.

Tempo akcji wzrasta, Jean chichocze nerwowo, odwraca głowę i jąka się zakłopotana: - No cóż... przepraszam... o rany...

- Ale... - dodaję szeptem - ... nie musisz się... obawiać. Znów patrzy na mnie napuchnięta nadzieją.

- Możemy coś z tym zrobić - mówię. A potem - nie wiedząc dlaczego tak powiedziałem - modyfikuję swoją wypowiedź i rzucam prosto z mostu: - A może nie. Nie wiem. Poświęciłem ci już tyle czasu, że to chyba coś znaczy.

Kiwa głową i milczy.

- Nie powinnaś brać oddania za... namiętność - ostrzegam. - To może... zaszkodzić ci. Może... narobić ci masę... kłopotów.

Nie odpowiada i nagle odczuwam jej smutek, zwykły spokojny smutek, zupełnie jak we śnie. - Co chcesz przez to powiedzieć? - pyta niezbyt składowo i czerwieni się.

- Nic. Chcę tylko... dać ci do zrozumienia, że... pozory mylą.

Patrzy na grubego egzemplarza Timesa leżącego na stole. Wiatr przewraca strony gazety. - Dlaczego... mi to mówisz?

Chcę taktownie dotknąć jej dłoni, lecz powstrzymuję się. - Chciałbym uniknąć nieporozumień... w przyszłości. - Jakiś laskojad przechodzi obok. Rzucam na nią wzrokiem, potem wracam do Jean. - Och, przestań, nie patrz tak na mnie. Nie masz się czego wstydzić.

- Nie wstydzę się - oświadcza, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. - Chciałabym tylko wiedzieć, czy rozczarowały cię moje słowa?

Jak mam jej wytłumaczyć, że nic nie jest mnie w stanie rozczarować, ponieważ niczego już nie oczekuję i!

- Nie znasz mnie zbyt dobrze, prawda? - pytam poirytowany.

- Wiem o tobie dużo - zaprzecza, a potem kręci głową. - Och, zostawmy to. Popeliłam błąd. Wybacz. - Nie minęła sekunda, gdy zmieniła zdanie. - Chciałabym wiedzieć więcej - mówi ponuro.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę i pytam: - Jesteś pewna?

- Patricku - wstrzymuje oddech. - Wiem, że moje życie byłoby... puste bez ciebie.

Nad tym także się zastanawiam i kiwam w zamyśleniu głową.

- Po prostu nie mogę... - urywa sfrustrowana - ... nie mogę udawać, że to uczucie nie istnieje... prawda?

- Ciii...

... jest coś takiego jak idea Patricka Batemana, coś w rodzaju abstrakcji, która nie jest mną, a jedynie bytem, w dodatku iluzorycznym, i chociaż wcale nie muszę patrzeć lodowatym wzrokiem i można potrząsnąć moją dłonią czując prawdziwe ciało i chociaż komuś może wydawać się, że nasze (moje i jego) żywoty są porównywalne, to mnie po prostu nie ma. Nie potrafię istnieć sensownie na żadnym poziomie. Jestem sfabrykowany, jestem aberracją. Jestem niespójną istotą ludzką. Moja osobowość jest zaledwie niedokończonym szkicem, a mój brak serca tkwi głęboko i ma postać stałą. Moje sumienie, moja litość zniknęły dawno temu (prawdopodobnie na Harvardzie), jeśli w ogóle kiedykolwiek istniały. Nie ma już żadnych ograniczeń. Jeśli to ja byłem szalony i irracjonalny, zły i złośliwy, jeśli to ja stworzyłem niektórym piekło na ziemi i w dodatku czułem wobec niego dojmującą obojętność - to w takim razie wszystko jest już przeszłością, wszystko minęło. Wierzę mimo to w jedną niezaprzeczalną prawdę: nikt nie jest bezpieczny, nikt nie dostąpi zbawienia. A ja jestem bez skazy. Wina nie leży po mojej stronie. Każdy model ludzkiego zachowania musi posiadać jakieś uzasadnienie. Czy zło jest tym, czym ty jesteś? Czy tkwi w tym, co robisz? Czuję ciągły, ostry ból i nie życzę nikomu życia w lepszym świecie. W istocie rzeczy pragnę, by mój ból przeniósł się na innych. Nie chcę, by komukolwiek było to oszczędzone. Lecz nawet przyznając się do tego przed samym sobą - a robiłem to nieskończenie wiele razy, choćby przez moje złe uczynki - i stając twarzą w twarz z niezaprzeczalną prawdą, nie przeżywam katharsis. Nie zdobywam wiedzy na swój temat, moja świadomość nie staje się źródłem samozrozumienia. W zasadzie nie musiałem wam tego mówić. To wyznanie n i c nie znaczy...

Pytam Jean: - Ilu jest na świecie ludzi takich jak ja?

Milczy, a potem odpowiada ostrożnie: - Chyba... nikt? - strzela na ślepo.

- Pozwól, że zapytam inaczej... Zaczekaj, jak tam moje włosy? - przerywam sam sobie.

- IJhm, w porządku.

- Okay. Pozwól, że zapytam inaczej - upijam łyk jej zimnego, gorzkiego piwa. - Okay. Dlaczego mnie lubisz'?

Powtarza za mną: - Dlaczego?

- Tak. Dlaczego.

- No cóż... - Kropelka piwa spadła na moją koszulkę Polo. Jean podaje mi serwetkę. Zwykły gest, a jakże wzruszający. - Ty... Ciebie... obchodzą inni ludzie - mówi nieśmiało. - To niezwykła, rzadka cecha w tym... - urywa. - ... w tym... tak bardzo heclonistycznym świecie. To... Patricku, wprowadzasz mnie w zakłopotanie. - Potrząsa głową i zamyka oczy.

- Mów dalej - nalegam. - Proszę. Chciałbym wiedzieć.

- Jesteś słodki. - Przewraca oczami. - Słodcy mężczyźni są... bardzo sexy... Nie wiem. I tajemniczy.

- Cisza. - Myślę, że jesteś... tajemnicą... tajemniczy. - Cisza, a potem westchnienie. - I jesteś... delikatny. - Zastanawia się nad czymś. Nie boi się już, patrzy mi prosto w oczy. - Myślę, że nieśmiali mężczyźni są bardzo romantyczni.

- Ilu jest na świecie ludzi takich, jak ja? - powtarzam. - Czy naprawdę jestem taki, jak mówisz?

- Patricku - śmierzdą. - Nie okłamywałabym ciebie.

- Nie, oczywiście, że nie... ale wydaje mi się... - teraz moja kolej, by westchnąć z namysłem - ... wydaje mi się... wiesz, jak to się mówi: nie ma dwóch identycznych płatków śniegu?

Kiwa głową.

- No... cóż, nie sędzę, żeby to była prawda. Wydaje mi się, że wiele płatków śniegu jest bardzo podobnych do siebie... tak samo zresztą jak ludzi.

Ponownie kiwa głową, choć domyślam się, że jest bardzo zakłopotana.

- Pozory m y l ą - stwierdzani ostrożnie.

- Nie - potrząsa głową i po raz pierwszy wydaje się pewna swoich racji. - To nieprawda. Nie myślą...

- Niekiedy, droga Jean... - wyjaśniam - ... granica oddzielająca pozór, czyli to co widzisz, od rzeczywistości, której nie widzisz, może być... no cóż, płynna.

- To nieprawda - upiera się. - To nie może być prawdą.

- Czyżby? - pytam uśmiechając się.

- Kiedyś nie myślałam tak jak teraz - wyznaje. - Dziesięć lat temu myślałam zupełnie inaczej. Ale teraz nie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam zaciekawiony. - Kiedy myślałaś?

... zalewająca wszystko rzeczywistość. Mam takie dziwne wrażenie, że to najistotniejsza chwila w moim życiu i zaskakuje mnie gwałtowność, z jaką pojawia się coś, co z grubsza można określić iluminacją. Nie mogę dać jej nic wartościowego. Po raz pierwszy widzę Jean pozbawioną zahamowań; wydaje się silniejsza,

trudniejsza do opanowania - i chce zabrać mnie w podróż ku nieznanym, obcym lądom. Prerażająca niepewność całkowicie nieznanego świata! Wyczuwam, że pragnie dokonać znaczących zmian w moim życiu - mówią mi to jej oczy i chociaż widzę w nich prawdę, wiem, że któregoś dnia, być może wkrótce, Jean również przekroczy zaklęty krąg-mojego szaleństwa. Jedyna rzecz, którą muszę zrobić, to nie mówić o tym głośno, nie poruszać tego tematu - a mimo to Jean osłabia moją wolę, wygląda to tak, jak gdyby podejmowała decyzję kim mam być zamiast mnie. Przyznaję na swój uparty sposób, że czuję ukłucie, coś we mnie tężeje i zanim udaje mi się to powstrzymać, stwierdzam, że jestem oszołomiony, ba! poruszony tym, że mógłbym zaakceptować jej miłość, choć z pewnością nie potrafiłbym jej odwzajemnić. Zastanawiam się, czy widzi teraz, tutaj w kawiarni o nazwie Nigdzie, że unoszą się ciemne zasłony okrywające do tej pory moje oczy. Opuszcza mnie mój własny, odwieczny chłód, choć wątpię, by to samo stało się kiedykolwiek z odrętwieniem. Nasz związek nie doprowadzi prawdopodobnie do niczego... nic nie zmieni. Wyobrażam ją sobie jako coś czystego, jak herbatę...

- Patricku... rozmawiaj ze mną... nie siedź taki zmartwiony - mówi.
- Sądzę... -/e nadszedł czas... abym przyjrzał się dobrze... światu, jaki stworzyłem - krztuszę się, w oczach mam łzy, a potem mówię: - Wczoraj... znalazłem... w biurku... pół grama kokainy. - Ściskam razem dłonie, które tworzą jedną, olbrzymią pięść o pobielających kostkach.
- I co z nią zrobiłeś? - pyta. Kładę rękę na stole. Dotyka jej.
- Wyrzuciłem. Wszystko wyrzuciłem. Chciałem z a ż y ć... - dyszę - lecz zamiast tego wyrzuciłem. Ściska lekko moją dłoń. - Patricku? - pyta przesuwając rękę wyżej, aż do łokcia, który chwytą mocno. Gdy znajduję w sobie dość siły, by spojrzeć jej w oczy uderza mnie to jak niepotrzebnie nudne jest jej fizyczne piękno; a w polu widzenia pojawia się pytanie: Dlaczego nie mis/bym się x n/ą ożenić? Powód: ma lepsze ciało niż większość znanych mi dziewczyn. Kolejny: nie ma osób niezastąpionych. Jeszcze jeden: w zasadzie i tak nie ma to żadnego znaczenia. Siedzi przede mną, poważna, lecz pełna nadziei, zupełnie bez charakteru - i zaraz wybuchnie płaczem. Oddaję jej uścisk, poruszony, nie, wzruszony jej nieświadomością zła. Musi przejść jeszcze jeden test.
- Czy masz teczkę? - pytam przełykając.
- Nie. Nie marn.
- Evelyn nosi teczkę.
- Naprawdę...?
- A co z Filofaxem?
- Mam mały.
- Firmowy? - pytam podejrzliwie.
- Nie.

Wzdycham i dotykam jej małej, twardej dłoni.

... a na sudańskiej pustyni upał wznosi się gorącą, bezwietrzną falą, wiele tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci wędruje przez spiekotę buszu szukając pożywienia. Chorzy i głodni zostawiają za sobą ślad znaczony śmiercią, wynędzniałe ciała... Żywią się korzonkami, liśćmi i... wodnymi liliami, chwiejnym krokiem idą od wioski do wioski, umierają powoli, a śmierć jest nieubłagana; szary poranek na bezlitosnej pustyni, kurz unosi się w powietrzu, na piasku leży dziecko z twarzą jak czarny księżyc, z szyją pokrytą bliznami, unoszą się tumany pyłu, wirują nad postacią niczym trąby powietrzne, nie widać już słońca, piasek pokrywa chłopca, jest już prawie martwy, powieki nie są w stanie osłonić otwartych oczu; dziecko odczuwa wdzięczność (zatrzymaj się i zastanów przez chwilę, czy może istnieć świat, w którym ktoś jest wdzięczny za cokolwiek), że nikt z przechodzących obok nędzarzy nie zwraca na nie uwagi, oszołomione bólem (nie - ktoś zwraca na nie uwagę, j e d e n z przechodzących widzi agonię chłopca i uśmiecha się, jakby posiadał jakiś sekret) otwiera i zamyka spękane, wyschnięte usta, z których nie wydobywa się żaden dźwięk, gdzieś daleko przejeżdża autobus szkolny, gdzieś indziej, nieco wyżej, w przestrzeni, unosi się duch, otwierają się drzwi i słychać głos: - Dlaczego? - dom umarłych, nieskończoność, zawieszony w pustce mija czas, chłopiec odczuwa miłość i smutek...

- Okay.

Podświadomie zdaję sobie sprawę, że gdzieś dzwoni telefon. Niezliczone rzesze ludzi - setki, może nawet tysiące - przeszły obok naszego stoliczka w kawiarni na Columbus w czasie, gdy milczałem.

- Patricku - mówi Jean. Na rogu jakaś kobieta z wózkiem spacerowym kupuje lody. Dziecko przygląda się Jean i mnie. My przyglądamy się dziecku. To zupełnie niesamowite. Odczuwam coś w rodzaju spontanicznego, wewnętrznego podniecenia, czuję, że płynę ku czemuś, a jednocześnie odpływam od tego samego i wszystko jest możliwe.

ASPEN

Do Świąt zostały cztery dni, jest druga po południu. Siedzę z tyłu czarnej jak noc limuzyny zaparkowanej przed niczym nie wyróżniającym się budynkiem z brązowego piaskowca przy Piątej Alei i próbuję przeczytać artykuł o Donaldzie Trumpie w najnowszym wydaniu magazynu Famę. Jeanette chce, żebym poszedł z nią na górę; inowię jej: - Zapomnij o tym. - Ma podbite oko po zeszłej nocy.

Wczoraj podczas obiadu w II Marliboro musiałem długo ją namawiać. Potem, po burzliwej dyskusji u mnie w domu, zgodziła się na to, czego od niej chciałem. Dylemat Jeanette leży poza

obszarem dającym się zdefiniować jako moje poczucie winy. Podczas obiadu powiedziałem jej - zresztą zgodnie z prawdą - że nie mogę jej współczuć z tej prostej przyczyny, że nie wiem co to znaczy. Podczas jazdy z Upper West Side - gdzie mieszkam - szłocha histerycznie. To zrozumiałe, że odczuwa rozpacz, może tęsknotę; nie zwracam na nią uwagi, ale w końcu nie wytrzymuje, i mówię: - Posłuchaj, dziś rano wyjąłem dwa hanaxy, więc... hm... nie jesteś w stanie mnie poruszyć. - Wychodzi z limuzyny na pokryty lodem chodnik. - To dla twojego dobra - mamrocze. - A potem pocieszam ją: - Nie bierz tego tak poważnie. - Kierowca - którego nazwiska nie pamiętam - prowadzi ją do wejścia. Jeanette odwraca się i patrzy na mnie po raz ostatni, z żalem. Wzdycham i macham do niej ręką. Ciągle ma na sobie ten sam luźny płaszcz z szalowym kołnierzem, który nosiła zeszłej nocy, a pod spodem wełniano-kre-pową suknię bez rękawów od Billa Blassa. W The Putty Winters Showdziś rano był wywiad z Yeti; ku mojemu zaskoczeniu facet okazał się niesamowicie wygadany, a nawet czarujący. Kieliszek, z którego piję Absolut, jest fiński. Jestem bardzo opalony w porównaniu z Jeanette.

Wraca kierowca, pokazuje mi uniesiony kciuk i ostrożnie odjeżdża od krawężnika. Jedziemy na lotnisko JFK, skąd za dziewięćdziesiąt minut odlatuję do Aspen. Kiedy wrócę w styczniu, Jeanette nie będzie już w kraju. Zapalam cygaro i szukam popielniczki. Przy rogu stoi kościół. Kogo to obchodzi? To - myślę sobie - będzie piąte dziecko, które wyskrobuje i trzecie, którego nie wyskrobuje, osobiście (niepotrzebna statystyka, przyznaję). Na zewnątrz wieje silny, zimny wiatr, a w przyciemnione okna uderza rytmicznie lodowaty deszcz. Wiatr łka jak Jeanette na fotelu ginekologicznym. Jest oszołomiona środkami znieczulającymi i myśli o przeszłości: o jednej jedynej chwili, w której świat był doskonały. Muszę się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Na lotnisku każę kierowcy pojechać do F.A.O. Schwarza i kupić przed odebraniem Jeanette następujące prezenty: laleczkę, grzechotkę, smoczek gryzaczek, pluszowego białego misia; mają czekać na nią zapakowane na tylnym siedzeniu limuzyny. Jeanette nic nie będzie - ma przed sobą całe życie (to znaczy, jeśli znów nie wejdzie mi w drogę). Poza tym, jej ulubionym filmem jest Ładnie ci w różowym, a ulubionym wykonawcą, Sting, dlatego uważam, że to, co obecnie przeżywa nie jest w pełni niezasłużone i nie ma co się nad nią litować. Nie ma litości dla niewinnych.

WALENTYNKI

Wtorkowy poranek: stoję w salonie obok biurka i rozmawiając przez telefon z adwokatem przyglądam się sprzątacze, która bez słowa woskuje podłogi, ściera krwawe plamy ze ścian i wyrzuca mokre od posoki gazety. Podświadomie wyobrażam sobie, jak bardzo musi się czuć zagubiona (podobnie jak ja) w tym gównianym świecie, który otaczają ze wszystkich stron; ta myśl uruchamia jakiś mechanizm pamięci, który przypomina mi, że po południu przychodzi stroiciel fortepianów, w związku z czym muszę poinstruować portiera, żeby go wpuścił. To, że przychodzi stroiciel nie znaczy, że ktoś grywa na mojej Yamasze. Powód wizyty fachowca jest bardziej prozaiczny: jedna z dziewczyn upadła na fortepian, pękło kilka strun (które oczywiście wykorzystałem w odpowiednim momencie). Mówię do telefonu: - Potrzebuję więcej ulg podatkowych. - Patty Winters zwraca się do ośmioletniego czy dziewięcioletniego dziecka na ekranie telewizora: -Ale czy nie jest to eufemizm oznaczający orgię? - Dzwoni czasomierz kuchenki mikrofalowej. Podgrzewam suflet.

Nie ma sensu zaprzeczać: nie był to najlepszy tydzień. Zacząłem pić własny mocz. Ni z tego, ni z owego wybucham nieopanowanym śmiechem. Sypiam pod łóżkiem. Bez przerwy czyszczę zęby nićmi dentystycznymi, aż do bólu dziąseł, a w ustach ciągle czuję smak krwi. Wczoraj przed obiadem w 1.500 z Reedem Goodrichem i Jasonem Rustem omal mnie nie nakryli w urzędzie pocztowym przy Times Square, gdzie próbowałem wysłać na adres matki jednej z ofiar coś, co wyglądało jak wysuszone, brązowe serce. Udało mi się natomiast wysłać ekspresem z biura małą paczuszkę dla Evelyn. Oprócz żywych much, był w niej liścik napisany na maszynie przez Jean, w którym informowałem adresatkę, że nigdy, przenigdy nie chcę już więcej widzieć jej na oczy oraz rada, żeby zaczęła wreszcie tę kurewską dietę - choć prawdę mówiąc w jej przypadku nie jest to konieczne. Zrobiłem jeszcze parę innych rzeczy, by uczcić Dzień Świętego Walentego; przeciętny

człowiek uznałby je za miłe: kupiłem rano kilka prezentów dla Jean i kazałem wysłać je pod jej adres. Były to: bawełniane serwetki Ca-stellini od Bandela, bujany fotel od Jeanny B. Goode, taftowy obrus od Barneya, pierwszorzędna teczka na korespondencję i pierwszorzędny srebrny zestaw toaletowy od Macy'ego, biały sosnowy bibelot od Conrana, edwardiańska bransoleta z dziewięciokaratowego złota z agatami od Bergdorfa i setka różowo białych róż.

W biurze. Bez przerwy dudnią mi pod czaszką i wybuchają kaskadami słowa piosenek Madonny. Powtarzają się uporczywie na tysiące sposobów; patrzę leniwie w przestrzeń próbując zapomnieć o wyłaniającym się z pustki dniu, gdy nagle na tekst Madonny nakłada się jakaś fraza, która napęnia mnie niemą zgrozą: samotny domek na wsidudni w mojej głowie i powraca setkami powtórzeń. Ktoś,

kogo unikałem przez ostatni rok - jakiś pojęb z magazynu Fortune, który chce napisać o mnie artykuł - znowu zadzwonił dziś rano i w końcu oddzwaniając do niego umawiając się na spotkanie. Craig McDermott ogarnięty jest ostatnio jakąś gorączką faksową - nie odpowiada na moje telefony i porozumiewamy się wyłącznie przy pomocy faksu. W dzisiejszy(tm) wydaniu Pastukazał się artykuł, w którym napisano, że odkryto resztki trzech ciał osób zaginionych na jachcie w marcu zeszłego roku. Wydobyte z lodu szczątki były pocięte ostrym narzędziem i utopione w East River. W mieście grasuje jakiś maniak, który zatruwa wodę Evian w litrowych butelkach, zmarło już siedemnaście osób. Pisz się także o żywych trupach, powszechnym nastroju przypadkowości, niedopasowania i niezrozumienia.

Mówiąc o formie: z otchłani niebytu wynurza się na światło dzienne Tim Price, a przynajmniej tak mi się wydaje. Siedzę przy biurku i wykreślam minione dni w kalendarzu czytając jednocześnie nowy bestseller o zarządzaniu biurem zatytułowany Dlaczego opłaca się być kutasem, gdy dzwoni do mnie Jean i oznajmia, że chce ze inną rozmawiać pan Tim Price. - Przy... przyślij go - mówię głosem pełnym obaw. Do biura wchodzi Price we własnej osobie ubrany w wełniany garnitur od Canali Milano, bawełnianą koszulę od Ike'a Behara, jedwabny krawat od Billa Blassa i skórzane, sznurowane buty - ze wzmacnianym czubkiem od Brooks Brothers. Udaję, że rozmawiam przez telefon. Siada naprzeciw mnie po drugiej stronie biurka ze szklanym blatem od Palazzettiego. Ma jakąś plamę na czole, a przynajmniej tak mi się wydaje. Oprócz tego wygląda zaskakująco zdrowo. Nasza rozmowa ma następujący przebieg, choć z pewnością była krótsza:

- Price - mówię potrząsając jego ręką. - Gdzie się podziewałeś?
- Och, tu i ówdzie - uśmiecha się. - Ale hej, wróciłem!
- Niesamowite - wzruszam ramionami czując zmieszanie. - L..jak było?
- Zaś... zaskakująco - także wzrusza ramionami. - I... przygnębiająco.
- Wydawało mi się, że widziałem cię w Aspen - mruczę.
- Hej, jak ci leci, Bateman? - pyta.
- W porządku - stwierdzam przelitykając ślinę. -Jakoś... egzystuję.
- A Evelyn? - drąży dalej. - Co u niej?
- No cóż, zerwaliśmy ze sobą - uśmiecham się.
- To niedobrze - zastanawia się nad czymś: - A Courtney?
- Wyszła za Luisa.
- Grassgreena?
- Nie. Carruthersa.

Nad tym także się zastanawia. - Masz jej numer telefonu? Zapisuję telefon Courtney na kartce i mówię: - Nie było cię całe wieki, Tim. Co się stało, opowiedz. Nie mogę oderwać oczu od plamy na jego czole,

choć wydaje mi się, że gdybym zwrócił się do kogoś o potwierdzenie faktu jej istnienia, odpowiedziałby mi, że jej nie ma.

Wstaje, bierze ode mnie kartkę. - Wróciłem już dawno temu. Nie zauważyłeś mnie, to wszystko. Straciliśmy kontakt ze sobą. Tyle rzeczy się dzieje... -przerzywa denerwująco. - Pracuję u Robinsona. Jestem jego prawą ręką, wiesz, no nie?

- Migdała? - proponuję pokazując na talerzyk. Usiłuję bezskutecznie pokryć maską uprzejmości niezadowolenie z jego pewności siebie.

Klepie mnie po plecach. -Jesteś szaleńcem, Bateman. Zwierzęciem. Jesteś zwierzę.

- Nie mogę zaprzeczyć - uśmiecham się słabo odprowadzając go do drzwi. Gdy wychodzi, zastanawiam się i nie zastanawiam, co stało się ze swatem Tima Price'a: światem, który należał do nas; co stało się ze wspaniałymi pomysłami, męskimi rozmowami, chłopcami rzucającymi wyzwanie przeciwnościom losu, chłopcami, którzy zawsze wygrywają.

WŁÓCZĘGA NA PIĄTEJ

Wracam z Central Parku, w którym w pobliżu zoo - niedaleko od miejsca śmierci (z mojej ręki) chłopaka McCaffreyów - karmiłem przechodzące psy kawałkami mózgu Ursuli. Idę Piątą Aleją, jest chyba czwarta po południu, wszyscy ludzie na ulicach wyglądają na przygnębionych, w powietrzu czuje się rozkład, a na zimnym chodniku leżą jakieś ciała (niektóre nawet się ruszają, większość nie) pokrywające całe mile kwadratowe miasta. Historia dobiega kresu i tylko niektórzy podświadomie zdają sobie sprawę, że rzeczy przyjęły zły obrót. Nad miastem latają samoloty, ich tory krzyżują się w słońcu. Na Piątej hula wiatr i skręca w Pięćdziesiątą Siódmą. Stado gołębi w zwolnionym tempie unosi się w powietrzu, by rozciągnąć się po całym niebie. Zapach pieczonych kasztanów miesza się z oparami dwutlenku węgla. Zauważam, że całkiem niedawno miasto zmieniło swój wygląd. Spoglądam z podziwem na Trump Tower - wysoką, dumną budowlę lśniąca w popołudniowych promieniach słońca. Przed wejściem dwóch cwa-nych nastoletnich czarnuchów oszukuje turystów w trzy karty. Muszę się opanować, żeby nie odstrzelić im łbów.

Włóczęga, którego oślepiłem pewnej wiosny, siedzi ze skrzyżowanymi nogami na podziurawionym kocu przy rogu Pięćdziesiątej Piątej. Podchodzę bliżej i widzę pokrytą bliznami twarz i tabliczkę, którą trzyma w dłoniach. Tabliczkę z napisem: WETERAN WOJNY W WIETNAMIE. PROSZĘ O WSPARCIE.

JESTEŚMY GŁODNI I BEZDOMNI. Jesteśmy? Dopiero teraz zauważam psa, który przygląda mi się podejrzliwie z daleka, a gdy zbliżam się do jego pana, zrywa się na równe nogi i warczy. Zatrzymuję się nad włóczęgą, pies otwiera pysk, z którego wydobywa się krótki szczek i jak oszalały macha ogonem. Klękam i groźnie unoszę rękę. Pies cofa się na sztywnych nogach.

Wyciągam portfel udając, że chcę wrzucić dolara do pustej puszki po kawie, a potem przychodzi mi do głowy, że nie warto udawać, nikt przecież nie patrzy, o n na pewno nie. Chowam dolara i pochylam się. Żebrak wyczuwa moją bliskość i przestaje potrząsać puszką. Okulary przeciwsłoneczne, które ma na nosie, nie zakrywają dokładnie wszystkich ran, jakie mu zadałem. Sam nos jest tak powykrzywiany, że trudno wyobrazić sobie, jak można przez niego oddychać.

- Nigdy nie byłeś w Wietnamie - szepczę do ucha włóczęgi.

Cisza, podczas której zlewa się w spodnie. Pies skomli, wreszcie słyszę chrapliwy głos: - Proszę... nie rób mi krzywdy.

- Miałbym tracić czas na coś takiego jak ty? - parskam z obrzydzeniem. Odchodzę i zauważam małą dziewczynkę palącą papierosa i zebrzącą przed

wejściem do Trump Tower. - Wstydz się - mówię do niej. - To ty się wstydz -odszczekuje. W dzisiejszym The Patty Winters Show przez godzinę przeprowadzano wywiad z papugą siedzącą na małym stołeczku. Późnym popołudniem, jakiś zielony aktywista potnie przed Stanhope twarz kobiety ubranej w norki i srebrne lisy. Jeszcze raz patrzę na niewidomego włóczęgę siedzącego po drugiej stronie ulic5'. Kupuję lody kokosowe, w środku znajduję kość.

NOWY KLUB

W czwartkowy wieczór wpadam na Harolda Carnesa podczas przyjęcia z okazji otwarcia nowego klubu o nazwie Koniec Świata. Klub mieści się w tym samym lokalu na Upper East Side, który kiedyś zajmował Petty. Siedzę w przegrodzie z Niną Goodrich i Jean, a Harold stoi prety barze pijąc szampana. Jestem już na tyle pijany, że nie boję się zapytać go wreszcie o wiadomość, którą kiedyś nagrałem na jego automatycznej sekretarce. Proszę moje towarzyszek o wybaczenie i idę na drugi koniec baru; przed rozmową z Carnesem muszę wzmocnić się jednym martini (był to dla mnie wyjątkowo zły tydzień - w poniedziałek rozplakałem się oglądając kolejny odcinek A//J). Podchodzę nerwowa. Harold ubrany jest w wełniany garnitur od Geviesa Hawkesa, jedwabny krawat, bawełnianą koszulę i buty od Paula Stuarta. Wygląda bardziej ociężałe niż ostatnim razem.

-Powiedzmy to sobie otwarcie - mówi do Trumana Drake'a - do końca lat dziewięćdziesiątych Japończycy wykupią większą część tego kraju.

Zauważam z ulgą, że Harold jak zwykle rozpowiada na prawo i lewo hiobowe wieści i w dodatku robi to z wyczuwalnym, choć słabym, niech mi Bóg wybaczy, angielskim akcentem. Zbieram się na odwagę i mamrocze: - Zamknij się, Carnes, nie robią tego. - Wypijam martini na bazie Stolicznej. Carnes - z obrażonym, zdumionym wyrazem twarzy - odwraca się do mnie, a jego niewyraźne rysy rozciągają się w uśmiechu. Ktoś za naszymi plecami skrzeczy: - Spójrz tylko, c, o stało się z Gekko...

Truman Drake klepie Harolda w plecy i pyta mnie: - Czy jest coś takiego jak bardziej odpowiednia od innych... eee... szerokość szelek? - Poirytowany odpycham go od siebie i znika w tłumie.

- I co Harold - mówię. - Słyszałeś, co dla ciebie nagrałem? Początkowo nie wie, o co mi chodzi, zapala papierosa i wreszcie uśmiecha

się rozbawiony. -Jezu, Davis, to było p r z e z a b a w n e. To byłeś ty, prawda?

- Tak, oczywiście. - Przysmykam oczy, mówię do siebie "naprawdę" i macham dłonią, chcąc odpędzić od twarzy papierosowy dym.

- Bateman zabija Owena i dziewczynę z agencji towarzyskiej? - chichocze. - Och, to było niewiarygodnie cudowne. Bombeczka, jak mówią w Klubie Gro-ucho. Naprawdę bombeczka. - A potem dodaje z czymś w rodzaju oburzenia: -Zdaje się, że było to dosyć długie nagranie, nie?

Uśmiecham się idiotycznie i mówię: - Ale o co dokładnie ci chodzi, Harold? - Po cichu myślę sobie, że ten gruby skurwysyn nie zostałby wpuszczony do Klubu Groucho nawet jako sprzątaczką, a nawet jeśli przypadkowo udałoby mu się tam wejść, to mówienie o tym w taki sposób unieważnia wszystko.

- No jak to? O tę wiadomość, którą nagiąłeś dla mnie. - Carnes rozgląda się po klubie machając do różnych ludzi i lasek. - Przy okazji, Davis, jak tam Cynthia? - Bierze kieliszek szampana od przechodzącego kelnera. - Ciągłe się z nią spotykasz, prawda?

- Zaczekaj, Harold. O co ci chodzi? - powtarzam z emfazą.

Jest już znudzony, nie obchodzi go, ani nie słucha tego, co mówię. Po chwili rzuca: - O nic. Fajnie się rozmawiało. O rany, czy to Edward Towers:1

Wyciągam szyję, by sprawdzić, a potem odwracam się do Harolda. - Nie -mówię. - Carnes? Zaczekaj.

- Davis - wzdycha, jak gdyby wyjaśniał coś cierpliwie dziecku. - Nie chcę nikogo obrażać, twój żart był zabawny. Ale na litość boską, człowieku, wybrałeś sobie złą ofiarę: wszyscy wiedzą, że Bateman to lizus i nieskazitelny dupek, więc to trochę zepsuło efekt. Pod innymi względami było bez zarzutu. A teraz, co powiesz na lunch, albo umówimy się na obiad w 150 Wooster, czy gdzie chcesz, z McDermottem i Prestonem? Prawdziwą ucztę - chce odejść.

- Ucz-te? Ucz-te? Powiedziałeś ucz-te, Carnes? - mam szeroko otwarte oczy i czuję się jakoś dziwnie, choć nie brałem żadnych narkotyków. - O czym ty m ó w i s z? J a k i jest Bateman?

- Posłuchaj mnie, mój dobry człowieku. A jak myślisz, dlaczego puściła go w trąbę Evelyn Richards? Nie domyślasz się, stary? Facet ma trudności z p o- d e r w a n i e m kobitki z agencji towarzyskiej, a co dopiero mówić o... Aha, teraz przypomniało mi się, co on jej zrobił według ciebie... - Harold rozgląda się nieuważnie po klubie, macha do jakiejś pary i podnosi kieliszek z szampanem. -A co dopiero z "porąbaniem jej na kawałki". - Wybuchu śmiechem, który teraz brzmi nawet uprzejmie. - A teraz wybac mi proszę, naprawdę muszę...

- Zaczekaj. Stój - krzyczę patrząc prosto w oczy Carnesa, gestem nakazując mu, by słuchał. - Ty nic nie rozumiesz. Nie pojmujesz nawet odrobiny z tego, co ci powiedziałem. Z a b i ł e m go. J a go zabiłem, Carnes. Odrąbałem Owenowi jego skurwiałły łeb. Torturowałem dziesiątki dziewczyn. Ta wiadomość, którą nagrałem dla ciebie, to była prą w d a. - Jestem bardzo wyczerpany, niespokojny, zastanawiam się, dlaczego ta sytuacja nie jest dla mnie błogosławieństwem.

- Wybac - mówi usiłując zignorować mój wybuch. - Naprawdę muszę lecieć...

- Nie! - wrzeszczę. - Posłuchaj mnie teraz, Carnes. Posłuchaj mnie bardzo, bardzo uważnie. Zabiłem-Paula-Owena-bo-miałem-na40-ochotę. Nie można chyba powiedzieć tego jaśniej. - Zdenerwowanie sprawia, że krztuszę się własnymi słowami.

- Ależ to najzwyczajniej niemożliwe - mówi odpychając mnie. - I przestaje mi się podobać.
- Bo też nigdy nie miało ci się podobać! - wyję. - Dlaczego to jest według ciebie niemożliwe?
- Bo nie - odpowiada wpatrując się we mnie bojaźliwie.
- Dlaczego nie? - przekrzykuję muzykę i chociaż nie ma takiej potrzeby dodaję: - Ty głupi skurwysynu.

Patrzy na mnie tak, jakbyśmy razem pływali pod wodą i odkrzykuje wyraźnie zagłuszając hałas klubu: - Ponieważ... jadłem... obiad... z Pauliem Owenem... dwukrotnie... w Londynie... dziesięć dni temu!

Patrzemy na siebie przez minutę. W końcu zbieram się na odwagę, żeby coś powiedzieć, ale mój głos jest już bez wyrazu i sam nie wiem, czy wierzę w to, co mówię: - Nieprawda... kłamiesz? - brzmi to jak pytanie, a nie jak stwierdzenie.

- A teraz, mój drogi Donaldson... - Carnes zdejmuję moje dłonie ze swoich ramion. - Wybacz mi...
- Och, wybaczam - syczę. A potem wracam do naszego stołu, przy którym siedzą już John Edmonton i Peter Beavers. Wprowadzam się w odrętwienie zażywając halcion i zabieram Jean do domu, do mnie. Jean ma na sobie coś od Oscara de la Renty. Nina Goodrich ubrana jest w wyszywaną cekinami sukienkę od Matsudy i nie chce podać mi swojego numeru, choć Jean zeszła do damskiej toalety na dole.

TAKSÓWKARZ

Kolejna bolesna scena z mojego -jak je czasami nazywam - życia, rozgrywa się w środę na skutek czyjejś fatalnej pomyłki; czyjej? - sam nie wiem. Siedzę w taksówce stojącej w korku niedaleko Wall Street po wysokokalorycznym śniadaniu w Regency z Peterem Russellem - który był moim dostawcą, zanim znalazł sobie prawdziwą pracę - i Eddie Lambertem. Russel ubrany był w zapinaną na dwa guziki sportową marynarkę od Redealli, bawełnianą koszulkę od Hacker-ta, jedwabny krawat od Richela, spodnie z zakładkami od Krizia Uomo i skórzane buty od Cole-Haana. The Patty Winters Show dziś rano poświęcony był czwar-toklasistce, która handlowała własnym ciałem w zamian za narkotyki i o mały włos nie odwołałem śniadania chcąc obejrzeć cały program. Russel zamówił dla mnie posiłek, a ja w tym czasie rozmawiałem przez telefon w holu. Śniadanie było niestety wysokotłuszczowe i zawierało sporą ilość sodu: zanim się zorientowałem co się dzieje, na stole postawiono talerze z ziołowymi waflami z szynką w śmietanowym sosie Madera, kielbaski z grilla i kawę z kwaśnym mlekiem. Musiałem poprosić kelnera o bezteinową herbatę, talerzyk z pokrojonym mango •/. jagodami i butelkę Evian. W świetle poranka sączącym się przez okna Regency przyglądałem się, jak kelner z właściwym sobie wdziękiem kroić trufle na parujące jajka Lamberta. Nie mogąc wyjść z podziwu zażądałem krojonych czarnych trufli do swoich plasterków mango. Podczas śniadania nie wydarzyło się niespecjalnego. Musiałem zadzwonić po raz drugi i kiedy wróciłem do stołu zauważyłem, że brakuje jednego plasterka mango na moim talerzyku, ale powstrzymałem się od wysuwania pochopnych oskarżeń. Miałem inne rzeczy na głowie: przepaść między trustami, zestaw na biurko, nową erę możliwości i co z niej dla mnie wynika, jak wspomóc szkolnictwo amerykańskie, jak załatwić bilety na Operę za trxygmsxe, która właśnie miała swoją premierę na Broadwayu, jak brać więcej i pamiętać mniej...

W taksówce ubrany jestem w dwurzędowy kaszmirowo-welniany płaszcz z kolekcji Studio 000. I od Ferre, welniany garnitur ze spodniami pofałdowanymi u góry, projekt DeRigueur od Schoenamaiia, jedwabny krawat z Givenchy Gentleman, skarpety Interwoven i buty od Armaniego. Czytam Widl Street Journal

w przeciwsłonecznych okularach Ray-Ban na nosie i słucham nagrań Bixa Be-iderbecke'a z walkmana. Odkładam/ournali zabieram się za Post- tylko po to, żeby zajrzeć na Stronę Szóstą. Na światłach na rogu Szóstej i Trzydziestej Czwartej stoi taksówka, w której - jak mi się wydaje - siedzi Kevin Gładwin ubrany w garnitur od Alpha Laurena. Opuszczam okulary. Kevin podnosi głowę znad nowego wydania magazynu Money i spostrzega, że przyglądam mu się z zaciekawieniem. Po chwili jego taksówka rusza. Mój kierowca wyrywa się z korka skręcając w prawo w Dwudziestą Siódmą, żeby dojechać West Side Highway do Wall Street. Odkładam gazetę i słucham muzyki, myśląc o pogodzie, która jest wyjątkowo chłodna jak na tę porę roku. Przed chwilą zauważyłem, że kierowca obrzuca mnie wzrokiem w lusterku. Ma podejrzliwą, chciwą

twarz z tysiącami zatkanym tłuszczem porów, z których wyrastają włosy. Wzdycham - czegoż można oczekiwać od taksówkarzy? - i ignoruję go. Otwórz maskę samochodu, a dowiesz się czegoś o ludziach, którzy go zaprojektowali - jest to jedna z wielu sentencji, które torturują mój udręczony umysł.

Taksówkarz puka w pleksiglasową przegrodę i kiwa do mnie. Zdejmując słuchawki walkmana zauważam, że zamknął centralnym zamkiem wszystkie drzwi, słyszę nawet trzask opadających zasuw. Taksówka jedzie szybciej niż powinna po prawym pasie autostrady. - Słuchami' - pytam poirytowany. - Czego?

- Zdaje się, że skądś cię znam - mówi kierowca w trudnym do zrozumienia narzeczu, które równie dobrze może pochodzić z New Jersey, jak i z basenu Morza Śródziemnego.

- Wykluczone - rzucam i cłię z powrotem założyć słuchawki na uszy.

- Wydajesz się znajomy - upiera się. - Jak się nazywasz?

- Wykluczone. Nie znam pana - po chwili zastanowienia dodaje: - Chris Hagen.

- Nie wygłupiaj się! - Jego uśmiechnięta twarz informuje mnie, że coś jest bardzo nie w porządku. - Wiem kim jesteś.

- Gram w filmach. Jestem aktorem - stwierdzam. - Modelem.

- E tam, to nie to - mówi ponuro.

- W takim razie... - pochylam się, żeby sprawdzić jak się nazywa -...może masz, mój drogi Abdullahu, kartę członkowską klubu M.K.?

Nie odpowiada. Rozkładam ponownie Post na fotografii burmistrza przebranego za daktyla, potem składam gazetę i przewijam taśmę w walkmanie. Liczę po cichu - raz, dwa, trzy, cztery - z oczami wlepionymi w licznik. Dlaczego nie wziąłem dziś ze sobą pistoletu? Bo wydawało mi się, że nie muszę. Jedyna broń, jaką posiadam to nóż, którego używałem zeszłej nocy.

- Nie - odzywa się znowu. - Gdzieś już widziałem twoją twarz.

Jestem rozdrażniony i pytam go starając się, żeby zabrzmiało to nonszalancko: - Naprawdę? Widziałeś? To ciekawe. Lepiej pilnuj drogi, Abdullahu.

Zapada długie, straszne milczenie, a taksówkarz przygląda mi się we wstecznym lusterku i widzę, że nagle zanika jego ponury uśmiech. Twarz taksówkarza przypomina teraz maskę. Mówi: - Wiem. Człowieku, wiem kim jesteś! - kiwa głową i zaciska usta. Wyłączył radio, które właśnie nadawało wiadomości.

Mijamy rozmazane szaro czerwone budynki. Taksówka wyprzedza inne taksówki, niebo zmienia kolor z błękitu na purpurę, czernieje, a potem znów jest błękitne. Przejeżdżamy skrzyżowanie na czerwonych światłach, po drugiej stronie West Side Highway widzę nowe delikatesy D'Agostino, tam gdzie kiedyś był Mars, co doprowadza mnie niemal do łez, bo oto straciłem jakiś punkt identyfikacyjny na ziemi, zalewa mnie fala nostalgii (choć nigdy tam nie kupowałem), taka sama jak zawsze, gdy znika coś dobrze znanego; jestem już gotów powiedzieć kierowcy, żeby zawrócił, zatrzymał się, wypuścił mnie z taksówki i wziął dla siebie resztę z dziesięciu dolarów - nie, lepiej dwudziestu - ale nie mogę się nawet ruszyć, bo jedzie zbyt szybko i coś mi przeszkadza, coś niewyobrażalnego i absurdałnego i słyszę, jak mówi słowa, które brzmią mnie więcej tak: - To ty zabiłeś Solly'ego - Na jego twarzy pojawia się grymas determinacji. I -jak zawsze - dalej wszystko dzieje się bardzo szybko, choć czuję się tak, jakbym przechodził test na wytrzymałość.

Przełykam ślinę, opuszczam okulary, każę mu zwolnić, a potem rzucam: -Kim, jeśli wolno zapytać, jest Solly?

- Człowieku, twoja twarz jest na liście gończym w mieście - mówi i nie drga mu nawet jeden mięsień.

- Chciałbym wysiąść - chrypię.

- To ty, co nie? - patrzy na mnie jak na jakiegoś gada.

Mija nas pusta taksówka z włączonymi światłami jadąca przynajmniej osiemdziesiątką. Nic nie mówię i potrząsam głową. - Mam zamiar zapisać... - przełykam i drżącymi palcami otwieram notes, a z aktówki Bottega Veneta wyciągam pióro Mont Blanc - ... twój numer...

- Zabiłeś Solly'ego - stwierdza, rozpoznając mnie na sto procent i gdy chcę zaprzeczyć warczy gniewnie: - Ty-skurwy-synu.

Zjeżdża z drogi szybkiego ruchu w pobliżu doków na przedmieściach i pruje na sam koniec opuszczonego parkingu. Przychodzi mi do głowy, żeby właśnie teraz - dokładnie wtedy, gdy taksówka rozbija zniszczone, pokryte rdzą aluminiowe ogrodzenie i pędzi w kierunku wody - założyć słuchawki walkmana, odciąć się od kierowcy ścianą dźwięku i przeczekać; ale moje dłonie paralitycznie zacisnęły się w pięści i nie mogę ich rozprostować. Jestem uwięziony w taksówce, która mknie ku jakiemuś miejscu znanemu jedynie - niewątpliwie nienormalnemu - taksówkarzowi. Szyby są częściowo opuszczone, chłodne poranne powietrze wysusza żel na moich włosach. Czuję się nagi, mały, nieważny. W ustach czuję metaliczny smak, potem jest jeszcze gorzej. Widzę przed sobą pokrytą

śniegiem drogę, lecz jest to tylko wytwór mojej wyobraźni. Na pocieszenie została mi jedna myśl: jestem bogaty, w przeciwieństwie do milionów innych.

- Zdaje się, że... eee... pomyliłeś mnie z kimś - mówię.

Zatrzymuje taksówkę i odwraca się do mnie. W dłoni trzyma pistolet, nie rozpoznaję marki. Patrzę mu prosto w oczy, moje zdumienie przeradza się w coś innego.

- Zegarek. Rolex - rzuca zwyczajnie. Słucham go milcząc i wierząc się na siedzeniu. Powtarza: - Z e g a r e k.

- Czy to jest jakiś żart? - pytam.

- Wsiadaj - wypłuwa. - Wypierdalaj z auta.

Patrzę nad głową kierowcy na mewy latające nad ciemną, pofalowaną wodą. Otwieram drzwi i ostrożnie, bez żadnych gwałtownych ruchów, wysiadam z taksówki. Na dworze jest zimno. Mój oddech paruje, a parę rozwiewa wiatr.

- Zegarek, ty bydlaku - krzyczy wychylając się z okna i mierząc mi prosto w głowę.

- Słuchaj, nie mam pojęcia, co robisz, ani co chcesz przez to osiągnąć, ani też co ci się z d a j e, że będziesz mógł tym udowodnić. Nigdy nie brano mi odcisków palców i mam na wszystko alibi...

- Zamknij się - przerywa mi krzykiem Abdullah. - Po prostu zawrzyj ten swój pierdolony ryj.

- Jestem niewinny - krzyczę z przekonaniem.

- Zegarek - macha lufą.

Odpinam Rolexa i zsuwam go z nadgarstka. Ptxlaje kierowcy.

- Portfel - pokazuje pistoletem. - Tylko gotówka.

Bezwolnie wydaję nowy portfel ze skóry gazeli i szybko odliczam zmarzniętymi, odrętwiałymi palcami całą gotówkę, tylko trzysta dolarów-, przed wysokokalorycznym śniadaniem nie miałem czasu zatrzymać się przy bankomacie. Podaję pieniądze taksówkarzowi. Solly, jak przypuszczam, był tym taksiarzem, którego zabiłem podczas sceny pościgu na Manhattanie zeszłej jesieni - ale jeśli dobrze pamiętam - Solly był Ormianinem. A może zabiłem jeszcze jednego i nie potrafię sobie tego przypomnieć?

- Co masz zamiar zrobić? - pytam. - Nie wyznaczono jakiejś nagrody?

- Nie. Nie ma nagrody - mruczy zgarniając forszę i nie spuszczając mnie z celownika.

- Skąd wiesz, że nie doniosę na ciebie i nie każę zabrać ci licencji? - pytam wręczając mu nóż, który właśnie znalazłem w kieszeni, i który wygląda jakby moczono go w półmisku pełnym krwi i włosów.

- Bo jesteś winny - rzuca. - Zabierz to ode mnie - wskazuje pistoletem na pokrwawiony nóż.

- S k ą d możesz wiedzieć? - parskam ze złością.

- Okulary - znowu pokazuje lufą.

- Skąd wiesz, że jestem winny? - sam nie mogę uwierzyć, że mam aż tyle cierpliwości.

- Uważaj, co mówisz, chuju - warczy. - Okulary.

- Są bardzo drogie - protestuję i wzdycham zdając sobie sprawę z pomyłki. - To znaczy tanie. Bardzo tanie i tandetne. Czy... pieniądze ci nie wystarczą?

- Okulary. Dawaj je natychmiast - charczy.

Zdejmuje Wayfarery i podaje je taksówkarzowi. Może rzeczywiście zabiłem Solly'ego, chociaż jestem święcie przekonany, że wszyscy kierowcy taksówek, jakich wykończyłem w ostatnim okresie, nie byli Amerykanami. A zresztą... chyba go zabiłem. Chyba rzeczywiście rozesłano za mną listy gończe... tylko dokąd? Do taksówek? Do miejsca, w którym zbierają się wszystkie wozy?

Jak to się nazywa? Taksówkarz przymierza okulary, przegląda się w lusterku, odkłada je na bok. Potem rozmyśla się i wsuwa je do kieszeni marynarki.

-Już nie żyjesz - uśmiecham się do niego ponuro.

- A ty jesteś śmierzącym yuppie - odszczekuje.

-Już jesteś martwy, Abdullahu - powtarzam wcale nie żartując. - Masz to jak w banku.

- Taa? A ty jesteś śmierzącym yuppie. Ciekawe co gorsze? Włącza motor i odjeżdża.

Wracając na autostradę duszę w sobie łkanie wydobywające się ze ściśniętego gardła. Przystaję. - Chcę tylko... - Patrzę na niebo, mruczę do siebie jak dziecko: - ... chcę tylko, żeby zabawa trwała dalej. - Stoję na baczność zamarzając na śmierć, gdy zza plakatu Opery za trzy grosze wiszącego na opuszczonym przystanku autobusowym, wynurza się nagle stara kobieta: bezdomna asbraczka. Chwieje się na nogach, jej twarz pokrywają strupy wielkości pluskiew. Wyciąga do mnie drżącą, czerwoną z zimną rękę. - Odejdź, odejdź proszę - wzdycham. Każe mi iść do fryzjera.

U HARRY'EGO

W piątkowy wieczór wychodzimy całą grupą z biura, żeby wejść do Harry'ego. W skład naszej grupy wchodzi: Tim Price, Craig McDermott, ja i Preston Goodrich, który obecnie spotyka się ze stuprocentowym laskojadem o imieniu, zdaje się, Śliwka, bez nazwiska, tylko Śliwka; Śliwka jest aktorką/modelką, co - jak mi się wydaje - jest zdaniem wszystkich bardzo na czasie. Debatujemy nad tym gdzie zarezerwować stół na obiad, padają propozycje w rodzaju Wschodniego Flaminga, Baru Ostryga, 220, Życia Po Życiu, u Michaela, Spago Wschód i Le Cirque. Jest z nami również Robert Farrell, który trzyma przed sobą na stole coś, co nazywa się Lotus Quotrek i jest przenośnym urządzeniem elektronicznym przechowującym dane z notowań giełdowych; gdy Farrell naciska klawisze, na ekranie pojawiają się najświeższe notowania akcji. Co ludzie mają na sobie? McDermott ubrany jest w kaszmirową sportową marynarkę, wełniane spodnie, jedwabny krawat, Hermes. Farrell włożył kaszmirową kamizelkę, skórzane buty, wełniane bryczesy, Garnek Anderson. Ja mam na sobie wełniany garnitur od Armaniego, buty od Allen-Edmondsa, a w kieszonce chusteczkę od Brooks Brothers. Ktoś ma jeszcze garnitur uszyty przez Andersona i Shepparda. Ktoś inny, kto wygląda jak Todd Lauder i być może jest nim w istocie, unosi do nas kciuk z drugiego końca sali itd., itd.

Pytania kierowane w moją stronę brzmią następująco: Czy reguły dotyczące noszenia chusteczki w kieszonce są takie same jak te, które dotyczą białej wieczorowej marynarki? Czy istnieje jakakolwiek różnica między botkami a butami z cholewką? Mój materac jest już tak wygnieciony, że nie mogę na nim spać - co czynić? Jak można ocenić jakość płyty kompaktowej przed dokonaniem zakupu? Jaki węzeł krawata jest mniej pękaty od Windsora? Jak zachować elastyczność swetra? Wskazówki co do zakupu futer z karakułów? Myślę oczywiście o innych rzeczach i zadaję sobie własne pytania: Czy mam świra na punkcie tężyzny fizycznej? Człowiek a konformizm? Czy zdołam umówić się na randkę z Cindy Crawford? Czy to, że jest się Wagą oznacza cokolwiek, a jeśli tak, to czy można to udowodnić? Dzisiaj ogarnęło mnie pragnienie wysłania faksem pochodzącej z pochwy Sary krwi do biura, w którym pracowała (w dziale fuzji banku Chase Manhattan); nie byłem na treningu, bo byłem zajęty robieniem naszyjnika z kręgów jakiejś dziewczyny. Zostałem w domu i chodziłem po całym mieszkaniu z kostną ozdobą na szyi, a potem onanizowałem się nad białą marmurową wanną w łazience kwicząc i jęcząc jak zwierze. Później obejrzałem film o pięciu lesbijkach z dziesięcioma vibratorami. Moją ulubioną grupą jest Talking Heads. Ulubionym napojem - J&B albo Absolut z lodem. Programem telewizyjnym - Late Night with David Letterman. Napojem orzeźwiającym - dietetyczna pepsi. Wodą - Evian. Sportem - baseball.

Rozmowa biegnie swoim własnym torem - nie ma w niej żadnej struktury, żadnego prawdziwego tematu, wewnętrznej logiki czy uczucia, pominawszy oczywiście tajemnicze, konspiracyjne podteksty. Tylko słowa - zupełnie jak w kinie -w większej części całkowicie niezrozumiałe, nakładające się na siebie. Mam masę kłopotów z koncentracją, ponieważ ostatnio mój bankomat zaczął do mnie mówić ć; niekiedy wyświetla też na zielonym ekranie jakieś okropne polecenia, w rodzaju: "Urządź jatkę w galerii Sotheby" albo "Zabij prezydenta", czy "Na-Opeiyza trzy grosze

karm mnie 'zdechłym kotem"; poza tym o mało mi nie odjechało, gdy w zeszły poniedziałek ławka z parku szła za mną przez sześć przecznic pragnąc nawiązać ze mną również kontakt werbalny. Rozpad - oto co mi dolega. Moja pierwsza i jedyna - na razie - kwestia, którą wtrącam do rozmowy przy stole brzmi: -Nigdzie nie idę, jeśli nie załatwimy rezerwacji, więc mamy w końcu tę rezerwację czy nie? - Zauważyłem, że wszyscy pijemy gorzkie piwo. Czy tylko ja zwróciłem na to uwagę? - Na nosie mam okulary z zerowymi szklami w oprawie ze sztucznej skorupy żółwiowej.

Na ekranie telewizora u Harry'ego oglądam The Patty Winters Show, który nadają teraz po południu przy sporej konkurencji widowisk Geraldo Rivery, Pluła Donahue'a i Oprah Winfrey. Dzisiaj tematem jest pytanie: czy sukces ekonomiczny znaczy tyle samo co szczęście? Odpowiedź, jakiej udzielają wszyscy goście Harry'ego to odbijający się echem ryk "Z całą pewnością", po którym rozlegają się pojedyncze okrzyki dopingujących się i wymieniających pozdrowienia chłopców. W tej chwili na ekranie widać sceny z inauguracji prezydentury Busha z początku roku, następnie przemowę byłego prezydenta Reagana, którą komentuje Patty; robi to tak cicho, że nic nie można usłyszeć. Wkrótce rozpoczyna się męcząca debata, czy prezydent kłamie, czy nie i znów nic nie słyszymy. Pierwszym i jedynym, który zwraca na to uwagę, jest Price, choć wydaje mi się, że tak naprawdę martwi go coś zupełnie innego; w każdym razie Tim wykorzystuje okazję, żeby dać upust frustracji i oświadcza niezbyt dobrze udając zaskoczonego: -Jak on śmie tak kłamać ?Jak śmie opowiadać nam takie b z d e t y?

- Chryste -jęczę. -J a k i e bzdety? Czy ktoś wie, gdzie mamy rezerwację? To znaczy, nie jestem głodny, ale chciałbym mieć gdzieś rezerwację. Co powiecie na 220'? - Sekunda namysłu. - McDermott, co na to mówi Zagat?

- Odpada - wtrąca się Farrell przed Craigiem. - Kokaina, którą kupiłem tam ostatnio, była zmieszana z taką ilością środków na przeczyszczenie, że musiałem wysrać się w M.K.

- Ta, taa, życie cuchnie, a potem się umiera.

- Czyżby nadszedł najgorszy moment naszego wieczoru? - pyta Farrell.

- Zdaje się, że ostatnio byłeś tam z Kyrią? - rzuca Goodrich. - I nie przeżywałeś n a j g o r s z y c h momentów?

- Przydybała mnie na podsłuchu. Co miałem robić? - Farrell-wzrusza ramionami. - Przepraszam.

- Przydybała go na podsłuchu - McDermott szturcha mnie dwuznacznie w żebro.

- Zamknij się, McDermott - Farrell strzela szelkami Craiga. - Umów się z żebraczką.

- Zapomniałeś o czymś Farrell - wtrąca się Preston. - Przecież McDermott jest żebrakiem.

- A jak tam Courtney? - Farrell uśmiecha się obrzydliwie do Craiga.

- Wystarczy powiedzieć nie - ktoś wybucha śmiechem.

Price odwraca głowę od telewizora i rzuca okiem na McDermotta. Stara się ukryć złość zwracając się do mnie i machając ręką w stronę ekranu. - Nie wierzę własnym oczom. Wygląda tak... n o r m a l n i e. Tak... profesjonalnie. Tak... nieszkodliwie.

- Laska, laska - ktoś krzyczy. - Odpada, odpada.

- On j e s t całkowicie nieszkodliwy, ty głupku. I b y ł całkowicie nieszkodliwy. Tak samo jak t y. Mimo to, to właśnie j e m u zawdzięczamy całe to gówno, a t y nie załatwiłeś dla nas rezerwacji w 150, więc wiesz, co ja mogę na to powiedzieć... - McDermott wzrusza ramionami.

-Ja po prostu nie rozumiem, jak ktoś, k t o k o l w i e k, o takim wyglądzie, mógł być związany z całym tym gównem - mówi Price ignorując Craiga i odwracając wzrok od Farrella. Wyjmuje cygaro i przygląda się mu ze smutkiem. W dalszym ciągu uważam, że Price ma na czole plamę.

- Dlatego, że miał oparcie w Nancy? - strzela na ślepo Farrell podnosząc głowę znad Quotreka. - Bo Nancy była odpowiedzialna za to wszystko?

- Nie wiem jak możesz mówić o tym z takim kurewskim spokojem? -Price, któremu musiało się przydarzyć coś naprawdę przykrego, jest wyraźnie zdumiony. Jak głosi plotka, był na odwyku.

- Niektórzy faceci są spokojni od urodzenia, jak mi się wydaje - Farrell uśmiecha się wzruszając ramionami.

Ja także wybucham śmiechem słysząc tę odpowiedź, ponieważ Farrell słynie z tego, że jest n i e s p o k o j n y. Price napomina mnie wzrokiem, mówi: - A ty, Bateman, z czego się kurwa cieszysz?

Wzruszam ramionami: - Jestem z natury wesołym skautem. - Przypominam sobie i cytuję słowa brata: - Rock and roli.

- Bądźcie wszystkim, czym chcecie być - rzuca ktoś.

- Bracie - Price nie daje za wygraną. - Spójrz tylko... - stara się racjonalnie ocenić sytuację: - Chce uchodzić za nieszkodliwego starego mantykę. Lecz w środku... - urywa. Moje zaciekawienie wzrasta, tli się króciutko. - Lecz w środku... -Price nie może dokończyć zdania, nie potrafi dodać trzech ostatnich słów, które są mu potrzebne: wszystko jest nieważne, gestem rozczarowany, a jednocześnie czuję dużą ulgę.

- W środku? Co w środku? - pyta znudzony Craig. - Wierz albo nie, ale naprawdę słucham tego, co mówisz. Kontynuuj.

- Bateman - zwraca się do mnie Price, nieco bardziej rozluźniony. - Obudź się. Co o tym myślisz? Podnoszę głowę, uśmiecham się i nic nie mówię. Gdzieś - w telewizji? -grają hymn narodowy. Dlaczego? Nie wiem. Może w ten sposób rozpoczynają

wszystko jest nieważne
się teraz reklamy. Jutro w The Patty Winters Show- bramkarze z klubu u Nell, co dzieje się z nimi teraz? Wzdycham, wzruszam ramionami, cokolwiek.

- To, uhm, całkiem dobra odpowiedź - mówi Price i dodaje: - Jesteś wariatem.

- To najbardziej interesująca wiadomość, jaką usłyszałem od momentu... -patrzę na swojego nowego złotego Rolexa, za którego zapłaciło ubezpieczenie -... gdy McDermott zaproponował, żebyśmy napili się piwa. Chryste, wypiłbym szkocką.

McDermott podnosi głowę i mruczy z przesadnym uśmiechem: - Budwe-iser. Z długą szyjką. Coś pięknego.

- Szczyt kultury i dobrego wychowania - Goodrich kiwa głową. Superstylowy Anglik, Nigel Morrison, zatrzymuje się przy naszym stole.

W butonierkę marynarki od Paula Smitha ma wpięty kwiatek. Nie może zostać z nami, ponieważ umówił się ze s w o i m i brytyjskimi przyjaciółmi: Ianem i Lucy w Delmonico. Kilka sekund po tym jak opuścił nasze towarzystwo, ktoś szepcze pogardliwie. - Nigel. Zwierzyna na pasztet.

Ktoś inny: - Czy wiecie, że jaskiniowcy mieli więcej tkanki włóknistej od nas?

- Kto zajmuje się teraz rachunkiem Fishera?

- Chrzęż to. Co z Shepardem? Z rachunkiem Sheparda?

- Czy to David Monrowe? Co za wykołajeniec.

- Och bracie...

- Na litość boską...

- ... chudy za uszami...

- Co z tego będzie dla mnie?

- S z t u k ę Sheparda czy rachunek Sheparda?

- Bogaci ludzie z tanim sprzętem stereo.

- Nie, dziewczyny z tolerancją na alkohol.

- ... stuprocentowa porażka...

- Masz ogień? To się podpal.

- Co z tego będzie dla mnie?

- no no no no no no...

Zdaje się, że mówię: - Muszę oddać kasety.

Ktoś wyjął już telefon komórkowy Minolty i zadzwonił po samochód, a potem, gdy nie słucham i patrzę zamiast tego na kogoś, kto bardzo przypomina mi płacącego rachunek Marcusa Halberstama, ktoś inny zapytał, ot tak po prostu, nie nawiązując do niczego: -Dlaczego?-i chociaż szczyć się zimną krwią i umiejętnością trzymania nerwów na wodzy i robienia zawsze tego, co należy robić, podchwytuję tę myśl, uświadamiam sobie: - D l a c z e g o? - po czym odpowiadam automatycznie: bez powodu, ni z tego ni z owego, po prostu otwie-

rając usta, z których wypływają słowa podsumowania dla idiotów: - No cóż, chociaż wiem, że powinienem zrobić t o zamiast nie robić niczego, mam na litość boską dwadzieścia siedem lat i tak, hm, wygląda życie w barze czy w klubie, tu w mieście, w Nowym Jorku, może zresztą w s z ę d z i

e pod koniec stulecia, i tak właśnie, no wiesz, zachowują się ludzie, j a... i na tym właśnie polega bycie Patric-kiem, chyba, więc, no cóż, no hm... - po czym wzdycham, lekko wzruszam ramionami i znów wzdycham, a nad przysłoniętymi czerwoną aksamitną materią drzwiami u Harry'ego wisi znak, a na znaku wypisano literami koloru materii słowa: TO NIE JEST WYJŚCIE.